

# Państwo strachu

Crichton Michael



calibre 0.9.27

**MICHAEL CRICHTON**

## **PAŃSTWO STRACHU**

Przekład Wojciech Szypuła

Nauka ma w sobie coś fascynującego. Wykorzystując minimalny zasób faktów, otrzymujemy w zamian hurtową ilość domniemań.

Mark Twain

Każdy istotny problem ma aspekty, o których nikt nie chce dyskutować.

George Orwell

### **Wstęp**

Pod koniec 2003 roku na Światowym Szczycie Ziemi w Johannesburgu przedstawiciele Vanutu, państwa położonego na jednej z wysp Pacyfiku, zapowiedzieli, że postawią amerykańską Agencję Ochrony Środowiska (EPA) przed sądem pod zarzutem powodowania globalnego ocieplenia. Dla ośmiu tysięcy mieszkańców Vanutu, które wznosi się zaledwie kilka metrów ponad poziom morza, wywołane ociepleniem klimatu podniesienie się poziomu wód na Ziemi okazało się jak najbardziej realnym zagrożeniem. Stany Zjednoczone są nie tylko światowym mocarstwem gospodarczym, ale także głównym producentem dwutlenku węgla, który w największej mierze przyczynia się do zmian temperatury na naszym globie.

Aktywiści amerykańskiego Narodowego Funduszu Zasobów Naturalnych, NERF, zapowiedzieli, że wesprą Vanutu w jego działaniach prawnych. Spodziewano się, że do oficjalnego przedstawienia zarzutów dojdzie latem 2004 roku. Rozeszły się pogłoski, że George Morton, zamożny filantrop chętnie udzielający wsparcia ekologom, osobiście sfinansuje proces, którego koszty szacowano na ponad osiem milionów dolarów. Rozprawy oczekiwano z tym większym zainteresowaniem, że miała się toczyć przed wyrozumiałym sądem okręgowym w dziewiątym okręgu San Francisco.

Ale do przedstawienia zarzutów nigdy nie doszło.

Ani Vanutu, ani NERF nie przedstawili oficjalnych powodów wycofania się z kampanii. Niewytłumaczalny brak zainteresowania problemem ze strony środków masowego przekazu sprawił, że nawet po tajemniczym

zniknięciu George'a Mortona zagadka nie doczekała się wyjaśnienia. Dopiero pod koniec 2004

roku kilku byłych członków rady zarządzającej NERF odważyło się wypowiedzieć publicznie na temat wydarzeń w łonie organizacji. Prywatne śledztwo pracowników Mortona oraz byłych prawników kancelarii Hassie and Black z Los Angeles ujawniło więcej szczegółów.

Dzięki temu wiemy już dokładnie, jak potoczyły się losy niedoszłego oskarżenia w okresie od maja do października 2004 roku, i dlaczego doprowadziły do śmierci tylu ludzi w odległych zakątkach świata.

MC

Los Angeles, 2004

Fragment raportu wewnętrznego AASBC dla Narodowej Rady Bezpieczeństwa, NSC. Poufne. Zaczernienia w tekście pochodzą od AASBC. Uzyskane na podstawie FOIA, ustawy o wolności informacji 03/04/04.

oznać za wy-  
y ponad rok,  
[redacted] prowa-  
[redacted]  
sygnały.  
w maju 2004  
[redacted] Nie ma  
e w Paryżu,

Z perspektywy czasu spisek [redacted] należy u-  
jątkowo dobrze zaplanowany. Przygotowania trwał  
zanim doszło do pierwszych działań. Wstępne [redacted]  
dzono już [redacted] marca 2003. Wtedy też brytyjskie  
i niemieckie [redacted] otrzymały pierwsze s  
Pierwszy przypadek miał miejsce w Paryżu,  
roku. Można [redacted] że władze [redacted]  
jednak wątpliwości, że to, co wydarzyło się  
[redacted] i poważnych skutków.

**AKAMAI**

**Paris Nord**

**Niedziela, 2 maja 2004 Godz. 24.00**

W ciemności dotknął jej ręki.

- Zostań tu - powiedział.

Nie poruszyła się. Czekala. Powietrze miało mocny, słony zapach. Słyszała ciche bulgotanie wody.

Światła włączyły się i padły na powierzchnię wody. Zbiornik był duży: mógł mieć z pięćdziesiąt metrów długości i dwadzieścia szerokości. Wyglądałby jak zwykły kryty basen pływacki, gdyby nie aparatura elektroniczna, którą go obstawiono.

I gdyby nie urządzenie na drugim końcu.

Jonathan Marshall wrócił do niej, szczerząc zęby w kretyńskim uśmiechu.

- Qu'est-ce que tu penses? - zapytał, chociaż wiedział, że ma fatalną wymowę. - I co ty na to?

- Cudowny - odparła dziewczyna. Mówiła po angielsku z egzotycznym akcentem. Właściwie, pomyślał Jonathan, wszystko w niej było egzotyczne. Miała śniadą skórę, wydatne kości policzkowe i czarne włosy; wyglądała jak modelka. I chodziła jak modelka, w krótkiej spódniczce, na szpilkach. Była półkrwi Wietnamką i miała na imię Marisa. - Nikogo tu nie ma, prawda? - spytała, rozglądając się.

- Nie - zapewnił. - Jest niedziela. Nikt nie przyjdzie.

Jonathan Marshall miał dwadzieścia cztery lata. Robił doktorat z fizyki w Londynie, ale podczas wakacji zatrudnił się w ultranowoczesnym

Laboratoire Ondulatoire, laboratorium mechaniki falowej Francuskiego Instytutu Morskiego w Vissy, na północnych przedmieściach Paryża. Mieszkały tu głównie młode małżeństwa z dziećmi, więc z konieczności prowadził raczej samotne życie. I wciąż nie wierzył własnemu szczęściu, kiedy los zesłał mu taką dziewczynę, niewiarygodnie piękną i seksowną.

- Pokaż mi, co ta maszyna robi - poprosiła Marisa. Oczy jej zabłyśły. - I co ty robisz.

- Z przyjemnością.

Jonathan stanął przed ogromnym pulpitem i zaczął włączać pompy i czujniki. W drugim końcu basenu kolejno szcęknięto trzydzieści łopatek maszyny falowej. Obejrzał się przez ramię i popatrzył na Marisę.

- To takie skomplikowane - powiedziała, podchodząc do niego. - Kamery rejestrują twoje badania?

- Tak. Są wbudowane w sufit i w ściany zbiornika. Zapisują generowane fale. Mamy też czujniki, które rejestrują zmiany ciśnienia przy przejściu fali.

- Te kamery są teraz włączone?

- Skąd. Nie potrzebujemy ich. Nie przeprowadzamy eksperymentu.

- Kto wie... - Położyła mu rękę na ramieniu. Miała długie, smukłe palce. Piękne palce. Długą chwilę w milczeniu przyglądała się zbiornikowi. - Wszystko tu jest takie drogie... Musicie mieć dobrą ochronę, prawda?

- Właściwie nie. Wchodzimy na kartę magnetyczną. No i mamy jedną kamerę. - Jonathan pokazał ręką. - Tam, w kącie.

Marisa odwróciła się.

- Włączona?

- Tak. Pracuje na okrągło. Pogładziła go po karku.

- Czyli ktoś nas teraz podgląda?

- Niestety możliwe.

- Więc powinniśmy być grzeczni?

- Chyba tak. Zresztą... Jest jeszcze twój chłopak.

- On? - prychnęła pogardliwie Marisa. - Mam go dość.

Tego dnia rano Marshall wyszedł z domu i zajrzał do kawiarni przy rue Montagne, do której codziennie wpadał. Jak zwykle wziął sobie artykuł naukowy do przeczytania. A potem przy sąsiednim stoliku usiadła ta dziewczyna ze swoim chłopakiem. I zaczęli się kłócić.

Marshall stwierdził, że nie pasują do siebie. Chłopak - Amerykanin, czerwony na twarzy i umięśniony jak futbolista - miał przydługie włosy i okulary w drucianej oprawce, zbyt delikatnej jak na jego toporne rysy twarzy. Przypominał prosię, które udaje naukowca.

Miał na imię Jim i był wściekły na Marisę; najwyraźniej spędziła poprzedni wieczór z kimś innym.

- Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, gdzie byłaś - powtarzał.

- Bo to nie twój interes.

- Mieliśmy zjeść razem kolację.

- Wcale nie, Jimmy. Mówiłam ci.

- Mówiłaś, że przyjdiesz. Czekałem na ciebie w hotelu. Przez całą noc.

- No i co z tego? Nikt ci nie kazał. Mogłeś wyjść, zabawić się.

- Czekałem na ciebie.

- Jimmy... Nie jestem twoją własnością. - Miała go serdecznie dość; wzdychała, załamywała ręce, kręciła głową. Założyła nogę na nogę, tak że krótka spódniczka odsłoniła jej uda. - Robię to, na co mam ochotę.

- Widzę.

- No właśnie. - Marisa odwróciła się do Marshalla. - Co czytasz? To chyba bardzo skomplikowane.

W pierwszej chwili zaniepokoił się. Zagadywała go, żeby sprowokować chłopaka. Nie chciał się mieszać do ich kłótni.

- To fizyka - odparł i odwrócił się lekko. Usiłował nie zauważać, jak jest piękna.

- Jaka fizyka? - nie ustępowała Marisa.

- Mechanika fal. Oceanicznych.

- Jesteś studentem?

- Tak, studentem.

- Aha. I to inteligentnym. Jesteś Anglikiem? Co robisz we Francji?

Zanim się obejrzał, już rozmawiali w najlepsze. Przedstawiła mu swojego chłopaka, który uśmiechnął się krzywo i słabo ścisnął jego dłoń przy powitaniu. Sytuacja była niezręczna, ale dziewczyna zachowywała się tak, jakby tego nie zauważała.

- Pracujesz tu, prawda? Co to za praca? Przy zbiorniku? Z maszyną? Serio? Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić... Pokażesz mi?

I teraz byli tutaj, w laboratorium mechaniki falowej. Jimmy, chłopak Marisy, z ponurą miną czekał na parkingu i palił papierosa.

- Co zrobimy z Jimmym? - zapytała, podchodząc do stojącego przy pulpicie Marshalla.

- Tu nie wolno palić.

- Powiem mu. Ale nie chcę go rozzłościć. Jak myślisz, mogłabym go tu wpuścić?

- Jasne - odparł zawiedziony Marshall. - Chyba tak.

Otworzyła tylne wyjście z laboratorium i Jimmy wszedł do środka. Stał przy drzwiach z rękami w kieszeniach. Marisa wróciła do pulpitu.

- W porządku - powiedziała. - A teraz mi pokaż.

Silniki elektryczne na końcu basenu zawarczały, ruchome łopatkę wygenerowały pierwszą falę. Była nieduża, przebiegła całą długość zbiornika i rozbiła się z pluskiem o nachyloną płytę na drugim końcu.

- Tak wygląda fala pływowa?

- Tak. To symulacja tsunami. - Marshall nie odrywał palców od klawiatury. Na ekranach wyświetlały się wyniki pomiaru temperatury i ciśnienia, i komputerowo barwione obrazy fali.

- Symulacja... Co to znaczy?

- W tym zbiorniku możemy generować fale o wysokości do jednego metra. Prawdziwe tsunami mogą mieć cztery, osiem, dziesięć metrów. Czasem więcej.

- Dziesięciometrowa fala na oceanie? Naprawdę?! - Marisa wytrzeszczyła oczy i wbiła wzrok w sufit, jakby próbowała sobie wyobrazić taką masę wody.

Marshall pokiwał głową. Dziesięć metrów to wysokość dwu-, trzypiętrowego budynku. A fala tsunami pędzi z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę.

- I potem uderza o brzeg, tak? To jest ta nachylona płyta na końcu? Wygląda, jak zrobiona z kamyków. To ma być plaża?

- Tak. To, jak daleko w głąb lądu wedrze się fala, zależy od kąta nachylenia brzegu. Możemy ten kąt regulować.

Chłopak Marisy podszedł bliżej, ale nie za blisko. Nie odezwał się.

- Regulować? - powtórzyła podekscytowana Marisa. - Jak?

- Płyta ma wbudowany silnik.

- I możecie ją ustawić pod dowolnym kątem? Pokaż mi... vingt-sept stopni. Dwadzieścia siedem.

- Już się robi.

Marshall wprowadził dane do komputera. Rozległ się cichy zgrzyt i płyta, symulacja brzegu, podniosła się wyżej.

Zaciekawiony Jimmy stanął na krawędzi basenu. Rzeczywiście, pomyślał Marshall, to fascynujące. Każdego by to wciągnęło. Ale ten gość nic nie mówił: stał tylko i patrzył, jak gruzelkowata powierzchnia się przechyla. W końcu płyta znieruchomiła.

- Więc to jest plaża? - upewniła się Marisa.

- Tak. Dwadzieścia siedem stopni to spora stromizna, powyżej średniej światowej. Może lepiej

nastawię...

Przykryła jego dłoń swoją. Miała śniadą delikatną skórę.

- Nie, nie. Niech tak będzie. Pokaż mi falę. Chcę ją zobaczyć. Drobne fale, generowane co trzydzieści sekund, z cichym szumem przebiegały całą długość zbiornika.

- Dobrze by było jeszcze znać kształt linii brzegowej. W tej chwili mamy płaską plażę, ale gdybyśmy mieli jakieś zagłębienie...

- Możesz coś takiego zrobić?

- Jasne.

- Naprawdę?! Pokaż mi!

- Jaki chcesz kształt? Zatokę? Lagunę? Ujście rzeki? Marisa wzruszyła ramionami.

- Czyja wiem... Niech będzie zatoka.

- Dobrze. - Marshall się uśmiechnął. - Duża?

Silniki warknęły i w wysypanej otoczkami linii brzegowej pojawiło się wklęsnięcie.

- Fantastyczne... No, Jonathanie, teraz pokaż mi falę.

- Zaraz. Duża ma być ta zatoka?

- No... - Marisa wykonała nieokreślony gest. - Kilometr, półtora... Tak, półtora kilometra szerokości. - Pochyliła się nad Marshalllem. - Ja nie lubię czekać. Że też jeszcze nie wiesz.

Poczuł zapach jej perfum. Zaczął pisać szybciej.

- Proszę bardzo. Duża fala, półtorakilometrowa zatoka, nachylenie plaży: dwadzieścia siedem stopni.

Następna fala została wygenerowana ze znacznie głośniejszym szumem. Pobieгла ku nim równą, piętnastocentymetrową zmarszczką na powierzchni wody.

- Eee... - skrzywiła się Marisa. - Mówiłeś, że będzie duża.

- Zaczekaj.

- A co, urośnie? - zachichotała.

Znów położyła mu dłoń na ramieniu. Kiedy Jimmy spojrział na nią krzywo, zadarła wyniośle głowę, ale po chwili, gdy odwrócił wzrok, cofnęła rękę.



Marshall znów poczuł rozczarowanie. Wykorzystywała go. Był pionkiem w ich rozgrywce.

- Mówiłeś, że będzie większa.

- Bo będzie. Rośnie w miarę zbliżania się do brzegu. Na otwartym morzu, przy dużej głębokości, fala jest niska, za to na płyciźnie rośnie błyskawicznie. A zagłębienie spotęguje jej siłę, dzięki czemu sięgnie dalej w głąb lądu.

Fala rzeczywiście się podniosła na wysokość około półtora metra i rozbiła o brzeg. Piana spłynęła po sztucznych kamińkach.

- No tak, była wyższa - przyznała dziewczyna. - A w rzeczywistości?

- Może mieć jakieś dwanaście, piętnaście metrów.

- O la, la...- Marisa wydeła wargi. - Nie da się przed nią uciec.

- Nie. Fale pływowe są bardzo szybkie. W Hilo, na Hawajach, w 1957 fala przetoczyła się ulicami miasta, wielka jak domy. Ludzie próbowali uciekać, ale...

- To wszystko? - wtrącił Amerykanin. - To ma być ta supermaszyna? - Głos miał niski, burkliwy, jakby zachrypnięty.

- Nie zwracaj na niego uwagi - mruknęła dziewczyna.

- Tak - odparł Marshall. - Tym się tu właśnie zajmujemy. Robimy fale...

- Wielka mi sztuka - prychnął Jimmy - Ja umiałem je robić, kiedy miałem sześć miesięcy. W waniencie.

- Cóż. - Marshall gestem wskazał pulpit. - Gromadzimy dane dla naukowców z całego świata, którzy...

- Bla, bla. Mam dość. Nudne to jak wielorybie flaki z olejem. Wychodzę. Marisa? - Spojrzał na dziewczynę z ukosa. - Idziesz czy nie?

Marshall słyszał, jak dziewczyna wciąga powietrze przez zęby.

- Nie - odparła. - Nie idę. Amerykanin wyszedł, trzaskając drzwiami.

Mieszkała naprzeciwko Notre-Dame, po drugiej stronie rzeki. Z balkonu w jej sypialni rozciągał się piękny widok na katedrę, w nocy podświetloną reflektorami. Dochodziła dziesiąta, niebo było intensywnie granatowe. Marshall spojrział w dół, na ulicę, światła kafejek, tłumy na chodnikach. Piękny widok.

- Nie martw się. - Usłyszał zza pleców głos Marisy. - Jimmy tu nie przyjdzie.

Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie myślał o Amerykaninie, dopóki mu o nim nie przypomniała.

- Nie?

- Nie. Pójdzie do innej. Ma wiele kobiet.

Pociągnęła łyk wina i odstawiła kieliszek na nocny stolik. Bez zbędnych wstępów ściągnęła bluzkę i zrzuciła spódniczkę. Nie nosiła bielizny.

Podeszła do niego ubrana tylko w szpilki. Musiał wyglądać na zaskoczzonego, bo dodała:

- Przecież mówiłam: nie lubię czekać.

Objęła go i pocałowała - mocno, z całej siły, jakby ze złością. Następną kilka chwil było trochę niezręcznych, gdy próbowała go rozebrać, nie przestając całować. Oddychała ciężko, chrapliwie; nic więcej nie powiedziała. Jej gwałtowna żądza przypominała gniew, a uroda i doskonałość śniadego ciała początkowo onieśmieliły Marshalla. Ale nie na długo.

Kiedy potem leżała obok niego, skórę nadal miała miękką i delikatną, lecz mięśnie boleśnie napięte. Sufit odbijał łagodną poświatę reflektorów oświetlających katedrę. Marshall odprężył się, ale Marisa - o ile to możliwe - była jeszcze bardziej spięta i podenerwowana. Mimo jej przekonujących jęków i okrzyków rozkoszy zaczął się zastanawiać, czy naprawdę doznała spełnienia.

Nagle zerwała się z łóżka.

- Coś się stało? Napila się wina.

- Idę do łazienki.

Wyszła. Marshall usiadł na łóżku i pociągnął łyk z jej kieliszka. Podniósł go do światła, podziwiając delikatny ślad szminki.

Obcasy jej butów zostawiły na prześcieradle ciemne smugi - dopiero w połowie miłosnych zmagani rzuciła szpilki pod okno. Świadek namiętności. Wciąż miał wrażenie, że śni. Nigdy przedtem nie był z taką kobietą - tak piękną, mieszkającą w takim miejscu. Ciekawe, ile kosztuje taki apartament, w takim punkcie, wyłożony boazerią... Napił się jeszcze wina. Można by się do tego przyzwyczaić, pomyślał.

Z łazienki dobiegł szum wody pod prysznicem - monotony dźwięk, jak piosenka bez melodii.

Drzwi wejściowe otworzyły się z głośnym bang! i do środka wparowało trzech mężczyzn w ciemnych trenczach i kapeluszach. Przerażony Marshall odstawił kieliszek, który przewrócił się i spadł ze stolika. Rzucił się na podłogę obok łóżka po ubranie, ale dopadli go w mgnieniu oka. Złapali dłońmi w rękawiczkach. Krzyknął ze strachu, zanim rzucili go na łóżko i wcisnęli mu twarz w poduszkę. Bał się, że będą go chcieli udusić, ale tego nie zrobili.

- Cicho bądź - wysyczał jeden. - Jak będziesz grzeczny, nic ci się nie stanie.

Marshall mu nie uwierzył - dalej szarpał się i krzyczał. Gdzie się podziała Marisa? Co z nią? Wszystko wydarzyło się tak szybko. Jeden z intruzów usiadł mu na plecach, wgniół kolana w kręgosłup, oparł zimne buty na jego nagich pośladkach. Chwytał go za kark i wcisnął mu głowę w pościel.

- Cicho bądź! - powtórzył.

Dwaj pozostali złapali go za nadgarstki i rozciągnęli na łóżku. Zaraz mi coś zrobią. Był przerażony i kompletnie bezbronny. Jęknął. Ktoś uderzył go w tył głowy.

- Cicho!

Wydarzenia następowały po sobie tak błyskawicznie, że odbierał tylko najprostsze wrażenia. Co z Marisą? Pewnie schowała się w łazience. Nie mógł mieć do niej pretensji. Usłyszał plusk, zobaczył foliową torebkę, a w niej jakiś biały przedmiot wielkości piłeczki golfowej. Przyłożyli mu torebkę do wnętrza ramienia, tuż poniżej pachy.

Co oni robią, do cholery?! Poczul ściekającą mu po ręce zimną wodę. Szarpnął się, ale trzymali go mocno. W wodzie coś się poruszyło i przylgnęło mu do skóry. Było lepkie jak guma do żucia. Przywarło do niego, skubnęło lekko i ukłuło - delikatnie, prawie niewyczuwalnie.

Napastnicy działali szybko. Schowali torebkę - i w tej samej chwili rozległy się dwa ogłuszające strzały z pistoletu. Marisa krzyczała po francusku:

- Salaud! Salopard! Bougetoi le cul!

Ten, który siedział Marshallowi na plecach, przetoczył się na podłogę i podniósł na kolana. Marisa wciąż krzyczała. Padły następne strzały, w powietrzu zaśmierdziało prochem. Intruzi uciekli. Drzwi zamknęły się za nimi z hukiem. Marisa podbiegła do niego, wciąż naga; bełkotała po francusku coś, czego nie mógł zrozumieć. Wychwycił powtarzające się słowo vacherie i doszedł do wniosku, że chodzi o krowę, ale w głowie mu się mąciło. Dostał drgawek.

Objęła go za szyję. Krzyknął, kiedy musnęła go gorącą lufą pistoletu. Odłożyła broń.

- Jonathanie, tak mi przykro - powiedziała. - Tak okropnie przykro. - Oparła mu głowę na ramieniu. - Wybacz mi. Teraz już wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Drgawki stopniowo ustępowały.

- Zrobili ci krzywdę? - zapytała. Pokręcił przecząco głową.

- To dobrze. Durnie! To kumple Jimmy'ego, pomyśleli, że zabawią się twoim kosztem i cię nastraszą. Mnie zresztą też. Ale naprawdę nic ci się nie stało?

Jeszcze raz pokręcił głową. Odkasznął.

- Może... - wykrztusił w końcu. - Może powinienem sobie pójść.

- Nie! Nie możesz mi tego zrobić!

- Nie czuję się...

- Nie ma mowy. - Przytuliła się do niego. - Zostań jeszcze trochę.

- Nie powinniśmy zadzwonić na policję?

- Mais non. Nic nie robią. Zwykła kłótnia kochanków. We Francji nie wzywa się do tego policji.

- Ale oni się włamali...

- Już ich nie ma - szepnęła mu do ucha. Poczł muśnięcie jej oddechu. - Zostaliśmy sami, Jonathanie. Tylko we dwoje.

Zsunęła się po jego ciele w dół.

Było po północy, kiedy - już w ubraniu - wyszedł na balkon z widokiem na Notre-Dame. Ulice wciąż tętniły życiem.

- Może jednak zostaniesz? - Marisa zrobiła kapryśną minkę. - Chcę, żebyś został. Nie zrobisz mi tej przyjemności?

- Przepraszam. Źle się czuję.

- Przy mnie poczujesz się lepiej.

Pokręcił głową. Naprawdę kiepsko się czuł. Miał zawroty głowy, kolana się pod nim ugiwały, ręce mu się trzęsły, kiedy zaciskał dłonie na poręczy.

- Przepraszam cię - powtórzył - ale naprawdę muszę iść.

- No dobrze. Odwiozę cię.

Wiedział, że zostawiła samochód na drugim brzegu Sekwany. Daleko. Ale tylko skinął potulnie głową.

- Jeśli chcesz - powiedział.

Nie ponaglała go. Szli wzdłuż rzeki bez pośpiechu, pod rękę, jak para kochanków. Mijali zacumowane do brzegu pływające restauracje, rozświetlone i nadal pełne gości. Nad nimi, na drugim brzegu, wznosiła się skąpana w świetle bryła Notre-Dame. Spokojny spacer, jej głowa na jego

ramieniu, jej cichy szept - wszystko to sprawiło, że naprawdę poczuł się trochę lepiej.

Wkrótce jednak potknął się i poczuł ogarniającą go słabość. W ustach mu zaschło, szczęka stężała, mówił z trudem.

Marisa chyba tego nie zauważyła. Minęli już obszar świateł, weszli pod most. Znow się potknął i tym razem upadł na kamienne nabrzeże.

- Kochanie... - Zmartwiona i współczująca, pomogła mu wstać.

- Coś... Coś...

- Dobrze się czujesz, skarbie? - Zaprowadziła go na ławkę. - Posiedź sobie chwilę. Zaraz ci się zrobi lepiej.

Nie zrobiło się. Próbował zaprotestować, ale nie mógł już mówić. Z przerażeniem uświadomił sobie, że nie może nawet pokręcić głową. Dzieje się ze mną coś bardzo złego. Błyskawicznie tracił siły. Próbował wstać, ale nie mógł poruszyć rękami. Głową też. Patrzył tylko na siedzącą obok Marisę.

- Co się dzieje, Jonathanie? Potrzebujesz lekarza? Tak, pomyślał, potrzebuję lekarza.

- Nie podobasz mi się, Jonathanie...

Poczuł nieznośny ciężar w piersi. Oddychał z trudem. Odwrócił wzrok. Jestem sparaliżowany, pomyślał w panice.

- Jonathanie?

Usiłował znów na nią spojrzeć, ale tym razem nie mógł już nawet poruszyć gałkami ocznymi. Oddychał coraz płycej.

- Jonathanie? Potrzebuję lekarza.

- Spójrz na mnie, Jonathanie. Możesz na mnie spojrzeć? Nie? Nie możesz poruszyć głową?

O dziwo, w głosie Marisy nie było już słycać troski, lecz tylko coś w rodzaju zawodowego zainteresowania i dystansu. Może mam coś ze słuchem, pomyślał Marshall. W uszach narastał mu szum. Coraz trudniej było mu oddychać.

- No dobrze, Jonathanie, trzeba cię stąd zabrać.

Włożyła mu głowę pod ramię, ze zdumiewającą u niej siłą dźwignęła go i wstała. Jego ciało było kompletnie bezwładne. Nie kontrolował nawet tego, gdzie patrzy. Usłyszał tupot kroków na chodniku. Chwała Bogu, pomyślał.

- Potrzebuje pani pomocy, mademoiselle? - zapytał męski głos po francusku.

- Dziękuję, nie trzeba. Po prostu za dużo wypił.
- Jest pani pewna?
- To nie pierwszy raz.
- Na pewno nie chce pani, żebym pomógł?
- Dam sobie radę.
- W takim razie życzę bonne nuit.
- Bonne nuit.

Marisa ruszyła dalej, kroki oddaliły się, a kiedy ucichły, zatrzymała się i rozejrzała. Po czym... zaczęła go nieść w stronę rzeki.

- Jesteś cięższy, niż myślałam - zauważyła swobodnym tonem. Czuł bezbrzeżny, wszechogarniający strach. Był sparaliżowany. Bezradny. Jego nogi wlokły się po kamieniach.

W stronę rzeki!

- Przykro mi - mruknęła Marisa i wrzuciła go do wody.

To był krótki lot. Obezwładniająco zimno. Pod wodą otoczyły go bąbelki i zieleń, potem zrobiło się ciemno. Nadal nie mógł się poruszyć. I wciąż nie wierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę, że umiera w taki właśnie sposób.

Poczuł, jak jego ciało unosi się do góry. Woda była znów zielona, a potem wypłynął na powierzchnię. Płynął na plecach. Nurt leciutko go obracał.

Widział most, czarne niebo i stojącą na brzegu Marisę. Zapaliła papierosa i wpatrywała się w niego obojętnie. Stała z ręką na biodrze i jedną nogą wysuniętą do przodu, w pozie modelki. Wydmuchnęła dym, który popłynął w noc do góry.

Marshall znów się zanurzył. Poczuł zimno i otoczyła go ciemność.

O trzeciej nad ranem w Laboratoire Ondulatoire Francuskiego Instytutu Morskiego w Vissy zapaliły się światła. Pulpit sterowniczy ożył. Maszyna zaczęła wytwarzać fale, które jedna po drugiej przebiegały całą długość zbiornika i rozbijały się o sztuczną plażę. Na ekranach rozbłyskiwały trójwymiarowe obrazy i przesuwwały się kolumny danych transmitowanych do innego miejsca gdzieś we Francji.

O czwartej pulpit pociemniał, światła zgasły, a z twardych dysków usunięto zapis ostatniego eksperymentu.

## Pahang

**Wtorek, 11 maja Godz. 11.55**

Kręta droga biegła w cieniu litego sklepienia malajskiej dżungli. Była utwardzona, ale bardzo wąska. Opony piszczały, kiedy land cruiser z poślizgiem wchodził w kolejne zakręty. Siedzący na fotelu pasażera mężczyzna - brodaty, mniej więcej czterdziestoletni - spojrzał na zegarek.

- Daleko jeszcze?

- Już nie. - Kierowca nie zwalniał. - Dosłownie parę minut.

Kierowca był Chińczykiem, ale mówił po angielsku z brytyjskim akcentem. Nazywał się Charles Ling. Poprzedniego wieczoru przyleciał do Kuala Lumpur z Hongkongu. Rano wyjechał na lotnisko po swojego pasażera i od tamtej pory pędzili przed siebie na złamanie karku.

Pasażer dał mu wizytówkę: Allan Peterson, Seismic Services, Calgary. Ale Ling nie wierzył w to, co na niej napisano. Dobrze wiedział, że

w Albercie jest firma, ELS Engineering, która sprzedaje właśnie takie urządzenia. Facet nie musiał lecieć aż do Malezji, żeby je obejrzyć.

Poza tym Ling sprawdził listę pasażerów - nie figurował na niej żaden Allan Peterson. Czyli przyleciał pod innym nazwiskiem.

W dodatku twierdził, że jest geologiem świadczącym usługi konsultingowe kanadyjskim koncernom energetycznym; miał się głównie zajmować szacowaniem zasobności złóż ropy - ale i w to Ling nie wierzył. Nafciarzy rozpoznawał z odległości kilometra. Ten gość był inny.

Krótko mówiąc: Ling nie miał pojęcia, kim jest jego pasażer. I wcale mu to nie przeszkadzało. Pan Peterson miał niezłą kasę - reszta nie grała roli. Linga interesowało tylko jedno: sprzedaż maszyn kawitacyjnych, a w wypadku pana Petersona zapowiadał się niezły biznes. Gość mówił o trzech jednostkach, wartych w sumie ponad milion dolarów.

Skręcił ostro i zjechał na błotnistą drogę. Przez chwilę rzucało nimi na boki, dżungla otaczała ich ze wszystkich stron - a potem nagle znaleźli się na odkrytym terenie. Zalało ich światło słońca. W ziemi ziała półkolista wyrwa o jednej stromej, urwistej ścianie. W dole rozciągało się zielone jezioro.

- Co to jest? - Peterson zmrużył oczy.

- Dawna kopalnia odkrywkowa kaolinu. Nieczynna.

- Kaolinu?

Nie jesteś geologiem, pomyślał Ling. I wyjaśnił, że kaolin to minerał o gliniastej konsystencji.

- Używa się go do wyrobu papieru i ceramiki, zwłaszcza przemysłowej. Na przykład superostrych noży. Niedługo będą robić ceramiczne silniki samochodowe. Ale tutejszy kaolin jest miernej jakości, więc cztery lata temu zamknęli kopalnię.

Peterson pokiwał głową.

- Gdzie kawitator?

Ling wskazał ciężarówkę zaparkowaną na skraju urwiska.

- Tam.

Ruszyli w tamtą stronę.

- Rosyjski?

- Podwozie i węglanowa rama są rosyjskie, elektronika tajwańska. Całość montujemy u nas, w Kuala Lumpur.

- To wasz największy model?

- Nie, średni. Nie mamy największego na pokaz.

Zatrzymali się przy ciężarówce. Była wielkości dużej wywrotki, toteż dach land cruisera ledwie sięgał szczytu jej kół. Pośrodku ramy, zawieszony nisko nad ziemią, znajdował się prostokątny generator kawitacyjny: był pękaty, sterczało z niego mnóstwo rur i przewodów i trochę przypominał ogromny agregat dieslowski. Od spodu, metr nad ziemią, miał zainstalowaną wklęsłą płytę kawitacyjną.

Wysiedli z wozu. Wilgotny żar lał się z nieba. Lingowi natychmiast zaparowały okulary i musiał je wytrzeć o koszulę. Peterson obszedł ciężarówkę dookoła.

- Można kupić sam generator? Bez samochodu?

- Owszem, produkujemy przenośne jednostki. W kontenerach. Chociaż wcześniej czy później klienci i tak montują je na jakichś podwoziach.

- Potrzebne mi same generatory. Pokaże mi pan, jak to działa?

- Już się robi. - Ling gestem dał znak operatorowi maszyny, siedzącemu w kabinie wysoko nad ziemią. - Lepiej się odsuńmy.

- Zaraz... - zaniepokoił się Peterson. - Myślałem, że jesteśmy sami. Kto to?

- Mój brat - odparł bez zająknięcia Ling. - Można mu zaufać.



- Ale...

- Odsuńmy się. Z daleka będzie lepiej widać.

Generator ożył i zawarczał głośno. Do warkotu wkrótce dołączył inny dźwięk, basowe buczenie, które Ling zawsze bardziej czuł - w kościach i w piersi - niż słyszał.

Peterson też je chyba poczuł, bo szybko oddalił się od maszyny.

- Agregat generuje sferycznie symetryczne pole kawitacyjne, które możemy dowolnie ogniskować tak jak światło w obiektywie - wyjaśnił Ling. - Z tą różnicą, że tutaj zamiast światła mamy dźwięk. Inaczej mówiąc: zmieniając ogniskowanie wiązki, sterujemy głębokością kawitacji.

Machnął na operatora, który odpowiedział mu skinieniem głowy. Płyta kawitacyjną zsunęła się niżej i zawisała tuż nad powierzchnią gruntu. Dźwięk się zmienił, ścichł i znacznie się obniżył. Ziemia zadrżała im pod stopami.

- Rany boskie... - mruknął Peterson i jeszcze bardziej się odsunął.

- Bez obawy - uspokoił go Ling. - To tylko niskoenergetyczne odbicie. Główny wektor energetyczny jest ortogonalny, skierowany prosto w dół.

Dziesięć, może dwanaście metrów poniżej miejsca, w którym stała ciężarówka, ściana urwiska zadrżała i jakby się rozmyła. Na moment przesłonił ją szary obłoczek, a potem cały kawał klifu runął w dół, wprost do jeziora, niczym bura lawina. Tuman kurzu buchnął w powietrze.

Kiedy pył nieco opadł, Ling zaproponował:

- A teraz pokażemy panu, jak się ogniskuje wiązkę.

Znów rozległ się warkot - tym razem jednak urwisko rozmyło się znacznie dalej, dobre pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów poniżej ciężarówki. Szarawa ziemia ustąpiła i zsunęła się do jeziora.

- W poziomie też można ją przesuwac? - zainteresował się Peterson. Ling przytaknął. Sto metrów na północ od wozu ściana urwiska zadrżała i osunęła się do wody.

- Kierunek i głębokość nie grają roli.

- Głębokość też?

- Nasze największe generatory ogniskują wiązkę do tysiąca metrów pod powierzchnią ziemi. Ale nasi klienci nie mają aż takich wymagań.

- To zrozumiałe - zgodził się Peterson. - My też nie. Zależy nam głównie na dużej mocy wiązki. - Wytarł ręce o spodnie. - No, ale ja się już dość naoglądałem.

- Naprawdę? Możemy zademonstrować jeszcze kilka tech...

- Wracajmy.

Nie sposób było nic wyczytać z twarzy Petersona i oczu ukrytych za ciemnymi okularami.

- Dobrze - zgodził się Ling. - Jak pan chce...

- Chcę.

- Wysyłka z Kuala Lumpur czy z Hongkongu? - zapytał Peterson, kiedy ruszyli w drogę powrotną.

- ZKL.

- Jakie ograniczenia?

- Nie rozumiem...

- Technologia kawitacji naddźwiękowej jest w USA zakazana. Trzeba mieć koncesję na eksport komponentów.

- Mówiłem już, że używamy tajwańskiej elektroniki.

- A jest równie dobra jak amerykańska?

- Absolutnie - zapewnił go Ling. Gdyby Peterson znał się na rzeczy, zdawałby sobie sprawę, że USA od dawna nie produkują już tak zaawansowanych układów scalonych. - Czemu pan pyta? Chce pan przewieźć generatory do Stanów?

- Nie.

- W takim razie nie ma problemu.

- Jaki jest termin realizacji zamówienia?

- Potrzebujemy siedmiu miesięcy.

- Myślałem o pięciu.

- Da się zrobić. Za dopłatą. Ile sztuk?

- Trzy.

Ling nie miał pojęcia, po co komu aż trzy generatory kawitacyjne. Nie znał firmy specjalizującej się w poszukiwaniach surowców, która miałaby więcej niż jeden.

- Z chwilą wpłynięcia zaliczki rozpoczniemy realizację zamówienia.

- Jutro będzie przelew.
- A wysyłka dokąd? Do Kanady?
- Za pięć miesięcy otrzyma pan szczegółowe instrukcje.

Przed nimi wznosiły się krzywizny ultranowoczesnego lotniska projektu Kurokawy. Peterson od dawna milczał.

- Mam nadzieję, że zdąży pan na samolot - odezwał się Ling.
- Słucham? A tak, zdążę. Spokojnie.
- Wraca pan do Kanady?
- Tak.

Ling zatrzymał się przy terminalu międzynarodowym. Wyszli i podali sobie ręce. Peterson zarzucił torbę na ramię. Nie miał więcej bagażu.

- No cóż - powiedział. - Czas na mnie.
- Miłego lotu.
- Dziękuję. I życzę tego samego. Wraca pan do Hongkongu?
- Nie. Muszę najpierw pojechać do fabryki, dopilnować uruchomienia produkcji.
- To gdzieś niedaleko?
- Tak, w Pudu Raya. Parę kilometrów stąd.
- No to do widzenia.

Peterson pomachał mu jeszcze i wszedł do terminalu. Ling wrócił do wozu i odjechał spod wejścia, kiedy zauważył leżący na fotelu telefon komórkowy Petersona. Zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Petersona nie było już widać. A telefon był lekki, jakby plastikowy - jeden z tych tanich, niemal jednorazowych aparacików na kartę. Peterson na pewno miał drugą komórkę.

Ling pomyślał o swoim znajomym, który mógłby wysledzić właściciela karty. Może udałoby się dowiedzieć czegoś więcej o kliencie? To by nie było takie złe.

Schował telefon do kieszeni i ruszył na północ, do fabryki.

**Shad Thames Piątek, 21 maja Godz. 11.04**

Richard Mallory podniósł wzrok znad biurka. - Tak?

Mężczyzna, który stał w drzwiach, miał szczupłą sylwetkę, bladą cerę, jasnego języka na głowie i wyglądał na Amerykanina. Obrazu dopełniały niedbały sposób bycia i ubranie - brudne adidas i wyblakły (dawniej granatowy) dres. Wyglądał jak człowiek, który właśnie szedł pobiegać, ale po drodze wpadł do biura.

Biuro było siedzibą Design/Quest, nowoczesnego studia graficznego przy Butler's Wharf, w odnowionej dzielnicy dawnych magazynów przy londyńskim Tower Bridge, większość pracowników ubierała się zatem dość swobodnie. Mallory był wśród nich wyjątkiem: jako szef nosił białą koszulę i spodnie od garnituru. I uwierające półbuty. Były niewygodne, ale modne.

- Czym mogę panu służyć?

- Przyszedłem po przesyłkę - wyjaśnił Amerykanin.

- Nie rozumiem... Jaką przesyłkę? Jeżeli przyszła DHL-em, to będzie u sekretarki.

- Nie świruj, gościu! - zirytował się Amerykanin. - Daj mi tę zasraną paczkę!

- OK, OK, już się robi. - Mallory wstał. Amerykanin chyba się zmięgował, bo dodał pojednawczo:

- Ładne plakaty. - Wskazał ścianę za plecami Mallory'ego. - Sami je robicie?

- Sami. W tej firmie.

Na ścianie wisiały dwa plakaty, identyczne, przedstawiające ziemski glob zawieszony w czarnej pustce kosmosu. Różniły się tylko podpisami. Na jednym napisano Ratujmy Ziemię i, poniżej, Nie mamy drugiego domu, na drugim Ratujmy Ziemię i Nie mamy dokąd pójść. Nieco z boku wisiało oprawione w ramkę zdjęcie blondynki w koszulce z napisem Ratujmy Ziemię i Jest nam z tym do twarzy.

- To z naszej kampanii Ratujmy Ziemię - wyjaśnił Mallory. - Ale ją odrzucili.

- Kto?

- Międzynarodowy Fundusz Ochrony Przyrody.

Mallory minął Amerykanina i wyszedł na tylne schody prowadzące do garażu.

- Dlaczego jej nie chcieli? Nie podobała się im?

- Podobała. Ale Leo zgodził się zostać ich rzecznikiem, więc go wykorzystali. Zrobili filmiki.

U dołu schodów przesunął kartą przez czytnik. Szczęknął zamek, drzwi się otworzyły. Weszli do

małego podziemnego garażu, który byłby zupełnie ciemny, gdyby nie smuga dziennego światła, sącząca się od strony rampy wyjazdowej. Mallory ze złością zauważył, że jakaś furgonetka blokuje wjazd. Samochody dostawców wciąż sprawiały im kłopoty. Spojrzał na Amerykanina.

- Masz samochód?

- Furgonetkę.

- A, to twoja... Ktoś ci pomoże?

- Nie. Jestem sam. A co?

- To draństwo jest ciężkie. Jeśli to drut, to musi go być z tysiąc kilometrów. Waży w sumie czterysta kilo, bracie.

- Dam sobie radę.

Mallory otworzył bagażnik swojego rovera. Amerykanin zagwizdał i furgonetka zjechała w głąb garażu. Za kierownicą siedziała kobieta w ciemnym makijażu i z nastroszonymi włosami. Twardzielka.

- Mówiłeś, że jesteś sam - mruknął Mallory.

- Spokojnie, ona nic nie wie. Jest tylko kierowcą.

Mallory stanął nad otwartym bagażnikiem pełnym białych kartonów opatrzonych napisem Kabel ethernetowy (nieekranowany) i nadrukowaną szczegółową specyfikacją.

- Zobaczmy, co w nich jest - zaproponował Amerykanin. Mallory otworzył jeden karton. Pudełko wypełniały zwoje cieniutkiego drutu, wielkości męskiej pięści, popakowane pojedynczo w folię.

- Sam widzisz - stwierdził. - Przewody naprowadzające. Do pocisków przeciwczołgo wych.

- Poważnie?

- Tak mi powiedzieli. I dlatego są tak zapakowane: jeden zwój, jeden pocisk.

- Kto by pomyślał... Ale ja jestem tylko kurierem.

Amerykanin otworzył tylne drzwi furgonetki i zaczął przenosić do niej kartony. Mallory mu pomagał.

- Ten facet powiedział ci coś więcej? - spytał Amerykanin.

- A wiesz, że tak? Ktoś podobno kupił pięćset rakiet z demobilu dawnego Układu Warszawskiego. Hotfire, hotwire czyjakoś tak. Bez głowic, same korpusy. Podobno mają uszkodzone

przewody naprowadzające.

- Nic o tym nie słyszałem.

- Tak mi powiedział. Rakiety zostały kupione w Szwecji, bodajże w Góteborgu. Stamtąd wypłynęły.

- Mówisz tak, jakby cię to martwiło.

- Wcale nie - zaprzeczył Mallory.

- Można by pomyśleć, że się boisz, że w coś się wpakujesz.

- Ja? Nie ma mowy.

- Na pewno?

- Na pewno.

Przenieśli już większość kartonów i Mallory zaczynał się pocić. Amerykanin obserwował go kątem oka. Było widać, że mu nie dowierza.

- Powiedz no mi... - odezwał się w końcu. - Jak ten facet wyglądał? Mallory wiedział, że lepiej będzie nie odpowiadać. Wzruszył ramionami.

- Facet jak facet.

- Amerykanin?

- Nie wiem.

- Nie wiesz, czy był Amerykaninem, czy nie?

- Nie jestem pewien, jaki miał akcent.

- Jak to, nie jesteś pewien?

- Mógł być z Kanady.

- Był sam?

- Tak.

- Bo ja słyszałem o jakiejś superlasce. Seksownej, w szpilkach i obcisłej mini.

- Nie przegapiłbym takiej babki.

- A może wolałeś ją... wyłączyć? - Kolejne podejrzliwe spojrzenie. -

Zatrzymać dla siebie?

Mallory zauważył wypukłość pod spodniami, na biodrze Amerykanina. Pistolet? Może.

- Nie. Facet był sam.

- Kimkolwiek był.

- Właśnie.

- Ja tam byłbym ciekaw, po co komu tysiąc kilometrów drutu do pocisków przeciwczołgowych.

- Nie powiedział.

- A ty nie pytałeś? Powiedziałeś: „OK, bracie, tysiąc kilometrów drutu. Zajmę się tym”, i tyle?

- Za to ty cały czas zadajesz pytania. - Mallory wciąż się pocił.

- Mam powód - odparł Amerykanin złowrogim tonem. - Powiem ci, stary, co myślę. Nie podoba mi się to, co słyszę.

Ostatnie kartony znalazły się w furgonetce. Mallory odsunął się i Amerykanin zatrzasnął drzwi - najpierw jedno skrzydło, potem drugie. To drugie odsłoniło stojącą za nim kobietę. Tę zza kierownicy.

- Mnie też się to nie podoba - powiedziała.

Miała na sobie polowy mundur z demobilu: workowate spodnie, wysokie sznurowane buty, obszerną zieloną kurtkę, grube rękawiczki. I ciemne okulary.

- Zaraz, chwileczkę... - zaniepokoił się Amerykanin.

- Daj mi komórkę. - Kobieta wyciągnęła jedną rękę. Drugą trzymała za plecami. Tak jakby miała w niej broń.

- Po co?

- Dawaj.

- Ale po co?

- Chcę ją obejrzeć.

- Nie ma w niej nic...

- Daj mi ją.

Amerykanin wyjął z kieszeni telefon i podał go kobiecie. Ona jednak zamiast wziąć komórkę, złapała go za nadgarstek i pociągnęła do siebie. Telefon spadł na beton i zaklekotał. Kobieta chwyciła Amerykanina z boku za szyję i zacisnęła na niej obie ręce, jakby chciała go udusić.

Przez chwilę stał jak skamieniały, a potem zaczął się szarpać.

- Hej! Co ty, kurwa, robisz? Co ty sobie... Hej! - Odtrącił jej ręce i odskoczył jak oparzony. - Co to było? Co mi zrobiłaś?!

Dotknął szyi. Z małej ranki pociekła krew - niewiele, dosłownie kilka kropelek. Prawie nic. Ledwie zostały mu ślad na palcu.

- Co mi zrobiłaś? - powtórzył.

- Nic.

I zaczęła zdejmować rękawiczki. Mallory zwrócił uwagę, że robi to bardzo ostrożnie, jakby coś na nich było. Albo w nich. Coś, czego nie chciała dotknąć.

- Nic? Nic?! Ty dziwko!

Odwrócił się i zaczął biec w stronę wyjścia z garażu. Popatrzyła za nim. Potem podniosła telefon i schowała go do kieszeni. Spojrzała na Mallory'ego.

- Wracaj do pracy. Zawahał się.

- Dobrze się spisałeś. Ja nie widziałam ciebie, a ty mnie. Idź już.

Mallory odwrócił się i podszedł do drzwi. Usłyszał trzask drzwi, a kiedy się obejrzał, furgonetka wyjeżdżała po rampie na ulicę. Skręciła w oślepiającym blasku w prawo i zniknęła mu z oczu.

Wrócił do gabinetu. Elizabeth, jego asystentka, przyniosła właśnie projekty reklam nowych, superlekkich komputerów Toshiba. Zdjęcia zaplanowano na następny dzień, trzeba było jeszcze przejrzeć ostatnie plansze. Przerzucał je machinalnie. Nie mógł się skoncentrować.

- Nie podobają się panu? - spytała z niepokojem Elizabeth.

- Nie, dlaczego? Są w porządku.

- Jest pan jakiś taki blady...

- Mam... kłopoty z żołądkiem.

- Herbata imbirowa jest na takie rzeczy najlepsza. Zaparzyć? Skinął głową, żeby pozbyć się jej z pokoju, i spojrział przez okno. Z biura rozciągał się wspaniały widok na Tamizę i Tower Bridge po



lewej stronie. Most był świeżo odmalowany na biało-niebiesko (tradycja czy raczej przejaw złego gustu?), ale jego widok zawsze działał uspokajająco na Mallory'ego. Dzięki niemu czuł się bezpieczniej.

Podszedł do okna i zapatrzył się na most. Myślał o tym, że kiedy najlepszy przyjaciel poprosił go o udzielenie pomocy pewnej radykalnej organizacji ekologicznej, uznał, że to może być nawet zabawne. Trochę tajemnicy, szpiegostwa, brawury. Obiecano mu, że nie będzie żadnej przemocy. Nie przyszło mu do głowy, że mógłby się tak bać jak w tej chwili.

Ale się bał. Ręce mu się trzęsły. Włożył je do kieszeni. Pięćset rakiet? - pomyślał. Pięćset rakiet! W co on się wpakował?

Nagle dotarło do niego, że słyszy wycie syren, a za oknem rozbłyskują czerwone światła.

Na moście był wypadek. I to poważny, sądząc po liczbie radiowozów i karettek. Taki, w którym ktoś zginął.

Nie mógł się powstrzymać. W panice, z sercem w gardle, wybiegł z gabinetu, popędził na nabrzeże, a potem na most.

Siedzący na górnym poziomie piętrusa turyści gapili się w dół, zasłaniając dłońmi usta. Mallory przepchnął się przez tłum przed autobusem. Kilku sanitariuszy i policjantów na klęczkach otaczało leżące na jezdni ciało. Nad nimi stał zwalisty kierowca piętrusa. Szlochając, powtarzał, że nie mógł nic zrobić, że facet wpadł mu pod koła, że musiał być pijany. Zataczał się, dodał. Właściwie to prawie zleciał z krawężnika.

Mallory nie widział dobrze ciała; policjanci mu je zasłaniali. Nikt nic nie mówił, tłum patrzył w milczeniu. Jeden z policjantów wstał, trzymając w ręce paszport. Czerwony. Niemiecki. Chwała Bogu, odetchnął Mallory, ale ulga nie trwała długo. Kiedy jeden z sanitariuszy odsunął się od leżącego, Mallory dostrzegł jego jedną nogę: wyblakły dres i przybrudzony adidas były przesiąknięte krwią.

Zrobiło mu się niedobrze. Odwrócił się i zaczął przeciskać przez tłum ludzi - jedni byli zirytowani, inni obojętni, ale nikt się za nim nie obejrzał. Wszyscy wpatrywali się w trupa.

Wszyscy - poza mężczyzną w eleganckim czarnym garniturze, w krawacie, bo on wpatrywał się prosto w Mallory'ego. Mallory spojrzał mu w oczy. Nie zareagował, kiedy tamten skinął lekko głową. Wydostał się z tłumy i uciekł - po schodach, do biura. Dotarło do niego, że jego życie raz na zawsze się zmieniło, chociaż na razie nie wiedział jeszcze w jaki sposób.

**Tokio**

**Wtorek, 1 czerwca Godz. 10.01**

Siedziba Międzynarodowego Konsorcjum Informatyki Środowiskowej, IDEC, mieściła się w małym budyńeczku z cegły tuż obok kampusu uniwersytetu Keio Mita. Przypadkowy gość wziąłby ją pewnie za część uczelni, tym bardziej że nad jej wejściem znajdował się oficjalny herb uniwersytetu (z dewizą Calamus Gladio Fortior), ale w rzeczywistości była całkowicie odrębną jednostką. Środek budynku zajmowała nieduża sala konferencyjna z podwyższeniem i ustawionymi w dwóch rzędach dziesięcioma krzesłami, zwróconymi do ekranu.

Była dziesiąta. Dyrektor IDEC, Akira Hitomi, stał na podwyższeniu. Amerykanin właśnie wszedł do sali i zajął miejsce. Był potężnym mężczyzną - nie tyle wysokim, ile barczystym, zbudowanym jak sportowiec. Ale jak na takiego olbrzyma poruszał się zwinnie i bezszelestnie. Zaraz za nim do sali wszedł nepalski oficer, śniady i czujny. Usiadł za Amerykaninem, jedno miejsce w bok od niego. Hitomi skinął im głową na powitanie. Milczał.

Wyłożona drewnem salka wolno pociemniała. Kiedy oczy obecnych przywykły do półmroku, boazeria ze wszystkich stron rozsunała się, odsłaniając duże ekrany ciekłokrystaliczne. Niektóre z nich wysunęły się do przodu.

Drzwi zamknęły się, cicho szcęknał zamek. Dopiero wtedy Hitomi się odezwał:

- Dzień dobry, Kenner-san. - Na głównym ekranie wyświetlił się napis Hitomi Akira po angielsku i japońsku. - Dzień dobry, Thapa-san. - Hitomi otworzył mały, cieniutki laptop w srebrnej obudowie. - Przedstawię panom dane z ostatnich dwudziestu jeden dni. Najświeższe są sprzed dwudziestu minut. Informacje pochodzą z naszego wspólnego projektu „Drzewo Akamai”.

Goście pokiwali głowami; Kenner uśmiechnął się wyczekująco. I słusznie, pomyślał Hitomi. Nigdzie indziej na świecie nie zobaczyłby takiej prezentacji. Agencja Hitomiego była absolutnym liderem w dziedzinie

gromadzenia i przetwarzania informacji elektronicznych. Na ekranach pojawiły się pierwsze obrazy, przedstawiające coś, co wyglądało jak logo firmy: zielone drzewo na białym tle i podpis drzewo akamai rozwiązania dla sieci cyfrowych.

Nazwę i logo wybrano w taki sposób, aby jak najbardziej przypominały prawdziwe internetowe firmy i ich znaki. Od dwóch lat w sieci serwerów Drzewa Akamai roiło siew istocie od wyrafinowanych pułapek. Sama sieć nęcąca rozciągała się na wielu poziomach w domenach biznesowych i akademickich, wabiąc intruzów i pozwalając śledzić drogę pakietów w sieci wstecz - od serwera do użytkownika - z prawdopodobieństwem powodzenia sięgającym osiemdziesięciu siedmiu procent. Od roku zarzucano w niej przynęty, stopniowo zwiększając ich atrakcyjność.

- Na naszych serwerach znajdują się mirrory poważanych witryn specjalizujących się w geologii, fizyce, ekologii, inżynierii lądowej, biologii oraz geografii - ciągnął Hitomi. - Aby przyciągnąć prawdziwych nurków głębinowych, umieściliśmy w sieci informacje o używaniu materiałów wybuchowych w badaniach sejsmicznych, testach stabilności konstrukcji narażonych na drgania i trzęsienia ziemi oraz, na stronach oceanograficznych, dane dotyczące huraganów, nietypowych fal pływowych, tsunami i tak dalej.

Kenner skinął głową.

- Zdajemy sobie sprawę, że wróg jest rozproszony - mówił dalej Hitomi. - I sprytny. Nasi przeciwnicy często stosują banalne zabezpieczenia albo korzystają z kont AOL rejestrowanych na nastoletnich użytkowników, żebyśmy wzięli ich za młodocianych kawalarzy i domorosłych hakerów. Ale nie można dać się zwieść. Nasz nieprzyjaciel jest świetnie zorganizowany, cierpliwy i uparty. Zaczynamy go coraz lepiej rozumieć.

Na ekranie wyświetlił się jakiś spis.

- Po przeanalizowaniu wielu witryn internetowych i grup dyskusyjnych nasi programiści doszli do wniosku, że nurków głębinowych przyciągają następujące kategorie tematyczne:

Aarhus, Dania

Australia, historia wojskowości Dzienniki misjonarzy z rejonu Pacyfiku Falochrony kesonowe Hilo, Hawaje

Izolatory wysokonapięciowe Kawitacja w ciałach stałych Kontrolowane wyburzanie budynków Śródoceaniczna Sieć Przekaznikowa, MORN

Napędy argonowo-tlenowe

Krajowe Centrum Informacji o Trzęsieniach Ziemi, NEIC Krajowy Fundusz Zasobów Naturalnych, NERF Ograniczanie skutków powodzi Pociski naprowadzane przewodowo Prescott, Arizona

Profilowane ładunki wybuchowe (z zapalnikiem czasowym) Fundacja Chorób Lasów Tropikalnych, RFDF Shinkai 2000

Stałe mieszanki pędne do silników raketowych Sygnatury sejsmiczne Szyfrowanie danych w sieci Szyfrowanie w telefonach komórkowych Toksyny i neurotoksyny Wodorotlenek potasu.

Lista tyleż imponująca, co tajemnicza - przyznał Hitomi. - Na szczęście mamy filtry, które pozwalają nam odsiać żartownisiów i graczy z innej ligi. To w większości hobbyści, hakerzy, którzy atakują firewalle, piszą trojany, wirusy i tak dalej. Wielu z nich szuka numerów kart kredytowych. Ale nie wszyscy. - Postukał w klawiaturę laptopa i obraz na ekranie się zmienił. - Każdy z tych tematów umieściliśmy w naszej sieci. Stopniowo zwiększaliśmy lepkość przynęty, aż w końcu zamieściliśmy kontrolowany przeciek, że udostępnimy autentyczne wyniki badań, pozyskane z e-maili wymienianych przez naukowców z Australii, Niemiec, Kanady i Rosji. Kiedy przyciągnęliśmy tłum obserwatorów, pozostało już tylko czekać i śledzić ruch. Zlokalizowaliśmy skomplikowany węzeł w Ameryce Północnej, w okolicach Toronto, Chicago, Ann Arbor i Montrealu, z którego macki rozchodzą się na wybrzeża obu oceanów, a także do Anglii, Francji i Niemiec. To poważna grupa. Ekstremiści klasy alfa. Niewykluczone że zabili już jednego naukowca w Paryżu, wciąż czekamy na potwierdzenie. Tylko że francuska policja bywa taka... ślamazarna.

Kenner pierwszy raz się odezwał:

- A jak wygląda delta w ruchu komórkowym?

- Ruch w sieciach narasta. E-maile są mocno szyfrowane. Nie ulega wątpliwości, że szykuje się jakaś akcja: złożona, bardzo kosztowna, o światowym zasięgu.

- Tylko że nie wiemy dokładnie w czym rzecz.

- Jeszcze nie.

- Czyli trzeba pójść za pieniędzmi.

- Już to robimy. Sprawdzamy wszędzie. - Hitomi uśmiechnął się niewesoło. - To tylko kwestia czasu, kiedy któraś rybka połknie haczyk.

## **Vancouver Wtorek, 8 czerwca Godz. 16.55**

Nat Damon złożył zamaszty podpis.

- Nigdy dotąd nie podpisywałem klauzuli tajności - przyznał.

- To dziwne. - Człowiek w połyskliwym garniturze wziął od niego dokument. - Myślałem, że to standardowa procedura. Nie chcemy ujawniać poufnych informacji o naszej firmie. - Był prawnikiem i asystował swojemu klientowi, brodaczowi w okularach, dzinsach i flanelowej koszuli.

Brodacz podawał się za geologa-nafciarza i Damon mu wierzył. Facet wyglądał kubek w kubek jak wszyscy inni nafciarze, z którymi miał do czynienia.

Firma Damona, Canada Marine RS Technologies, mieściła się w małym biurze pod Vancouverem i zajmowała pośrednictwem w wynajmie łodzi podwodnych i zdalnie sterowanych batyskafów. Czekwały na klientów w portach całego świata: w Jokohamie, Dubaju, Melbourne, San Diego. Damon miał w ofercie najróżniejszy sprzęt: od łodzi podwodnych z prawdziwego zdarzenia, piętnastometrowej długości, wymagających sześciuosobowej załogi i zdolnych opłynąć kulę ziemską, po jednoosobowe batyskafy i jeszcze mniejsze, w pełni zrobotyzowane stateczki, spuszczone pod wodę i sterowane z pokładu statku na powierzchni.

Jego klientami były koncerny wydobywcze i energetyczne, które używały łodzi do poszukiwań geologicznych i kontroli stanu morskich platform wiertniczych. Firma działała w wyspecjalizowanej branży, dlatego też w kantorku na zapleczu małej stoczni remontowej rzadko widywało się gości.

Ci dwaj zjawili się u Damona tuż przed zamknięciem. Mówił prawnik; klient tylko dał Damonowi wizytówkę: Seismic Services, adres w Calgary. Wyglądało to sensownie, w Calgary miały siedzibę liczne koncerny naftowe: Petro-Canada, Shell, Suncor i wiele innych. Wyrosły przy nich dziesiątki niedużych, prywatnych firm konsultingowych, poszukiwawczych i badawczych.

Damon zdjął z półki mały model batyskafu z tępym dziobem i półkulistą szklaną bańką kabiny pasażerskiej.

- Polecam ten model. Idealnie nadaje się do waszych celów - stwierdził. - „RS Scorpion”, angielski, konstrukcja sprzed czterech lat. Dwuosobowa załoga. Silniki diesla i elektryczny, napęd argonowy pracujący w zamkniętym obiegu. Pod wodą zużywa dwadzieścia procent tlenu i osiemdziesiąt argonu. Solidna, sprawdzona technologia: scrubber na wodorotlenek potasu albo elektryczny, napięcie dwieście woltów. Maksymalna głębokość robocza sześćset metrów, czas pracy trzy godziny osiem minut. To odpowiednik japońskiego Shinkai 2000, nie wiem, czy go panowie kojarzycie... Albo DownStara 80. Na świecie są tylko cztery takie downstary, ale wszystkie wypożyczone na długi czas. Scorpion to doskonała łódeczka.

Goście pokiwali głowami i spojrzeli po sobie.

- W jakie manipulatory jest wyposażona? - zapytał brodac.

- To zależy od głębokości zanurzenia. Na płyciźnie...

- Przypuśćmy, że zejdziemy na sześćset metrów. Co wtedy mamy do dyspozycji?

- Chce pan zbierać próbki na głębokości sześciuset metrów?

- Nie. Zamierzamy rozstawić na dnie urządzenia pomiarowe.

- Rozumiem. Jakież nadajniki radiowe, tak? Żeby przesyłały dane na powierzchnię?

- Powiedzmy.

- Duże?

- Mniej więcej takie. - Brodac rozłożył ręce na pół metra.

- A ciężkie?

- Nie wiem dokładnie. Ze sto kilogramów?

Damon z trudem ukrył zdziwienie. Nafciarze zazwyczaj bardzo dokładnie znali swój sprzęt: wymiary, ciężar i tak dalej. Ten gość był dziwny. Albo Damon po prostu popadał w paranoję.

- Czy te czujniki będą wykorzystywane do prac geologicznych? - zapytał.

- Później tak. Najpierw musimy zebrać informacje o prądach, pływach, temperaturze przy dnie...  
Takie tam...

Po co? - zdziwił się Damon. Dlaczego tak ich interesują prądy morskie? Oczywiście mogli przygotowywać się do zatopienia platformy wiertniczej, ale nikt nie umieszcza platform w sześciusetmetrowej głębinie.

Co oni kombinują?

- Jeżeli chcecie panowie rozstawiać na dnie jakiś sprzęt, przed zanurzeniem trzeba go umocować z zewnątrz do kadłuba. Do tego służą te

poziome półki po bokach. - Pokazał je na modelu. - Po osiągnięciu żądanej głębokości macie panowie do dyspozycji dwa zdalnie sterowane manipulatory. Ile będzie tych urządzeń?

- Sporo.

- Więcej niż osiem?

- Tak. Najprawdopodobniej tak.

- W takim razie będziecie musieli wykonać więcej niż jedno zanurzenie. Naraz zabierzecie osiem, najwyżej dziesięć sztuk. - Damon mówił dalej, próbując wyczytać coś ze spojrzeń klientów, zrozumieć, co kryją ich nieprzeniknione twarze. Chcieli wypożyczyć batyskaf w sierpniu, na cztery miesiące. Zamierzali odebrać go wraz ze statkiem-bazą w Port Moresby w Nowej Gwinei. - Nie wiem, dokąd panowie popłyniecie, ale możecie potrzebować koncesji...

- Później się tym zajmiemy - odparł prawnik.

- W takim razie... Co do załogi...

- Tym również zajmiemy się później.

- Nie podpiszemy umowy bez wynajęcia załogi.

- Proszę w takim razie dopisać załogę, skoro to standard.

- Czy po zakończeniu okresu wypożyczenia odstawiacie panowie statek z batyskafem z powrotem do Port Moresby?

- Tak.

Damon usiadł przed komputerem i zaczął wypełniać kosztorys, łącznie czterdzieści trzy rubryki (nie licząc informacji potrzebnych do ubezpieczenia).

- Pięćset osiemdziesiąt trzy tysiące dolarów - powiedział w końcu. Jego klienci nawet nie mrugnęli. Zgodnie pokiwali głowami.

- Połowa z góry - dodał. Znow potaknęli.

- Druga połowa ma zostać przelana na rachunek depozytowy przed odbiorem sprzętu w Port Moresby.

Od stałych klientów nie wymagał takich zabezpieczeń, ale ci dwaj dziwnie działali mu na nerwy.

- Zgoda - powiedział prawnik.

- Plus dwadzieścia procent na ewentualne nieprzewidziane wydatki. Płatne z góry.

To już było niepotrzebne, ale Damon za wszelką cenę chciał się ich pozbyć. Bez powodzenia.

- Zgoda.

- W porządku. Jeżeli chcecie panowie porozumieć się ze swoim klientem przed podpisaniem umowy...

- Nie ma takiej potrzeby. Załatwmy to do końca. - Jeden z nich wręczył Damonowi kopertę. - Czy to wystarczy?

W środku znajdował się czek na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wystawiony przez Seismic Services na rzecz Canada Marine. Damon pokiwał głową i odparł, że wystarczy. Położył kopertę z czekiem na biurku, obok modelu batyskafu.

- Mogę sobie coś zapisać? - spytał jeden z interesantów.

Wziął kopertę i coś na niej nagryzmołił. Dopiero po ich wyjściu Damon zdał sobie sprawę, że zabrali kopertę, zostawiając mu sam czek. Żeby nie było odcisków palców.

A może jednak miał paranoję? Następnego ranka jeszcze bardziej się ku temu podejrzeniu skłaniał. Poszedł do Scotiabanku zdeponować czek, ale po drodze zajrzał do Johna Kima, dyrektora banku, i poprosił go o sprawdzenie, czy czek ma pokrycie w funduszach na koncie Seismic Services.

Kim obiecał mu, że zaraz to sprawdzi.

## **Stangfedlis**

### **Poniedziałek, 23 sierpnia Godz. 3.02**

Chryste Panie, jak tu zimno, pomyślał George Morton, wysiadając z land cruisera. Zatupał szybko i włożył grube rękawice, żeby choć trochę się rozgrzać. Była trzecia nad ranem, niebo miało czerwony odcień i przecinały je żółte pręgi rzucane przez słońce, które wciąż było widoczne nad horyzontem. Przenikliwy wiatr dął nad całym Sprengisandur, niegościnną, mroczną równiną w sercu Islandii. Płaskie, szare chmury wisiały nisko nad ciągnącymi się kilometrami polami lawy. Islandczycy uwielbiali tę okolicę. Morton kompletnie ich nie rozumiał.

Ale przynajmniej wreszcie dotarli na miejsce. Na wprost nich - aż do widniejących za nim gór - piętrzył się wysoki, kostropaty wał z brudnego śniegu i kamieni. To był Snorrajókul, jeden z jezorów

potężnego lodowca Vatnajókull, największej czapy lodowej w całej Europie.

Kierowca, młody student, wyskoczył z wozu rozpromieniony i klasnął w ręce.

- Całkiem niezłe! - zawołał. - Ciepłutko! Ma pan szczęście, że trafiła się nam taka miła sierpniowa noc.

Miał na sobie koszulkę z krótkimi rękawami, turystyczne szorty i lekką kamizelkę. Morton musiał włożyć puchowy bezrękawnik, pikowaną kurtkę chroniącą od wiatru i grube spodnie. I wciąż było mu zimno.

Odwrócił się i patrzył, jak z tylnej kanapy gramolą się pozostali. Nicholas Drake, chudy, z marsem na czole, pod wiatrówką miał koszulę, krawat i sportową tweedową marynarkę. Skrzywił się, czując podmuch wiatru. Przerzedzone włosy, okulary w drucianej oprawce i wiecznie skwaszona mina składały się na wizerunek rasowego naukowca, z którego był w gruncie rzeczy dumny. Nie lubił, kiedy ludzie na pierwszy rzut oka rozpoznawali w nim doskonałego adwokata, który na emeryturze objął posadę szefa Krajowego Funduszu Zasobów Naturalnych, dużej amerykańskiej organizacji ekologicznej. Pełnił tę funkcję od dziesięciu lat.

Następny wynurzył się z wozu Peter Evans - najmłodszy z adwokatów Mortona, jego ulubieniec. Miał dwadzieścia osiem lat i był młodszym współnikiem w kancelarii Hassie and Black w Los Angeles. Nawet teraz, mimo późnej pory, zachował pogodę ducha i emanował entuzjazmem. Opatulił się polarową kurtką i wcisnął ręce do kieszeni, ale poza tym nie sprawiał wrażenia, jakby pogoda mu przeszkadzała.

Przylecieli z Los Angeles należącym do Mortona gulfstreamem G5; wylądowali na lotnisku Keflavik o dziewiątej rano poprzedniego dnia. Od tamtej pory nie spali, ale też nie doskwierało im zmęczenie. Nawet Morton czuł się świetnie, a miał przecież sześćdziesiąt pięć lat.

Było mu tylko zimno.

Zapiął kurtkę i ruszył za studentem, który schodził już po kamienistym zboczu.

- Te jasne noce dodają człowiekowi sił - stwierdził chłopak. - Latem doktor Einarsson śpi najwyżej cztery godziny na dobę. My zresztą też.

- A gdzie jest teraz doktor Einarsson?

- Tam. - Student wskazał na lewo.

W pierwszej chwili Morton niczego nie zauważył. Dopiero kiedy zmrużył oczy, wypatrzył czerwony punkcik i rozpoznał w nim samochód. Nagle dotarło do niego, jak duży jest lodowiec.

Drake go dogonił.

- Posłuchaj, George, idźcie sobie z Evansem pozwiedzać okolicę, a ja pogadam z Einarssonem.



Sam.

- Dlaczego?
- Chyba będzie czuł się swobodniej w mniejszym gronie.
- Ale przecież to ja finansuję jego badania, prawda? Nie dlatego tu przyjechałem?
- Jasne. Ale dobrze by było mu tego nie wypominać. Nie chcę, żeby poczuł się zagrożony.
- Nie bardzo rozumiem, jak zamierzasz tego uniknąć.
- Chcę podkreślić wysokość stawki, o jaką toczy się gra. Może wtedy ogarnie wagę sytuacji.
- Powiem szczerze: wiele sobie obiecywałem po tej rozmowie.
- Wiem, George, wiem. Ale to delikatna sprawa.

Zbliżyli się do lodowca; wiatr siekł ostro: temperatura spadła o dobrych kilka stopni. Z tej odległości widzieli już cztery duże, brunatne namioty, rozbite w pobliżu czerwonego land cruiser'a - zupełnie zlewały się z otoczeniem.

Z jednego z nich wyszedł wysoki blondyn, Per Einarsson. Rozłożył ręce.

- Nicholas! - zawołał.

- Per! - Drake przyspieszył kroku.

Morton szedł za nim. Był nachmurzony i zły, że Drake tak go spławił. Evans się z nim zrównał.

- Nie mam ochoty na żadne zasmarkane zwiedzanie - burknął Morton.

- Na pewno? - Evans patrzył uważnie przed siebie. - To może być ciekawsze, niż się nam wydaje.

Z innego namiotu wynurzyły się trzy młode, śliczne blondynki w ubraniach koloru khaki. Pomachały im na powitanie.

- Może i masz rację - zgodził się Morton.

Peter Evans dobrze wiedział, że jego klient wprawdzie całkiem serio interesuje się ekologią, ale jeszcze bardziej pięknymi kobietami. I rzeczywiście, po krótkiej prezentacji, podczas której poznał Einarssona, Morton dał się porwać Evie Jónsdóttir, wysokiej, wysportowanej, krótkowłosej dziewczynie o promiennym uśmiechu. Evans musiał przyznać, że Eva jest dokładnie w typie Mortona. Przypominała jego asystentkę, Sarah Jones. Usłyszał jeszcze, jak Morton mówi:

- Nie wiedziałem, że tyle kobiet interesuje się geologią. A potem oboje ruszyli w stronę

lodowca.

Pomyślał, że powinien pójść z nimi, ale Morton wolał chyba odbyć tę przechadzkę bez zbędnego towarzystwa. Poza tym kancelaria Hassie and Black reprezentowała również interesy Nicholasa Drake'a, a Evans miał złe przeczucia co do jego zamiarów. To, co planował, nie było wprawdzie nielegalne ani nieetyczne, ale bywał niepotrzebnie arogancki i mógł im narobić kłopotów. Na razie więc Evans stał, nie mogąc się zdecydować, za kim pójść.

Drake podjął decyzję za niego: skinął mu lekceważąco ręką i wszedł do największego namiotu w ślad za Einarssonem. Evans zrozumiał ten gest i powoli ruszył za Mortonem i dziewczyną. Eva szczebiotała właśnie o tym, że lodowce pokrywają dwanaście procent powierzchni Islandii i z niektórych wystają czynne wulkany.

Ten, na którym się znajdowali, mówiła dalej, wskazując górne partie lodowego jezora, nazywano lodowcem szarżującym, ponieważ szybko posuwał się naprzód i równie szybko się cofał. W tej chwili na przykład posuwał się naprzód z szybkością stu metrów dziennie, czyli co dwadzieścia cztery godziny wydłużał się o długość boiska piłkarskiego. Czasem, kiedy wiatr cichł, dawało się nawet słyszeć skrzypienie i zgrzyt pełzających mas lodu. W ciągu ostatnich kilku lat przybyło go ponad dziesięć kilometrów.

Dołączyła do nich Asdis Sveinsdóttir, która mogłaby być młodszą siostrą Ewy. Evans wyraźnie wpadł jej w oko: wypytywała go, jak minęła mu podróż, jak mu się podoba Islandia i na jak długo przyjechał. Wyjaśniła, że zwykle pracuje w biurze w Reykjavíku i tylko na jeden dzień wyskoczyła na lodowiec. Nagle do Evansa dotarło, że dziewczyna przyjechała do pracy: Einarsson spodziewał się wizyty sponsorów, więc dołożył starań, żeby na długo zapamiętali te odwiedziny.

Eva tłumaczyła, że mimo iż lodowce szarżujące są dość powszechnie spotykane - na samej Alasce jest ich kilkaset - to mechanizm ich gwałtownego ruchu nie został dokładnie zbadany. Wyglądało wręcz na to, że w każdym przypadku proces napływania i cofania się przebiega inaczej.

- Musimy się jeszcze bardzo dużo nauczyć - powiedziała, uśmiechając się do Mortona.

W tym momencie z głównego namiotu dobiegły krzyki i głośnie przekleństwa. Evans wymigał się od dalszej rozmowy i ruszył w tamtym kierunku. Morton, ociągając się, poszedł za nim.

Per Einarsson trzął się ze złości. Wymachiwał zaciśniętymi pięściami.

- Nie! Powtarzam: nie ma mowy! - krzyknął i uderzył w stół. Stojący naprzeciw niego Drake był czerwony na twarzy i zgrzytał zębami.

- Per... Proszę cię tylko, żebyś się zastanowił. To są fakty.

- Wcale nie! - Einarsson znów grzmotnął w blat. - Chcesz, żebym pominął fakty w publikacji!

- Daj spokój, Per...

- Fakty są takie, że na Islandii w pierwszej połowie XX wieku było cieplej niż w drugiej. Tak

jak na Grenlandii.

Fakty są takie, że większość islandzkich lodowców cofnęła się po 1930 roku, ponieważ średnia letnia temperatura wzrosła o sześć dziesiątych stopnia, ale od tamtej pory klimat stał się chłodniejszy. Fakty są takie, że od 1970 roku wszystkie lodowce przyrastają. Odzyskały już połowę zajmowanej wcześniej powierzchni! W tej chwili mamy tu jedenaście lodowców szarżujących. To właśnie są fakty, Nicholasie! Nie będę kłamał.

- Nikt ci nie każe. - Drake zniżył głos i zerknął z ukosa na tych, którzy właśnie przyszli. - Ja ci tylko radzę, jak ubrać fakty w słowa.

Einarsson pomachał w powietrzu kartką.

- Owszem, sugerujesz sformułowania...

- Tylko sugeruję, nic więcej.

- ...które zafałszowują wyniki badań!

- Z całym szacunkiem, Per, wydaje mi się, że przesadzasz.

- Tak? - Einarsson odwrócił się do pozostałych i zaczął czytać: - Globalne ocieplenie powoduje topnienie lodowców na całym świecie, w tym również na Islandii. Wiele z nich kurczy się w niepokojącym tempie, choć inne, paradoksalnie, rosną. Otóż we wszystkich przypadkach przyczyną zmian wydają się obserwowane ostatnio gwałtowne zmiany klimatyczne... bla... bla... bla... ogsvo framvegis. - Rzucił kartkę. - To zwykłe kłamstwa.

- Przecież to tylko wstęp. W dalszej części artykułu podkreślisz to, co najważniejsze.

- A we wstępie napiszę nieprawdę?

- Wcale nie! Będzie w nim mowa o „gwałtownych zmianach klimatycznych”. Przecież nikt nie zakwestionuje tak niejasnego sformułowania.

- Proponujesz „obserwowane ostatnio gwałtowne zmiany klimatyczne”. Ale na Islandii te zmiany nie są niczym nowym.

- No to usuń „obserwowane ostatnio”.

- To nie wystarczy - upierał się Einarsson. - Z tak napisanego wstępu będzie wynikało, że obserwujemy tu skutki globalnego ocieplenia, wywołanego emisją gazów cieplarnianych. A prawda jest taka, że badamy lokalne schematy klimatyczne, specyficzne dla Islandii i niemające najprawdopodobniej związku z żadnymi światowymi tendencjami.

- Możesz o tym napisać w podsumowaniu.

- A ze wstępu będą się śmiać wszyscy specjaliści. Przecież taki Motoyama czy Sigurosson od

razu przejrzy mnie na wylot. Tak samo Hicks. Watanabe. Isaksson. Będę skompromitowany. Powiedzą, że dałem się przekupić.

- Sajeszczce inne kwestie - odparł pojednawczym tonem Drake. - Nie wolno nam zapominać, że przemysł samochodowy i naftowy finansuje kampanie dezinformacyjne. Uczepią się wiadomości o przyrastaniu lodowców

i użyją jej jako argumentu przeciw globalnemu ociepleniu. Zawsze tak robią. Fałszują rzeczywistość.

- Nie interesuje mnie to, kto i jak wykorzysta moje wyniki. Do mnie należy przedstawienie prawdy.

- Jakie to szlachetne. Szkoda tylko, że niepraktyczne.

- Rozumiem... I po to przywiozłeś ze sobą sponsora w osobie pana Mortona, tak? Żeby nie pozostawić mi cienia wątpliwości?

- Nie, Per, źle mnie zrozumiałeś...

- Bynajmniej. Po co innego by przyjeżdżał? - Einarsson był wściekły. - Panie Morton, czy zgadza się pan z propozycją pana Drake'a?

W tej właśnie chwili zadzwonił telefon komórkowy Mortona, który ze źle skrywaną ulgą odebrał połączenie.

- Morton, słucham. Tak, John. Gdzie jesteś? W Vancouverze? Która tam u was godzina? - Zasłonił mikrofon. - To John Kim, dyrektor Scotia-banku w Vancouverze - wyjaśnił.

Evans pokiwał głową, chociaż nie miał zielonego pojęcia, kim jest John Kim. Morton prowadził bardzo skomplikowane operacje finansowe i na całym świecie miał znajomych bankierów.

Morton odwrócił się do nich plecami i stanął pod ścianą namiotu.

Zapadło krępujące milczenie. Wściekły Einarsson wbił wzrok w ziemię i dyszał ciężko. Blondynki udawały, że pracują, czyli z ogromną uwagą przekładały papiery. Drake z rękami w kieszeniach wpatrywał się w sufit.

Morton parsknął śmiechem.

- Naprawdę? Nie znałem tego... Obejrzał się przez ramię.

- Posłuchaj, Per - próbował załagodzić Drake. - Źle zaczęła się ta nasza rozmowa...

- Wcale nie - odparł zimno Einarsson. - Doskonale się rozumiemy. Jeżeli chcecie cofnąć mi fundusze, proszę bardzo. Wszystko jest jasne.

- Nikt nie mówi o wycofywaniu funduszy...

- To się okaże.

- Że co? - Morton podniósł głos. - Co zrobili? Na co? Ile pieniędzy poszło... Chryste Panie, John. To się w głowie nie mieści!

Nie przerywając rozmowy, wyszedł z namiotu. Evans pobiegł za nim.

Zrobiło się jaśniej - słońce wspięło się wyżej na niebie i próbowało przebić nisko zawieszona chmury. Morton szedł powoli w górę stoku, cały czas z telefonem przy uchu. Krzyczał, ale wiatr unosił jego słowa i Evans nic nie rozumiał.

Stanęli przy land cruiserze. Morton schylił się, tak że karoseria osłaniała go przed wiatrem.

- Rany boskie, John, czy ja jestem z nimi jakoś powiązany? Serio, nic o tym nie wiedziałem. Kto to był? Fundusz Przyjaciół Ziemi?

Spojrzał pytająco na Evansa, który tylko pokręcił głową. Nie słyszał o takim funduszu, a znał większość organizacji ekologicznych.

- Gdzie mają siedzibę? San Jose? W Kalifornii?... Jezus, Maria, a dlaczego w Kostaryce?! - Ostonił mikrofon ręką. - Fundusz Przyjaciół Ziemi, San Jose, Kostaryka.

Evans znów pokręcił głową.

- W życiu o nich nie słyszałem. Mój adwokat też nie. Nie pamiętam... No nie, stary, to jest ćwierć miliona dolarów. Pamiętałbym. Gdzie wystawiony? Aha. A moje nazwisko gdzie się pojawiło? Rozumiem... No dobra, dzięki. Na pewno. Na razie. - Morton zamknął klapkę aparatu i spojrzał na Evansa. - Peter, bierz notes i pisz.

Morton mówił tak szybko, że Evans ledwie nadażał z notowaniem. Tym bardziej że sprawa była dość skomplikowana.

Do Johna Kima, dyrektora Scotiabanku w Vancouverze, zadzwonił klient, niejaki Nat Damon, przedsiębiorca morski. Chciał zdeponować w banku czek wystawiony przez Seismic Services z Calgary na sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Bank nie przyjął czeku. Damon zaniepokoił się i poprosił Kima o sprawdzenie wystawcy.

John Kim nie działałby wiele w amerykańskim systemie bankowym, ale bank, który wystawił czek, znajdował się w Calgary, a on miał tam przyjaciela. Dowiedział się więc, że firma Seismic Services jako adres do korespondencji podała numer skrytki pocztowej. Na jej koncie panował umiarkowany ruch, co kilka tygodni przyjmowała wpłaty, zawsze z tego samego źródła: z Funduszu Przyjaciół Ziemi, mającego siedzibę w San Jose, w Kostaryce.

Kim zadzwonił do Kostaryki, ale w tej samej chwili na ekranie komputera wyświetliła mu się informacja, że czek ma pokrycie. Zatelefonował więc do Damona i zapytał, czy w tej sytuacji ma

sobie darować dalsze sprawdzanie klienta. Damon jednak nalegał na kontynuowanie śledztwa.

Dyrektor porozmawiał z Miguelem Chavezem z Banco Credito Agricola w San Jose i dowiedział się, że na konto funduszu wpłynął przelew z Moriah Wind Power Associates, w którego przesłaniu pośredniczył Ansbach (Cayman) Ltd., prywatny bank na Wielkim Kajmanie. Chavez nic więcej nie wiedział, ale dziesięć minut później zadzwonił do Kima z informacją, że porozumiał się z Ansbachem i otrzymał kopię zapisu przelewu, który trzy dni wcześniej trafił na konto Moriah z rachunku Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Dzikiej Przyrody, IWPS. W komentarzu do przelewu wpisano „Fundusz naukowy G. Mortona”.

Kim zadzwonił następnie do Damona i zapytał, za co zapłacono mu tym czekiem. Damon wyjaśnił, że chodziło o wypożyczenie małej, dwuosobowej łodzi podwodnej.

Zaintrygowany Kim zadzwonił do George'a Mortona, żeby się z nim podrażnić i zapytać go, po co mu właściwie łódź podwodna. Jakież było jego zdumienie, kiedy okazało się, że Morton o niczym nie wie.

Evans skończył notować.

- I powiedział ci to dyrektor banku w Vancouverze?

- Tak. To mój dobry przyjaciel. O co chodzi?

- Sporo wie. - Evans nie znał kanadyjskich przepisów bankowych, tym bardziej nie miał pojęcia o kostarykańskich, ale wiedział, że banki niechętnie udzielają takich informacji. Nawet jeżeli ten dyrektor z Vancouveru nie kłamał, to i tak nie mówił całej prawdy. Evans postanowił to sprawdzić. - Znasz to Międzynarodowe Towarzystwo Ochrony Dzikiej Przyrody, które ma twój czek?

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- I nie dawałeś im dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów? Morton pokręcił głową.

- Ale powiem ci, co zrobiłem w zeszłym tygodniu. Dałem dwieście pięćdziesiąt tysięcy Nicholasowi Drake'owi na pokrycie bieżącego deficytu operacyjnego. Tłumaczył mi, że ma problem z jakimś dużym darczyńcą z Seattle, który spóźnia się z wpłatą. Już wcześniej zdarzało mu się prosić mnie o pomoc, raz czy dwa.

- Myślisz, że to właśnie te pieniądze trafiły do Vancouveru? Morton skinął głową.

- Powinieneś porozmawiać z Drakiem.

- Nie mam pojęcia. - Drake zdębiał. - Kostaryka? Towarzystwo Ochrony Dzikiej Przyrody? Mój Boże, nic z tego nie rozumiem.

- Słyszałeś o Międzynarodowym Towarzystwie Ochrony Dzikiej Przyrody? - wtrącił Evans.

- Owszem. To wspaniała organizacja. Ściśle współpracujemy przy realizacji wielu projektów

na całym świecie: Everglades, Tiger Tops w Nepalu, rezerwat jeziora Toba na Sumatrze... Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że czek George'a przypadkiem wylądował na niewłaściwym koncie. Bo inaczej... Nie wiem. Muszę zadzwonić do biura. Ale w Kalifornii jest w tej chwili noc. Zaczekam do rana.

Morton patrzył na niego i słuchał w milczeniu.

- George... - Drake zwrócił się do niego. - Na pewno dziwnie się z tym czujesz. Nawet jeśli doszło do niezawinionej pomyłki, o czym jestem przekonany, w grę wchodzi ogromna suma pieniędzy. Jest mi bardzo przykro. Ale błędy się zdarzają, zwłaszcza jeśli zatrudnia się dużo wolontariuszy, tak jak u nas. Posłuchaj, od lat jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Obiecuję ci, że rozgryzę tę sprawę i dopilnuję, żeby pieniądze wróciły, gdzie trzeba. Masz na to moje słowo, George.

- Dziękuję.

Wsiedli do land cruisera.

Samochód jechał po wyboistej, jałowej równinie.

- Cholera jasna, ci Islandczycy sajak osły - mruknął Drake, wyglądając przez okno. - Nie znam równie upartych naukowców.

- Nie zrozumiał cię? - spytał Evans.

- Nie. Nie umiałem go przekonać. A przecież czasy, kiedy naukowcy swobodnie bujali w obłokach, skończyły się. Nie wolno im już mówić: „Ja tylko prowadzę badania, nic mnie nie obchodzi, co inni robią z ich wynikami”. To nieodpowiedzialne. Niedzisiejsze. Nawet w tak niewinnej, zdawałoby się, dziedzinie jak glaciologia. Bo czy nam się to podoba, czy nie, jesteśmy w stanie wojny. Informacja walczy z dezinformacją. Wojna toczy się na wielu frontach: w gazetach, w telewizji, w czasopiśmie naukowych, w Internecie, na konferencjach i w szkołach. Czasem nawet w sądach. - Drake pokręcił głową. - Prawda jest po naszej stronie, ale nieprzyjaciel ma przewagę liczebną i finansową. Ruch ekologiczny jest dziś jak Dawid walczący z Goliatem. Goliat to Aventis i Alcatel, Humana i GE, BP i Bayer, Shell i Glaxo-Wellcome, olbrzymie, ogólnoswiatowe korporacje. To bezlitośni wrogowie naszej planety. A Per Einarsson siedzi sobie na tym swoim lodowcu i twierdzi, że nic się nie dzieje. To niepoważne!

Siedzący obok niego Peter Evans kiwał zyczliwie głową, chociaż traktował jego słowa z rezerwą. Szef NERF-u słynął ze skłonności do dramatyzowania. Poza tym pomijał fakt, że niektóre z wymienionych firm co rok wykładały spore sumy na działanie NERF-u, a trzech zatrudnionych w nich prezesów zasiadało w komisji doradczej funduszu. Podobnie rzecz się miała z wieloma organizacjami ekologicznymi, chociaż motywy kierujące przemysłowymi gigantami stanowiły przedmiot żaźranych sporów.

- Może jeszcze zmieni zdanie - wtrącił Morton.

- Wątpię. Był wściekły. Przykro mi to mówić, ale tę rundę przegraliśmy. Nie pozostaje nam nic innego, jak dalej walczyć. Nie możemy się poddać.

W samochodzie zrobiło się cicho.

- Ładniutkie te dziewczyny - przerwał milczenie Morton. - Prawda, Peter?

- Prawda. Ładniutkie.

Evans zdawał sobie sprawę, że Morton próbuje rozładować atmosferę, ale Drake był niepokieszony. Wpatrywał się ponuro w przesuwające się za oknem pustkowia i ośnieżone góry i kręcił smętnie głową.

Przez ostatnie dwa lata Evans dużo podróżował z Mortonem i Drakiem. Mortonowi udawało się zazwyczaj rozweselić wszystkich, nawet ponurego i drażliwego Drake'a.

Ostatnio jednak pesymizm Drake'a przechodził wszelkie granice. Evans pierwszy raz zwrócił na to uwagę kilka tygodni wcześniej. Pomyślał wtedy, że Drake zdręcza się jakąś chorobą w rodzinie albo innym nieszczęściem osobistym, ale chyba nie miał racji. Nikt nie potwierdził jego podejrzeń. W NERF-ie wrzało jak w ulu; przeprowadzali się właśnie do pięknej, nowej siedziby w Beverly Hills; pozyskiwali absolutnie rekordowe fundusze; planowali nowe sympozja i kongresy, w tym przypadającą za dwa miesiące konferencję pod hasłem Gwałtowne Zmiany Klimatyczne. A jednak mimo tych sukcesów - a może właśnie z ich powodu? - Drake z dnia na dzień popadał w coraz większe przygnębienie.

Morton też to zauważył, ale się tym nie przyjął.

- To prawnik - powiedział. - Czego się spodziewałeś? Nie myśl o nim tyle.

Zanim dojechali do Reykjavíku, słońce schowało się za chmurami, a dzień zrobił się dżdżysty i zimny. Na lotnisku padał deszcz ze śniegiem, musieli więc poczekać, aż skrzydła białego gulfstreama zostaną odlodzone. Evans stanął w kącie hangaru i - ponieważ w Stanach był środek nocy - zadzwonił do znajomego bankowca z Hongkongu. Streścił mu historię dyrektora z Vancouveru.

- To niemożliwe - usłyszał w odpowiedzi. - Żaden bank nie udostępnia takich informacji, nawet innemu bankowi. Gdzieś po drodze musiał być STR.

- Jaki STR?

- Suspicious Transfer Report, zgłoszenie podejrzanego przelewu. Jeżeli ktoś podejrzewa, że w grę wchodzi handel narkotykami albo terroryzm, rachunek bankowy zostaje wyznaczony do nadzoru. Od tej pory wszystkie przelewy są weryfikowane. Nawet przy silnym szyfrowaniu można wytropić źródła elektronicznych transferów. Tylko że dyrektorzy banków nie dostają takich raportów.

- Nie?



- W życiu! Żeby je obejrzeć, musiałbyś mieć niezłe papiery.
- Czyli ten dyrektor nie załatwił tego sam?
- Właśnie. Ktoś mu musiał pomagać. Jakiś policjant. Ktoś, o kim nie chciał mówić.
- Celnik? Ktoś z Interpolu?
- Coś w tym guście.
- Po co w ogóle dzwonił do mojego klienta?
- Nie wiem. Ale to nie przypadek. Czy twój klient nie jest może radykałem?

Evans pomyślał o Mortonie i omal nie parsknął śmiechem.

- Nie.
- Jesteś pewien, Peter?
- Cóż, tak...

- Widzisz, czasem bogaci darczyńcy lubią się zabawić albo siebie usprawiedliwić, udzielając wsparcia organizacjom terrorystycznym. Tak było z IRA: bogaci Amerykanie z Bostonu sponsorowali ją przez całe lata. Ale czasy się zmieniły, nikomu już nie jest do śmiechu. Twój klient powinien uważać. A ty, jeśli jesteś jego adwokatem, tym bardziej. Nie chciałbym odwiedzać cię w więzieniu. - I rozłączył się.

## **W drodze do Los Angeles**

### **Poniedziałek, 23 sierpnia Godz. 13.04**

Stewardesa nalała wódki do kryształowej szklaneczki i podała ją Mortonowi.

- Bez lodu, kotku - powiedział.

Lecieli na zachód nad Grenlandią - rozległą połacią lodu i chmur, skąpaną w białych promieniach słońca. Drake rozvodził się nad tym, jak szybko topnieje grenlandzki lód. I arktyczna czapa lodowa. I kanadyjskie lodowce. Morton pociągnął łyk wódki i skinął głową.

- Czyli na Islandii mamy do czynienia z anomalią?
- Tak. Bezwzględnie. Gdzie indziej wszędzie lodowce się cofają z nieznaną dotąd szybkością.
- Dobrze, że jesteś, Nick. - Morton poklepał go po plecach.

- Dobrze, że cię mam, George. Bez twoich hojnych dotacji nic byśmy nie wskórali. To dzięki tobie proces z oskarżenia Yanutu może dojść do

skutku, a ma ogromne znaczenie, bo wzbudzi powszechne zainteresowanie. A co do twoich innych grantów... Brak mi słów.

- Tobie? Przecież ty nigdy nie zapominasz języka w gębie.

Siedzący naprzeciwko nich Evans doszedł do wniosku, że tworzą naprawdę niezwykłą parę. Morton - potężny, swobodny, w dzinsach i koszuli flanelowej, zawsze wyglądał, jakby entuzjazm go rozpierał; i Drake - wysoki, przeraźliwie chudy, w krawacie, z cienką szyją sterczącą zza dużego kołnierzyka koszuli.

Różnili się też sposobem bycia. Morton lubił ludzi, błyszczał w towarzystwie, kochał jeść i się śmiać. Miał słabość do ładnych dziewczyn, zabytkowych samochodów wyścigowych i sztuki azjatyckiej. Uwielbiał płatać znajomym psikusy. Pół Hollywood schodziło się na przyjęcia, które wydawał w dworku w Holmby Hills.

Drake, naturalnie, też na nich bywał, ale zawsze wychodził wcześniej, czasem nawet przed kolacją. Często tłumaczył się chorobą, własną lub znajomych. W rzeczywistości był jednak samotnikiem i nie znosił hucznych imprez. Nawet kiedy wchodził na podwyższenie i wygłaszał mowę, emanował samotniczą aurą, jakby poza nim nikogo nie było w sali. Nie byłby sobą, gdyby tej swojej cechy nie wykorzystał do własnych celów. Udawało mu się przekonać ludzi, że jest samotnym posłańcem, wołającym na puszczy i niosącym prawdę, którą publiczność powinna usłyszeć.

Mimo tych różnic od blisko dziesięciu lat łączyła ich trwała przyjaźń. Morton, spadkobierca olbrzymiej fortuny, nie czuł się najlepiej z odziedziczonym majątkiem. Drake wiedział, jak spożytkować jego pieniądze, a w zamian wskazał mu sprawę, która nadała sens jego życiu. Morton należał do ciał doradczych Stowarzyszenia Audubona, Stowarzyszenia Dzikiej Przyrody, Światowego Funduszu Dzikiej Przyrody i Sierra Clubu. Był znaczącym sponsorem Greenpeace i Ligi Akcji Środowiskowej.

Zwieńczeniem jego działalności darczyńcy były dwie okazałe darowizny na rzecz NERF-u. Pierwsza z nich, w wysokości miliona dolarów, była przeznaczona na sfinansowanie sprawy sądowej Vanutu. Z drugiej, opiewającej na dziewięć milionów, NERF miał finansować swoje przyszłe badania i działania prawne na rzecz ochrony środowiska. Dla nikogo nie było więc zaskoczeniem, że NERF przyznał Mortonowi tytuł Ekoobywatela Roku. Bankiet na jego cześć miał się odbyć jesienią w San Francisco.

Evans bezmyślnie wertował kolorowy magazyn ilustrowany. Rozmowa z Hongkongiem nie dawała mu jednak spokoju i co chwila łapał się na tym, że podejrzliwie zerka na Mortona.

Morton trzymał rękę na ramieniu Drake'a i opowiadał mu właśnie jakiś żart - czyli jak zwykle próbował go rozśmieszyć - ale zdaniem Evansa wyczuwało się w jego zachowaniu rezerwę. Tak jakby myślami błędził zupełnie gdzie indziej, ale nie chciał, żeby Drake to zauważył.

Podejrzenia Evansa potwierdziły się, gdy Morton nieoczekiwanie wstał i ruszył do kabiny pilotów.

- Muszę ich wypytać o to elektroniczne świństwo - wyjaśnił.

Od startu odczuwali skutki dużego wybuchu na Słońcu, który zakłócał - a chwilami wręcz uniemożliwiał - funkcjonowanie telefonów satelitarnych. Piloci twierdzili, że efekt ten jest szczególnie dokuczliwy w pobliżu biegunów, ale gdy skierują się na południe, powinien ustąpić.

Mortonowi najwyraźniej spieszyło się do telefonu. W Nowym Jorku była czwarta rano, w Los Angeles pierwsza w nocy. Do kogo chciał dzwonić? Oczywiście mogło mu chodzić o któreś z licznych przedsięwzięć ekologicznych - sponsorował je przecież na całym świecie - oczyszczanie wody w Kambodży, zalesianie Gwinei, ochronę habitatów na Madagaskarze albo hodowlę ziół leczniczych w Peru. Nie wspominając już o niemieckiej ekspedycji, która zamierzała zmierzyć grubość antarktycznej skorupy lodowej. Morton zaangażował się we wszystkie te projekty: interesował się ich najdrobniejszymi szczegółami, znał osobiście naukowców biorących w nich udział, bywał na miejscach eksperymentów.

Miał do kogo dzwonić.

Ale Evans czuł przez skórę, że chodzi o szczególny telefon.

- Piloci mówią, że wszystko powinno być już w porządku - oznajmił Morton, kiedy wrócił do kabiny pasażerskiej.

Usiadł z przodu, sięgnął po słuchawki z mikrofonem i zamknął przesuwane drzwi, dające odrobinę prywatności. Evans znów zaczął wertować magazyn.

- Nie wydaje ci się, że pije więcej niż zwykle? - zaniepokoił się Drake.

- Nie sędzę - odparł Evans.

- Martwię się.

- Niepotrzebnie.

- Za pięć tygodni wydajemy w San Francisco bankiet na jego cześć. To nasz największy bal dobroczynny w roku. Przyciągnie uwagę mediów i pomoże nam zorganizować konferencję o gwałtownych zmianach klimatycznych.

- Mhm.

- Chciałbym mieć pewność, że prasa i telewizja skoncentrują się na sprawach ekologii, nie na jakichś tematach zastępczych. Na przykład osobistych, rozumiesz.

- Nie powinieneś o tym porozmawiać z George'em?

- Już rozmawiałem. Mówię ci o tym, bo spędzasz z nim sporo czasu.

- Wcale nie.

- On cię lubi, Peter. I ty o tym wiesz. Jesteś synem, którego nigdy nie miał... A zresztą, psiakrew, może i nie. Ale na pewno cię lubi. A ja tylko proszę cię o pomoc.

- Naprawdę nie sędzę, żebyście musieli się przez niego wstydzić, Nick.

- Po prostu... Miej na niego oko.

- Dobra. Nie ma sprawy. Otworzyły się przesuwane drzwi.

- Evans? - powiedział Morton. - Mogę cię prosić?

Peter wstał, przeszedł na przód kabiny i zasunął drzwi za sobą.

- Rozmawiałem z Sarah - wyjaśnił Morton. Sarah Jones była jego asystentką w Los Angeles.

- O tej porze?

- Na tym polega jej praca. Dobrze zarabia. Siadaj. Evans usiadł we wskazanym fotelu.

- Słyszałeś kiedyś o NSIA? - zapytał Morton.

- Nie.

- Krajowa Agencja Wywiadu i Bezpieczeństwa.

- Nic mi to nie mówi. - Evans pokręcił głową. - Takich agencji jest ze dwadzieścia.

- A znasz Johna Kennera?

- Nie...

- Jest podobno profesorem w MIT.

- Nic mi to nie mówi. Przykro mi. Ma coś wspólnego z ekologią?

- Być może. Spróbuj się czegoś o nim dowiedzieć.

Evans otworzył laptop z satelitarnym łączem internetowym leżący na sąsiednim fotelu. Zaczął pisać.

Chwilę później miał przed sobą fotografię wysportowanego, przedwcześnie posiwiąłego mężczyzny w okularach w grubej rogowej oprawce. Do zdjęcia dołączono króciutką notkę biograficzną, którą Evans zaczął czytać na głos:

- Richard John Kenner, profesura hardingowska, specjalista od inżynierii geosrodowiskowej.

- Cokolwiek to znaczy - mruknął Morton.

- Trzydzieści dziewięć lat. Doktorat z inżynierii lądowej w Caltechu w wieku dwudziestu lat. Praca doktorska na temat erozji gleb w Nepalu. O mały włos byłby się zakwalifikował do olimpijskiej drużyny narciarskiej. Dyplom z prawa w Harvard Law School, cztery lata w administracji rządowej, Departament Środowiska, Biuro Analiz Politycznych. Doradca naukowy Międzyrządowej Komisji Negocjacyjnej. Hobby: wspinaczka górską. Miał zginąć na Naya Khanga w Nepalu, ale informacja okazała się nieprawdziwa. Z wejścia na K2 musiał się wycofać z powodu niesprzyjającej pogody.

- K2... Czy to nie jest najniebezpieczniejsza góra na Ziemi?

- Chyba tak. Himalaista jak się patrzy. Później poszedł na MIT, gdzie zrobił, moim zdaniem, zawrotną karierę. Profesura w pięćdziesiątym trzecim. Dwa lata później dyrektor Centrum Analizy Ryzyka MIT. Profesura hardingowska w pięćdziesiątym szóstym, konsultant Agencji Ochrony Środowiska, Departamentu Środowiska, Departamentu Obrony, rządu Nepalu i Bóg wie czego jeszcze. Pracowity człowiek. Od dwa tysiące drugiego na urlopie naukowym.

- To znaczy?

- Tylko tyle. Urlop.

- Od dwóch lat? - Morton zajrzał Evansowi przez ramię. - Nie podoba mi się to. Najpierw robi karierę w MIT, a potem idzie na urlop i nie wraca. Może ma jakieś kłopoty?

- Nie wiem. Ale... - Evans porównał kilka dat. - Mając dwadzieścia lat, zrobił doktorat w Caltechu. Prawo skończył w dwa lata zamiast trzech. Dwadzieścia osiem lat i profesura w MIT...

- No dobrze, dobrze, bystrzak z niego. Ale nadal nie rozumiem, czemu spędza tyle czasu na urlopie. I co robi w Vancouverze.

- Jest w Vancouverze?

- Wydzwania stamtąd do Sarah.

- Po co?

- Chce się ze mną spotkać.

- Chyba lepiej będzie się zgodzić.

- Wiem. Ale czego on może chcieć, jak myślisz?

- Nie mam pojęcia. Funduszy? Ma własny projekt?

- Sarah mówi, że spotkanie ma być utrzymane w tajemnicy.

- To nie będzie trudne. Jesteśmy w samolocie.

- Nie o to chodzi. - Morton wskazał kciukiem za siebie. - Zależy mu konkretnie na tym, żeby Drake się nie dowiedział.

- Za to ja chyba powinienem być na tym spotkaniu.

- Tak. Chyba tak.

## **Los Angeles**

### **Poniedziałek, 23 sierpnia Godz. 16.09**

Rozchyliły się skrzydła żelaznej bramy i samochód ruszył zacięzioną alejką pod dom, który już było widać. Holmby Hills, najbogatsza okolica Beverly Hills. Tu, w rezydencjach za zasłoną wysokich ogrodzeń i gęstego listowia, mieszkali miliarderzy. Kamery malowało się na zielono i dyskretnie ukrywało.

Zza pagórka wyłonił się dom w całej okazałości: willa w stylu śródziemnomorskim, otynkowana na kremowy kolor; pomieściłaby dziesięcioosobową rodzinę.

Samochód się zatrzymał. Evans skończył rozmowę z kancelarią, rozłączył się i wysiadł.

Ptaki szczebiotały w gałęziach figowców, powietrze pachniało gardenią i jaśminem - krzewy rosły wzdłuż całego podjazdu - przy garażu nad liliową bugenwillą zawisł koliber. Typowo kalifornijska scenka, pomyślał Evans. Wychował się w Connecticut, do szkoły chodził w Bostonie i po pięciu latach Kalifornia wciąż wyglądała dla niego egzotycznie.

Przed domem stał inny samochód, ciemnoszara limuzyna z rządową rejestracją.

Przez drzwi frontowe wyszła asystentka Mortona, Sarah Jones, trzydziestoletnia blondynka o urodzie gwiazdy filmowej. Była ubrana w białą tenisową spódniczkę i różowy top, włosy związała w koński ogon. Morton cmoknął ją w policzek.

- Grasz dzisiaj?

- Grałam. Ale szef wrócił wcześniej, niż zapowiadał. - Podała rękę Evansowi i znów zwróciła się do Mortona: - Jak podróż?

- Świetnie. Tylko Drake był marudny i nie chciał pić. Zaczyna mnie to męczyć.

I ruszył w stronę drzwi.

- Chyba powinieneś wiedzieć, że oni tu są.

- Kto?

- Profesor Kenner z jakimś facetem. Obcokrajowcem.

- Naprawdę? Nie powiedziałaś im, że muszą...

- Umówić się na spotkanie? Powiedziałam, ale chyba uznali, że ich to nie dotyczy. Usiedli i powiedzieli, że poczekają.

- Powinni byli chociaż zadzwonić...

- Są tu od pięciu minut.

- Aha. No dobrze. - Morton spojrzał na Evansa. - Chodź, Peter, idziemy.

Weszli do środka. Okna salonu wychodziły na ogród na tyłach domu, a sam pokój zdołały ozdobić azjatyckie antyki, w tym między innymi olbrzymia kamienna głowa z Kambodży. Na kanapie siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był biały, średniego wzrostu, miał okulary i krótkie siwe włosy. Drugi, o mocno śniadej cerze, był szczupły, muskularny i bardzo przystojny - mimo blizny, która przecinała pionowo cały lewy policzek. Obaj byli ubrani w bawełniane spodnie i lekkie sportowe marynarki. Przesiedli na skraju kanapy, jakby byle hałas miał ich poderwać na równe nogi.

- Wyglądają jak żołnierze, co? - mruknął pod nosem Morton. Goście wstali na jego widok.

- Panie Morton, nazywam się John Kenner i pracuję w MIT. To mój kolega po fachu, Sanjong Thapa, doktorant z Mustangu. Nepalczyk.

- A to mój kolega, Peter Evans - odparł Morton.

Przywitali się. Kenner mocny ścisnął dłoń, Sanjong Thapa kłaniał się lekko, podając rękę. Powiedział cicho, z brytyjskim akcentem:

- Bardzo mi miło.

- Nie spodziewałem się panów tak szybko - przyznał Morton.

- Zawsze szybko pracujemy.

- Rozumiem... O co chodzi?

- Obawiam się, że będzie nam potrzebna pańska pomoc, panie Morton. - Kenner uśmiechnął się do Evansa i Sarah. - Przykro mi, ale to sprawa poufna.

- Pan Evans jest moim adwokatem, a przed moją asystentką nie mam sekretów.

- Nie wątpię. Później, jeśli uzna pan za stosowne, może ich pan dopuścić do tajemnicy, ale tę rozmowę musimy odbyć w cztery oczy.

- Chciałbym zobaczyć dokumenty panów, jeśli to nie kłopot - powiedział Evans.

- Naturalnie.

Kenner i Thapa wyjęli z portfeli wydane w Massachusetts prawa jazdy, legitymacje pracowników MIT i paszporty. Wręczyli mu również wizytówki.

Dr John Kenner Centrum Analizy Ryzyka Massachusetts Institute of Technology 454 Massachusetts Avenue Cambridge, MA 02138

Dr Sanjong Thapa Pracownik naukowy Wydział Inżynierii Geośrodowiskowej Gmach 4-C 323 Massachusetts Institute of Technology Cambridge, MA 02138

Na wizytówkach podano numery telefonów i faksów oraz adresy e-mailowe. Evans obejrzał je ze wszystkich stron. Wyglądały całkiem zwyczajnie.

- A teraz - odezwał się Kenner. - Panie Evans, panno Jones, muszę państwa przeprosić...

Zagłądali do salonu z przedpokoju przez duże, przeszklone drzwi. Morton siedział na jednej kanapie, Kenner i Thapa na drugiej. Rozmawiali po cichu. Evans miał wrażenie, że jest świadkiem jednego z tysięcy spotkań, na których Morton musiał cierpliwie wysłuchiwać próśb o dofinansowanie.

Podniósł słuchawkę stojącego w przedpokoju telefonu i wybrał numer.

- Centrum Analizy Ryzyka, słucham - odezwał się kobiecy głos.

- Z biurem profesora Kennera poproszę.

- Już łączę. - Coś pstryknęło i rozległ się inny głos: - Centrum Analizy Ryzyka, biuro profesora Kennera.

- Dzień dobry. Nazywam się Peter Evans, chciałbym rozmawiać z profesorem Kennerem.

- Przykro mi, ale nie ma go w biurze.

- A wie pani, gdzie go mogę znaleźć?

- Profesor Kenner jest na przedłużonym urlopie.

- Muszę się z nim skontaktować w bardzo ważnej sprawie. Mogłaby mi pani jakoś pomóc?

- Nie powinno być z tym kłopotu. Dzwoni pan z Los Angeles. Profesor też tam jest.



Ma identyfikację numeru, pomyślał Evans. Wydawało mu się, że Morton powinien mieć zastrzeżony telefon, ale najwyraźniej się mylił. A może po prostu sekretarka Kennera umiała sobie radzić z takimi zabezpieczeniami.

- No dobrze, może mi pani powiedzieć...

- Przykro mi, panie Evans. Nic więcej nie mogę panu poradzić. Pstryk.

- Co ty robisz? - zdziwiła się Sarah.

Zanim Evans zdążył jej odpowiedzieć, w salonie zadzwonił telefon komórkowy. Kenner sięgnął do kieszeni, wyjął aparat i odbył krótką rozmowę, po czym odwrócił się do drzwi i pomachał Evansowi.

- Zadzwonili do niego z biura? - domyśliła się Sarah.

- Na to wygląda.

- Czyli to naprawdę jest profesor Kenner.

- Chyba tak. A my mamy już dziś wolne.

- Chodź, odwiozę cię do domu - zaproponowała.

Minęli otwarty garaż i błyszczące w słońcu ferrari. Morton miał dziewięć zabytkowych ferrari, które trzymał w różnych miejscach - wśród nich spydera corsę z 1947 roku, testarossę z 1956 i california spydera z 1959. Każdy z nich był wart ponad milion dolarów. Evans wiedział o tym, bo po każdym zakupie nadzorował spisywanie umowy ubezpieczenia. Na końcu szeregu stał należący do Sarah czarny kabriolet, porsche. Wyszli z garażu i Evans wskoczył na fotel pasażera.

Sarah Jones była kobietą niezwyklej urody, nawet jak na standardy Los Angeles: wysoka, opalona, skóra miodowozłota, jasne włosy do ramion, niebieskie oczy, idealnie regularne rysy i śnieżnobiałe zęby. Była szczupła i wysportowana jak większość Kalifornijczyków; do pracy przychodziła zwykle w dresie albo spódniczce do tenisa. Grała w golfa i tenisa, nurkowała, jeździła na rowerze górskim, nartach, snowboardzie i Bóg wie na czym jeszcze.

Evans wiedział jednak, że Sarah ma również, mówiąc po kalifornijsku, „dylemat”. Była najmłodszym dzieckiem w zamożnej rodzinie z San Francisco; ojciec - wpływowy adwokat, wcześniej piastował lokalne stanowisko polityczne; matka - dawnątop modelka; starsze rodzeństwo, szczęśliwie pożenione, wiodło udane życie i czekało, aż Sarah też się wybije. A ona odbierała rodzinny sukces przede wszystkim jak obciążenie.

Zawsze się zastanawiał, dlaczego postanowiła pracować u Mortona, kolejnego zamożnego i wpływowego mężczyzny w jej życiu. Nie rozumiał też, po co właściwie przyjechała do Los Angeles, skoro jej rodzina każdy adres na południe od mostu Bay Bridge traktowała jak miejsce zsyłki. Sarah była jednak dobra w swojej pracy i bez reszty oddana

Mortonowi, on zaś chętnie powtarzał, że jej prezencja ma ogromne walory estetyczne. Spotykała się z aktorami i innymi osobistościami z przyjęć, które urządzał, czym jeszcze bardziej narażała się rodzinie.

Czasem Evans dochodził do wniosku, że całe jej życie jest jednym wielkim buntem. Tak jak prowadzenie samochodu: teraz też jechali szybko, ryzykownie. Wystrzelili z Benedict Canyon jak z procy i wpadli w Beverly Hills.

- Jedziesz do biura? - zapytała. - Czy do domu?

- Do domu. Wezmę swój wóz.

Skinęła głową, minęła wlokącego się mercedesa i skręciła w lewą przecznicę. Evans wstrzymał oddech.

- Posłuchaj... Wiesz, co to jest wojna sieciowa?

- Jaka? - zdziwił się Evans. Wiatr prawie zagłuszał słowa Sarah.

- Sieciowa.

- Nie. A co?

- Rozmawiali o tym, zanim przyjechaliście. Kenner i ten Sanjong.

- Nic mi to nie mówi. - Evans pokręcił głową. - Może źle usłyszałaś?

- Może. - Przejechali na złotym przez Sunset Boulevard. Zredukowała bieg przed Beverly. - Dalej mieszkasz przy Roxbury?

Przytaknął i zapatrzył się na jej długie nogi.

- Z kim się umówiłaś na tenisa?

- Nie znasz go.

- Ale chyba nie z... no wiesz...

- Nie. Skończyłam z nim.

- Aha.

- Mówię poważnie.

- W porządku, Sarah. Wierzę ci.

- Wy, prawnicy, jesteście tacy podejrzliwi.

- A więc grywasz z prawnikiem?
- Nie, to nie prawnik. Z prawnikami nie grywam.
- A co z nimi robisz?
- Odcinam się. Nie ja jedna zresztą.
- Przykro mi to słyszeć.
- Ty, naturalnie, jesteś wyjątkiem.

Sarah posłała Evansowi olśniewający uśmiech i dodała gazu, aż silnik zawył.

Peter Evans mieszkał w jednym ze starszych apartamentowców przy Roxbury Drive, w mniej górzystej okolicy Beverly Hills. W kamienicy naprzeciw parku mieściły się cztery mieszkania. Park był zielony, zawsze pełen ludzi. Latynoskie nianie opiekujące się dziećmi bogatych ludzi zbierały się na plotki, staruszkowie wygrzewali się na słońcu; jakaś matka - w eleganckim kostiumie - wyrwała się ze służbowego lunchu, żeby przez chwilę pobyc z dziećmi. Samochód zatrzymał się z piskiem opon.

- Jesteśmy na miejscu.
- Dzięki. Evans wysiadł.
- Nie czas na przeprowadzkę? Mieszkasz tu od pięciu lat.
- Mam za dużo roboty, żeby myśleć o przeprowadzce.
- Wzięłeś klucze?

- Tak. Poza tym trzymam jeden komplet pod wycieraczką. - Evans wyjął z kieszeni pęk kluczyków. - Wszystko gra.

- No to na razie.

Porsche przyspieszyło, opony zapiszczały na zakręcie i wóz zniknął mu z oczu.

Evans przeszedł przez skąpane w słońcu podwórko i wbiegł do swojego mieszkania na piętrze. Rozmowa z Sarah jak zwykle trochę go rozstroiła. Dziewczyna była piękna i uwielbiała flirtować. Zawsze miał wrażenie, że trzyma mężczyzn na dystans, wytrącając ich z równowagi. W każdym razie jego na pewno wytrącała. Nigdy nie umiał powiedzieć, czy czeka, aż ją zaprosi na kolację, czy nie. Biorąc jednak pod uwagę jego układy z Mortonem, byłby to kiepski pomysł, więc sobie odpuścił.

Ledwie przekroczył próg, rozdzwonił się telefon. Dzwoniła Heather, jego sekretarka. Musiała wyjść wcześniej z pracy, bo źle się czuła. Popołudniami często źle się czuła - w sam raz, żeby zdążyć do domu przed wieczornym szczytem. A już najczęściej chorowała w poniedziałki i piątki. Mimo to

kancelaria przejawiała wyjątkową niechęć do jej zwolnienia i Heather pracowała u niego bez przerwy już trzeci rok.

Chodziły słuchy, że sypia z Bruce'em Blackiem, założycielem kancelarii, który żyje w wiecznym strachu, że żona odkryje jego romans, a miał się czego bać, bo wszystkie pieniądze były jej własnością. Mówiło się również o tym, że Heather spotyka się z innym ze wspólników, chociaż jego nazwisko nigdy nie padło. Według trzeciej wersji, podczas przeprowadzki kancelarii z jednego wieżowca do drugiego, w Century City, natknęła się na jakieś kompromitujące firmę dokumenty i porobiła ich kopie.

Evans przypuszczał, że prawda jest bardziej przyziemna. Heather była sprytną dziewczyną i pracowała w firmie wystarczająco długo, żeby znać

na wylot tajniki procesów o bezpodstawne zwolnienie z pracy. Za każdym razem brała pod uwagę grożące firmie koszty i utratę reputacji wiążącą się z jej zwolnieniem. Dzięki temu pracowała trzydzieści tygodni w roku. Zawsze przydzielano ją jako sekretarkę najlepszemu młodemu wspólnikowi - założenie było takie, że dobremu prawnikowi jej niekompetencja nie zaszkodzi. Evans od lat próbował się jej pozbyć. Kiedy obiecano mu, że w przyszłym roku będzie miał nową asystentkę, potraktował to jak awans.

- Przykro mi, że źle się czujesz - odparł. Musiał podjąć grę.

- Brzuch mnie boli. Pójdę do lekarza.

- Dzisiaj?

- No... Na razie próbuję się umówić na wizytę.

- Dobrze.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że pojutrze jest zaplanowane ważne spotkanie. O dziewiątej w dużej sali konferencyjnej.

- Tak?

- Pan Morton przed chwilą dał mi znać. Będzie jakieś dziesięć, może dwanaście osób.

- Kto dokładnie?

- Nie wiem. Nie powiedział mi. Jest beznadziejna, pomyślał Evans.

- W porządku - odparł.

- Pamiętaj, że w przyszłym tygodniu masz być w sądzie w sprawie córki Mortona. Tym razem w Pasadenie, nie w centrum. Dzwoniła też Margo Lane, chodzi o tego jej mercedesa. No i diler BMW nalega na spotkanie.

- Czyli jednak chce pozwać ten kościół?

- Wydzwania co dwa dni.

- No dobrze. Czy to wszystko?

- Nie, jest jeszcze z dziesięć innych spraw. Jeśli poczuję się lepiej, może zostawię ci listę na biurku...

To znaczyło, że żadnej listy nie będzie.

- Dobrze.

- Przyjedziesz do biura?

- Nie, już późno. Muszę się przespać.

- No to do zobaczenia jutro.

Był głodny jak wilk. W lodówce znalazł tylko kartonik jogurtu w trudnym do ustalenia wieku, przywiedłego selera i pół butelki wina z ostatniej randki, czyli sprzed około dwóch tygodni. Spotykał się z Carol, która pracowała w innej kancelarii. Poznali się na siłowni i rozpoczęli chaotyczną, przerywaną znajomość. Oboje byli zapracowani i, tak naprawdę, niespecjalnie interesowali się sobą nawzajem. Spotykali się raz, dwa razy w tygodniu, uprawiali namiętny seks, a potem jedno z nich wymawiało się umówionym śniadaniem i znikało. Czasem szli na kolację, ale rzadko. Obojgu szkoda było czasu.

Wszedł do salonu i odsłuchał nagrania na sekretarce. Carol nie dzwoniła, znalazł za to wiadomość od Janis, drugiej ze swoich dziewczyn.

Janis była instruktorką w siłowni i sama miała typowo kalifornijskie ciało - idealnie uformowane i twarde jak skała. Seks traktowała jak zawody sportowe, do których przeprowadzenia potrzeba kilku pokoiów, paru kanap i krzeseł; Evans zawsze potem czuł się trochę niepewnie, jakby uświadamiał sobie, że powinien schudnąć. Spotykał się z nią jednak dalej i odczuwał dziwną dumę z faktu, że może mieć tak oszałamiającą dziewczynę - nawet jeśli seks z nią nie jest niczym wyjątkowym. Przynajmniej nie musieli się umawiać z dużym wyprzedzeniem: miała starszego od siebie chłopaka, producenta programów informacyjnych w telewizyjnej sieci kablowej. Często wyjeżdżał, a Janis rozpieszczała go energią.

Nagrała się na sekretarkę poprzedniego wieczoru. Evansowi nawet nie chciało się oddzwaniać: ta noc już przepadła.

Przed Carol i Janis były inne dziewczyny, mniej lub bardziej do nich podobne. Powtarzał sobie, że powinien zbudować bardziej satysfakcjonujący związek, poważny, dojrzały, stosowny do wieku i zajmowanej pozycji. Był jednak bardzo zajęty i nie miał czasu na podchody.

A na razie był głodny.

Zszedł do samochodu i pojechał do najbliższej restauracji dla zmotoryzowanych, czyli baru z hamburgerami przy Pico. Znali go tam. Zamówił podwójnego cheeseburgera i koktajl truskawkowy.

Wrócił do domu i już zamierzał położyć się spać, gdy przypomniał sobie, że ma zadzwonić do Mortona.

- Dobrze, że dzwonisz. Właśnie siedzimy... To znaczy: siedzę nad papierami. Gdzie są moje darowizny dla NERF-u? No wiesz, ta na proces Vanutu i ta druga?

- Nie wiem - odparł Evans. - Dokumenty zostały podpisane, ale wątpię, żebyśmy już dokonali przelewów.

- To dobrze. Wstrzymaj wypłaty.

- Nie ma sprawy.

- Nie na długo.

- Dobrze.

- I nie mów o niczym NERF-owi. Nie ma potrzeby.

- Oczywiście.

- No to świetnie.

Evans odłożył słuchawkę, przeszedł do sypialni i zaczął się rozbierać, kiedy znów zadzwonił telefon. Dzwoniła Janis, instruktorka z siłowni.

- Cześć. Myślałam o tobie. Co robisz?

- Prawdę mówiąc, kładę się właśnie spać.

- Poważnie? Noc jeszcze młoda.

- Właśnie wróciłem z Islandii.

- No to pewnie jesteś zmęczony.

- Trochę... Ale bez przesady.

- Przyda ci się towarzystwo w łóżku?

- Pewnie.

Zachichotała i rozłączyła się.

Evansa obudziło rytmiczne posapywanie. Pomacał drugą połówkę łóżka. Janis już wstała, ale pościel była jeszcze ciepła. Podniósł głowę z poduszki i ziewnął. W ciepłym świetle poranka zobaczył najpierw jedną perfekcyjną nogę, wznoszącą się ponad dolną krawędź łóżka, a zaraz potem drugą. Potem obie powoli opadły i zniknęły mu z oczu. Rozległo się sapanie. I znów pojawiły się nogi.

- Co robisz, Janis?

- Muszę się rozgrzać. - Wstała. Była naga, rozluźniona, pewna siebie i swojej atrakcyjności, dumna z idealnie zarysowanych mięśni. - O siódmej mam zajęcia.

- A która jest teraz?

- Szósta.

Evans jęknął i wtulił twarz w poduszkę.

- Wstawaj, wstawaj. Kto za długo śpi, krócej żyje.

Janis sypała takimi informacjami jak z rękawa. Taką miała pracę.

- Jak spanie może skrócić życie?

- Robiono badania na szczurach. Te, którym nie pozwalano spać, żyły dłużej.

- Mhm... Możesz nastawić ekspres?

- Dobrze. Ale zastanów się, czy chcesz pić kawę. Kawa... Wyszła z pokoju. Evans spuścił nogi na podłogę.

- Nie słyszałaś, że kawa zmniejsza ryzyko zawału?

- Nieprawda - dobiegło z kuchni. - W kawie są dziewięćset dwadzieścia trzy różne substancje chemiczne. Jest szkodliwa.

- Jakies nowe badania - mruknął Evans. Miał rację.

- Poza tym powoduje raka.

- Tego nie udowodniono.

- I poronienia.

- To mnie nie martwi.

- I źle wpływa na nerwy.

- Janis, błagam...

Stała w progu, krzyżując ręce na swoich idealnych piersiach. Na jej podbrzuszu rysowały się delikatne żyłki.

- No, Peter, nie powiesz mi chyba, że nie jesteś nerwowy.

- Tylko kiedy na ciebie patrzę. Skrzywiła się.

- Nie traktujesz mnie poważnie. - Okręciła się na pięcie i wróciła do kuchni. Pośladki też miała doskonale. Otworzyła lodówkę. - Nie ma mleka.

- Może być czarna.

Evans wstał i poszedł pod prysznic.

- Nic ci się nie zniszczyło? - usłyszał jeszcze.

- A co się miało zniszczyć?

- Kiedy cię nie było, mieliśmy tu małe trzęsienie ziemi. Naprawdę słabiutkie, najwyżej cztery i trzy dziesiąte w skali Richtera.

- Nic mi nie wiadomo o żadnych zniszczeniach.

- Ale telewizor ci przesunęło. Evans zmartwił.

- Co powiedziałaś?

- Przesunęło ci telewizor. Sam zobacz.

Promienie słońca, padające ukośnie przez okno, oświetlały wyraźny odcisk telewizora na dywanie. Odbiornik przesunął się o dobre siedem, osiem centymetrów, a był to stary, trzydziestodwucalowy olbrzym. Piekielnie ciężki. I trudno go było ruszyć z miejsca. Evansa przeszedł dreszcz.

- I tak miałeś szczęście - ciągnęła Janis. - Na kominku trzymasz mnóstwo szkła, a takie rzeczy tłuką się nawet przy słabym wstrząsie. Mieszkanie jest ubezpieczone?

Evans nie odpowiedział. Zajrzał za telewizor i sprawdził przewody. Wszystko wyglądało normalnie, ale ponieważ nie zaglądał tam chyba od roku, wcale nie był pewien.

- Jeszcze jedno: to nie jest naturalna kawa - zauważyła Janis. - Powinieneś przynajmniej pić naturalną. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Zaczekaj chwilę.



Przykucnął przed odbiornikiem i zajrzał pod spód. Nie znalazł nic niezwykłego.

- A to co? - zdziwiła się Janis.

Obejrzał się przez ramię. Trzymała w ręce pączka.

- Peter, czy ty masz pojęcie, ile w tym jest tłuszczu? - spytała z powagą. - Równie dobrze mógłbyś zjeść kostkę masła.

- Wiem... Powinienem odstawić pączki.

- Żebyś wiedział. Chyba że chcesz mieć na starość cukrzycę. Co robisz na tej podłodze?

- Sprawdzam, co z telewizorem.

- Zepsuł się?

- Chyba nie. Wstał.

- Odkręciłeś wodę pod prysznicem, chociaż wcale się nie myjesz. To nieekologiczne. - Janis naląła kawy i podała Evansowi kubek. - Idź, wykąp się. Ja muszę lecieć.

Kiedy wyszedł spod prysznicza, już jej nie było. Poprawił koce na łóżku (co było u niego odpowiednikiem ścielenia) i zajrzał do garderoby, żeby wybrać garnitur.

Century City Wtorek, 24 sierpnia Godz. 8.45

Kancelaria Hassie and Black zajmowała pięć pięter biurowca w Century City. Jej personel był pewny swojego statusu społecznego i mógł optymistycznie patrzeć w przyszłość. Reprezentowała wiele hollywoodzkich gwiazd i bogatych aktywistów ruchów ekologicznych. Nieco ciszej mówiło się o tym, że reprezentuje również trzy największe koncerty budowlane w Orange County; jak mawiali wspólnicy, dzięki temu Hassie and Black zachowywała równowagę.

Evansa przyciągnęli do firmy klienci blisko związani z ekologią, zwłaszcza George Morton. Był jednym z czterech prawników, których przydzielono Mortonowi niemal na wyłączność, aby pilnowali jego interesów i spraw Krajowego Funduszu Zasobów Naturalnych, jego ulubionej organizacji ekologicznej. Co nie zmieniało faktu, że jako młodszy współpracownik miał małe biuro, z oknem wychodzącym wprost na szklaną ścianę wieżowca po drugiej stronie ulicy.

Spojrzał na piętrzące się na biurku papiery. Takie same dokumenty trafiały na biurka wszystkich młodszych adwokatów w całym kraju. Umowa podnajmu, umowa o pracę, pisemne zapytania o wypłacalność, formularz Rady Podatku Franszyzowego i dwa projekty listów, których autorzy zapowiadali wkroczenie na drogę sądową. W jednym wypadku artysta zamierzał pozwać galerię sztuki, która nie chciała mu oddać jego niesprzedanych prac, w drugim kochanka George'a Mortona groziła restauracji Sushi Roku, gdzie parkingowy podczas parkowania zadrapał podobno lakier jej mercedesa.

Właścicielka mercedesa, Margaret Lane, dawna aktorka, miała wredny charakter i skłonność do straszenia ludzi sądami. Kiedy tylko George ją zaniedbywał - co ostatnio zdarzało się coraz częściej - wynajdywała coraz to nowe preteksty, żeby wytoczyć komuś proces. I pozew nieodmiennie lądował na biurku Evansa.

Zapisał sobie, żeby do niej zadzwonić. Jego zdaniem nie było sensu ciągnąć sprawy kabrioletu, ale wiedział, że będzie musiał nad Margo popracować, żeby ją przekonać.

Następny w kolejce był list diler BMW z Beverly Hills, który twierdził, że kampania reklamowa Czym jeździłby Jezus? zaszkodziła jego interesom, ponieważ godziła w wizerunek samochodów luksusowych. Salon BMW znajdował się dosłownie przecznicę od kościoła i parafianom zdarzało się po nabożeństwie nachodzić i dręczyć jego sprzedawców. Diler na nich psioczył, ale z przesłanych do kancelarii zestawień wynikało, że ostatnio notuje wyższe zyski niż przed rokiem. Evans postanowił zatelefonować również do niego.

Sprawdził e-maile. Odrzucił dwadzieścia propozycji powiększenia pręcia, dziesięć ofert sprzedaży środków uspokajających i dziesięć innych, w których przekonywano go, aby natychmiast zaciągnął kredyt hipoteczny, zanim oprocentowanie pożyczek dramatycznie wzrośnie. Ważnych e-maili było najwyżej z pół tuzina. Pierwszy przysłał Herb Lowenstein, który prosił o spotkanie. Lowenstein był starszym wspólnikiem kancelarii i również obsługiwał Mortona - specjalizował się w prawie

nieruchomości, a u Mortona zarządzanie nieruchomościami było pracą na cały etat. Evans wszedł do biura Herba.

Lisa, sekretarka Lowensteina, podsłuchiwała rozmowę przez telefon. Kiedy Evans wszedł do biura, zawstydzona odłożyła słuchawkę.

- Rozmawia z Jackiem Nicholsonem - wyjaśniła.

- Co u Jacka?

- W porządku. Kończy właśnie film z Meryl. Miał z nią jakieś kłopoty.

Dwudziestosiedmioletnia Lisa Ray o błyszczących oczach była zawołaną plotkarą. Evans już od dawna polegał na niej jako na źródle biurowych nowin.

- Czego Herb ode mnie chce?

- Chodzi o Nicka Drake'a.

- A to spotkanie jutro o dziewiątej? Wiesz coś o nim?

- Nie wiem, ale mogłabym się dowiedzieć.

- Kto je zwołał?

- Księgowi Mortona. - Lisa spojrzała na telefon. - No, skończyli. Wchodź.

Herb Lowenstein wstał i zdawkowo podał Evansowi rękę. Miał sympatyczną twarz, zaczątki łysiny, łagodny sposób bycia i opinię lekkiego dziwaka. Dziesiątki rodzinnych zdjęć zdobiły jego gabinet; stały na biurku po trzy, cztery w rzędzie. Lubił Evansa - być może dlatego, że ilekroć trzydziestoletnią córkę Mortona aresztowano za posiadanie kokainy, to właśnie Evans jechał przez pół miasta, żeby wpłacić za nią kaucję. Dawniej było to zadanie Lowensteina, który teraz cieszył się, że nie musi zarywać nocy.

- Jak było na Islandii?

- Fajnie. I zimno.

- Wszystko w porządku?

- Pewnie.

- Pytam o George'a i Nicka. Między nimi wszystko gra?

- Chyba tak. A co?

- Nick się martwi. Przez ostatnią godzinę dzwonił do mnie dwa razy.

- Po co?

- Jak się ma darowizna George'a dla NERF-u?

- Nick o to pytał?

- A jest z nią jakiś problem?

- George kazał chwilowo wstrzymać wypłatę.

- Dlaczego?

- Tego nie powiedział.

- Może przez Kennera?

- Nie tłumaczył się mi. Po prostu kazał wstrzymać przelew. Ciekawe, pomyślał Evans, skąd Lowenstein wie o Kennerze.

- Co mam powiedzieć Nickowi?

- Powiedz, że procedury zostały uruchomione, ale nie możemy mu podać konkretnej daty.

- Ale z przelewem wszystko gra, tak?

- Nic mi nie wiadomo o tym, żeby nie grało.

- W porządku. A teraz tak między nami: mamy jakiś problem czy nie?

- Być może.

Evans musiał przyznać, że Morton rzadko wstrzymywał wypłaty na cele dobroczynne. A podczas nocnej rozmowy wyczuł w głosie George'a dziwne napięcie.

- A co to za spotkanie, które na jutro zaplanował? - pytał dalej Lowenstein. - To w dużej sali konferencyjnej.

- Nie mam pojęcia.

- George nic ci nie powiedział?

- Ani słowa.

- Nick się niepokoi.

- To u Nicka nic nowego.

- Słyszał o tym Kennerze. Uważa go za mąciciela. Antyekologa.

- I chyba nie ma racji. Kenner jest profesorem w MIT i specjalizuje się w ekologii.

- Ale Nick twierdzi, że to mąciwoda.

- Trudno mi coś o nim powiedzieć.

- Słyszał, jak rozmawialiście o nim z Mortonem w samolocie.

- Powinien oduczyć się podsłuchiwać.

- Martwi się, zależy mu na opinii George'a.

- I słusznie. Ostatnio spieprzył poważną sprawę. Dostał czek na sporą sumę i zdeponował go na niewłaściwym rachunku.

- Słyszałem o tym. To był błąd wolontariusza, nie można mieć pretensji do Nicka.

- Ale to mu nie pomogło.

- Czek zdeponowano na koncie Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Dzikiej Przyrody, to porządna organizacja. Właśnie zwraca pieniądze.

- To dobrze.

- A co ty o tym wszystkim sądzisz?

- Nic. Robię, co mi klient każe.

- Ale mu doradzasz.

- Jeśli o to prosi. Na razie nie poprosił.

- Czyżbyś tracił pewność siebie? Evans pokręcił głową.

- Posłuchaj, Herb. Nic nie wiem o żadnych problemach. Wiem tylko, że przelew się opóźni. To wszystko.

- W porządku. - Lowenstein podniósł słuchawkę telefonu. - Uspokoję Nicka.

Kiedy Evans wrócił do siebie, przywitał go dzwonek telefonu.

- Jesteś dziś zajęty? - zapytał Morton.

- Nie bardzo. Mam tylko trochę papierkowej roboty.

- To może poczekać. Chcę, żebyś pojechał sprawdzić, co słyhać z tym procesem, który chcą wytoczyć władze Vanutu.

- Rany, George... Sprawa jest jeszcze w powijakach. Sądzę, że pozew trafi do sądu najwcześniej za parę miesięcy.

- Odwiedź ich.

- No dobrze. Mają siedzibę w Culver City. Zadzwoń do nich i...

- Nie, nie dzwoń. Po prostu tam pojedź.

- Ale jeśli się mnie nie będą spodziewać...

- O to chodzi. Daj znać, czego się dowiedziałeś. I Morton się rozłączył.

## **Culver City**

**Wtorek, 24 sierpnia Godz. 10.30**

Zespół przygotowujący pozew Vanutu rozlokował się w starym magazynie na południe od Culver City. Okolica była przemysłowa, jezdnie dziurawe. Z zewnątrz niewiele dało się zobaczyć: tylko ślepa ścianę z cegły i drzwi z numerem posesji na sfatygowanej metalowej tabliczce. Evans

nacisnął guzik dzwonka i znalazł się w wydzielonej recepcji. Zza ściany dobiegał przytłumiony gwar rozmów, ale w recepcji nie zauważył nic ciekawego.

Przy drzwiach w przeciwległej ścianie, prowadzących w głąb magazynu, stało dwóch strażników. Przy małym biurku siedziała recepcjonistka. Zerknęła na gościa podejrzliwie. - Pan...

- Peter Evans, Hassie and Black.

- Na spotkanie?

- Z panem Balderem.

- Jest pan umówiony?

- Nie.

Recepcjonistka spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Zadzwoń do jego sekretarki.

- Dziękuję.

Przez chwilę rozmawiała przez telefon. Mówiła bardzo cicho, Evans wychwycił tylko nazwę kancelarii. Popatrzył na strażników z prywatnej firmy ochroniarskiej. Mieli nieprzeniknione, kamienne twarze.

Recepcjonistka skończyła rozmawiać.

- Pani Haynes zaraz do pana wyjdzie.

Skinęła głową na strażników. Jeden z nich podszedł bliżej.

- Mógłbym zobaczyć jakiś dowód tożsamości? To zwykła formalność. Evans podał mu prawo jazdy.

- Ma pan przy sobie kamerę albo inne urządzenia rejestrujące?

- Nie.

- Dyski, napędy dyskowe, karty pamięci albo inny sprzęt komputerowy?

- Nie.

- Broń?

- Nie.

- Zechce pan na chwilę podnieść ręce. - Widząc zdziwioną minę Evansa, strażnik wyjaśnił: -

Proszę to traktować jak kontrolę na lotnisku.

Zrewidował go, szukając nie tylko broni, ale także - co było ewidentne - przewodów i nadajników: obmacał mu kołnierzyk i szwy w marynarce, obejrzał pasek i kazał zdjąć buty. Na koniec sprawdził go wykrywaczem metalu.

- Widzę, że to nie żarty - zauważył Evans.

- Nie. Dziękuję panu.

Strażnik wrócił na swoje miejsce. Nie było gdzie usiąść, więc Evans stał i czekał. Minęły dobre dwie minuty, zanim drzwi się otworzyły i weszła atrakcyjna kobieta. Dobiegała trzydziestki, miała stanowcze rysy, krótkie, ciemne włosy, niebieskie oczy, dzinsy i białą bluzkę.

- Pan Evans? Jestem Jennifer Haynes. - Mocno ścisnęła jego dłoń. - Pracuję z Johnem Balderem. Proszę za mną.

Weszli do środka.

Znaleźli się w wąskim korytarzu, który kończył się drzwiami. Evans zdał sobie sprawę, że korytarz pełni funkcję służby zabezpieczającej wejście.

- Po co to wszystko? - zapytał, wskazując strażników.

- Mieliśmy pewne kłopoty.

- Jakie kłopoty?

- Ludzie bywają wścibscy.

- Rozumiem...

- Ale nauczyliśmy się ostrożności. Haynes otworzyła drzwi kartą magnetyczną.

Weszli do starego magazynu. Wnętrze było rozległe, wysoko sklepienie i pocięte szklanymi ściankami działowymi na mniejsze pomieszczenia. Z lewej, też za szkłem, Evans zobaczył rzędy terminali komputerowych. Przy każdym stanowisku siedział młody człowiek, obok na biurku piętrzył się stos dokumentów. Na szkle dużymi literami napisano Surowe dane.

Po prawej stronie znajdowała się podobnej wielkości sala konferencyjna z napisem Satelity/radiosonda. Cztery osoby dyskutowały tam nad wiszącym na ścianie powiększonym wykresem - serią zygzakowatych linii rzuconych na siatkę.

Następne pomieszczenie miało nazwę Ogólne modele cyrkulacji (OMC), a jego ściany były zawieszane wielokolorowymi mapami świata.

- Rany... - mruknął z podziwem Evans. - Co za rozmach.

- Jaki pozew, taki rozmach. To nasze zespoły badawcze. Składają się głównie ze studentów nauk przyrodniczych, nie ma wśród nich prawników. Każdy zespół bada inny aspekt problemu. - Mówiąc, Haynes wskazywała kolejne pomieszczenia. - Pierwsza grupa wprowadza do systemu surowe dane, czyli informacje z Instytutu Badań Kosmicznych imienia Goddarda przy Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, z USHCN w Oak Ridge w stanie Tennessee oraz z Hadley Center we wschodniej Anglii. To główne ośrodki pomiarów temperatury na świecie.

- Rozumiem.

- Tamten zespół opracowuje dane satelitarne. Od 1979 roku satelity rejestrują zmiany temperatury w górnych warstwach atmosfery, czyli dysponujemy zapisami z ponad dwudziestu lat. Próbuje je jakoś wykorzystać.

- Jak to: próbujecie?

- Z danymi satelitarnymi jest pewien problem.

- Jaki?

Haynes zignorowała pytanie Evansa i wskazała następny pokój.

- Tutaj prowadzimy analizę porównawczą OMC, czyli generowanych komputerowo modeli klimatycznych, od lat siedemdziesiątych do dzisiaj.

Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że te modele są niezwykle skomplikowane, wymagają operacji na milionach zmiennych jednocześnie. Człowiek nie wymyślił na razie bardziej złożonych symulacji. Zajmujemy się głównie modelami amerykańskimi, brytyjskimi i niemieckimi.

- Mhm... - Evansowi zaczynało się kręcić w głowie.

- Ten zespół z kolei zajmuje się badaniami zmian poziomu mórz. Następny pokój, za zakrętem korytarza, to paleoklimatologia; jej zespół, naturalnie, nie przetwarza rzeczywistych danych, tylko ekstrapoluje. Ostatnia ekipa zajmuje się promieniowaniem słonecznym i wpływem aerozoli na skład atmosfery. W UCLA mamy odrębny zespół, który bada mechanizm sprzężenia zwrotnego w atmosferze; głównie interesują ich zmiany w pokrywie chmur wywołane zmianami temperatury. I to chyba byłoby wszystko. - Haynes spojrzała na zdezorientowanego gościa. - Przepraszam, myślałam, że skoro pracuje pan dla George'a Mortona, to trochę zna się pan na rzeczy.

- A kto powiedział, że dla niego pracuję? Haynes się uśmiechnęła.

- Mamy swoje sposoby, panie Evans.

Ostatnie pomieszczenie o szklanych ścianach nie miało opisu. Wisiały w nim wykresy i powiększone zdjęcia, na podłodze stały trójwymiarowe modele Ziemi, zamknięte w sześcianach z pleksiglasu.



- A to co? - zainteresował się Evans.

- Pracownia audio-wideo. Tu przygotowujemy prezentacje dla przysięgłych. Dane, którymi dysponujemy, bywają skomplikowane. Szukamy takiego sposobu ich przedstawienia, który byłby prosty i zarazem przemawiał do wyobraźni.

- Czy to naprawdę aż taki problem? - zapytał Evans, gdy ruszyli dalej.

- Owszem. Państwo Vanutu zajmuje cztery atole koralowe na południowym Pacyfiku. Największe wzniesienie na tym obszarze sięga sześciu metrów nad poziom morza. Podniesienie poziomu wody wywołane globalnym ociepleniem grozi utonięciem ośmiu tysiącom mieszkańców Vanutu.

- To rozumiem. Ale dlaczego taka masa ludzi prowadzi u was badania czysto naukowe?

Haynes spojrzała z ukosa na Evansa.

- Bo chcemy wygrać tę sprawę.

- To oczywiste...

- A nie będzie łatwo.

- To znaczy? Mamy globalne ocieplenie, każdy wie, na czym to polega...

- Mianowicie? - zadudnił głos z drugiego końca magazynu.

Szedł ku nim łysy mężczyzna w okularach. Poruszał się niezgrabnie i naprawdę zasługiwał na swoje przyzwisko: Łysy Orzeł. Nazywał się John Balder i jak zwykle był ubrany na niebiesko: marynarka, koszula, spodnie, krawat. Zmrużył oczy i przyjrzał się badawczo Evansowi, który musiał przyznać, że osobiste spotkanie ze słynnym adwokatem przyprawia go o dreszcz lęku.

Wyciągnął rękę na powitanie.

- Peter Evans, Hassie and Black.

- George Morton jest pańskim klientem, tak?

- Zgadza się.

- Jesteśmy mu wdzięczni za hojność. Staramy się być jej godni.

- Przekażę mu pańskie słowa.

- Nie wątpię. Wspomniał pan o globalnym ociepleniu, panie Evans. Interesuje się pan tym?

- Oczywiście. Jak każdy człowiek, który przejmuję się losem naszej planety.

- W rzeczy samej. Ale proszę mi powiedzieć: jak pan rozumie globalne ocieplenie?

Evans próbował ukryć zdziwienie. Nie spodziewał się, że ktoś go będzie tak wypytywał.

- Czemu pan pyta?

- Zadajemy to pytanie wszystkim naszym gościom. Próbujemy się zorientować, jaki jest stan świadomości ekologicznej w społeczeństwie. Wracając do tematu, czym jest dla pana globalne ocieplenie?

- Chodzi o nagrzewanie się Ziemi wskutek wykorzystywania paliw kopalnych.

- Nie ma pan racji.

- Nie?

- Ani trochę. Może spróbuje pan jeszcze raz?

Evans się zawahał. Było oczywiste, że przesłuchujący go człowiek ma umysł formalisty i będzie czepiał się słówek; znał takich ludzi na pęczki, ze studiów. Dlatego tym razem starannie dobierał słowa.

- Globalne ocieplenie to... hm... nagrzewanie się powierzchni Ziemi, spowodowane nadmierną zawartością dwutlenku węgla w atmosferze. A dwutlenek węgla powstaje przy spalaniu paliw kopalnych.

- Nadal się pan myli.

- Jak to?

- Nawet gdybym był niezwykle łaskawy w ocenie, pańska odpowiedź zawiera co najmniej cztery błędy.

- Nie rozumiem. Powiedziałem po prostu, na czym polega globalne ocieplenie.

- Właśnie że nie - odparł Balder tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Globalne ocieplenie to teoria...

- Chyba już nie...

- Ależ tak. To tylko teoria. Chociaż, proszę mi wierzyć, wolałbym, żeby było inaczej. Ale fakty są następujące: globalne ocieplenie to teoria, która mówi, że wzrost stężenia dwutlenku węgla i innych gazów powoduje wzrost średniej temperatury atmosfery ziemskiej ze względu na tak zwany efekt cieplarniany.

- No dobrze - zgodził się Evans. - Ta definicja jest bardziej precyzyjna, ale...

- Rozumiem, panie Evans, że wierzy pan w prawdziwość tej teorii?

- Naturalnie.

- Jest pan do niej całkowicie przekonany?

- Oczywiście. Jak każdy.

- Czy nie uważa pan, że kiedy się w coś wierzy, warto precyzyjnie wyrażać swoje przekonania?

Evans zaczął się pocić. Czuł się tak, jakby wrócił na studia.

- Cóż, proszę pana... Nie, w tym wypadku chyba niekoniecznie. Każdy wie, o co chodzi z globalnym ociepleniem.

- Czyżby? A ja podejrzewam, że nawet pan nie ma pojęcia, o czym mówi.

Tego było już za wiele. Evans nie wytrzymał i wypalił:

- To, że nie uwzględniam naukowych szczegółów, to jeszcze nie powód...

- Nie chodzi o szczegóły, panie Evans. Mam na myśli zręby, podstawy pańskich poglądów. Otóż wydaje mi się, że pańskie przekonania nie mają solidnych podstaw.

- Z całym szacunkiem, ale teraz mówi pan od rzeczy.

- Ach tak? A więc ma pan jakieś podstawy, by tak twierdzić?

- Oczywiście.

Balder spojrzał na Evansa z namysłem. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie.

- W takim razie może się nam pan bardzo przydać. Czy poświęciłby nam pan godzinę?

- No... Chyba tak.

- Czy moglibyśmy nagrać pana wypowiedzi na wideo?

- Dobrze... Ale po co?

Balder odwrócił się do Jennifer Haynes.

- Próbujemy ustalić, co właściwie przeciętny wykształcony człowiek wie o globalnym ociepleniu - wyjaśniła. - Żeby na tej podstawie przygotować prezentację dla przysięgłych.

- Będę taką jednoosobową ławą przysięgłych?

- Właśnie. Mamy już kilka nagrań.

- Dobrze. Myślę, że uda mi się jakoś zaplanować godzinę...

- Zróbmy to od razu. Tak będzie najlepiej - zaproponował Balder i polecił Jennifer: - Zbierz ekipę w czwórcę.

- Chemie pomogę, ale przyjechałem tu zorientować się...

- Czy to prawda, że są jakieś kłopoty z przygotowaniem procesu, tak? Nie, nie ma. Ale nasze zadanie i bez nich jest bardzo skomplikowane. - Balder zerknął na zegarek. - Za chwilę mam spotkanie. Teraz zajmie się panem pani Haynes, a później jeszcze się zobaczymy i powiem panu, jak widzę ten proces. Dobrze?

Evans nie miał wyboru. Zgodził się.

## **Zespół prawny Vanutu**

**Wtorek, 24 sierpnia Godz. 11.00**

Posadzili go w sali konferencyjnej i z drugiego końca stołu wycelowali w niego kamerę. Jakbym składał oficjalne zeznanie, pomyślał Evans.

Pięcioro młodych ludzi - w dżinsach i koszulkach z krótkimi rękawami - zajęło miejsca przy stole. Jennifer Haynes przedstawiła ich błyskawicznie, tak że Evans nawet nie zarejestrował ich nazwisk. Dodała jeszcze, że wszyscy są studentami i specjalizują się w różnych dziedzinach.

Korzystając z chwili zamieszania, przysiadła się na chwilę do Evansa.

- Przepraszam za Johna - powiedziała. - Nie powinien być taki szorstki. Jest sfrustrowany i zestresowany.

- Z powodu tego procesu?

- Tak.

- Skąd ten stres?

- Może to nagranie uświadomi panu, z jakimi problemami się borykamy. - Haynes spojrzała na studentów. - Gotowi?

Pokiwali głowami, otworzyli notesy, zapaliła się lampka w kamerze.

- Wywiad z Peterem Evansem z kancelarii Hassie and Black - zaczęła Haynes. - Wtorek, dwudziesty czwarty sierpnia. Panie Evans, interesują nas pańskie poglądy na temat dowodów występowania globalnego ocieplenia. Proszę pamiętać: to nie jest żaden sprawdzian. Chcemy się po prostu dowiedzieć, co pan o tym myśli.

- Rozumiem.

- Zaczniemy od czegoś prostego. Co, pana zdaniem, dowodzi, że mamy do czynienia z globalnym ociepleniem?

- Z tego, co wiem, w ostatnich dwudziestu, trzydziestu latach temperatura na całym świecie dramatycznie wzrosła. Wzrost ten jest spowodowany emisją dwutlenku węgla, który wydziela się przy spalaniu paliw kopalnych.

- W porządku. Co pan rozumie przez dramatyczny wzrost temperatury?

- Około stopnia.

- Fahrenheita czy Celsjusza?

- Fahrenheita.

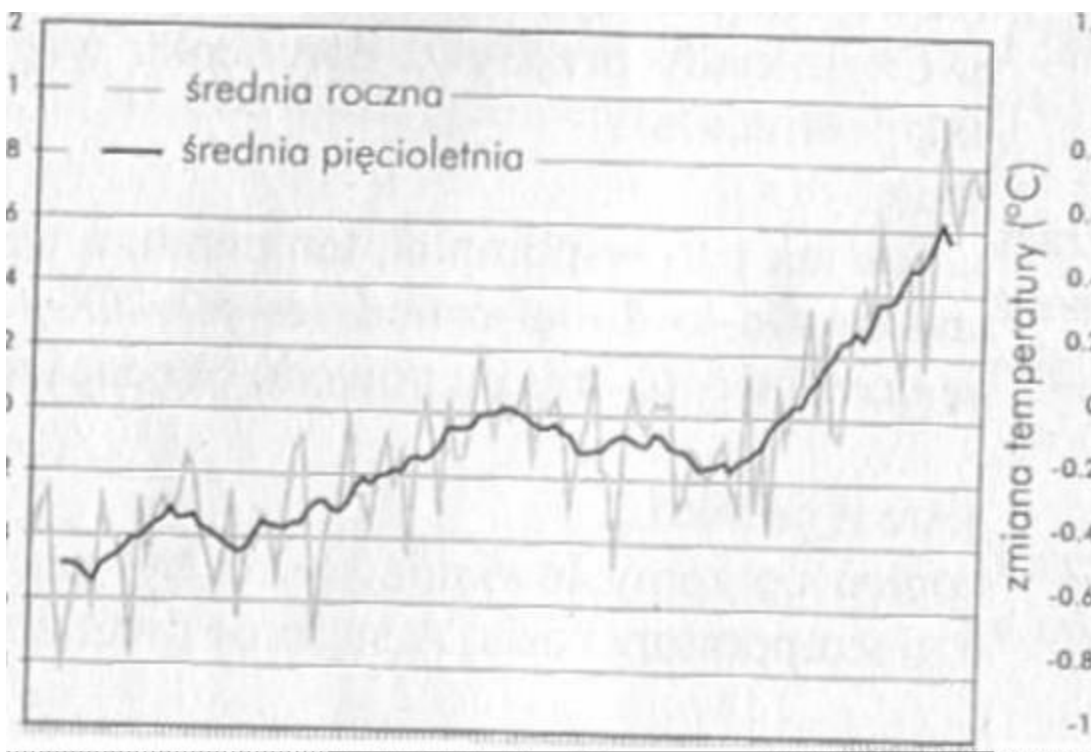
- I ten wzrost trwał około dwudziestu lat?

- Dwudziestu do trzydziestu... Tak sędzę.

- A jak to wyglądało wcześniej w XX wieku?

- Temperatura również rosła, ale wolniej.

- Dobrze. Teraz pokażę panu wykres... - Haynes wyjęła styropianową płytę z rozpiętym na niej wykresem.



Źródło: [giss.nasa.gov](http://giss.nasa.gov)

- Wygląda znajomo?

- Widziałem wcześniej coś takiego.

- Sporządzono go na podstawie danych NASA i Instytutu Goddarda, wykorzystywanych przez ONZ i inne organizacje. Czy uważa pan ONZ za ciało godne zaufania?

- Tak.

- Czyli możemy przyjąć, że ten wykres jest wiarygodny? Bezstronny? Obiektywny?

- Tak.

- Doskonale. Czy wie pan, co przedstawia? Wystarczyło przeczytać opis.

- Podano na nim średnie wartości temperatur zmierzonych na całym świecie w ciągu ostatnich stu lat z okładem.

- Istotnie. I co pan o nim powie?

- Hm... Wykres ilustruje moje słowa. - Evans wskazał czarną linię. - Temperatura na świecie rośnie od około 1890 roku, ale po 1970 zaczyna rosnać znacznie szybciej. Wtedy weszliśmy w okres wzmożonej industrializacji. Ta krzywa potwierdza tezę o globalnym ociepleniu klimatu.

- Jeszcze raz: czym pan tłumaczy gwałtowny wzrost temperatury po roku 1970?

- Narastającym stężeniem dwutlenku węgla w atmosferze, które jest spowodowane rozwojem

przemysłu.

- Rozumiem. Czyli kiedy przybywa dwutlenku węgla, temperatura rośnie. Można tak powiedzieć?

- Jak najbardziej.

- Doskonale. Tak jak pan wspomniał, temperatura wzrastała od roku 1890, i na pewno trwało to do lat czterdziestych XX wieku. Dlaczego klimat wtedy się ocieplał? Również z powodu obecności dwutlenku węgla?

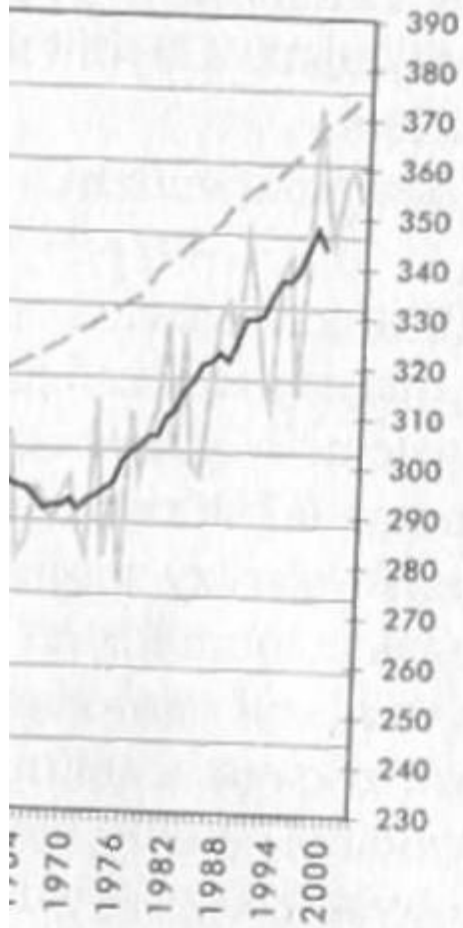
- No... Nie jestem pewien...

- W 1890 stopień uprzemysłowienia świata był znacznie niższy niż obecnie. Mimo to temperatura rosła. A stężenie dwutlenku węgla?

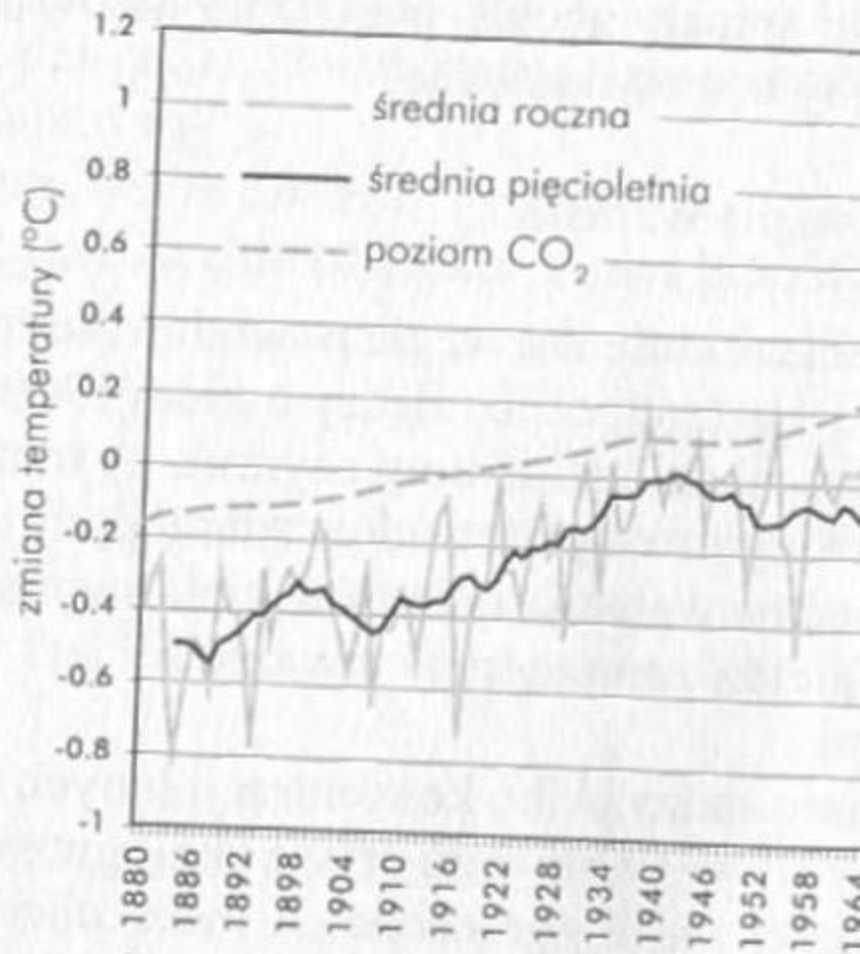
- Nie wiem.

- Otóż tak, rosło. Oto wykres, na którym zestawiono stężenie dwutlenku węgla i temperaturę.

1880-2003



Temperatura na świecie 1880-2003

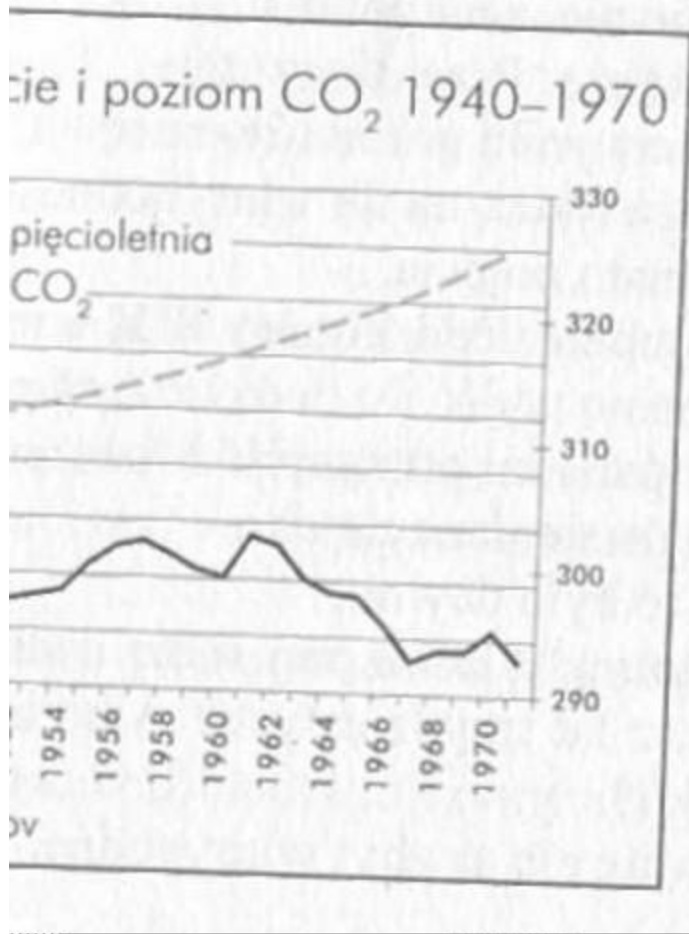


Źródło: giss.nasa.gov

Zgoda. Proszę teraz zwrócić uwagę na okres od lat czterdziestych.

- Tak...





- Pokażę to panu na zbliżeniu. - Haynes sięgnęła po kolejną planszę. - Oto ten trzydziestoletni okres. Trzecia część stulecia, w której temperatura spadała. Latem przymrozki ścinały zboża, w Europie lodowce nagle zaczęły przyrastać. Czym to było spowodowane?

- Nie wiem.

- Czy poziom dwutlenku węgla wzrastał?

- Tak.

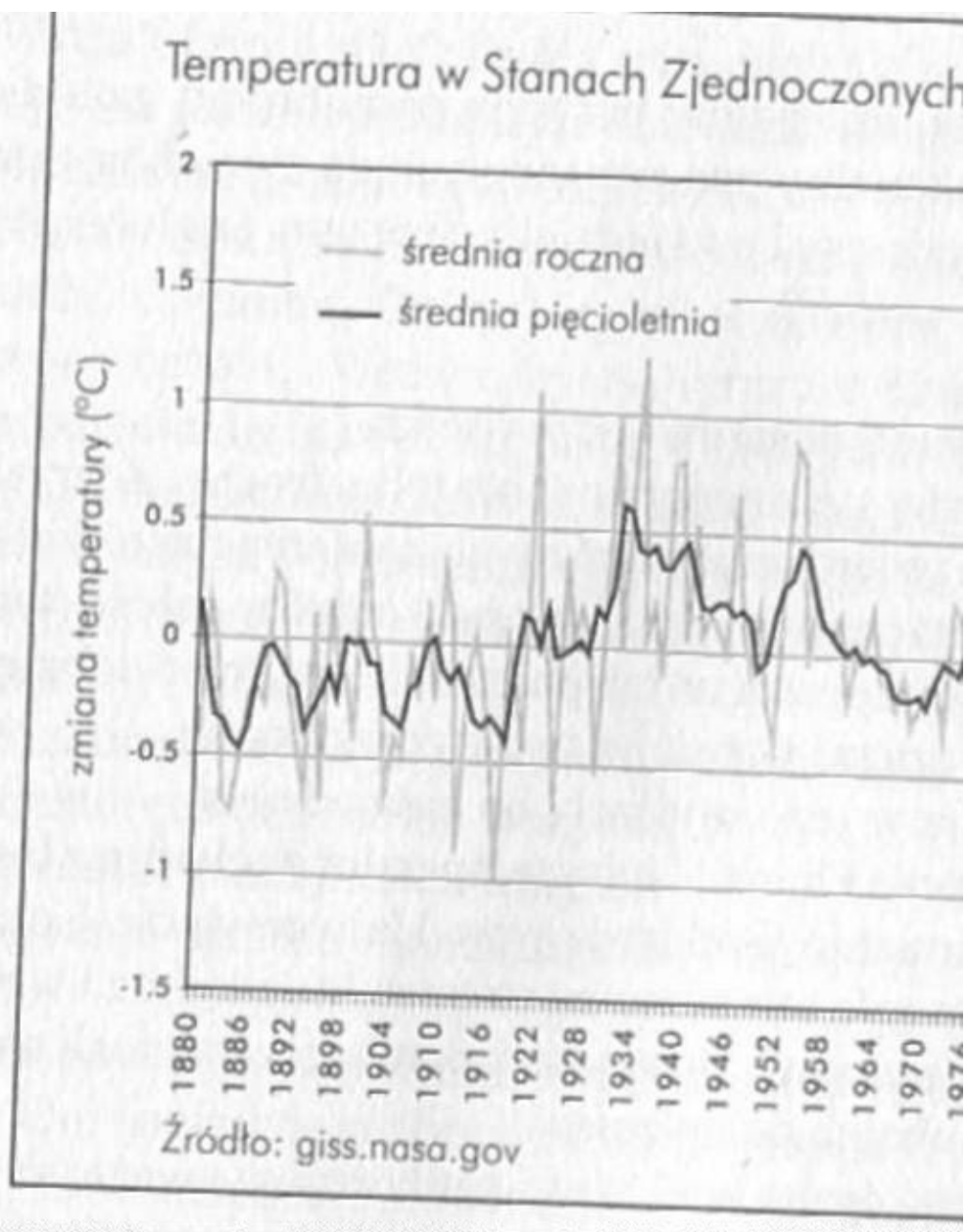
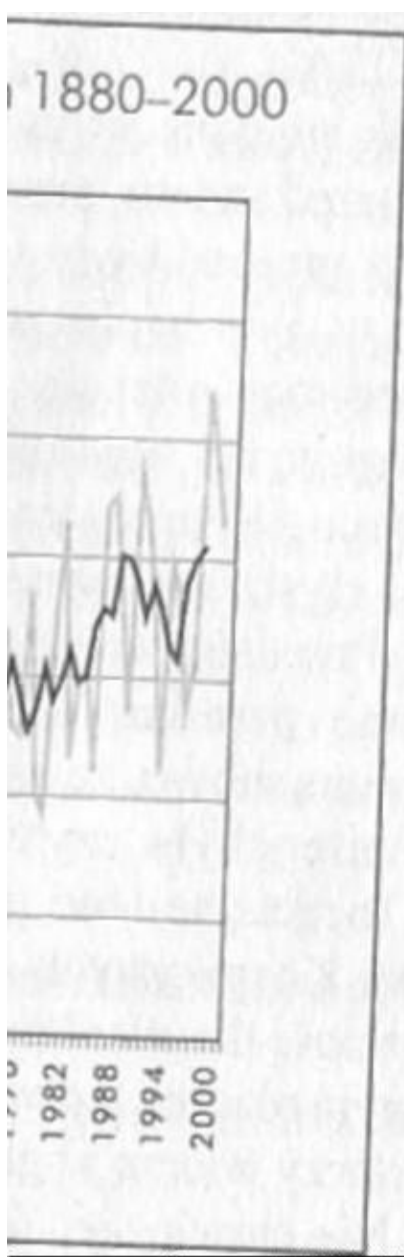
- Jeżeli więc wzrost stężenia dwutlenku węgla powoduje wzrost temperatury, dlaczego nie zadziałał w ten sposób między rokiem 1940 i 1970?

- Nie wiem. W grę musi wchodzić jakiś inny czynnik. A może to po prostu anomalia? W ramach długotrwałych trendów zdarzają się przecież anomalie. Wystarczy spojrzeć na wahania indeksów giełdowych.

- Czy takie anomalie na giełdzie mogą trwać trzydzieści lat? Evans wzruszył ramionami.

- Może to kwestia nadmiaru sadzy. Albo koncentracji innych substancji w powietrzu. Wtedy nie było tak surowego prawa ekologicznego i atmosfera była znacznie bardziej zanieczyszczona. A może chodzi o coś jeszcze innego.

- Z wykresów wynika, że dwutlenku węgla systematycznie przybywało, ale zmiany temperatury już takie systematyczne nie były: obserwowaliśmy wzrost, spadek i znów wzrost. Mimo to widzę, że jest pan przekonany, że za ostatnie ocieplenie odpowiada właśnie dwutlenek węgla?
- No tak. Przecież wszyscy to wiedzą.
- A co pan powie o tym wykresie? Nie zaniepokoił pana?
- Wcale. Owszem, prowokuje do stawiania pewnych pytań, ale przecież nie wszystko jeszcze wiemy o klimacie. Tak że... Nie, wykres bynajmniej mnie nie zaniepokoił.
- Cieszę się. Przejdźmy dalej. Twierdzi pan, że wykres przedstawia uśrednione wyniki pomiarów ze stacji meteorologicznych na całym świecie. Jak pan sądzi, na ile wiarygodne są takie dane?
- Nie mam pojęcia.
- No dobrze. Pod koniec XIX wieku, na przykład, ktoś musiał dwa razy dziennie wyjść do budki z termometrem i spisać z niego temperaturę. Może parę dni przegapił? Może zachorował mu ktoś bliski? I później uzupełniało się dane na oko.
- Ale to było dawno.
- Owszem. Ale co pan sądzi o danych pochodzących... powiedzmy z Polski, z lat trzydziestych? Albo z dawnych republik radzieckich po 1990 roku?
- Pewnie nie są zbyt wiarygodne.
- Właśnie. Z tego wniosek, że w okresie ostatnich stu lat całkiem spora liczba stacji na świecie mogła nie dostarczać rzetelnych danych.
- Nie da się tego wykluczyć.
- Jak pan sądzi, który kraj ma największą i najbardziej godną zaufania sieć pomiarową?
- Stany Zjednoczone?
- Tak jest. Bez dwóch zdań. A oto kolejny wykres.



- Czy ten wykres wygląda tak jak pierwszy, który panu pokazałam? Ten ze światowym rozkładem temperatur?
- Niezupełnie.
- O ile zmieniła się temperatura od 1880 roku do dzisiaj?
- Niech spojrzę... O jedną trzecią stopnia.
- Jedna trzecia stopnia Celsjusza przez sto dwadzieścia lat. Niezbyt to dramatyczne. Który rok był najcieplejszy w ubiegłym stuleciu?
- Wygląda na to, że 1934.
- Czy z tego wykresu wynika, że mamy do czynienia z globalnym ociepleniem?
- Cóż... Bez względu na to, jak na ten problem spojrzymy, temperatura jednak rośnie.

- Od trzydziestu lat. Ale przedtem przez trzydzieści lat spadała. Obecnie sięga podobnego poziomu jak w latach trzydziestych. Zapytam jeszcze raz: czy ten wykres potwierdza teorię globalnego ocieplenia?

- Tak. W Stanach zmiany są mniej dramatyczne niż gdzie indziej na świecie, ale jednak są.

- A co pan sądzi o tym, że najdokładniejsze pomiary na świecie sugerują najmniejsze ocieplenie?

- Nic. Globalne ocieplenie to zjawisko w skali światowej. Dotyczy nie tylko USA.

- Jak się panu wydaje, czy gdyby przyszło panu bronić tych diagramów przed sądem, przekonałby pan przysięgłych do swoich poglądów? Czy też spojrzeliby na wykresy i powiedzieli: „Eee tam, to globalne ocieplenie to zwykły pic na wodę”?

Evans roześmiał się.

- Proszę nie sugerować świadkowi odpowiedzi.

W gruncie rzeczy trochę się zaniepokoił, ale tylko trochę. Zdarzało mu się już słyszeć podobne twierdzenia na różnych konferencjach ekologicznych. Przedstawiciele przemysłu umieli tak poskładać w całość starannie dobrane i przesiane dane, a potem na ich podstawie wygłosić dobrze przygotowaną mowę, że zaczynał wątpić w swoje przekonania.

Jennifer chyba czytała w jego myślach, bo powiedziała:

- To rzetelne dane, panie Evans. Zapisy temperatur pochodzą z Instytutu Badań Kosmicznych imienia Goddarda przy Uniwersytecie Columbia. Zawartość dwutlenku węgla mierzono na stokach Mauna Loa i w antarktycznym rdzeniu lodowcowym. Wszystkich pomiarów dokonali naukowcy, którzy wierzą w globalne ocieplenie.

- Nie dziwię się. Znakomita większość naukowców uważa, że obserwujemy globalne ocieplenie i że stanowi ono poważne zagrożenie.

- Istotnie - przytaknęła gładko Haynes. - Cieszę się, że ten fakt nie ma wpływu na pańskie poglądy. Przejdźmy może do innych interesujących spraw. Davidzie?

Jeden ze studentów pochylił się nad stołem.

- Panie Evans, chciałbym poruszyć kwestię wykorzystania gruntów, efektu miejskiej wyspy cieplnej i satelitarnych pomiarów temperatury troposfery. Jezu, pomyślał Evans. Ale skinął głową.

- Proszę bardzo.

- Jednym z interesujących nas problemów są zmiany temperatury związane ze strukturą użytkowania gruntów. Słyszał pan o tym?

- Szczerze mówiąc, nie. - Evans spojrział na zegarek. - Powiem otwarcie: operujecie państwo takimi szczegółami, że kompletnie mnie one przerastają. Ja po prostu słucham naukowców...

- A my, opierając się na ich słowach, przygotowujemy pozew - wtrąciła Jennifer. - Walka rozegra się właśnie na poziomie tych szczegółów.

- Walka? Jaka walka? Żaden szanujący się adwokat nie podejmie się obrony. Tak jak żaden szanujący się naukowiec nie zaprzeczy, że jesteśmy świadkami globalnego ocieplenia.

- Nie ma pan racji. Obrona powoła na świadków profesorów MIT, Harvardu, Columbii, Duke, Virginii, Colorado, Berkeley i innych prestiżowych uczelni. Wezwie byłego prezesa Krajowej Akademii Nauk. Może odwoła się nawet do jakichś noblistów. Sprowadzi profesorów z Anglii, z niemieckiego Instytutu Maksa Plancka, z uniwersytetu w Sztokholmie. I wszyscy ci uczeni będą dowodzić, że globalne ocieplenie to w najlepszym razie teoria niepoparta dowodami, a w najgorszym, czysty wymysł.

- Wiadomo. Przemysł sponsoruje ich badania.

- Niektórych tak, ale nie wszystkich.

- Ta reszta to arcykonserwatyści.

- I dlatego rzetelne dane będą miały kluczowe znaczenie dla wygrania procesu.

Evans powiódł wzrokiem po twarzach zebranych i wyczytał z nich niepokój. Oni naprawdę się boją, że mogą przegrać.

- To niedorzeczne - powiedział. - Wystarczy poczytać gazety, włączyć telewizor...

- Gazety i telewizja są podatne na wpływ starannie zaplanowanych kampanii medialnych. Sądy nie.

- No dobrze, darujmy sobie środki masowego przekazu. Ale są przecież jeszcze czasopisma naukowe...

- Czytamy je. Nie wszystkie nam sprzyjają. Panie Evans, mamy jeszcze sporo pytań, więc gdyby zechciał pan łaskawie powstrzymać się od dyskusji, wróciłibyśmy do wywiadu.

W tej samej chwili zadzwonił telefon i Balder wybawił Evansa z opresji.

- Przyślijcie do mnie tego gościa z Hassie and Black - powiedział. - Wygospodaruję dla niego dziesięć minut.

Balder czekał w pokoju o szklanych ścianach, z nogami na szklanym biurku. Przeglądał złożone na stertę informacje i artykuły naukowe. Nie zdjął nóg z blatu.

- Podobało się panu? - spytał, mając na myśli nagranie.

- W pewnym sensie - odparł Evans. - Pan wybaczy, że to powiem, ale mam wrażenie, że ci ludzie martwią się możliwością porażki.

- Ja nie mam cienia wątpliwości, że wygramy. Nie chcę jednak, żeby moi pracownicy tak myśleli. Mają się martwić jak wszyscy diabli! Mają robić w gacie ze strachu przed każdym procesem! A przed tym szczególnie. Chcemy pozwać EPA, która, wiedząc o tym, zatrudniła adwokata z zewnątrz. Barry'ego Beckmana.

- No, no... - mruknął Evans. - Ostro grają.

Barry Beckman był najsłynniejszym adwokatem swego pokolenia. W wieku dwudziestu ośmiu lat został profesorem prawa na Uniwersytecie Stanforda, a wkrótce potem odszedł z uczelni i rozpoczął prywatną praktykę. Reprezentował Microsoft, Toyotę, Phillipsa i masę innych ponadnarodowych koncernów. Miał niewiarygodnie giętki umysł, ogromny urok osobisty, ostre poczucie humoru i fotograficzną pamięć. Wszyscy wiedzieli, że podczas procesów przed Sądem Najwyższym (które zdarzyły mu się już trzykrotnie), odpowiadając na pytania sędziów, cytował numery stron dokumentów, na które się powoływał:

- Panie sędzio, odpowiedź powinien pan znaleźć w przypisie siedemnastym u dołu strony dwieście trzydziestej siódmej.

Tak to właśnie wyglądało.

- Barry nie jest bez wad - ciągnął Balder. - Dysponuje taką masą informacji, że łatwo robi dygresje. Lubi mówić, odbiega od tematu... Raz go pokonałem. I raz z nim przegrałem. Ale jednego możemy być pewni: przeciwnik będzie doskonale przygotowany.

- To chyba niespotykana praktyka: wynajęli adwokata, zanim wy zdążyliście złożyć pozew.

- Zagrywka taktyczna. Obecna administracja nie chce bronić tej sprawy. Uważają za wygraną. Boi się tylko, że jej wystąpienie przeciw tezie o globalnym ociepleniu zostanie źle odebrane przez opinię publiczną. I ma nadzieję, że nas zastraszy i odpuścimy sobie pozew. Czego, rzecz jasna, nie zrobimy. Zwłaszcza teraz, kiedy dzięki panu Mortonowi nie musimy się martwić o finanse.

- Świetnie.

- Wszystko to nie zmienia faktu, że czeka nas ciężka przeprawa. Barry będzie przekonywał przysięgłych, że teoria globalnego ocieplenia nie ma potwierdzenia w faktach. Że jest mało danych, które ją potwierdzają. Że prognozy sprzed dziesięciu i piętnastu lat nie sprawdziły się. Że nawet

czołowi zwolennicy tej teorii wyrażali publicznie wątpliwości co do jej wiarygodności i możliwości prognozowania. Niektórzy w ogóle podważają jej prawdziwość.

- Jej czołowi zwolennicy?

- Właśnie - westchnął Balder. - Są takie publikacje.

- Nie czytałem ich.

- Ale one istnieją i Barry je znajdzie. - Balder pokręcił głową. - Eksperti zmieniają poglądy. Niektórzy kiedyś mówili, że wzrost stężenia dwutlenku węgla nie ma znaczenia, a teraz twierdzą, że stanowi zagrożenie. Nie mamy na razie ani jednego świadka-fachowca, którego nie dałoby się przeciągnąć na drugą stronę. Albo ośmieszyć w krzyżowym ogniu pytań.

Evans pokiwał ze zrozumieniem głową. Znał ten ból. Na studiach prawniczych człowiek szybko się uczy, że prawo nie ma nic wspólnego z prawdą, lecz jest wyłącznie sztuką rozstrzygania sporów. W dyskusji prawda może wyjść na jaw, ale wcale nie musi. I często nie wychodzi. Prokurator dobrze wie, że oskarżony jest winny, ale nie jest w stanie doprowadzić do wydania wyroku skazującego. Takich przypadków są tysiące.

- I właśnie dlatego wszystko zależy od pomiarów zmian poziomu wód Pacyfiku - ciągnął Balder. - Na razie gromadzimy wszelkie dostępne dane.

- Dlaczego są takie ważne?

- Bo moim zdaniem w tym procesie najważniejsza będzie przynęta. Sprawa dotyczy globalnego ocieplenia, ale takie sformułowanie nie ma żadnej siły emocjonalnej. Nie poruszy przysięgłych, którzy nie lubią czytać wykresów i słuchać o ułamkach stopni. To są szczegóły techniczne, dobre dla specjalistów i potwornie nudne dla zwykłego zjadacza chleba. Dlatego przysięgli muszą dostrzec tragedię ludzi, bezradnych, ubogich mieszkańców wysp, którym powódź może odebrać ziemię przodków. Musimy wykazać, że poziom wód rośnie gwałtownie i jest kompletnie niewytłumaczalny, chyba że pogodzimy się z faktem, że w ostatnim czasie z całym światem dzieje się coś dziwnego. Że bezprecedensowe zmiany w środowisku prowadzą do podniesienia poziomu mórz, co zagraża niewinnym mężczyznom, kobietom i dzieciom.

- I że te bezprecedensowe zmiany to właśnie globalne ocieplenie. Balder pokiwał głową.

- Przysięgli będą musieli sami wyciągnąć wnioski. Jeżeli pokażemy im przekonujący zapis podnoszenia się poziomu mórz, będziemy mieli mocną pozycję. Przysięgli, którzy widzą ludzką krzywdę, mają skłonność do szukania winnych.

- Rozumiem. - Evans widział już, do czego zmierza Balder. - I dlatego te informacje mają takie znaczenie.

- Właśnie. Muszą tylko być rzetelne i niepodważalne.

- A tak trudno takie zdobyć? Balder uniósł pytająco brew.

- Co pan wie o badaniu poziomu mórz, panie Evans?

- Niewiele. Wiem tylko, że ten poziom się podnosi.

- Niestety, to twierdzenie jest przedmiotem zacieklej sporów.

- Pan żartuje!

- Powszechnie wiadomo, że jestem całkowicie pozbawiony poczucia humoru.

- Z poziomem morza się nie dyskutuje! Nic prostszego, jak go zmierzyć. Zaznacza się, dokąd morze dochodzi podczas przypływu, mierzy tak rok po roku, śledzi wzrost... Co w tym trudnego?

- Naprawdę uważa pan, że to proste? Zapewniam, że tak nie jest. Wie pan, co to jest geoida? Nie? To ekwipotencjalna powierzchnia ziemskiego pola grawitacyjnego, będąca przybliżeniem średniego poziomu morza. Jasno się wyraziłem?

Evans pokręcił głową.

- W każdym razie jest to pojęcie kluczowe dla pomiarów poziomu mórz na Ziemi. - Balder przerzucił kilka leżących przed nim papierów. - Słyszał pan o modelowaniu glacyohydroizostaticznym? O wpływie ruchów eustatycznych i tektonicznych na dynamikę linii brzegowej? O sekwencji holocenijskich osadów dennych? O międzyprzędowym rozmieszczeniu otwornic? O analizie węglowej paleośrodowisk przybrzeżnych? Nie? Nic to panu nie mówi? W takim razie proszę mi wierzyć na słowo, że pomiar poziomu mórz to dziedzina wysoce wyspecjalizowana i szeroko dyskutowana. - Odłożył papiery na bok. - Właśnie się przez to przegryzam. Dyskusje wśród specjalistów dodatkowo podkreślają znaczenie rzetelnych danych.

- Które wy zdobędziecie?

- Tak, czekamy na ich dostarczenie. Australijczycy mają dane z kilku ośrodków, Francuzi na pewno z Moorea i być może z Papeete. Są również dane z Fundacji V. Allena Willy'ego, ale mają chyba zbyt krótką historię. Są jeszcze inne. Zobaczymy, co się uda zebrać.

Zahuczał interkom.

- Panie Balder - zgłosiła się sekretarka. - Dzwoni pan Drake z NERF-u.

- Dobrze. - Balder podał Evansowi rękę. - Miło się rozmawiało, panie Evans. Proszę przekazać George'owi nasze wyrazy wdzięczności. Jeśli będzie chciał nas odwiedzić, zapraszamy. Zawsze ktoś tu pracuje. Życzę powodzenia. Niech pan zamknie za sobą drzwi, wychodząc.

Balder odwrócił się i odebrał telefon. Evans usłyszał jeszcze:

- Nick? Co się w tym NERF-ie dzieje, do kurwy nędzy?! Załatwicie tę sprawę czy nie?!



I zamknął drzwi.

Dręczył go nieokreślony niepokój. Balder miał ogromny dar przekonywania; mało kto mógł się z nim równać. Wiedział, że Evans reprezentuje George'a Mortona. I wiedział, że Morton ma lada dzień wesprzeć sprawę Vanutu znaczną sumą pieniędzy. Balder powinien być podekscytowany i emanować pewnością siebie. A on wprawdzie zaczął tak:

Nie mam cienia wątpliwości, że wygramy tę sprawę.

Ale zaraz potem powiedział:

Czeka nas ciężka przeprawa.

Nie mamy ani jednego świadka-fachowca, którego nie dałoby się przeciągnąć na drugą stronę.

Moim zdaniem najważniejsza będzie przynęta.

Wszystko zależy od pomiarów zmian poziomu mórz.

Proszę mi wierzyć, że pomiar poziomu mórz to dziedzina wysoce wyspecjalizowana i szeroko dyskutowana.

Zobaczymy.

Taka rozmowa nie mogła podnieść Evansa na duchu. Podobnie zresztą jak sesja wideo z Jennifer Haynes i dyskusja o problemach natury naukowej, z jakimi borykają się ludzie przygotowujący pozew.

Doszedł jednak do wniosku, że wszystkie te wątpliwości dowodzą w istocie znacznej pewności siebie zespołu prawnego Vanutu. Sam był przecież adwokatem. Przyjechał poznać okoliczności towarzyszące procesowi, a oni niczego przed nimi nie ukrywali. Wygrają, chociaż nie będzie łatwo - ze względu na złożoność danych pomiarowych i krótki czas możliwości koncentracji uwagi przysięgłych.

Czy zatem powinien zachęcić Mortona, aby nadal udzielał im wsparcia?

Ależ oczywiście.

Przy drzwiach czekała na niego Jennifer Haynes.

- Oczekują pana w sali konferencyjnej.

- Przykro mi, ale naprawdę nie mam czasu. Nie planowałem...

- Rozumiem. Wrócimy do tego przy innej okazji. Tak się tylko zastanawiam... Czy nie znalazłby pan czasu na lunch ze mną?

- Czemu nie? - odparł Evans spokojnie. - Mój plan dnia nie jest aż tak napięty.

- To świetnie.

## **Culver City**

**Wtorek, 24 sierpnia Godz. 12.15**

Poszli do cichej, meksykańskiej restauracji w Culver City. Przy stoliku w kącie siedziała garstka montażystów z pobliskich Sony Studios, obok para obcałowujących się dzieciaków z liceum i grupa starszych kobiet w kapeluszach od słońca.

Usiedli w łoży i oboje zamówili specjalność zakładu.

- Balder twierdzi, że najważniejsze będą pomiary poziomu mórz - powiedział Evans.

- To jego opinia. Ja nie jestem tego taka pewna.

- Czemu?

- Nikt jeszcze nie widział wszystkich danych, ale nawet jeśli będą najwyższej próby, musiałyby dowodzić znaczących zmian, żeby zrobić wrażenie na przysięgłych. A nie wiadomo, czy tak będzie.

- Dlaczego? Lodowce topnieją, Antarktyda pęka...

- Mimo wszystko nie mamy pewności. Słyszałeś o Malediwach? To wyspy na Oceanie Indyjskim. Ich mieszkańcy martwili się możliwością powodzi, więc przyjechała do nich ekipa ze Skandynawii i wzięła się do pomiarów. Nie dość, że nie potwierdzili podnoszenia się poziomu oceanu na przestrzeni kilku wieków, to jeszcze odnotowali spadek w ostatnich dwudziestu latach.

- Spadek?! Opublikowali te wyniki?

- W zeszłym roku.

Kelner przyniósł jedzenie i Jennifer machnęła lekceważąco ręką: na razie dość gadania o pracy. Ze smakiem zjadła burrito, ocierając podbródek wierzchem dłoni. Od przegubu do łokcia jej przedramię przecinała zygzakowata blizna.

- Rany, uwielbiam takie zarcie. W Waszyngtonie nie kupi się porządnego meksykańskiego jedzenia.

- Pochodzisz stamtąd?

Pokiwała głową.

- Przyjechałam tu pomóc Johnowi.

- Poprosił cię o to?

- Nie mogłam odmówić. - Wzruszyła ramionami. - I tak oto widuję się z moim chłopakiem co drugi weekend. Raz on do mnie przylatuje, raz ja do niego. Ale jeśli to tak dalej potrwa, a proces może się ciągnąć rok albo i dwa lata, to wątpię, żeby nasz związek przetrwał.

- Czym się zajmuje twój chłopak?

- Jest prawnikiem. Evans się uśmiechnął.

- Czasem mam wrażenie, że wszyscy są prawnikami.

- Bo tak jest. Specjalizuje się w prawie giełdowym. Zupełnie inna branża niż moja.

- A twoja?

- Przygotowywanie świadków i wybór przysięgłych. Analiza psychologiczna. Dlatego opiekuję się grupami specjalistycznymi.

- No tak, rozumiem.

- Zdajemy sobie sprawę, że większość przysięgłych będzie wiedziała o globalnym ociepleniu i najprawdopodobniej uważała je za realne zagrożenie.

- Jezu... Mam nadzieję! Przecież od piętnastu lat ten fakt nie podlega dyskusji.

- Musimy jednak spróbować ustalić, co sobie pomyślą przysięgli w obliczu dowodów przeciwnego twierdzenia.

- Na przykład?

- Na przykład takich wykresów, jakie ci dziś pokazywałam. Albo danych satelitarnych. Słyszałeś o nich?

Evans pokręcił głową.

- Teoria globalnego ocieplenia przewiduje, że górne warstwy atmosfery będą się nagrzewały od uwięzionego w niej ciepła. To jest to, co nazywamy efektem cieplarnianym. Powierzchnia Ziemi nagrzej się dopiero później. Od 1979 roku dysponujemy satelitami, które stale mierzą temperaturę powietrza od ośmiu kilometrów wzwyż. I okazuje się, że powietrze nagrzewa się znacznie wolniej niż ziemia.

- Może coś jest nie tak z tymi danymi...

- Uwierz mi, sprawdzano je dziesiątki razy. Nie ma chyba na świecie innych informacji, które

weryfikowano by z takim uporem. Ale dane z balonów meteorologicznych je potwierdzają. Ocieplenie jest znacznie mniejsze, niżby to wynikało z teorii. - Jennifer wzruszyła ramionami. - I mamy kolejny problem. Już nad nim pracujemy.

- Jak?

- Naszym zdaniem to będzie za trudne dla przysięgłych. Szczegóły działania sond mikrofalowych, czterokanałowe skanery krosowe, dyskusje o tym, czy przy kalibracji kanału drugiego uwzględniono dryft dobowy, przesunięcie satelitów w fazie, zmienną w czasie i nieliniową reakcję przyrządów... Mamy nadzieję, że skapitulują. No, ale wystarczy tego gadania.

Otarła usta serwetką. Evansowi znów mignęła biała blizna na przedramieniu.

- Co ci się stało? - zapytał. Wzruszyła ramionami.

- To jeszcze z czasów uniwersytetu.

- A ja myślałem, że to moja szkoła była dla twardzieli.

- Byłam instruktorką karate w podłej dzielnicy. Zajęcia często trwały do późna. Zjesz te chipsy?

- Nie.

- Poprosimy o rachunek?

- Opowiedz.

- Nie ma co opowiadać. Którejś nocy wsiadłam po treningu do samochodu, a na siedzenie pasażera wskoczył dzieciak z pistoletem. Kazał mi ruszać.

- Twój podopieczny?

- Nie, starszy chłopak. Wyglądał na jakieś dwadzieścia lat.

- Co zrobiłaś?

- Kazałam mu wysiąść. On jednak obstawał przy swoim. Włączyłam silnik, wrzuciłam bieg, ruszyłam i zapytałam, dokąd chce jechać. Był na tyle głupi, żeby pokazać mi kierunek lufą pistoletu, więc uderzyłam go z przodu w szyję. Za słabo. Strzelił i rozwalił szybę. Poprawiłam mu łokciem, dwa, może trzy razy.

- Ico?

- Zabiłam go.

- Rany boskie...

- Ludzie czasem popełniają błędy. Co się tak na mnie gapisz? Chłopisko metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ważył ze sto kilo i miał kartotekę jak stąd do Nebraski: rozbój, napaść z użyciem niebezpiecznego narzędzia, próba gwałtu... Co tylko zechcesz. Myślisz, że powinno mi go być żal?

- Nie - zapewnił ją pospiesznie Evans.

- Właśnie że tak. Widzę to w twoich oczach. Ludzi często się nad nim litują. Mówią: przecież to był dzieciak, jak mogłaś to zrobić? A ja ci powiem, że nie mają pojęcia, co wygadują. Tamtej nocy jedno z nas musiało zginąć. I cieszę się, że to nie byłam ja. Co nie znaczy, że nie mam wyrzutów sumienia.

- To rozumiałe.

- Czasem budzę się w środku nocy, zrana zimnym potem. Kula rozbija szybę, odłamki sypią mi się na twarz. Uświadamiam sobie, że otarłam się o śmierć. Byłam głupia. Powinnam była od razu go zabić.

Evans nie wiedział, co powiedzieć.

- Przystawił ci ktoś kiedyś pistolet do głowy? - zapytała Jennifer.

- Nie.

- Więc nie wiesz, jakie to uczucie?

- Miałaś z tego powodu kłopoty?

- Jeszcze jakie! Z początku nie wiedziałam nawet, czy dadzą mi skończyć studia. Twierdzili, że go podpuszczałam, rozumiesz? A ja w życiu nie widziałam tego faceta! Ale trafiłam na dobrego adwokata, który mnie z tego wyciągnął.

- Balder? Pokiwała głową.

- Dlatego tu jestem.

- A ręka?

- Samochód w coś uderzył i rozcięłam rękę o szkło. - Kiwnęła na kelnerkę. - Weźmiemy rachunek?

- Zapłacę.

Wyszli z restauracji. Evans zamrugał, oślepiiony mlecznym popołudniowym blaskiem. Ruszyli ulicą.

- A więc... Pewnie nieźle znasz karate?

- Nie najgorzej.

Zatrzymali się przed magazynem. Podali sobie ręce.

- Chemie zjadłabym znów z tobą lunch - powiedziała bez ogródek Jennifer.

Zaproponowała mu to tak otwarcie, że zaczął się zastanawiać, czy z nim flirtuje, czy po prostu zależy jej na tym, żeby był na bieżąco z przygotowywaniem pozwu. Tak jak u Baldera, u niej też trudno było się doszukać entuzjazmu.

- Świetny pomysł.

- Jakoś niedługo?

- Umowa stoi.

- Zadzwonisz?

- Zadzwonię.

## **Beverly Hills**

**Wtorek, 24 sierpnia Godz. 17.04**

Ściemniało się, kiedy wrócił do domu i zaparkował w garażu w zaułku. Chciał wejść tylnymi schodami na górę, kiedy z okna wychyliła się gospodyni domu.

- Rozmiał się pan z nimi.

- Z kim?

- Z monterami z kablówki. Właśnie sobie poszli.

- Nie wzywałem ich. Wpuściła ich pani?

- Oczywiście, że nie. Powiedzieli, że poczekają, ale w końcu zrezygnowali.

Evans nie słyszał jeszcze, żeby monterzy z kablówki chcieli na kogoś czekać.

- Długo czekali?

- Nie. Z dziesięć minut.

- Dobrze, dziękuję.

Wszedł do siebie na piętro. Na klamce wisiała kartka: Abonent nieobecny. Prosimy o kontakt telefoniczny w celu umówienia się na inny termin.

I nagle wszystko stało się jasne: na kartce wpisano adres Roxbury 2119, a on mieszkał przy Roxbury 2129. Tyle że adres był podany na frontowych drzwiach, a nie tych od podwórka. Pomylili się.

Zajrzał pod wycieraczkę: klucz był na swoim miejscu. Nikt go nie ruszał. Otaczała go obwódka kurzu.

Otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. W lodówce znalazł stary pojemnik z jogurtem. Wiedział, że powinien pojechać po zakupy, ale był za bardzo zmęczony. Sprawdził automatyczną sekretarkę, ale ani Carol, ani Janis sienie nagrały. Mógł jeszcze spróbować z Jennifer Haynes, ale miała chłopaka, mieszkała w Waszyngtonie i... Znajomość bez szans.

Przez chwilę chciał zadzwonić do Janis, ale odpuścił sobie. Wziął prysznic i postanowił zamówić pizzę z dostawą do domu. Wyciągnął się na łóżku, żeby chwilę się odprężyć - i natychmiast zasnął.

Century City Środa, 25 sierpnia Godz. 8.59

Spotkanie zaplanowano w dużej sali konferencyjnej na trzynastym piętrze. Uczestniczyli w nim czterej księgowi Mortona; jego asystentka Sarah Jones; Herb Lowenstein; niejaki Marty Bren, ekspert podatkowy NERF-u; oraz Evans. Morton, który szczerze nie cierpiał wszelkich narad finansowych, nerwowo krążył po sali.

- Bierzmy się do roboty - zarządził. - Mam przekazać NERF-owi dziesięć milionów dolarów, prawda? Papiery są już podpisane?

- Tak - odparł Lowenstein.

- Ale NERF chce spisać aneks do umowy?

- Owszem - przytaknął Bren i przejrzał swoje papiery. - To standardowe uzupełnienie. Każda instytucja, która żyje z darowizn, chce mieć pełny wpływ na ich wykorzystanie, nawet jeśli otrzymuje je na konkretny cel. Może się okazać, że koszty będą niższe od przewidywanych, realizacja planu się opóźni, projekt utknie w proceduralnym bagnie albo zostanie przełożony na inny termin. W tym wypadku chodzi o pieniądze przeznaczone na przygotowanie pozwu Vanutu. NERF chciałby wprowadzić do umowy następujące sformułowanie: „Wspomniane pieniądze zostaną przeznaczone na opłacenie kosztów przygotowania pozwu Vanutu, w tym wynagrodzeń, kosztów kopiowania i opłat sądowych... i tak dalej... lub na inne cele prawne... lub na cele, związane z działalnością NERF-u jako organizacji ekologicznej”.

- Tak to ma brzmieć? - upewnił się Morton.

- Taki jest szablon.

- Czy w naszych poprzednich umowach był taki dopisek?

- W tej chwili tego nie pamiętam.

- Dla mnie to brzmi tak, jakby NERF chciał odpuścić sobie proces i wydać pieniądze na coś zupełnie innego.

- Wątpię, żeby im o to chodziło - wtrącił Lowenstein.

- Tak? To po co im ten szablon? Podpisaliśmy umowę, prawda? Dlaczego nagle chcą ją zmienić?

- To żadna zmiana - zauważył Bren.

- Przeciwnie, Marty. Zmiana jest poważna.

- W tekście jest już zapis o tym, że pieniądze niewykorzystane na obsługę procesu NERF może przeznaczyć na inne cele.

- Tylko wtedy, jeśli coś mu zostanie po zakończeniu procesu. Do czasu rozstrzygnięcia sprawy nie może wydać ich na nic innego.

- Taki proces może potrwać.

- Niby dlaczego? - Morton spojrział na Evansa. - Peter? Co słyhać w Culver City?

- Praca wre. Mają tam spory ośrodek, ze czterdziestu ludzi zajmuje się tą sprawą. Wątpię, żeby chcieli ją sobie odpuścić.

- Są jakieś problemy z przygotowaniem pozwu?

- Problemów może nie ma, ale sprawa jest skomplikowana, a przeciwnik mocny. Dlatego przykładają się do tej roboty.

- A ja jakoś nie jestem przekonany. Pół roku temu Nick Drake przekonywał mnie, że zyskają rozgłos i wygrają w cuglach, a teraz nagle zaczyna się zabezpieczać. Ciekawe dlaczego.

- Może należałoby zapytać Nicka.

- Mam lepszy pomysł. Zrobimy audyt w NERF-ie. W sali rozległy się pomruki.

- Chyba nie masz takich uprawnień, George.

- Wpiszcie je do umowy.

- To nie przejdzie.



- Oni chcą mieć swój aneks, a ja swój. W czym problem?

- Nie masz prawa kontrolować całego funduszu...

- George - wtrącił pojednawczo Lowenstein. - Znacie się z Nickiem od lat. NERF przyznał ci tytuł Ekoobywatela Roku. Taka kontrola wśród przyjaciół wyglądałaby trochę dziwnie, nie uważasz?

- Tak jakbym im nie ufał?

- Prawdę mówiąc... Tak.

- Bo im nie ufam. - Morton oparł się o stół i powiódł wzrokiem po twarzach siedzących przy nim ludzi. - Wiecie, co sobie myślę? Chcą odpuścić sobie proces i wydać całą kasę na tę konferencję o gwałtownych zmianach klimatycznych, którą Nick tak się ekscytuje.

- Na konferencję nie potrzebowaliby dziesięciu milionów.

- Nie wiem, ile potrzebują, ale wiem, że dwieście pięćdziesiąt tysięcy już gdzieś posiali. Ćwierć miliona poszło do Vancouveru, psia krew! Ja już naprawdę nie rozumiem, co Nick wyrabia.

- Może powinieneś cofnąć dotację?

- Zaraz, zaraz - odezwał się Bren. - Nie tak szybko. Obawiam się, że fundusz, spodziewając się darowizny, pozaciągał już pewne zobowiązania finansowe.

- No to może dać im część sumy, a nie całość?

- Nie - zdecydował Morton. - Nie cofnę dotacji. Peter Evans twierdzi, że przygotowania trwają. Wierzę mu. Nick twierdzi, że te ćwierć miliona zgubili przez przypadek. Jemu też wierzę. Chcę jednak, abyście przeprowadzili audyt i powiedzieli mi, co się tam dzieje. A na razie wyjeżdżam na trzy tygodnie.

- Wyjeżdżasz? Dokąd?

- Na wycieczkę.

- Musimy mieć z tobą kontakt, George.

- Nie będę cały czas pod telefonem. Dzwońcie do Sarah. Albo kontaktujcie się ze mną przez Petera.

- Ależ George...

- To wszystko. Pogadajcie z Nickiem, zobaczymy, co powie. Odezwę się. Morton wyszedł z sali. Sarah wybiegła za nim.

Lowenstein spojrzał na pozostałych.

- Co to, do jasnej cholery, ma znaczyć?

## Vancouver

**Czwartek, 26 sierpnia Godz. 12.44**

Zagrzmiało złowrogo. Nat Damon wyrztał przez okno kantorka i westchnął ciężko. Wiedział, że przez wypożyczenie tej łodzi będzie miał kłopoty. Kiedy bank odmówił przyjęcia czeku, Damon odwołał wypożyczenie i miał nadzieję, że sprawa jest zamknięta. Ale nie.

Całymi tygodniami nic się nie działo, aż w końcu jeden z klientów, prawnik w połyskliwym garniturze, nieoczekiwanie zjawił się u niego w biurze, wygrażając mu palcem i przypominając, że podpisał klauzulę poufności. Gdyby powiedział komuś o umowie, groził mu proces.

- Może wygramy, a może nie - mówił prawnik. - Ale jedno jest pewne: pożegna się pan z firmą. Ma pan kredyt hipoteczny. Do końca życia nie wygrzebie się pan z długów. Proszę to przemyśleć i trzymać język za zębami.

Serce waliło Damonowi jak młotem. Problem polegał na tym, że przedstawiciel izby skarbowej już się z nim skontaktował: niejaki Kenner zapowiedział swoją wizytę na dzisiejsze popołudnie. Chciał, jak mówił, zadać kilka pytań.

Damon bał się, że Kenner zastanie jego klienta w biurze, ale prawnik właśnie odjeżdżał: niczym niewyróżniający się buick sedan z rejestracją z Ontario przemknął przez stocznnię jachtową i zniknął mu z oczu.

Damon zaczął uprzątać papiery i szykować się do wyjścia do domu. Zastanawiał się, czy nie wyniknąć się z biura przez przyjazdem Kennera.

Kenner był urzędnikiem skarbowym, a Damon nie zrobił przecież nic złego. Nie musiał się z nim spotykać. A jeśli nawet się spotkają, to co mu powie, skoro nie może odpowiadać na żadne pytania?

Jeszcze mu każą składać zeznania pod przysięgą. Zaciągną go do sądu.

Postanowił nie czekać na Kennera. Znow zagrzmiało, niebo w oddali przecięła błyskawica. Nadciągała potężna burza.

Już miał wyjść, kiedy dostrzegł leżący na stole telefon komórkowy. Prawnika musiał go zapomnieć. Wyrztał przez okno, czy po niego nie wraca - na razie nikogo nie było widać, ale wcześniej czy później facet się zorientuje i przyjedzie. Damon uznał, że lepiej będzie na wszelki wypadek się zmyć.

W pośpiechu schował telefon do kieszeni, pogasił światła, wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Pierwsze krople deszczu rozbryzgiwały na chodniku. Właśnie wsiadał do samochodu, kiedy komórka

zadzwońiła. Zawahał się, nie wiedząc, co zrobić. Telefon dzwonił uparcie.

Zygzakowaty piorun uderzył w maszt jednego z jachtów. Ułamek sekundy później oślepiające światło rozbłysło tuż przy samochodzie i fala gorąca zwała Damona z nóg.

Oszołomiony dźwignął się na kolana. Pomyślał, że może samochód eksplodował, ale wóz miał tylko poczerwiałe drzwi. Nat nagle zauważył, że spodnie się na nim palą. Gapił się tępo na swoje nogi; nie mógł się ruszyć. Usłyszał kolejny grzmot i nagle dotarło do niego, że trafił go piorun!

Mój Boże, pomyślał, trafił mnie piorun. Usiadł i próbował rękami ugasić płomienie. Bez skutku. Poparzone nogi zaczynały go boleć. Na szczęście w biurze miał gaśnicę.

Z wysiłkiem, na chwiejnych nogach ruszył w stronę kantorka. Odretwiąłymi palcami zmagął się właśnie z zamkiem, kiedy rozległ się następny wybuch. Poczł ostry ból w uszach, podniósł rękę, poczuł krew. Spojrzał na zakrwawione opuszki palców, przewrócił się i umarł.

## Century City

### Czwartek, 2 września Godz. 12.34

W normalnych okolicznościach Peter Evans i George Morton rozmawiali codziennie, czasem nawet dwa razy dziennie. Dlatego też po tygodniu milczenia Evans zadzwonił do Mortona do domu. Odebrała Sarah.

- Nie wiem, co się dzieje - przyznała. - Dwa dni temu był w Dakocie Północnej. W Dakocie Północnej, wyobrażasz sobie?! Dzień wcześniej był w Chicago, więc dziś równie dobrze może być w Wyoming. Zapowiadał, że wybiera się też do Boulder w Kolorado, ale nie wiem, co o tym myśleć.

- A co jest w Boulder?

- Nie wiem. Na śnieg jeszcze za wcześnie.

- Może ma nową dziewczynę?

Mortonowi zdarzało się znikać na początku nowego romansu.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- A co robi?

- Nie mam pojęcia. Ale wydaje mi się, że ma listę pilnych zakupów.

- Listę zakupów?

- W pewnym sensie... Najpierw polecił mi kupić mu taki specjalny model odbiornika GPS,

wiesz, do określania pozycji w terenie. Potem zażyczył sobie kamery z CCD, CCF czy czymś takim. Musieliśmy mu ją na gwałt sprowadzić z Hongkongu. A wczoraj kazał mi kupić nowe ferrari od gościa w Monterey i przewieźć je do San Francisco.

- Następne ferrari?

- No właśnie. Ile można ich mieć? W dodatku ten egzemplarz nie trzyma standardów George'a. Sądząc ze zdjęć, które dostałam e-mailem, jest w fatalnym stanie.

- Może każe je wyremontować.

- Gdyby tak było, kazałby je zawieźć do Reno. Tam ma znajomy warsztat. Evans wyczuł w jej głosie nutę niepokoju.

- Coś cię trapi, Sarah.

- Powiem ci coś, ale niech to zostanie między nami. To ferrari to model z 1972 roku, daytona spyder 365 GTS.

- Co z tego?

- Już jedno takie ma. Zachowuje się tak, jakby o nim zapomniał. I dziwnie mi się z nim rozmawia.

- Jak to: dziwnie?

- No... dziwnie. Jakbym rozmawiała z obcym człowiekiem.

- Z kim podróżuje?

- O ile wiem, to z nikim.

Evans zmarszczył brwi. To było coś niezwykłego. Morton nie lubił być sam. Dlatego Evans w to nie uwierzył.

- A Kenner i ten jego nepalski kumpel? Gdzie teraz są?

- Podobno wybierali się do Vancouveru, a stamtąd do Japonii. Tak że to nie z nimi się włóczy.

- Aha.

- Kiedy się odezwie, przekażę mu, że dzwoniłeś.

Evans rozłączył się, niezadowolony, i pod wpływem nagłego impulsu wybrał numer komórki Mortona. Połączył się z pocztą głosową: Tu George.

Po sygnale. I sygnał.

- George, mówi Peter Evans. Tak tylko sprawdzam, czy czegoś nie potrzebujesz. W razie czego zadzwoń do mnie do biura.

Rozłączył się, wyrztał przez okno i wybrał następny numer.

- Centrum Analizy Ryzyka, słucham.

- Z biurem profesora Kennera poproszę.

Po chwili rozmawiał już z sekretarką Kennera.

- Mówi Peter Evans. Szukam profesora Kennera.

- A tak, panie Evans, doktor Kenner spodziewał się pana telefonu.

- Tak?

- Tak. Chce się pan z nim skontaktować?

- Chciałbym.

- Jest teraz w Tokio. Podać panu numer na komórkę?

- Jeśli można...

Zapisał numer w notesie i już miał zadzwonić, kiedy do gabinetu weszła Heather. Oznajmiła, że lunch chyba jej zaszkodził i chciałyby wyjść wcześniej.

- Idź. I kuruj się - westchnął Evans.

Kiedy jej nie było, musiał osobiście odbierać telefony - a zaraz zadzwoniła Margo Lane, kochanka Mortona, z pytaniem, gdzie też się ten cholerny George podziewa. Rozmowa trwała bez mała pół godziny.

A potem w biurze Evansa zjawił się Nicholas Drake.

- Martwię się - wyznał Drake.

Stał przy oknie z rękoma splecionymi za plecami i wpatrywał się w biurowiec po drugiej stronie ulicy.

- Czym?

- Tym całym Kennerem. George spędza z nim mnóstwo czasu.

- Nie wiedziałem o tym.

- Przecież to oczywiste. Nie myślisz chyba, że George naprawdę podróżuje sam, co?

Evans nie odpowiedział.

- George uwielbia towarzystwo. Obaj o tym wiemy. Nie podoba mi się to, w co się teraz wpakował. Bardzo mi się nie podoba. To dobry człowiek, zresztą nie muszę ci o tym mówić, ale podatny na wpływ innych. Także na zły wpływ.

- Czy profesor MIT może mieć na niego zły wpływ?

- Poczytałem trochę o profesorze Kennerze. To zagadkowa postać.

- Tak?

- Przez kilka lat pracował w administracji rządowej: Departament Środowiska, Międzyrządowa Komisja Negocjacyjna i tak dalej.

- No i?

- W Departamencie Środowiska nie ma po nim śladu.

- To było ponad dziesięć lat temu. - Evans wzruszył ramionami. - A jakie są rządowe archiwa, każdy wie...

- Być może. Ale to nie koniec. Profesor Kenner wraca do MIT i przez osiem lat z powodzeniem tam pracuje. Jest konsultantem EPA, Departamentu Obrony, Bóg wie, czego jeszcze. A potem nagle idzie na urlop i wszelki ślad po nim ginie. Po prostu znika z radaru.

- Nie byłbym tego taki pewien. Na wizytówce podano, że jest dyrektorem Centrum Analizy Ryzyka.

- Ale urlopowanym. Nie wiadomo, czym się ostatnio zajmuje, nie wiadomo, jakich ma sponsorów... Rozumiem, że się poznaliście?

- Widzieliśmy się.

- A teraz kumpluje się z George'em?

- Nie wiem, Nick. Od ponad tygodnia nie rozmawiałem z George'em.

- Wyjechał z Kennerem.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Ale wiesz, że obaj pojechali do Vancouveru.

- Prawdę mówiąc, nie wiedziałem.

- Nie będę owijał w bawełnę. Wiem z wiarygodnego źródła, że John Kenner obraca się w podejrzanym towarzystwie. Centrum Analizy Ryzyka jest w całości finansowane przez lobby przemysłowe. Mam mówić dalej? Przez kilka lat pan Kenner doradzał Departamentowi Obrony. Ba, jego związki z Pentagonem są tak silne, że przeszedł nawet specjalistyczne szkolenie.

- Wojskowe?

- Tak. W Fort Bragg i Harvey Point w Karolinie Północnej. Ma koneksje w rządzie i w armii. Słyszałem również, że jest wrogo nastawiony do głównych organizacji ekologicznych. Nie podoba mi się, że ktoś taki kręci się koło naszego biednego George'a.

- Na twoim miejscu nie martwiłbym się o George'a. Zwęszy propagandę na kilometr.

- Mam nadzieję, ale i tak nie podzielam twojej pewności. Spójrz: znikąd pojawia się pan żołnierz i nagle George chce nam robić audyt. Boże mój, po co? Czy on sobie nie zdaje sprawy, jakie to marnotrawstwo czasu, pieniędzy, wszystkiego? Ja na pewno stracę masę czasu.

- Nie wiedziałem o tym, że audyt został zatwierdzony.

- Dyskusja trwa. Oczywiście nie mamy nic do ukrycia i jesteśmy gotowi w każdej chwili poddać się kontroli. Zawsze to powtarzam. Ale teraz mamy wyjątkowo dużo roboty: szykuje się pozew Vanutu i konferencja o gwałtownych zmianach klimatycznych, wszystko w ciągu paru najbliższych tygodni. Chciałbym pogadać z George'em.

- Zadzwoń na komórkę.

- Próbowałem. Ty też?

- Mhm.

- Oddzwonił?

- Nie.

Drake pokręcił głową.

- Facet jest moim Ekoobywatelom Roku, a ja nie mogę się nawet do niego dodzwonić.

**Beverly Hills.**

**Poniedziałek, 13 września Godz. 8.07**

Morton siedział przy stole w ogródku kawiarni przy Beverly Drive i czekał na Sarah. Była ósma rano. Sarah nie zwykła się spóźniać, a mieszkała niedaleko. Chyba że znów związała się z tym

aktorem. Młodzi ludzie potrafią tracić masę czasu na chybione związki.

Popijał kawę i machinalnie przeglądał „Wall Street Journal”. Do reszty stracił zainteresowanie gazetą, kiedy przy sąsiednim stoliku usiadła niezwykła para.

Kobieta była prześliczna; miała drobne ciało, ciemne włosy i egzotyczną urodę. Mogła być Marokanką, ale trudno było to rozpoznać po akcencie. Jej ubranie - obcisła spódniczka, szpilki i kurtka od Chanel - było modne, ale dość niezwykle w swobodnej atmosferze Los Angeles.

Mężczyzna, który jej towarzyszył, pasował do niej jak pięść do nosa: był to barczysty Amerykanin o zaczerwienionej twarzy, która miała w sobie coś z ryja prosięcia, w swetrze, workowatych spodniach koloru khaki i adidasach. Wyglądał jak futbolista. Opadł ciężko na krzesło.

- Dla mnie latte, mała. Beztłuszczowe. Duże.

- Myślałam, że najpierw zamówisz dla mnie, jak dżentelmen.

- Nie jestem dżentelmenem. Tak jak ty nie jesteś żadną damą, frajerko. Nie po tym, jak szlajałaś się gdzieś przez całą noc. Darujmy sobie te damy i dżentelmenów, dobrze?

Kobieta wyduła wargi.

- Nie rób scen, cheri.

- Kurna twoja... Kazałem ci tylko zamówić latte! I kto tu robi scenę?

- Ale cheri...

- Zamówisz czy nie?! - Amerykanin spojrzał na nią spode łba. - Wiesz co, Marisa? Mam cię dość.

- Nie jestem twoją własnością. Robię to, na co mam ochotę.

- Właśnie widzę.

Przez cały czas rozmowy gazeta w rękach Mortona osuwała się coraz niżej. Teraz złożył ją na pół, oparł na kolanie i udawał zaczytanego, ale w rzeczywistości nie mógł oderwać oczu od kobiety. Była niewiarygodnie piękna, choć niezbyt młoda. Mogła mieć ze trzydzieści pięć lat. Jej dojrzałość w dziwny sposób dodawała jej seksapilu. Był nią zauroczony.

- Nudzisz mnie, Williamie - powiedziała do futbolisty.

- Mam sobie iść?

- Może tak będzie lepiej...

- Chrzań się.



I uderzył ją w twarz. Morton nie wytrzymał.

- Hola! Wyluzuj, kolego.

Kobieta uśmiechnęła się do niego, a mięśniak wstał i zacisnął pięści.

- Nie wtrącaj się, kutafonie!

- Kobiet się nie bije.

- A może my się pobijemy?

Morton zamachał na przejeżdżający akurat radiowóz. Samochód zatrzymał się przy krawężniku.

- Wszystko w porządku? - zapytał jeden z policjantów.

- Tak, tak. W zupełnym - zapewnił go Morton.

- Pieprzę was. - Futbolista odwrócił się i odszedł. Kobieta uśmiechnęła się do Mortona.

- Dziękuję panu.

- Nie ma za co. Dobrze słyszałem, że ma pani ochotę na latte? Znow się uśmiechnęła i założyła nogę na nogę, odsłaniając śniade kolana.

- Gdyby był pan tak miły...

Morton właśnie wstawał od stolika, kiedy usłyszał wołanie Sarah:

- Hej, George! Przepraszam za spóźnienie.

Miała na sobie dres i buty do biegania. Jak zwykle wyglądała oszałamiająco.

Gniewny grymas wykrzywił smagłą twarz kobiety przy stoliku. Trwał tylko ułamek sekundy, ale wzbudził niepokój George'a. Coś tu nie gra. Nie znali się, nie miała powodu się złościć. Może chciała dać nauczkę swojemu chłopakowi, który przystanął na następnym skrzyżowaniu i udawał, że ogląda wystawę sklepu. Ale o tej porze sklepy były jeszcze pozamykane.

- Gotowy? - spytała Sarah.

Morton przeprosił kobietę, która zbyła go machnięciem ręki. Pomyślał, że mogłaby być Francuzką.

- Może się jeszcze spotkamy - dodał.

- Może. Ale raczej wątpię. Szkoda. Ca va.

- Miłego dnia.

Kiedy wyszli z kawiarni, Sarah spytała:

- Kto to był?

- Nie znam jej. Siedziała przy stoliku obok.

- Ostra zawodniczka. Morton wzruszył ramionami.

- Przeszkodziłam wam w czymś? Nie? To dobrze. - Sarah podała mu trzy szare koperty. - Tu masz spis dotychczasowych darowizn na rzecz NERF-u. Tu jest ostatnia umowa; zobaczysz, jak się takie rzeczy pisze. A tu jest ten czek kasjerski, o który prosiłeś. Uważaj z nim. To spora sumka.

- Poradzę sobie. Za godzinę wyjeżdżam.

- Powiesz mi dokąd? Morton pokręcił głową.

- Lepiej żebyś nie wiedziała.

## **Century City**

### **Poniedziałek, 27 września Godz. 9.45**

Evans od ponad dwóch tygodni nie miał żadnych wieści od Mortona. Nie pamiętał, żeby wcześniej zdarzyła im się taka przerwa w ich wzajemnych kontaktach. Umówił się na lunch z Sarah, która była wyraźnie podenerwowana.

- Odzywał się w ogóle? - zapytał.

- Ani słowem.

- A co mówią piloci?

- Są na lotnisku Van Nuysa. Wynajął inny samolot. Nie wiem, gdzie jest

- Kiedy wraca?

- Kto to może wiedzieć?

Tym bardziej się zdziwił, kiedy jeszcze tego samego dnia Sarah zadzwoniła do niego z wiadomością:

- Zbieraj się. George chce cię zobaczyć.

- Gdzie?

- W NERF-ie. W Beverly Hills.

- Wrócił?

- Najwyraźniej.

Z biura w Century City do biurowca NERF-u miał dziesięć minut jazdy. Główna siedziba Krajowego Funduszu Zasobów Naturalnych mieściła się, naturalnie, w Waszyngtonie, ale całkiem niedawno Fundusz otworzył biuro regionalne w Beverly Hills. Cynicy twierdzili, że NERF chciał się w ten sposób zbliżyć do hollywoodzkich gwiazd, od których zależała jego egzystencja, lecz były to tylko plotki.

Evans łudził się, że zastanie Mortona na dworze, ale nie było go nigdzie widać. W recepcji powiedziano mu, że Morton czeka w sali konferencyjnej na drugim piętrze. Evans poszedł więc na drugie piętro.

Sala miała dwie szklane ściany. Wyposażono ją w duży stół konferencyjny, osiemnaście krzeseł i stojący w kącie zestaw audiowizualny do prowadzenia prezentacji.

Trzy znajdujące się w środku osoby sprzeczały się zaciekle. Czerwony jak piwonia Morton stał u szczytu stołu i gestykulował z ożywieniem. Drake krążył po sali, groził mu palcem i pokrzykiwał na niego. John Henley, posępny szef public relations w NERF-ie, siedział schylony nad notesem o żółtych kartkach i zawzięcie coś notował. Kłótnia Drake'a i Mortona najwyraźniej go nie dotyczyła.

Nie bardzo wiedząc, jak się zachować, Evans stał i patrzył. Dopiero po chwili Morton go zauważył i machnął ręką, żeby usiadł i poczekał na zewnątrz. Tak też zrobił i dalej śledził dyskusję zza szyby.

Wkrótce okazało się, że w pokoju jest jeszcze czwarta osoba. Z początku Evans jej nie zauważył, bo przykucnęła za mównicą, ale kiedy wstała, zobaczył robotnika w czystym, świeżo odprasowanym kombinezonie, z podobną do aktówki skrzynką na narzędzia i dwoma elektronicznymi miernikami przy pasku. Na piersi miał znak firmowy AvNetwork Systems.

Był wyraźnie skrupowany. Drake chciał się go pozbyć, natomiast Morton cieszył się, że ma publiczność; Drake próbował go wyrzucić, Morton nalegał, żeby został. Biednemu monterowi nie pozostało nic innego, jak znów schować się za mównicą. Po chwili jednak Drake postawił na swoim i technik wyszedł.

- Ciężki dzień, co? - zagadnął go Evans. Monter wzruszył ramionami.

- W tym budynku stale są problemy z siecią. Moim zdaniem użyli kiepskiej skrętki ethernetowej. Albo routery się przegrzewają...

I poszedł.

Kłótnia tymczasem się zaostrzyła i trwała jeszcze dobre pięć minut. Ściana była praktycznie dźwiękoszczelna, ale od czasu do czasu do Evansa dolatywały pojedyncze wykrzyczane zdania.

- Do jasnej cholery, chcę to wygrać! - ryknął Morton.

- To zbyt ryzykowne - protestował Drake. Morton rozeźlił się jeszcze bardziej.

- Przecież walczymy o przyszłość naszego globu? - zapytał chwilę później.

Drake doradził mu więcej realizmu, na co Morton odparł:

- W dupie mam realizm!

Henley podniósł wzrok i powiedział:

- Z ust mi pan to wyjął. Albo coś w tym guście.

Evans miał nieodparte wrażenie, że chociaż spór dotyczy pozwu Vanutu, przy okazji dotyka wielu innych ważnych kwestii.

Nagle Morton wyszedł i trzasnął drzwiami z taką siłą, że szklane ściany zadygotały.

- Pieprzę ich! - burknął.

Evans podszedł do niego. Dwaj mężczyźni za szkłem pochylili się ku sobie i zaczęli szeptać.

- Pieprzę ich! - krzyknął George. Milczał przez chwilę, po czym się odwrócił. - Czy jeśli mamy rację, nie powinniśmy mówić prawdy?

Drake smutno pokręcił głową.

- Co za gnojki - mruknął Morton i ruszył przed siebie.

- Wzywałeś mnie? - zapytał Evans.

- Wzywałem. Znasz tego drugiego gościa?

- Tak, to John Henley.

- Zgadza się. Razem tworzą mózg NERF-u. To bez znaczenia, jakie gwiazdy mają w zarządzie i na firmówce i ilu opłacają prawników. To ci dwaj rządzą Funduszem. Reszta im tylko klaszcze. Poza nimi nikt nie wie, co się naprawdę dzieje w NERF-ie; gdyby wiedzieli, nie firmowaliby go swoimi nazwiskami. Aleja wiem i powiem ci, że się z tego wycofuję. Raz na zawsze.

Weszli na schody.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie dostaną ode mnie dziesięciu milionów na pozew.

- Powiedziałeś im to?

- Nie, nie powiedziałem. Ty też im nie mów. Niech to będzie niespodzianka. - Morton uśmiechnął się ponuro. - Ale przygotuj już odpowiednie dokumenty.

- Jesteś pewien, George?

- Nie wkurzaj mnie, chłopcze.

- Tylko zapytałem...

- A ja powiedziałem, żebyś przygotował papiery. Więc zrób to. Evans obiecał, że się tym zajmie.

- I to dziś.

Evans zapewnił, że natychmiast weźmie się do pracy.

Nie odezwał się więcej, póki schodzili do garażu. Odprowadził Mortona do samochodu. Szofer, Harry, otworzył drzwi szefowi.

- Pamiętaj, George, że w przyszłym tygodniu NERF wydaje bankiet na twoją cześć - Evans przerwał milczenie. - Uwzględniasz go w swoich planach?

- Naturalnie. Za żadne skarby świata nie chciałbym go przegapić. Morton wsiadł do limuzyny. Harry zamknął za nim drzwi i powiedział do Evansa:

- Do widzenia panu.

Samochód wyjechał z garażu i utonął w powodzi porannego światła.

Zadzwoił do niej z samochodu.

- Sarah?

- Wiem, wiem...

- Co się dzieje?

- Nie chce mi nic powiedzieć, ale jest wściekły, Peter. Wściekły jak osa.

- Też miałem takie wrażenie.

- Właśnie znowu wyjechał.

- Słucham?!

- Wyjechał. Powiedział, że wraca za tydzień. I że zdążymy polecieć do San Francisco na bankiet.

Drake zadzwonił do Evansa na komórkę.

- Co się dzieje, Peter?

- Nie wiem, Nick.

- On oszalał. To, co wygadywał... Słyszałeś go?

- Właściwie nie...

- Pomieszało mu się w głowie. Martwię się o niego, naprawdę się martwię. Jako przyjaciel i jako organizator bankietem w przyszłym tygodniu. Myślisz, że dojdzie do siebie?

- Na pewno. Chce zabrać na imprezę cały samolot znajomych.

- Poważnie?

- Tak twierdzi Sarah.

- Chciałbym porozmawiać z George'em. Mógłbyś to jakoś zorganizować?

- Słyszałem, że właśnie przed chwilą znów wyjechał z miasta.

- To przez tego przekłętą Kennera! On za tym wszystkim stoi.

- Nie wiem, co się dzieje z George'em, Nick, ale zapewniam cię, że wybiera się na ten wasz bankiet.

- Obiecuj mi, że go przywieziesz. Osobiście.

- Posłuchaj, Nick, George robi to, co chce.

- Tego się właśnie boję.

## **W drodze do San Francisco**

**Poniedziałek, 4 października Godz. 13.38**

Morton zabrał na pokład gulfstreama grupę najślawniejszych zwolenników NERF-u, wśród nich dwie gwiazdy rocka, żonę znanego komika, aktora, który grał prezydenta w serialu telewizyjnym, pisarza, który niedawno kandydował na stanowisko gubernatora, oraz dwóch prawników z innych

kancelarii, specjalizujących się w kwestiach ochrony środowiska. Przy białym winie i kanapkach z wędzonym łososiem toczyła się ożywiona dyskusja o tym, jak Stany Zjednoczone, największa potęga gospodarcza na świecie, powinny promować świadomość ekologiczną.

O dziwo, Morton nie włączał się do rozmowy. Siedział z tyłu, zirytowany i ponury. Evans dotrzymywał mu towarzystwa. Morton popijał wódkę. Bez wody. Drugą szklaneczkę z rzędu.

- Mam tu dokumenty niezbędne do cofnięcia dotacji. - Evans wyjął z aktówki plik papierów. - Jeżeli nie zmieniłeś zdania...

- Nie zmieniłem. - Morton zerknął przelotnie na dokumenty i podpisał się, gdzie należało. - Pilnuj ich do jutra.

Popatrzył po swoich gościach, którzy przerzucali się statystykami wymierania zwierząt w wycinanych lasach tropikalnych. Ted Bradley - człowiek, który grał prezydenta - tłumaczył właśnie, że woli swój elektryczny samochód (a jeździ nim, czego nie omieszkał podkreślić, już od lat) od nowych wozów z napędem hybrydowym, choć to one właśnie szybko zyskują popularność.

- Nie ma porównania - twierdził. - Hybrydy są fajne, ale to nie są prawdziwe samochody.

Przy środkowym stoliku Ann Garner, zasiadająca w zarządach różnych organizacji ekologicznych, tłumaczyła, że Los Angeles powinno rozbudować sieć transportu publicznego, żeby ludzie mniej jeździli samochodami. Bo Stany Zjednoczone, tłumaczyła, produkują najwięcej dwutlenku węgla ze wszystkich krajów na świecie. Wstyd. Ann była piękną żoną znanego adwokata i kiedy w coś wierzyła - zwłaszcza w ekologię - z zapałem broniła swoich przekonań.

Morton westchnął i odwrócił się do Evansa.

- Masz pojęcie, ile zanieczyszczeń generujemy w tej chwili? Przewożąc dwanaście osób do San Francisco, spalimy ponad półtony paliwa lotniczego. Wyprodukujemy więcej zanieczyszczeń w przeliczeniu na głowę niż większość ludzi przez cały rok.

Dopił wódkę, ze złością zagrzechał lodem w szklance i podał ją Evansowi, który posłusznie poprosił o dolewkę dla szefa.

- Jest tylko jedna rzecz gorsza od liberała w limuzynie: ekolog w odrzutowcu.

- Sam jesteś takim ekologiem, George.

- Wiem o tym i żałuję, że nie umiem się tym bardziej przejąć. Ale jakoś mi się nie udaje. Ja po prostu lubię latać własnym odrzutowcem.

- Słyszałem, że byłeś w Dakocie Północnej i w Chicago.

- Zgadza się, byłem.

- Po co?

- Żeby wydać pieniądze. Spore pieniądze. Naprawdę spore.

- Kupiłeś jakieś dzieła sztuki?

- Nie. Kupiłem coś znacznie cenniejszego. Uczciwość.

- Nigdy ci jej nie brakowało.

- Nie swoją, tylko cudzą.

Evans nie wiedział, jak zareagować. Wydawało mu się, że George żartuje.

- Miałem ci o tym powiedzieć - ciągnął Morton. - Mam tu taki spis liczb. Chciałbym, żebyś go dostarczył Kennerowi. To bardzo... Potem do tego wrócimy. Cześć, Ann!

Ann Garner szła w ich kierunku.

- To co, George, wróciłeś? Jesteś nam potrzebny. Mamy na głowie pozew Vanutu, który, chwała Bogu, popierasz, i konferencję o zmianach klimatu. To dla nas bardzo ważne, George.

Evans chciał ustąpić jej miejsca, ale Morton nie pozwolił mu wstać.

- Przyznaję, moja droga, że wyglądasz pięknie jak nigdy dotąd - powiedział. - Ale mamy z Peterem coś do omówienia. Sprawy służbowe.

Ann zerknęła na otwartą aktówkę i dokumenty na kolanach Evansa.

- Nie chciałam przeszkadzać...

- Nic się nie stało. Po prostu daj nam jeszcze minutkę.

- Jasne. Przepraszam. - Przez chwilę wahała się jednak, czy odejść. - To nie w twoim stylu, George, załatwiać interesy w samolocie.

- Wiem, ale muszę ci powiedzieć, że ostatnio w ogóle dziwnie się czuję.

Ann zamurowało. Nie wiedząc, jak zareagować, uśmiechnęła się tylko i odeszła.

- Świetnie wygląda - mruknął Morton. - Ciekawe, kto ją tak zrobił.

- Jak to: zrobił?

- W ostatnich miesiącach musiała mieć dodatkowe zabiegi: oczy, może broda... Ale mniejsza z tym. Wracając do tego spisu liczb. Nikomu o nim nie mów, Peter. Absolutnie nikomu. Ani w kancelarii, ani, szczególnie, w...

- Kurczę, George, gdzie ty się chowasz?



Evans obejrzał się przez ramię i zobaczył idącego w ich stronę Bradleya. Ted pił jak smok, chociaż było dopiero wczesne popołudnie.

- Bez ciebie wszystko wyglądało inaczej. Świat bez Bradleya byłby nudny... O rety! Świat bez George'a Mortona, oczywiście. No, dalej, wylaż z tej nory. Zostaw tego adwokacineę. Chodź, napijemy się.

Morton dał mu się odciągnąć.

- Później - rzucił jeszcze przez ramię do Evansa.

## **San Francisco**

### **Poniedziałek, 4 października Godz. 21.02**

Ozdobne żyrandole w głównej sali balowej hotelu Mark Hopkins przygasty. Wszyscy czekali na wieczorne przemówienia. Publiczność była elegancka: mężczyźni w smokingach, kobiety w sukniach balowych. Głos Nicholasa Drake'a niósł się z podwyższenia.

- Panie i panowie, nie będzie cienia przesady w stwierdzeniu, że stoimy w obliczu bezprecedensowego kryzysu ekologicznego. Lasy znikają; jeziora i rzeki są zanieczyszczone; roślin i zwierząt, tworzących naszą biosferę, ubywa w zastraszającym tempie. Co roku wymiera czterdzieści tysięcy gatunków, co daje ponad sto gatunków dziennie! W tym tempie za kilka dziesięcioleci zostanie na Ziemi zaledwie połowa istot, które dziś ją zamieszkują. Proces wymierania jeszcze nigdy nie przebiegał tak gwałtownie. A jak wygląda nasze życie? Żywność jest zanieczyszczona zabójczymi pestycydami; plony kurczą się wskutek globalnego ocieplenia; klimat niebezpiecznie się zmienia i staje się coraz surowszy; na całym świecie występują coraz częściej powodzie, susze, huragany i tornada. Poziom mórz się podnosi; w następnym stuleciu przybędzie siedem metrów wody, a może nawet więcej. Ale najgorsze jest w tym w wszystkim to, że najnowsze badania naukowe wskazują nas i naszą niszczycielską działalność jako głównych sprawców gwałtownych zmian klimatycznych.

Siedzący przy środkowym stole Peter Evans przyglądał się słuchaczom: ziewali, gapili się w talerze, rozmawiali szeptem. Mało kto słuchał Drake'a.

- Już to słyszeli - burknął Morton. Poruszył się na krześle i beknął cicho. Od początku uroczystości pił równo i był już solidnie wstawiony.

- ...zmniejszona bioróżnorodność, kurczenie się habitatów, zniszczenie warstwy ozonowej...

Nicholas Drake nie prezentował się najlepiej: chudy, niezgrabny, w niedopasowanym smokingu, ze zmarszczonym na cienkiej szyi kołnierzykiem koszuli. Jak zwykle przypominał ubogiego, choć pracowitego naukowca, nowoczesnego Ichaboda Crane'a.

Nikt by się domyślił, że dostaje trzysta tysięcy dolarów rocznie za kierowanie Funduszem, plus

sto tysięcy na drobne wydatki. Ani że nie ma ścisłego wykształcenia. Drake był adwokatem, obrońcą sądowym, jednym z pięciu, którzy przed kilkoma laty założyli NERF. Jako prawnik sądowy doskonale zdawał sobie sprawę z zalet niedbałego stroju.

- ...erozja biorezerwuarów, pojawianie się nowych, coraz bardziej egzotycznych i zabójczych chorób...

- Mógłby się streszczać. - Morton zabębnił palcami w stół.

Evans milczał. Bywał na podobnych spotkaniach wystarczająco często, by wiedzieć, że Mortona zżera trema. Jak przed każdym publicznym wystąpieniem.

Drake mówił dalej:

- ...przebłąski nadziei, nieśmiałe promyki pozytywnej energii, a trudno wyobrazić sobie lepsze jej źródło niż człowiek, którego długoletnie oddanie naszej sprawie chcemy dziś uczcić...

- Weź mi następnego drinka - Morton dopił martini, szóste tego wieczoru, i z łomotem odstawił kieliszek na stół.

Evans zaczął się rozglądać za kelnerem. Podniósł rękę, ale miał nadzieję, że kelner nie zdąży. George nie powinien więcej pić.

- ...od trzydziestu lat poświęca swoją energię i niebagatelne fundusze, aby uczynić nasz świat lepszym, zdrowszym, normalniejszym. Panie i panowie, Krajowy Fundusz Zasobów Naturalnych ma zaszczyt...

- Pieprzyć drinka - mruknął Morton. Spiął się cały i przygotował do wyjścia na podium. - Nie cierpię robić z siebie durnia. Nawet w słusznej sprawie.

- Czemu miałbyś... - zaczął Evans.

- ...mojego przyjaciela i Ekoobywatela Roku, pana George'a Mortona!

Publiczność zaczęła klaskać. Punktowy reflektor wyłowił z tłumu wstającego Mortona i towarzyszył mu w drodze na podwyższenie. Morton przypominał niedźwiedzia: przygarbiony, masywny, poważny, ze spuszczoną głową. Potknął się przy pierwszym kroku - Evans zamarł - przez chwilę wyglądał, jakby miał się zaraz przewrócić, ale złapał równowagę i kiedy wkroczył na podium, przykre wrażenie minęło. Przywitał się z Drakiem i wszedł na mównicę, chwyciwszy się jej obiema rękami. Przez chwilę wodził wzrokiem po sali, kręcąc głową na boki, i milczał.

Nic nie mówił. Po prostu stał i patrzył.

Ann Garner szturchnęła Evansa pod żebro.

- On się dobrze czuje?

- Oczywiście - odparł z przekonaniem Evans. Ale w głębi serca wcale nie był taki pewien.

W końcu George Morton przemówił:

- Chciałbym podziękować Nicholasowi Drake'owi i Krajowemu Funduszowi Zasobów Naturalnych za tę nagrodę, ale nie czuję, żebym sobie na nią zasłużył. Pozostało jeszcze zbyt dużo pracy. Czy zdajecie sobie sprawę, przyjaciele, że więcej wiemy o Księżycu niż o ziemskich oceanach? Na tym polega główny problem ekologii: nie znamy planety, od której zależy nasze życie. Jak to trzysta lat temu powiedział Montaigne: „Najmocniej wierzymy w to, co najslabiej znamy”.

Montaigne? - zdziwił się Evans. Morton cytuje Montaigne'a?

Oświetlony reflektorem Morton wyraźnie się chwiał. Kurczowo trzymał się mównicy, żeby nie stracić równowagi. W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Nikt się nie ruszał. Nawet kelnerzy znieruchomieli. Evans wstrzymał oddech.

- My wszyscy, cały ruch ekologiczny, odnosiliśmy przez lata wspaniałe zwycięstwa - ciągnął Morton. - Byliśmy świadkami powstania EPA. Widzieliśmy, jak powietrze i woda stają się czystsze i jak doskonalą się standardy oczyszczania ścieków; na naszych oczach uprzątnięto składowiska toksycznych odpadów; wprowadzono służące nam wszystkim przepisy ograniczające stosowanie pospolitych trucizn, takich jak ołów. To są prawdziwe sukcesy, moi drodzy. I słusznie jesteśmy z nich dumni. Wiemy też, że wiele pozostało jeszcze do zrobienia.

Publiczność zaczęła się odprężyć. Morton wkraczał na znajome terytorium.

- Czy uda nam się wykonać tę pracę? Nie wiem. Od śmierci mojej ukochanej żony, Dorothy, nie jestem już takim optymistą jak dawniej.

Evans zeszywniał. Siedzący przy sąsiednim stoliku Herb Lowenstein rozdziawił usta. George Morton nie miał żony. A raczej miał ich w przeszłości aż sześć, ale żadna nie miała na imię Dorothy.

- Dorothy powtarzała mi, żebym mądrze wydawał pieniądze. I zawsze myślałem, że tak właśnie robię. Ale teraz sam nie wiem. Wspomniałem już o tym, że wszyscy za mało wiemy. Boję się jednak, że ostatnio mottem NERF-u stało się zdanie: „Za mało pozywamy”.

Wszystkim zapało dech w piersiach.

- NERF to firma prawnicza. Nie wiem, czy zdajecie sobie z tego sprawę, ale tak właśnie jest. Założyli ją prawnicy i prawnicy nią rządzą. Ja tymczasem uważam, że lepiej jest wydawać pieniądze na badania niż na procesy sądowe. Dlatego też wycofuję moje wsparcie finansowe dla NERF-u i...

Gwar podekscytowanych głosów zagłuszył dalsze jego słowa. Goście mówili jeden przez drugiego. Rozległy się pierwsze gwizdy, część słuchaczy zaczęła wychodzić. Morton jednak mówił dalej, nie zwracając uwagi na efekt swoich słów. Evans wyłowił kilka oderwanych zdań:

- ...organizacja ekologiczna znalazła się pod nadzorem FBI... całkowity brak kontroli...

- Zabierz go stamtąd - syknęła Ann Garner do Evansa.

- Jak mam to zrobić? - spytał szeptem.

- Idź i ściągnij go z mównicy. Jest w sztok pijany.

- Jeśli nawet, to nie mogę...

- Trzeba go jakoś powstrzymać. Drake wszedł już na podwyższenie.

- W porządku, George, dziękuję ci bardzo... Morton nie dawał się łatwo zbyć:

- Prawdę powiedziawszy, obecne...

- Dziękuję, George - powtórzył Drake, próbując odepchnąć go od mikrofonu.

- W porządku, w porządku. - Morton nie puszczał mównicy. - Powiedziałem to przez wzgląd na pamięć Dorothy. Moja ukochana zmarła żona...

- Dziękujemy ci, George. - Drake zaczął klaskać, podnosząc ręce nad głowę. Kiwnął głową na gości, żeby się do niego przyłączyli. - Dziękujemy bardzo.

- ...za którą ogromnie tęsknię...

- Panie i panowie, podziękujmy wspólnie...

- Dobrze, wystarczy. Już sobie idę.

Przy wtórze skąpych oklasków Morton zwlókł się z podwyższenia. Drake dał znać orkiestrze, która zagrała żwawą wersję You May Be Right Billy'ego Joela; ktoś im powiedział, że to ulubiona piosenka Mortona. Może faktycznie tak było, ale w tych okolicznościach wybór nie wydawał się najszcześniejszy.

Herb Lowenstein złapał Evansa za ramię i przyciągnął go do siebie.

- Posłuchaj mnie - szepnął. - Zabierz go stąd!

- Zaraz się tym zajmę. Spokojnie.

- Wiedziałaś, że to zrobi?

- Nie. Przysięgam na Boga, nie miałem pojęcia.

Lowenstein puścił jego ramię. Morton wrócił do stolika. Goście patrzyli oszołomieni, jak wesoło podśpiewuje:

- „Może masz rację, może zwariowałem...”

- Chodź, George. - Evans wstał. - Idziemy. Morton udał, że go nie słyszy.

- „Ale może ty właśnie szukasz wariata...”

- Co ty wygadujesz - Evans wziął go pod rękę. - Chodźmy.

- „...Pogaś światła, nie próbuj mnie ratować...”

- Wcale nie próbuję cię ratować.

Morton przestał śpiewać. Spojrzenie miał zimne i smutne.

- To dobrze, psiakrew! Co byś powiedział na jeszcze jedno martini? Chyba sobie zasłużyłem, co?

- Harry przyrządzi ci martini w samochodzie. - Evans odciągnął go od stolika. - Jeśli zostaniesz, będziesz musiał czekać, aż ktoś ci je poda. A przecież nie chcesz teraz czekać na drinka... - Starał się cały czas mówić.

Morton potulnie dał się wyprowadzić z sali.

- ...za późno na walkę... - śpiewał - nie zmienisz mnie już...

Zanim jednak zdążyli wyjść z sali, pojawiły się reflektory, kamera telewizyjna i dwóch dziennikarzy, którzy podetknęli Mortonowi dyktafony. Wszyscy wykrzykiwali pytania. Evans pochylił głowę i zaczął się przeciskać przez tłum.

- Przepraszam, przepraszam państwa, proszę się odsunąć... przepraszam...

A Morton cały czas śpiewał. Przedarli się przez hol hotelowy. Dziennikarze biegli przed nimi, próbując znaleźć się jak najdalej, żeby nakręcić ujęcia z przodu. Evans ścisnął Mortona za łokieć.

- „Tylko się bawiłem, nikogo nie krzywdziłem” - śpiewał Morton. - ”Weekend wszystkim się podobał...”

- Tędy - Evans skierował się w stronę drzwi.

- „Uwięziony w strefie walk...”

W końcu wyszli przez obrotowe drzwi. Otoczył ich mrok, owionęło chłodne powietrze i Morton umilkł. Czekali, aż podjedzie limuzyna. Sarah wyszła z hotelu i bez słowa położyła dłoń na ramieniu Mortona.

Dziennikarze wyroili się z obrotowych drzwi, rozbłysły światła, a na końcu wybiegł Drake.

- Niech cię szlag trafi, George...

Urwał w pół zdania, widząc wycelowane w siebie kamery. Rzucił Mortonowi rozwścieczone spojrzenie i wrócił do środka. Kamerzyści filmowali, a Evans, Morton i Sarah po prostu stali. Zapadło krępujące milczenie. Upłynęła cała wieczność, zanim limuzyna wreszcie zajechała pod hotel. Harry otworzył George'owi drzwi.

- Już dobrze, George - powiedział Evans.

- Nie. Nie dziś.

- Harry czeka.

- Nie dziś, powiedziałem.

Z ciemności dobiegł basowy pomruk i obok limuzyny zatrzymało się srebrne ferrari. Kabriolet.

- Moje autko - westchnął Morton i chwiejnym krokiem ruszył po schodach w dół.

- George... - odezwała się Sarah. - Chyba nie powinienes... Ale Morton zdążył się już na nowo rozśpiewać:

- „Mówiłaś, żebym nie prowadził, ale dojechałem cało do domu. A ty na to, że jestem nie-normal-nyyy...”

- To fakt - mruknął jeden z reporterów. - On jest nienormalny. Zaniepokojony Evans nie odstępował Mortona, który wręczył parkingowemu studolarówkę ze słowami:

- Masz tu, chłopcze, dwie dychy.

Chwilę mocował się z drzwiami ferrari, przeklinając „nędzne włoskie samochody”, ale w końcu usadowił się za kierownicą. Włączył silnik, dodał gazu i uśmiechnął się szeroko.

- Ach, co za męski dźwięk. Evans oparł się o drzwiczki wozu.

- George, niech Harry odwiezie cię do domu. Mieliśmy przecież o czymś jeszcze porozmawiać, pamiętasz?

- Wcale nie.

- Myślałem, że...

- Z drogi, chłopcze. - Reflektory kamerzystów w dalszym ciągu były w nich wycelowane. Morton przesunął się na fotelu w taki sposób, żeby znaleźć się w cieniu rzucanym przez Evansa. - Buddyści mają takie powiedzenie...

- Jakie?

- Zapamiętaj je dobrze, mój chłopcze. Jeśli chcesz wiedzieć, co się liczy, skieruj się tam, gdzie siedzący Budda.

- George, naprawdę nie powinieneś dziś prowadzić.

- Zapamiętałeś?

- Tak.

- Wiekowa mądrość. Do zobaczenia, chłopcze.

Evans odskoczył, a ferrari z rykiem silnika wyjechało z parkingu. Zapiszczały opony, Morton zignorował znak stopu i zniknął za zakrętem.

- Peter, chodź. - Sarah stała przy limuzynie.

Harry właśnie siadał za kierownicą. Evans z Sarah usiedli z tyłu. Samochód ruszył za wozem Mortona.

U stóp wzgórza ferrari skręciło w lewo. Harry przyspieszył. Świetnie prowadził olbrzymi wóz.

- Wiesz, dokąd jedzie? - zapytał Evans.

- Nie mam pojęcia.

- A kto mu napisał to przemówienie?

- Sam sobie napisał.

- Serio?

- Wczoraj cały dzień pracował w domu, ale nie chciał mi powiedzieć nad czym...

- Rany boskie... Ale żeby Montaigne?

- Wziął sobie księgę cytatów.

- A skąd wytrzasnął tę Dorothy? Sarah pokręciła głową.

- Nie wiem.

Minęli park Golden Gate. Ruch był niewielki i ferrari gnało na złamanie karku, wężykiem wyprzedzając inne samochody. Z przodu rysował się jasno oświetlony most Golden Gate. Morton dodał gazu; kabriolet pędził sto czterdzieści na godzinę.

- Jedzie do Marin - stwierdziła Sarah. Zadzwoiła komórka Evansa.

- Może mi wytłumaczysz, co to miało znaczyć, do ciężkiej cholery? - zapytał Drake.

- Przykro mi, Nick, ale ja nic nie wiem.
- Myślisz, że mówił poważnie? O tym cofnięciu dotacji?
- Chyba tak.
- Nie do wiary! Na pewno przechodzi załamanie nerwowe.
- Trudno powiedzieć.

- Bałem się, że coś takiego może się stać. Pamiętasz, co ci mówiłem w samolocie, kiedy wracaliśmy z Islandii? Powiedziałem ci o swoich obawach, a ty próbowałaś mnie uspokoić. Dalej tak uważasz? Nadal sądzisz, że nie mam powodów do zmartwień?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, Nick.
- Ann mówi, że George podpisywał w samolocie jakieś papiery.
- To prawda. Podpisywał.

- Czy mają jakiś związek z nagłą i nieoczekiwaną odmową wsparcia organizacji, którą kochał i hołubił?

- Najwyraźniej zmienił zdanie.
- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?
- Bo mi zabronił.
- Nie chrzań, Evans!
- Przykro mi.

- Dopiero będzie ci przykro.

Połączenie zostało przerwane. Evans zamknął telefon.

- Drake się wścieka? - domyśliła się Sarah.
- Jeszcze jak.

Morton zjechał z mostu i skręcił z autostrady na zachód, na ciemną drogę wiodącą wzdłuż urwiska. Nigdy nie jeździł tak szybko.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - spytał Evans Harry'ego.
- Chyba w parku stanowym.



Harry próbował dogonić Mortona, ale na wąskiej, krętej drodze ciężka limuzyna była bez szans. Ferrari systematycznie powiększało dzielący ich dystans. Wkrótce widzieli już tylko jego tylne światła, znikające za zakrętem czterysta metrów przed nimi.

- Zgubimy go - niepokoił się Evans.

- Nie sędzę, proszę pana.

Ale limuzyna coraz wyraźniej zostawała w tyle, a kiedy Harry wszedł w któryś zakręt zbyt szybko, wpadli w poślizg i tyłem wozu zarzuciło niebezpiecznie blisko krawędzi. Musieli zwolnić. Jechali przez niezamieszkaną okolicę; noc była ciemna, urwisko jakby wymarłe. Wschodzący księżyc malował srebrzystą smugę na ciemnych wodach oceanu.

Tylne światła ferrari na dobre zniknęły im z oczu. Byli sami na pustej drodze.

Wyjechali zza zakrętu, następny - sto metrów dalej - przesłaniała chmura dymu.

- O mój Boże... - Sarah podniosła dłoń do ust.

Ferrari wpadło w poślizg, uderzyło w drzewo i dachowało. Zmiażdżone i dymiące znieruchomiało na skraju urwiska. Niewiele brakowało, żeby spadło w przepaść: przód zwisał poza krawędzią.

Evans i Sarah pobiegli do samochodu. Evans padł na ziemię i czołgając się po skraju urwiska, usiłował zajrzeć za kierownicę. Niewiele zobaczył: ferrari bez przedniej szyby leżało płasko na ziemi. Kiedy Harry przyniósł latarkę, Evans poświecił nią do wnętrza wozu.

Fotel był pusty. Czarna muszka Mortona wisiała na klamce, ale poza nią po George'u nie było śladu.

- Musiał wypaść!

Evans oświetlił dwudziestopięciometrowy klif: krucha żółtawa skała opadała stromo do oceanu. Nigdzie nie było widać Mortona.

Sarah płakała cicho. Harry poszedł po gaśnicę, a Evans omiatał urwisko snopem światła z latarki. Nie znalazł nie tylko ciała, ale w ogóle żadnych śladów: poruszonych kamieni, kawałków ubrania, wyrwanych kęp trawy. Nic.

Usłyszał za plecami syk gaśnicy. Cofnął się znad przepaści.

- Znalazł go pan? - zapytał zgnębiony Harry.

- Nie, nic nie widać.

- Może... tam - Harry wskazał na drzewo.

Miał rację: jeżeli Morton wyleciał z samochodu pod wpływem zderzenia, mógł leżeć gdzieś w pobliżu drzewa, dwadzieścia metrów bliżej.

Evans cofnął się i poświecił latarką. Baterie były na wyczerpaniu, snop światła coraz słabszy, ale niemal natychmiast wypatrzył męski półbut z błyszczącej skóry, wbity między kamienie na brzegu.

Usiadł na drodze, ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się.

## **Point Moody**

**Wtorek, 5 października Godz. 3.10**

Zanim policja ich przesłuchała, a ekipa ratunkowa zjechała na linach z urwiska i wyciągnęła but, który uwiązł między kamieniami, zrobiła się trzecia rano. Poza butem nie znaleziono innych śladów Mortona, a policjanci w prywatnych rozmowach zgadzali się co do tego, że morze wyrzuciło ciało w okolicach Pismo Beach.

- Znajdziemy go za tydzień albo dwa - stwierdził jeden z nich. - W każdym razie to, co zostawiają rekiny.

Trwało właśnie usuwanie wraku: rozbite ferrari ładowano na ciężarówkę. Evans chciał już jechać do domu, ale policjant, który spisał jego zeznania, ciągle wypytywał go o nowe szczegóły. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat i chyba małe doświadczenie w wypełnianiu stosownych formularzy.

Za pierwszym razem zapytał:

- Jak pan sądzi, ile czasu upłynęło od wypadku, zanim zjawiliście się państwo na miejscu zdarzenia?

- Nie jestem pewien. Ferrari wyprzedzało nas o jakiś kilometr, my jechaliśmy sześćdziesiąt na godzinę... Po minucie?

- Sześćdziesiąt na godzinę? - Młody policjant osłupiał. - Tą limuzyną? Na takiej drodze?!

- No, głowy nie dam...

Po chwili znów przyszedł do Evansa.

- Mówi pan, że byliście pierwsi. I że przeczołgał się pan po skraju urwiska, tak?

- Zgadza się.

- Czy na drodze było rozsypane szło?

- Tak. Przednia szyba była strzaskana. Odłamki przylepiały mi się do rąk, kiedy się czołgałem.
- Aha, to dlatego były poprzesuwane.
- Tak myślę.
- Miał pan szczęście, że się pan nie pokaleczył.
- Chyba tak.

Przy trzecim podejściu policjant zapytał:

- O której godzinie, pana zdaniem, doszło do wypadku?

- O której... - Evans spojrział na zegarek. - Nie wiem. Ale chwileczkę... - Wrócił myślą do wieczornych wydarzeń. Przemówienie zaczęło się około wpół do dziewiątej, z hotelu wyszli około dziewiątej. Potem

przejazd przez San Francisco, most... - Między za piętnaście dziesiąta a dziesiątą.

- Około pięciu godzin temu, tak? W przybliżeniu?

- Tak.

- Aha. - Chłopak wyglądał na zdziwionego.

Evans spojrział na zmasakrowane ferrari. Jeden z policjantów wszedł na ciężarówkę i stał obok szczątków wozu, trzech z ożywieniem rozmawiało na dole, na drodze. Do rozmowy przyłączył się mężczyzna w smokingu. Kiedy się odwrócił, Evans ze zdumieniem rozpoznał w nim Johna Kennera.

- Dlaczego pan pyta? - zapytał Evans młodego funkcjonariusza.

- Nie wiem. Kazali mi zapytać o godzinę.

Kierowca ciężarówki uruchomił silnik. Jeden z policjantów zawołał do młodszego kolegi:

- Dobra, Eddie, kończymy!

Evans zerknął na Sarah, ciekaw, czy zauważyła Kennera: stała oparta o limuzynę i rozmawiała przez telefon. Kiedy się obejrzał, zdążył jeszcze zobaczyć, jak Kenner wsiada do ciemnego sedana, prowadzonego przez Nepalczyka. Odjechali.

Policja również zbierała się do odjazdu. Ciężarówka z wrakiem zawróciła i ruszyła w kierunku mostu.

- Chyba czas na nas - powiedział Harry.

Evans wsiadł do limuzyny i pojechali ku rozświetlonemu San Francisco.

## **W drodze do Los Angeles**

**Wtorek, 5 października Godz. 12.02**

W południe samolot Mortona wyleciał w drogę powrotną do Los Angeles. Nastroje były minorowe. Na pokładzie znaleźli się ci sami pasażerowie, którzy lecieli do San Francisco, oraz kilkoro nowych, ale rozmowa się nie kleiła. Popołudniówki wydrukowały informację o milionerze-filantropie, George'u Mortonie, który, przygnębiony śmiercią ukochanej żony Dorothy, wygłosił chaotyczną mowę („San Francisco Tribune” nazwała ją „bełkotliwą i pozbawioną sensu”), a parę godzin później zginął w wypadku, prowadząc swoje nowe ferrari.

W trzecim akapicie znalazła się wzmianka o tym, że wypadki, w których śmierć ponosi tylko kierowca, bywają często spowodowane niezdiagnozowaną depresją i niczym, w gruncie rzeczy, nie różnią się od samobójstw. Cytowano nawet pewnego psychiatrę, który twierdził, że taka właśnie była prawdopodobna przyczyna śmierci Mortona. Mniej więcej dziesięć minut po starcie Ted Bradley powiedział:

- Proponuję wnieść toast za George'a i uczcić jego pamięć minutą ciszy.

Wszyscy mu przyklasnęli. Podano szampana w kieliszkach.

- Za George'a Mortona - zaczął Ted - wielkiego Amerykanina, wspaniałego przyjaciela i szczerego zwolennika sprawy ekologicznej. Tęsknimy za nim my i cała Ziemia.

Ponury nastrój utrzymywał się jeszcze przez kolejnych dziesięć minut, ale potem rozmowy się ożywiły i towarzystwo zaczęło dyskutować i sprzeczać się jak zwykle. Evans siedział z tyłu kabiny, na tym samym miejscu co poprzednio. Przysłuchiwał się rozmowie przy stoliku: Bradley stwierdził właśnie, że Stany Zjednoczone tylko dwa procent energii czerpią ze źródeł odnawialnych i należałoby uruchomić zakrojony na szeroką skalę program budowy nadmorskich wiatraków, tak jak to robią Anglicy i Duńczycy. Dalej rozmowa zeszła na ogniwa paliwowe, samochody napędzane wodorem i gospodarstwa domowe czerpiące prąd z baterii słonecznych. Niektórzy twierdzili, że są zachwyceni hybrydowymi autami, które kupili dla swoich kierowców.

Rozmowy podniosły Evansa na duchu. George Morton odszedł, ale wciąż było na świecie wielu ludzi takich jak on - sławne osobistości z pierwszych stron gazet, oddane idei zmian, poprowadzą następne pokolenia ku świetlanej przyszłości.

Przysypiał, kiedy przysiadł się do niego Nicholas Drake.

- Słuchaj... - powiedział. - Chciałem cię przeprosić za wczoraj.

- Nie ma za co.

- Przesadziłem i chcę, żebyś wiedział, że jest mi przykro, że się tak zachowałem. Byłem zły i zdenerwowany. Sam wiesz, że George ostatnio nie był sobą: wygadywał dziwne rzeczy, szukał zwady... Teraz, z perspektywy czasu, wydaje mi się, że przeżywał początki załamania nerwowego. Tylko że wtedy nie miałem o tym pojęcia. A ty?

- Nie jestem pewien, czy to było załamanie.

- Na pewno. Cóż by innego? Kurczę, facet wyparł się całego swojego życia, a potem wziął i się zabił. Nawiasem mówiąc, możesz zapomnieć o tych dokumentach, które wczoraj podpisał. Nie był w pełni władz umysłowych. Wiem, że się ze mną zgodzisz. Miałeś dość kłopotów, obsługując jednocześnie jego i nas. Nie lepiej było się wycofać i zlecić przygotowanie

dokumentów jakiemuś neutralnemu prawnikowi? Nie zamierzam oskarżać cię o błąd w sztuce, ale się nie popisałeś. Evans milczał. Groźba była oczywista.

- Mniejsza z tym. - Drake poklepał go po kolanie. - Chciałem cię tylko przeprosić. Wiem, że znalazłeś się w trudnej sytuacji i robiłeś, co mogłeś, Peter... Jakoś z tego wybrniemy.

Gulfstream wylądował na lotnisku Van Nuysa. Przy pasie startowym czekał na pasażerów tuzin czarnych terenowych limuzyn - ostatni krzyk mody. Sławy wyściskały się, obcałowały powietrze i rozjechały się do domów.

Evans został sam. Nie zasłużył na samochód z kierowcą, więc wsiadł do swojego hybrydowego priusa, którego dzień wcześniej zostawił na parkingu, i wyjechał na autostradę. Przemknęło mu przez myśl, żeby pojechać do kancelarii, i ze zdumieniem zauważył, że łyzy same cisną mu się do oczu. Otarł je i stwierdził, że jest za bardzo zmęczony, żeby pracować. Postanowił wrócić do domu i się przespać.

Prawie dojechał na miejsce, kiedy zabrzęczała komórka. Dzwoniła Jennifer Haynes z zespołu prawnego Vanutu.

- Przykro mi z powodu George'a - powiedziała. - To straszne. Wszyscy są poruszeni, zresztą nie muszę ci chyba mówić... Cofnął dotację, prawda?

- Tak, ale Nick zamierza jeszcze o nią powalczyć. Dostaniecie swoje pieniądze.

- Umówmy się na lunch.

- Dobrze...

- Dzisiaj?

Było coś takiego w jej głosie, że odparł:

- Postaram się.

- Zadzwoń, jak przyjedziesz.

Rozłączył się, ale telefon natychmiast zadzwonił ponownie. Tym razem usłyszał wściekłą Margo Lane:

- Co tam się, kurwa, wyrabia?!

- To znaczy?

- Kiedy zamierzaliście do mnie zadzwonić?

- Przepraszam, Margo...

- Właśnie oglądam telewizję. Zaginął w San Francisco, prawdopodobnie nie żyje. Pokazali wóz.

- Miałem do ciebie zadzwonić z biura - powiedział Evans. A prawda była taka, że kompletnie o niej zapomniał.

- Czyli kiedy? Za tydzień? Jesteś tak samo beznadziejny jak ta twoja sekretarka. Jesteś jego adwokatem czy nie? Masz swoje obowiązki, do cholery! Nie wiem jak ty, aleja, prawdę mówiąc, nie jestem zdziwiona. Ani trochę. Wiedziałam, że tak będzie. Przyjedź do mnie.

- Mam przed sobą pracowity dzień.

- Tylko na chwilę.

- Dobrze - westchnął. - Na chwilę.

## **Zachodnie Los Angeles**

**Wtorek, 5 października Godz. 15.04**

Margo Lane mieszkała na czternastym piętrze apartamentowca w Wilshire Corridor. Portier zadzwonił do niej na górę, zanim wpuścił Evansa do windy. Margo wprawdzie się go spodziewała, mimo to otworzyła mu drzwi owinięta ręcznikiem.

- O rany! Nie myślałam, że tak szybko przyjedziesz. Wchodź, wchodź, właśnie brałam prysznic.

Często się tak zachowywała, żeby popisać się swoim ciałem. Evans wszedł do środka i usiadł na kanapie. Margo usiadła naprzeciwko. Ręcznik ledwie zasłaniał jej tułów.

- Co się dzieje? Co z George'em? - spytała.

- Przykro mi to mówić, ale rozbił się swoim ferrari. Jechał bardzo szybko, uderzył w drzewo i

wyrzuciło go z wozu. Spadł z urwiska - na dole znaleźli but - i wpadł do wody. Ciała nie znaleziono. Policja spodziewa się, że za parę dni fale wyrzucą je na brzeg.

Znając Margo i jej zamiłowanie do teatralnych scen, spodziewał się, że się rozpłacze, ale nie zrobiła tego. Patrzyła na niego bez słowa.

- Gówno prawda - odezwała się w końcu.

- Co masz na myśli, Margo?

- Nie wierzę ci. George się ukrywa. I ty o tym wiesz.

- Ukrywa się? Przed kim?

- Pewnie przed nikim. To paranoik. Oboje o tym wiemy. Założyła nogę na nogę. Evans starał się nie odrywać wzroku od jej twarzy.

- Paranoik?

- Nie udawaj głupka, Peter. Przecież to oczywiste.

- Nie dla mnie. - Pokręcił głową.

- Był u mnie dwa dni temu. Podszedł do okna i zza zasłony zerkał na ulicę, przekonany, że ktoś go śledzi.

- Wcześniej się tak nie zachowywał?

- Nie wiem. Rzadko go ostatnio widywałam, bo dużo podróżował. Ale zawsze kiedy dzwoniłam i pytałam, kiedy przyjdzie, tłumaczył mi, że nie może do mnie przyjechać, bo to niebezpieczne.

Evans podszedł do okna, stanął z boku i spojrzał w dół.

- Ciebie też ktoś śledzi? - spytała Margo.

- Nie sądzę.

Na Wilshire Boulevard panował spory ruch; zaczynały się popołudniowe godziny szczytu. Samochody jechały szybko po dwustronnie trzypasmowej jezdni. Hałas docierał aż na górę. Nie było gdzie zaparkować; kiedy niebieski prius zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, natychmiast roztrąbiły się klaksony jadących za nim aut. Po chwili ruszył dalej.

Nie miał gdzie stanąć.

- Widzisz coś podejrzanego?

- Nie.

- Ja też nie widziałam. A George widział. Albo tak mu się wydawało.

- Mówił, kto go śledzi?

- Nie. - Margo znów zmieniła pozycję na kanapie. - Na mój gust powinien brać leki. Mówiłam mu zresztą o tym.

- A co on na to?

- Twierdził, że i mnie grozi niebezpieczeństwo. Radził mi, żebym na jakiś czas zniknęła z miasta, pojechała do siostry, do Oregonu. Ale nie zamierzam tego robić. - Ręcznik zsuwał się z niej, więc zacisnęła go mocniej na jędrnych, powiększonych piersiach. - Dlatego mówię ci: George się ukrywa. Znajdź go szybko. Potrzebuje twojej pomocy.

- No cóż... Wydaje mi się jednak, że wcale się przed nami nie chowa, tylko naprawdę miał wypadek. A w takiej sytuacji powinnaś zająć się paroma sprawami.

Evans wyjaśnił Margo, że jeżeli poszukiwania zwłok będą się przeciągały, sąd może zamrozić aktywa George'a. Jeśli więc chce mieć z czego żyć, powinna wybrać wszystkie pieniądze z konta, na które co miesiąc je przelewał.

- To głupie - zaprotestowała. - Jestem przekonana, że za parę dni wróci jakby nigdy nic.

- Na wszelki wypadek zrób, co mówię. Margo zmarszczyła brwi.

- Czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś?

- Nie. Chodzi mi tylko o to, że wyjaśnienie tej sprawy może trochę potrwać.

- Posłuchaj mnie. George jest chory, a ty ponoć jesteś jego przyjacielem. Znajdź go.

Evans obiecał, że spróbuje. Kiedy wyszedł, Margo pobiegła do sypialni, żeby ubrać się przed wyjściem do banku.

Na dworze, w młecznym świetle popołudnia wielkie zmęczenie znów dało o sobie znać. Marzył tylko o tym, żeby wrócić do domu i położyć się spać. Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Prawie podjeżdżał pod dom, kiedy znów zadzwonił telefon.

To Jennifer pytała, gdzie się podziewa.

- Przepraszam, ale dziś nie przyjadę.

- To ważne, Peter. Ja nie żartuję.

Przeprosił jeszcze raz i obiecał, że zatelefonuje później. Potem Lisa, sekretarka Herba



Lowensteina, oznajmiła mu, że Nicholas Drake przez pół dnia próbował się do niego dodzwonić.

- Powinieneś z nim porozmawiać.
- Dobrze, zadzwonię do niego.
- Jest naprawdę wkurzony.
- Dobrze, że wiem.
- Ale lepiej najpierw zadzwoń do Sarah.
- Po co?

Telefon umilkł. Stracił zasięg - jak zwykle w uliczce na tyłach jego domu. To była martwa strefa sieci komórkowej. Evans schował aparat do kieszeni z zamiarem oddzwonienia za chwilę. Wjechał do garażu i zajął swoje miejsce parkingowe.

Wszedł tylnymi schodami na górę, otworzył drzwi...

I wytrzeszczył oczy.

Jego mieszkanie wyglądało jak po przejściu huraganu: połamane meble, pocięte poduszki, porozrzucane papiery, książki zrzucone z regałów na podłogę.

Dłuższą chwilę stał oszołomiony w progu, wreszcie wszedł do środka, postawił jedno z krzeseł na nogi i usiadł na nim. Pomyślał, że powinien zawiadomić policję. Wstał, podniósł z podłogi telefon i wybrał numer. W tej samej chwili rozdzwonił mu się telefon w kieszeni. Odłożył słuchawkę i odebrał komórkę.

- Słucham?
- Przerwało nam - powiedziała Lisa. - Dzwoń do Sarah.
- Po co?
- Jest u Mortona w domu. Było tam włamanie.
- Co?!
- Tak. Zadzwoń do niej. Chyba się martwi.

Evans rozłączył się i przeszedł do kuchni. Tam również był bałagan, podobnie zresztą jak w sypialni. Najbardziej przejął się tym, że sprzątaczką przyjdzie dopiero we wtorek. Jak on to sam posprząta?

Wybrał numer.

- Sarah?

- To ty, Peter?

- Tak. Co się stało?

- Nie przez telefon. Dzwonisz z domu?

- Przed chwilą przyjechałem.

- U ciebie... też?

- Tak. U mnie też.

- Możesz przyjechać?

- Mogę.

- Kiedy? - W głosie Sarah słyszał strach.

- Za dziesięć minut.

- Dobrze. Czekam. - I rozłączyła się.

Włączył stacyjkę. Silnik priusa zabuczał cicho. Evans był zadowolony ze swojego wozu, tym bardziej że w Los Angeles na samochód z hybrydowym napędem czekało się teraz ponad pół roku. Musiał kupić jasnoszary egzemplarz, chociaż nie był to jego ulubiony kolor, ale cieszył się, że w ogóle go ma. A widok coraz liczniejszych priusów na ulicach sprawiał mu cichą satysfakcję.

Ruszył w stronę Olympic. Na przeciwnym pasie zobaczył niebieskiego priusa, identycznego z tym, który widział z okna u Margo. Miał tak intensywny kolor, że nawet jego szary bardziej mu się podobał. Skręcił w prawo, potem w lewo, jadąc na północ przez Beverly Hills. Wiedział, że zbliża się popołudniowy szczyt i powinien jak najszybciej zjechać na Sunset Boulevard, gdzie ruch będzie mniejszy.

Kiedy zatrzymał się na światłach przy Wilshire, jego uwagę zwrócił następny prius - znów paskudnie niebieski. Jechało nim dwóch niezbyt młodych mężczyzn. Kiedy skręcił w Sunset, pojechali za nim, trzymając się w odstępie dwóch samochodów.

Skręcił w lewo, w stronę Holmby Hills.

Prius też pojechał w lewo.

Śledzili go.

Zatrzymał się przed bramą posiadłości Mortona i nacisnął dzwonek. Zapaliła się lampka w kamerze nad głośnikiem.

- Czym mogę służyć?

- Peter Evans. Przyjechałem do Sarah Jones.

Chwila przerwy i dźwięk brzęczyka. Brama zaczęła się powoli otwierać, odsłaniając łukowato zakrzywiony podjazd. Domu nie było jeszcze widać.

Czekając, aż skrzydła rozchylą się do końca, Evans zerknął w lewo: przy następnym skrzyżowaniu zobaczył jadącego w jego stronę niebieskiego priusa. Samochód minął, nie zwalniając, i zniknął za zakrętem z drugiej strony.

Może jednak go nie śledzili.

Odetchnął głęboko i wjechał na teren posiadłości.

## **Holmby Hills**

**Wtorek, 5 października Godz. 15.54**

Dochodziła czwarta po południu, kiedy Evans zajechał pod dom Mortona. Na terenie posiadłości roilo się od ochroniarzy: jedni przeszukiwali przydrożne krzewy, inni skupili się na podjeździe wokół furgonetek z napisem Anderson security service.

Evans zaparkował obok porsche Sarah i podszedł do frontowych drzwi. Otworzył mu człowiek z ochrony.

- Panna Jones czeka w salonie.

Wszedł przez ogromne drzwi i minął schody prowadzące na piętro. Zajrzał do salonu, spodziewając się zastać w nim nieład taki jak w domu, ale w pokoju panował porządek. Nic się w nim nie zmieniło, odkąd ostatnio tu był.

Morton urządził w salonie wystawę azjatyckich antyków. Nad kominkiem zawiesił chiński parawan, zdobiony połączanymi chmurami. Na postumencie obok kanapy stała kamienna głowa z okolic Angkoru w Kambodży; jej grube wargi wykrzywiał łagodny półuśmiech. Pod ścianą stało siedemnastowieczne japońskie tansu z wypolerowanego drewna. Niezwykle rzadkie drzeworyty autorstwa Hiroshige zdobiły tylną ścianę, a przy wejściu do sali multimedialnej siedział birmański Budda, wyrzeźbiony w starym, spłowiałym pniu.

Sarah siedziała przygnębiona na kanapie pośrodku pokoju, w otoczeniu zabytków, i patrzyła tępo w okno. Słyszając kroki Evansa, obejrzała się przez ramię.

- Byli u ciebie w mieszkaniu?

- Mhm. Zrobili potworny bajzel.

- Tu też było włamanie, chyba dziś w nocy. Ochrona właśnie próbuje ustalić, jak do tego doszło. Spójrz.

Sarah wstała i pchnęła cokół z kambodżańską kamienną głową. Jak na taki ciężar, postument przesunął się zadziwiająco lekko, odsłaniając wpuszczony w podłogę sejf. Drzwiczki sejfu były otwarte. Wnętrze wypełniały starannie poukładane szare koperty.

- Co zginęło? - spytał Evans.

- Moim zdaniem nic. Wszystko jest na swoim miejscu. Z tym że nie wiem dokładnie, co George trzymał w sejfach. To były jego prywatne schowki. Rzadko do nich zaglądałam.

Podeszła do tansu, podniosła środkową pokrywę, odsunęła fałszywy tylny panel i odsłoniła sejf w ścianie. Również otwarty.

- W domu jest w sumie sześć sejfów. Trzy tutaj, jeden w gabinecie na piętrze, jeden w piwnicy i jeden w garderobie w sypialni. Wszystkie zostały otwarte.

- Włamali się do nich?

- Nie. Ktoś znał szyfry.

- Zgłosiłaś to na policję?

- Nie.

- Czemu?

- Chciałam najpierw z tobą porozmawiać.

Stali blisko siebie i Evans poczuł woń perfum Sarah.

- Dlaczego?

- Bo tak. Ktoś znał szyfry, Peter, rozumiesz?

- Chodzi ci o to, że włamania dokonał ktoś z naszych ludzi.

- Na to wygląda.

- Kto sypia w domu?

- Dwie gosposie, w tamtym skrzydle. Ale wczoraj miały wychodne.

- Czyli nikogo nie było w domu?

- Właśnie.

- Co z alarmem?

- Wczoraj sama go włączyłam, zanim poleciliśmy do San Francisco.

- I co? Nie zadziałał? Sarah pokręciła głową.

- Czyli włamywacz znał kod wyłączający alarm. Albo wiedział, jak go obejść. A kamery?

- Są wszędzie, w domu i na terenie posiadłości. Zapisują obraz na dysku komputera w piwnicy.

- Obejrzałaś go?

- Nic nie ma. Ktoś wymazał zapis. Ochrona próbuje coś odzyskać, ale... - Sarah wzruszyła ramionami. - Wątpię, żeby im się udało.

Byle włamywacz nie wiedziałby, jak skutecznie wyczyścić twardego dysku.

- Kto znał kod alarmu i szyfry do sejfów?

- Wydawało mi się, że tylko ja i George. Jak widać, myliłam się.

- Moim zdaniem, powinnaś zadzwonić na policję.

- Oni czegoś szukają. Czegoś, co miał George i co ich zdaniem ma teraz któreś z nas. Myślą, że George coś nam przekazał.

Evans zmarszczył brwi.

- Jeśli to prawda, to czemu się z tym nie kryją? Zrobili mi w domu taką rozpierduchę, że nie mogłem jej nie zauważyć. Tutaj też: zostawili otwarte sejfy, żebyś wiedziała o włamaniu...

- Właśnie! Chcą, żebyśmy wiedzieli, co robią. - Sarah przygryzła wargę. - Liczą na to, że spanikujemy i wyjmemy to coś z ukrycia. Wtedy będą nas śledzić i nam to zabiorą.

Evans się zamyślił.

- Masz pojęcie, co to może być?

- Nie. A ty?

Evans przypomniał sobie spis, o którym George wspomniał mu w samolocie. Nie zdążył mu nawet przed śmiercią wyjaśnić, co zawiera. Ale wniosek nasuwał się sam: za ciężkie pieniądze Morton zdobył jakąś listę. Nie bardzo wiedząc czemu, Evans wołał o niej na razie nie mówić.

- Nie - odparł.

- Czy George coś ci dał?

- Nie.

- Mnie też nie. - Znow przygryzła wargę. - Chyba powinniśmy zniknąć.

- Jak to: zniknąć?

- Wyjechać na jakiś czas.

- To naturalna reakcja na włamanie, ale moim zdaniem, powinniśmy przede wszystkim zawiadomić policję.

- George nie byłby zachwycony.

- George'a już wśród nas nie ma, Sarah.

- Nie znosił tutejszej policji.

- Sarah...

- Nigdy do nich nie dzwonił. Zawsze korzystał z usług prywatnych firm ochroniarskich.

- Zgadzam się z tobą, ale...

- Spiszą tylko raport i palcem nie kiwną.

- Być może, ale...

- Zawiadomiłeś policję o włamaniu u ciebie?

- Nie zdążyłem. Ale zrobię to.

- Dobrze, zadzwoń. Sam się przekonasz, jak to wygląda. Stracisz tylko czas.

Zapisała komórka Evansa. Wyjął ją i odczytał SMS: n. drake przyjedź do mnie do biura. pilne.

- Posłuchaj, Sarah, muszę teraz spotkać się z Drakiem.

- Ja tu zostanę. Nic mi nie będzie.

- A ja wrócę, jak tylko będę mógł.

- Nic mi nie będzie - powtórzyła.

Wstali i pod wpływem nagłego impulsu Evans przytulił Sarah. Prawie dorównywała mu wzrostem.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał. - Nie martw się. Będzie dobrze.

Objęła go, ale kiedy ją puścił, powiedziała:

- Nigdy więcej tego nie rób, Peter. Nie jestem histeryczką. Do zobaczenia.

Ruszył pospiesznie do wyjścia. Czuł się jak idiota.

- Masz broń? - zawołała za nim Sarah.

- Nie. A ty?

- Tylko berettę, dziewiątkę. Ale lepsze to niż nic.

- Na pewno.

To tyle, pomyślał, jeśli chodzi o męskie wsparcie dla współczesnej kobiety.

Wsiadł do wozu i pojechał do biura Drake'a.

Dopiero kiedy zaparkował i miał wejść do biurowca, zauważył stojącego przy następnym skrzyżowaniu priusa. W środku siedziało dwóch ludzi. Obserwowali go.

## **Beverly Hills**

### **Wtorek, 5 października Godz. 16.45**

- Nie, nie, nie! - Nicholas Drake stał w sali prasowej w siedzibie NERF-u; oprócz niego było tam jeszcze z pół tuzina osłupiałych grafików i pracowników działu promocji. Na ścianach wisiały plakaty i transparenty, na stołach stały kubki do kawy, leżały ulotki i stosy materiałów prasowych. W oczy rzucało się czerwono-zielone hasło Gwałtowne zmiany klimatyczne: niebezpieczeństwo jest blisko. - Nie podoba mi się to. Nie podoba mi się!

- Ale dlaczego?

- Bo jest nudne. Brzmi jak zapowiedź programu w telewizji publicznej, a nam jest potrzebny jakiś błysk, coś wyjątkowego.

- Nie wiem, czy pan pamięta - odezwał się jeden z grafików - ale na początku ostrzegał nas pan przed popadaniem w przesadę.

- Naprawdę? Niemożliwe. To Henley bał się przesady. To on uważał, że powinniśmy

przygotować po prostu jedną z wielu konferencji naukowych, taką jak wszystkie inne. Ale jeśli tak zrobimy, media nas nie zauważą. Do cholery, czy wy w ogóle macie pojęcie, ile rocznie odbywa się konferencji poświęconych zmianom klimatycznym? Na całym świecie?

- Nie, proszę pana. Ile?

- No... Czterdzieści siedem. Ale nie o to chodzi. - Drake uderzył pięścią w plakat. - Sami popatrzcie: „Niebezpieczeństwo”. Jakie to nieokreślone. Nie wiadomo, o co chodzi.

- Wydawało mi się, że właśnie taki jest nasz cel. Może chodzić o cokolwiek.

- Nie. Tu ma być „Kryzys” albo „Katastrofa”. „Kryzys jest blisko” i „Katastrofa jest blisko” brzmią lepiej. Zwłaszcza „katastrofa”.

- O katastrofie mówiliśmy przy okazji poprzedniej konferencji, tej o zagładzie gatunków.

- No i co z tego. Posługujemy się takimi sloganami, jakie są skuteczne. Ta konferencja musi ostrzegać przed katastrofą.

- Ale... Z całym szacunkiem... Czy to prawda, że gwałtowne zmiany klimatu mogą doprowadzić do katastrofy? Z materiałów, które nam dostarczono, nie...

- Tak, do diabła! Gwałtowne zmiany klimatu spowodują katastrofę. Zapewniam was, że tak się właśnie stanie. A teraz wprowadźcie te przeklęte zmiany.

Graficy spojrzeli na materiały.

- Panie Drake, konferencja zaczyna się za osiem dni.

- Myślicie, że o tym nie wiem? Że ja o tym, kurwa, zapomniałem?!

- Nie jestem pewien, ile zdążymy...

- Katastrofa! Wyrzućcie „niebezpieczeństwo”, wstawcie „katastrofę”! O nic więcej nie proszę. Czy to naprawdę takie trudne?

- Panie Drake, możemy przerobić plakaty, transparenty i materiały dla prasy, ale z kubkami będzie problem.

- Dlaczego?

- Bo są produkowane w Chinach i...

- W Chinach?! W kraju największych trucicieli? Czyj to był pomysł?

- Od zawsze sprowadzamy kubki z Chin...



- W takim razie najwyższy czas z tym skończyć. To jest NERF, na litość boską! Ile mamy tych kubków?

- Trzysta. Rozdajemy je dziennikarzom razem z pakietem prasowym.

- Kupcie jakieś ekologiczne kubki. Może kanadyjskie? Na Kanadę nikt się nigdy nie skarży. Kupcie kanadyjskie kubki i zróbcie nadruk Katastrofa. To wszystko.

Graficy spojrzeli niepewnie po sobie.

- Jest taka hurtownia w Vancouverze...

- Ale mają tylko kremowe kubeczki...

- Mogą być nawet seledynowe! - wrzasnął Drake. - Zajmijcie się tym. Co z materiałami dla prasy?

Inny grafik wziął plakat.

- Cztery kolory, druk atramentem ulegającym biodegradacji, papier z makulatury.

Drake chwycił plakat.

- To jest makulatura? Niezłe...

- Prawdę mówiąc, to papier z drewna - odparł podenerwowany grafik. - Ale nikt się nie zorientuje.

- Ja tego nie słyszałem. Grunt, że papier makulaturowy wygląda doskonale.

- To prawda, proszę pana.

- Bardzo dobrze. Przejdźmy dalej. - Spojrzał na ekipę PR. - Jaki jest plan kampanii?

- Zrobimy standardowe otwarcie, które zwróci uwagę opinii publicznej na zmiany klimatyczne - odparł jeden ze specjalistów od promocji. - Pierwsze wejście mamy w talk-show w niedzielę rano, będą też artykuły w niedzielnych dodatkach do gazet codziennych. Prowadzący mają zapowiedzieć zaczynając się w środę konferencję i przeprowadzić wywiady z fotogenicznymi osobistościami: będą Stanford, Levine i inni, którzy dobrze wypadają w telewizji. Z wyprzedzeniem przesłaliśmy materiały do wszystkich liczących się tygodników informacyjnych na świecie: „Time”, „Newsweek”, „Der Spiegel”, „Paris Match”, „Oggi”, „The Economist”... Łącznie pięćdziesiąt magazynów. Prosiliśmy o zapowiedź na okładce, godziliśmy się ewentualnie na duży nagłówek w środku, ale z grafiką; kto się na to nie zgodził, nie dostawał materiałów. Spodziewamy się, że co najmniej dwadzieścia okładek będzie naszych.

- Dobrze. - Drake z aprobatą pokiwał głową.

- Konferencja zaczyna się w środę. Na otwarciu zaprosiliśmy dobrze znanych, charyzmatycznych ekologów i polityków z krajów uprzemysłowionych. Delegaci przylecą z całego świata, tak że przebitki na publiczność powinny wyjść bardzo fajnie i kolorowo. Do krajów uprzemysłowionych zaliczają się, naturalnie, Indie, Korea i Japonia. Chińczycy też przyślą delegację, ale nie przewidują wystąpień. Dwustu akredytowanych dziennikarzy telewizyjnych zamieszka w Hiltonie. W samym hotelu i w salach konferencyjnych będą przygotowane stanowiska do przeprowadzania wywiadów, żeby nasi goście mogli głosić swoje przesłanie na cały świat. Prasa przekaze je w opiniotwórczych gazetach i tygodnikach, żeby dotrzeć do elity, która nie ogląda telewizji, ale lubi sobie poczytać.

- Świetnie. - Drake był bardzo zadowolony.

- Temat przewodni każdego dnia będzie miał własny symbol: powodzie, pożary, podnoszący się poziom mórz, susze, lodowce, tajfuny, huragany i tak dalej. Codziennie inny zespół polityków będzie udzielał wywiadów i opowiadał wszystkim o swojej trosce i zaangażowaniu w rozwiązywanie nowych problemów.

- Dobrze, bardzo dobrze.

- Polityków będziemy gościć najwyżej przez dzień; niektórych krócej, przez kilka godzin. Nie będą mieli czasu, żeby uczestniczyć w odczytach dłużej niż przez chwilę potrzebną kamerom do wyłapania ich w tłumie słuchaczy, ale wiedzą, czego się po nich spodziewamy. Wykorzystamy ich. Dzieci z miejscowych szkół, z klas cztery-siedem, będą nas codziennie odwiedzać, żeby dowiedzieć się o grożącym niebezpieczeństwie... To znaczy, o katastrofie. Przygotowaliśmy pakiety edukacyjne dla nauczycieli, które ułatwią im prowadzenie lekcji o gwałtownych zmianach klimatycznych.

- Kiedy te pakiety będą gotowe?

- Miały przyjść dzisiaj, ale w tej sytuacji potrzebujemy trochę czasu na zmianę hasła.

- W porządku. Co z liceami?

- Tu jest pewien problem... Pokazaliśmy pakiety paru nauczycielom ze średnich szkół... No i...

- Ico?

- Reakcje były różne, niezbyt entuzjastyczne.

- Dlaczego? - Drake spochmurniał.

- Program liceów jest układany pod kątem przyszłych studiów i nie za bardzo jest w nim miejsce na fakultety...

- To chyba nie powinien być fakultet...

- No... Nauczyciele uznali, że materiały są słabo udokumentowane. Dopytywali się: „A gdzie fakty?”, i tak dalej. Ja tylko przekazuję ich opinie.

- Cholera jasna! Słabo udokumentowane?! Przecież to się dzieje na naszych oczach!

- Może materiały są źle dobrane i nie ilustrują pańskich słów tak, jak powinny...

- Pieprzyć je. Ale zapewniam was, że to wszystko dzieje się naprawdę. - Drake odwrócił się i krzyknął zaskoczony: - Evans! Długo tak stoisz?!

Peter Evans stał w progu od dobrych dwóch minut i zdążył usłyszeć większą część dyskusji.

- Przed chwilą przyszedłem, panie Drake.

- No dobrze. - Drake spojrzał na pozostałych. - Tę sprawę chyba mamy zamkniętą. Evans, chodź ze mną.

Drake zamknął drzwi gabinetu.

- Potrzebuję twojej rady, Peter - powiedział półgłosem. Wziął z biurka plik papierów i przesunął je po blacie w stronę Evansa. - Co to ma znaczyć, do kurwy nędzy?

Evans przejrzał dokumenty.

- George cofnął dotację.

- Ty to przygotowałeś?

- Tak.

- A paragraf 3 a? Czyj to pomysł?

- Paragraf 3 a?

- Tak, 3a. Czy to twój przebłysk geniuszu?

- Nie przypominam sobie...

- Odświeżę ci pamięć. - Drake wziął dokument do ręki i zaczął czytać: - „W przypadku twierdzenia, że nie jestem w pełni władz umysłowych, mogą nastąpić próby podważenia tego dokumentu. Dlatego niniejszym zezwalam na wypłacanie Funduszowi pięćdziesięciu tysięcy dolarów tygodniowo w oczekiwaniu na proces i prawomocny wyrok sądowy. Wyżej wymienione fundusze będą przeznaczone na opłacenie bieżących kosztów działalności Funduszu, a ich wypłacanie uniemożliwi podważenie umowy”. To twoja robota, Evans?

- Tak.

- A pomysł czyj?

- George'a.

- George nie jest prawnikiem. Ktoś musiał mu pomagać.

- Nie ja. George po prostu podyktował mi ten zapis. Sam bym na to nie wpadł.

Drake prychnął z niesmakiem.

- Pięćdziesiąt tysięcy tygodniowo! W tym tempie wypłata całych dziesięciu milionów potrwa cztery lata.

- Właśnie taki był zamysł George'a.

- Ale kto mu go podsunął? Jeśli nie ty, to kto?!

- Nie wiem.

- To się dowiedz!

- To będzie trudne. George nie żyje, a ja naprawdę nie wiem, z kim mógł konsultować...

Drake spojrzał na niego z gniewem.

- Peter... Jesteś z nami czy przeciwko nam? - Zaczął krążyć po pokoju. - Pozew Vanutu to najważniejsza z naszych dotychczasowych spraw. - Mówił, jakby wygłaszał przemówienie. - Gra toczy się o wielką stawkę, Peter. Globalne ocieplenie to największe niebezpieczeństwo, jakiemu ludzkość musi stawić czoło. Ty to wiesz, ja to wiem i większość cywilizowanego świata też to wie. Musimy ratować naszą planetę, zanim będzie za późno.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Czyżby? Bardzo ważny pozew sądowy wymaga naszego pilnego wsparcia, a pięćdziesiąt tysięcy tygodniowo może go tylko uziemić.

Evans dobrze wiedział, że to nieprawda.

- Pięćdziesiąt tysięcy to spore pieniądze. Nie rozumiem, dlaczego miałyby uziemić...

- Bo tak właśnie będzie! Bo ja tak mówię! - Drake chyba sam był zdziwiony swoim wybuchem. Oparł się o biurko i opanował. - Nie wolno nam zapominać, jakich mamy przeciwników. Przemysł to potęga. Ogromna potęga. I chce w spokoju zatruwać środowisko: tutaj, w Meksyku, w Chinach... Wszędzie, na całym świecie. To nie przelewki.

- Rozumiem.

- Są pewne siły, które bardzo interesują się tym pozwem.

- Niewątpliwie.

- Siły, które nie cofną się przed niczym, byle tylko doprowadzić do naszej porażki.

Evans zmarszczył brwi. Co Drake próbował dać mu do zrozumienia?

- Ich macki sięgają dosłownie wszędzie, Peter. Może nawet do twojej kancelarii. Do twoich znajomych. Do ludzi, którym chciałbyś zaufać. Ale nie wolno ci tego zrobić. Bo widzisz, oni już są po drugiej stronie, chociaż sami nie zdają sobie z tego sprawy.

Evans obserwował Drake'a w milczeniu.

- Bądź ostrożny. Uważaj na siebie. Nie rozmawiaj o tym, czym się zajmujesz, z nikim, rozumiesz? Z nikim poza mną. Staraj się nie używać komórki. Nie korzystaj z e-maila. I rozglądaj się, czy ktoś cię nie śledzi.

- No dobrze... Właściwie to już jestem śledzony. Niebieski prius...

- To nasi ludzie. Ale nie bardzo wiem, po co za tobą jeżdżą, bo odwołałem ich dawno temu.

- Wasi ludzie?

- Tak. Sprawdzamy nową firmę ochroniarską. Najwyraźniej nie są w swoim fachu najlepsi.

- Nic z tego nie rozumiem. NERF wynajmuje własnych ochroniarzy?

- Pewnie, od lat. Bo grozi nam niebezpieczeństwo. Zapamiętaj to sobie: wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie. Zdajesz sobie sprawę, co będzie, jeśli wygramy? Przemysł będzie musiał wydać biliony dolarów, żeby zahamować emisję gazów cieplarnianych. Biliony! Przy takiej stawce życie paru osób przestaje się liczyć. Dlatego powtarzam jeszcze raz: uważaj na siebie.

Evans obiecał, że będzie o tym pamiętał. Podali sobie ręce.

- Chcę wiedzieć, kto doradził George'owi ten zapis - przypomniał Drake. - I chcę dostać te pieniądze, by przeznaczyć je na potrzeby NERF-u. Wszystko zależy od ciebie. Do zobaczenia, Peter.

Wychodząc z budynku, Evans wpadł na młodego mężczyznę, który biegł po schodach na górę. Zderzyli się z taką siłą, że Evans omal się nie przewrócił. Chłopak przeprosił go pospiesznie i pobiegł dalej. Wyglądał jak jeden z pracowników Drake'a. Ciekawe, pomyślał Evans, o co znowu chodzi.

Wyszedł i rozejrzył się na boki. Niebieski prius zniknął. Wsiadł do samochodu i ruszył do domu Mortona.

**Holmby Hills**

**Wtorek, 5 października Godz. 17.57**

Ruch się wzmógł. Evans posuwał się pomału po Sunset i miał mnóstwo czasu na przemyślenia. Po rozmowie z Drakiem był zdezorientowany. Całe spotkanie wyglądało dość dziwnie - tak jakby w ogóle nie było potrzebne, jakby Drake chciał się tylko upewnić, że kiedy wezwie Evansa, on natychmiast przyjedzie. Jakby chciał potwierdzić swoją władzę. Czy coś w tym guście. Evans w każdym razie czuł się nieswojo.

Niepokoili go również ta nowa firma ochroniarska. Wynajęcie jej po prostu nie miało sensu. NERF był porządną instytucją; po co jego pracownicy mieliby się skradać i śledzić innych ludzi? A paranoiczne ostrzeżenia Drake'a wcale nie brzmiały przekonująco. Jak zwykle przesadzał.

Drake uwielbiał dramatyzować i nie było na to rady: we wszystkim widział kryzys, rozpaczliwą sytuację, powody do paniki. Żył w świecie nieszczęść, który jednak nie zawsze był światem rzeczywistym.

Evans zadzwonił do kancelarii, ale Heather zwolniła się wcześniej. Zatelefonował więc do biura Lowensteina. Zgłosiła się Lisa.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział. Zniżyła konspiracyjnie głos:
- Możesz na mnie liczyć.
- Włamali się do mnie.
- Jak to... Do ciebie też?!
- Tak, do mnie też. Muszę zadzwonić na policję...
- Powinieneś. Mój Boże! Co ukradli?
- Chyba nic. Chcę po prostu zgłosić włamanie, ale chwilowo jestem trochę zajęty... Pomagam Sarah... Nie wiem, ile to jeszcze potrwa...
- Chcesz, żebym za ciebie porozmawiała z policją?
- A mogłabyś? Byłbym wdzięczny.
- Pewnie, Peter. Zajmę się tym. - Przerwała, a kiedy znów się odezwała, mówiła szeptem: - Masz tam coś, czego policja... no... nie powinna znaleźć?
- Nie.
- Wiesz, ja tego nie oceniam. W LA wszyscy mają swoje grzeszki. Inaczej by nas tu nie było...
- Nie, Liso. Nie trzymam w domu narkotyków, jeśli o to ci chodzi.

- Skądże! Nie miałam na myśli niczego konkretnego. Może jakieś zdjęcia czy coś?

- Nie, Liso.

- Żadnych... No wiesz... Nieletnich?

- No co ty.

- Tak tylko chciałam się upewnić.

- Dziękuję. Żeby wejść do mieszkania...

- Wiem. Klucz pod wycieraczką.

- Tak... Skąd wiesz?

- Peter... - odparła lekko urażona. - Ja wiem różne rzeczy.

- No dobrze. Z góry dziękuję.

- Nie ma sprawy. Co u Margo? Jak sobie radzi?

- W porządku.

- Byłeś u niej?

- Rano pojechałem...

- Nie, w szpitalu. Nie słyszałeś? Wróciła z banku i przyłapała włamywaczy w mieszkaniu! Trzy włamania tego samego dnia, u ciebie, u Margo i Sarah. Co to może znaczyć?

- Nie wiem, ale to podejrzane.

- No pewnie!

- Wracając do Margo...

- A tak. Chyba próbowała się z nimi bić, ale to był błąd. Poturbowali ją, zdaje się, że uderzyli ją w głowę. Słyszałam, że ma podbite oko. Kiedy policja przyjechała ją przesłuchać, straciła przytomność. Została kompletnie sparaliżowana. Nie mogła się ruszyć. Przestała nawet oddychać!

- Nie żartuj.

- Nie żartuję. Rozmawiałam potem z jednym z tych policjantów. Powiedział, że to przyszło nagle: Margo przestała się ruszać i cała zsiniała. Karetka zabrała ją do UCLA. Jest na intensywnej terapii. Lekarze czekają, kiedy będą mogli ją zapytać o niebieski krąg.

- Jaki niebieski krąg?

- Zanim ją sparaliżowało, mówiła coraz bardziej bełkotliwie, ale wspomniała o jakimś niebieskim kręgu. Niebieskim kręgu śmierci.

- Niebieski krąg śmierci... Co to może być?

- Tego nikt nie wie. A Margo na razie nie może mówić. Słyszałeś, żeby zażywała narkotyki?

- Nie. Ma świra na punkcie zdrowego trybu życia.

- Lekarze mówią, że wydobrzeje. Że to czasowy paraliż.

- Później do niej wpadnę.

- Jak już ją odwiedzisz, przedzwoń do mnie. A ja się zajmę twoim mieszkaniem.

Ściemniło się, zanim dojechał do domu Mortona. Ochroniarze zniknęli i na podjeździe zostało tylko porsche Sarah. Otworzyła mu, kiedy zadzwonił do drzwi. Zdążyła się przebrać w dres.

- Wszystko w porządku?

- Tak - odparła.

Przeszli do salonu. Był ciepły i przytulny. Palily się światła.

- Gdzie ochroniarze?

- Pojechali na kolację. Ale wrócą.

- Wszyscy pojechali?

- Przecież mówię, że wrócą. Chcę ci coś pokazać. - Sarah wyjęła podłużny miernik elektroniczny i przesunęła nim po ciele Evansa jak wykrywaczem metalu. Poklepała go po kieszeni. - Co tam masz? Wyjmij.

Wyjął kluczyki samochodowe i rzucił je na stolik. Sarah przesunęła miernikiem przed jego piersią. Wskazała prawą kieszeń i gestem dała mu do zrozumienia, żeby ją też opróżnił.

- Ale o co chodzi?

Pokręciła głową. Nie odpowiedziała.

Wyjął z kieszeni jednocentówkę. Odłożył na stolik.

Sarah zamachała ręką: coś jeszcze?

Obmacał się. Kieszenie miał puste.



Przesunęła miernik nad kluczykami. Do łańcuszka był przymocowany plastikowy breloczek z przyciskiem otwierającym drzwi. Podważyła jego wieczko scyzorykiem.

- Zaraz, co ty...

Breloczek pstryknął cicho i się otworzył. W środku Evans dostrzegł różne komponenty elektroniczne i baterię jak w zegarku. Sarah wyjęła ze środka jakiś drobiazg, wielkości czubka grafitu w ołówku.

- Bingo!

- Czy to jest to, co myślę?

Wrzuciła drobinę do szklanki z wodą i dobrała się do jednocentówki. Obejrzała ją dokładnie, skręciła mocno w palcach i - ku zdumieniu Evansa - przełamała na pół. Moneta była nafaszerowana elektroniką.

Sarah ją również wrzuciła do szklanki.

- Gdzie zaparkowałeś?

- Przed domem.

- Później sprawdzimy samochód.

- O co ci chodzi?

- Ludzie z ochrony znaleźli pluskwy. Przy mnie i w całym domu. Podejrzewam, że właśnie po to upozorowano włamanie. Żeby założyć podsłuch. I co się okazało? Ty też nosisz pluskwy.

Evans rozejrzał się niepewnie.

- Dom jest już czysty?

- Przeczesał go i wyczyścił. Znaleźli kilkanaście pluskiew. Mówią, że to wszystkie.

Usiedli na kanapie.

- Nie wiem, kto za to odpowiada, ale wydaje mi się, że coś wiemy - zaczęła Sarah. - A ja zacznę mu wierzyć.

Evans wspomniał o liście, o której mówił mu Morton.

- Kupił ją? Pokiwał głową.

- Tak powiedział.

- Co to miała być za lista?

- Nie wiem. George chciał mi powiedzieć coś więcej, ale nie było okazji, żeby wrócić do tego tematu.

- W ogóle nic więcej ci nie powiedział, tak w cztery oczy?

- Nie przypominam sobie.

- Może w samolocie?

- Nie...

- Przy kolacji?

- Raczej nie.

- Kiedy wyszliście do samochodu?

- Nie. Cały czas śpiewał. Prawdę mówiąc, było mi trochę wstyd. Potem wsiadł do wozu... Zaraz. Wtedy powiedział coś zabawnego.

- Co?

- Zacytował jakieś buddyjskie przysłowie filozoficzne. Kazał mi je zapamiętać.

- Jak brzmiało?

- Nie pamiętam. Przynajmniej nie dosłownie. Coś w rodzaju: „Jeżeli chcesz wiedzieć, co się liczy, idź tam, gdzie siedzi Budda”.

- George nie interesował się buddyzmem. Po co miałby cytować buddyjskie mądrości?

- „Jeżeli chcesz wiedzieć, co się liczy, idź tam, gdzie siedzi Budda” - powtórzył Evans. Patrzył prosto przed siebie, w kierunku sali multimedialnej. - Sarah...

Na wprost nich, dramatycznie oświetlony, siedział drewniany Budda. Birmański, czternastowieczny.

Evans podszedł do posągu. Sarah poszła za nim. Rzeźba miała sto dwadzieścia centymetrów wysokości i spoczywała na wysokim postumencie. Evans obszedł ją dookoła.

- Myślisz?... - zapytała Sarah.

- Może...

Przesunął palcami po podstawie posągu. Pod skrzyżowanymi nogami znajdowała się wąska szpara, ale niczego w niej nie wymacał. Przykucnął, spojrzął od dołu. Nic. Drewno popękało z

wiekami, ale szczeliny były puste.

- Może dałoby się przesunąć cokół? - zasugerował.

- Jest na rolkach.

Przesunęli posąg, ale odsłoniли tylko kawałek białego dywanu. Evans westchnął.

- Są tu jacyś inni Buddowie? Sarah uklękała przed posągiem.

- Peter!

- Co?

- Patrz!

Kucnął przy niej. Między podłogą i dolną powierzchnią postumentu były dwa centymetry wolnej przestrzeni. W tej szparze Sarah dostrzegła ledwie widoczny róg koperty przyklejonej od spodu do cokołu.

- A niech mnie...

- Koperta!

Sarah wsunęła dłoń pod postument.

- Dasz radę jej dosięgnąć?

- Chyba tak... Mam!

Wyciągnęła kopertę, trochę większą od listowej, zaklejoną i nieopisaną.

- To może być to! - wykrzyknęła podekscytowana Sarah. - Peter! Znaleźliśmy!

Zgasło światło. Ciemność ogarnęła cały dom. Po omacku wstali z podłogi.

- Co się stało? - zaniepokoił się Evans.

- Nic strasznego. Zaraz się włączy generator awaryjny.

- Nie, nie włączy się - zabrzmiał w mroku obcy głos.

Ktoś wycelował im w twarze dwie potężne latarki. Oślepiiony Evans zmrużył oczy, Sarah zasłoniła oczy ręką.

- Poproszę kopertę - odezwał się głos.

- Nie - odparła Sarah.

Rozległ się metaliczny trzask, przypominający szczęk kurka pistoletu.

- Tak czy inaczej, dostaniemy tę kopertę.
- Nie ma mowy. - Sarah była nieugięta.
- Sarah... - szepnął stojący obok niej Evans.
- Zamknij się, Peter. Nie możemy im jej oddać.
- Będziemy strzelać, jeśli nas do tego zmusicie.
- Daj im tę pieprzoną kopertę!
- Niech ją sobie wezmą.
- Sarah...
- Ty suko! - krzyknął ktoś.

Padł strzał. W ciemności się zakotłowało. Znów ktoś krzyknął. Jedna z latarek upadła na ziemię, poturlała się i oświetlała teraz kąt salonu. Evans widział, jak olbrzymi cień rzuca się na Sarah, która darła się wniebogłosy i kopała na oślep. Niewiele myśląc, przyskoczył do napastnika i złapał go za rękaw skórzanej kurtki. Poczłwał zalatującą od intruza woń piwa, usłyszał stęknienie, a potem ktoś odciągnął go, powalił na podłogę i kopnął w zębra.

Evans przetoczył się w bok i odbił od jakiegoś mebla. Ktoś podniósł latarkę.

- Zostaw ją - zabrzmiał nowy głos. - Ale już!

Napastnik odwrócił się w kierunku, z którego dobiegły te słowa. Sarah leżała na podłodze. Ktoś inny wstał i odwrócił się do światła.

Rozległ się trzask, mężczyzna wrzasnął przeraźliwie i runął na podłogę. Snop światła padł na tego, który kopnął Petera.

- Na ziemię.

Intruz posłusznie położył się na dywanie.

- Twarzą do podłogi. Odwrócił się na brzuch.
- Tak lepiej. Nic się wam nie stało?
- Mnie nie - odparła zdyszana Sarah, wpatrując się w światło. - Ale kim ty jesteś, do cholery?
- Jestem rozczarowany, Sarah. Myślałem, że mnie rozpoznasz. W pokoju znów zapaliły się

Światła.

- John!

Zdumiony Evans patrzył, jak Sarah przechodzi nad ciałem napastnika i z wdzięcznością ściska Johna Kennera, profesora inżynierii geosrodowiskowej MIT.

**Holmby Hills.**

**Wtorek, 5 października Godz. 20.03**

- Chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie - stwierdził Evans. Kenner przykucnął i skuwał napastników kajdankami. Pierwszy z nich nie odzyskał jeszcze przytomności.

- To taser z modulatorem. Wystrzeliwuje strzałkę powodującą cztero-milisekundowy wstrząs, który czasowo paraliżuje mózdzek. Człowiek pada nieprzytomny, ale po paru minutach dochodzi do siebie.

- Nie to miałem na myśli...

- Skąd się tu wziąłem? - Kenner uśmiechnął się krzywo.

- No właśnie.

- Przyjaźnił się z George'em - wyjaśniła Sarah.

- Tak? Od kiedy?

- Od naszego pierwszego spotkania. Na pewno pamięta pan także mojego współpracownika, Sanjonga Thapę.

Do pokoju wszedł muskularny, krótko ostrzyżony Nepalczyk. Tak jak poprzednio, uwagę Evansa przykuł jego wojskowy sposób bycia i brytyjski akcent.

- Światło jest już wszędzie, profesorze - powiedział. - Mam zadzwonić po policję?

- Jeszcze nie. Pomóż mi. - Razem przeszukali skutych napastników. - Tak jak myślałem. - Kenner wstał. - Nie mają żadnych dokumentów.

- Co to za ludzie?

- To sprawa dla policji. - Intruzi powoli odzyskiwali przytomność. - Przenieśmy ich pod drzwi wejściowe, Sanjong.

We dwóch dźwignęli napastników na nogi i pół wywlekli ich, pół wyprowadzili z salonu.

Evans i Sarah zostali sami.

- Jak Kenner dostał się do domu?

- Był w piwnicy. Całe popołudnie przeszukiwał dom.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

- Bo ją o to prosiłem - wyjaśnił Kenner, który właśnie wrócił do pokoju. - Nie wiedziałem, co o panu myśleć. To skomplikowana sprawa. - Zatarł ręce. - Co powiecie na to, żeby obejrzeć kopertę?

- Dobrze.

Sarah przysiadła na brzegu kanapy i rozdarła kopertę. W środku znajdowała się starannie złożona kartka papieru. Sarah spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Co to jest? - spytał Evans. Podała mu ją bez słowa.

Był to rachunek z Galerii Sztuki Edwardsa w Torrance, w Kalifornii, za wykonanie drewnianego postumentu dla posągu Buddy. Sprzed trzech lat.

Przygnębiony Evans usiadł obok Sarah.

- No co? - zdziwił się Kenner. - Tak szybko się poddajemy?

- Nie wiem, co robić.

- Zaczniemy od tego, co dokładnie powiedział panu George Morton.

- Tak dokładnie to ja nie pamiętam.

- Proszę powiedzieć, co pan pamięta.

- Powiedział, że to buddyjskie przysłowie. Brzmiało mniej więcej tak: „Jeżeli chcesz wiedzieć, co się liczy, idź tam, gdzie siedzi Budda”.

- To niemożliwe - stwierdził stanowczo Kenner.

- Dlaczego?

- Nie mógł tak powiedzieć.

- Dlaczego?

Kenner westchnął ciężko.

- Przecież to oczywiste. Gdyby wydawał panu instrukcje, a zakładamy, że tak właśnie było,

byłby bardziej precyzyjny. Musiał to ująć inaczej.

- Aleja nic więcej nie pamiętam - zastrzegł się Evans. Kenner działał mu na nerwy. Był opryskliwy. Evans już go nie lubił.

- Nic? Spróbujmy od początku. Kiedy dokładnie George to powiedział? Bo na pewno po wyjściu z hotelu.

Evans osłupiał, ale po chwili oprzytomniał.

- To pan tam był?

- Byłem. Na parkingu, stałem z boku.

- Co pan tam robił?

- O tym później. Mówił pan, że wyszliście z George'em...

- Tak, wyszliśmy przed hotel. Było chłodno. George trochę otrzeźwiał i przestał śpiewać. Staliśmy na schodach i czekaliśmy na samochód.

- Mhm...

- Potem George wsiadł do swojego ferrari. Przestraszyłem się. Uważałem, że nie powinien prowadzić. Powiedziałem mu o tym, a on na to: „Przypomniało mi się takie filozoficzne powiedzenie: Jeżeli chcesz wiedzieć, co się liczy, stąpaj tam, gdzie siedzi Budda”.

- Stąpaj?

- Tak powiedział.

- No dobrze. Pan wtedy...

- Pochyliłem się nad nim. Oparłem się o samochód i pochyliłem.

- Oparł się pan o ferrari.

- Tak.

- I pochylił nad George'em. A kiedy on już zacytował to powiedzenie, co mu pan odpowiedział?

- Poprosiłem, żeby nie prowadził sam.

- Powtórzył pan to przysłowie?

- Nie.

- Czemu nie?

- Niepokoiłem się o George'a. Nie powinien był jechać. Pamiętam, że zdziwił mnie dobór słów: „Jeżeli chcesz wiedzieć, co się liczy, skieruj się tam, gdzie siedzący Budda”.

- Skieruj się?

- Tak.

- Powiedział „skieruj się”?

- Tak.

- To już brzmi lepiej.

Kenner chodził niespokojnie, rozglądał się po pokoju. Brał różne przedmioty do ręki, odkładał je, szedł dalej.

- Niby dlaczego? - zirytował się Evans.

- Rozejrzyj się, Peter. - Kenner wykonał nieokreślony gest. - Co widzisz?

- Salę multimedialną.

- No właśnie.

- Nie rozumiem...

- Usiądź, Peter.

Evans posłusznie usiadł. Był wściekły. Założył ręce na piersi i patrzył z niechęcią na Kennera. Zabrzęczał dzwonek przy drzwiach. Policja.

- Zajmę się tym - zaproponował Kenner. - Lepiej żeby was nie widzieli.

I znów wyszedł z pokoju. Z holu dobiegło kilka stłumionych głosów. Rozmowa była przyjacielska i dotyczyła dwójki skutych napastników.

- Czy Kenner ma coś wspólnego z wymiarem sprawiedliwości? - zainteresował się Evans.

- Niezupełnie.

- To znaczy?

- Po prostu zna, kogo trzeba.

Evans wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy.

- Zna, kogo trzeba... - powtórzył.



- No, różnych ludzi. Aranżował spotkania George'a ze swoimi znajomymi. Ma niesamowicie rozległe kontakty, zwłaszcza w środowisku ekologów.

- Tym właśnie zajmuje się Centrum Analizy Ryzyka? Chodzi o ryzyko ekologiczne?

- Nie jestem pewna.

- Dlaczego jest na urlopie?

- Zapytaj go.

- Tak zrobię.

- Nie lubisz go, prawda?

- Ani lubię, ani nie lubię. Uważam tylko, że jest zarozumiałym palantem.

- Na pewno jest bardzo pewny siebie.

- Jak każdy palant.

Evans wstał i podszedł do drzwi. Wyjrzał do holu. Kenner właśnie podpisywał jakieś dokumenty i przekazywał intruzów policjantom. Żartowali jak starzy znajomi. Sanjong trzymał się z boku.

- A ten drugi? - zapytał Evans.

- Sanjong Thapa? Poznali się z Kennerem w Nepalu, na wspinaczce. Sanjong został przydzielony do ekipy naukowej badającej erozję gleb w Himalajach jako oficer łącznikowy. Kenner ściągnął go do Stanów i zaczęli współpracować.

- Już sobie przypominam: Kenner ostro się wspina. - Evans nie krył rozdrażnienia. - Poza tym mało brakowało, żeby pojechał na olimpiadę jako narciarz.

- To nieprzeciętny człowiek, Peter. Nawet jeśli za nim nie przepadasz. Evans wrócił na kanapę, usiadł i skrzyżował ręce na piersi.

- Masz rację. Nie lubię go.

- Chyba nie ty jeden. Lista ludzi, którzy nie lubią Johna Kennera, jest dosyć długa.

Evans prychnął, ale nic nie odpowiedział.

Siedzieli w milczeniu, kiedy Kenner wrócił i znów zatarł ręce.

- No dobrze. Chłopcy umieli powiedzieć tylko tyle, że chcą się skontaktować z adwokatem, i to

konkretnym. Wyobrażacie sobie? Za parę godzin będziemy wiedzieli coś więcej. - Spojrzał na Petera. - I jak: zagadka rozwiązana? Ta z Buddą w tle?

Evans spojrzał na niego wściekły.

- Nie.

- Naprawdę? Przecież to proste.

- To może nam powiesz?

- Wyciągnij prawą rękę w bok - polecił mu Kenner. - Masz tam stolik. Evans wyciągnął rękę. Na stoliku leżało pięć pilotów.

- No i?

- Co leży na stoliku?

- Piloty. Jak to w sali multimedialnej.

- Zgadza się. Ale do czego są te piloty?

- Do telewizora, tunera satelitarnego, odtwarzacza DVD i magnetowidu.

- Który jest od czego?

Evans spojrzał na stolik i doznał olśnienia.

- Mój Boże... Rzeczywiście!

Brał je po kolei do ręki.

- Telewizor... DVD... satelita... magneto... - Zawahał się. Pilotów było o jeden za dużo. - Chyba są dwa do DVD.

Dodatkowy pilot był czarny, pękaty i opatrzony - jak należy - mnóstwem guziczków, ale ważył wyraźnie mniej. Evans otworzył pojemnik na baterie. Tylko jedna bateria była w przegródce; miejsce drugiej zajmował ciasno zrolowany kawałek papieru.

- Bingo!

Wyjął papier.

„Jeśli chcesz wiedzieć, co się liczy, skieruj się tam, gdzie siedzący Budda”. To były słowa George’a. Czyli ten karteluszek był najważniejszy.

Rozwinął go ostrożnie i położył na stoliku. Nasadą dłoni wygładził zmarszczki. I patrzył.

Na kartce widniały kolumny liczb i kilka nazw.

662262 3982293 24FXE 62262 82293 TERROR

882320 4898432 12FXE 82232 54393 SNAKE

774548 9080799 02FXE 67533 43433 LAUGHER

482320 5898432 22FXE 72232 04393 SCORPION

ALT

662262 3982293 24FXE 62262 82293 TERROR

382320 4898432 12FXE 82232 54393 SEVER

244548 9080799 02FXE 67533 43433 CONCH

482320 5898432 22FXE 72232 04393 SCORPION

ALT

662262 3982293 24FXE 62262 82293 TERROR

382320 4898432 12FXE 82232 54393 BUZZARD

444548 7080799 02FXE 67533 43433 OLD MAN

482320 5898432 22FXE 72232 04393 SCORPION

ALT

662262 3982293 24FXE 62262 82293 TERROR

382320 4898432 12FXE 82232 54393 BLACK MESA

344548 9080799 02FXE 67533 43433 SNARL

482320 5898432 22FXE 72232 04393 SCORPION

- To tego szukamy? - zdziwił Evans. Sarah zajrzała mu przez ramię.

- Nic nie rozumiem. Co to jest?

Evans podał karteczkę Kennerowi, który tylko przełomie rzucił na nią okiem.

- Nie dziwię się, że tak im na tym zależy - stwierdził.

- Wiesz, co to jest?

- Jasne. - Kenner oddał kartkę Sanjongowi. - Spis punktów na mapie.

- Punktów na mapie? Gdzie one są?

- Będziemy musieli policzyć - odparł Sanjong. - Są zapisane w UOM, co może oznaczać, że spis przygotowano dla pilotów.

- Świat ma kształt kuli - powiedział Kenner, widząc, że Evans i Sarah kompletnie nic nie rozumieją. - A mapy są płaskie. Wszystkie są więc z konieczności projekcją sfery na płaszczyznę. Jedną z takich projekcji nosi nazwę Uniwersalnego Odwzorowania Mercatora i dzieli całą kulę ziemską na paski o szerokości sześciu stopni. Pierwotnie używano jej w wojsku, ale później znalazła zastosowanie także w mapach lotniczych.

- Czyli to są po prostu współrzędne geograficzne, tylko zapisane w innej postaci? - powiedział Evans.

- Tak. Wojskowej postaci. - Kenner powiódł palcem po spisie. - Kilka alternatywnych zestawów... Ale w każdym z nich pierwsza i ostatnia lokalizacja są takie same. Dlaczego?... - Zmarszczył brwi.

- To źle? - zaniepokoiła się Sarah.

- Nie wiem. Być może. - Kenner zerknął na Sanjonga, który ponuro skinął głową.

- Jaki dzień dziś mamy?

- Wtorek.

- Zostało niewiele czasu.

- Sarah? Będzie nam potrzebny samolot George'a. Ilu ma pilotów?

- Zwykle wystarcza mu dwóch.

- Nam będą potrzebni co najmniej czterej. Kiedy mogłabyś ich ściągnąć?

- Nie wiem. A dokąd chcecie lecieć?

- Do Chile.

- Do Chile! A kiedy?

- Jak najprędzej. Najpóźniej o północy.

- To trochę potrwa...

- No to do roboty. Czas ucieka, Sarah. I to bardzo szybko.

Evans patrzył za Sarah wybiegającą z pokoju, potem odwrócił się do Kennera.

- W porządku - powiedział. - Poddaję się. Co jest w Chile?

- Mam nadzieję, że odpowiednie lotnisko. I zapas paliwa lotniczego. - Kenner pstryknął palcami. - Słuszna uwaga, Peter. Sarah?! Co to za samolot? - krzyknął głośno.

- Gulfstream piątka!

Sanjong Thapa pisał coś na klawiaturze palmtopa.

- Masz łączność z Akamai? - spytał Kenner.

- Tak.

- I co, miałem rację?

- Zdążyli przeliczyć dopiero pierwsze współrzędne, ale tak: lecimy do Chile.

- Czyli Terror to Terror?

- Na to wygląda.

Evans patrzył to na jednego, to na drugiego.

- Terror to terror? - zapytał ogłupiały.

- Właśnie - odparł Kenner.

- Peter ma rację, John - zauważył Sanjong.

- Powiecie mi wreszcie, co jest grane?!

- Oczywiście. Masz przy sobie paszport?

- Tak. Zawsze.

- Grzeczny chłopiec. - Kenner odwrócił się do Sanjonga. - W czym ma rację?

- Z tymi współrzędnymi geograficznymi.

- No tak! - Kenner znów strzelił palcami. - Co się ze mną dzieje?

- Poddaję się - powtórzył Evans. - Co się z tobą dzieje?

Kenner nie odpowiedział. Poruszał się jak nadpobudliwy dzieciak - szybko, nerwowo. Porwał ze stolika pilota do odtwarzacza DVD i obejrzał go z bliska. W końcu się odezwał:

- Siatka sześciostopniowa oznacza, że współrzędne wskazują cel z dokładnością do tysiąca metrów. A to za mało.

- Dlaczego? Jaka dokładność byłaby odpowiednia?

- Trzy metry - odparł Sanjong.

- O ile używają PPS. - Kenner cały czas uważnie oglądał pilota. - Czyli... Tak myślałem. Stara sztuczka.

Zdjął całą tylną ściankę pilota i odsłonił płytkę drukowaną. Wyjął ją i wyciągnął drugą zwiniętą w rulonik kartkę. Była cieniutka jak bibułka papierosowa i zapisana cyframi i symbolami:

-2147483640, 8, 0\*x°%AgKA\_A0#\_QA\_cA«aaaaU?\_\_yyy\_&

-2147483640, 8, 0%h° a#KA\_0, \_@BA\_cA«aaaaU?vvv wy\_

-2147483640,8,0a'»A\$PNA\_N\_exFA\_cA aaaaaU; yyy A

-2147483640,8,0ÓW"1/4\_0A ó°q\_IMA\_cA<<aaaaU?wvv yyy A

-2147483640, 8, O&ceVN\_LA00\_8\_ÓPA\_cA^^U? yyy

-2147483640, 8, 0\*x°%AgKA\_A0#\_QA\_cA«aaaaU?\_\_yyy\_Ł

-2147483640, 8, 0%h° a#KA\_0 \_\_@BA\_cA<<aaaaU?yyvv yyy

-2147483640, 8, 0óW»l/4\_0A ó°q\_IMA\_cA<<aaaaU?yyyy\_\_yyy\_A

-2147483640, 8, 0e{»l\_'0Aao0'd,LA\_cA-> aaaaaU; yyy

-2147483640, 8, O%oce°/Ń\_LA00\_8\_ÓPA\_cA«aaaaU? yyy

-2147483640, 8, 0\*x°%AgKA\_A0#\_QA\_cA«aaaaU?\_\_yyy\_a

-2147483640, 8, 0%h°a#KA\_0 \_\_@BA\_cA«aaaaU?yyyy\_\_yyy\_

-2147483640, 8, 0óW»l/4\_0A ó°a\_IMA\_cA<<aaaaU?yi^\_J^yy\_A

-2147483640,8,0e{»l\_' 0 Aa00'' d, LA\_cA-.aaaaU; yyy

-2147483640,8,0 %0(E0 /N\_LA00\_8\_OPA\_cA«aaaaU?\_\_yyy\_

- No! - ucieszył się Kenner. - Nareszcie coś mamy.

- Niby co? - spytał Evans.
- Prawdziwe współrzędne, najprawdopodobniej tych samych miejsc.
- Terror to terror? - powtórzył Evans. Zaczynał czuć się jak ostami dureń.
- Tak. Mówimy o Mount Terror, Peter. To Góra Grozy, wygasły wulkan. Słyszałeś o nim?
- Nie.
- No cóż, właśnie tam polecimy.
- A gdzie on jest?
- Sądziłem, że już się domyśliłeś. Na Antarktydzie.

## **GROZA**

### **W drodze do Punta Arenas**

**Wtorek, 5 października Godz. 21.44**

Lotnisko Van Nuysa zostawało w tyle. Samolot wykręcił na południe nad gładką jak stół, połyskującą powierzchnią zatoki Los Angeles. Stewardesa podała Evansowi kawę. Na małym ekranie wyświetlały się informacje o czekającej ich podróży: dziewięć tysięcy dziewięćset trzydzieści osiem kilometrów, prawie dwanaście godzin lotu.

Stewardesa zapytała jeszcze, kto zje kolację, i zajęła się przygotowaniem posiłku.

- Posłuchajcie - odezwał się Evans. - Trzy godziny temu przyjechałem do Sarah, żeby pomóc jej załatwić sprawę włamania, a teraz lecę na Antarktydę. Nie uważacie, że czas na wyjaśnienia?

Kenner pokiwał głową.

- Słyszałeś o ELF-ie? Ekologicznym Froncie Wyzwolenia?

- Nie.

- Ja też nie - przyznała Sarah.

- To grupa ekologów-ekstremistów, nieoficjalna, najprawdopodobniej złożona z byłych członków Greenpeace i Earth First!, którzy doszli do wniosku, że ich macierzyste organizacje za bardzo zmiękły. ELF dokonuje aktów przemocy w obronie ekologii. Mają na koncie podpalenia hoteli w Kolorado, domów na Long Island i samochodów w Kalifornii, no i choćby wycinkę drzew

w Michigan.

- Czytałem o nich - przyznał Evans. - FBI i inne agencje nie potrafią ich zinfiltrować, bo ELF składa się z odrębnych komórek, które nie mają ze sobą kontaktu.

- Podobno. Ale udało się zarejestrować ich rozmowy telefoniczne i od pewnego czasu wiemy, że ELF planuje serię akcji o zasięgu ogólnoswiatowym. Najbliższa już za kilka dni.

- Jakich akcji?

- Tego nie wiemy. Mamy jednak powody sądzić, że będą to duże i niszczyielskie operacje.

- Co to ma wspólnego z George'em Mortonem? - zdziwiła się Sarah.

- Chodzi o fundusze. Przygotowanie akcji w różnych punktach globu wymaga ogromnych nakładów finansowych. Pytanie brzmi: skąd ELF bierze pieniądze?

- Chcesz powiedzieć, że George finansował ekstremistów?

- Nieumyślnie. ELF jest organizacją kryminalną, ale takie grupy jak PETA i tak ich sponsorują. Nas jednak bardziej interesuje, czy inne, lepiej znane organizacje ekologiczne też przykładają rękę do ich finansowania.

- Lepiej znane organizacje... Czyli kto?

- Jest ich dużo.

- Chwileczkę... - wtrąciła Sarah. - Sugerujesz, że Stowarzyszenie Audubona i Sierra Club sponsorują terrorystów?

- Nie. Zwracam wam tylko uwagę na fakt, że nikt nie wie dokładnie, co robią z pieniędzmi. Rządowy nadzór nad fundacjami i organizacjami charytatywnymi praktycznie nie istnieje. Nie przeprowadza się w nich kontroli, nie zagląda się im w księgi rachunkowe. A organizacje ekologiczne w USA mają łącznie pół miliarda dolarów przychodu. Nie wiadomo, co się z nim dzieje.

Evans zmarszczył brwi.

- George o tym wiedział?

- Kiedy się poznaliśmy, zaczynał się martwić NERF-em i tym, co robi z jego pieniędzmi. Bo Fundusz wydaje czterdzieści cztery miliony rocznie.

- Nie mówisz mi, że NERF...

- Nie bezpośrednio. Ale sześćdziesiąt procent budżetu przeznacza na pozyskiwanie dalszych funduszy. Nie może tego oficjalnie ogłosić, bo to by fatalnie wyglądało. Większość prac zleca



zewnątrznym kontrahentom, telefonicznym firmom reklamowym i akwizytorским. Te instytucje mają często mylące nazwy, tak jak IWPF, Międzynarodowy Fundusz Ochrony Dzikich Zwierząt, który ma siedzibę w Omaha, zajmuje się sprzedażą wysyłkową i sam podzleca swoje zadania firmom z Kostaryki.

- Żartujesz.

- Nie. W zeszłym roku IWPF wydał sześćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów na zbieranie informacji ekologicznych. Z tego trzysta tysięcy poszło na RASC, Koalicję Wsparcia Lasów Tropikalnych. RASC nie ma nawet adresu, tylko skrytkę pocztową w Elmirze, w stanie Nowy Jork. Drugie trzysta tysięcy dostała inna skrytka pocztowa, należąca do Seismic Services w Calgary.

- To znaczy...

- Skrytka pocztowa. Ślepy zaułek. I o to właśnie Morton pokłócił się z Drakiem, bo miał wrażenie, że Drake nie panuje nad kasą. Dlatego zażądał zewnętrznej kontroli w NERF-ie. Kiedy Drake odmówił, Morton poważnie się zaniepokoił. Zasiada przecież w radzie nadzorczej funduszu i częściowo ponosi odpowiedzialność za jego działanie. Wynajął więc prywatną ekipę dochodzeniową, której kazał prześwietlić NERF.

- Naprawdę tak zrobił?

- Dwa tygodnie temu.

- Wiedziałaś o tym, Sarah? Sarah spuściła wzrok.

- Zabronił mi o tym mówić.

- Kto? George?

- Nie, ja - przyznał Kenner.

- Czyli to twoja robota?

- Skądże. Ja tylko doradzałem George'owi. To była jego decyzja. Nie podobało mu się, że kiedy NERF wypłaca pieniądze innym organizacjom, traci kontrolę nad ich wydawaniem. Nie miał pojęcia, co się z nimi dalej działo.

- Chryste Panie... A ja myślałem, że George zamartwia się pozwem Vanutu.

- Pozew nie ma szans. Mało prawdopodobne, żeby w ogóle doszło do procesu.

- Ale Balder powiedział, że jeśli uda im się zdobyć rzetelne dane o zmianach poziomu mórz...

- Balder już ma rzetelne dane. Od dawna.

- Jak to?

- Wynika z nich, że poziom wód południowego Pacyfiku nie zmienił się od trzydziestu lat.

- Jak to?!

Kenner spojrzał na Sarah.

- Czy z nim tak zawsze?

Stewardesa rozłożyła podkładki pod talerze, serwetki i sztucce.

- Podam makaron świderki z kurczakiem, szparagami i suszonym na słońcu pomidorem. Do tego będzie sałatka. Ktoś życzy sobie wina?

- Białe poproszę - powiedział Evans.

- Mamy pulignymontrachet. Nie pamiętam rocznika, chyba dziewięćdziesiąty ósmy. Pan Morton zwykle miał go spory zapas.

- Obojętne. Poproszę całą butelkę - odparł Evans, próbując żartować. Kenner go drażnił. Wcześniej był podekscytowany i nerwowy, teraz zaś, w samolocie, siedział spokojny, jakby obojętny. Tak wyglądała człowiek wygłaszający prawdy oczywiste, chociaż żadna z nich nie była oczywista dla Evansa.

- Wszystko mi się pomieszało. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą... Kenner wolno pokiwał głową.

Czeka, aż sam poskładam fakty, pomyślał Evans. Zwrócił się do Sarah:

- O tym też wiedziałaś?

- Nie. Ale zauważyłam, że coś jest nie w porządku. George od dwóch tygodni chodził jak struty.

- Myślisz, że to dlatego wygłosił to przemówienie, a potem się zabił?

- Miał nadzieję, że narobi wstydu NERF-owi - wtrącił się Kenner. - Zależało mu na tym, żeby media bliżej zainteresowały się funduszem. Chciał powstrzymać to, co się ma wydarzyć.

Wino podano w kryształowym kieliszku. Evans opróżnił go jednym haustem i podstawił do dolewki.

- A co się ma wydarzyć?

- Zgodnie z listą, którą znaleźliśmy, planowane są cztery akcje. W czterech różnych miejscach na świecie, po jednej dziennie.

- Co to za akcje?

Kenner wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale mamy już trzy wskazówki. Sanjong zmiął w palcach serwetkę.

- Prawdziwy len - powiedział z podziwem. - I prawdziwy kryształ.

- Ładne, prawda? - Evans wychylił drugi kieliszek.

- Jakie to wskazówki? - zainteresowała się Sarah.

- Przede wszystkim ta, że dokładny czas akcji nie jest określony. Przecież terroryści powinni planować zamachy precyzyjnie, co do minuty. Atut tak nie jest.

- Może nie są aż tak świetnie zorganizowani.

- Chyba nie w tym rzecz. Drugą wskazówkę, bardzo ważną, uzyskaliśmy dziś wieczorem. Jak widzieliście, na liście podano po kilka alternatywnych lokalizacji, a przecież terroryści raczej powinni wybrać jedną i jej się trzymać. Ta grupa jednak tego nie zrobiła.

- Dlaczego?

- Wydaje mi się, że ma to związek z charakterem planowanych akcji. Albo same operacje są z natury nieprzewidywalne, albo towarzyszące im okoliczności.

- Mętnie to brzmi.

- Ale to i tak więcej niż wiedzieliśmy dwanaście godzin temu.

- A trzecia wskazówka? - Evans kiwnął na stewardesę, żeby dołała mu wina.

- Trzecią wskazówką dysponujemy od dłuższego czasu. Niektóre agendy rządowe śledzą handel zakazaną technologią, która mogłaby być użyteczna dla terrorystów. Na przykład kontrolują sprzedaż wszelkich towarów przydatnych w produkcji broni jądrowej: wirówek, rzadkich metali i tak dalej; śledzą też rynek konwencjonalnych materiałów wybuchowych; pilnują, kto i gdzie kupuje określone wynalazki biotechnologiczne. Mają też na oku sprzęt, który można wykorzystać do zakłócenia pracy sieci łącznościowych, czyli generujący silne impulsy elektromagnetyczne albo fale radiowe o wysokim natężeniu.

- No dobrze...

- Wykorzystuje się do tego sztuczne sieci neuronowe wyposażone w algorytmy, bo one pozwalają w olbrzymiej masie danych wyłowić jakieś prawidłowości. W tym konkretnym przypadku chodzi o analizę tysięcy faktur. Mniej więcej osiem miesięcy temu komputery wykryły słabo zarysowany wzorzec, sugerujący wspólne źródło zakupów specyficznego sprzętu elektronicznego.

- W jaki sposób komputery wyciągają takie wnioski?

- Komputer ci tego nie powie. Po prostu zgłasza istnienie prawidłowości, którą ludzie muszą zweryfikować.

- Ico?

- W tym przypadku prawidłowość została potwierdzona. ELF skupował wytwory wysoko zaawansowanej techniki w Vancouverze, Londynie, Osace, Helsinkach i Seulu.

- Jakie wytwory?

Kenner zaczął odliczać na palcach:

- Kadzie fermentacyjne do hodowli AOB, czyli bakterii utleniających amoniak. Średniopoziomowe rozpraszacze cząstek, produkowane dla

wojska. Generatory impulsów tektonicznych. Przenośne jednostki magnetohydrodynamiczne. Kawitatory naddźwiękowe. Zespoły procesorów uderzeniowych.

- Nic mi to nie mówi - przyznał Evans.

- Mało kto się na tym zna. Chociaż takie na przykład kadzie AOB to właściwie standardowy sprzęt ekologiczny: używa się ich w oczyszczalniach ścieków przemysłowych. Inne mają zastosowanie militarne, lecz sprzedaje się także na wolnym rynku. Niektóre z tych urządzeń to właściwie prototypy. Ale wszystkie są cholernie drogie.

- Do czego są im potrzebne? - spytała Sarah.

- Dobre pytanie. Tego właśnie chcemy się dowiedzieć.

- A ty co o tym myślisz? Co ELF zrobi z tym sprzętem?

- Nie lubię zgadywanek. - Kenner sięgnął po koszyk z pieczywem. - Komu chleba?

## **W drodze do Punta Arenas**

**Środa, 6 października Godz. 3.01**

Samolot leciał poprzez noc.

Światło w przedniej części kabiny było zgaszone, Sarah i Sanjong spali na zaimprovizowanych posłaniach. Evans nie mógł zasnąć. Siedział z tyłu i wyglądał przez okno, za którym słał się srebrny dywan chmur.

Kenner siedział naprzeciwko.

- Świat jest piękny, prawda? - zagadnął. - Para wodna wyróżnia naszą planetę spośród innych. Potrafi być prześliczna. Aż dziw, że tak słabo rozumiemy jej prawa.

- Naprawdę?

- Atmosfera jest dla naukowców większą tajemnicą, niż chcieliby się przyznać. Prosty przykład: nikt nie wie na pewno, czy od globalnego ocieplenia przybędzie chmur, czy ubędzie.

- Zaraz, przecież temperatura się podniesie i więcej wilgoci będzie parować z oceanów, a więcej wilgoci to więcej chmur.

- To tylko jeden punkt widzenia. Bo przecież wzrost temperatury oznacza też wzrost ilości nieskroplonej pary wodnej w powietrzu. Czyli chmur powinno być mniej.

- No to jak to będzie?

- Niewiadomo.

- To jak właściwie tworzy się komputerowe modele klimatyczne? Kenner się uśmiechnął.

- Jeśli chodzi o pokrywę chmur, trzeba zgadywać.

- Zgadywać?!

- Nikt tego tak nie nazywa; mówi się o szacowaniu, parametryzacji, aproksymacji... Ale nie można aproksymować czegoś, czego się nie rozumie. Pozostaje zgadywanie.

Evans czuł, że za chwilę rozboli go głowa.

- Chyba czas spać.

- Świetny pomysł. - Kenner spojrzął na zegarek. - Do lądowania zostało jeszcze całe osiem godzin.

Evans poszedł do łazienki przebrać się w piżamę, którą przyniosła mu stewardesa. Kiedy wrócił, Kenner wciąż siedział na swoim miejscu i podziwiał chmury oświetlone przez księżyc.

- A propos... - odezwał się Evans, chociaż wiedział, że nie powinien zaczynać kolejnej rozmowy. - Powiedziałeś wcześniej, że nie dojdzie do procesu w sprawie Vanutu.

- Zgadza się.

- Dlaczego? Z powodu tych informacji o poziomie morza?

- Między innymi. Trudno upierać się przy twierdzeniu, że globalne ocieplenie grozi zatopieniem całego kraju, jeśli poziom mórz się nie podnosi.

- Trudno mi w to uwierzyć. Wszędzie można przeczytać, że jest odwrotnie. W telewizji...

- Pamiętasz sprawę afrykańskich pszczoł-morderców? Tych z Roju? Całe lata nas przed nimi ostrzegano, a teraz rozgościły się u nas i jakoś nie stanowią zagrożenia. A problem roku dwutysięcznego? Najpierw w gazetach wszyscy krakali, że czeka nas katastrofa. Trwało to miesiącami, a potem okazało się, że to jedna wielka bzdura.

Evans pomyślał, że problem roku dwutysięcznego nie ma związku ze zmianą poziomu mórz. Miał nawet ochotę to powiedzieć, ale musiał stłumić ziewnięcie.

- Późno już - zauważył Kenner. - Możemy wrócić do tej rozmowy rano.

- Nie idziesz spać?

- Jeszcze nie. Mam coś do zrobienia.

Evans przeszedł do przedniej, zaciemnionej części kabiny. Wyciągnął się na fotelach obok Sarah, po drugiej stronie przejścia. Przykrył się pod

brodą, ale miał nieosłonięte stopy. Usiadł, owinał je kocem i położył się z powrotem. Przykrycie ledwie sięgnęło mu do piersi. Postanowił wstać i poprosić stewardesę o drugi koc. I wtedy zasnął.

Obudziło go ostre, oślepiające światło słońca. Usłyszał szczeł sztuców i poczuł zapach kawy. Przetarł oczy. Usiadł. Pozostali pasażerowie jedli śniadanie w tylnej części kabiny.

Spojrzał na zegarek: przespał ponad sześć godzin.

Przeszedł na tył samolotu.

- Lepiej coś zjedz - zaproponowała Sarah. - Za godzinę lądujemy.

Wyszli na pas startowy Marso del Mar. Lodowaty wiatr znad oceanu przeszył ich do szpiku kości. Okolica była płaska, zielona, podmokła i zimna. W oddali majaczyły poszarpane, ośnieżone iglice południowochilijskiego pasma El Fogara.

- Myślałem, że tu będzie lato - powiedział Evans.

- I jest - odparł Kenner. - Może nie lato, ale późna wiosna na pewno.

Oprócz pasa startowego lotnisko składało się z drewnianego terminalu i rzędu hangarów z blachy falistej. Na płycie stało siedem lub osiem innych samolotów. Każdy miał cztery turbośmigłowe silniki, a niektóre także płozy.

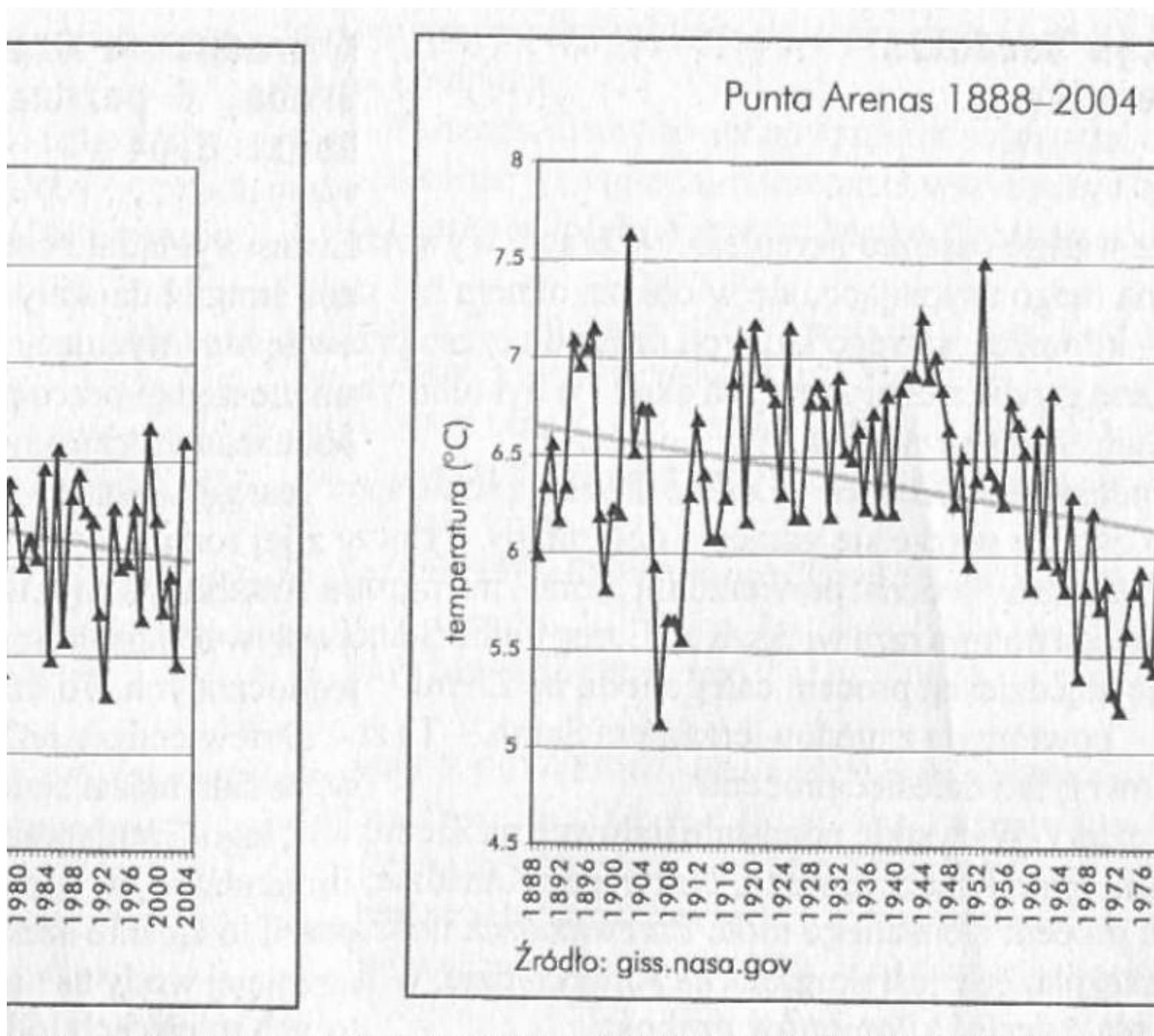
- Przylecieliśmy w samą porę - stwierdził Kenner, wskazując wzgórze ciągnące się za obrzeżem lotniska. Od ich strony nadjeżdżał land-rover. - Chodźmy.

Małeńki terminal to była właściwie tylko sala odpraw, której ściany ozdobiono pożółkłymi ze starości mapami lotniczymi. Ekipa Kennera zaczęła przymierzać buty, ocieplane kurtki i inne przywiezione land-roverem części garderoby. Kurtki były jaskrawoczerwone i pomarańczowe.

- Rozmiary doбираłem na oko - wyjaśnił Kenner. - Nie zapomnijcie kalesonów i polarów.

Evans zerknął na Sarah - siedziała na podłodze i wkładała grube skarpety i buty. Potem wstała, rozebrała się swobodnie do stanika i wciągnęła polar przez głowę. Przebierała się szybko, bez zbędnych ruchów. Nawet nie spojrzała na mężczyzn.

Sanjong oglądał mapy i diagramy na ścianach. Jego uwagę przyciągnął w szczególności jeden wykres.



- Co to jest? - zainteresował się Evans.

- Zapis pomiarów ze stacji meteorologicznej w Punta Arenas. To niedaleko stąd. Punta Arenas jest miastem położonym najbliżej Antarktydy. - Sanjong postukał palcem w wykres i parsknął śmiechem. - Macie swoje globalne ocieplenie.

Evans zmarszczył brwi.

- Pospieszcie się - powiedział Kenner, spoglądając na zegarek. - Za dziesięć minut mamy samolot.

- Dokąd lecimy?

- Do Stacji Weddella. To nowozelandzka baza naukowa niedaleko Mount Terror.

- Co w niej jest?

- Niewiele, stary - wtrącił kierowca land-rovera. - Ale kiedy pomyślę o pogodzie, jaką ta ostatnio mamy, będziecie mogli mówić o szczęściu, jeśli w ogóle tam doleciecie.

## **W drodze do Stacji Weddella**

**Środa, 6 października Godz. 8.04**

Evans wyglądał przez wąskie okienko herculesa. Wibracje wywołane pracą śmigieł działały na niego usypiająco, ale widok za oknem był naprawdę hipnotyzujący - kilometry szarego lodu, od czasu do czasu przesłaniane mgłą i przecinane grzebieniami czarnych skał. To był olbrzymi, monochromatyczny świat. Świat bez słońca.

- Jest gigantyczna - odezwał się Kenner. - Ludzie nie zdają sobie sprawy z jej rozmiarów, bo zwykle płacze się gdzieś u dołu mapy. Tymczasem Antarktyda zajmuje znaczny procent powierzchni globu i ma ogromny wpływ na jego klimat. Jest półtora raza większa od Europy albo Stanów Zjednoczonych. To dziewięćdziesiąt procent całego lodu na Ziemi.

- Dziewięćdziesiąt? - powtórzyła z niedowierzaniem Sarah. - To znaczy, że cała reszta stanowi tylko dziesięć procent?

- Z tego Grenlandia cztery. Wszystkie pozostałe lodowce na Ziemi: na Kilimandżaro, w Alpach, Himalajach, Szwecji, Norwegii, Kanadzie, na Syberii to łącznie sześć procent ziemskiego lodu. Przeważająca ilość zamrożonej wody na naszej planecie jest skupiona na Antarktydzie. W niektórych miejscach lód ma dziesięć kilometrów grubości.

- Nic dziwnego, że ludzie obawiają się jego stopienia - mruknął Evans. Kenner nic nie powiedział, a Sanjong pokręcił głową.

- Panowie, przestańcie - ciągnął Evans. - Przecież Antarktyda naprawdę topnieje.



- Wcale nie - zaprzeczył Sanjong. - Jeśli będziesz chciał, odeślę cię do odpowiednich źródeł.

- Kiedy spałeś, rozmawialiśmy z Sanjongiem o tym, jak ci to wszystko wyjaśnić - powiedział Kenner. - Jesteś niedoinformowany.

- Niedoinformowany?!

- Nie wiem, jak to inaczej nazwać. Masz dobre serce, Peter, ale nie znasz się na rzeczach, o których mówisz.

- Chwileczkę! - Evans z trudem hamował gniew. - Antarktyda naprawdę topnieje.

- Uważasz, że twierdzenie powtarzane odpowiednio często automatycznie staje się prawdziwe? Z danych naukowych wynika, że mały skrawek Antarktydy, tak zwany Półwysep Antarktyczny, rzeczywiście topnieje. I oddzielają się od niego olbrzymie góry lodowe. Można o nich co rok przeczytać w prasie. Ale kontynent jako całość wychładza się, a lodu przybywa.

- Antarktyda się wychładza?!

Sanjong podłączył laptop do przenośnej drukarki atramentowej. Włączył komputer.

- Postanowiliśmy systematycznie przedstawiać ci suche fakty - oświadczył Kenner. - Ciągłe tłumaczenie ci wszystkiego byłoby po prostu nudne. Drukarka wypuła pierwszą kartkę. Sanjong podał ją Evansowi.

*Doran P.T., Prisco J.C., Lyons W.B., Walsh J.E., Fountain A.G., McKnight D.M., Moorhead D.L., Virginia R.A., Wall D.H., Clow G.D., Fritsen C.H., McKay C.P. i Parsons A.N. Antarctic Climate cooling and Terrestrial Ecosystem Response, „Nature” 415, str. 517-520, 2002.*

*W latach 1986-2000 temperatura dolin w głębi Antarktydy obniżała się w tempie 0,7°C na 10 lat. Ochłodzenie poważnie naruszyło ekosystem antarktyczny.*

*Comiso J.C. Variability and Trends in Antarctic Surface Temperatures from in Situ and Satellite Infrared Measurements, „Journal of Climate” 13, str. 1674-1696, 2000.*

*W pomiarach satelitarnych i naziemnych w ostatnich 20 latach daje się zauważyć niewielkie obniżenie temperatur.*

*Joughin I. i Tulaczyk S. Positive Mass Balance of the Ross Ice Streams, „Science” 295, str. 476-480, 2000.*

*Pomiary radarowe wykazały, że w zachodniej części Antarktydy lód przyrasta w tempie 26,8 gigatony rocznie. Oznacza to odwrócenie trwającego od 6000 lat procesu topnienia lodu.*

*Thompson D.W.J. i Solomon S. Interpretation of Recent Southern Hemisphere Climate Change, „Science” 296, str. 895-899, 2002. Temperatura na Półwyspie Antarktycznym wzrosła o kilka stopni, ale w głębi kontynentu odnotowano ochłodzenie. Szelf lodowy cofnął się, zwiększyła*

się natomiast powierzchnia zajmowana przez lód pływający.

*Petit J.R., Jouzel J., Raynaud D., Barkov N.I., Barnola J.-M., Basile I., Bender U., Chappellaz J., Davis M., Delaygue G., Delmotte M., Kotlyakov V.M., Legrand M., Lipenkov V.Y., Lorius C., Pepin L., Ritz C., Saltzman E. i Stievenard M. Climate and Atmospheric History of the Past 420,000 Years from the Vostok Ice Core, Antarctica, „Nature” 399, str. 429-436, 1999.*

*W czasie ostatnich 420 000 lat miały miejsce cztery zlodowacenia. W rozdzielających je okresach Ziemia była cieplejsza niż obecnie.*

*Anderson J.B. i Andrews J.T. Radiocarbon Constraints on Ice Sheet Advance and Retreat in the Weddell Sea, Antarctica, „Geology” 27, str. 179-182, 1999.*

*Obecnie lód antarktyczny topnieje wolniej niż podczas ostatniego okresu między zlodowaceniami.*

*Liu J., Curry J.A. i Martinson D.G. Interpretation of Recent Antarctic Sea Ice Variability, „Geophysical Research Letters” 31, 10.1029/2003 GL018732, 2004.*

*Od roku 1979 odnotowano przyrost ilości antarktycznego lodu pływającego.*

*Vyas N.K., Dash M.K., Bhandari S.M., Khare N., Mitra A. i Pandey P.C. On the Secular Trends in Sea Ice Extent over the Antarctic Region Based on OCEANSAT-1 MSMR Observations, „International Journal of Remote Sensing” 24, str. 2277-2287, 2003. Nie jest wykluczone, że tempo przyrostu ilości lodu pływającego zwiększa się.*

*Parkinson CL. Trends in the Length of the Southern Ocean Sea-ice Season, 1979-99, „Annals of Glaciology” 34, str. 435-440, 2002. Na przeważającym obszarze Antarktydy okres utrzymywania się lodu pływającego wydłużył się o 21 dni w porównaniu z rokiem 1979.*

- No dobrze, widzę wzmianki o niewielkim ochłodzeniu - zgodził się Evans. - Ale wspomina się też o wzroście temperatury na półwyspie o kilka stopni. To z pewnością bardziej znaczące. Ten półwysep to pewnie całkiem spory kawał kontynentu, prawda? - Odłożył wydruk. - Jakoś nie zrobiliście na mnie wrażenia.

- Półwysep to dwa procent całej powierzchni Antarktydy - wyjaśnił Sanjong. - Ale szczerze mówiąc, znacznie bardziej dziwi mnie to, że nie skomentowałeś najważniejszego faktu.

- To znaczy?

- Mówiłeś wcześniej, że lód antarktyczny topnieje. Czy wiedziałeś o tym, że dzieje się tak od sześciu tysięcy lat?

- Nie. Niezupełnie.

- Ale się tego domyślałeś?

- Nie. Prawdę mówiąc, nie.

- Sądziłeś, że lód topnieje od niedawna?

- Że od niedawna topnieje szybciej.

- Może dajmy sobie spokój - wtrącił się Kenner. Sanjong skinął głową i wyłączył komputer.

- Nie, nie. Interesuje mnie to, co macie do powiedzenia. Jestem otwarty na wiedzę. Chętnie poznam nowe fakty.

- Właśnie poznałeś.

Evans sięgnął po wydruk, złożył go starannie i schował do kieszeni.

- Te badania sponsorował pewnie przemysł energetyczny.

- Być może. I to by wszystko wyjaśniało - zakpił Kenner. - Ale każdy jest przez kogoś opłacany. Kto ci wypłaca pensję?

- Kancelaria.

- A skąd bierze na to pieniądze?

- Od klientów. Mamy kilkuset klientów.

- Pracujesz dla nich wszystkich?

- Osobiście? Nie.

- Obsługujesz głównie klientów z branży ekologicznej, prawda?

- W większości.

- Czy można by w takim razie powiedzieć, że jesteś opłacany przez ekologów?

- Można by.

- Ja tylko pytam, Peter. Czy stwierdzenie, że ekologodzy wypłacają ci pensję, byłoby uczciwym postawieniem sprawy?

- Tak.

- Świetnie. A czy stwierdzenie, że twoje opinie wynikają z faktu, że pracujesz dla ekologów, byłoby równie uczciwe?

- No nie, oczywiście, że nie...

- Czyli nie jesteś płatnym służalcem ekologów?

- Nie. Prawdę mówiąc...

- Nie jesteś ekopachołkiem? Tubą propagandową wielkiej maszyny medialnej, gromadzącego miliardy dolarów przemysłu, który ma własne cele, niekoniecznie zgodne z dobrze pojętym interesem publicznym?

- Do jasnej cholery...

- Wkurzam cię?

- Jeszcze jak!

- To dobrze. Teraz wiesz, jak się czują poważni naukowcy, kiedy zarzuca im się nierzetelność, powtarzając obrzydliwe stereotypy. Tak jak ty to przed chwilą zrobiłeś. Przedstawiliśmy ci z Sanjongiem wyważoną, bezstronną interpretację danych, dokonaną przez naukowców z różnych dziedzin i krajów. A ty najpierw postanowiłeś zignorować te informacje, a potem przypuściłeś atak personalny. Nie odniosłeś się do danych, nie przedstawiłeś kontrargumentów, tylko zmieszałeś ludzi z błotem.

- Odwal się ode mnie! Wydaje ci się, że znasz odpowiedzi na wszystkie pytania, ale w gruncie rzeczy masz problem: nikt cię nie słucha. Nie ma na świecie drugiego człowieka, który by uwierzył, że Antarktyda się ochładza.

- Oprócz naukowców, którzy opublikowali te dane. Evans rozłożył bezradnie ręce.

- Idź do diabła. Mam tego dość.

Przeszedł na przód kabiny, usiadł przy oknie i skrzyżował ręce na piersi. Kenner spojrzał pytająco na Sarah i Sanjonga.

- Kawy?

Sarah z niepokojem śledziła rozmowę Kennera z Evansem. Mimo że od dwóch lat pracowała u Mortona, nie podzielała jego ekologicznej pasji - tym bardziej że w tym czasie była w burzliwym i ekscytującym związku z młodym i przystojnym aktorem. Niezliczone namiętne wieczory, zajadłe kłótnie, trzaskania drzwiami, łzawe pojednania, sceny zazdrości i zdrady - ten związek pochłaniał ją bez reszty, bardziej niż była w stanie się do tego przyznać, i, prawdę mówiąc, poświęcała NERF-owi i Mortonowi absolutne minimum uwagi, dokładnie tyle, ile wymagały jej obowiązki. W każdym razie do czasu, aż aktor-sukinsyn pojawił się w „People” w towarzystwie młodej gwiazdki telewizyjnej. Wtedy to doszła do wniosku, że ma go dość, usunęła jego numer z pamięci komórki i rzuciła się w wir pracy.

Podzielała poglądy Evansa dotyczące stanu świata i środowiska. Być może Evans wyrażał je bardziej agresywnie i z większym przekonaniem, ale w zarysach z pewnością się z nim zgadzała. Tymczasem Kenner siał ziarna zwątpienia jedno po drugim.

Aż zaczęła się zastanawiać, czy Kenner na pewno nigdy się nie myli. Nie wyobrażała sobie, żeby George zaprzyjaźnił się z takim człowiekiem.

- Rozmawialiście o tych sprawach z George'em? - zapytała.

- Tak. W ostatnich tygodniach jego życia.

- Spieraliście się? Tak jak teraz z Evansem?

- Nie. On już wiedział.

- Co wiedział?

Przerwał im dobiegający z głośników głos pilota:

- Mam dobre wiadomości. Przejaśniło się nad Stacją Weddella. Za dziesięć minut lądujemy. Tym z państwa, którzy nigdy nie lądowali na lodzie, radzę zabezpieczyć bagaż, a pas zapiąć nisko i mocno. To nie żart.

Samolot zaczął powoli obniżać lot. Sarah wyrzała przez okno na bezkresną połąć białego, pokrytego śniegiem lodu. W oddali zobaczyła kolorowe zabudowania: czerwone, niebieskie i zielone domki stały na szczycie urwiska nad szarym, wzburzonym oceanem. - Stacja Weddella - oznajmił Kenner.

## **Stacja Weddella**

**Środa, 6 października Godz. 11.04**

Szli w stronę zabudowań, które do złudzenia przypominały wielkie dziecinne klocki. Evans ze złością kopnął grudę lodu. Był wściekły. Drażniło go natręctwo Kennera. Z łatwością rozszyfrował go jako wiecznego malkontenta, który protestuje przeciwko wszelkiej tradycji i konwencji tylko dlatego, że są tradycyjne i konwencjonalne.

Ale ponieważ los skazał go na jego towarzystwo - w każdym razie w najbliższych dniach - postanowił w miarę możliwości go unikać. A już na pewno nie zamierzał dać się wciągnąć w rozmowę. Z ekstremistami się nie dyskutuje.

Spojrzał na idącą obok Sarah. Policzki poczerwieniały jej na mrozie. Wyglądała prześlicznie.

- Ten gość to czubek - stwierdził.

- Kenner?

- No. Ty tak nie uważasz? Wzruszyła ramionami.

- Może.
- Założę się, że podał mi fałszywą bibliografię.
- Łatwo będzie to sprawdzić.

Otrzepali buty ze śniegu i weszli do pierwszego budynku.

W Stacji Weddella mieszkało ponad trzydziestu naukowców, studentów, techników i członków personelu pomocniczego. Evans z przyjemnością zauważył, że wewnątrz jest całkiem przytulne; znalazło się w nim miejsce dla wesołej kafejki, świetlicy i sporej siłowni z całym rzędem bieżni. Jedne okna wychodziły na niespokojny, spieniony ocean, inne - te od zachodu - na rozległy, śnieżnobiały Lodowiec Szelfowy Rossa.

Szef stacji ciepło przywitał gości. Nazywał się MacGregor, był potężnie zbudowany i brodaty, przez co przypominał Świętego Mikołaja w puchowej kamizelce. Evans nie był zachwycony faktem, że MacGregor najwyraźniej zna Kennera, przynajmniej ze słyszenia; od razu pograżyli się w przyjacielskiej rozmowie.

Zapytał, gdzie mógłby sprawdzić pocztę elektroniczną, i trafił do pokoju, w którym stało kilka terminali komputerowych. Zalogował się do sieci i wszedł od razu na stronę „Science”.

Szybko ustalił, że dane bibliograficzne, które przedstawił mu Sanjong, są prawdziwe. Przeczytał dostępne w Internecie streszczenia artykułów, potem całe teksty i od razu poczuł się lepiej. Kenner wprowadził dokonany poprawny zestawienie danych, ale opierając się na nich, wyciągnął inne wnioski niż autorzy artykułów - ci bowiem zdecydowanie potwierdzali teorię globalnego ocieplenia i pisali o tym wprost.

To znaczy, większość z nich o tym pisała.

Właściwie było to trochę skomplikowane. W jednym z artykułów autorzy machinalnie opowiadali się za ociepleniem, mimo że wyniki pomiarów sugerowały coś wprost przeciwnego. Evans przypuszczał jednak, że chaos w tekście jest czymś naturalnym, jeśli w pisaniu go bierze udział pół tuzina ludzi jednocześnie. W każdym razie potwierdzali tezę o ociepleniu. To było najważniejsze.

Bardziej niepokojący był artykuł o zwiększaniu się grubości Lodowca Szelfowego Rossa. Evans znalazł w nim kilka alarmujących stwierdzeń. Przede wszystkim autor faktycznie napisał, że szelf topnieje od sześciu tysięcy lat, czyli prawie od początku holocenu. Jeżeli rzeczywiście tak było, trudno to nazwać wiekopomnym odkryciem (choć Evans nie przypominał sobie, żeby któraś z wcześniej czytanych przez niego publikacji wspominała o tak długotrwałym procesie). Autor zgadzał się, że topnienie lodu nie jest niczym zaskakującym, natomiast jako novum wskazywał tendencję lodu do przyrastania. Sugerował wręcz, że to pierwsza oznaka początku nowej epoki lodowcowej.

Rany boskie!

Nowa epoka lodowcowa?!

Usłyszał pukanie do drzwi i Sarah zajrzała do pokoju.

- Kenner nas do siebie prosi - powiedziała. - Coś znalazł. Chyba wyjdziemy na lód.

Pokrywająca całą ścianę mapa przedstawiała olbrzymi kontynent, kształtem przypominający gwiazdę. W prawym dolnym rogu znajdowała się Stacja Weddella i łuk Lodowca Szelfowego Rossa.

- Dowiedzieliśmy się, że pięć dni temu statek z zaopatrzeniem przywiózł skrzynie ze sprzętem dla Jamesa Brewstera, amerykańskiego naukowca z Uniwersytetu Michigan - zaczął Kenner. - Brewster jest w stacji od niedawna. Pozwolono mu w ostatniej chwili dołączyć do ekipy, ponieważ warunki jego grantu są niezwykle korzystne, jeśli chodzi o pokrycie kosztów dodatkowych. Krótko mówiąc, stacji też coś skapnie.

- Wkupił się w ich łaski - stwierdził Evans.

- Tak to wyszło.

- Kiedy przyleciał?

- Tydzień temu.

- A gdzie jest teraz?

- W terenie. - Kenner wskazał punkt na mapie. - Na południe od Mount Terror. Tam się właśnie wybierzemy.

- Facet jest z Michigan? - upewniła się Sarah.

- Nie. Sprawdziliśmy na uczelni. Rzeczywiście, mają tam profesora Jamesa Brewstera, geofizyka, ale w tej chwili siedzi w klinice w Ann Arbor i czeka, aż żona urodzi mu dziecko.

- To kim jest ten Brewster tutaj?

- Nie wiadomo.

- A jaki sprzęt mu dostarczono? - zainteresował się Evans.

- Tego też nikt nie wie. Skrzynie zostały przewiezione śmigłowcem w głąb kontynentu. Brewster siedzi tam od tygodnia z dwoma rzekomymi doktorantami. Nie wiadomo, czym się tak naprawdę zajmuje, ale często się przemieszcza i przenosi obóz. Dlatego nie wiemy, gdzie dokładnie jest w tej chwili. - Kenner zniżył głos. - Jeden z tych jego doktorantów wrócił wczoraj tutaj, żeby coś policzyć na komputerze, ale ze zrozumiałych względów nie możemy go wziąć na przewodnika. Pojedzie z nami Jimmy Bolden, jeden ze stałych pracowników stacji. Świetnie zna okolicę. Pogoda jest niepewna, więc helikopter odpada. Do obozu jest stąd dwadzieścia siedem kilometrów. Ratrakiem powinniśmy dojechać w dwie godziny. Temperatura, jak na antarktyczną wiosnę, jest w sam raz: minus trzydzieści dwa. Tak że opatulcie się solidnie. Są pytania?

Evans spojrział na zegarek.

- Nie ściemni się za szybko?

- Wiosną noce są tu krótkie. Całą podróż odbędziemy za dnia. Jedyne problemy napotkamy tutaj.

- Kenner postukał w mapę. - Po drodze jest strefa przełamu.

## **Strefa przełamu lodowca**

**Środa, 6 października Godz. 12.09**

- Strefa przełamu? - powtórzył Jimmy Bolden, kiedy brnęli przez śnieg do hangaru z ratrakami. - Nie ma się czym przejmować. Wystarczy uważać, i tyle.

- Ale co to właściwie jest? - spytała Sarah.

- Obszar, na którym lodowiec jest poddawany działaniu rozdzierających go sił poziomych, trochę tak jak ziemia w Kalifornii. Tylko że tu zamiast trzęsień ziemi mamy szczeliny. Dużo szczelin. I to głębokich.

- A my musimy tamtędy przejechać?

- To żaden problem. Dwa lata temu zbudowano drogę przez całą strefę. Zasypano szczeliny.

Weszli do blaszanego hangaru, w którym stały rzędem kanciaste, pomalowane na czerwono pojazdy na gąsienicach

- To są ratraki - oznajmił Bolden. - Pan z Sarah pojedziecie jednym, doktor Kenner drugim, ja trzecim.

- Nie zmieścilibyśmy się do jednego?

- Wymogi bezpieczeństwa. Ratraki będą lżejsze. Źle by było, gdybyśmy wpadli do szczeliny.

- Przecież szczeliny na drodze zostały zasypane...

- To prawda, ale droga prowadzi po lodowcu, a lód przemieszcza się po kilkanaście centymetrów dziennie. Droga przesuwa się więc razem z nim. Ale proszę się nie martwić, jest wytyczona chorągiewkami. - Bolden wskoczył na gąsienicę. - Pokażę państwu teraz, jak to wszystko działa. Ratrak prowadzi się jak samochód: sprzęgło, hamulec ręczny, gaz, kierownica. Tym pstryczkiem włącza się ogrzewanie; proszę go nie wyłączać. W kabinie będzie wtedy około minus dwunastu stopni. Ta pomarańczowa bańka na pulpicie to transponder; uruchamia się go tym guzikiem. Włączy się też automatycznie, jeśli pojazd przechyli się bardziej niż o trzydzieści stopni.



- Czyli kiedy wpadnie do szczeliny? - spytała Sarah.

- Proszę sienie obawiać: nic takiego sienie stanie. Po prostu chcę, żebyście państwo wiedzieli, jak działa sprzęt. Transponder nadaje kod pojazdu, inny dla każdego ratraka. Dzięki temu można go odszukać. Jeżeli z jakiegoś powodu będzie trzeba państwa ratować, wyjaśnię, że średni czas dotarcia do potrzebujących pomocy to dwie godziny. Tu jest jedzenie, tu woda. Jedno i drugie na dziesięć dni. To jest apteczka, w środku znajdziecie nawet morfinę i antybiotyki. Gaśnica. To skrzynka ze sprzętem wspinaczkowym: raki, liny, karabinki i tak dalej. Foliowe worki termiczne z minigrzałkami, wystarczy wejść do środka. Przez dziesięć dni trzymają temperaturę powyżej zera. To by było chyba wszystko... Będziemy mieli łączność radiową. Głośnik jest tutaj, mikrofon pod sufitem, powyżej szyby. Włącza się automatycznie na dźwięk głosu. Wszystko jasne?

- Jasne - przytaknęła Sarah i wspięła się do kabiny.

- No to jedziemy. Profesorsze? Jakies pytania?

- Nie - odparł Kenner i usiadł w drugim pojeździe.

- W porządku. Proszę nie zapominać, że na dworze jest minus trzydzieści pięć. Kiedy wyjdziecie państwo z kabiny, nie zdejmujcie rękawiczek i zasłaniajcie twarz. Odsłonięty kawałek skóry można przemrozić w niecałą minutę, po pięciu minutach dochodzi do odmrożeń grożących amputacją. Nie chcielibyśmy odsyłać was do domu bez palców. Albo nosów. - Bolden stanął przy trzecim ratraku. - Jedziemy gęsiego i zachowujemy odstęp trzech długości ratraka. Pod żadnym pozorem nie zbliżamy się do siebie, ale i nie oddalamy. Jeżeli zacznie się burza śnieżna i pogorszy się widoczność, zachowujemy ten sam dystans, tylko zmniejszamy szybkość. Jasne?

Wszyscy pokiwali głowami.

- No to w drogę.

Podniosły się blaszane wrota. Zgrzytnął zmrożony metal. Słońce ich oślepiło.

- Zapowiada się piękny dzień - stwierdził Bolden i w kłębach dieslowskich spalin wyprowadził swój ratrak z hangaru.

Ratraki wytrzęsły swoich pasażerów na wszystkie strony. Lodowiec, który z daleka wydawał się idealnie płaski, z bliska był bardzo nierówny, pocięty długimi bruzdami i poznaczony stromymi garbami. Evans czuł się jak w łodzi na wzburzonym morzu - tylko że tu morze było zamrożone.

Jechali wolno. Sarah prowadziła pewnie, Evans siedział na fotelu pasażera i trzymał się kurczowo deski rozdzielczej.

- Jak szybko jedziemy?

- Dwadzieścia dwa kilometry na godzinę.

Evans stęknął, kiedy zjechali w stromą lodową rynnę, a potem zaczęli wspinać się na jej

przeciwległe zbocze.

- I tak przez dwie godziny?

- Tak powiedział. A właśnie, miałam cię wcześniej zapytać: sprawdziłeś tę bibliografię od Kennera?

- Sprawdziłem - przytaknął smętnie Evans.

- I co? Prawdziwa?

- Prawdziwa.

Jechali na końcu. Prowadził Bolden, za nim podążał Kenner. Radio zatrzeszczało.

- No dobrze - usłyszeli głos Boldena. - Wjeżdżamy w strefę przełamu. Zachowujcie odstępę i pilnujcie chorągiewek.

Evans nie zauważył, żeby coś się zmieniło - lodowiec nadal lśnił oślepiająco w słońcu, ale po obu stronach ich trasy rzeczywiście pojawiły się czerwone chorągiewki na dwumetrowych tyczkach. Kiedy wjeżdżali

w strefę przełamu, zaglądał w głąb ziejących po bokach drogi szczelin. Były błękitne i zdawały się lśnić własnym światłem.

- Jak głębokie są te szczeliny? - zapytał.

- Najgłębsza, jaką zmierzyliśmy, miała kilometr - odparł Bolden. - Niektóre mają po trzysta metrów, większość około stu.

- I wszystkie mają taki kolor?

- Tak. Ale naprawdę lepiej nie oglądać ich z bliska.

Mimo zagrożenia bezpiecznie pokonali strefę szczelin i zostawili chorągiewki za sobą. Po lewej stronie odsłonił się widok na górę, której wierzchołek ginął w chmurach.

- To Erebus - wyjaśnił Bolden. - Aktywny wulkan. Z wierzchołka bucha para wodna. Zdarza mu się czasem plunąć jakąś bombą wulkaniczną, ale tak daleko nie dolatują. Mount Terror natomiast jest wygasły, widać go teraz przed nami. To ten maluch.

Evans był zawiedziony. Nazwa Mount Terror sugerowała przerażający szczyt górski, a nie łagodny pagórek ze skalistą wypustką na wierzchołku. Gdyby Bolden mu go nie wskazał, mógłby go zwyczajnie nie zauważyć.

- Dlaczego tak się nazywa? - zdziwił się. - Nie wygląda imponująco.

- Nazwa Mount Terror nie wzięła się od wyglądu. Pierwsze punkty orientacyjne na Antarktydzie ochrzczono od nazw statków, które je odkryły. Wygląda na to, że w XIX wieku przyplłynął tu także jakiś „Terror”.

- Gdzie jest obóz Brewstera? - zainteresowała się Sarah.

- Lada chwila powinniśmy go zobaczyć. Jesteście państwo inspektorami, tak?

- Z IADG - odparł Kenner. - To międzynarodowa agencja kontrolna. Chcemy się upewnić, że amerykańskie projekty badawcze nie naruszają międzynarodowych traktatów dotyczących Antarktydy.

- Aha...

- Doktor Brewster dołączył do ekipy Stacji Weddella dość niespodziewanie i nie przedstawił IADG programu swoich badań. Dlatego sprawdzimy to na miejscu. To rutynowa procedura.

Przez kilka następnych minut jechali w milczeniu. Obozu wciąż nie było widać.

- Hm... - mruknął Bolden. - Może się przenieśli?

- Jakie badania prowadzi Brewster? - spytał Kenner.

- Nie wiem dokładnie, ale podobno zajmuje się mechanizmami przełamu. Bada, w jaki sposób lód odłamuje się od czoła lodowca. Osadza w lodzie nadajniki GPS i bada spływanie lodowca do morza.

- Morze jest daleko stąd? - wtrącił Evans.

- Szesnaście, może siedemnaście kilometrów. Na północ.

- Jeżeli interesuje go powstawanie gór lodowych, dlaczego pracuje tak daleko od wybrzeża? - zdziwiła się Sarah.

- To wcale nie jest daleko - zauważył Kenner. - Dwa lata temu od Lodowca Szelfowego Rossa odłamała się jedna z największych w historii gór lodowych: miała ponad sześć kilometrów szerokości i sześćdziesiąt pięć długości. Była wielkości Rhode Island.

- Ale nie było to bynajmniej spowodowane globalnym ociepleniem - prychnął zdeglustowany Evans. - Skądże. To wykluczone.

- Istotnie - przytaknął Kenner. - To była kwestia lokalnych uwarunkowań.

- Dlaczego nie jestem zdziwiony? - westchnął Evans.

- Nie wolno zapominać o lokalnych uwarunkowaniach, Peter. Antarktyda to kontynent. Byłoby dziwne, gdyby nie miał specyficznych dla siebie układów klimatycznych, niezależnych od globalnych tendencji, które mogą, ale nie muszą się potwierdzić.

- To prawda - zawtórował mu Bolden. - Na Antarktydzie z pewnością ich nie brakuje. Na przykład wiatry katabatyczne.

- Jakie?

- Katabatyczne. Wiatry grawitacyjne. Łatwo zauważyć, że na wybrzeżu wieje znacznie częściej i silniej niż w głębi kontynentu. W środku Antarktydy panuje względny spokój.

- Co to jest wiatr grawitacyjny? - zapytał Evans.

- Antarktyda to w gruncie rzeczy wielka czapa lodowa. Jej wybrzeża są położone niżej niż środek. I cieplejsze. Zimne powietrze spływa w dół i nabiera szybkości. Nad morzem może osiągać nawet sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Ale dziś mamy ładny dzień.

- Od razu mi ulżyło.

- Patrzcie państwo - powiedział Bolden. - Tam, na wprost. Obóz profesora Brewstera.

## **Obóz Brewstera**

**Środa, 6 października Godz. 14.04**

Nie bardzo było co podziwiać: obóz składał się z dwóch targanych wiatrem, pomarańczowych kopulastych namiotów - małego i dużego. Większy przeznaczono chyba na magazyn sprzętu, bo pod materiałem rysowały

się kontury skrzynek. Co kilkaset metrów w lód wetknięte były opatrzone pomarańczowymi chorągiewkami urządzenia. Wytyczona przez nie linia ciągnęła się aż po horyzont.

- Nie podjeżdżajmy bliżej - zaproponował Bolden. - Obawiam się, że doktora Brewstera i tak nie ma w obozie. Nie widać jego ratraka.

- Rozejrzę się - powiedział Kenner.

Zgasili silniki i wysiedli. Evans myślał do tej pory, że w kabinie jest chłodno, ale kiedy wyszedł na lód, zimne powietrze uderzyło go jak obuchem. Najpierw zaparło mu dech w piersi, chwilę potem zaczął kaszleć. Kenner natomiast zupełnie nie zareagował na mróz - od razu skierował się do namiotu-magazynu i zniknął w środku.

- Widzicie państwo te ślady ratraka, równoległe do linii czujników? - Bolden wskazał rząd chorągiewek. - Doktor Brewster pojechał sprawdzić sprzęt. Najdalsze nadajniki znajdują się prawie sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód stąd.

- Sto pięćdziesiąt kilometrów? - powtórzyła Sarah.

- Tak. Wszędzie rozstawił GPS-y. Teraz odbiera ich transmisje i notuje, jak przemieszczają się razem z lodem.

- Nie mogą przesuwać się zbyt szybko...

- Minęło dopiero kilka dni, ale czujniki zostaną to na rok albo dłużej. Będą nadawały sygnał do stacji.

- Doktor Brewster będzie ta przez cały rok?

- Nie. Na pewno wróci do Stanów. Utrzymywanie go tutaj byłoby zbyt kosztowne, zresztajęgo grant obejmuje tylko pierwsze trzy tygodnie pobytu, a potem tygodniowe wizyty kontrolne co parę miesięcy. Będziemy mu przysyłać dane. Wystarczy zapisać je w Internecie; sam je sobie ściągnie.

- Przydzielicie mu zabezpieczoną stronę WWW?

- Właśnie.

Evans przytupywał z zimna.

- Czekamy teraz na niego czy jak?

- W końcu na pewno wróci, ale trudno powiedzieć kiedy.

- Evans! - zawołał z namiotu Kenner.

- Chyba jestem mu do czegoś potrzebny. Podszedł do namiotu, a Bolden zwrócił się do Sarah:

- Może pani iść z nimi. - Wyciągniętą ręką wskazał na południe, na gęstniejące chmury nad horyzontem. - Ale nie powinniśmy tu zbyt długo siedzieć. Pogoda zepsuje się najdalej za dwie godziny i nie będzie to przyjemne. Widoczność spadnie do dwóch, trzech metrów. Będziemy musieli przeczekać burzę, a tutaj burze trwają nawet i po trzy dni.

- Powiem im.

Evans odchylił płachtę zasłaniającą wejście. Światło dnia przesączało się przez materiał pomarańczowopółświatą. W środku znajdowały się resztki drewnianych skrzyń. Leżały poskładane na ziemi, na nich zaś ustawiono dziesiątki kartonowych pudeł, opatrzonych znaczkiem Uniwersytetu Michigan i malowanym od szablonu napisem:

Uniwersytet Michigan Wydział Nauk Środowiskowych Zawartość: materiały naukowe Sprzęt delikatny. Ostrożnie! Nie przewracać!

- Wyglądają bardzo oficjalnie - zauważył Evans. - Jesteś pewien, że ten facet nie jest profesorem?

- Sam zobacz. - Kenner otworzył jeden z kartonów. W środku znajdowały się plastikowe

pachołki, podobne do używanych przez policję i służby drogowe. Nie były jednak pomarańczowe, lecz czarne. - Wiesz, co to jest?

- Nie.

Sarah weszła do namiotu.

- Bolden mówi, że pogoda się psuje. Nie możemy tu zostać.

- Nie ma obawy, nie zostaniemy - uspokoił ją Kenner. - Idź do drugiego namiotu, Sarah. Może znajdziesz tam jakiś komputer: laptop, sterownik laboratoryjny, PDA, cokolwiek, co ma w środku mikroprocesor. I poszukaj radia.

- Wolałbyś nadajnik czy odbiornik?

- Cokolwiek, byle miało antenę.

- Dobrze. Sarah wyszła.

Evans przeglądał zawartość kartonów: zdążył już zajrzeć do trzech i właśnie otwierał czwarty. Wszędzie znajdował takie same czarne pachołki.

Kenner wyjął jeden z nich i obejrzał z bliska. Pachołek był opatrzony wypukłym napisem: Jednostka ptbc-xx-904/8776-aw203 us dod.

- To sprzęt wojskowy? - spytał Evans.

- Tak.

- Ale co to właściwie jest?

- Osłony na PTB.

- Jakie PTB?

- Ładunki wybuchowe z precyzyjnym zapalnikiem czasowym. Komputer detonuje je w milisekundowych odstępach, co pozwala wywołać efekty rezonansowe. Pojedynczy wybuch nie jest specjalnie groźny, ale

odpowiednia sekwencja eksplozji generuje falę stojącą w otaczającym ośrodku. A fala stojąca ma ogromną siłę niszczenia.

- Co to jest fala stojąca?

- Widziałeś kiedyś, jak dziewczynki skaczą na skakance? Ale takiej długiej, trzymanej przez dwie osoby? Zamiast nią kręcić, można nią szarpać w dół i w górę. Wtedy po linie będą przebiegały

fale, raz w jedną, raz w drugą stronę.

- Wiem, jak to wygląda.

- Ale jeśli dziewczynki trzymające końce liny zgrają się, fala przestanie się poruszać: sznur wybrzuszy się i będzie utrzymywał stały kształt. Widziałeś coś takiego? To właśnie jest fala stojąca. Nadal przebiega po całej linii, ale jej odbicia od końców są idealnie zsynchronizowane, więc wydaje się, jakby się nie poruszała.

- I ładunki wybuchowe też powodują taki efekt?

- Tak. Fale stojące w naturze mają niewiarygodną moc. Mogą zniszczyć most podwieszony, zburzyć wieżowiec; najgorsze trzęsienia ziemi są spowodowane właśnie falami stojącymi, wzbudzonymi w skorupie ziemskiej.

- Brewster rozmieścił ładunki w linii... długiej na sto pięćdziesiąt kilometrów, tak? Tak mówił Bolden? Sto pięćdziesiąt kilometrów?

- Tak. Chyba już wiem, co kombinuje. Nasz przyjaciel Brewster chce odłamać od Antarktydy największą górę lodową w historii Ziemi.

Sarah zajrzała do namiotu.

- Znalazłaś komputer? - spytał Kenner.

- Nie. W tamtym namiocie nic nie ma. Dosłownie nic: ani śpiwora, ani jedzenia, ani rzeczy osobistych. Nic. Facet zniknął.

Kenner zaklął.

- Trudno. Posłuchajcie mnie. Powiem wam, co zrobimy.

## **W drodze do Stacji Weddella**

**Środa, 6 października Godz. 14.22**

- Nie ma mowy - Jimmy Bolden pokręcił głową. - Przykro mi, ale nie mogę się na to zgodzić, doktorze Kenner. To zbyt niebezpieczne.

- Dlaczego? Pan wraca z nimi do stacji, a ja pojedę po śladach Brewstera i się z nim spotkam.

- Nie możemy się rozdzielać.

- Nie mamy wyjścia, Jimmy.

- Bez urazy, profesorze, ale nie zna pan okolicy...

- Zapomina pan, że jestem inspektorem IADG. W dziewięćdziesiątym dziewiątym spędziłem sześć miesięcy w stacji Wostok. A w dziewięćdziesiątym pierwszym trzy miesiące w stacji Morval. Wiem, co robię.

- Rany... sam już nie wiem...

- Proszę się skontaktować z bazą. Szef potwierdzi moje słowa.

- Skoro tak pan stawia sprawę...

- Właśnie tak. A teraz proszę zabrać tę dwójkę z powrotem. Szkoda czasu.

- No dobrze. - Bolden odwrócił się do Evansa i Sarah: - Chyba musimy jechać. Wsiadajcie państwo do ratraka i w drogę.

Wkrótce Evans z Sarah telepalili się po lodzie w ślad za ratrakiem Boldena. Kenner tymczasem podążał na wschód wzdłuż wytyczonego chorągiewkami szlaku. Kiedy Evans obejrzał się do tyłu, Kenner akurat wysiadł i oglądał jedną z tyczek. Po chwili wsiadł z powrotem do ratraka i pojechał dalej.

Bolden również to zauważył.

- Co on robi? - zaniepokoił się.

- Pewnie ogląda nadajniki.

- Nie powinien wysiadać z ratraka! A w ogóle to nie powinien sam jeździć po szelfie. To wbrew przepisom.

Sarah miała wrażenie, że jest gotów zawrócić po Kennera.

- Powiem ci coś na temat doktora Kennera, Jimmy - zaczęła.

- Słucham.

- Lepiej go nie wkurzać.

- Serio?

- Serio, Jimmy. Możesz mi wierzyć.

- No... Skoro tak...

Pokonali długie, łagodne zbocze i zjechali z jego drugiej strony. Obóz Brewstera i prowadzony przez Kennera ratrak zniknęły im z oczu. Przed nimi rozciągała się bezkresna biała przestrzeń



Lodowca Szelfowego Rossa, zlewająca się w oddali z szarym widnokretem.

- Dwie godziny - przypomniał Bolden. - A potem gorący prysznic.

Przez pierwszą godzinę nie działo się nic ciekawego. Evans drzemał, ale podskoki ratraka na nierównościach terenu nie pozwalały mu zasnąć na dobre.

Sarah prowadziła.

- Nie jesteś zmęczona? - zapytał w końcu.

- Wcale.

Słońce osunęło się nisko nad horyzont i rozplynęło we mgle. Okolica tonęła w odcieniach szarości, ziemia prawie nie różniła się od nieba.

- Może cię zmienić?

- Nie trzeba, ale dziękuję.

- Umiem prowadzić.

- Wiem.

Evans stwierdził, że mimo urody i wdzięku osobistego Sarah czasem nieznacznie zadziera nosa. Że należy do tych kobiet, które lubią trzymać w ręce pilot od telewizora.

- Na pewno chciałabyś rządzić pilotem - mruknął. Uśmiechnęła się.

- Tak sądzisz?

Irytowało go, że Sarah nie traktuje go poważnie. Z pewnością nie jako faceta, którym mogłaby się zainteresować. Z drugiej strony... Jak na jego gust była trochę zbyt oziębła - taka Królowa Śniegu. Piękna, ale chłodna i opanowana aż do bólu.

Zatrzeszczał głośnik.

- Nie podoba mi się ta zmiana pogody - odezwał się Bolden. - Chyba lepiej będzie pojechać na skróty.

- Jak to, na skróty?

- Zaoszczędzimy dwadzieścia minut. Jedźcie za mną. Bolden skręcił z ubitej drogi w lewo, na lity lód.

- W porządku - powiedziała Sarah. - Jedziemy za tobą.

- Świetnie. Do Weddella mamy jeszcze godzinę. Ta droga jest naprawdę łatwa. Tylko jedźcie dokładnie za mną, żadnego w lewo, w prawo. Po moich śladach. Jasne?

- Zrozumiałam.

- Dobrze.

Szybko oddalili się kilkaset metrów od szlaku. Lód był twardy i głośno skrzypiał pod gąsienicami ratraków.

- Wjechaliśmy na lód - powiedział Bolden.

- Zauważyłam.

- Już niedługo.

Evans wyjrzał przez okno. Droga zniknęła mu z oczu; właściwie nie bardzo wiedział, którą powinna przebiegać. Nie było żadnych punktów orientacyjnych.

- Ależ pustkowie - powiedział z niepokojem.

Ratrak ześliznął się w bok po lodzie. Evans złapał się deski rozdzielczej, ale Sarah natychmiast zareagowała i wyrównała tor jazdy.

- Rany... - stęknął Evans.

- Strachliwy z ciebie pasażer, co?

- Może troszeczkę.

- Przydałaby się jakaś muzyka. Można puścić muzykę? - zapytała Boldena.

- Powinniście coś złapać. Weddell nadaje muzykę na okrągło. Chwileczkę. - Bolden zatrzymał się, wysiadł i podszedł do ich ratraka. Wspiął się na gąsienicę, otworzył drzwi kabiny. Powiało zimnem. Zdjął transponder z deski rozdzielczej. - Czasem może zakłócać odbiór. Spróbujcie teraz.

Sarah pokręciła gałką odbiornika.

Bolden wrócił do swojego wozu. Ratrak plunął czarnym dymem i ruszył.

- Można by się po nich spodziewać większej świadomości ekologicznej - mruknął Evans, obserwując chmurę spalin.

- Nic nie łapię - poskarżyła się Sarah.

- Nie szkodzi. Aż tak bardzo muzyki mi nie brakuje. Przejechali ze sto metrów, kiedy Bolden znów się zatrzymał.

- Co znowu? - zdziwił się Evans.

Bolden wysiadł, obszedł swój ratrak od tyłu i zaczął oglądać gąsienice. Sarah wciąż majstrowała przy radiu: przełączała się na kolejne zakresy częstotliwości, ale z każdego dochodził tylko szum.

- Chyba wolałem, jak było cicho - przyznał Evans. - Daj spokój. Właściwie dlaczego się zatrzymaliśmy?

- Nie wiem. Bolden coś sprawdza.

Bolden odwrócił się w ich stronę. Stał nieruchomo i patrzył.

- Może powinniśmy wysiąść? Radio zatrzeszczało.

- ...tu Stacja Weddella do... 401. Jest pan tam, doktorze Kenner? Stacja Weddella do... Kennera. Jak mnie słyszysz?

- No! - ucieszyła się Sarah. - Nareszcie coś mamy. Radio zasyczało, zakrzusilo się i wychrypiało:

- ...znaleźliśmy nieprzytomnego Jimmy'ego Boldena w... pokoju serwisowym. Nie wiemy, kto... z wami, ale... nie...

- Psiakrew! - zaklął Evans. Spojrzał na stojącego przed nimi mężczyznę. - To nie jest Bolden? A więc kto?

- Nie wiem, ale stoi nam na drodze. I czeka.

- Na co?

Z dołu dobiegł głośny trzask, który w kabinie rozległ się echem przypominającym wystrzał z karabinu. Ratriak przechylił się lekko.

- Chrzanię to - stwierdziła Sarah. - Zmiotam stąd, nawet jeśli będę musiała drania rozjechać.

Wrzuciła wsteczny bieg, cofnęła się kawałek, i znów ruszyła do przodu. Trzask!

- Szybciej - ponaglił ją Evans. - Szybciej! Trzask! Trzask!

Zarzuciło nimi i ratriak gwałtownie się przechylił. Evans zerknął na rzekomego Boldena.

- Lód pęka - domyśliła się Sarah. - On czeka, aż wpadniemy do szczeliny.

- Przejedź go!

Drań wykonał gest, który Evans dopiero po chwili zrozumiał. Rzekomy Bolden machał im na pożegnanie.

Sarah wcisnęła pedał gazu do oporu. Silnik ryknął, ale w tej samej chwili lód pod ratrakiem załamał się i pojazd przechylił się do przodu. Evans zdążył jeszcze dostrzec błękitną ścianę szczeliny, zanim ratrak osunął się w otchłań. Na ułamek sekundy zatopili w nieziemskich błękitach, a potem runęli w ciemność.

## **Strefa przelamu**

### **Środa, 6 października Godz. 15.51**

Sarah otworzyła oczy. Jej pole widzenia wypełniała olbrzymia niebieska gwiazda, której ramiona rozchodziły się promieniście we wszystkich kierunkach. Okropnie bolała ją szyja, było jej przeraźliwie zimno w czoło. Poruszyła się ostrożnie. Ręce miała obolałe, ale całe, lewą nogę również, za to prawą, która pod czymś uwięzła, nie mogła poruszyć. Zakaszła i próbowała jakoś w tym wszystkim się rozeznąć. Leżała na boku, z twarzą wciśniętą w przednią szybę ratraka, którą zresztą rozbiła głową. Jeszcze kilka milimetrów, a odłamki szkła dostałyby się do jej oczu. Odsunęła się od nich ostrożnie i rozejrzała.

Otaczał ją półmrok. Gdzieś z lewej strony sączyło się słabe światło. Ratrak leżał na boku, oparty gąsienicami o ścianę szczeliny. Musiał wylądować na lodowej półce. Spojrzała w górę: krawędź szczeliny znajdowała się zdumiewająco blisko - trzydzieści, może czterdzieści metrów nad jej głową. Wystarczająco blisko, żeby dodać jej otuchy.

Odwróciła się - szukała Evansa, ale w dole rozciągała się ciemność. Nie zobaczyła go, ale kiedy oczy przywykły jej do mroku, zaparło jej dech w piersi. Dotarło do niej, co się naprawdę stało. Nie było żadnej półki.

Ratrak wpadł do wąskiej szczeliny i zaklinował się w niej bokiem. Gąsienice zaparły się o jedną ścianę, dach kabiny o drugą i pojazd zawisł nad czarną jak noc przepaścią. Drzwi po stronie pasażera były otwarte na oścież. Evansa nie było w kabinie. Wypadł. W ciemność.

- Peter?

Żadnej odpowiedzi.

- Peter, słyszysz mnie?

Nasłuchiwała. Na próżno. Żadnych dźwięków. Żadnego ruchu. Zupełnie nic.

I nagle dotarło do niej, że jest zdana tylko na siebie. Trzydzieści metrów pod ziemią, w szczelinie lodowca, z dala od cywilizacji. Przeszedł ją dreszcz. Zrozumiała, że ta szczelina będzie jej grobem.

Musiała przyznać, że Bolden - czy kto to naprawdę był - świetnie to zaplanował. Zabrał im transponder. Wystarczyło, żeby odjechał teraz parę kilometrów, wrzucił go do najgłębszej szczeliny, jaką znajdzie, i wrócił do bazy. Ekipy ze stacji pokierują się sygnałami z transpondera, a on będzie się znajdował zupełnie gdzie indziej niż zaginiony ratrak. Będą badać tę szczelinę nawet przez kilka dni, zanim zarządzą koniec akcji ratunkowej.

A gdyby rozszerzyli zakres poszukiwań? Nawet wtedy nie znajdą ratraka. Utkwił zaledwie trzydzieści metrów pod lodem, ale równie dobrze mógłby spaść i trzysta metrów. I tak leżał zbyt głęboko, żeby dało się go wypatrzeć z przelatującego śmigłowca albo z przejeżdżającego pojazdu. Zresztą nikt by go tu nie szukał. Poszukujący doszliby do wniosku, że ratrak zboczył ze szlaku, i szukaliby go przy drodze - a nie taki kawał od niej, na środku lodowca. Droga miała dwadzieścia siedem kilometrów. Poszukiwania zajmą całe tygodnie. Nie, pomyślała Sarah. Nie znajdą mnie.

A gdyby nawet wydostała się na powierzchnię? Co wtedy? Nie miała kompasu, mapy, GPS-u. Nie miała nawet radia - zmiażdżony odbiornik leżał obok jej nogi. Nie wiedziała, gdzie znajduje się Stacja Weddella.

Miała wprawdzie czerwoną kurtkę, z daleka widoczną na lodzie. Nie brakowało jej również zapasów żywności i sprzętu - zanim wyruszyli, facet

mówił przecież, gdzie co jest. No właśnie... Co dokładnie? Jak przez mgłę pamiętała, że wspomniał coś o sprzęcie wspinaczkowym. O rakach i linach.

Schyliła się. Udało jej się przesunąć skrzynkę, która przygniotła jej prawą stopę, i przeczołgać się na tył kabiny. Modliła się, żeby nie stracić równowagi i nie wypaść przez otwarte drzwi. W półmroku dostrzegła pudło ze sprzętem. Niestety, uderzenie zdeformowało je lekko i nie mogła go otworzyć.

Przczołgała się do skrzynki z narzędziami, wyjęła z niej młotek i śrubokręt i przez następne pół godziny mocowała się z pudłem. W końcu wieko zgrzytnęło metalicznie i podniosło się. Zajrzała do środka.

Pudło było puste.

Nie było w nim wody, jedzenia, sprzętu wspinaczkowego, worków termicznych ani grzałek. Nic.

Odetchnęła głęboko. Nie chciała poddać się panice. Spokojnie rozważała swoje możliwości. Bez lin i raków nie wydostanie się na górę. Czego mogłaby użyć zamiast nich? Miała skrzynkę z narzędziami. Czy śrubokręt zastąpi czekan? Pewnie nie, jest za mały. Ale gdyby rozebrała skrzynię biegów ratraka, może z części udałoby się złożyć coś w rodzaju czekana? A może lepiej rozmontować gąsienicę?

Nie miała raków, ale gdyby znalazła jakieś zastrzone przedmioty - na przykład śruby - mogłaby przebić nimi podeszwy butów i wspinać się w nich po lodzie. Jeszcze lina... Może coś z ubrania się

nada?

Rozejrzała się po wnętrzu kabiny. Może gdyby zdarła tapicerkę? Albo pocięła ją w paski... Tak, to się mogło udać.

Zająwszy czymś myśli, nie popadała przynajmniej w rozpacz. Coś trzeba zrobić. I nawet niewielka szansa powodzenia była lepsza niż żadna.

Skupiła się na niej.

Gdzie był Kenner? Co zrobił, kiedy został wywołany przez radio? Bo pewnie już usłyszał transmisję z bazy. Czy wróci do stacji? Pewnie tak. I będzie szukał człowieka, który podszył się pod Boldena. Chociaż Sarah była przekonana, że intruz zniknął bez śladu.

A wraz z jego zniknięciem zgasła nadzieja, że ktoś ją uratuje.

Jej zegarek się rozbił. Nie wiedziała, ile czasu minęło od wypadku, ale zauważyła, że się ściemniło; do szczeliny wpadało mniej światła - albo pogoda znacznie się pogorszyła, albo dzień miał się ku końcowi. Czyli musiały upłynąć dwie, może trzy godziny.

Czuła, jak całe ciało jej sztywnieje - nie tylko dlatego, że było pokiereszowane po upadku, ale przede wszystkim z zimna. Kabina traciła ciepło.

Przyszło jej do głowy, żeby uruchomić silnik i ogrzewanie. Pstryknęła włącznikiem reflektorów. Jeden zapalił się i oświetlił błyszczącą ścianę lodu. Czyli akumulator działał.

Przekręciła kluczyk. Zgrzytnął rozrusznik. Silnik nie zaskoczył.

I wtedy usłyszała:

- Hej!

Podniosła wzrok, ale zobaczyła tylko szczelinę i szarą smugę nieba.

- Hej!

Zmrużyła oczy. Może jednak ktoś był na górze?

- Tutaj! - odkrzyknęła. - Jestem tutaj! Na dole!

- Wiem, gdzie jesteś - odpowiedział głos.

I wtedy zdała sobie sprawę, że głos dobiega z dołu. Spojrzała w głąb szczeliny.

- Peter?

- Tu jest kurewsko zimno - dobiegł z ciemności głos Evansa.

- Nic ci się nie stało?

- Chyba nie. Nie mogę się ruszyć. Wklinowałem się w jakąś szparę.

- Daleko?

- Nie wiem. Nie mogę przekrócić głowy. Utknąłem, Sarah. - Głos zadrżał mu z przerażenia.

- W ogóle nie możesz się poruszyć?

- Tylko ręką.

- A co widzisz?

- Lód. Błękitną ścianę lodu. Jest pół metra ode mnie.

Sarah stanęła okrakiem nad otwartymi drzwiami. Wytężyła wzrok. W dole było bardzo ciemno, ale wyglądało na to, że szczelina szybko się zwęża. Jeśli tak, to Peter mógł być całkiem blisko.

- Pomachaj. Mówiłeś, że możesz poruszyć ręką?

- Tak.

- Pomachaj nią.

- Macham.

Nic nie zobaczyła. Tylko ciemność.

- Dobra, przestań machać.

- Widzisz mnie?

- Nie.

- Cholera... - Zakaszłał. - Strasznie tu zimno, Sarah.

- Wiem. Wytrzymaj jeszcze trochę.

Musiała jakoś rozejrzeć się w szczelinie. Zajrzała pod deskę rozdzielczą, obok przypiętej do ściany gaśnicy. Skoro była w ratraku gaśnica, mogła być i latarka. Na pewno gdzieś była... Tylko gdzie?

Nie pod deską.

Może w schowku. Otworzyła schowek i włożyła rękę do środka. Namacała zgnieciony papier i gruby, cylindryczny przedmiot. Wyjęła go. To była latarka.

Pstryknęła włącznikiem. Latarka działała. Sarah poświeciła nią w dół szczeliny.

- Widzę! - zawołał Peter. - Widzę światło.

- Dobrze. Pomachaj jeszcze raz ręką.

- Macham.

- Już?

- Cały czas.

- Nie widzę... Zaraz. - Jednak go zobaczyła: czubki palców w czerwonych rękawicach wystawały między gąsienicami i lodową ścianą. - Peter?

- Co jest?

- Jesteś bardzo blisko. Najwyżej dwa metry.

- Super. Wyciągniesz mnie?

- Mogłabym, gdybym miała linę.

- A nie masz?

- Nie. Sprawdziłam w skrzynce. Jest pusta.

- Nie, nie w skrzynce. Pod siedzeniem.

- Gdzie?

- Pod siedzeniem. Widziałem. Sprzęt jest pod fotelem pasażera.

Sarah zajrzała pod siedzenie. Fotel opierał się na stalowej podstawie, solidnie umocowanej do podłogi kabiny. Nie było w niej przegródek ani schowków; nie bardzo mogła tam zajrzeć, ale na pewno nie było też żadnego zamknięcia. Wiedzioną impulsem podniosła siedzenie. Znalazła schowek, a w nim liny, haki, czekany, raki...

- Mam - powiedziała. - Miałeś rację. Wszystko tu jest.

- No wiem...

Ostrożnie wyjmowała kolejne elementy ekwipunku, starając się niczego nie zgubić. Palce zaczynały jej drętwieć z zimna; ledwie mogła utrzymać piętnastometrową nylonową linę z kotwiczką.

- Dasz radę złapać linę, jeśli ci ją opuszczę?

- Może... Spróbuję.



- A dasz radę się jej mocno chwycić? Wtedy cię wyciągnę.

- Nie wiem. Mam tylko jedną rękę wolną. Druga zaklinowała mi się pod tułowiem.

- Utrzymasz się na jednej ręce?

- Nie wiem... ale wątpię. A jak wysunę się z tej szczeliny i ręka mi się ześlizgnie... - głos mu drżał, jakby miał się zaraz rozpłakać.

- W porządku. Nie martw się.

- Jestem w pułapce, Sarah!

- Wcale nie.

- Właśnie że tak! To pierdolona pułapka! - W jego głosie brzmiała już teraz czysta panika. - Wykituję w niej!

- Peter. Przestań. - Mówiąc, Sarah obwiązywała się liną w pasie. - Wszystko będzie dobrze. Mam plan.

- Jaki plan?

- Opuzczę ci na linie kotwiczkę. Dasz radę ją o coś zahaczyć? Na przykład o pasek?

- Nie. Zaklinowałem się i nie mogę się ruszyć. Nie dosięgnę paska.

Próbowała wyobrazić sobie jego sytuację. Musiał zostać wciśnięty w jakąś szparę w lodzie. Sama myśl o tym ją przerażała. Nic dziwnego, że Peter się bał.

- A w ogóle możesz ją o coś zaczepić?

- Spróbuję.

- No to uważaj, opuszczam. - Zaczęła wypuszczać linę. Kotwiczka zniknęła w ciemnościach. - Widzisz ją?

- Widzę.

- Dosięgniesz?

- Nie.

- Poczekaj, rozbujam ją.

Delikatnie poruszyła nadgarstkiem. Kotwiczka zaczęła zataczać łuki w powietrzu: na przemian to znikła jej z oczu, to się pojawiała.

- Nie dam... Mocniej, Sarah.
- Staram się.
- Nie dosięgnę jej.
- Próbuj.
- Popuść linę.
- Dobrze. Ile?
- Ze trzydzieści centymetrów.
- W porządku. - Wypuściła kawałek liny. - Teraz dobrze?
- Dobrze. Rozbujaj.

Rozhuściła kotwiczka. Słyszała stękanie Petera, ale kotwiczka za każdym razem wracała w jej pole widzenia.

- Nie dam rady, Sarah.
- Dasz. Nie poddawaj się.
- Nie mogę. Mam za bardzo zmarznięte ręce.
- Próbuj, próbuj. Uważaj, leci.
- Nie dam rady, Sarah, nie dam... Hej!
- Co?
- Prawie mi się udało!

Spojrzała w dół. Kotwiczka kręciła się na linie. Peter musiał ją trącić.

- Jeszcze raz, Peter. Uda ci się.
- Staram się, ale mam bardzo mało... Jest! Mam ją, Sarah! Odetchnęła z ulgą.

Peter kaszlał w ciemności. Czekala, aż przestanie.

- Dobra, zahaczyłem o kurtkę - powiedział.
- Gdzie?

- Z przodu. Na piersi.

Wyobraziła sobie, jak kotwiczka rozdziera kurtkę i wbija się Peterowi w brodę.

- To źle. Przełóż pod pachę.

- Nie dam rady. Musiałabyś mnie trochę wyciągnąć.

- Dobrze. Powiedz, kiedy będziesz gotowy. Peter odchrząknął.

- Sarah... Wystarczy ci sił, żeby mnie podciągnąć?

Starła się o tym nie myśleć - po prostu założyła, że da sobie radę. Nie wiedziała, jak mocno wbił się w szczelinę, ale...

- Tak - powiedziała. - Wystarczy.

- Na pewno? Ważę siedemdziesiąt kilo. - Zakaszał. - Może więcej. Może nawet siedemdziesiąt pięć.

- Przywiązałam cię do kierownicy.

- W porządku, ale... Nie puść mnie.

- Nie puszczę, Peter. Przez chwilę milczeli.

- A ile ty ważysz?

- Damie nie zadaje się takich pytań. Zwłaszcza damie z LA.

- Nie jesteśmy w LA.

- Nie wiem, ile ważę - odparła. Oczywiście znała swoją wagę co do kilograma: ważyła sześćdziesiąt jeden kilogramów. Peter był co najmniej o dziesięć kilogramów cięższy. - Ale wiem, że dam radę cię wyciągnąć. Gotowy?

- Cholera jasna...

- Jesteś gotowy czy nie?

- Jestem. Ciągnij.

Napięła linę. Przykucnęła i mocno wparła stopy w futrynę po bokach drzwi. Czuła się jak zapaśnik sumo na początku starcia. Wiedziała jednak, że nogi ma znacznie silniejsze niż ręce. To była jej jedyna szansa. Wzięła głęboki wdech.

- Gotowy?

- Chyba tak.

Zaczęła się prostować. Uda ją zaboląły. Lina się naprężyła i drgnęła - z początku niewiele, kilka centymetrów. Ale drgnęła.

- Dobrze, zaczekaj! Zaczekaj!

- Co?

- Przestań ciągnąć!

- Okej. - Sarah znieruchomiała na lekko ugiętych nogach. - Ale długo tak nie wytrzymam.

- Możesz puścić. Tylko powoli. Popuść tak... z metr. Najwidoczniej Peter częściowo uwolnił się ze szczeliny. Kaszlał prawie bez przerwy, ale chyba już się tak nie bał jak przed chwilą.

- Peter?

- Jeszcze chwilę. Zahaczę o pasek.

- W porządku.

- Mogę spojrzeć do góry. Widzę gąsienicę. Jest niecałe dwa metry nade mną.

- Dobrze.

- Kiedy mnie podciągniesz, lina będzie o nią tarła...

- Spokojnie, nie pęknie.

- ...a ja będę wisiał nad... eee...

- Nie puszcze cię, Peter. Rozkaszał się na dobre.

- Powiedz mi, kiedy będziesz gotowa - wykrztusił w końcu.

- Jestem.

- No to spróbujmy, zanim naprawdę zacznę się bać.

Był tylko jeden trudny moment: kiedy podciągnęła go o metr do góry, wydostał się ze szczeliny i nagle obciążył linę całym ciężarem ciała. Nie spodziewała się tego. Metr liny prześliznął się jej przez palce.

- Sarah! - zawył Peter.

Ścisnęła mocniej. Lina przestała się ślizgać.

- Przepraszam.

- Kurwa mać!

- Przepraszam.

Przygotowała się na zwiększone obciążenie i zaczęła ciągnąć. Wysiłek był potworny, ale wkrótce zobaczyła, jak ręka Petera zaciska się na gąsienicy. Próbował się podciągnąć. Potem pojawiła się druga ręka, po chwili głowa.

Peter wyglądał makabrycznie: miał całą twarz we krwi, krew zlepiła mu także włosy. Ale się uśmiechał.

- Ciągnij, siostrzyczko.

- Ciągnę, Peter. Ile sił.

Dopiero kiedy wgramolił się do kabiny, osunęła się na podłogę. Nogi jej się trzęsły jak galareta. Cała drżała. Evans nawet tego nie zauważył. Leżał na boku, dyszał ciężko i kaszlał rozpaczliwie. W końcu drzenie ud ustąpiło. Sarah znalazła apteczkę i zaczęła mu obmywać twarz z krwi.

- Rozciąłeś skórę - uspokoiła go. - Ranka nie jest duża, ale trzeba ci będzie założyć szwy.

- Jeśli się stąd wydostaniemy.

- Wydostaniemy się, na pewno.

- Ciesz się twoją pewnością siebie. - Evans wyjrzał przez okno. - Wspinałaś się kiedyś po lodzie?

Sarah pokręciła głową.

- Ale po skałach nieraz. To nie może być trudne.

- Jest pewnie bardziej ślisko... A co zrobimy na górze?

- Nie wiem.

- Nie wiemy, dokąd iść.

- Pójdziemy po śladach ratraka.

- O ile jeszcze tam są. Mogło je zawiać. Poza tym do stacji jest ze dwanaście, trzynaście kilometrów.

- Peter...

- Burzę lepiej przeczekać tu, na dole.

- Ja tu nie zostanę. Wolę umrzeć w świetle dnia.

Wspinaczka nie była nawet taka trudna - zwłaszcza kiedy Sarah nauczyła się już mocno kopać rakami w lód i z rozmachem wbijać czekan. W siedem, osiem minut wspięła się do krawędzi szczeliny i wyszła na powierzchnię.

A tam nic się nie zmieniło: takie samo przyćmione światło słońca, to samo zlewające się z lodem, szare niebo i szary, pozbawiony punktów orientacyjnych świat.

Pomogła wydostać się Evansowi. Rana mu się otworzyła i przesiąknięta krwią kominiarka przymarzła do twarzy.

- Kurczę, ale zimno - stęknął. - Jak myślisz, dokąd teraz?

Sarah spojrzała na słońce. Wisiało nisko nad horyzontem, ale wspinało się po niebie, czy zachodziło? A właściwie jak określa się kierunek według słońca na biegunie południowym? Zmarszczyła brwi. Nie umiała sobie tego policzyć, a bała się popełnić błąd.

- Pójdziemy po śladach - stwierdziła w końcu.

Zdjęła raki i zaczęła iść. Musiała przyznać Peterowi rację co do jednego: na powierzchni było o wiele zimniej. Szli pół godziny, kiedy zerwał się silny wiatr. Wiał im prosto w twarz; musieli się skulić, żeby brnąć do przodu. Ale najgorsze było to, że śnieg zawiewał ślady ratraka. A to znaczyło...

- Zaraz je zgubimy - powiedział Peter.

- Wiem.

- Już ich prawie nie widać.

- Wiem!

Czasem zachowywał się jak dzieciak. Co miała zrobić, wyłączyć wiatr?

- Co robimy?

- Nie wiem, Peter. Pierwszy raz jestem na Antarktydzie.

- Ja też.

Szli z trudem naprzód.

- Ale to był twój pomysł, żeby wyjść na górę.

- Weź się w garść, Peter.

- Mam się wziąć w garść? Tu jest kurewsko zimno, Sarah. Nie czuję nosa, uszu, palców u rąk i

nóg ani...

- Peter! - Złapała go za ramiona i mocno nim potrząsnęła. - Zamknij się! Umilkł i spojrzał na nią przez wycięcia w kominiarce. Rzęsy miał całe oszronione.

- Ja też nie czuję nosa - przyznała. - Ale nie możemy się poddawać. Rozejrzała się wokół, starając się nie pokazać ogarniającej ją rozpacz.

Wiatr niósł coraz więcej śniegu. Widoczność się pogarszała, świat był coraz bardziej szary i płaski, jakby tracił trzeci wymiar. Jeśli taka pogoda się utrzyma, wkrótce nie uda im się omijać szczelin.

I będą musieli się zatrzymać.

Pośrodku pustki.

- Ślicznie się złościsz, wiesz? - powiedział Peter.

- Rany boskie, Peter...

- No co? Przecież to prawda.

Sarah ruszyła dalej ze wzrokiem utkwionym w ziemię, żeby nie zgubić śladów ratraka.

- Chodź, Peter.

Może udałoby im się wrócić do drogi. Dalej byłoby już łatwiej, nawet w czasie burzy. I bezpieczniej.

- Chyba się zakochałem, Sarah.

- Peter...

- Musiałem ci o tym powiedzieć. Mogę nie mieć drugiej szansy. Znów zaczął kaszleć.

- Oszczędzaj oddech, Peter.

- Zimno jak w psiarni!

Szli dalej, potykając się. Nie rozmawiali. Wiatr skowyczał potępieńczo, przyklejał im ubrania do ciała, utrudniał poruszanie się. Ale Sarah brnęła naprzód. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, zanim podniosła rękę i się zatrzymała. Evans chyba jej nie widział, bo wpadł na nią, stęknął - i dopiero wtedy stanął.

Zetknęli się głowami. Musieli przekrzykiwać wichurę.

- Nie możemy iść dalej! - zawołała Sarah.

- Wiem!

Bezradna, usiadła na lodzie, podciągnęła kolana pod brodę i oparła na nich głowę. Usiłowała powstrzymać się od płaczu. Wiatr wył coraz głośniejszy, coraz bardziej przenikliwie. Powietrze było gęste od śniegu.

Evans usiadł obok niej.

- Umrzemy tu, kurwa. Umrzemy.

## **Strefa przelamu**

**Środa, 6 października Godz. 17.02**

Zaczęła się trząść. Pierwsze dreszcze były lekkie, przelotne, ale potem dygotała niemal bez przerwy; czuła się tak, jakby dostała ataku padaczki. Miała doświadczenie narciarskie i dobrze wiedziała, co to oznacza: wewnątrz jej ciało uległo poważnemu wychłodzeniu, a drgawki były automatyczną reakcją organizmu i próbą rozgrzania go.

Szczękała zębami i ledwie mogła mówić, ale umysł miała sprawny. Cały czas szukała drogi ratunku.

- Wiesz, jak zbudować igloo?

Evans coś odpowiedział, ale wiatr zagłuszył jego słowa.

- Wiesz czy nie? Nie odezwał się.

I tak już za późno, pomyślała. Ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Drgawki były tak silne, że z trudem zaciskała ręce wokół kolan. I robiła się senna.

Spojrzała na Evansa, który położył się na lodzie.

Szturchnęła go, żeby wstał. Kopnęła. Nie poruszył się. Chciała się na niego wydrzeć, ale za bardzo szczękała zębami. Walczyła z narastającą sennością. Ze zdziwieniem stwierdziła, że w wyobraźni odtwarza różne sceny ze swojego życia: dzieciństwo, matka, przedszkole, lekcje baletu, bal maturalny...

Całe życie przelatywało jej przed oczami. Czytała w książkach, że tak właśnie jest przed śmiercią. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła w oddali światelko. O tym też czytała. Światelko w tunelu, długim, ciemnym tunelu...

Nie miała siły dłużej walczyć. Położyła się. Nawet nie czuła dotyku lodu. Była zagubiona w



swoim własnym świetle, w którym istniał tylko ból i zmęczenie. Światelko powiększało się, stawało coraz jaśniejsze, towarzyszyły mu dwa inne - żółte i zielone...

Żółte i zielone?

Otrząsnęła się z senności. Próbowwała wstać, ale nie dała rady. Mięśnie odmówiły posłuszeństwa, ręce miała jak bloki lodu. Nie mogła się ruszyć.

Żółte i zielone światła rosły w oczach. I to białe, w środku. Bardzo białe. Jak halogen. Kłębiący się w powietrzu śnieg nie pozwalał jej rozróżnić szczegółów. Srebrna kopuła... koła... ogromne litery... tworzące napis...

Nas a.

Zakaszła. Coś wynurzyło się z tumanów śniegu - jakiś nieduży pojazd. Miał najwyżej metr wysokości i nie był większy od samobieżnych kosiarek do trawy. Miał olbrzymie koła i spłaszczoną kabinę. Jechał prosto w jej stronę i popiskiwał.

Zanosił się na to, że zaraz ją przejedzie, ale specjalnie się tym nie przejęła. I tak nie mogła nic na to poradzić. Leżała nieruchomo na ziemi, oślepiona i obojętna. Koła rosły z każdą sekundą. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, był metaliczny głos:

- Witam. Witam. Proszę się odsunąć. Dziękuję za współpracę. Witam. Witam. Proszę się odsunąć...

A potem nie było już nic.

## **Stacja Weddella**

**Środa, 6 października Godz. 20.22**

Ciemność. Ból. Chrapliwe głosy. Ból.

Tarcie. Czują je na całym ciele, w rękach, w nogach. Jakby ktoś wcierał jej ogień w skórę. Jęknęła.

Głos - odległy i zachrypnięty.

- Biedzi się.

Rozcieranie trwało, ostre, przeraźliwie bolesne. I ten odgłos drapania, jakby papierem ściernym: zgrzytliwy, szorstki, okropny.

Coś spadło jej na twarz. Na wargi. Oblizwała usta. To był śnieg. Zmrożony śnieg.

- Lepi?

- Jesz ci nie.

Ktoś mówił w obcym języku. Chyba po chińsku. Rozróżniała dwa głosy. Usiłowała otworzyć oczy, ale bez powodzenia. Coś ciężkiego przyciskało jej powieki, jakby maska albo...

Chciała sięgnąć ręką do twarzy, lecz nie dała rady. Kończyny też miała unieruchomione. A rozcieranie trwało, szur, szur, szur...

Jęknęła. Spróbowała coś powiedzieć.

- Lepi ci nie?

- Racie nie.

- Nacie raj, nacie raj. Ból.

Leżała unieruchomiona w ciemności, a oni - kimkolwiek byli - rozcierali jej ciało. Powoli wracało jej czucie w rękach i twarzy. Wcale jej to nie cieszyło, bo ból jeszcze się nasilił. Czowała się jak przypalana żywym ogniem.

Bezcieleśne głosy krążyły wokół niej. Przybywało ich - nie była już pewna, czy jest ich cztery, czy pięć - i chyba wszystkie były kobiece.

Nagle zdała sobie sprawę, że robią z nią coś innego. Wsunęły w nią coś. Coś tępego i zimnego. Nie czuła bólu. Tylko zimno.

Głosy szybowały w powietrzu i przemykały dookoła - słyszała je to nad głową, to gdzieś w okolicach stóp. Ktoś jej dotknął. Mocno.

To musiał być sen. Albo śmierć. Może ja umarłam, pomyślała. Było jej wszystko jedno. Ból jązobojętnił. Nagle kobiecy głos rozległ się tuż przy jej uchu. Brzmiał bardzo wyraźnie: - Sarah.

Poruszyła ustami.

- Sarah, słyszysz mnie? Skinęła leciutko głową.

- Zdejmę ci teraz kompres z twarzy.

Jeszcze raz kiwnęła głową. Ktoś zdjął jej maskę.

- Otwórz oczy. Tylko powoli.

Zrobiła to. Znajdowała się w słabo oświetlonym pomieszczeniu o białych ścianach. Z boku stał monitor, na którym wyświetlała się platanina zielonkawych linii. Pokój w szpitalu? Jakaś kobieta patrzyła na nią z troską. Miała na sobie pielęgniarski kitel i puchową kamizelkę. W pokoju było

chłodno, para unosiła się z ust przy oddechu.

- Nic nie mów - ostrzegła. Sarah milczała.

- Jesteś odwodniona. Powrót do formy zajmie ci jeszcze kilka godzin. Powoli cię rozgrzewamy. Szczęściara z ciebie, nic nie stracisz.

Nic nie stracę.

Przestraszyła się, poruszyła wargami. Język miała zdrętwiały i obrzmiały. Z jej ust dobył się cichy syk.

- Nie próbuj mówić. Jeszcze za wcześnie. Bardzo boli? Tak? Zaraz coś ci dam. - Pielęgniarka wzięła do ręki strzykawkę. - Twój przyjaciel uratował ci życie. Zdołał wstać i włączyć radiofon na korpusie robota NASA. Dzięki temu was znaleźliśmy.

Sarah znów poruszyła wargami.

- Jest w drugim pokoju. Chyba też się wyliże. A teraz odpoczywaj. Sarah poczuła, jak coś zimnego zaczyna krążyć jej w żyłach. Powieki same się jej zamknęły.

## **Stacja Weddella**

**Czwartek, 7 października Godz. 19.34**

Pielęgniarki wyszły, żeby Peter Evans mógł się swobodnie ubrać, a on się nie spieszył. Wciągając kolejne elementy ubrania, próbował ocenić swój stan. Miał się całkiem nieźle, jeśli nie liczyć bolących przy oddychaniu żeber. Z lewej strony klatki piersiowej jeden potężny siniak, na udzie drugi, a na ramieniu paskudna, sina opuchlizna. Na głowie kilka szwów. Całe ciało sztywne i obolałe; z ogromnym wysiłkiem włożył skarpetki i buty.

Ale poza tym był cały i zdrowy. Nawet lepiej - czuł się jak nowo narodzony. Tam, na lodzie, był już przekonany, że umrze. Nie miał pojęcia, skąd wziął tyle siły, żeby wstać. Poczł kopniak Sarah, ale na niego nie zareagował. Potem usłyszał popiskiwanie, a kiedy podniósł głowę, zobaczył napis Nasa.

Uświadomił sobie, że widzi przed sobą jakiś pojazd. A skoro jest pojazd, to musi być i kierowca. Przednie opony zatrzymały się dosłownie parę centymetrów od niego. Próbował dźwignąć się na kolana; oparł się o koło i złapał za oś. Nie mógł zrozumieć, dlaczego kierowca nie wysiada, żeby mu pomóc. W końcu mimo zwałającego z nóg wiatru udało mu się uklęknąć; zorientował się, że pojazd jest pękaty i niziutki - mierzył niewiele ponad metr. Człowiek by się w nim nie zmieścił, musiał więc być automatem. Evans odgarnął śnieg z nadwozia. Cały napis brzmiał: Nasa. Pojazd do zdalnego badania meteorytów.

Łazik powtarzał nagrany na taśmie komunikat, ale wiatr zagłuszał słowa. Evans zgarnął resztę śniegu, szukając nadajnika, anteny, jakiegoś...

Namacał płytkę z otworem na palec. Pociągnął. Pod spodem znajdował się telefon - najprawdziwsza słuchawka telefoniczna. Czerwona. Podniósł ją i przysunął do zamarznętej kominiarki. Nic nie słyszał.

- Halo?! - zawołał. - Halo! To było wszystko. Osunął się na ziemię.

Pielęgniarki wyjaśniły mu później, że podnosząc słuchawkę, wysłał sygnał do bazy w Patriot Hills. NASA zawiadomiła Stację Weddella, z której natychmiast wysłano ekipę ratunkową. Odnalezienie Sarah i Petera zajęło im dziesięć minut. Oboje jeszcze żyli.

Od tamtej pory minęły ponad dwadzieścia cztery godziny.

Zespół medyczny przez pół doby rozgrzewał ich ciała, ponieważ - jak wyjaśniła Evansowi pielęgniarka - należało to robić powoli i stopniowo. Zapewniła go również, że nie odniósł poważniejszych obrażeń; w najgorszym przypadku będzie trzeba amputować mu dwa palce u nogi, ale z tym należy jeszcze poczekać. Za kilka dni sprawa się wyjaśni.

Miał obandażowane stopy, a palce dodatkowo obłożone czymś w rodzaju ochronnych łubków. Nie mógł włożyć swoich starych butów, ale lekarze znaleźli mu wielkie kapcie, pewnie jakiegoś koszykarza. Evans wyglądał w nich jak klaun, ale przynajmniej mógł je włożyć i nie czuć przy tym bólu.

Ostrożnie stanął na nogi. Kolana mu się trzęsły, ale ustał.

Pielęgniarka zajrzała do pokoju.

- Zje pan coś?

- Na razie nie.

- Coś pana boli? Pokręcił głową.

- Chociaż... Właściwie tak... Wszystko.

- Będzie jeszcze gorzej. - Podała mu fiolkę z tabletkami. - W razie potrzeby proszę łykać po jednej co cztery godziny. W najbliższych dniach będą panu potrzebne, żeby mógł pan zasnąć.

- Co z Sarah?

- Za jakieś pół godziny dojdzie do siebie.

- Gdzie Kenner?

- Chyba w pokoju komputerowym.

- Gdzie to jest?

- Może się pan na mnie oprze...

- Dam sobie radę. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie to jest. Pielęgniarka wskazała mu drogę. Zaczął iść, ale było to trudniejsze, niż sądził. Rozdygotane mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Przewróciłby się, gdyby pielęgniarka go nie podtrzymała.

- Wie pan co? Zaprowadzę pana. Tym razem nie protestował.

Kenner siedział w pokoju komputerowym w towarzystwie brodatego szefa stacji MacGregora i Sanjonga Thapy. Wszyscy trzej mieli grobowe miny.

- Znaleźliśmy go. - Kenner pokazał na monitor. - Poznajesz?

- Pewnie - przytaknął Evans. - To ten skurczybyk.

Na ekranie widniało zdjęcie mężczyzny, który przedstawił im się jako Bolden, ale z informacji wyświetlonych obok fotografii wynikało, że naprawdę nazywa się David R. Kane. Dwadzieścia sześć lat. Urodzony w Minneapolis. Licencjat - Notre-Dame; magisterium - Uniwersytet Michigan. Status aktualny: doktorant, oceanograf na Uniwersytecie Michigan, w Ann Arbor. Projekt badawczy: pomiar dynamiki ruchu Lodowca Szelfowego Rossa za pomocą czujników GPS. Promotor/kierownik projektu: James Brewster, Uniwersytet Michigan.

- Nazywa się Kane - powiedział szef bazy. - Przyjechał tydzień temu, razem z Brewsterem.

- A gdzie jest teraz? - zapytał ponuro Evans.

- Nie wiemy. Nie wrócił dziś do stacji. Tak jak i Brewster. Mogli pojechać do bazy McMurdo i załapać się na poranny transport na ląd. Dzwoniliśmy tam, żeby przeliczyli pojazdy, ale jeszcze nie odpowiedzieli.

- Tu go na pewno nie ma?

- Na pewno. Żeby wyjść z bazy, trzeba mieć identyfikator magnetyczny. Dzięki temu zawsze wiemy, kto gdzie jest. Od dwunastu godzin ani Kane, ani Brewster nie otwierali żadnych drzwi w stacji. Tu ich nie ma.

- I podejrzewa pan, że wsiedli do samolotu?

- Na wieży kontrolnej w McMurdo nie mają pewności. Te codzienne transporty traktuje się tam dość luźno: kto chce, to leci. Latają tam herculesy C-130, więc miejsca jest dużo. Często jest tak, że warunki grantu zabraniają opuszczania miejsca, w którym prowadzi się eksperymenty. Ale ludzie obchodzą urodziny i inne uroczystości rodzinne, więc po prostu na chwilę znikają, a potem wracają jakby nigdy nic. Nikt tego nie rejestruje.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, Brewster miał dwóch doktorantów - zauważył Kenner. - Co się stało z tym drugim?

- Ciekawe, że pan pyta. Wyjechał z McMurdo wczoraj, kiedy wy przyjechaliście.

- Czyli wszyscy uciekli. Trzeba przyznać, że są cwani. - Kenner spojrzał na zegarek. - Proponuję sprawdzić, co po nich zostało. Jeśli w ogóle coś zostało.

Tabliczka informowała: Dave Kane, U. Mich. Evans pchnął drzwi, za którymi znajdował się mały pokój z nieposłanym łóżkiem i niedużym biurkiem, zawalonym papierami. Na blacie stał również czteropak dietetycznej coli, a w kącie leżała otwarta walizka.

- Bierzmy się do roboty - powiedział Kenner. - Ja zajmę się łóżkiem i walizką. Ty sprawdź na biurku.

Evans zaczął przeglądać papiery - kopie artykułów naukowych, niektóre opatrzone pieczętą biblioteki Instytutu Geografii Uniwersytetu Michigan i numerem katalogowym.

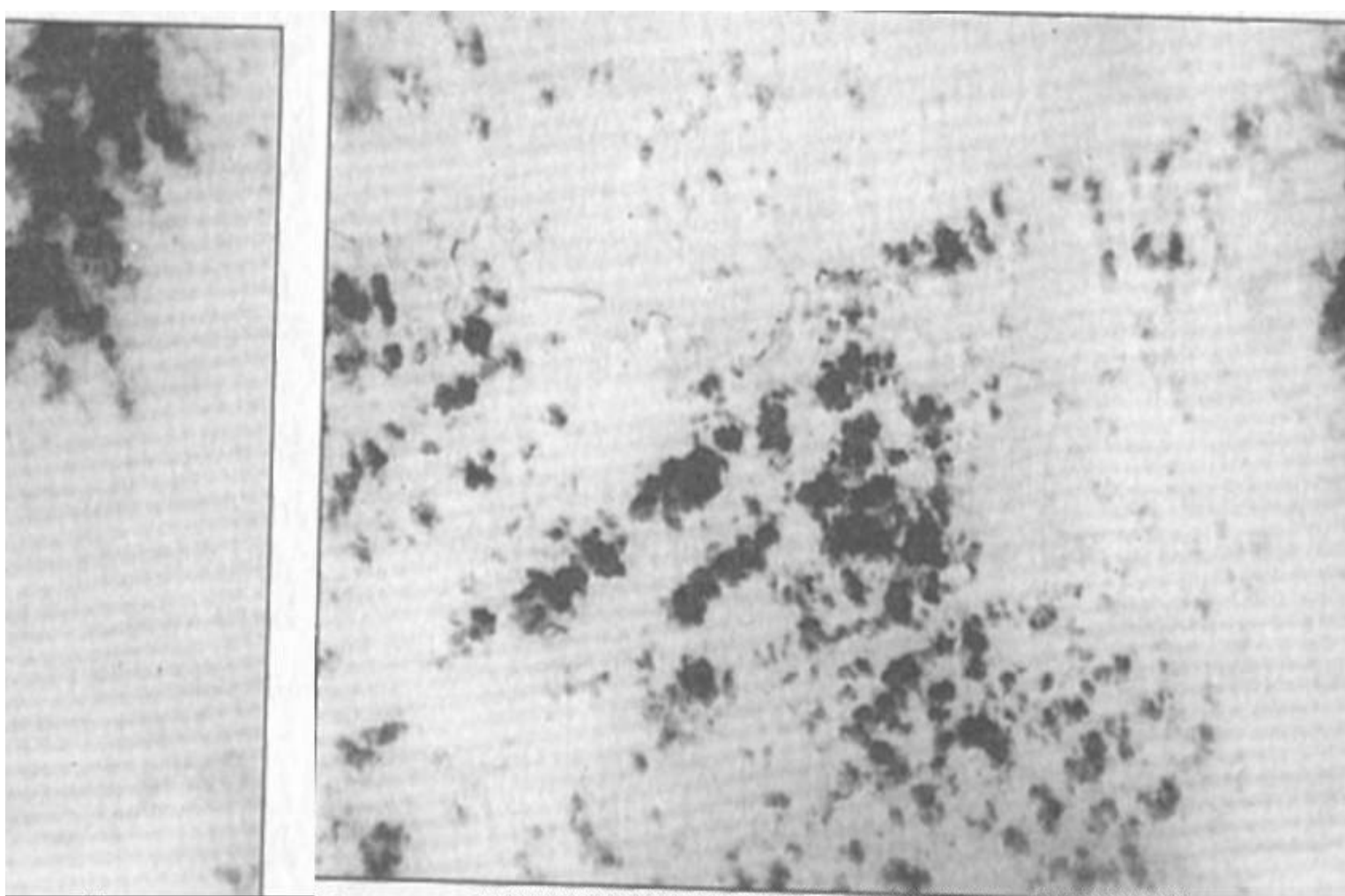
- To przykrywka - stwierdził Kenner, kiedy Evans pokazał mu artykuły. - Przywiózł je ze sobą. Jest tam coś więcej? Jakies rzeczy osobiste?

Evans nie znalazł nic ciekawego. W niektórych pismach pozakreślano fragmenty żółtym mazakiem. Stosik małych karteczek z notatkami wyglądał na autentyczny, a zapiski dotyczyły artykułów.

- Nie wierzysz, że to był prawdziwy doktorant?

- To możliwe, ale ja w to wątpię. Ekoterrorysty rzadko mają formalne wykształcenie.

Na biurku były też zdjęcia lodowców i różne fotografie satelitarne. Evans przeglądał je pospiesznie, aż jedno ze zdjęć zwróciło jego uwagę:



ISS006.ESC1.03003375 SCORPION B

Podpis zwrócił jego uwagę.

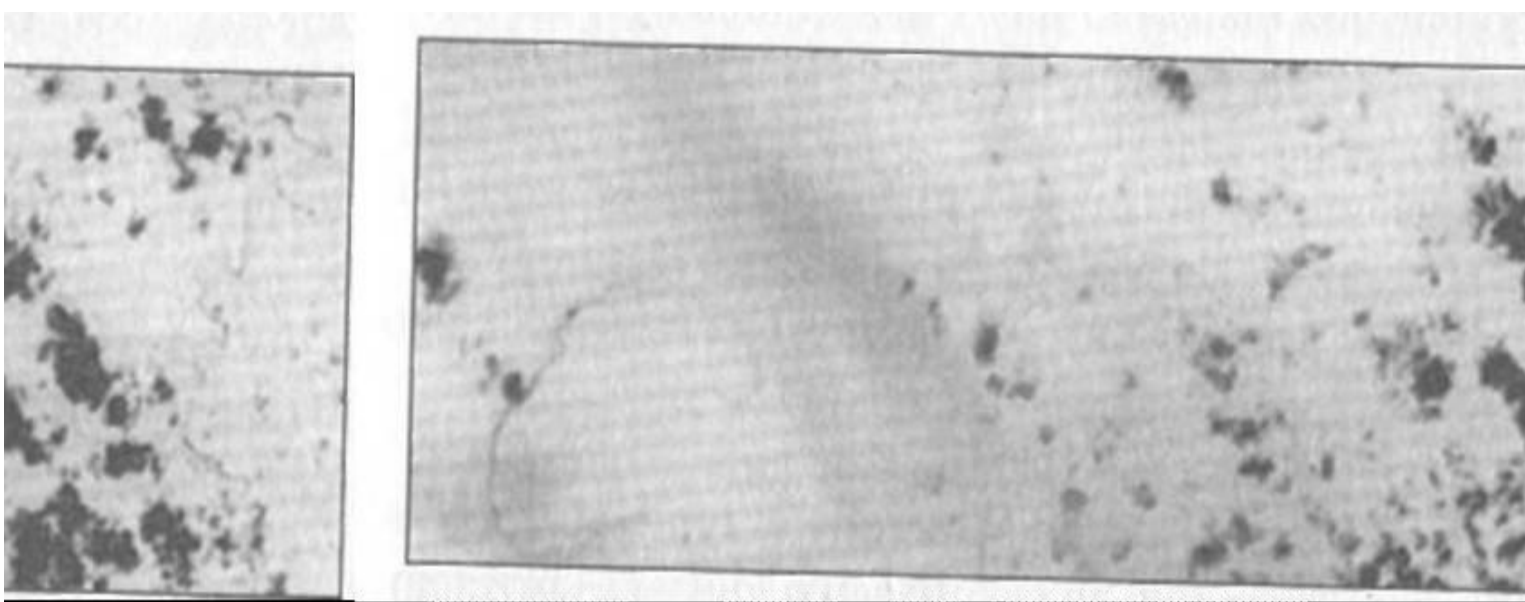
- Czy jedno z miejsc na tamtej liście nie nazywało się Scorpion?

- Było takie...

- Jest tutaj, na Antarktydzie. Spójrz.

- Nie może być... - zaczął Kenner, ale urwał w pół słowa. - To bardzo ciekawe, Peter. Świetna robota. Znalazłeś to na biurku? Doskonale. Masz coś jeszcze?

Evans musiał w duchu przyznać, że pochwała ze strony Kennera sprawiła mu przyjemność. Szukał dalej. Chwilę później wygrzebał następną:



- Tak - powiedział. - Jeszcze to.

- Wygląda tak samo - mówił z podnieceniem. - Skały wystające z lodu. A te słabe linie... Co to może być? Drogi? Kamienie pod śniegiem?

- Chyba tak. Myślę, że masz rację.

- To zdjęcia lotnicze, prawda? Na pewno da się sprawdzić, gdzie je zrobiono. Myślisz, że można je znaleźć po tych liczbach?

- Jasne. - Kenner obejrzał zdjęcia pod lupą. - Świetnie się spisałeś, Peter.

Evans się rozpromienił.

- Macie coś? - zapytał MacGregor, stając w drzwiach. - Może mógłbym w czymś pomóc?

- Chyba nie - odparł Kenner. - Damy sobie radę.

- Może rozpozna... - zaczął Evans.

- Nie. Sprawdzimy w archiwach NASA, po sygnaturze. Szukajmy dalej.

Jeszcze przez kilka minut w milczeniu przeszukiwali pokój. Kenner scyzorykiem rozciął wyściółkę walizki.

- No! - stwierdził z triumfem.

Wstał, trzymając w palcach dwa jasne kawałki gumy.

- Co to jest? - zdziwił się Evans. - Silikon?

- Albo coś bardzo podobnego. - Kenner był z siebie bardzo zadowolony. - W każdym razie jakieś miękkie tworzywo.



- Po co mu to było?

- Nie mam pojęcia - odparł Kenner i przeszukiwał dalej walizkę. Evans głowił się nad tym, co go tak ucieszyło. Może nie chciał mówić wszystkiego, co wie, przy MacGregorze. Ale te dwa kawałki gumy... Do czego mogły służyć?

Drugi raz przejrzał dokumenty na biurku, ale nie znalazł już nic ciekawego. Obejrzał od spodu podstawę lampki. Kucnął i zajrzał pod biurko; Kane mógł coś przykleić pod blatem.

Nic nie znalazł.

Kenner zamknął walizkę.

- Tak jak przypuszczałem, nie ma nic więcej. I tak mamy szczęście, że coś znaleźliśmy. - Odwrócił się do MacGregora. - Gdzie Sanjong?

- W serwerowni, tak jak pan sobie życzył. Odcina Brewsterowi i jego ludziom dostęp do systemu.

Serwerownia była niewiele większa od garderoby w sypialni. Znajdowały się w niej dwie zajmujące całą wysokość ścian szafy ze sprzętem. Po ażurowym suficie poprowadzono płataninę kabli. Na metalowym blacie stał terminal, nad którym pochylali się zaniepokojeni Sanjong i główny informatyk Stacji Weddella.

Kenner i Evans zostali na korytarzu. Evans cieszył się, że może stać bez pomocy. Siły szybko mu wracały.

- Nie było łatwo - tłumaczył Sanjong Kennerowi. - Według obowiązującej w stacji procedury każdy naukowiec dostaje własną przestrzeń dyskową, bezpośrednie połączenie radiowe i łączy do Internetu. Ci goście umieli to świetnie wykorzystać. Ten trzeci z Brewsterem musiał być komputerowcem: dzień po przyjeździe zalogował się do systemu, nadał sobie uprawnienia roota, wpuścił masę trojanów i otworzył różne furtki. Nawet nie wiemy ile. Na razie próbujemy je usunąć.

- Dodał też kilka fałszywych kont użytkowników - wtrącił informatyk.

- Około dwudziestu. Ale nimi bym się nie martwił, bo pewnie są puste. Jeżeli gość miał łeb na karku, a wszystko na to wskazuje, wszedł do systemu z konta istniejącego użytkownika, żeby zatrzeć za sobą ślady. Szukamy użytkowników, którzy w ostatnim tygodniu zmieniali hasła, ale w systemie nie ma zbyt wielu narzędzi administracyjnych. Dlatego idzie nam to powoli.

- A trojany? - zainteresował się Kenner. - Kiedy się obudzą?

W slangu komputerowym trojan to niewinnie wyglądający programik, który instaluje się w systemie i czeka na wybrany z góry moment, żeby wykonać zaprogramowane zadanie. Jego nazwa pochodzi oczywiście od konia trojańskiego, który pomógł Grekom zdobyć Troję: zbudowali olbrzymiego drewnianego rumaka i zostawili go na plaży jako prezent dla Trojan. Kiedy ci wciągnęli go za mury, ukryci w koniu greccy żołnierze zaatakowali miasto.

Klasyczny trojan jest najczęściej dziełem sfrustrowanego pracownika: kasuje zawartość wszystkich twardych dysków w firmie trzy miesiące po tym, jak jego autor został zwolniony. Ale istnieją też inne odmiany.

- Wszystkie, które znalazłem, miały się wkrótce uaktywnić - odparł Sanjong. - Jutro, pojutrze, jeden za trzy dni. Nie później.

- Tak jak podejrzewaliśmy...

- Właśnie. To się miało wydarzyć wkrótce.

- Ale co? - zainteresował się Evans.

- Odłupanie góry lodowej - wyjaśnił Kenner.

- Czemu mieliby to zrobić już jutro czy pojutrze? Przecież nadal by tu byli.

- Nie byłbym tego taki pewien. Ale czas aktywacji trojanów był uzależniony od czegoś innego.

- Tak? Od czego?

- Później o tym porozmawiamy. - Kenner spojrzał na niego znacząco i zwrócił się do Sanjonga:

- Co z łączami radiowymi?

- Od razu odłączyliśmy wszystkie bezpośrednie dojścia. Rozumiem, że ty też zrobiłeś, co należało?

- Tak.

- To znaczy? - chciał wiedzieć Evans.

- Porozłączałem losowo kable.

- Jakie kable?

- O tym później.

- Czyli niepotrzebnie się wysilamy - stwierdził Sanjong.

- Nic podobnego. Nie mamy pewności, czy w stacji nie ma jakiegoś kreta, który potem spróbuje cofnąć wprowadzone przez nas zmiany.

- Jak ja żałuję, że nie wiem, o czym mówicie...

- Później! - warknął ze złością Kenner. Evans, urażony, umilkł.

- Pani Jones doszła do siebie - oznajmił MacGregor. - Ubiera się.

- Świetnie - stwierdził Kenner. - Chyba nic tu po nas. Za godzinę odlatujemy.
- Dokąd? - zdziwił się Evans.
- Myślałem, że to oczywiste. Do Helsinek.

## **W drodze**

### **Piątek, 8 października Godz. 6.04**

Światło poranka było oślepiające. Sarah spała, Sanjong pracował na laptopie, Kenner wyglądał przez okno samolotu.

- No dobrze - odezwał się Evans. - Jakie kable porozłączałeś?

- Prowadzące do ładunków. Ładunki były rozmieszczone w równych odstępach, dokładnie co czterysta metrów. Odłączyłem pięćdziesiąt z nich, głównie na wschodnim końcu linii. To powinno zapobiec powstaniu fali stojącej.

- Czyli nici z odłamania góry lodowej?

- Taki miałem plan.

- Po co lecimy do Helsinek?

- Nie lecimy do Helsinek. Powiedziałem tak, żeby zmylić informatyka. Lecimy do Los Angeles.

- W porządku. A po co lecimy do Los Angeles?

- Bo tam odbędzie się konferencja NERF-u dotycząca gwałtownych zmian klimatycznych.

- To ma coś wspólnego z konferencją? Kenner pokiwał głową.

- Chcieli, żeby odłupanie góry lodowej zbiegło się w czasie z konferencją?

- Właśnie. To część każdego porządnego planu medialnego: aranżuje się wypadek, który dobrze się prezentuje w telewizji i podkreśla przesłanie konferencji.

- Nie przejąłeś się tym specjalnie.

- Taki jest ten świat, Peter. - Kenner wzruszył ramionami. - Ekologia nie znajduje się w centrum zainteresowania opinii publicznej ot tak sobie.

- Co masz na myśli?

- Weźmy na przykład twój ulubiony straszak: globalne ocieplenie. Jego nadejście ogłosił znany klimatolog James Hansen, w 1988 roku, w dość dramatycznych okolicznościach. Zeznawał wtedy przez połączoną komisją śledczą Izby Reprezentantów i Senatu, kierowaną przez senatora Wirtha z Kolorado. Przesłuchania zaplanowano na czerwiec, żeby Hansen mógł zeznawać w czasie letniej fali upałów. To było od początku ukartowane.

- Jakoś nie robi to na mnie wrażenia. Można przecież wykorzystać zeznanie przed komisją, aby uświadomić opinii publicznej...

- Tak uważasz? Czyli twoim zdaniem nie ma różnicy między przesłuchaniem i konferencją prasową?

- Zaraz, zaraz. Twierdzę tylko, że przesłuchania wykorzystywano już w podobny sposób wielokrotnie.

- Tu się zgodzę. Ale manipulacja pozostaje manipulacją. Zresztą zeznanie Hansena nie było jedynym wydarzeniem w kampanii towarzyszącej sprzedaży idei globalnego ocieplenia. Wystarczy wspomnieć zmiany w raporcie IPCC z 1995, wprowadzone w ostatniej chwili.

- Co to jest IPCC? I jakie to były zmiany?

- Pod koniec lat osiemdziesiątych ONZ utworzyła Międzyrządowy Panel do spraw Zmian Klimatycznych, czyli IPCC. To olbrzymia grupa biurokratów oraz naukowców, którzy siedzą u innych biurokratów w kieszeni. ONZ-etowi przyświecała taka myśl, że skoro ocieplenie jest zjawiskiem ogólnoświatowym, IPCC będzie śledzić przebieg badań klimatycznych i co kilka lat publikować sprawozdania. W pierwszym takim raporcie, z 1990 roku, stwierdzono, że trudno będzie oszacować wpływ człowieka na klimat, chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę, że taki najprawdopodobniej istnieje. Ale już pięć lat później w sprawozdaniu stwierdzono

z przekonaniem, że odnotowano „wyraźny wpływ człowieka na zmiany klimatyczne”. Pamiętasz to?

- Jak przez mgłę...

- Wzmiankę o „wyraźnym wpływie człowieka na zmiany klimatyczne” dopisano do sprawozdania dopiero wtedy, kiedy naukowcy rozjechali się do domów. Pierwotna wersja raportu stwierdzała, że nie udało się wykryć takiego oddziaływania i nie wiadomo, czy uda się to w przyszłości. Sformułowanie brzmiało jednoznacznie: „Nie wiemy”. Usunięto je i wstawiono na jego miejsce nowe, to, które ci zacytowałem. To bardzo znacząca zmiana.

- Naprawdę tak było?

- Tak. Zmiana treści dokumentu wywołała poruszenie w ówczesnym świecie naukowym. Wybuchł spór zwolenników i przeciwników teorii zmian klimatycznych. Kiedy się czyta ich argumenty i kontrargumenty, trudno stwierdzić, kto ma właściwie rację. Ale żyjemy w erze Internetu;

możesz sam wyszukać w sieci oryginał i porównać go z wersją poprawioną. Zmiany w tekście sugerują jednoznacznie, że IPCC jest instytucją polityczną, a nie naukową.

Evans zmarszczył brwi. Nie wiedział, co o tym myśleć. Słyszał, naturalnie, o istnieniu IPCC, ale nie znał szczegółów.

- Moje pytanie jest prostsze, Peter. Jeżeli mamy do czynienia z rzeczywistym problemem, wymagającym naszej natychmiastowej reakcji, po co podsycać atmosferę zagrożenia? Po co nam te starannie planowane kampanie propagandowe?

- Udzielę ci równie prostej odpowiedzi. Na rynku mediów panuje ogromny ścisk. Człowiek jest w każdej chwili bombardowany tysiącami komunikatów. Musisz mówić głośno, czasem nawet trochę przesadzać, jeśli chcesz, żeby ktoś cię usłyszał. I próbować przekonać cały świat do podpisania protokołu z Kioto.

- Zastanówmy się nad tym. Kiedy latem 1988 roku Hansen ogłosił teorię globalnego ocieplenia, zapowiedział wzrost temperatury o trzydzieści pięć setnych stopnia w ciągu następnych dziesięciu lat. Wiesz, jaki był rzeczywisty wzrost?

- Na pewno powiesz mi, że mniejszy.

- Znacznie mniejszy, Peter. Jedenaście setnych stopnia. Doktor Hansen pomylił się o trzysta procent.

- Dobra. Ale wzrost to wzrost.

- Dziesięć lat po złożeniu zeznań przed komisją przyznał, że za słabo rozumiemy naturę sił rządzących klimatem i że długoterminowe prognozy są niemożliwe.

- Niewierze. Kenner westchnął.

- Sanjong?

Sanjong wpisał coś do laptopa.

- Sprawozdanie z posiedzenia Krajowej Akademii Nauk, październik 1998 - powiedział.

- Nie wierzę, żeby użył takiego sformułowania.

- Cytuję: „Nie znamy natury zjawisk powodujących długofalowe zmiany klimatyczne w stopniu wystarczającym, aby określić przyszłość klimatu”. Koniec cytatu. Zalecał również, żeby w przyszłości przedstawiać różne prawdopodobne scenariusze zmian klimatycznych i w ten sposób określać zakres tych zmian.

- To nie jest dokładnie...

- Czepiasz się słówek - przerwał Evansowi Kenner. - To były słowa Hansena. Jak sądzisz,

dłaczego Balder martwi się o swoich świadków w procesie Vanutu? Właśnie przez takie sformułowania. Można je ubierać w różne słowa, ale sens jest jasny: nasza wiedza jest ograniczona. Zresztą to nie jedyne takie stwierdzenie. IPCC również publikuje podobne obserwacje.

- Ale przecież Hansen wierzy w globalne ocieplenie.

- Owszem. Mimo że w prognozie z 1988 roku pomylił się o trzysta procent.

- Co z tego?

- Nie doceniasz wagi tak dużego błędu. Porównaj go z błędami, jakie popełnia się w innych dziedzinach. Kiedy na przykład NASA wystrzeliła raketę, która miała przenieść Rovera na Marsa, ogłosiła, że pojazd wyląduje na Marsie za dwieście pięćdziesiąt trzy dni, o godzinie 20.11 czasu kalifornijskiego. W rzeczywistości lądowanie nastąpiło o 20.35. To błąd rzędu tysięcznych części procenta. Ludzie w NASA znają się na swojej robocie.

- To prawda. Ale niektórych rzeczy nie da się określić dokładnie. Trzeba je oszacować.

- Masz całkowitą rację. Wszystko szacujemy: wartość sprzedaży, spodziewane zyski, daty dostaw, nawet... Skoro już o tym mowa: sam pewnie obliczasz wartość podatku, jaki będziesz miał do zapłacenia?

- Oczywiście. Co kwartał.

- Z jaką dokładnością powinieneś to robić?

- Nie ma sztywnych reguł...

- Peter. Za jaki błąd grozi ci kara?

- Chyba piętnaście procent.

- Czyli gdybyś pomylił się o trzysta, zapłaciłbyś grzywnę?

- Tak.

- Hansen właśnie o tyle się pomylił.

- Klimat to nie podatek.

- W rzeczywistym świecie, w którym rzetelna wiedza jest w cenie, pomyłka o trzysta procent sugeruje, że nie znasz się na dziedzinie, w której dokonujesz szacunków. Gdybyś wsiadł do samolotu i pilot zapowiedziałby, że lot potrwa trzy godziny, a po godzinie znaleźlibyście się na miejscu, uznalibyś go za dobrego fachowca czy nie?

- Przewidywanie zmian klimatycznych jest bardziej skomplikowane - mruknął Evans.

- Oczywiście. Znacznie bardziej. Tak bardzo, że nikt nie potrafi określić, jakie zmiany zajdą w nim w przyszłości. Mimo że nakłady idą w miliardy, a setki naukowców prowadzą badania na całym świecie. Czemu nie chcesz przyjąć tej przykrew prawdy do wiadomości?
- W przewidywaniu pogody zrobiliśmy postępy. Dzięki komputerom.
- Zgoda. Ale nikt nie próbuje tworzyć prognoz dłuższych niż dziesięciodniowe. A specjaliści od komputerowych modeli klimatu próbują zgadnąć, jaka temperatura będzie za sto lat! Albo za tysiąc! Albo za trzy tysiące!
- I są w tym coraz lepsi.
- Nieprawda. Posłuchaj: El Nino jest najpoważniejszym zjawiskiem klimatycznym o zasięgu ogólnosiwiatowym. Powtarza się w mniej więcej czteroletnim cyklu, ale modele klimatyczne nie potrafią przewidzieć ani jego czasu trwania, ani momentu nadejścia, ani natężenia. A skoro nie dajesz sobie rady z El Nino, wiarygodność twojego modelu w innych dziedzinach też jest mocno wątpliwa.
- Słyszałem, że umiemy już przewidywać El Nino.
- Tak twierdzono w 1998 roku, ale to nieprawda. - Kenner pokręcił głową. - Klimatologia na razie tak daleko nie sięga. Kiedyś sięgnie, ale jeszcze nie teraz.

## **W drodze do Los Angeles**

**Piątek, 8 października Godz. 14.22**

Minęła kolejna godzina. Sanjong nie wstawał od komputera, a Kenner siedział nieruchomo, zapatrzony w okno. Nepalczyk nie zwracał na niego uwagi; wiedział, że Kenner potrafi tak siedzieć godzinami.

Odwrócił się, dopiero kiedy Sanjong zaklął.

- Co się stało?
- Straciłem połączenie z Internetem. Już od jakiegoś czasu łączność z satelitą była w kratkę.
- Wiesz, co jest na zdjęciach?
- Tak, to nie był problem. Evans naprawdę myślał, że to zdjęcia z Antarktydy?
- Tak. Myślał, że to skały wystające z lodu. A ja nie zaprzeczyłem.
- W rzeczywistości chodzi o zatokę Resolution, na północnym wschodzie Garedy.
- Jak to daleko od Los Angeles?

- Około sześciu tysięcy mil morskich.
- Czyli czas propagacji to dwanaście do trzynastu godzin.
- Mniej więcej.
- Później się tym zajmiemy. Na razie mamy inne zmartwienia.

Peter Evans źle spał. Za łóżko służył mu rozłożony fotel lotniczy, którego oparcie łączyło się z siedzeniem na wysokości jego bioder. Wiercił się i rzucał, budził, wylapywał urywki rozmów siedzących z tyłu Kennera i Sanjonga. Buczenie silników zagłuszało większość słów, ale i tak usłyszał dostatecznie dużo.

„Musi coś dla nas zrobić”. „Odmówi, John”.

„...czy mu się to podoba, czy nie... Evans znalazł się w centrum wydarzeń”.

Nagle otrzeźwiał. Podniósł głowę z poduszki i zaczął nasłuchiwać. „Nie zaprzeczyłem”.

„W rzeczywistości... Zatokę Resolution... Garedy”. „Jak daleko...” „...tysięcy mil...”

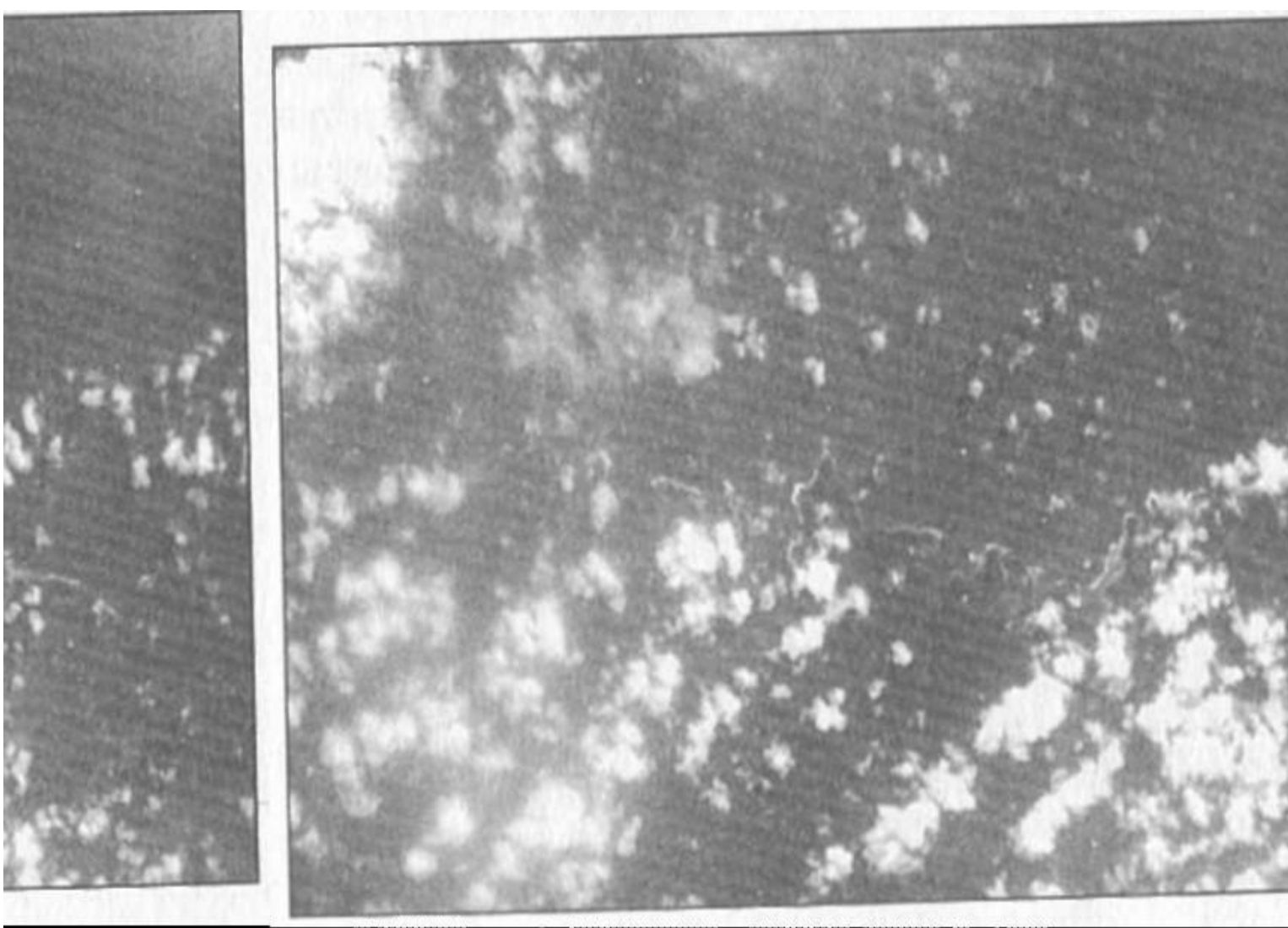
„...czas propagacji... do trzynastu godzin...” Czas propagacji? - zdziwił się Evans. O czym oni mówią? Zerwał się z fotela i przeszedł na tył kabiny, gotów stanąć z nimi twarzą w twarz.

Kenner na jego widok nawet nie mrugnął.

- Dobrze spałeś?
- Nie. Źle. Chyba jesteś mi winien wyjaśnienie.
- Czego?
- Na przykład sprawy zdjęć.
- Wtedy, przy wszystkich, nie mogłem ci powiedzieć. A nie chciałem gasić twojego entuzjazmu.

Evans nalał sobie kawy.





- No dobrze. Co na nich naprawdę jest? Sanjong odwrócił laptop ekranem do Evansa.

- Nie miej do siebie pretensji. Nie mogłeś się domyślić - wyjaśnił. - To są negatywy. Często analizuje się zdjęcia w negatywie. Lepszy kontrast.

- Negatywy...

- Czarne plamy są w rzeczywistości białe. To chmury. Evans westchnął.

- A ląd pod spodem?

- To wyspa Gareda, w południowej części archipelagu Wysp Salomona.

- Które leżą...

- Niedaleko Nowej Gwinei. Na północ od Australii.

- Czyli jest to wyspa na południowym Pacyfiku. Facet na Antarktydzie trzymał sobie zdjęcia wysepki, która znajduje się na Oceanie Spokojnym.

- Zgadza się.

- Co oznacza SCORPION?

- Nie wiemy. Ta okolica na mapach nosi nazwę zatoki Resolution. Może tubylcy nazywają ją Zatoką Skorpiona.

- Co ma się tam wydarzyć?

- Tego też nie wiemy - przyznał Kenner.

- Słyszałem, jak wspomniałeś o czasie propagacji. Co się ma propagować?

- Przesłyszałeś się. Miałem na myśli czas penetracji.

- Penetracji?

- Penetracji archiwów komputerowych. Mamy całkiem niezłe zdjęcia tych trzech facetów z Antarktydy i liczymy na to, że uda nam się któregoś zidentyfikować. Zdjęć jesteśmy pewni; pracownicy bazy potwierdzili, że to oni. Obawiam się tylko, że na tym nasz fart się kończy.

Sanjong wyjaśnił, że przesłali już fotografie Brewstera i jego dwóch doktorantów do kilku waszyngtońskich baz danych, gdzie komputery porównają je z wizerunkami notowanych przestępców. Czasem, przy odrobinie szczęścia, udaje się trafić na jakiś trop. Tym razem jednak odpowiedź nie przyszła.

- Minęło już ładnych parę godzin, więc chyba nic już z tego nie będzie - podsumował.

- Czego zresztą się spodziewaliśmy - zauważył Kenner.

- To prawda.

- Dlaczego? Myślicie, że goście nie są notowani? - wtrącił się Evans.

- Pewnie są.

- No to dlaczego komputery nic nie wykazały?

- Bo toczymy wojnę sieciową. I na razie ją przegrywamy.

## **W drodze do Los Angeles**

**Piątek, 8 października Godz. 15.27**

Jak wyjaśnił Kenner, Ekologiczny Front Wyzwolenia, ELF, jest zwykle przedstawiany w mediach jako luźno powiązana grupa ekoterrorystów, którzy działają z własnej inicjatywy, w małych

oddziałach i za pomocą stosunkowo prostych środków starają się siać jak największy zamęt. Oskarża się ich o podpalenia, niszczenie samochodów i tak dalej.

Prawda wyglądała zupełnie inaczej. Tylko jednego członka ELF-u udało się dotąd aresztować: był to dwudziestodwuletni doktorant Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Cruz. Przyłapano go na próbie zniszczenia szybu naftowego w kalifornijskim El Segundo. Zaprzeczył wszelkim związkom z ELF-em i uparcie twierdził, że działał sam.

Policję zaniepokoił jednak fakt, że student miał doklejone do głowy protezy, które zmieniały mu kształt czaszki i uwypuklały łuki brwiowe, miał też sztuczne uszy. Charakterystyka była nędzna, ale niepokojąca, ponieważ dowodziła niezłej znajomości algorytmów używanych w rządowych bazach danych do wyszukiwania przestępców.

Programy te konstruowano w taki sposób, aby pomijały owłosienie głowy - czyli brody, wąsy i peruki, ponieważ te elementy najłatwiej zmienić. Umiały również symulować zmiany spowodowane starzeniem się twarzy: łysienie, obwisłość skóry, bruzdy i zmarszczki.

Ale uszy, podobnie jak kształt czoła, nie zmieniają się z wiekiem. Dlatego programy identyfikujące opierają się w znacznym stopniu na rozpoznawaniu tych właśnie dwóch aspektów fizjonomii. Ich zmiana uniemożliwia wyłapanie podejrzanego przez komputer.

Mężczyzna z Santa Cruz o tym wiedział. Zdawał sobie sprawę, że zbliżywszy się do szybu, znajdzie się w obiektywach kamer. I zmienił swoją powierzchowność w taki sposób, żeby utrudnić komputerową identyfikację.

Trzej ekstremiści ze Stacji Weddella również dysponowali niezłym wyposażeniem. Taki akt terroryzmu wymagał miesięcy przygotowań, okazałych funduszy i solidnego wsparcia; trzeba było załatwić referencje akademickie, oficjalne stemple na skrzyniach, założyć firmy-krzaki, które później dokonały wysyłki sprzętu na Antarktydę, stworzyć fałszywe strony internetowe i dopracować dziesiątki innych szczegółów. Ani w samym planie, ani w jego realizacji niczego nie pozostawiono przypadkowi.

- I udałoby im się - zauważył Kenner - gdyby nie spis miejsc, które George Morton zdobył na krótko przed śmiercią.

Wszystko to sugerowało, że jeśli nawet ELF był kiedyś luźną, amatorską ekipą, to z pewnością przestał nią być i zmienił się w doskonale zorganizowaną siatkę. Jej członkowie używali tylu różnych środków i metod komunikacji - e-maili, telefonów komórkowych, radia - że siatka jako całość uniknęła wykrycia. Światowe rządy od dawna łamały sobie głowę nad tym, jak prowadzić takie „wojny sieciowe”.

- Przez długi czas idea wojny sieciowej była konceptem czysto teoretycznym - ciągnął Kenner. - RAND publikował wprawdzie analizy, ale nikt w wojsku się nimi nie interesował. Wyobrażenie terrorystów tworzących taką siatkę było za mało konkretne.

Właśnie ta „niekonkretność” sieci, zdolność do błyskawicznej ewolucji, w największym stopniu

utrudniała walkę z nią. Nie sposób było jej zinfiltrować. Nie dało się jej podsłuchać, chyba że przez przypadek. Nie można było wskazać jej siedziby, ponieważ taka siedziba nie istniała. Sieć była zupełnie nowym rodzajem przeciwnika, który wymagał stosowania zupełnie nowych sposobów walki.

- Wojskowi nie potrafili tego pojąć. Ale teraz, czy nam się to podoba, czy nie, toczymy wojnę sieciową.

- Jak to się robi? - zapytał Evans.

- Trzeba sieci przeciwstawić własną sieć. Stworzyć więcej stanowisk nasłuchowych. Prowadzić deszyfrację przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Stosować sieciowe pułapki i techniki dywersji.

- To znaczy?

- Nie będę wchodził w szczegóły techniczne - odparł wymijająco Kenner. - Ale Japończycy bardzo nam pomagają. Przodują w tej dziedzinie. My naturalnie wysuwamy macki coraz dalej, we wszystkich kierunkach. Sądząc z tego, czego się dowiedzieliśmy w Stacji Weddella, czeka nas sporo pracy.

Kenner zarządził przeszukanie baz danych, mobilizację służb stanowych, dochodzenie w sprawie fałszywych referencji naukowych terrorystów, zakupu szyfrujących nadajników radiowych, ładunków wybuchowych i skomputeryzowanych detonatorów. Nie był to byle jaki sprzęt i z pewnością dałoby się ustalić jego źródło, ale wymagało to czasu.

- A mamy czas? - zapytał Evans.

- Nie jestem pewien.

Evans widział, że Kenner czymś się martwi.

- Co mam zrobić? - spytał.

- Jedną prostą rzecz.

- To znaczy? Kenner się uśmiechnął.

**ANIOL**

**Los Angeles**

**Sobota, 9 października Godz. 7.04**

Peter Evans wyraźnie się niepokoił.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Tak - zapewnił go Kenner.

- Ale nielegalne.

- Wcale nie.

- Tylko dlatego że jesteś funkcjonariuszem służb bezpieczeństwa?

- Tak. O nic się nie martw.

Podchodzili do lądowania na lotnisku Van Nuysa. Kalifornijskie słońce zaglądało przez okna samolotu. Sanjong pochylał się nad stołem, na którym leżał telefon komórkowy Evansa ze zdjętą tylną pokrywą, i przyklejał do baterii cienką szarą płytkę wielkości paznokcia.

- Co to właściwie jest? - zaciekawił się Evans.

- Pamięć typu flash - wyjaśnił Sanjong. - Pomieści cztery godziny nagrania. Po kompresji.

- No dobrze, ale co ja właściwie mam zrobić?

- Miej telefon przy sobie i zajmuj się swoimi sprawami.

- A jeśli wpadnę?

- Nie wpadniesz - uspokajał go Kenner. - Możesz go wziąć, gdzie chcesz. Żadne zabezpieczenia go nie wychwycają.

- A urządzenia do wykrywania podsłuchu?

- Też nie, bo telefon nie będzie niczego nadawał. Ma wbudowany nadajnik pakietowy, który włącza się co godzina na dwie sekundy. Czyli

wysyła sygnał tylko przez dwie sekundy co godziną, a poza tym milczy. - Kenner westchnął. - Zrozum, Peter, to zwykła komórka. Przecież każdy ma komórkę.

- No nie wiem... Jakoś nie jestem przekonany. Nie widzę się w roli wabika.

Sarah przeszła na tył samolotu. Ziewnęła szeroko.

- O co chodzi z tym wabikiem?

- O to, jak się czuję.

- Ale nie to jest najważniejsze - odparł Kenner. - Sanjong? Sanjong podał Evansowi wydruk z komputera: była to lista znaleziona u Mortona, ale uzupełniona nowymi informacjami:

662262 3982293 24FXE 62262 82293 TERROR 882320 4898432 12FXE 82232 54393  
SNAKE 774548 9080799 02FXE 67533 43433 LAUGHTER 482320 5898432 22FXE 72232 04393  
SCORPION

Mt. Terror, Antarktyda Snake Butte, Arizona Laughter Cay, Wyspy Bahama Resolution, Wyspy Salomona

ALT

662262 3982293 24FXE 62262 82293 TERROR 382320 4898432 12FXE 82232 54393  
SEVER 244548 9080799 02FXE 67533 43433 CONCH

Mt. Terror, Antarktyda Sever City, Arizona Conch Cay, Wyspy Bahama

482320 5898432 22FXE 72232 04393 SCORPION Resolution, Wyspy Salomona

ALT

662262 3982293 24FXE 62262 82293 TERROR 382320 4898432 12FXE 82232 54393  
BUZZARD 444548 7080799 02FXE 67533 43433 OLDMAN 482320 5898432 22FXE 72232 04393  
SCORPION

Mt. Terror, Antarktyda Buzzard Gulch, Utah Old Man Island, Turks i Caicos Resolution, Wyspy Salomona

ALT

662262 3982293 24FXE 62262 82293 TERROR 382320 4898432 12FXE 82232 54393 BL.  
MESA 344548 9080799 02FXE 67533 43433 SNARL Zachodnie

482320 5898432 22FXE 72232 04393 SCORPION

Mt. Terror, Antarktyda Black Mesa, Nowy Meksyk Snarl Cay, Brytyjskie Indie

Resolution, Wyspy Salomona

- Jak widzicie, Sanjong zidentyfikował wszystkie miejsca z listy. O pierwszym wydarzeniu już wiemy. Drugie będzie miało miejsce w Stanach, gdzieś na pustyni: w Utah, Arizonie albo Nowym Meksyku. Trzecie na Karaibach na wschód od Kuby. A czwarte na Wyspach Salomona.

- I co z tego?

- W tej chwili martwi nas druga z zaplanowanych akcji. W tych trzech stanach jest łącznie sto trzydzieści tysięcy kilometrów kwadratowych pustyni. Bez dodatkowych informacji nigdy nie znajdziemy tych ludzi.

- Mamy przecież namiary z GPS-ów.

- Które z pewnością zostaną zmienione po tym, jak pokrzyżowaliśmy im plany na Antarktydzie.

- Naprawdę myślisz, że już zmienili plany?

- Oczywiście. Ich siatka zorientowała się, że coś jest nie w porządku, gdy tylko zjawiliśmy się w Stacji Weddella. To dlatego pierwszy z tamtej trójki, prawdopodobnie ich szef, od razu się ulotnił. Dwaj pozostali byli zwykłymi szeregowcami.

- Więc chcesz, żebym spotkał się z Drakiem.

- Tak. I dowiedział się jak najwięcej.

- Nie cierpię czegoś takiego.

- Wiem. Ale jesteś nam potrzebny.

Evans spojrzał na rozespaną Sarah. Drażniło go, że tuż po przebudzeniu jest doskonała jak zawsze, bez żadnych zmarszczek i śladów snu.

- Jak się czujesz?

- Chemie umyłabym zęby. Za ile lądujemy?

- Za dziesięć minut.

Poszła do toalety w ogonie samolotu.

Evans wyrzął przez okno. Słońce go oślepiło. Był niewyspany, bolała go szyta rana głowy, całe ciało miał zmaltretowane długim siedzeniem w tej przeklętej szczelinie. Nie mógł nawet oprzeć się na podłokietniku.

Westchnął ciężko.

- Peter, ci ludzie próbowali cię zabić - przypomniał mu Kenner. - Na twoim miejscu nie zawracałbym sobie głowy drobiazgami, tylko starał się odegrać.

- Pewnie masz rację, ale ja jestem prawnikiem.

- Niewiele brakowało, żebyś był martwym prawnikiem.

Peter Evans nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że to nie dzieje się naprawdę. Włączył się do

ruchu na autostradzie do San Diego - dwanaście pasów ruchu zajmowało pas betonu szerokości boiska piłkarskiego. Sześćdziesiąt pięć procent powierzchni Los Angeles oddano we władanie samochodom i ludzie musieli gnieździć się na pozostałej jednej trzeciej terenu. Był to projekt niehumaniczny i absurdalny z ekologicznego punktu widzenia. Wszędzie było daleko, nigdzie nie dało się dojść na piechotę, a zanieczyszczenie powietrza osiągało niewiarygodny poziom.

Tymczasem tacy ludzie jak Kenner nieustannie krytykowali działalność organizacji ekologicznych, a przecież gdyby nie ich wysiłki, w takich miastach jak Los Angeles w ogóle nie dałoby się żyć.

Postawmy sprawę jasno, pomyślał. Ten świat potrzebuje pomocy, a świadomość ekologiczna może mu tylko wyjść na zdrowie. I żadna manipulacja faktami tego nie zmieni.

Jego myśli podążały tym torem jeszcze przed dobre dziesięć minut, aż do Mulholland i zjazdu do Beverly Hills. Spojrzał na siedzenie pasażera, gdzie leżał zmodyfikowany telefon. Uznał, że najlepiej będzie zabrać go od razu i pojechać do Drake'a. Żeby jak najszybciej mieć to za sobą.

Zadzwoił do niego i dowiedział się, że Drake jest u dentysty, ale po południu - chociaż sekretarka nie wiedziała dokładnie kiedy - powinien wrócić.

Evans postanowił pojechać do domu i wziąć prysznic.

Zaparkował i przeszedł przez ogródek do drzwi. Słońce przeświecało między budynkami. Róże pięknie kwitły i urok dnia mącił tylko unoszący się w powietrzu zapach dymu. Czyżby ktoś nie dopalił cygara i niedopałek...

- Pssst! Evans!

Zatrzymał się i rozejrzał. Nic nie zobaczył. Za to znów usłyszał teatralny szept:

- Spójrz w prawo. Zerwij różę, do cholery!

- Co?

- Cicho bądź, durniu. I przestań się tak rozglądać. Podejdź bliżej i zerwij różę!

Evans ruszył w kierunku, z którego dobiegał głos. Zapach dymu się nasilił. Wśród gęstych krzewów dostrzegł kamienną ławeczkę, na którą nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi. Była obrosnięta porostami, a siedział na niej przygarbiony mężczyzna w sportowej marynarce. Palił cygaro.

- Kim pan...

- Nic nie mów - nieznajomy uciszył Evansa szeptem. - Ile razy mam ci powtarzać, żebyś był cicho? Udawaj, że wąchasz różę. Będiesz mógł chwilę spokojnie postać. A teraz słuchaj: jestem prywatnym detektywem. Wynajął mnie George Morton.



Evans zaciągnął się zapachem róży. A właściwie głównie zaciągnął się dymem.

- Mam dla ciebie coś ważnego. Za dwie godziny przyniosę ci to do mieszkania, ale najpierw musisz wyjść, żeby za tobą poszli. Zostaw drzwi otwarte.

Evans obracał kwiata w palcach, udając, że go podziwia. W rzeczywistości obserwował mężczyznę na ławce. Skądś go znał. Tylko skąd?

- Tak, wiem. - Intruz jakby czytał mu w myślach. Odgiął klapę marynarki i błysnął odznaką. - AV Network Systems. Spotkaliśmy się w biurówcu NERF-u. Przypominasz sobie? Nie kiwaj głową, na Boga! Idź na górę, przebierz się i wyjdź. Idź sobie na siłownię czy gdzie indziej. Możesz robić, co chcesz. Ci frajerzy... - skinieniem głowy wskazał na ulicę - czekają na ciebie. Nie zawieź ich. Idź już.

Mieszkanie było posprzątane. Lisa spisała się na medal: pocięte poduszki zostały odwrócone na drugą stronę, a książki znów stały na regale - wprawdzie w innym porządku, ale tym mógł się zająć później.

Wyjrzał przez okno w salonie, ale zobaczył tylko zieloną plamę Roxbury. Był środek dnia, w parku bawiły się dzieci, opiekunki plotkowały. Nie było nikogo, kto mógłby go śledzić.

Wszystko wyglądało zupełnie zwyczajnie.

Odwrócił się i zaczął rozbierać. Wziął prysznic; gorąca woda boleśnie chłostała mu ciało. Spojrzał na swoje palce u nóg, nienaturalnie ciemno-fioletowe. Poruszył nimi. Stracił w nich częściowo czucie, ale poza tym chyba wszystko było w porządku.

Wytarł się i odsłuchał wiadomości z automatycznej sekretarki. Janis pytała, czy będzie miał wolny wieczór. Potem nagrała się jeszcze raz, bardziej zdenerwowana: jej chłopak niespodziewanie wrócił i była zajęta (co znaczyło, że nie powinien do niej oddzwaniać). Szukała go też Lisa, sekretarka Herba Lowensteina. Lowenstein chciał z nim usiąść nad jakimiś ważnymi dokumentami. Była też wiadomość od Margo Lane, która dopytywała się ze szpitala, dlaczego jeszcze do niej nie oddzwonił, no i telefon od klienta, 딜era BMW, który pytał, kiedy Evans wpadnie do salonu.

I z dziesięć telefonów, po których nikt się nie nagrał. Znacznie więcej niż zwykle. Przeszedł go dreszcz.

Ubrał się szybko, włożył garnitur, zawiązał krawat. Wrócił do salonu i, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, włączył telewizor - w samą porę, bo właśnie nadawano południowe wiadomości lokalne. Zamierzał już wyjść, kiedy usłyszał:

- ...dwa nowe fakty, które podkreślają niebezpieczeństwa związane z globalnym ociepleniem. Wyniki przeprowadzonych w Anglii badań wskazują, że ocieplenie naszej planety wpływa na czas jej obrotu wokół osi. Dni stają się coraz krótsze.

Evans zatrzymał się i spojrzał na ekran. Zobaczył dwoje spikerów, mężczyznę i kobietę. Mężczyzna mówił właśnie o wynikach pomiarów, z których wynikało, że zanosi się na stopnienie

całej grenlandzkiej czapy lodowej. Oznaczałoby to podniesienie się poziomu mórz o sześć metrów.

- A zatem żegnaj, Malibu! - dodał, tryskając dobrym humorem. - Oczywiście trochę to jeszcze potrwa, ale jeśli nie zmienimy naszych nawyków, taka właśnie przyszłość nas czeka.

Evans ruszył ku drzwiom. Ciekawe, pomyślał, co na to Kenner? Przyspieszenie obrotów Ziemi? Pokręcił głową. To się nie mieści w głowie. A stopnienie grenlandzkiego lądolodu? Kenner na pewno straci pewność siebie.

Albo i nie. Może po prostu wszystkiemu zaprzeczy. Jak zwykle.

Otworzył drzwi, odblokował zamek, żeby się nie zatrzasnęły, i zamknął je na klamkę.

Pojechał do kancelarii.

## **Century City**

**Sobota, 9 października Godz. 9.08**

Na korytarzu wpadł na Lowensteina, który właśnie szedł do sali konferencyjnej.

- Rany boskie, gdzieś ty się podziewał, Peter? Wszyscy cię szukali.

- Wykonywałem poufną robotę na zlecenie jednego z klientów.

- Następnym razem przynajmniej powiedz tej swojej cholernej sekretarce, jak cię złapać. Fatalnie wyglądasz. Biłeś się z kimś? Co tu masz nad uchem... Jezu, to szwy?

- Przewróciłem się.

- No jasne... Co to za klient?

- Nick Drake.

- Zabawne... Słowem mi o tym nie wspomniał.

- Nie?

- Nie. Przed chwilą wyszedł. Przesiedziałem z nim pół dnia. Jest niepokieszony, że NERF straci te dziesięć milionów od George'a Mortona. Szczególnie nie podoba mu się ta klauzula.

- Wiem o tym.

- Pyta, skąd się wzięła.

- To też wiem.
- Więc skąd?
- George prosił mnie, żebym tego nie ujawniał.
- George nie żyje.
- Oficjalnie tego nie potwierdzono.
- Nie chrzań, Peter. Skąd się wziął ten zapis w umowie? Evans pokręcił głową.
- Przykro mi, Herb. Klient wydał mi szczegółowe instrukcje.
- Pracujemy w jednej firmie. George był także moim klientem.
- Mam to na piśmie.
- Na piśmie? Gówno prawda. George nigdy nie zapisywał takich rzeczy.
- Mam jego odręczną notatkę.
- Nick chce obejść umowę.
- Nie wątpię.
- Obiecałem mu, że to załatwimy.
- A niby jak mielibyśmy to zrobić?
- Morton zwariował.
- Czyja wiem... Chcesz zabrać dziesięć milionów z jego majątku. Jeżeli ktoś szepnie słówko jego córce...
- To ćpunka.
- ...która przeżera forszę jak małpa banany, jeśli ktoś da jej cynk, kancelaria wtopi dziesięć milionów i zostanie oskarżona o spisek i defraudację. Rozmawiałeś już o tym pomysłe z innymi współnikami?
- Celowo stwarzasz trudności.
- Nie stwarzam, jestem po prostu ostrożny. Może powinienem wyrazić swoje wątpliwości w e-mailu do ciebie?
- W ten sposób nie awansujesz, Peter.

- Na mój gust działałam w interesie firmy. Naprawdę nie wiem, jak mielibyśmy uchylić umowę, nie uzyskawszy przynajmniej opinii niezależnego prawnika. Spoza kancelarii.

- Nikt z zewnątrz się nie zgodzi - Lowenstein spojrzał z niechęcią na Evansa. - Drake na pewno będzie chciał o tym z tobą pomówić.

- Z przyjemnością.

- Powiem mu, że zadzwonisz.

- Dobrze.

Lowenstein poszedł w swoją stronę, ale jeszcze się odwrócił.

- O co chodziło z tą policją i twoim mieszkaniem?

- Miałem włamanie.

- Czego szukali? Narkotyków?

- Nie.

- Moja sekretarka musiała wyjść z pracy, żeby ci pomóc załatwić tę sprawę.

- To prawda. Dobrze znamy się z Lisą, wyświadczyła mi przysługę. Ale jeśli mnie pamięć nie myli, zrobiła to po godzinach. Lowenstein prychnął i poszedł sobie.

Evans zanotował w pamięci, żeby zadzwonić do Drake'a i raz na zawsze zamknąć tę sprawę.

## **Los Angeles**

**Sobota, 9 października Godz. 11.04**

Żar lał się z nieba. Kenner zaparkował samochód w centrum i wyszli z Sarah na ulicę. Rozpalone powietrze drżało nad chodnikiem. Większość szyldów była wypisana po hiszpańsku, nieliczne angielskie były do siebie podobne: Spieniężamy czekci albo Pożyczki. Rzęzące głośniki ryczały latynoską muzyką.

- Gotowa?

Sarah poprawiła sportową torbę na ramieniu. Z obu stron torba była wykończona siatką, skrywającą teraz obiektyw kamery.

- Tak. Gotowa.

Podeszli do dużego sklepu na rogu. Szyld głosił: Demobil u Bradera.

- Co my tu robimy? - zdziwiła się Sarah.

- ELF zakupił dużą partię rakiet.

- Jakich rakiet?

- Zwyczajnych. To starsza wersja pocisków Hotfire, stosowana w latach osiemdziesiątych przez wojska Układu Warszawskiego. Są małe i lekkie. Pół metra długości, wystrzeliwane z ręcznych wyrzutni, kierowane przewodowo, silnik na paliwo stałe, zasięg około kilometra.

Sarah nie bardzo rozumiała, do czego Kenner zmierza.

- To broń, tak?

- Tak, ale nie sądzę, żeby dlatego je kupili.

- Ile ich mają?

- Pięćset. Plus wyrzutnie.

- O rany...

- Powiedzmy, że ludzie z ELF-u raczej nie są hobbystami.

Szyld nad drzwiami, wymalowany obłazącą już zieloną i żółtą farbą, zapowiadał: Sprzęt Turystyczny Paintball Spadochrony Kurtki Kompaszy Śpiwory I Dużo Więcej!

Kiedy weszli, przy drzwiach zadźwięczał dzwoneczek.

Sklep był duży i zagracony. Sprzęt z demobilu stał na stojakach i piętrzył się w niechlujnych stertach na podłodze. W powietrzu unosiła się woń pleśni jak ze starego płótna. O tej porze nie było tłumu klientów.

Kenner podszedł od razu do młodego chłopaka przy kasie, błysnął odznaką w portfelu i zapytał o pana Bradera.

- Na zapleczu.

Kasjer uśmiechnął się do Sarah. Kiedy Kenner zniknął w głębi sklepu, ona została przy drzwiach.

- Potrzebuję pomocy - zaczęła.

- Co mógłbym dla ciebie zrobić? - chłopak się uśmiechnął. Wyglądał na dziewiętnastoletniego, może dwadzieścia lat, miał krótką, wojskową fryzurę i czarną koszulkę z napisem Kruk. Sądząc po

umięśnionych ramionach, musiał ćwiczyć w siłowni.

- Szukam pewnego faceta. - Sarah podała mu kartkę.

- Wydawałoby się, że to faceci powinni się za tobą rozglądać. Wziął do ręki kartkę. Było na niej zdjęcie mężczyzny, którego Sarah i Kenner znali jako Brewstera i który założył obozowisko na Antarktydzie.

- No jasne - stwierdził bez namysłu. - Znam go. Czasem tu przychodzi.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem, ale jest teraz w sklepie.

- Teraz?

Sarah podniosła wzrok. Kenner szeptał z właścicielem. Nie chciała go wołać ani w żaden sposób zwracać na siebie uwagi. Kasjer wstał i stanął na palcach.

- Gdzieś tu jest. No, na pewno był. Przed chwilą. Przyszedł po zapalniki.

- A gdzie macie wystawione zapalniki?

- Pokażę ci.

Chłopak wyszedł zza lady i ruszył przodem, prowadząc Sarah wśród stosów zielonych ubrań i skrzyń, piętrzących się na wysokość ponad dwóch metrów. Nic zza nich nie widziała. Straciła Kennera z oczu.

Chłopak obejrzał się przez ramię.

- Jesteś detektywem?

- W pewnym sensie.

- Umówisz się ze mną?

Nadal szli w głąb sklepu, gdy od drzwi doleciał dźwięk dzwonka. Sarah się odwróciła. Ponad górą kamizelek kuloodpornych mignęły jej ciemne włosy i biała koszula z czerwonym kołnierzykiem. Drzwi się zamknęły.

- Właśnie wychodzi...

Sarah bez namysłu rzuciła się biegiem w stronę drzwi. Torba obijała jej się o biodro. Przeskoczyła nad zrzuconymi na stos manierkami. - Hej! - zawołał kasjer. - Wrócisz jeszcze? Wypadła przez drzwi.

Na ulicy słońce oślepiało, a po chodnikach przewalał się tłum. Rozejrzała się, ale biała koszula z czerwonym kołnierzykiem zniknęła bez śladu. Brewster nie zdążyłby przecież przejść przez ulicę.

Wyjrzała za róg. Brewster spokojnym krokiem oddalał się od skrzyżowania, idąc w kierunku Piątej ulicy. Ruszyła za nim.

Wyglądał na trzydzieści pięć lat, był ubrany w tanie niby-golfowe ciuchy: wymięte spodnie, przybrudzone buty, ciemne okulary. Nosił mały wąsik. Sprawiał wrażenie człowieka, który sporo czasu spędza na powietrzu, ale niejako inżynier budowlany - raczej już w roli inspektora nadzoru lub kogoś w tym rodzaju.

Sarah usiłowała zapamiętać jak najwięcej szczegółów jego wyglądu. Przyspieszyła, stwierdziła jednak, że to nie najlepszy pomysł, zwolniła. Brewster zatrzymał się przed jedną z witryn sklepowych, przez chwilę wpatrywał się w nią uważnie, po czym ruszył dalej.

Stała przed tą samą wystawą. Był to sklep gospodarczy, który w witrynie wystawił tanią zastawę. Czyżby Brewster domyślił się, że jest śledzony?

Śledzenie terrorysty na zatłoczonej ulicy w środku miasta zakrawało na filmowy kicz, ale napawało ją znacznie większym strachem, niż się spodziewała. Miała wrażenie, że sklep z demobilem został daleko, daleko za jej plecami; nie wiedziała, gdzie jest Kenner, i bardzo go potrzebowała; w dodatku rzucała się w oczy - na chodnikach przeważali Latynosi, więc nie dość, że była blondynką, to jeszcze przerastała większość przechodniów o pół głowy.

Zeszła z krawężnika i ruszyła dalej skrajem jezdni, żeby nie wystawać ponad tłum. Skurczyła się w ten sposób o piętnaście centymetrów, ale nie przestała być blondynką. Tyle że na to nic już nie mogła poradzić.

Trzymała się dwadzieścia metrów za Brewsterem; bała się zwiększyć odległość.

Przeszedł na drugą stronę Piątej i szedł dalej prosto. W połowie drogi do następnej przecznicy skręcił w lewo w wąski zaułek. Sarah zatrzymała się u jego wylotu. W uliczce w równych odstępach ustawiono torby z odpadkami; zalaatywało zgnilizną. Przeciwny wylot zaułka blokowała ciężarówka dostawcza.

Brewstera nie było nigdzie widać. Przepadł jak kamień w wodę.

Musiał wejść w któreś z drzwi - na uliczkę prowadziły tylne wyjścia ze stojących po bokach domów, znajdujące się w pięciometrowych odstępach i najczęściej umieszczone we wnękach w ceglany murze.

Przygryzła wargę. Niepokoiło ją to, że go nie widzi. Ale po drugiej stronie widziała kręcących się przy ciężarówce dostawców...

Weszła w zaułek.

Zaglądała w każde mijane drzwi; niektóre były tylko zamknięte, niektóre zabite naглуcho. Na

kilku znalazła pordzewiałe tabliczki z nazwami firm i napisami Wejście od ulicy lub Proszę dzwonić.

Brewstera ani śladu.

Znalazła się w połowie zaułka, kiedy coś kazało jej się odwrócić. Brewster wynurzył się z jednego z wyjść i zaczął od niej oddalać, kierując się z powrotem w stronę ulicy, którą przyszli.

Rzuciła się za nim biegiem.

Mijając otwarte drzwi, zauważyła stojącą w nich starszą kobietę. Tabliczka głosiła: Munro. Jedwabie i materiały.

- Kto to był? - krzyknęła w przelocie. Kobieta wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

- Pomylił drzwi. Tu się wszyscy... Mówiła dalej, ale Sarah już jej nie słyszała.

Po chwili skręciła w stronę Czwartej. Brewster miał pół przecznicy przewagi i szedł bardzo szybko. Prawie biegł.

Przeszedł na drugą stronę Czwartej, kiedy tuż przed nim zatrzymała się poobijana niebieska półciężarówka na arizońskich numerach. Brewster wskoczył na siedzenie pasażera i samochód ostro ruszył z miejsca.

Sarah notowała właśnie numer rejestracyjny, kiedy obok zatrzymał się samochód Kennera. Zapiszczały opony.

- Wskakuj.

Wsiadła. Kenner dodał gazi.

- Gdzie byłeś?

- Pobiegnę po samochód. Widziałem, jak wychodzisz. Sfilmowałaś go? Na śmierć zapomniałaś o torbie na ramieniu.

- Chyba tak.

- Świetnie. Właściciel podał mi jego nazwisko.

- Poważnie?

- Tak, chociaż podejrzewa, że to pseudonim. David Poulson. Mam też adres, na który wysyłali mu towar.

- Rakiety?



- Nie. Wyrzutnie.

- Gdzie to jest?

- We Flagstaff, w Arizonie. Doganiali niebieską półciężarówkę.

Przejechali Drugą, minęli redakcję „Los Angeles Timesa”, potem budynek sądu kryminalnego i znaleźli się na autostradzie. Kenner znalazł się na rzeczy: zachowywali spory odstęp od półciężarówki, ale nie tracili jej z oczu.

- To dla ciebie nie pierwszozna, prawda?

- Nie zaprzeczę.

- Co to za kartka, którą wszystkim migasz przed oczami?

Kenner wyjął portfel i podał go Sarah. Srebrna odznaka do złudzenia przypominała odznakę policyjną, tylko napis miała inny: Nsia. Obok znajdowała się legitymacja Krajowej Agencji Wywiadu i Bezpieczeństwa ze zdjęciem Kennera.

- W życiu nie słyszałam o Krajowej Agencji Wywiadu i Bezpieczeństwa.

Kenner pokiwał głową i zabrał portfel.

- Czym się zajmuje?

- Nierzucaniem się w oczy. Evans się odzywał?

- Nie powiesz mi?

- Nie ma o czym mówić. Rządowe agencje nie radzą sobie z krajowym terroryzmem; są albo zbyt surowe, albo nadmiernie pobłażliwe. A w NSIA wszyscy przechodzą specjalistyczne szkolenie. A teraz zadzwoń do Sanjonga i podyktuj mu numery tej półciężarówki. Może uda się ją namierzyć.

- Czyli zajmujecie się terroryzmem krajowym?

- Czasami.

Półciężarówka zjechała na międzystanową autostradę numer 5 i skierowała się na wschód. Minęli kompleks żółtych budynków miejscowego szpitala.

- Dokąd oni jadą? - zapytała Sarah.

- Nie wiem. Ale to droga do Arizony.

Sarah sięgnęła po telefon i wybrała numer Sanjonga.

Sanjong zanotował numer rejestracyjny, a po niespełna pięciu minutach oddzwonił.

- Samochód należy do właścicieli Lazy-Bar Ranch pod Sedoną - powiedział Kennerowi. - To ranczo wypoczynkowe. Nie zgłoszono kradzieży.

- Dobrze. Kto jest właścicielem rancza?

- Holding Great Western Arizona Associates. Mają sieć takich ośrodków w Arizonie i Nowym Meksyku.

- A kto jest właścicielem holdingu?

- Właśnie to sprawdzam, ale potrzebuję trochę czasu. - Sanjong się rozłączył.

Półciężarówka zjechała na prawy pas i włączyła kierunkowskaz.

- Zjeżdża z autostrady - stwierdził Kenner.

Jadąc za półciężarówką, znaleźli się na zaniedbanym terenie przemysłowym. Przy niektórych zakładach tablice oznajmiały Huta szkła albo Produkcja maszyn, ale większość budynków była kanciasta, przysadzista i trudno było odgadnąć ich przeznaczenie. W powietrzu unosiła się leciutka mgiełka.

Po trzech kilometrach niebieski samochód znów skręcił w prawo, tuż za tabliczką z napisem Lrsi corr, rysunkiem samolotu i strzałką.

- Prywatne lotnisko - powiedział Kenner.

- Co to jest LTSI? - spytała Sarah. Pokręcił głową.

- Nie wiem.

Dalej przy drodze rzeczywiście znajdowało się lotnisko, a na nim, z boku, stały małe samoloty ze śmigłami - głównie cessny i pipery. Półciężarówka podjechała do dwusilnikowca.

- Twin otter - Kenner rozpoznał maszynę.

- Czy to ważne?

- Krótka droga startu i lądowania, duży ładunek. To prawdziwy wół roboczy, bardzo uniwersalny. Używany między innymi do gaszenia pożarów.

Brewster wysiadł z wozu, podszedł do kabiny samolotu i chwilę rozmawiał z pilotem. Potem wrócił do samochodu i podjechał do stojącego sto metrów dalej hangaru z blachy falistej. Stały tam już dwa inne samochody. Na ścianie hangaru widniały duże niebieskie litery Ltsi.

Brewster poszedł na tyły budynku. Kierowca również wysiadł.

- Sukinsyn - mruknęła Sarah.

Kierowcą był mężczyzna, który przedstawił im się jako Bolden. Był teraz w dżinsach, bejsbolówce i ciemnych okularach, ale rozpoznali go bez trudu.

- Spokojnie - powiedział Kenner.

Brewster i Bolden weszli do hangaru przez wąskie drzwiczki, które zamknęły się za nimi z metalicznym szczękiem.

- Zostań tu - polecił Kenner.

Wysiadł, szybkim krokiem podszedł do hangaru i zniknął w środku.

Siedziała na fotelu pasażera, dłonią osłaniając oczy przed słońcem, i czekała. Czas włókł się niemiłosiernie. Mrużąc oczy, próbowała odczytać mniejszy, biały napis pod niebieskim Ltsi, ale była za daleko.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby zadzwonić do Sanjonga, ale się zamyśliła. Zastanawiała się, co zrobi, jeżeli Brewster z Boldenem wyjdą, a Kenner zostanie w środku. Musiałaby śledzić ich dalej sama. Nie mogą przecież się wymknąć...

Prześliznęła się na siedzenie kierowcy i położyła dłonie na kierownicy. Spojrzała na zegarek: na pewno minęło już dziewięć, dziesięć minut. Wpatrywała się w hangar, próbując zarejestrować jakiś ruch, ale bez skutku.

Znów zerknęła na zegarek.

Zaczynała się czuć jak tchórz sparaliżowany strachem. Przez całe życie stawiała czoło temu, co ją przerażało: dlatego nauczyła się jeździć na nartach po lodzie, wspinać po skałach (choć była na to trochę za wysoka), nurkować z akwalungiem we wrakach.

A teraz po prostu siedziała w nagrzewającym się samochodzie. Czas uciekał.

Szlag by to trafił, pomyślała. I wysiadła.

Przy drzwiach znajdowały się dwie małe tabliczki. Jedna z nich wyjaśniała skrót Ltsi: lightningtest systems International. Próbne wyładowania elektryczne. Napis na drugiej brzmiał: Nie wchodzić do komory w przerwach między wyładowaniami.

Ciekawe, co to mogło znaczyć.

Ostrożnie uchyliła drzwi i weszła do pustej recepcji. Na zwyczajnym drewnianym biurku stała wypisana odręcznie tabliczka: Proszę dzwonić.

Nie ruszając dzwonka, Sarah otworzyła następne drzwi, opatrzone złowrogim napisem:

Nie wchodzić wyładowania elektryczne wejście tylko dla personelu Znalazła się w rozległym,

pograżonym w półmroku pomieszczeniu, przypominającym halę produkcyjną: rury pod sufitem, podwieszane chodniki, gumowa wykładzina na posadzce. W hali panował mrok, tylko umieszczona w jej środku, wysoka na dwie kondygnacje oszklona komora była jasno oświetlona. Była tak duża jak salon w domu Sarah. W środku Sarah dostrzegła coś, co wyglądało jak silnik odrzutowy zamontowany na kawałku skrzydła samolotu. Z boku, przy ścianach, znajdowały się duże metalowe płyty, a na zewnątrz - pulpit sterowniczy. Przy pulpicie siedział jakiś człowiek, ale Brewstera i Boldena nigdzie nie było widać.

Na monitorze w oszklonym pomieszczeniu migał napis: proszę OPUŚCIĆ KOMORĘ. Rozległ się generowany komputerowo głos:

- Próba rozpocznie się za... trzydzieści sekund.

Sarah usłyszała również narastający świst i głośny warkot pomp. Nic się jednak nie działo. Ostrożnie ruszyła naprzód.

- Pssst!

Rozejrzała się, ale nie wiedziała, skąd pochodzi dźwięk.

- Pssst!

Zadarła głowę. Kenner stał nad nią na podwieszonym chodniku i na migi dawał jej znać, żeby weszła na górę. Wskazał jej schody w kącie sali.

- Próba rozpocznie się za... dwadzieścia sekund.

Sarah weszła po schodach i przykucnęła obok Kennera. Świsł przeszedł w jazgotliwy pisk, a turkot pomp zlał się w jeden ciągły dźwięk. Kenner wskazał silnik w komorze.

- Testują części do samolotów - szepnął.

Wyjaśnił Sarah, że samoloty są często narażone na uderzenie pioruna, toteż wszystkie ich elementy powinny być na nie odporne. Mówił coś jeszcze, ale narastający hałas zagłuszył jego słowa.

Światła w komorze testowej pogasły; tylko osłona silnika jarzyła się delikatną niebieską poświatą. Komputerowy głos odliczał wstecz od dziesięciu.

- Próba rozpocznie się... teraz.

Rozległ się trzask głośny jak wystrzał z karabinu. Błyskawica wyskoczyła ze ściany i trafiła w silnik. Pioruny zaczęły uderzać ze wszystkich stron. Przebiegały po osłonie niczym zygzakowate, rozpalone do białości palce i spływały na podłogę, w stronę szerokiej na jakieś pół metra metalowej kopułki. Niektóre pioruny uderzały zresztą bezpośrednio w kopułkę, nie w silnik.

Z upływem czasu błyskawice stawały się coraz grubsze i jaśniejsze. Z głośnym łoskotem

przeszywały powietrze i zostawiały czarne ślady na metalowej pokrywie silnika. Jeden z piorunów trafił w łopatki turbiny, które bezgłośnie zaczęły wirować.

Sarah zauważyła, że coraz mniej wyładowań trafia w silnik, a coraz więcej bezpośrednio w kopułkę na podłodze. W końcu w komorze zapłonęła siatka wyładowań, które biegły od ścian prosto do kopułki.

Nagle próba dobiegła końca. Świst ucichł, zapaliły się światła. Z silnika unosił się delikatny dymek. Brewster i Bolden stali za plecami pochylonego nad pulpitem technika, który teraz wyprostował się i we trójkę weszli do komory. Przykucnęli pod silnikiem i zaczęli oglądać kopułkę.

- Co to jest? - spytała Sarah szeptem.

Kenner przytknął palec do ust i pokręcił głową. Był wyraźnie zaniepokojony.

Tamci trzej odwrócili tymczasem kopułkę do góry dnem. Sarah przez moment mignęło jej wnętrze, pełne zielonych płytek drukowanych i jakichś błyszczących metalowych przyłączy. Nie mogła się mu jednak lepiej przyjrzeć, bo mężczyźni stłoczeni wokół kopułki zasłaniali jej widok. Potem odwrócili ją z powrotem i wyszli.

Śmiali się i poklepywali po plecach. Najwidoczniej próba przebiegła po ich myśli. Któryś zaproponował, że postawi piwo, odpowiedział mu kolejny wybuch śmiechu, a potem wszyscy trzej wyszli z hali, w której zapadła cisza.

Trzasnęły zewnętrzne drzwi.

Sarah i Kenner czekali.

Zerknęła na Kennera, który przez całą minutę nawet nie drgnął. Nasłuchiwał. W końcu zaproponował:

- Chodź, obejrzymy to ustrojstwo. Zeszli z chodnika.

Na dole nadal nic nie słyszeli. Hangar musiał być pusty. Kenner wskazał komorę testową. Weszli do środka. Jasno oświetlone wnętrze było przesycone ostrą wonią.

- To ozon - wyjaśnił Kenner. - Z wyładowań. Podeszedł do kopułki leżącej na podłodze.

- Co to jest, jak myślisz? - zapytała Sarah.

- Przepuszczam, że przenośny generator ładunku elektrycznego. Jeżeli wygeneruje się odpowiednio duży ładunek ujemny... - Przykucnął, odwrócił kopułkę i urwał w pół słowa. Wnętrze kopułki było puste. Eksperymentatorzy zabrali ze środka całą elektronikę.

Drzwi za ich plecami zatrasnęły się z głośnym klang!

Sarah się odwróciła. Bolden właśnie zamykał drzwi na kłódkę.

- Jasna cholera...

Brewster stał przy pulpicie; kręcił gałkami, przerzucał przełączniki. Włączył interkom.

- Nie lubimy tu intruzów. Wywiesiliśmy stosowne tabliczki, ale chyba ich nie przeczytaliście...

Cofnął się od konsoli i światła w komorze przygasły. Sarah usłyszała narastający świst. Na ekranie pojawił się napis: proszę opuścić komorę, komputerowy głos rozpoczął odliczanie:

- Proszę opuścić komorę. Próba rozpocznie się za... trzydzieści sekund.

Brewster i Bolden wyszli. Nawet nie obejrzel się za siebie.

- Nie cierpię smrodu palonego mięsa - powiedział jeszcze Bolden i drzwi się za nimi zamknęły.

- Próba rozpocznie się za... piętnaście sekund - zapowiedział komputer.

Sarah spojrzała na Kennera.

- Co robimy?

Bolden i Brewster wsiedli do samochodu. Bolden uruchomił silnik, ale Brewster położył mu dłoń na ramieniu.

- Zaczekajmy chwilę.

Patrzyli na drzwi, nad którymi zapaliła się czerwona lampka. Migąła najpierw powoli, potem coraz szybciej.

- Próba się zaczęła - stwierdził Brewster.

- Szkoda ich trochę. Jak myślisz, długo pożyją?

- Jeden strzał, może dwa. Ale po trzecim będą martwi. Albo spalą się żywcem.

- Szkoda, psiakrew.

Bolden wrzucił bieg i ruszył w stronę czekającego samolotu.

**BŁYSK**

**City of Commerce**

## Sobota, 9 października Godz. 12.13

Powietrze w komorze naelektryzowało się jak przed burzą. Sarah patrzyła, jak włoski na rękach stają jej dęba. Ubranie kleiło się jej do ciała.

- Masz pasek? - zapytał Kenner?

- Nie...

- Spinkę do włosów?

- Nie.

- A w ogóle coś metalowego?

- Nie. Nic nie mam!

Kenner rzucił się na szklaną ścianę, ale tylko się od niej odbił. Kopnął w nią; nic. Uderzył barkiem w drzwi, ale kłódka trzymała mocno.

- Próba rozpocznie się za... dziesięć sekund - oznajmił głos z komputera.

- Co robimy?!

- Rozbieraj się.

- Co?!

- Szybko! - Kenner już zdierał z siebie koszulę, nie przejmując się fruującymi na wszystkie strony guzikami. - Pospiesz się, Sarah. Zdejmuj sweter.

Miała na sobie puchatąangorę. Śmieszne... Akurat w takiej chwili przypomniała sobie, że to prezent od jej chłopaka. Jeden z pierwszych.

Ściągnęła go błyskawicznie. Zrzuciła też koszulkę, którą miała pod spodem.

- Spódnica - rzucił Kenner, który został w samych bokserkach i właśnie ściągał buty.

- Dlaczego...

- Ma suwak!

Niezdarnie wyswobodziła się ze spódnicy i została tylko w majtkach i sportowym biustonoszu. Zadygotała. Komputerowy głos kontynuował odliczanie:

- Dziesięć... dziewięć... osiem...

Kenner owinał silnik ubraniami; wykorzystał też spódnicę Sarah. Na wierzchu położył sweter z angory.

- Co ty robisz?

- Połóż się na ziemi, rozplaszcz jak tylko możesz i nawet nie drgnij. Wyciągnęła się na zimnym betonie. Serce waliło jej jak młotem. Powietrze prawie skwierczało. Dreszcz przeszedł jej po plecach.

- Trzy... dwa... jeden...

Kenner rzucił się obok niej na ziemię. Strzelił pierwszy piorun. Sarah była zszokowana jego gwałtownością; poczuła wyraźny podmuch powietrza. Włosy stanęły jej dęba, odsłaniając kark. Nastąpiły kolejne wyładowania. Huk był przeraźliwy, a błękitne światło tak jaskrawe, że widziała je nawet przez zaciśnięte z całej siły powieki. Przyłgnęła do podłogi, wypuściła powietrze z płuc. Czas się pomodlić, pomyślała.

Nagle w komorze pojawiło się inne światło, żółte i migoczące. Rozszedł się gryzący zapach.

Ogień.

Na ramię spadł jej płonący kawałek swetra. Poczuła potworny ból.

- Ogień...

- Nie ruszaj się! - warknął Kenner.

Błyskawice przeskakiwały coraz szybciej, trzask nie ustawał ani na chwilę. Sarah kątem oka widziała, że ubrania na silniku płoną, a pomieszczenie szybko wypełnia się dymem.

Zaraz zapałami się włosy, pomyślała, i nagle zrobiło się jej gorąco na karku, na całej głowie...

Trysnęła woda. Wyładowania się skończyły. Tryskacze pracowały z sykiem. Ogień zgasł, a Sarah zaczęła marznąć na mokrym betonie.

- Mogę już wstać?

- Tak. Teraz już tak.

Jeszcze kilkakrotnie próbował rozbić szklaną ścianę, ale bez powodzenia. W końcu zrezygnował. Woda pozlepiła mu włosy.

- Nie rozumiem - powiedział, wpatrując się tępo w drzwi. - Taka komora musi mieć wbudowane jakieś wyjście bezpieczeństwa.

- Przecież widziałeś, że zamknęli drzwi.



- Tak. Od zewnątrz na kłódkę. Kłódka jest po to, żeby nikt nie wszedł do środka, kiedy laboratorium jest zamknięte. Ale musi być jakiś sposób, żeby się z niego wydostać.

- Ja nic nie widzę.

Sarah się trzęsła, poparzony bark bolał jak diabli, bieliznę miała przemoczoną. Nie była purytanką, ale kostniała z zimna, a Kenner gadał i gadał...

- Musi być jakiś sposób - powtórzył, rozglądając się wokół.

- Nie da się rozbić szyb...

- Nie, nie da się - przyznał, ale chyba wpadł na jakiś pomysł, bo zaczął bacznie przyglądać się spoinie łączącej szkło z ramą. Przesunął po niej palcem.

Sarah trzęsła się i obserwowała, co robi. Tryskacze cały czas pracowały i oboje stali już po kostki w wodzie. Nie rozumiała, jak Kenner potrafi tak się skoncentrować, tak...

- A niech mnie! - mruknął.

Namacał małą zapadkę, idealnie wtopioną w spoinę. Znalazł następną, bliżej drugiego boku szyby, przestawił ją i pchnął szybę. Okno obróciło się wokół biegnącej przez jego środek poziomej osi.

Kenner wyszedł przez nie do hali.

- Bardzo proszę - powiedział, podając Sarah rękę. - Włóżysz coś suchego?

Chwyciła go za rękę.

- Z przyjemnością.

Tych kilka chwil w łazience w LTSI nie było przeżyciem, o którym warto by napisać w liście do rodziców; oni tymczasem osuszyli się w niej papierowymi ręcznikami i znaleźli suche kombinezony. Sarah od razu poczuła się lepiej. W lustrze zobaczyła, że z lewej strony włosy ma o pięć centymetrów krótsze, a ich końcówki są poczerńiałe i wystrzępione.

- Mogło być gorzej - mruknęła. - Przez jakiś czas będę się czesać w kucyk.

Kenner opatrzył jej bark. Było to - jak twierdził - zwykłe oparzenie pierwszego stopnia. Skończyło się na bąblach. Obłożył bark lodem, tłumacząc, że to oparzenie nie jest typowym obrażeniem o charakterze termicznym, lecz reakcją zakończeń nerwowych. A ponieważ lód przytępiła wrażliwość

nerwów w skórze, zmniejsza również skutki oparzenia. Gdyby więc groziło to powstaniem pęcherzy, przyłożenie lodu mogło temu zapobiec.

Nie słuchała go. A że nie mogła obejrzeć oparzeń, więc musiała mu wierzyć na słowo. Najgorsze, że bark zaczynał ją naprawdę boleć.

Kenner wyjął z apteczki aspirynę.

- Aspiryna?

- Lepsze to niż nic. - Podał jej dwie tabletki. - Mało kto zdaje sobie z tego sprawę, ale aspiryna naprawdę czyni cuda. Jest silniejszym środkiem przeciwbólowym od morfiny, działa przeciwzapalnie, przeciwgorączkowo...

- Nie teraz. Proszę.

Nie wytrzymałaby kolejnego wykładu.

Kenner umilkł i obandażował jej bark. Najwyraźniej i w tej dziedzinie był specjalistą.

- Jest coś, na czym się nie znasz? Co ci słabo wychodzi? - zapytała.

- Oczywiście.

- Co? Tańiec?

- Nie, tańczę nieźle. Ale nie mam drygu do nauki języków.

- No to mi ulżyło.

Sarah miała talent językowy. Spędziła rok we Włoszech, mówiła więc nieźle po włosku i francusku. Poza tym kiedyś uczyła się chińskiego.

- A ty? - zapytał Kenner. - Jaki jest twój słaby punkt?

- Związki - odparła, zgarniając w dłoń przypalone włosy.

## **Beverly Hills**

### **Sobota, 9 października Godz. 11.12**

Wchodząc po schodach do mieszkania, Evans usłyszał ryk telewizora. Odbiornik był chyba nastawiony głośniej niż poprzednio. Sądząc po śmiechu i oklaskach, nadawano jakiś program na żywo z udziałem publiczności.

Otworzył drzwi i wszedł do salonu. Prywatny detektyw, który wcześniej czekał na niego na ławce, siedział na kanapie, tyłem do drzwi, i oglądał telewizję. Zdjętą marynarkę przerzucił przez oparcie krzesła. Jedną rękę trzymał na oparciu kanapy i niecierpliwie bębnił w nie palcami.

- Widzę, że się pan rozgościł - stwierdził Evans. - Nie za głośno nastawił pan telewizor? Może ściszymy?

Detektyw się nie odezwał. Nie odrywał wzroku od ekranu.

- Słyszał pan, co powiedziałem? Proszę przyciszyć telewizor. Detektyw ani drgnął. Tylko jego palce poruszały się niespokojnie. Evans obszedł kanapę dookoła.

- Nie wiem, jak się pan nazywa, ale...

Intruz nie reagował. Wpatrywał się w telewizor. Sztwywny. Oczy nieruchome. Nawet nie mrugał. Za to palcami przebierał coraz gwałtowniej, coraz szybciej. Jak w drgawkach.

Evans stanął przed nim.

- Dobrze się pan czuje?

Twarz mężczyzny niczego nie wyrażała. Patrzył prosto przed siebie, jakby przewiercał Evansa wzrokiem.

- Proszę pana?

Oddychał płytko, jego pierś ledwie się unosiła. Poszarzał na twarzy.

- Może się pan poruszyć? Co się panu stało? Żadnej reakcji.

Tak samo było z Margo, przypominał sobie Evans: paraliż, tępy wzrok. Zadzwoił po karetkę.

- Pomoc jest w drodze - powiedział.

Detektyw wciąż nie reagował, ale Evans miał dziwną pewność, że słyszy go, jest w pełni świadomy i wie, co się z nim dzieje.

Rozejrzał się po pokoju, co tu się wydarzyło? Ale w mieszkaniu nie było żadnych śladów - no, może ktoś przestawił jedno z krzeseł. Śmierzące cygaro zarzyło się w kącie na podłodze, pewnie wypadło detektywowi z ręki i się tam poturlało. Przypaliło krawędź dywanu.

Evans podniósł je, zaniósł do kuchni i zgasił w strumieniu wody nad zlewem. Wyrzucił je do kosza. Coś mu się przypomniało.

Wrócił do salonu.

- Miał mi pan coś przynieść - powiedział. Żadnej reakcji. Tylko bębnienie palców.

- Czy to coś jest tutaj?

Palce znieruchomiały, a właściwie prawie znieruchomiały. Nadal drżały lekko, ale było widać,

że mężczyzna stara się nad nimi zapanować.

- Kontroluje pan ruch palców? Zabębniły i znieruchomiały.

- Dobrze. Czy to, co mi pan chciał dać, jest w pokoju? Palce podskoczyły.

I znów zastygły.

- Rozumiem, że tak. - Evans się cofnął. Z oddali dobiegł skowyt syreny. Nadjeżdżała karetka. - Przesunę się teraz w wybranym kierunku. Jeśli to będzie właściwy kierunek, proszę poruszyć palcami.

Palce drgnęły i zatrzymały się, jakby w potakującym geście.

- W porządku.

Evans skręcił w prawo, do kuchni. Obejrzał się przez ramię. Palce ani drgnęły.

- Czyli nie w tę stronę.

Podszedł do telewizora. Palce się nie poruszyły.

- Dobrze...

Ruszył w lewo, w stronę okna. Ale i tym razem nic. Evansowi została już tylko jedna możliwość: ominął kanapę i zaczął iść ku drzwiom. Mężczyzna na kanapie nie mógł się za nim odwrócić, Evans mówił więc na głos:

- Oddalam się od pana. Idę w stronę drzwi wyjściowych... Żadnego ruchu.

- Może się nie zrozumieliśmy. Chciałem, żeby poruszył pan palcami, kiedy będę szedł w dobrym kierunku...

Palce drgnęły. Zaskrobały w oparcie sofy.

- Dobrze. Ale gdzie mam iść? - spytał Evans. - Sprawdziłem wszystkie cztery kierunki i...

Zadzwieczał dzwonek. Evans otworzył drzwi i do mieszkania wbiegli dwaj pielęgniarze z noszami. Rozpętało się piekło. Pielęgniarze zadawali mu pytania z szybkością karabinu maszynowego, równocześnie układając chorego na noszach, zaraz po nich zjawiała się policja - znów pytania. Policjanci byli z Beverly Hills, więc zachowywali się uprzejmie, ale byli uparci. Obcy człowiek został sparaliżowany w jego mieszkaniu, a on nie wie, jak to się stało?

W końcu przyszedł detektyw z wydziału dochodzeniowego, Ron Perry. Miał na sobie brązowy garnitur. Wymienili się z Evansem wizytówkami. Perry spojrzał na wizytówkę Evansa, podniósł wzrok i spytał:

- Czy my się już nie spotkaliśmy? Coś mi się przypomina... Już wiem. W tym mieszkaniu przy Wilshire. Sparaliżowana kobieta.

- Moja klientka.

- Tu mamy to samo: paraliż w podobnych okolicznościach. Przypadek?

- Nie wiem. Nie było mnie w domu. Nie wiem, co się tu wydarzyło.

- Czy wszędzie, gdzie się pan ruszy, ludzi przypadkiem coś paraliżuje?

- Nie. Powtarzam: nie wiem, co się tu stało.

- Czy ten mężczyzna też był pańskim klientem?

- Nie.

- A kim?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Tak? A jak tu wszedł?

Evans już miał powiedzieć, że zostawił otwarte drzwi, ale uświadomił sobie, że wymagałoby to dłuższych wyjaśnień. Dłuższych i kłopotliwych.

- Nie wiem. Zdarza mi się nie zamknąć drzwi na klucz. Zapominam.

- To niedobrze, panie Evans. Powinien pan o tym zawsze pamiętać. Tak będzie rozsądniej.

- Oczywiście. Ma pan absolutną rację.

- A czy drzwi nie powinny się same zatrzasnąć, kiedy pan wychodzi? Evans popatrzył detektywowi w oczy.

- Mówiłem już panu, że nie wiem, jak tu wszedł. Perry wytrzymał jego spojrzenie.

- A te szwy na pana głowie?

- Przewróciłem się.

- Musiał się pan nieźle grzmotnąć.

- Nieźle.

Detektyw z namysłem pokiwał głową.

- Oszczędziłby nam pan kłopotów, wyjaśniając, kto to jest, panie Evans. Znajdujemy u pana

obcego człowieka. Pan go nie zna, nie wie, jak tu wszedł... Proszę mi wybaczyć, ale mam wrażenie, że coś pan przede mną ukrywa.

- To prawda.

- No to słucham. - Perry wyjął notes.

- Ten człowiek jest prywatnym detektywem.

- Wiem o tym.

- Skąd?

- Pielęgniarze go przeszukali i znaleźli w portfelu dokumenty. Niech pan mówi dalej.

- Twierdził, że wynajął go mój klient.

- Mhm. Jak się nazywa ten klient?

- Tego nie mogę powiedzieć. Perry podniósł wzrok znad notesu.

- Panie Evans...

- Przykro mi, to poufna informacja. Detektyw westchnął teatralnie.

- No dobrze. Ten człowiek jest prywatnym detektywem, wynajętym przez jednego z pańskich klientów.

- Zgadza się. Skontaktował się ze mną i powiedział, że chce się ze mną spotkać. I coś mi dać.

- Coś panu dać?

- Właśnie.

- Nie chciał tego dać klientowi?

- Nie mógł.

- Bo?

- Bo klient jest... eee... nieosiągalny.

- Rozumiem. I dlatego przyszedł do pana?

- Tak. Zachowywał się dziwnie i nalegał, żebyśmy spotkali się u mnie w mieszkaniu.

- Więc zostawił mu pan otwarte drzwi.

- Zgadza się.
- Obcemu człowiekowi?
- Wiedziałem, że pracuje dla mojego klienta.
- Skąd?

Evans pokręcił głową.

- Nie mogę powiedzieć.
- No dobrze. Ten facet przyszedł do pana. A pan gdzie wtedy był?
- W biurze.

Evans wrócił pamięcią do ostatnich dwóch godzin.

- Ktoś tam pana widział?
- Tak.
- Rozmawiał pan z kimś?
- Tak.
- Więcej niż z jedną osobą?
- Tak.
- Spotkał się pan z kimś spoza kancelarii?
- Tankowałem paliwo.
- Sprzedawca na stacji pana rozpozna?
- Tak. Wszedłem do środka, płaciłem kartą.
- Która to stacja?
- Shell przy Pico.
- W porządku. Nie było pana dwie godziny. Wraca pan, a ten człowiek...
- Widział go pan. Był sparaliżowany.
- Co chciał panu dać?

- Nie wiem.

- Nic pan nie znalazł w mieszkaniu?

- Nie.

- Chce mi pan jeszcze coś powiedzieć?

- Nie.

Kolejne przeciągłe westchnienie.

- Panie Evans... Gdyby dwoje moich znajomych zostało sparaliżowanych w tajemniczy sposób, zmartwiłbym się. Ale pan nie wygląda na zmartwionego.

- Myli się pan, naprawdę się martwię. Detektyw zmarszczył brwi.

- No dobrze. Powołuje się pan na tajemnicę zawodową. Powiem panu, że dzwoniło do mnie z UCLA i CDC w sprawie tego paraliżu. Teraz drugi taki przypadek, telefonów będzie jeszcze więcej.

- Zamknął notes.

- Będzie pan musiał przyjść na komisariat. Chciałbym, żeby złożył pan oficjalne zeznanie. Może pan wpaść jeszcze dzisiaj?

- Chyba tak.

- O czwartej?

- Bardzo proszę.

- Adres ma pan na wizytówce. Proszę zapytać o mnie w recepcji. Pod budynkiem jest podziemny parking.

- Jesteśmy umówieni.

- Do zobaczenia. Perry wyszedł.

Evans zamknął za nim drzwi i oparł się o nie plecami. Cieszył się, że nareszcie został sam. Powoli obszedł całe mieszkanie, próbując zebrać myśli. Telewizor cały czas był włączony, ale bez dźwięku. Evans spojrzął na kanapę i wgniecenie po siedzącym na niej detektywie.

Do spotkania z Drakiem zostało mu jeszcze pół godziny. Co mu przyniósł detektyw? I gdzie to ukrył? Evans próbował określić miejsce, ale obcy za każdym razem dawał mu znak, że nie trafił.

Co to znaczyło? Że nic nie przyniósł? Że ten, kto go sparaliżował, zabrał to, co on przyniósł?

Evans westchnął. Nie zadał najważniejszego pytania: czy to coś w ogóle jest w mieszkaniu. Po



prostu założył, że tak.

A skoro tak, to gdzie szukać?

Północ, południe, wschód, zachód. Żle.

Czyli...

Czyli co?

Pokręcił głową. Nie mógł się skupić. Paraliż detektywa zaniepokoił go znacznie bardziej, niż chciałby to przyznać. Spojrzał na kanapę, na wygniecione poduszki. Ten człowiek nie mógł się ruszyć. Straszne. Pielęgniarze podnieśli go jak worek kartofli i położyli na noszach. Poruszone poduszki świadczyły o tym, że nie przyszło im to bez wysiłku.

Evans odruchowo zaczął je poprawiać, układać...

Coś wymacał. W środku, w rozciętej poduszce. Wsunął dłoń głębiej.

- A niech mnie...

Teraz wszystko stało się oczywiste. Gdziekolwiek się ruszył, szedł źle, bo oddalał się od detektywa, zamiast się do niego przybliżać. A on siedział na tym, co przyniósł i wsunął w rozcięcie poduszki.

Evans wyjął ze środka błyszczącą płytę DVD.

Włożył ją do odtwarzacza i na ekranie wyświetliło się menu, złożone z dat. Najstarsza była sprzed kilku tygodni. Kliknięciem wybrał pierwszą.

Zobaczył salę konferencyjną w siedzibie NERF-u. Kamera była umieszczona w rogu pomieszczenia, na wysokości pasa dorosłego człowieka; musiała zostać wbudowana w mównicę. Najwidoczniej detektyw zainstalował ją tego dnia, kiedy wpadli na siebie z Evansem w NERF-ie.

U dołu ekranu wyświetlał się czas, Evans jednak wpatrywał się w sam obraz. Nicholas Drake rozmawiał z Johnem Henleyem, specjalistą od PR. Był podenerwowany i gwałtownie gestykułował.

- Nie cierpię globalnego ocieplenia! - prawie krzyczał. - Nienawidzę go, kurwa, nienawidzę! To katastrofa.

- Ale zostało potwierdzone w wieloletnich badaniach - mówił spokojnie Henley. - To fakt. I ten fakt musimy wykorzystać.

- Wykorzystać? Przecież on się nie nadaje do wykorzystania. O to mi właśnie chodzi. Nikt nie da złamanego centa, bo nikt w to nie wierzy, zwłaszcza w zimie. Kiedy tylko zaczyna padać śnieg, ludzie zapominają o globalnym ociepleniu. Albo wręcz dochodzą do wniosku, że trochę ciepłka to

by się nawet przydało. Brną po kolana w śniegu i modlą się o globalne ocieplenie! To zupełnie co innego niż zanieczyszczenie środowiska, John. Zanieczyszczenie nie grozi ludziom. Ono faktycznie wywiera na nich wpływ. Budzi śmiertelne przerażenie. Powiedz ludziom, że dostaną raka, a zaczną płacić aż miło. Ale ocieplenia nikt się nie boi. Zwłaszcza jeśli ma nastąpić dopiero za sto lat.

- Przecież możecie to lepiej rozegrać.

- Już nie. Próbowaliśmy wszystkiego. Wymieranie zwierząt jako skutek globalnego ocieplenia? Nikogo to nie obchodzi. Ludzie dowiedzieli się, że większość skazanych na wyginięcie gatunków to owady. Na wymieraniu robaków nie się da zarobić, John. Egzotyczne choroby? Też wszyscy mają je w nosie, bo na razie nie doszło do żadnej epidemii. W zeszłym roku przeprowadziliśmy dużą kampanię, żeby powiązać ocieplenie z rozprzestrzenianiem się eboli i hanty. Nikt się nie dał nabrać. Podnoszenie się poziomowi mórz? Obaj wiemy, jak to się skończy.

Pozew Vanutu to jedna wielka porażka. Skoro tam wody nie przybywa, to ludzie dojdą do wniosku, że nigdzie jej nie przybędzie. No i ten Skandynaw, ekspert od zmian poziomu wód. Zaczyna bruździć. Oskarżył już IPCC o niekompetencję.

- Wiem. - Henley nie dawał się wytrącić z równowagi. - Wiem o tym wszystkim...

- No to może mi powiesz, jak mam rozegrać kartę globalnego ocieplenia? Bo ty, John, dobrze wiesz, jakich funduszy potrzebujemy, żeby NERF nie padł. Czterdzieści dwa miliony rocznie. Z fundacji dostanę jedną czwartą. Wielkie i sławne fiuty przychodzą na bale, ale nie dają złamanego centa; zadufani w sobie myślą, że pokazując się na imprezie, robią nam wystarczającą łaskę. Co roku pozywamy EPA do sądu; dostaniemy pewnie ze trzy, cztery miliony. Z grantami pięć. Ale nadal będzie nam dużo brakowało, John, i tej dziury nie załatamy globalnym ociepleniem. Potrzebna mi jest sprawa, rozumiesz? Poważna sprawa, która podziała na wyobraźnię.

- Rozumiem. - Henley emanował stoickim spokojem. - Ale zapominasz o konferencji.

- Rany boskie, konferencja... Ci idioci nawet plakatów porządnych nie potrafią zrobić. Bendix, nasz najlepszy rzecznik, ma kłopoty rodzinne: żona jest na chemioterapii. Miał przyjechać Gordon, ale ktoś mu wytoczył proces w związku z jego pracą naukową... Fałszywe protokoły z badań czy coś...

- To są drobiazgi, Nicholas. Spróbuj ogarnąć całość sytuacji...

Zadzwonił telefon. Drake odebrał, chwilę słuchał, a potem zasłonił dłonią mikrofon i powiedział do Henleya:

- Wrócimy jeszcze do tej rozmowy, John. Mam pilną sprawę. Henley wstał i wyszedł.

Nagranie się skończyło. Ekran poczerniał.

Evans wpatrywał się w pusty ekran. Czuł się źle, miał zawroty głowy i mdłości. Trzymał w ręce pilota, ale nie naciskał guzików.

Chwila słabości minęła. Odetchnął głęboko i doszedł do wniosku, że to, co widział, właściwie wcale go nie zaskoczyło. Drake był po prostu bardziej otwarty w prywatnych rozmowach - jak każdy - i dał po sobie poznać, jak bardzo ciąży mu konieczność zdobycia pieniędzy. Jego frustracja była całkowicie zrozumiała. Od samego początku ruch ekologiczny

musiał walczyć z apatią mas społecznych. Ludzie nie wybiegali myślami daleko w przód. Nie dostrzegali powolnej degradacji środowiska. Tym, którzy chcieli poruszyć społeczeństwo, aby zaczęło działać we własnym dobrze pojętym interesie, wiatr zawsze wiał w oczy.

A do końca wojny było bardzo daleko. Właściwie dopiero się zaczynała.

Poza tym Drake miał chyba rację, że trudno pozyskać sponsorów, grożąc im globalnym ociepleniem. Wiedział, że czeka go długa walka.

Organizacje ekologiczne dysponowały małymi budżetami: NERF czterdzieści cztery miliony, tak samo NRDC, Sierra Club pięćdziesiąt. Dużym graczem była Nature Conservancy: siedemset pięćdziesiąt milionów. Ale i tak były to grosze w porównaniu z budżetami korporacji. To była walka Dawida z Goliatem. I Drake był Dawidem - co przy każdej okazji podkreślał.

Evans spojrzał na zegarek. Powinien już jechać na spotkanie.

Wyjął płytę z odtwarzacza, schował do kieszeni i wyszedł. Jadąc, ćwiczył w myślach swoją kwestię. Powtarzał ją w kółko, żeby brzmiała jak najbardziej prawdziwie. Musiał zachować ostrożność, bo wszystko, co kazał mu powiedzieć Kenner, było wierutnym kłamstwem.

## **Beverly Hills**

### **Sobota, 9 października Godz. 1.12**

- Peter, Peter... - Drake przyjaźnie uściśnął dłoń Evansa. - Cieszę się, że cię widzę. Byłeś w podróży?

- Tak.

- Ale pamiętałeś o mojej prośbie.

- Pamiętałem, Nick.

- Siadaj. - Evans zajął wskazane mu miejsce, a Drake usiadł za biurkiem. - Mów.

- Wytropiłem źródło tej klauzuli.

- Tak?

- Tak. Miałaś rację: to prawnik podsunął ją George'owi.

- Wiedziałem! Kto taki?

- Ktoś z zewnątrz. Nie od nas.

Evans starannie dobierał słowa, starając się nie powiedzieć nic ponad to, co polecił mu Kenner.

- Kto?

- Najgorsze jest to, Nick, że zachowała się inna dokumentacja. Szkice umowy z poprawkami, odrębne komentarze George'a...

- Cholera... Z kiedy?

- Sprzed sześciu miesięcy.

- Pół roku!

- George musiał się już dłuższy czas niepokoić... rozwojem sytuacji. Tożsamością grupy, którą wspierał.

- Nic mi o tym nie mówił.

- Mnie też nie. Wziął adwokata z zewnątrz.

- Chcę zobaczyć ich korespondencję. Evans pokręcił głową.

- Adwokat się nie zgodzi.

- George nie żyje.

- Klauzula poufności pozostaje w mocy po śmierci klienta. Sprawa Swindler i Berlin kontra Stany Zjednoczone.

- To jakaś bzdura, Peter. Dobrze o tym wiesz. Evans wzruszył ramionami.

- Ten adwokat to formalista. A ja chyba i tak przekroczyłem swoje uprawnienia, mówiąc ci to wszystko.

Drake zabębnił palcami o blat biurka.

- Musimy dostać te pieniądze. Bez nich pozew Vanutu padnie.

- Doszły mnie słuchy, że do procesu i tak nie dojdzie.

- Nonsens.

- Pomiarzy nie potwierdzają podnoszenia się poziomowi wód Pacyfiku.

- Na twoim miejscu uważałbym z wygłaszaniem takich sądów. Kto ci to powiedział? To dezinformacja, propaganda lobby przemysłowego. Poziomórz się podnosi, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Badania naukowe wielokrotnie to potwierdzały. Nie dalej jak przedwczoraj widziałem wyniki pomiarów satelitarnych, to stosunkowo nowa technika. Przez ostatni rok morza podniosły się o kilka milimetrów.

- Czy te dane zostały opublikowane?

- Nie pamiętam. - Drake spojrział na Evansa z ukosa. - Czytałem o tym w materiałach, które dostaję.

Evans nie zamierzał zadawać takich pytań, ale same cisnęły mu się na usta. Nie podobało mu się, że przyjął taki sceptyczny ton. Nic dziwnego, że Drake krzywo na niego patrzył.

- Po prostu tak słyszałem - zaczął się tłumaczyć.

- I chciałeś się dowiedzieć, jak jest naprawdę. - Drake pokiwał głową. - To zrozumiałe. Cieszę się, że zwróciłeś mi na to uwagę. Pogadam z Henleyem, dowiem się, co w trawie piszczy. Prowadzimy niekończącą się

bitwę; przeciwko sobie mamy neandertalczyków z Competitive Enterprise Institute, z Fundacji Hoovera i z Instytutu Marshalla, grupy sponsorowane przez prawicowych radykałów i zaślepionych fundamentalistów, którzy, niestety, mają ogromne zasoby finansowe.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Evans skierował się do wyjścia. - Jestem ci jeszcze potrzebny?

- Będę z tobą szczery, Peter: jestem zdruzgotany. Czy zostajemy z pięćdziesięcioma tysiącami na tydzień?

- W tej sytuacji nie mamy chyba wyboru.

- Będziemy musieli sobie jakoś radzić. A co do tego pozwu... Wszystko dobrze. Ale na razie muszę się skoncentrować na konferencji.

- No jasne. Kiedy się zaczyna?

- W środę. Za cztery dni. A teraz, jeśli pozwolisz...

- Oczywiście.

Evans wyszedł, zostawiwszy komórkę na stoliku po drugiej stronie biurka.

Zszedł schodami na dół, zanim uświadomił sobie, że Drake nie zapytał go o szwy. Wszyscy, których spotykał, widząc je, jakoś to komentowali. On nie.

Naturalnie Drake miał masę spraw na głowie z związku ze zbliżającą się konferencją. Evans znalazł się właśnie przed salą konferencyjną, w której panowała ożywiona krzątanina. Transparent na ścianie głosił Gwałtowne zmiany klimatyczne - katastrofa jest blisko. Dwadzieścioro młodych ludzi stłoczyło się wokół stołu, na którym stał model audytorium i otaczającego je parkingu. Evans patrzył i słuchał.

Jeden z młodych ludzi ustawiał na parkingu drewniane klocki imitujące samochody.

- To mu się nie spodoba - zauważył inny. - Najbliżej gmachu mają stanąć wozy transmisyjne telewizji, a nie autobusy.

- Zostawiłem dla nich trzy miejsca. Nie wystarczy?

- Mówił o dziesięciu.

- O dziesięciu?! Ilu on się spodziewa dziennikarzy?

- Nie wiem, ale dziesięć miejsc ma być wolnych. Zażyczył sobie też dodatkowego zasilania i linii telefonicznych.

- Na konferencję naukową o zmianach klimatu? Nie rozumiem... Ile można gadać o suszach i huraganach? Jak przyjadą trzy ekipy, to i tak będzie dużo.

- To on jest tu szefem. Zaznacz dziesięć miejsc i przejdźmy dalej.

- Ale wtedy autobusy będą z tyłu.

- Dziesięć miejsc, Jake.

- Dobrze, dobrze...

- Jak najbliżej budynku. Przyłącza są bardzo drogie. Audytorium i tak zedrże z nas skórę.

- Czy powierzchnie wystawowe będą zaciemnione? - zainteresowała się dziewczyna stojąca przy drugim końcu stołu. - Da się tam wyświetlić jakiś film?

- Tylko na płaskich ekranach.

- Niektórzy wystawcy mają projektory multimedialne z monitorami.

- Powinny wystarczyć.

Jakaś młoda kobieta podeszła do Evansa przyglądającego się sali.

- W czym mogę pomóc?

Wyglądała na recepcjonistkę - miała tę typowo nijaką urodę recepcjonistek. Evans kiwnął

głową, wskazując salę.

- Zastanawiałem się, co trzeba zrobić, żeby wziąć udział w tej konferencji.
- Musiałby pan mieć zaproszenie. To konferencja naukowa, zamknięta dla szerszej publiczności.
- Wracam właśnie z biura Nicholasa Drake'a. Zapomniałem go zapytać...
- Wie pan co... Tak się składa, że mam w recepcji kilka biletów jednodniowych. W które dni chce pan przyjść?
- Codziennie.
- Szybka decyzja - uśmiechnęła się. - Proszę za mną.

Z siedziby NERF-u do centrum konferencyjnego w Santa Monica było niedaleko. Robotnicy na wysięgniku montowali właśnie złożony z pojedynczych liter napis, który na razie brzmiał Gwałtowne zmiany klima i, poniżej, Katastro.

Samochód bardzo się nagrzał w południowym słońcu. Evans zadzwonił do Sarah.

- Załatwione. Zostawiłem telefon u niego w gabinecie.
- Świetnie. Miałam nadzieję, że wcześniej się odezwiesz, bo teraz to już chyba bez znaczenia.
- Dlaczego?
- Kenner już chyba znalazł to, czego szukał.
- Tak?
- Porozmawiaj z nim, oddaję słuchawkę. Są razem? - zdziwił się Evans.
- Tu Kenner.
- To ja, Peter.
- Gdzie jesteś?
- W Santa Monica.
- Jedź do domu, spakuj jakieś tury styczne ciuchy i czekaj.
- Na co?
- Przebierz się. Nie zabieraj ze sobą żadnej z rzeczy, które masz w tej chwili na sobie.

- Dlaczego?

- Później.

Pstryk. W słuchawce zapadła cisza.

Wrócił do domu, pospiesznie się spakował i przeszedł do salonu. Wsunął płytę do odtwarzacza i poczekał, aż wyświetlą się daty. Kliknięciem wybrał drugą z kolei.

Na ekranie znów pojawili się Drake i Henley; musiało to być tego samego dnia co poprzednio - bo byli tak samo ubrani - ale później. Drake zdjął marynarkę i przewiesił ją przez oparcie krzesła.

- Już raz cię posłuchałem - mówił rozżalony. - I źle na tym wyszedłem.

Henley odchylił się na oparcie fotela, zetknął dłonie czubkami palców i patrzył w sufit.

- Myśl strukturalnie.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

- Myśl strukturalnie. Zastanów się, jak funkcjonuje informacja. Co sama zatrzymuje, a co ją zatrzymuje.

- To jakieś PR-owskie pierdoły.

- Nicholas! - Henley podniósł głos. - Próbuję ci pomóc.

- Przepraszam - zmieszał się Drake i spuścił głowę.

Czyżby to Henley pociągał za sznurki? - pomyślał Evans. W tej chwili naprawdę tak to wyglądało.

- A teraz posłuchaj, jak możesz rozwiązać swój problem - ciągnął Henley. - Bo to proste. Powiedziałeś mi już...

Rozległo się głośnie walenie do drzwi. Evans zatrzymał odtwarzanie, wyjął płytę i schował ją do kieszeni. Natarczywy łomot nie ustawał. Otworzył drzwi. Na progu stał Sanjong Thapa. Miał ponurą minę.

- Jedziemy - powiedział. - Już teraz.

**WAŻ**

**Diablo**



## Niedziela, 10 października Godz. 14.43

Dudnienie silnika śmigłowca rozbrzmiewało nad arizońską pustynią trzydzieści kilometrów na wschód od Flagstaff, niedaleko kanionu Diablo. Sanjong z Evansem siedzieli z tyłu i przeglądali zdjęcia i wydruki.

- Ich sieć działa pełną parą - dodał Sanjong, mając na myśli Ekologiczny Front Wyzwolenia. - Ale nasza też. Niespodziewanie wyłapaliśmy ciekawą wskazówkę: Stowarzyszenie Parków Południowego Zachodu.

- Co to jest?

- Organizacja zrzeszająca zarządców parków stanowych ze wszystkich zachodnich stanów. Wykryli coś bardzo dziwnego. W znacznej części parków w Utah, Arizonie i Nowym Meksyku przez najbliższy weekend miały się odbywać pikniki firmowe, zjazdy szkolne, przyjęcia urodzinowe i inne spotkania z rezerwacją. Wszyscy klienci wnieśli opłatę z góry. Zapowiadały się imprezy wielopokoleniowe, z udziałem dzieci, rodziców i - najczęściej - dziadków.

Owszem, to miał być dłuższy, trzydniowy weekend, ale ogromna większość rezerwacji obejmowała poniedziałek, a tylko niewiele zahaczało o sobotę i niedzielę. Żaden z szefów parków nie pamiętał, żeby taka sytuacja już się kiedyś zdarzyła.

- Nic z tego nie rozumiem - przyznał Evans.

- Oni też nie rozumieli. Pomyśleli, że może chodzić o jakąś uroczystość religijną, a ponieważ parków nie wolno wykorzystywać do takich celów, dzwoniли się i zaczęli rozmawiać. Okazało się, że wszystkie organizacje

otrzymały darowizny z przeznaczeniem na rezerwację w parku i z zastrzeżeniem, że mogą je wykorzystać tylko w ten konkretny weekend.

- Kto był darczyńcą?

- Różne instytucje charytatywne. Ale wyglądało to za każdym razem podobnie: do siedziby firmy przychodził list mniej więcej takiej treści: „Dziękujemy za niedawną prośbę o fundusze. Z przyjemnością informujemy, że możemy sfinansować Państwa zjazd w takim i takim parku w poniedziałek, jedenastego października. Przesłaliśmy już stosowny czek. Życzymy miłej zabawy”.

- Sami imprezowicze nie prosili o rezerwację?

- Nie. Dzwonili do darczyńców, żeby wyjaśnić sprawę, dowiadywali się, że chyba faktycznie zaszła pomyłka, ale ponieważ czeki zostały już wysłane, mogli śmiało jechać do parku się zrelaksować. I wielu z nich postanowiło skorzystać z okazji.

- Ci sponsorzy... Co to były za instytucje?

- Nie znasz ich. Fundusz Amy Rositer. Fundusz dla Nowej Ameryki. Fundacja Rogera V. i Eleanor T. Malkinów. Fundacja Pamięci Joinera. W sumie było ich kilkanaście.

- Prawdziwe?

- Pewnie nie. - Sanjong wzruszył ramionami. - Sprawdzamy to.

- Ktoś chce, żeby parki były w ten przedłużony weekend pełne ludzi.

- Na to wygląda. Tylko po co?

Podał Evansowi komputerowo podkolorowane zdjęcie lotnicze, przedstawiające las: czerwone drzewa na niebieskim tle. Na polanie w środku lasu znajdowało się coś, co przypominało rozpiętą na ziemi pajęczynę.

- Co to jest?

- Bateria rakiet. Wyrzutnie to punkty zaczepienia pajęczyny, a nici to kable zasilające. - Sanjong wodził palcem po fotografii. - Tu jest następna. A tu jeszcze jedna. Razem tworzą trójkąt o boku około ośmiu kilometrów.

Rzeczywiście: trzy pajęczyny na trzech leśnych polanach.

- Trzy baterie rakiet...

- Wiemy, że kupili pięćset rakiet na paliwo stałe. Same pociski są nieduże; dokładniejsza analiza zdjęcia wykazała, że wyrzutnie mają od dziesięciu do piętnastu centymetrów średnicy. To oznacza, że rakiety mogą wznieść się na jakieś trzysta metrów do góry, nie więcej. W każdej baterii jest około pięćdziesięciu pocisków. Są spięte przewodami, ale chyba nie po to, żeby je wystrzelić jednocześnie. Poza tym, jak widzisz, wyrzutnie są rozmieszczone w dość dużych odstępach...

- Ale po co to wszystko? Przecież tam nic nie ma. Rakiety wzbijają się na trzysta metrów, a potem spadną na ziemię. Myślisz, że o to chodzi?

- Tego nie wiemy, ale mamy jeszcze jedną wskazówkę. Zdjęcie, które trzymasz w ręce, zostało zrobione wczoraj. Tu mam fotografię z dzisiejszego przełomu.

Drugie zdjęcie przedstawiało tę samą okolicę. Pajęczyny zniknęły.

- Co się stało?

- Zabrali zabawki i się zmyli. Na pierwszym zdjęciu widać furgonetki stojące na obrzeżach polan. Wygląda na to, że spakowali rakiety i odjechali.

- Dlatego że ktoś ich zauważył?

- Mało prawdopodobne, żeby o tym wiedzieli.

- No to dlaczego?

- Przypuszczamy, że przenieśli się w lepsze miejsce.

- Lepsze od czego? Co tu się w ogóle dzieje?!

- Ciekawe, że w tym samym czasie, kiedy kupili rakiety, zaopatrzyli się również w sto pięćdziesiąt kilometrów mikrodrutu. - Sanjong pokiwał głową, jakby to wszystko wyjaśniało.

Ale Evansowi niczego nie wyjaśniło.

- Sto pięćdziesiąt kilometrów...

Sanjong spojrzał znacząco na pilota i pokręcił głową.

- O szczegółach porozmawiamy później, Peter. I zapatrzył się w okno.

Evans patrzył przez okno po drugiej stronie. Pod nimi całymi kilometrami ciągnął się pustynny krajobraz - brunatne urwiska, które uległy erozji, poznaczone czerwonymi i pomarańczowymi smugami. Lecieli na północ. Cień śmigłowca sunął po pustyni, odkształcał się, wyginał, a potem znów wyglądał normalnie.

Rakiety. Sanjong podsuwał Evansowi suche fakty, jakby czekał, aż sam wyciągnie wnioski. Pięćset rakiet. Po pięćdziesiąt wyrzutni, rozstawionych w dużych odstępach. Sto pięćdziesiąt kilometrów mikrodrutu.

Może były to znaczące informacje, ale Peter Evans nie miał zielonego pojęcia, co z nich wynika.

Baterie małych rakiet. Po co?

Mikrodrut. Po co?

Bez trudu policzył, że gdyby podzielić drut na równe części, na każdą raketę przypadłoby około trzystu metrów. A na tyle właśnie mogły się wzbic w powietrze, jeśli wierzyć Sanjongowi.

Czyli co? Wzlecą trzysta metrów do góry, wlokąc za sobą drut. W jakim celu? Może chodzi o to, że potem łatwiej będzie je ściągnąć do miejsca, z którego zostały wystrzelone? Nie. Kiedy spadną na las, mikrodrut popęka przy próbie wyciągnięcia ich z gąszczu.

A dlaczego rozstawiono je w tak dużych odstępach? Są przecież małe, można je ciaśniej zapakować. Widział przecież na filmach wojskowe wyrzutnie, w których rakiety niemal stykały się statecznikami. Po co je tak rozstawiać?

Lecą... wloką cienki drut... trzysta metrów do góry... i...

I co?

Może są zaopatrzone w instrumenty pomiarowe, a mikrodrut ma przekazać na ziemię jakieś informacje. Tylko co to za przyrządy? I jaki jest cel całej tej szopki?

Odwrócił się do Sanjonga, pochylonego nad kolejnym zdjęciem.

- Co robisz?

- Szukam ich.

Evans zmarszczył brwi. Sanjong trzymał w ręce satelitarną mapę meteorologiczną. Co to ma wspólnego z pogodą?

## **Flagstaff**

**Niedziela, 10 października Godz. 20.31**

- Bardzo dużo - powiedział Kenner.

Siedzieli w boksie w głębi restauracji we Flagstaff. Z szafy grającej przy barze leciał stary przebój Elvisa Presleya Don't Be Cruel. Kenner i Sarah dopiero przed chwilą do nich dołączyli. Zdaniem Evansa Sarah sprawiała wrażenie wyczerpanej i zmartwionej. Jej dobry humor zniknął bez śladu.

- Przypuszczamy, że pogoda jest w ich planach najważniejsza - ciągnął Kenner. - Powiem więcej: jesteśmy tego pewni. - Odczekał, aż kelnerka poda sałatki i odejdzie od stolika. - Z dwóch powodów. Po pierwsze: ELF kupił sporą ilość wytworów zaawansowanych technologii, których użyteczność jest znikoma, chyba że weźmie się pod uwagę możliwość manipulowania pogodą. Po drugie...

- Zaraz, zaraz - przerwał mu Evans. - Powiedziałeś: manipulowania pogodą?

- Tak.

- W jaki sposób?

- Pogodę można kontrolować - wtrącił Sanjong. Evans usiadł wygodniej.

- To jakiś absurd. Chcecie mi powiedzieć, że ci goście sterują pogodą?

- Mogą to robić - przytaknęła Sarah.

- Ale jak? Jak?

- Wyniki badań na ten temat są najczęściej zastrzeżone.

- To skąd je mają?

- Dobre pytanie - przyznał Kenner. - Też chciałbym to wiedzieć. W każdym razie naszym zdaniem rola raket polega albo na wywoływaniu burz, albo na wzmacnianiu siły naturalnych nawałnic.

- W jaki sposób?

- Rakiety zmieniają potencjał elektryczny warstw infracumulusowych.

- Już się cieszę, że zapytałem. Wszystko stało się jasne.

- Na razie nie znamy szczegółów. Ale jestem pewien, że niedługo je poznamy.

- Nasza najmocniejsza poszlaka to termin i zasięg rezerwacji parków - powiedział Sanjong. - Zaplanowano całą masę pikników, i to na sporym obszarze: całe trzy stany. To oznacza, że mogą do ostatniej chwili zwlekać z decyzją i kierować się najnowszymi prognozami pogody.

- Z jaką decyzją? - spytał Evans. - Co oni planują?

Nikt mu nie odpowiedział. Evans powiódł wzrokiem dookoła.

- No więc?

- Jedno jest pewne: chcą mieć dobrą dokumentację - stwierdził Kenner. - Bo na szkolnych piknikach i firmowych zjazdach rodzinnych na pewno można liczyć na obecność kamer i aparatów.

- A potem przyjadą ekipy telewizyjne - dodał Sanjong.

- Po co?

- Krew przyciąga kamery - powiedział Kenner.

- To znaczy, że oni chcą kogoś skrzywdzić?

- Na pewno spróbują. To chyba oczywiste.

Godzinę później zasiedli na wysłużonych łózkach i Sanjong podłączył przenośny odtwarzacz DVD do telewizora. Znajdowali się w tanim, zapuszczonym arizońskim motelu w Shoshone, trzydzieści kilometrów na północ od Flagstaff.

Na ekranie Evans znów zobaczył Henleya i Drake'a.

- Już raz cię posłuchałem - mówił rozszalony Drake. - I źle na tym wyszedłem.

Henley odchylił się na oparcie fotela, zetknął dłonie czubkami palców i patrzył w sufit.

- Myśl strukturalnie.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

- Myśl strukturalnie. Zastanów się, jak funkcjonuje informacja. Co sama zatrzymuje, a co ją zatrzymuje.

- To jakieś PR-owskie pierdoły.

- Nicholas! - Henley podniósł głos. - Próbuję ci pomóc.

- Przepraszam - zmieszał się Drake i spuścił głowę.

- Czy wam też się wydaje, że to Henley pociąga za sznurki? - zapytał Evans.

- Zawsze tak było - odparł Kenner. - Nie wiedziałeś?

- A teraz posłuchaj, jak możesz rozwiązać swój problem - ciągnął na ekranie Henley. - Bo to proste. Powiedziałeś mi już, że globalne ocieplenie nie wystarczy, bo kiedy przychodzi zima, ludzie natychmiast o nim zapominają.

- Powiedziałem, że...

- Musisz w taki sposób kształtować informacje, żeby bez względu na pogodę twój przekaz został wzmocniony. To jest główna zaleta przeniesienia punktu ciężkości na gwałtowne zmiany klimatyczne; dzięki temu każdy kataklizm pracuje na twoją korzyść. Powodzie, burze śnieżne, cyklony i huragany będą zawsze i zawsze trafią na pierwsze strony gazet. Ty zaś będziesz mógł za każdym razem twierdzić, że są przykładami gwałtownych zmian klimatycznych wywołanych globalnym ociepleniem. Komunikat brzmi poważniej. Poczucie zagrożenia wzrasta.

- Sam nie wiem... Próbowano już tego przez ostatnie dwa lata...

- Owszem, ale nie systematycznie. Czasem jakiś polityk napomknął o burzy w jednym czy powodzi w innym miejscu. Mówił o tym Clinton, mówił Gore, mówił ten głupawy angielski minister nauki. Ale nam nie chodzi o pojedynczych polityków, Nicholas, tylko o zorganizowaną kampanię o zasięgu ogólnoswiatowym, która uświadomiłaby ludziom, że globalne ocieplenie odpowiada za nieprzewidziane katastrofy pogodowe.

Drake kręcił głową.

- Sam wiesz, ile badań nie wykazuje żadnej zmiany liczby i natężenia takich kataklizmów.

- Dajże spokój - prychnął Henley. - To dezinformacja.

- Trudno to będzie sprzedać. Zbyt wiele badań...

- Co ty wygadujesz? Sprzeda się jak świeże bułeczki. Opinia publiczna już jest przekonana, że to lobby przemysłowe forsuje przeciwne poglądy. - Henley westchnął. - Ja w każdym razie mogę ci

obietcać, że wkrótce pojawi się całe mnóstwo modeli komputerowych dowodzących, że kataklizmy naturalne naprawdę są coraz częstsze i silniejsze. Znajdą się naukowcy, którzy podpiszą się pod taką tezą. Dobrze o tym wiesz. Drake chodził po sali, wyraźnie nieprzekonany.

- Przecież to nielogiczne - powiedział w końcu. - Nie można twierdzić, że mroźne zimy są spowodowane globalnym ociepleniem.

- Logika nie ma tu nic do rzeczy. Wystarczy, że media podadzą taką informację. Przecież większość Amerykanów wierzy, że przestępczość w Stanach rośnie, podczas gdy od dwunastu lat obserwuje się systematyczny spadek jej poziomu. Liczba morderstw spadła do poziomu z początku lat siedemdziesiątych, ale Amerykanie boją się jak nigdy. Media poświęcają morderstwom coraz więcej miejsca, więc ludzie są przekonani, że rzeczywiście jest ich coraz więcej. - Henley wyprostował się w fotelu. - Przemyśl moje słowa, Nicholas: dwunastoletnia tendencja, w którą ludzie po prostu nie wierzą. Czy trzeba lepszego dowodu na to, że rzeczywistość mediów jest jedyną rzeczywistością?

- Europejczycy są mniej podatni na manipulację...

- Zaufaj mi: w Europie gwałtowna zmiana klimatyczna sprzeda się jeszcze lepiej niż tutaj. Wystarczy propagować ją z Brukseli. Bo biurokraci rozumieją zalety zmiany perspektywy.

Drake milczał. Chodził w tę i z powrotem z rękami w kieszeniach i wzrokiem utkwionym w dywan.

- Pomyśl tylko, jak wiele już osiągnęliśmy! - ciągnął Henley. - W latach siedemdziesiątych naukowcy byli święcie przekonani, że nadciąga nowa epoka lodowcowa. Uważali, że świat się wychładza. Ledwie jednak poruszono kwestię globalnego ocieplenia, natychmiast docenili płynące z niej korzyści. Globalne ocieplenie to globalny kryzys, a kryzys wymaga mobilizacji sił i środków, wymaga badań, funduszy, nowych struktur politycznych i biurokratycznych. I w mgnieniu oka tysiące meteorologów, geologów i oceanografów przekwalifikowały się na „klimatologów” zajętych zażegnaniem kryzysu. Teraz będzie tak samo.

- Kwestię gwałtownych zmian klimatycznych podnoszono już wcześniej, ale nic z tego nie wynikło.

- Dlatego zorganizowałeś konferencję - tłumaczył Henley cierpliwie. - Konferencja, której przebieg relacjonują wszystkie media, zbiegnie się w czasie z jakimś dramatycznym wydarzeniem, które potwierdzi powagę zagrożenia. Kiedy dobiegnie ona końca.

gwałtowne zmiany klimatyczne utkwiają w zbiorowej świadomości jako prawdziwy problem.

- No nie wiem...

- Przestań marudzić! Pamiętaj, ile czasu było trzeba, żeby zasiać na świecie strach przed atomową zimą? Pięć dni! W pewną sobotę roku 1983 nikt jeszcze o niej nie słyszał, potem odbyła się

duża, szeroko komentowana konferencja, a w środę problem znalazł się na ustach wszystkich. Ludzie uwierzyli, że to realna groźna dla naszej planety, i nie potrzebowali do tego ani jednego naukowego artykułu.

Drake westchnął ciężko.

- Pięć dni, Nicholas! Zrobili to w pięć dni. Tobie też się uda. Twoja konferencja zmieni poglądy świata na zmiany klimatyczne.

Ekran poczerniał.

- Mój Boże... - jęknęła Sarah. Evans milczał. Gapił się w pusty ekran.

Sanjong już od dłuższej chwili nie śledził nagrania, tylko pracował na laptopie.

- Jaką datę ma to nagranie? - zapytał Kenner.

- Nie wiem. - Evans powoli otrząsnął się z zamyślenia i powiódł nieprzytomnym wzrokiem po pokoju. - Nie mam pojęcia. A co?

- Trzymasz pilota.

- Och, przepraszam. - Evans wyświetlił menu i sprawdził datę. - Jest sprzed dwóch tygodni.

- Czyli Morton przez dwa tygodnie miał pluskwę w biurze Drake'a.

- Na to wygląda.

Ponownie włączyli odtwarzanie, tym razem bez dźwięku. Drake krążył nerwowo po pokoju, a Henley siedział odprężony i pewny siebie. Evans próbował przetrwać to, co usłyszał. Pierwsze nagranie wydało mu się oczywiste: Drake skarżył się na problemy z uświadomieniem ludziom prawdziwego zagrożenia ekologicznego, jakim jest globalne ocieplenie, skoro w każdej chwili może przyjść burza śnieżna i wszyscy zapominają o ociepleniu. To miało sens.

Ale ta rozmowa...

Pokręcił głową. Ta rozmowa bardzo mu się nie podobała.

- Mam! - Sanjong klasnął w dłonie. - Wiem, gdzie są! - Odwrócił komputer w taki sposób, żeby wszyscy mogli patrzeć na ekran. - Zdjęcie z radaru NEXRAD, okolice Flagstaff-Pulliam. Na północny wschód od Payson tworzą się chmury. Jutro koło południa rozpęta się tam burza.

- To daleko stąd? - spytała Sarah.

- Mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów.

- Biegiem do helikoptera - zarządził Kenner.



- I co dalej? - zdziwił się Evans. - Jest dziesiąta w nocy, na Boga!

- Ubierz się ciepło.

Świat był cały czarno-zielony. Drzewa widziane przez szkła noktowizora rozmazywały się lekko, sam noktowizor uciskał Evansa w czoło. Miał chyba źle wyregulowane paski, bo boleśnie wrzynały mu się też w uszy. Ale włożył noktowizor tak jak wszyscy i obserwował las z kabiny śmigłowca.

Szukali polan wśród drzew. Udało im się wypatrzeć już kilkanaście. Niektóre były zamieszkane i w domach jarzyły się rozświetlone kwadraty okien, na innych - w opuszczonych osadach górniczych - zabudowania były ciemne i martwe.

Nie znaleźli jednak tego, czego szukali.

Sanjong wyciągnął przed siebie rękę.

- Tam coś jest.

Evans spojrział w lewo i zobaczył dużą polanę. Wysoka trawa częściowo przesłaniała pajęczynę mikrodrutów i wyrzutni raketowych. Na skraju stała ciężarówka z naczepą, przypominająca TIR-y obsługujące supermarkety. Czarne litery a&p zdobiły białe boki naczepy.

- Terroryści spożywczy - mruknęła Sarah. Nikt się nie roześmiał. Polana przemknęła pod śmigłowcem i zniknęła w tyle. Pilotowi wyraźnie zakazano zwalniania i kołowania nad polanami.

- To było to, czego szukamy - stwierdził Evans. - Gdzie jesteśmy?

- Las Tonto, na zachód od Prescott - odparł pilot. - Zazaczyłem na mapie.

- Powinniśmy znaleźć jeszcze dwie - powiedział Sanjong. - W promieniu ośmiu kilometrów.

Wirnik helikoptera miarowo ciął nocne powietrze. Po godzinie znaleźli dwie pozostałe pajęczyny i ruszyli w drogę powrotną.

## **Park McKinley**

**Poniedziałek, 11 października Godz. 10.00**

Dzień wstał słoneczny i ciepły, tylko daleko na północy zbierały się ciemne chmury. Uczniowie Szkoły Średniej imienia Abrahama Lincolna wybrali się do Parku Stanowego McKinley na doroczny piknik. Nad stołami unosiły się baloniki, grille dymiły, około trzystu dzieci z rodzicami rzucało frisbee i piłki bejsbolowe na trawiastym terenie przy wodospadzie. Zabawa trwała w najlepsze także w dalszych, spokojnych, odcinkach rzeki Cavender, tworzącej zakola na obszarze parku. Poziom wody w rzece był niski, piaszczyste brzegi wznosiły się stromo, w skalnych basenikach pluskały się mniejsze dzieci.

Kenner i jego towarzysze stali nieopodal, obok zaparkowanych na uboczu samochodów, czujni i skoncentrowani.

- Kiedy rzeka wystąpi z brzegów, zaleje park i wszystko w nim - zauważył Kenner.

- Park jest duży - nie dowierzał Evans. - Myślisz, że poziom wody aż tak się podniesie?

- Nie trzeba wiele. Woda będzie mulista i wartka. Piętnaście centymetrów rwącej wody może zwalić z nóg dorosłego człowieka. A jak ktoś się przewróci, to już nie wstanie, bo będzie za ślisko. Prąd uniesie kamienie i inne śmieci; błoto oślepi ludzi, uderzą w coś głową, stracą przytomność... Większość utonięć zdarza się w płytkiej wodzie.

- Ale piętnaście centymetrów...

- Zamulona woda ma ogromną siłę. Piętnaście centymetrów płynnego błota zmiecie samochód jak zabawkę. Zepchnie go z drogi. To się zdarza.

Evans nie bardzo w to wierzył, tymczasem Kenner zaczął mówić o słynnej powodzi w Kolorado, kiedy to w kilka minut zginęło sto czterdzieści osób.

- Samochody zmiażdżone jak puszki po piwie, ludzie odarci z ubrań... Nie oszukuj się, Evans.

- Ale spójrz tutaj. - Evans wyciągnął rękę. - Jeżeli rzeka zacznie przybierać, wszyscy zdążą uciec...

- Chyba że będzie to tak zwana powódź gwałtowna. Wtedy nikt się nie zorientuje, dopóki nie będzie za późno. I dlatego my musimy przypilnować, żeby do gwałtownej powodzi nie doszło.

Kenner spojrział na zegarek, zerknął w niebo i wrócił do samochodu. Mieli do dyspozycji trzy wozy terenowe: jeden dla niego, jeden dla Sanjonga i jeden dla Sarah i Petera.

Otworzył tylną klapę swojego wozu.

- Masz broń? - zapytał Evansa.

- Nie.

- A chcesz?

- Myślisz, że będzie mi potrzebna?

- Niewykluczone. Kiedy ostatni raz byłeś na strzelnicy?

- Dawno... - A tak naprawdę Evans nigdy w życiu nie strzelał. I do tej pory był z tego dumny. Pokręcił głową. - Żaden ze mnie rewolwerowiec.

Kenner wyjął z samochodu rewolwer i zajrzał do bębena. Sanjong trzymał w rękach paskudnie

wyglądający karabin, czarny, matowy, z lunetką. Posługiwał się nim z wyraźną wprawą. Jak żołnierz.

Co to ma być? - pomyślał Evans. Jakiś western?

- Bez obaw - Sarah próbowała uspokoić Kennera. - Ja mam broń.

- A wiesz, jak jej używać?

- Wiem.

- Co masz?

- Berettę, 9 milimetrów. Kenner pokręcił głową.

- Dasz sobie radę z trzydziestkąósemką?

- Jasne.

Podał jej rewolwer w kaburze, którą przypięła sobie do paska dzinsów. Widać było, że nie pierwszy raz to robi.

- Naprawdę myślisz, że będziemy do kogoś strzelać? - spytał Evans.

- Dopóki nie będzie to konieczne, to nie - odparł Kenner. - Ale w obronie własnej... Kto wie?

- Podejrzewasz, że będą uzbrojeni?

- To bardzo prawdopodobne.

- Chryste Panie...

- Spokojnie. - Sarah miała zacięty wyraz twarzy. - Ja z przyjemnością postrzelam do tych skurczybyków.

- No dobrze, to chyba wszystko - stwierdził Kenner. - Na koń.

Na koń, powtórzył w duchu Evans. Rany boskie, to jednak będzie western.

Kenner przejechał na drugą stronę parku i odbył krótką rozmowę ze strażnikiem parkowym, którego biało-czarny radiowóz stał na skraju polany. Umówili się na kontakt radiowy. Plan Kennera wymagał ścisłej koordynacji - należało uderzyć w trzy pajęczyny jednocześnie - wszyscy więc mieli pozostać w kontakcie radiowym.

Zgodnie z wyjaśnieniami Kennera rakiety miały spotęgować moc ładunku elektrycznego niesionego przez burzę. Była to realizacja pomysłu, który narodził się w ostatnich dziesięciu latach, kiedy zaczęto poważnie badać wyładowania atmosferyczne w terenie podczas prawdziwych burz. Dawniej uważano, że każdy kolejny piorun osłabia nawałnicę, ponieważ zmniejsza różnicę

potencjałów między chmurami a ziemią. Niektórzy naukowcy doszli jednak do wniosku, że błyskawice miewają odwrotny

skutek: zwiększają nasilenie burz. Mechanizm tego zjawiska nie został jeszcze dobrze poznany, ale sugerowano, że wiąże się z wywołaną wyładowaniem falą cieplną i uderzeniową, które powiększają chaos w i tak już turbulentnym ośrodku burzy. W każdym razie zgodnie z najnowszymi teoriami im więcej piorunów, tym groźniejsza burza.

- Co to ma wspólnego z pajęczynami? - zainteresował się Evans.

- Małe rakiety z podłączonym mikrodrutem wzbijają się trzysta metrów w powietrze i dosięgają chmur. Przewód stanowi niskooporową ścieżkę przewodzącą, po której błyskawica może spłynąć na ziemię.

- Czyli chodzi o to, żeby rakiety wywołały więcej piorunów?

- Tak. Taki jest zamysł.

- Kto płaci za takie badania? - spytał Evans z powątpiewaniem. - Firmy ubezpieczeniowe?

- To tajne.

- Czyli wojsko?

- Właśnie.

- Wojsko płaci za badania meteorologiczne?

- Sam pomyśl.

Ale Evans wcale się do tego nie palił. Miał wyjątkowe sceptyczne nastawienie do wszystkiego, co wiązało się z wojskiem. Pomyśl, że armia miałaby opłacać studia pogodowe, wydał mu się równie niedorzeczny, jak kupowanie po sześćset dolarów desek klozetowych i wartych tysiąc dolarów kluczy francuskich, o których niedawno było bardzo głośno w mediach.

- Na mój gust to wyrzucanie pieniędzy w błoto.

- ELF nie podziela twojej opinii.

W tej właśnie chwili do rozmowy włączył się Sanjong. Mówił z wielkim przekonaniem i wiarą we własne słowa. Evans zdążył zapomnieć, że przecież to żołnierz. Nepalczyk powiedział, że kto kontroluje pogodę, ten dyktuje warunki na polu bitwy. Sterowanie pogodą było odwiecznym snem strategów. Nic więc dziwnego, że wojsko chemie sponsoruje takie badania.

- Mówisz tak, jakby wyniki tych prac dało się stosować w praktyce.

- Bo tak jest. Po co inaczej byśmy tu przyjechali?

Samochód wjechał między zalesione wzgórza na północ od parku. Gęsty las przecinały tu rozległe łąki. Sarah siedząca na fotelu pasażera zerknęła na Petera. Był przystojny, zbudowany jak sportowiec - szkoda tylko, że czasem zachowywał się jak ostami mięczak.

- Ćwiczysz coś? - zapytała.

- Pewnie.

- Co?

- Gram w squasha. I trochę w piłkę.

- Aha.

- Zaraz, to, że nie strzelam... Jestem przecież prawnikiem, do diabła! Była zawiedziona - i właściwie nie bardzo wiedziała dlaczego. Może po prostu denerwowała się i wolałaby mieć przy sobie kogoś bardziej doświadczonego. Polubiła towarzystwo Kennera; miał ogromną wiedzę i umiejętności, wiedział, do czego dąży, błyskawicznie reagował w każdej sytuacji. A Peter był sympatyczny, ale...

Spojrzała na jego dłonie, zaciśnięte na kierownicy. Prowadził pewnie, a to było teraz najważniejsze.

Słońce już się schowało, dzień zrobił się ponury, mroczny i groźny. Podjeżdżali coraz bliżej chmur. Pusta droga wchodziła w las. Odkąd wyjechali z parku, nie spotkali ani jednego samochodu.

- Daleko jeszcze? - spytał Evans. Sarah spojrzała na wyświetlacz GPS-u.

- Jakieś osiem kilometrów.

Pokiwał głową, a ona usiadła wygodniej, żeby rewolwer nie uciskał jej w biodro. Zerknęła w lusterko wsteczne.

- Cholera!

- Co się stało?

Za nimi jechała stara niebieska półciężarówka na arizońskich numerach.

**Auroraville**

**Poniedziałek, 11 października Godz. 10.22**

- Mamy problem.
- Jaki? - zdziwił się Evans. Spojrzał w lusterko, zobaczył półciężarówkę. - Co to za auto?
- Kenner? - Sarah włączyła nadajnik radiowy. - Namierzili nas.
- Kto? - dopytywał się Evans. - Kto to jest? Radio zatrzeszczało.
- Gdzie jesteście? - usłyszeli głos Kennera.
- Na drodze numer 95. Jeszcze sześć kilometrów.
- Trudno. Trzymajcie się planu.

Evans znów zerknął w lusterko.

- Kto to jest?!

Niebieska półciężarówka przyspieszyła i chwilę później uderzyła w tył ich wozu. Evans dał się zaskoczyć, samochodem zarzuciło, ale zaraz odzyskał panowanie nad kierownicą.

- Kurwa wasza...

- Jedź, Peter.

Sarah wyjęła rewolwer i trzymając go na kolanach, patrzyła w lusterko po swojej stronie. Półciężarówka została nieco z tyłu, ale zaraz znów zaczęła przyspieszać.

- Zbliża się...

Tym razem impet uderzenia był dużo mniejszy - może dlatego, że Peter w ostatniej chwili dodał gazu. Poczuli zaledwie słabe szturchnięcie. Peter wszedł w zakręt, nie spuszczając półciężarówki z oka.

Znów się oddaliła. Jechała za nimi przez następny kilometr, ale nie zbliżała się bardziej niż na pięć, sześć długości pojazdu.

- Nie rozumiem... - mruknął Evans. - Chcą nas staranować czy nie?

- Chyba nie. Spróbuj zwolnić.

Evans zdjął nogę z gazu. Zwolnili do sześćdziesiątki. Półciężarówka również zwolniła. Dystans dzielący samochody powiększył się.

- Po prostu za nami jadą - stwierdziła Sarah. Ale po co?

Na szybie rozbryznęły pierwsze krople. Mokre plamki pojawiły się na drodze, ale deszcz

jeszcze nie rozpadał się na dobre.

Półciężarówka zostawała coraz dalej w tyle. Wyjechali zza zakrętu i znaleźli się tuż za olbrzymim osiemnastokołowcem, który toczył się drogą powoli, najwyżej pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Na tylnych drzwiach naczepy widniały litery A&P.

- Cholera! - zaklął Evans. Cały czas widział w lusterku półciężarówkę. - Wzięli nas w kleszcze.

Próbował wyprzedzić ciężarówkę, ale jej kierowca natychmiast zajechał mu drogę. Evans wrócił na swój pas.

- Jesteśmy w potrzasku.

- Nie byłabym taka pewna. Coś mi tu nie gra.

Osiemnastokołowiec blokował im drogę z przodu, ale niebieska półciężarówka była coraz dalej: dzieliło ich teraz dobre kilkaset metrów. Sarah próbowała zrozumieć, co się właściwie dzieje, kiedy tuż obok nich - nie dalej niż dziesięć metrów od drogi - piorun uderzył w ziemię: oślepiający słup białego ognia z łoskotem rozdarł powietrze. Oboje aż podskoczyli.

- Jezus Maria... - stęknął Evans. - Blisko było.

- Fakt...

- Jeszcze nie widziałem błyskawicy z takiej odległości.

Zanim Sarah zdążyła coś powiedzieć, drugi piorun uderzył w jezdnię tuż przed maską samochodu. Grzmot był ogłuszający. Evans odruchowo szarpnął kierownicą, choć poniewczasie.

- Jasna cholera!

Sarah zaczęła coś podejrzewać, ale wtedy trzecie wyładowanie trafiło prosto w samochód. Otulił ich biały błysk. Łoskot wibrował w uszach, od fali uderzeniowej zakłuły ich bębrenki. Evans wrzasnął i puścił kierownicę, na szczęście Sarah zdążyła ją złapać i utrzymać samochód na jezdni.

Czwarty piorun uderzył w ziemię po stronie kierowcy, dosłownie o centymetry chybiając karoserii. Boczne okno pokryło się siateczką rys.

- Cholera, cholera, cholera! - klął Evans. - Co się dzieje?! Sarah nie miała wątpliwości.

Samochód przyciągał pioruny.

Dwa następne strzeliły w krótkim odstępie - pierwszy chybił, drugi zaś trafił w maskę, rozpełzł się po karoserii siatką białych zygzaków i zniknął. W masce pozostało pokaźne wgniecenie.

- Nie mogę - zawył Evans. - Nie dam rady! Nie dam rady!

- Jedź, Peter. - Sarah ścisnęła go za rękę. - Jedź.

Następne dwie błyskawice też uderzyły szybko po sobie. Obie trafiły w cel. Zaśmierdzało spalenizną. Sarah nie wiedziała, co się pali, ale rozumiała już, dlaczego półciężarówka tak delikatnie ich szturchnęła.

Przyczepiła im coś do zderzaka - jakiś elektroniczny gadżet, który teraz ściągał pioruny.

- Co my zrobimy? - biadolił Evans. - Co my teraz zrobimy? - Skomlał żałośnie przy każdym wyładowaniu.

Znaleźli się w potrzasku: wąska droga, gęsty sosnowy las po obu stronach...

Próbowała pokójrzyć fakty. Las... O co chodzi z tym lasem?

Jeden piorun uderzył w jezdnię za tylną szybą, drugi trafił prosto w samochód, który zakołysał się na asfalcie jak po uderzeniu młota kowalskiego.

- Do diabła z tym wszystkim! - Evans skręcił ostro i zjechał na gruntową drogę przez las. Sarah mignął drogowskaz z nazwą miasteczka, przybity do sfatygowanego słupa, i znaleźli się w półmroku, wśród olbrzymich drzew. Wyładowania natychmiast ustały.

No tak, pomyślała Sarah. Drzewa. Nawet jeśli samochód przyciąga błyskawice, będą były najpierw w drzewa, bo są znacznie wyższe.

Chwilę później przekonała się, że ma rację. Za ich plecami rozległ się ogłuszający trzask i biały ogień spłynął po pniu sosny, rozszczepiając go na dwoje. Buchnęły obłoki pary i drzewo stanęło w płomieniach.

- Jeszcze trochę i wznecimy tu pożar.

- Nic mnie to nie obchodzi.

Pędzili na złamanie karku. Samochód podskakiwał na wybojach, ale miał wysokie zawieszenie i Sarah wiedziała, że nie musi się o nie martwić. Obejrzała się do tyłu: sosna płonęła, a ogień świecącymi mackami rozchodził się po ziemi.

- Co się dzieje, Sarah? - usłyszeli dobiegający z radia głos Kennera.

- Musieliśmy zjechać z drogi. Trafił nas piorun.

- I to niejeden! - wrzasnął Evans. - Cały czas w nas wałą!

- Znajdźcie to, co je przyciąga.

- Chyba przyczepili nam coś do samochodu.



Ledwie to powiedziała, kiedy kolumna ognia uderzyła w ziemię tuż przed maską auta. Oślepił ich i pozostawił zielone powidoki pod powiekami.

- Zostawcie wóz - krzyknął Kenner. - Wsiądźcie na czworakach. Wyłączył się. Evans gnał dalej, samochód chybotął się w koleinach.

- Nie chcę wysiadać - powiedział. - W aucie jesteśmy bezpieczniejsi. W telewizji zawsze mówią, żeby nie wysiadać, bo w środku jest bezpieczniej. Mamy opony. Guma izoluje.

- Ale coś się pali. - Sarah pociągnęła nosem.

Samochód podskoczył gwałtownie - z trudem zachowała równowagę, starając sienie dotykać odsłoniętych metalowych części drzwi.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie wysiadamy.

- Bak może eksplodować...

- Nie chcę wysiadać! Nie wsiądę!

Od ściskania kierownicy zbieleły mu knykcie. Zbliżali się do rozległej polany, porośniętej wysoką, pozółkłą trawą.

Piorun uderzył z przerażającym łoskotem; trafił w boczne lustro, które rozleciało się na kawałki jak granat. Chwilę później rozległo się głucho bum!, i samochód przechylił się na bok.

- Niech to szlag! - zaklął Evans. - Opona poszła!

- To tyle, jeśli chodzi o izolację.

Podwozie chrobotło o skraj koleiny, metal zgrzytał przeraźliwie.

- Peter?

- Dobrze, dobrze, tylko wyjadę na polanę.

- Chyba nie możemy tyle czekać.

Koleiny się skończyły, droga wygładziła i poskrzypując felgą, wjechali na polanę. Deszcz bryzgał na szybę. Nad trawą zamajaczyły dachy wyblakłych od słońca drewnianych budynków. Sarah dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że trafili do miasta-widma: opuszczonej osady górniczej.

Znów uderzył piorun i Evans wjechał prosto w stojącą przy drodze tabliczkę z napisem Auroraville, 82 mieszkańców.

- Peter, dojechaliśmy.

- Wiem, podjadę jeszcze troszeczkę...

- Nie! Wsiadamy!

Zatrzymał wóz i jednocześnie otworzyli drzwi z obu stron. Sarah rzuciła się na ziemię. Następna błyskawica chybiła ją o włos, ale podmuch gorącego powietrza pchnął ją i przetoczył po ziemi. Huk był potworny.

Dźwignęła się na kolana i przeczołgała za samochód. Z drugiej strony Evans coś krzyczał, ale go nie rozumiała. Obejrzała tylny zderzak. Niczego nie znalazła.

Nic na nim nie było.

Nie miała czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo następny piorun trafił prosto w wóz, zakolebał nim i strzaskał tylną szybę, która zasypała ją deszczem odłamków. Walcząc z narastającym strachem, obeszła na czworakach samochód i zaczęła się czołgać w stronę najbliższego domu.

Evans był gdzieś przed nią cały czas krzyczał, ale grzmoty skutecznie go zagłuszały. Modliła się, żeby nie było kolejnego wyładowania, nie teraz, kiedy była tak blisko...

Poczuła drewno pod palcami. Deski.

Stopień.

Przyspieszyła. Rozgarnęła trawę i zobaczyła ganek, walącą się chałupę i zwisający z krawędzi dachu szyld, który tak bardzo wyblakł i zszarzał, że nie mogła go odczytać. Evans już był w środku, ona gramoliła się na czworakach po schodkach, nie zwracając uwagi na drzazgi, a on coś krzyczał i krzyczał.

Wreszcie go zrozumiała:

- Uważaj! Skorpiony!

Były wszędzie, na całym ganku - małe, żółte, z uniesionymi odwłokami. Musiało ich być ze dwadzieścia. Poruszały się zadziwiająco szybko, bokiem, jak kraby.

- Wstań!

Wstała i pobiegła, miażdżąc skorpiony butami. Następna błyskawica trafiła w dach budynku i strąciła szyld; spadł na ganek, wzniecając chmurę kurzu.

Ale Sarah była już w domu. Evans stał na środku, unosił ręce w geście triumfu i krzyczał z radości:

- Udało się! Udało się nam!

- Dobrze, że to nie były węże - sapnęła Sarah.

- Że co?

- W takich starych domach mieszkają grzechotniki.

- Chryste Panie...

Grzmot przetoczył się nad polaną. I znów zaczęły się wyładowania.

Sarah obserwowała samochód przez brudne, rozbite okno. Odkąd wysiedli, nie trafił go ani jeden piorun... Na zderzaku nic nie było... Po co półciężarówka ich stuknęła? W jakim celu? Odwróciła się i podeszła do Evansa, żeby zapytać, czy też to zauważył...

I wtedy błyskawica przeszła dach na wylot. Deski poleciały na wszystkie strony, w dziurze w dachu zajaśniało niebo, a piorun uderzył w ziemię w miejscu, w którym przed chwilą stała Sarah. Zostawił po sobie osmolony zygzakowaty ślad jak cień kolczastego krzewu na podłodze. Mocno zapachniało ozonem. Z suchych desek uniosły się smużki dymu.

Evans otworzył boczne drzwi, by wyskoczyć na dwór.

- Jeszcze jeden i chałupa się spali!

- Schyl się! Wybiegli oboje.

Padło coraz bardziej. Sarah czuła duże krople na plecach i ramionach. Przemknęli do sąsiedniego budynku, który miał ceglany komin i cały wyglądał solidniej. Tylko okna były takie same: powybijane i brudne jak siedem nieszczęść.

Bocznego wejścia nie udało im się otworzyć, więc obiegli dom od przodu. Frontowe drzwi były otwarte na oścież. Sarah wpadła do środka. Błyskawica strzeliła w ziemię tuż za jej plecami; załamała dach nad gankiem i rozszepiła jedną z podpierających go kolumnienek. Fala uderzeniowa strzaskała wszystkie szyby we frontowej ścianie; brudne szkło posypało się jak grad. Sarah odruchowo zasłoniła twarz rękami; chwilę później zorientowała się, że trafili do kuźni. Na środku pomieszczenia znajdowało się duże palenisko, a nad nim z sufitu zwieszały się najróżniejsze metalowe narzędzia. Na ścianach wisiały podkowy, szczypce i masa innego żelastwa.

Metal. Wszędzie było pełno metalu.

Zagrzmiało złowróźnie.

- Uciekajmy stąd! - zawołał Evans. - To fatalna kryjówka...

Nie skończył, bo następny piorun przebił sufit i zwałił go z nóg. Podmuchał powietrze rozkołysał wiszące narzędzia, a wyładowanie trafiło w palenisko. Odłamki cegieł poleciały na wszystkie strony. Sarah skuliła się, osłoniła głowę i uszy. Deszcz odłamków siekł ją po plecach, nogach, ramionach, aż w końcu powalił ją na ziemię. Całe czoło eksplodowało jej bólem. Pod powiekami wybuchły

gwiazdy, a potem wszystko pochłonęła czerń. Grzmoty ucichły i zapadła wieczna cisza.

## Las

### Poniedziałek, 11 października Godz. 11.11

Kenner był dwadzieścia pięć kilometrów stamtąd i jechał na wschód drogą numer 47, nasłuchując dźwięków z nadajnika Sarah. Nie wyłączyła radia, a miała je przypięte do paska. Nie do końca wiedział, co się dzieje, bo każde wyładowanie powodowało piętnastosekundowy szum w eterze, ale z grubsza rozumiał sytuację: mimo że Evans i Sarah wysiedli z samochodu, burza nadal szalała wokół nich. Wyglądało na to, że pioruny za nimi podążają.

Krzyczał do mikrofonu, wywołując Sarah, ale albo ściszyła głośnik, albo coś się z nimi działo w górniczej osadzie.

- Pioruny idą za wami! - powtarzał Kenner. Nie doczekał się odpowiedzi.

Po następnej serii trzasków zapadła cisza. Zmienił kanał.

- Sanjong?

- Słucham, profesorze?

- Słyszałeś to?

- Tak.

- Gdzie jesteś?

- Na drodze numer 190, jadę na północ. Zostało mi jakieś pięć kilometrów do pajęczyny.

- Jedziesz w burzy?

- Nie, dopiero zaczyna padać. Widzę pierwsze krople deszczu na szybie.

- W porządku. Nie wyłączaj się. Kenner włączył kanał Sarah.

- Sarah! Jesteś tam?! Sarah! Sarah! Usłyszał słabe kasznięcie.

- Sarah?!

Pstryk. Łup! Ktoś wziął radio do ręki. I znów zakaszłał.

- Tu Peter Evans.

- Co tam się dzieje?!

- ...nie żyje.

- Co?

- Ona nie żyje. Nie żyje. Dostała cegłą, upadła i wtedy trafił piorun, walnął prosto w nią, kiedy leżała. Nie żyje. Siedzę koło niej, a ona nie żyje. Nie żyje, kurczę, rozumiesz? Nie żyje...

- Zrób jej usta-usta.

- Przecież ci mówię, że ona nie żyje!

- Peter! Usta-usta.

- Mój Boże... Jest cała sina...

- To znaczy, że żyje, Peter.

- ...jak trup, jak... trup...

- Posłuchaj mnie, Peter.

Ale Evans nie słuchał. Jak ostami dureń trzymał wciśnięty guzik nadawania. Kenner zaklął pod nosem. I usłyszał następną serię trzasków. Wiedział, co to oznacza.

Następny piorun. I to blisko.

- Sanjong?

Na kanale Sanjonga też słyszał tylko szum. Minęło dziesięć sekund, piętnaście. Czyli tam też było wyładowanie. Nagle doznał olśnienia. Usłyszał kasłanie Sanjonga.

- Nic ci się nie stało?

- Piorun uderzył blisko auta. Coś niesamowitego, tak blisko...

- To chyba nadajniki.

- Tak myślisz?

- Skąd je mamy?

- Przysłano je FedEx-em z Waszyngtonu.

- Paczkę odebrałeś osobiście?

- Nie, przyszła do motelu. Właściciel dał mi ją, kiedy się meldowałem... Ale była nienaruszona.

- Wyrzuć radio.

- Sieci komórkowe nie mają tu zasięgu, stracimy... I tyle. Znów trzaski.

- Peter?

Cisza. Nie było słycać nawet zakłóceń.

- Peter, odezwij się. Peter! Jesteś tam? Nic. Głucha cisza.

Kenner czekał, ale Evans się nie odzywał.

Pierwsze krople plasnęły o szybę. Otworzył okno i wyrzucił nadajnik, który odbił się od nawierzchni i wpadł w trawę po drugiej stronie drogi. Przejechał sto metrów, kiedy za jego plecami piorun uderzył w przeciwległe pobocze.

Więc jednak nadajniki.

Ktoś się do nich dobrał. W Waszyngtonie? Czy już tutaj, w Arizonie? nie wiadomo, a w tej chwili i tak nie miało to większego znaczenia. Precyzyjnie skoordynowany plan wziął w łeb i sytuacja nagle zrobiła się groźna. Chcieli uszkodzić wszystkie trzy stanowiska jednocześnie, ale teraz było to niemożliwe. Oczywiście Kenner mógł zniszczyć pajęczynę, do której jechał, a Sanjong, jeśli jeszcze żył, swoją - nie mieli jednak szans uderzyć jednocześnie. A na tego, który się spóźni, będzie czekać uzbrojony komitet powitalny, zawiadomiony przez obsługę pierwszej pajęczyny - co do tego Kenner nie miał wątpliwości.

Sarah i Evans byli martwi lub, w najlepszym razie, wyłączeni z akcji. Stracili samochód. Oni na pewno nie zdążyliby na swoje stanowisko.

Trudno. Zniszczą tylko jedną pajęczynę. Najwyżej dwie.

Czy to wystarczy?

Oby, pomyślał.

Droga przed samochodem jasną wstęgą wiła się pod ciemnym niebem. Kenner starał się nie myśleć o tym, czyjego towarzysze żyją może wszyscy troje zginęli. Ale jeśli on nie powstrzyma burzy, zabitych będą setki. Dzieci. Całe rodziny. Papierowe talerzyki zatopione w błocie. Ekipy ratunkowe wygrzebujące zwłoki z mułu.

Musi temu zapobiec.

Wjechał w serce burzy.

**McKinley**

## **Poniedziałek, 11 października Godz. 11.29**

- Mamo! Mamo! Brad mnie uderzył! Mamo! Powiedz mu, żeby przestał!

- Dzieci, dzieci...

- Bradley? Ile razy mam ci powtarzać, żebyś dał siostrze spokój?

Miguel Rodriguez z arizońskiej drogówki stał przy samochodzie i obserwował ludzi bawiących się na pikniku. Dochodziło wpół do dwunastej, dzieci robiły się głodne i niespokojne. W całym parku paliły się grille; dym snuł się pod coraz ciemniejszym niebem. Niektórzy rodzice z troską spoglądali w górę, ale nikt nie zbierał się do odjazdu. Deszcz jeszcze nie zaczął padać, chociaż było już widać i słyszeć pioruny bijące kilka kilometrów dalej na północ.

Spojrzał na leżący na fotelu megafon. Od pół godziny czekał na kontakt radiowy z agentem Kennerem, który miał mu dać sygnał do ewakuacji parku.

Ale Kenner się nie odzywał.

A wcześniej wydał mu bardzo szczegółowe instrukcje: nie zarządzać ewakuacji bez rozkazu.

Rodriguez nie bardzo wiedział, na co czekają, ale Kenner był uparty. Powoływał się na kwestię bezpieczeństwa narodowego - czego Rodriguez również nie rozumiał. Jaki związek może mieć piknik w parku z bezpieczeństwem kraju?

Ale rozkaz to rozkaz. Dlatego czekał, niecierpliwił się i obserwował niebo. Nawet kiedy w wiadomościach podano ostrzeżenie przed gwałtownymi powodziami dla wschodnich hrabstw Arizony, od Kayenty przez Two Guns aż po Camp Payson - czyli na terenie obejmującym park McKinley - nie zareagował.

Nie mógł wiedzieć, że kontaktu radiowego nie będzie.

## **Aurora**

## **Poniedziałek, 11 października Godz. 11.40**

Patrząc z perspektywy czasu, Evans zdał sobie sprawę, że uratowało go delikatne mrowienie, które poczuł, biorąc radio w spoconą dłoń. Chwilę wcześniej zauważył, że pioruny podążają ich śladem. Coś je przyciągało. Nie był naukowcem, ale zakładał, że przedmiot wabiący błyskawice musi być albo metalowy, albo zawierać jakieś elementy elektroniczne. Podczas rozmowy z Kennerem poczuł delikatne ukłucie prądu i instynktownie cisnął odbiornik w drugi kąt pomieszczenia. Radio spadło wprost na metalowe urządzenie, podobne zarazem do imadła i pułapki na niedźwiedzie.

Ułamek sekundy później uderzył piorun - biały, oślepiający i ogłuszający. Evans rzucił się na podłogę i padł na ciało Sarah. Był otępiały ze strachu i mało co słyszał, ale wydawało mu się, że Sarah się poruszyła. Wstał i zaczął się krztusić; kuźnię wypełnił dym. Przeciwległa ściana zajęła się ogniem - płomienie na razie były małe, ale szybko sięgały coraz wyżej. Spojrzał na Sarah, nieruchomą, siną i lodowatą. Nie miał wątpliwości, że nie żyje. Musiało mu się wydawać, że drgnęła, ale...

Zatkał jej nos i zaczął robić sztuczne oddychanie. Przeraziło go, że Sarah ma takie zimne usta. Na pewno nie żyje. Iskry i sadza coraz gęściej latały w powietrzu. Powinien się pospieszyć i uciec, zanim cała kuźnia zwali mu się na głowę. Zgubił rytm.

Reanimacja i tak nie miała sensu. Huk ognia narastał. Dźwigary zaczynały się tlić.

Spanikowany zerwał się na równe nogi, dopadł do drzwi, otworzył je i wybiegł na dwór. Ze zdumieniem poczuł bolesne uderzenia kropel deszczu. Ulewa się wzmogła; w mgnieniu oka przemókł do suchej nitki - i otrzeźwiał. Obejrzał się: Sarah leżała na podłodze. Nie mógł jej tak zostawić.

Cofnął się, złapał ją za ręce i wywlókł z kuźni. Zaskoczył go ciężar jej bezwładnego ciała. Głowa opadła jej na ramię, usta się otworzyły, oczy miała zamknięte. Nie żyła.

Wyszedł na deszcz, złożył ją w pozółkłej trawie, klęknął przy niej i znów zaczął ją reanimować. Nie wiedział, jak długo pracował w tym samym równym rytmie: minutę, dwie, może pięć. Nie miało to oczywiście sensu, ale nie zastanawiał się nad tym. Powtarzalność tej czynności działała kojąco i pozwalała mu zająć czymś myśli. Lało jak z cebra, za jego plecami płonęło wymarłe miasto, a on...

Ciałem Sarah wstrząsnął spazm. Wyprężyła się tak gwałtownie, że Evans ją puścił. Przez chwilę targał nią odruch wymiotny, potem zaczęła kaszleć.

- Sarah...

Jęknęła i przetoczyła się na bok. Chwycił ją w ramiona i przytulił. Oddychała, powieki jej trzepotały, ale nadal sprawiała wrażenie nieprzytomnej.

- Sarah, proszę...

Rozkaszała się na dobre. Dostała drgawek, jakby śmiertelnie się zakrztusiła.

- Sarah...

Pokręciła głową, jakby chciała się otrząsnąć, i otworzyła oczy.

- Rany... - mruknęła. - Ale mnie łeb boli. Evans omal się nie rozplakał.

Sanjong spojrział na zegarek. Deszcz się nasilił, wycieraczki pracowały szybko. Zrobiło się tak ciemno, że musiał włączyć reflektory.



Dawno już pozbył się nadajnika i pioruny przestały bić wokół samo - chodu, ale burza trwała; cały czas słyszał odległe dudnienie grzmotów. Z odczytu GPS-u wynikało, że znalazł się dosłownie kilkaset metrów od pajęczyny, którą miał zniszczyć.

Wyteżył wzrok, szukając zjazdu, i w tej samej chwili dostrzegł wzbijające się w powietrze pierwsze rakiety. Niczym czarne ptaki pofrunęły wprost ku ciemnym, skłębionym chmurom.

Chwilę później cała wiązka błyskawic spłynęła po mikrodrutach i uderzyła w ziemię.

Piętnaście kilometrów na północ od tego miejsca Kenner patrzył, jak startują rakiety z trzeciej pajęczyny. Przypuszczał, że w pierwszej salwie poleciało ich około pięćdziesięciu, czyli dalsze sto wciąż czekało na ziemi.

Zjechał na skraj drogi, skręcił w prawo i prawie od razu trafił na polanę w lesie. Na jej skraju stała osiemnastokołowa ciężarówka, a obok dwóch mężczyzn w żółtych płaszczach przeciwdeszczowych. Jeden z nich trzymał w rękach pudełko. Detonator.

Kenner nie wahał się ani chwili: mszył w ich stronę. Zaskoczeni mężczyźni ledwie zdążyli odskoczyć, kiedy terenówka otarła się o szoferkę ciężarówki. Zgrzytnął metal. Kenner skręcił wprost w pajęczynę.

We wstecznym lusterku widział, jak tamci zrywają się na równe nogi. Wjechał między wyrzutnie, starając się miażdżyć je kołami i niszczyć druty. Słyszał dobiegający spod kół głuchy, metaliczny stukot. Miał nadzieję, że uda mu się w ten sposób zakłócić cykl odpalania rakiet, ale tak się nie stało.

Tuż przed maską jego wozu wystartowało następnych pięćdziesiąt pocisków.

Sanjong znalazł się tymczasem na drugiej polanie. Z prawej strony dostrzegł drewnianą chatę i zaparkowaną przy niej ciężarówkę. W domu paliło się światło; na tle okien przesuwaly się cienie. W środku musiało być kilka osób. Wychodzące przez przednie drzwi domku przewody znikaly w wysokiej trawie.

Skręcił w stronę chaty, włączył tempomat i zablokował kierownicę.

Z domu wyszedł mężczyzna z pistoletem maszynowym. Broń plunęła ogniem. Przednia szyba samochodu rozprysnęła się w drobny mak. Sanjong otworzył drzwiczki po swojej stronie i wyskoczył z auta. Mocno ściskając karabin, przetoczył się po trawie.

Dźwignął się na klęczki w samą porę, żeby zobaczyć, jak samochód uderza w dom. Buchnął dym, rozległy się krzyki - najdalej dwadzieścia metrów od niego. Czekał. Po krótkiej chwili człowiek z pistoletem podbiegł do samochodu, szukając kierowcy. Cały czas coś pokrzykiwał.

Sanjong strzelił. Mężczyzna upadł.

Sanjong czekał dalej. Z domu na deszcz wybiegł drugi mężczyzna. Krzyknął coś, zobaczył leżącego, odskoczył i skulił się za przednim zderzakiem wozu. Zawołał do leżącego.

Sanjong znów strzelił. Mężczyzna zniknął mu z oczu, ale Sanjong nie był pewien, czy go trafił.

Musiał zmienić miejsce. Deszcz sprasował trawę, która nie dawała już dobrej osłony. Przeturlał się dziesięć metrów w bok i zaczął się czołgać do przodu, próbując zajrzeć do wnętrza domku. Niestety, samochód zaklinował się w drzwiach frontowych, a światła pogasły. W domu na pewno było więcej ludzi, ale teraz nikogo nie widział. Nikt też nie krzyczał. Było słychać tylko basowe grzmoty i stukot deszczu.

Wyteżył słuch. Usłyszał trzask radionadajnika i ludzkie głosy.

Nie mylił się. W domku wciąż byli ludzie.

Czekał.

Deszcz zalewał Evansowi oczy, kiedy dociągał nakrętki na przednim kole terenówki. Udało mu się zmienić koło. Otarł krople z twarzy i dokręcił kolejno wszystkie śruby. Na wszelki wypadek. Musieli wrócić na główną drogę, a w takiej ulewie gruntowa dróżka dojazdowa na pewno zrobiła się błotnista. Nie chciał zgubić koła.

Sarah czekała w samochodzie, do którego musiał ją na wpół zanieść, na wpół zaciągnąć. Była oszołomiona i półprzytomna, zdziwił się więc, słysząc, że coś do niego woła.

Podniósł wzrok.

Po drugiej stronie polany zamajaczyły reflektory samochodu. Zmrużył oczy.

Niebieska półciężarówka.

- Peter!

Rzucił klucz na ziemię i podbiegł do drzwi. Sarah zdążyła już włączyć silnik, kiedy wskoczył za kierownicę i wrzucił bieg. Półciężarówka pędziła ku nim przez polanę.

- Jedź!

Dodał gazu, zawrócił i wjechał w las tą samą drogą, którą przyjechali. Deszcz ugasił pożar w wymarłej osadzie; ze zgliszczy z sykiem buchały tumany dymu i pary.

Niebieska półciężarówka nawet nie zwolniła przy dymiących budynkach. Wjechała na drogę i ruszyła w pościg.

Kenner zawrócił w stronę osiemnastokółowca. Tamci dwaj znów stali obok szoferki. Jeden trzymał detonator, drugi wyciągnął pistolet i zaczął strzelać. Kenner przyspieszył ostro i najechał na niego. Ciało poleciało w powietrze i przetoczyło się po dachu terenówki. Drugi z mężczyzn cudem uniknął śmierci. Kenner szarpnął kierownicę.

Zobaczył, jak ten, którego potrafił, wstaje z trawy, chwiejąc się na nogach. Drugiego nie było nigdzie widać. Potracony znów strzelił - i Kenner znów na niego najechał. Tym razem ciało dostało się pod koła; samochodem zatrzęsło.

Kenner cały czas rozglądał się za tym z detonatorem.

Nigdzie go nie widział.

Zakręcił i zatrzymał się. Mężczyzna miał tylko jedną kryjówkę. Kenner ruszył wprost na ciężarówkę.

Sanjong wciąż czekał w trawie, kiedy usłyszał warkot silnika ciężarówki. Jego samochód zasłaniał mu widok; ciężarówka musiała się znajdować gdzieś za nim. Usłyszał, jak kierowca wrzuca wsteczny i zaczyna cofać.

Wstał, odwrócił się i zaczął biec. Kula wizgnęła mu koło ucha. Znów rzucił się na ziemię. Ktoś został w domku.

Nie wychylając się z trawy, poczołgał się naprzód, w stronę ciężarówki. Pociski siekły ziemię dookoła; wiedzieli, gdzie jest. Trawa go nie osłaniała. A to znaczyło...

Odwrócił się w stronę domku i otarł twarz zalaną wodą. Podniósł lunetkę do oczu.

Ktoś siedział na dachu. Był ledwie widoczny, ale nie wtedy, kiedy się podnosił i strzelał.

Sanjong strzelił, mierząc tuż poniżej kalenicy; kula musiała przebić drewno na wylot, bo strzelec zniknął, a jego karabin zsunął się po dachu i spadł na ziemię.

Sanjong pobiegł do ciężarówki, ale zdążyła już wyjechać z polany na główną drogę i zobaczył tylko jej tylne światła.

Kenner wyskoczył z wozu i przypadł do ziemi. Zobaczył drugiego z mężczyzn, który kulił się pod ciężarówką. - Nie strzelaj! - wołał rozpaczliwie. - Nie strzelaj!

- Wyjdź powoli. I pokaż ręce. Chcę widzieć, że nic w nich nie masz.

- Ale nie strzelaj...

- Wyłaż. Powoli i...

Zaterkotał pistolet maszynowy. Mokra trawa obok Kennera zatrzęszczała głośno. Kenner wcisnął twarz w mokrą ziemię. Czekał.

Sarah obejrzała się przez ramię.

- Szybciej!

Terenówka podskakiwała w błocie, reflektory omiatały drzewa i krzewy.

- Chyba nie dam rady...

- Doganiają nas! Musisz dodać gazu!

Las prawie się skończył, od drogi dzieliło ich dosłownie kilkadziesiąt metrów. Evans przypomniał sobie, że ostatni kawałek leśnej przecinki jest trochę równiejszy. Przyspieszył.

Wyjechał na drogę i skręcił na południe.

- Co ty robisz?! Musimy jechać na stanowisko raketowe!

- Za późno. Wracamy do parku.

- Obiecaliśmy Kennerowi...

- Za późno - powtórzył Evans. - Sama popatrz, burza rozpętała się na dobre. Musimy pomóc tym ludziom w parku.

Włączył wycieraczki na maksymalne obroty. Gnali na złamanie karku. Półciężarówka wynurzyła się z lasu i ruszyła za nimi.

Miguel Rodriguez od dłuższej chwili obserwował wodospad. Jeszcze przed godziną spadająca z urwiska woda rozpylała się w białą mgiełkę. Teraz miała brunatny odcień i było jej znacznie więcej. Rzeka zmętniała, przybrała, a jej nurt stawał się coraz bardziej rwący.

W samym parku deszcz nie padał, chociaż w powietrzu wyraźnie wyczuwało się wilgoć i trochę pokropiło. Kilka rodzin zrezygnowało z grillowania, z pół tuzina pakowało się do samochodów, żeby zdążyć przed burzą - ale większość bawiła się w najlepsze. Dyrektor szkoły krążył wśród uczestników pikniku, przekonywał gości, że niedługo się wypogodzi, i namawiał ich, żeby zostali.

Rodriguez nie mógł spokojnie usiedzieć na miejscu. Połuźniał nerwowo kołnierzyk, chodził wokół radiowozu, słuchał policyjnych ostrzeżeń przed gwałtownymi powodziami w hrabstwie Clayton, czyli również na terenie Parku McKinley. Miał już dość tego czekania, ale mimo wszystko wciąż się wahał.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego Kenner się nie odzywa. Park leżał w kanionie, a zanosilo się na gwałtowną powódź. Rodriguez, który wychował się w północnej Arizonie, zdawał sobie sprawę, że najwyższy czas ewakuować park.

Czemu Kenner milczy?

Zabębnił palcami w drzwiczki samochodu.

Poczeka jeszcze pięć minut.

Tak, pięć minut. I ani chwili dłużej.

Najbardziej niepokoił go wodospad. Zbrązowiała woda odstraszyła ludzi, wielu odeszło od brzegu, ale grupka nastolatków dalej pluskała się w zatoczce. A Rodriguez wiedział, że lada chwila z klifu mogą spaść niesione wodą kamienie. A nawet mały kamyk spadający z tej wysokości może zabić człowieka.

Zastanawiał się właśnie nad tym, czy nie zarządzić ewakuacji okolic wodospadu, kiedy zauważył coś dziwnego: na górze, na skraju urwiska zatrzymała się furgonetka z anteną. Wyglądała jak wóz transmisyjny telewizji. Nie miała żadnego napisu, ale wydawało mu się, że widzi jakieś logo - tyle że z tej odległości nie potrafił go rozpoznać. Kamerzysta wysiadł z wozu i stanął nad wodospadem: opartą na ramieniu kamerą filmował rozciągający się w dole park. Obok niego pojawiła się kobieta w spódnicy i bluzce. Musiała mu chyba wskazywać kierunki co ciekawszych ujęć, bo przesuwiał kamerę zgodnie z ruchem jej ręki.

Dziennikarze. Jak nic.

Dziennikarze na szkolnym pikniku?

Rodriguez zmrzył oczy, usiłując rozpoznać znaczek stacji: był żółto-niebieski i składał się z wirujących, splecionych kółek. Nie była to żadna z lokalnych sieci. Ekipa reporterska, która zjawia się w parku tuż przed burzą? - dziwne. Zaniepokojony postanowił podejść i porozmawiać z dziennikarzami.

Kenner nie chciał zabijać mężczyzny pod ciężarówką; nigdy nie udało się złapać członka ELF-u, a ten wydawał się idealnym kandydatem na więźnia. Miał najwyżej dwadzieścia kilka lat. I pewnie był roztrzęsiony po śmierci kolegi. Na pewno też kiepsko strzelał z broni maszynowej.

A teraz bał się, że sam może zginąć. Może już zaczął się zastanawiać nad słusznością sprawy, w którą się zaangażował.

- Wyjdź! - zawołał Kenner. - Wyjdź. Nic ci nie zrobię.

- Wal się! Poza tym kim ty jesteś, kurwa twoja mać? Masz, kuma, problem?! Widzę, że nic nie jarzysz! Chcemy uratować Ziemię, facet!

- Łamiecie prawo.

- Prawo! - prychnął tamten pogardliwie. - Prawo dyktują korporacje, które zatruwają środowisko i niszczą życie.

- Na razie to wy chcecie być mordercami.

Grzmoty przetaczały się nad okolicą, błyskawice rozświetlały ciemne jak atrament chmury. Sytuacja wyglądała absurdalnie - pogadanka w środku burzy.

Ale jeżeli miałyby się zakończyć pojmaniem gościa, to gra była warta świeczki.

- Nikogo nie zabiłem. Nawet ciebie.

- Chcecie zabić dzieci. W parku. Chcecie zabić rodziny, które przyjechały na piknik.

- Zmiany społeczne wymagają ofiar. Tego uczy historia.

Kenner nie wiedział, czy tamten wierzy w to, co mówi, powtarza zasłyszane w szkole komunały, czy po prostu bredzi ze strachu. A może chce tylko odwrócić jego uwagę...

Spojrzał w prawo, tam, gdzie zostawił samochód. Para nóg obchodziła terenówkę z drugiej strony.

Szkoda, pomyślał. Był rozczarowany. Wycelował i przestrzelił człowiekowi za samochodem kostkę. Mężczyzna zawył z bólu i padł na plecy. Teraz Kenner mógł mu się przyjrzeć: nie był młody, wyglądał na czterdzieści, może czterdzieści pięć lat, miał brodę, a w rękach trzymał pistolet maszynowy. Właśnie próbował się przeturlać i zająć pozycję do strzału...

Kenner strzelił dwa razy. Głowa brodacza odskoczyła. Wypuścił broń i znieruchomiał, dziwnie wygięty.

Ten spod ciężarówki otworzył ogień, ale strzelał na oślep. Kilka kul trafiło w karoserię terenówki. Kenner leżał w trawie, z głową przy ziemi.

Kiedy strzały ucichły, zawołał:

- Masz ostatnią szansę.

- Pierdol się!

Kenner czekał. Milczenie się przeciągało. Wsłuchał się w szum deszczu, który przeszedł w gęstą ulewę. Czekał.

- Słyszałeś mnie, zdrańcu jeden?!

- Słyszałem - odparł Kenner i strzelił.

Prawdziwa ulewa pustynna, pomyślał Evans, ściskając mocniej kierownicę. Wichura pędziła przed sobą lite ściany deszczu. Wycieraczki nie nadążały ze zgarzaniem wody i ledwie widział drogę. Zwolnił najpierw do osiemdziesięciu, potem do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a teraz jechał niecałapięćdziesiątką. Śledząca ich półciężarówka też zwolniła. Jej kierowca też nie miał wyboru.

Minęli po drodze ze dwa samochody, które zjechały na pobocze i czekały, aż deszcz ustanie. To było najrozsądniejsze wyjście.

Poboczami płynęły strugi wody, która w nierównej nawierzchni natychmiast tworzyła bajora i rwące strumyki. Czasem trudno było przewidzieć głębokość kałuży i Evans bał się, że zamoczy

silnik.

Nie widział żadnych znaków drogowych. Zrobiło się ciemno jak w nocy, więc jechał z włączonymi reflektorami, ale niewiele to pomagało. Widoczność miał ograniczoną do kilku metrów.

Spojrzał na Sarah - siedziała sztywno ze wzrokiem utkwionym w drogę przed samochodem, nie poruszała się ani nie odzywała. Zastanawiał się, czy na pewno dobrze się czuje.

W lusterku migały mu czasem światła niebieskiej półciężarówki, ale tylko wtedy, gdy przebiły się przez kurtynę deszczu.

- Wydaje mi się, że dojeżdżamy do parku - stwierdził. - Ale pewności nie mam.

Przednia szyba zaczynała zachodzić mgłą. Przetarł ją przedramieniem; materiał zaskrzypiał na szkle. Przez chwilę widział trochę lepiej. Znaleźli się na szczycie łagodnego wzgórza i zaczęli zjeżdżać w dół, prosto w...

- Szlag by to...

- Co jest? - ocknęła się Sarah.

- Patrz.

U stóp pagórka znajdował się przepust pod drogą. Dołem przepływał strumyk, który wcześniej był wątlą srebrzystą struzką w kamienistym łożysku, a podczas ulewy wezbrał na tyle, że teraz przelewał się w poprzek jezdni jak wartka rzeka.

Evans nie miał pojęcia, jak jest głęboki. Chociaż pewnie nie bardzo.

- Peter? Zatrzymałeś się.

- Wiem.

- A nie powinienes.

- Nie wiem, czy przejedziemy. Nie wiem, jak tam jest głęboko... „Piętnaście centymetrów płynnego błota zmiecie samochód jak zabawkę”.

- Nie mamy wyboru.

W lusterku pojawiły się światła półciężarówki. Evans ruszył w dół. Nie odrywał wzroku od lusterka, ciekaw, co robi kierowca goniącego ich samochodu. Zwolnił, ale nie zrezygnował z pościgu - również rozpoczął zjazd.

- Trzymaj kciuki - mruknął Evans.

- Wszystko trzymam.

Wjechali w wodę, która z głośnym szumem chlapnęła na boki wozu i zabulgotała pod podłogą. Evans bał się panicznie, że silnik zgaśnie, ale na razie pracował równo.

Odetchnął z ulgą. Dojechali do środka rzeczki, która okazała się płytsza, niż sądzili: miała najwyżej sześćdziesiąt, siedemdziesiąt centymetrów. Dadzą radę.

- Peter... - Sarah wyciągnęła przed siebie rękę.

Drogą sunął w ich stronę olbrzymi osiemnastokółowiec. Oślepił ich reflektorami i wcale nie zwalniał.

- To jakiś idiota.

Brnąc powoli przez wodę, Evans skręcił lekko w prawo, robiąc ciężarówce więcej miejsca. Osiemnastokółowiec zjechał na jego pas. Nadal nie zwalniał.

Czerwony napis nad kabiną wyglądał znajomo: a&p.

- Zrób coś, Peter!

- Niby co?!

- Cokolwiek!

Kilkanaście ton ryczącej stali gnało prosto na nich. Evans zerknął w lusterko: półciężarówka się zbliżyła. Wzięli ich w dwa ognie. I zamierzali zepchnąć z drogi. Spod kół ciężarówki tryskały fontanny wody.

- Peterrrr!

Nie miał wyboru.

Skręcił i zjechał z jezdni wprost do rwącego potoku.

Samochód się przechylił, woda chlapnęła na maskę, sięgnęła szyby i przez chwilę mieli wrażenie, że zaraz utoną. Wtedy jednak zderzak uderzył o kamienie na dnie, koła znalazły oparcie i wóz się wyprostował.

Evans poczuł przyływ adrenaliny, kiedy przez sekundę wydawało mu się, że zdoła poprowadzić terenówkę korytem strumienia - zwłaszcza że nie był wcale taki głęboki, jak się obawiali. Chwilę później silnik zgasł, samochód zaczął się obracać tyłem i poniosła ich woda.

Evans przekręcił kluczyk, ale zapłon nie działał. Samochód sunął łagodnie, podskakując na nierównościach rzecznej koryta. Od czasu do czasu się zatrzymywał - wtedy Evans zastanawiał się, czy nie spróbować wyskoczyć - ale woda zaraz spychała go dalej.



Obejrzał się przez ramię; główna droga została daleko w tyle. Bez ogrzewania okna szybko zachodziły parą i musiał ciągle je przecierać. Sarah milczała, kurczowo uczepona fotela. Samochód uderzył o większy kamień i znieruchomiał.

- Nie powinniśmy wysiąść? - zasugerowała.

- Lepiej nie.

Samochód dygotał w napierającej nań wodzie.

- Chyba jednak tak.

Znów zaczęli się poruszać. Silnik nie chciał zaskoczyć. Nagle Evans coś sobie przypomniał.

- Otwórz okno, Sarah.

- Słucham?

- Otwórz okno.

- Dobrze. - Pstryknęła przełącznikiem. - Nie działa.

Evans nacisnął swój przełącznik - z takim samym skutkiem. Wysiadła instalacja elektryczna.

Zaryzykował jeszcze z tylnymi oknami - i lewe otworzyło się bezszelestnie.

- Udało się!

Sarah nic nie powiedziała. Woda pędziła coraz szybciej, samochód też przyspieszył. Evans przecierał szyby i wyteżał wzrok, ale wciąż niewiele widział. Nagle autem szarpnęło - i coś się zmieniło: zaczęli sunąć jeszcze szybciej, ale obracając się wokół osi. Koła straciły kontakt z dnem.

- Gdzie jesteśmy? Co się dzieje?! Oboje zaczęli na wyścigi przecierać szyby.

- Jezu... - jęknęła Sarah.

Znajdowali się na samym środku rwącej, mętnej rzeki. Brunatna woda kłębiła się i pieniała wokół nich, niosąc wyrwane z korzeniami drzewa i różne śmiecie. Z każdą chwilą poruszali się coraz szybciej.

Woda zaczęła wdzierać się do środka. Oboje mieli już mokre nogi. Evans wiedział, co to oznacza.

Toną.

- Naprawdę powinniśmy wysiąść, Peter.

- Nie.

Evans wpatrywał się w zmętniałe fale: woda przelewała się przez głązy, w nurcie porobiły się bystrza i głębiny. Gdyby mieli piankowe kombinezony i kaski, odważyłby się do niej skoczyć, ale bez zabezpieczeń czekała ich pewna śmierć.

Samochód przechylił się mocno w prawo, ale za chwilę się wyprostował. Evans miał jednak wrażenie, że wcześniej czy później się przewróci, a wtedy zatonie błyskawicznie.

- Czy to znajomy widok? - Evans wyrztał przez okno. - Co to za rzeka?

- Też pytanie!

- Patrz!

Kiedy Rodriguez zobaczył niesiony nurtem samochód, natychmiast włączył syrenę i sięgnął po megafon.

- Proszę państwa, zarządzam natychmiastową ewakuacją! To gwałtowna powódź! Proszę jak najszybciej przenieść się na wyżej położony teren!

Syrena jeszcze raz zawyła.

- Szybko! Proszę zostawić rzeczy i uciekać!

Terenówka prawie zniknęła mu z oczu, niesiona wodą w stronę estakady McKinley. Zaraz za wiaduktem było urwisko i trzydziestometrowy wodospad.

Ludzie uwięzieni w samochodzie nie mieli szans przeżyć upadku z takiej wysokości. A on nie mógł im pomóc.

Evans nie myślał, nie planował; ledwie był w stanie trzymać się fotela i kierownicy. Nurt miotał samochodem jak zabawką, a lodowatej wody cały czas przybywało - teraz sięgała im już do kolan. Wyglądało na to, że wóz, choć coraz cięższy, jest coraz bardziej niestabilny, a jego ruchy coraz bardziej nieprzewidywalne.

Zderzyli się z Sarah głowami. Jęknęła tylko, ale wciąż milczała. Zaraz potem Evans wyrznął głową w słupek dzielący drzwi i gwiazdy stanęły mu przed oczami.

Po chwili przez przednią szybę zobaczył wiadukt, wsparty na potężnych, betonowych podporach. Przy każdej z nich gromadziła się masa spływających z wodą śmieci: gałęzi, osmalonych pniaków, starych desek i przeróżnych szczątków. Woda z hukiem przeciskała się przez wolną przestrzeń.

- Sarah! - zawołał. - Odepnij pas!

Sięgnął do klamry swojego pasa, która dawno zniknęła pod wodą.

- Nie dam rady! - usłyszał. - Nie mogę dosięgnąć klamry! Pochylił się, żeby jej pomóc.

- Co chcesz zrobić? - spytała Sarah.

- Musimy się stąd wydostać.

Woda wcisnęła pędzący samochód w masę splątanych gałęzi. Zadygotał i znieruchomiał, obijając się o unoszącą się w wodzie starą lodówkę. (Lodówkę? - zdziwił się Evans). Nad ich głowami wznosił się filar wiaduktu. Wody było tak dużo, że od jezdni dzieliły ich dosłownie trzy metry.

- Musimy się stąd wydostać, Sarah - powtórzył.

- Nie mogę odpiąć pasa.

Sięgnął ręką, próbując namacać klamrę; w mętnej wodzie nic nie widział i musiał zdać się na dotyk. Samochód drgnął.

W każdej chwili mógł się stoczyć w dół rzeki.

Sanjong pędził jak wariat drogą prowadzącą na wiadukt. Zobaczył Petera i Sarah, znoszonych prądem w stronę filara, widział, jak w niego uderzyli, zatrzymali się i tkwili w stanie niepewnej równowagi.

Na wiadukcie stłoczyło się mnóstwo samochodów: spanikowani uczestnicy pikniku próbowali wydostać się z parku, klaksony nie milkły - totalne zamieszanie. W końcu jednak Sanjong przejechał na drugą stronę i wyskoczył z wozu. Ruszył biegiem w stronę uwięzionego pod estakadą samochodu.

Evans trzymał się kurczowo fotela. Samochodem rzucało na wszystkie strony, lodówka obijała się o karoserię, gałęzie wciskały się do środka przez wybite okna, drząc na końcach jak ludzkie palce. Pas Sarah nie dawał się odpiąć; zatrask musiał się mocno zaciąć. W zimnej wodzie palce drętwiały błyskawicznie, a Evans zdawał sobie sprawę, że samochód długo tak nie postoi. Prąd już ścigał go w bok.

- Nie wypnę cię, Sarah.

Woda sięgała im prawie do piersi. Zobaczył strach w oczach Sarah.

- To co zrobimy?

Nie wiedział, co odpowiedzieć, ale zaraz skłął się w duchu, wyciągnął jak długi pod wodą i sięgnął do słupka, gdzie był zamocowany pas Sarah. Odwinął go z bębna, odciągnął dobry metr i wynurzył się.

- Wyjdź spod niego! - krzyknął. - Wyśliźnij się!

Nie musiał dwa razy tego powtarzać. Sarah oparła się na jego ramieniu i zaczęła wyplątywać z

pasa. Wcisnęła Evansa pod wodę, ale wytrzymał, dopóki czuł, jak się uwalnia. Sarah precyzyjnie się na tylne siedzenie, po drodze kopnąwszy go jeszcze w głowę.

Wynurzył się, rozpaczliwie łapiąc powietrze.

- Wyjdź przez okno! - wrzasnął.

Samochód drgnął. Gałęzie zatrzeszczały, lodówka łomotała metalicznie o drzwi.

- Złap się gałęzi i wylaż!

Bał się, że jeśli uczepią się samochodu, woda zniesie ich razem z nim. Przeczłapał się na tył wozu i sam zaczął przeciskać przez okno. Wóz stopniowo się uwalniał - najpierw zaczął mocniej dygotać, potem poruszył się i zaczął opływać stertę śmieci pod filarem. Evans tkwił do pasa w oknie.

- Peter! - krzyknęła Sarah.

Rzucił się między gałęzie. Poharatał sobie twarz, ale złapał się grubego konara i wydobył z samochodu. W tej samej chwili prąd szarpnął wozem i pchnął go pod wiadukt.

Samochód zniknął im z oczu.

Sarah wspięła się na stertę śmierci i próbowała dostać na jezdnię. Ruszył za nią, dygocząc z zimna i strachu. Chwilę później poczuł, jak silna ręka zaciska się na jego przedramieniu i go podciąga. Spojrzał w górę. Sanjong wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No, przyjacielu, mieliście szczęście.

Evans przelazł przez balustradę i padł. Był wykończony.

Z oddali dobiegł go skowyt policyjnej syreny i wykrzykiwane przez megafon rozkazy. Dotarło do niego, że po wiadukcie przejeżdżają samochody, usłyszał klaksony, zaczął ogarniać cały ten zamęt.

- Chodź. - Sarah pomogła mu wstać. - Jak będziesz tak leżał, to cię zaraz ktoś przejedzie.

Rodriguez próbował zagonić wszystkich do samochodów, ale na parkingu i wiadukcie zapanowało istne pandemonium. Deszcz się nasilił i ludzie wpadli w panikę.

Spojrzał z niepokojem na wodospad. Woda pociemniała jeszcze bardziej i wyraźnie jej przybyło. Ekipa telewizyjna zniknęła; na szczycie urwiska nie widział już furgonetki. Dziwne, pomyślał. Spodziewał się, że zostaną i będą filmować ucieczkę piknikowiczów.

Samochody na wiadukcie trąbiły, ale powstał korek. Kilka osób wysiadło i wyglądało przez barierkę z drugiej strony - a to mogło oznaczać tylko jedno: terenówka stoczyła się z wodospadu.

Rodriguez wskoczył za kierownicę - i sięgnął po radio, chcąc wezwać karetkę; w tej samej

chwili usłyszał jednak, że ambulans jedzie już do Dos Cabezas, dwadzieścia pięć kilometrów na północ od wiaduktu. Pijani myśliwi posprzeczali się i sobie postrzelali: dwie osoby zginęły, jedna była ranna. Pokręcił głową. Jedzie taki na polowanie z karabinem w jednej

i butelką burbona w drugiej [reçe](#); pada deszcz, więc nie mają nic do roboty, siadają, piją - i nagle bach! bach! Dwóch nie żyje. I tak co roku. Zwłaszcza w sezonie urlopowym.

## Flagstaff

### Poniedziałek, 11 października Godz. 16.03

- Nie rozumiem, po co to wszystko.

Sarah usiadła na łóżku. Do piersi i nóg miała przyłączone elektrody.

- Proszę się nie ruszać - powiedziała pielęgniarka. - Zakłóca pani pomiar. Znajdowały się w małym, wydzielonym boksie w izbie przyjęć szpitala we Flagstaff. Kenner, Evans i Sanjong uparli się, że zawiozą tam Sarah, a teraz czekali po drugiej stronie parawanu. Słyszała ich przytłumione głosy.

- Mam dwadzieścia osiem lat. Nie dostanę ataku serca.

- Lekarz chce sprawdzić trakty przewodzące w pani ciele.

- Moje trakty przewodzące? Są w najlepszym porządku.

- Proszę się położyć i nie ruszać.

- Ale to przecież...

- Inie mówić.

Sarah westchnęła i wyciągnęła się na leżance. Spojrzała na monitor, na którym wyświetlały się esy-floresy.

- Po co to?! Serce mam jak dzwon.

- Rzeczywiście - przyznała pielęgniarka, również zerkając na monitor. - Ma pani szczęście.

- Więc jak? Mogę już wstać?

- Tak. A oparzeniem proszę się nie przejmować. Ślady znikną.

- Jakie ślady?

Pielęgniarka dotknęła jej piersi.

- To powierzchowne obrażenia.

Sarah usiadła i spojrzała w dół, w dekolt bluzki. Oprócz białych samoprzylepnych elektrod zobaczyła również bladobrązowe, zygzakowate smugi, znaczące jej brzuch i tors.

- Co to jest?

- Ślady po uderzeniu pioruna.

- Słucham?

- Trafił panią piorun.

- Co pani wygaduje?!

Do boksu wszedł lekarz, młody i przedwcześnie łysiejący. Był czymś wyraźnie poruszony.

- Proszę się nie martwić oparzeniami. Nie zostanie po nich żaden ślad.

- Naprawdę mam to od pioruna?

- No tak. Wie pani, gdzie pani jest?

- W szpitalu we Flagstaff.

- Jaki dziś mamy dzień?

- Poniedziałek.

- Zgadza się. Doskonale. Proszę patrzeć na mój palec. - I wyprostowanym palcem wskazującym poruszył na boki, do góry i w dół. - Świetnie. Dziękuję. Boli panią głowa?

- Już nie. Chce mi pan powiedzieć, że trafił we mnie piorun?

- Bez dwóch zdań. - Lekarz pochylił się i stuknął ją gumowym młoteczką poniżej rzepki. - Ale nie ma żadnych objawów hipoksji.

- Co to jest hipoksja?

- Niedotlenienie. Skutek zatrzymania akcji serca.

- Co to znaczy?

- Że amnezja jest naturalna. Pani przyjaciele twierdzą, że pani serce przestało pracować i jeden z nich musiał panią reanimować. Podobno trwało to cztery do pięciu minut.

- To znaczy co? Nie żyłam przez ten czas?

- Gdyby nie reanimacja, byłaby pani martwa.

- Peter mnie reanimował?!

To nie mógł być nikt inny, pomyślała.

- Nie wiem, który z nich. - Lekarz obstukiwał jej łokcie. - Szczęściara z pani. Rocznie mamy tu trzy, cztery zgony od uderzenia pioruna. I przypadki bardzo poważnych poparzeń. A pani nic się nie stało.

- Czy to był ten młody? Peter Evans? Lekarz wzruszył ramionami.

- Kiedy ostatnio szczepiła się pani przeciw tężcowi?

- Nie rozumiem - mówił Evans. - W wiadomościach podano, że zabici byli myśliwymi. Posprzeczali się, doszło do wypadku.

- Zgadza się - przytaknął Kenner. Evans spojrzał na Sanjonga.

- No to jak to było? Wy ich zastrzeliliście?

- W obronie własnej.

- Chryste... Trzy trupy?

Przygryzł wargę. Prawdę mówiąc, nie wiedział, co o tym myśleć. Spodziewał się, że wrodzona ostrożność weźmie w nim górę: trzykrotne

zabójstwo, może nawet morderstwo, on jest współnikiem albo co najmniej znaczącym świadkiem; a jeśli go skują, doprowadzą do sądu, i, skompromitowany, zostanie wyrzucony z palestry?... W normalnych okolicznościach tego by się właśnie obawiał. Tak podpowiadało mu jego prawnicze wykształcenie.

Tymczasem nie czuł nawet śladu strachu. Znaleźli ekstremistów, których trzeba było zabić, to wszystko. Ta wiadomość nie zaskoczyła go ani nie zaniepokoiła. Przeciwnie - sprawiła mu satysfakcję.

Nagle zdał sobie sprawę, że to wypadek na Antarktydzie tak go zmienił, zmienił głęboko. Ktoś próbował go zabić. Kiedy dorastał na przedmieściach Cleveland, a potem chodził do szkoły i studiował prawo, do głowy by mu coś takiego nie przyszło. Pracując w kancelarii w Los Angeles, również sobie nie wyobrażał, że mógłby paść ofiarą zamachu.

Dlatego też nie umiał przewidzieć, jak to wydarzenie na niego wpłynie. Czuł się tak, jakby ktoś złapał go wpół i przepchnął parę metrów wbrew jego woli; jakby znalazł się w innym miejscu. Ale

dokonała się w nim również wewnętrzna przemiana. Czuł w głębi serca obojętność, stał się jak nigdy dotąd niewrażliwy. Świat bywał paskudny. Dawniej Evans starał się nie widzieć jego brzydkich aspektów, zmieniał temat rozmowy, próbował różnych usprawiedliwień i wydawało mu się, że to całkiem sensowna strategia. Sensowna i ludzka.

Teraz już w to nie wierzył.

Kiedy ktoś próbował cię zabić, nie mogłeś zmienić tematu ani udąć, że nic nie widzisz. Musiałeś się z nim zmierzyć, stanąć z nim twarzą w twarz. To doświadczenie pozbawiło Evansa części jego złudzeń.

Świat nie jest taki, jak byśmy chcieli.

Świat jest, jaki jest.

I sana świecie źli ludzie. Trzeba ich powstrzymać.

- Zgadza się. - Kenner pokiwał głową. - Trzy trupy. Mam rację, Sanjong?

- Tak.

- Pieprzyć ich - mruknął Evans. Sanjong skinął głową. Kenner milczał.

Wylecieli do Los Angeles o szóstej. Sarah siedziała z przodu i wyglądała przez okno. Jednym uchem słuchała mężczyzn rozmawiających w głębi kabiny. Kenner tłumaczył, co się teraz będzie działo. Najpierw trzeba zidentyfikować zabitych, dowiedzieć się, gdzie kupili broń, samochody i ubrania. Udało się już namierzyć ekipę reporterską znad wodospadu byli z kablówki KBBD w Sedonie. Dostali anonimowe powiadomienie o zaniedbaniu obowiązków przez policjanta z drogówki, który zezwolił na kontynuowanie pikniku mimo ostrzeżeń o powodzi i zagrożenia życia ludzkiego. Po tym telefonie od razu pojechali do parku.

I jakoś nikomu nie przyszło do głowy zapytać, jak to możliwe, że dostali cynk pół godziny przed tym, jak centrum NEXRAD ogłosiło ostrzeżenie przed powodzią. Udało się tylko namierzyć rozmowę: dzwoniono z automatu w Calgary, w Kanadzie.

- To się nazywa dobra organizacja - ciągnął Kenner. - Zanim zabrali się do rzeczy, zdobyli numer stacji telewizyjnej w Arizonie.

- Ale dlaczego dzwonili akurat z Calgary? - zdziwił się Evans.

- Wygląda na to, że tam mają siedzibę główną.

Sarah wciąż patrzyła przez okno. Wzniesli się ponad pułap chmur i zachodzące słońce barwiło je złotą poświatą. Widok działał kojąco. Wydarzenia poprzedniego dnia zdawały się odległe o całe miesiące. O całe lata.

Spojrzała na brunatne oparzenia. Łyknęła aspirynę, ale znów zaczynały ją piec. Czuła się



naznaczona.

Nie słuchała już słów, tylko brzmienia głosów. Zauważyła, że z głosu Evansa zniknęła chłopięca niepewność; nie sprzeciwiał się już każdemu słowu Kennera. Wydawał się starszy, dojrzały, bardziej zrównoważony.

Niedługo potem podszedł do niej.

- Można się przysiąść?

- Pewnie.

Gestem wskazała mu fotel. Usiadł, krzywiąc się lekko.

- Dobrze się czujesz?

- Nieźle. A ty?

- Jestem trochę obolały. Właściwie to nawet bardzo obolały. Chyba poobijałem się w samochodzie.

Skinęła głową, wyjrzała przez okno, a potem odwróciła się do niego.

- Kiedy chciałeś mi powiedzieć?

- O czym?

- Że uratowałeś mi życie. Drugi raz. Wzruszył ramionami.

- Myślałem, że wiesz.

- Nie wiedziałam.

Zezłościła się, że to powiedziała. I nie rozumiała, dlaczego się wścieka. Może drażnił ją dług wdzięczności, jaki zaciągnęła u Evansa, a może... może... Nie wiedziała. Po prostu była zła.

- Przepraszam - powiedział Evans.

- Dziękuję.

- Cieszę się, że mogłem się na coś przydać. Uśmiechnął się, wstał i wrócił na tył kabiny.

Dziwne, pomyślała Sarah. Miał w sobie coś takiego, czego wcześniej nie zauważyła.

Zanim znów wyjrzała przez okno, słońce już zaszło. Żłota poświata stawała się coraz bardziej intensywna, aż pociemniała.

## W drodze do Los Angeles

**Poniedziałek, 11 października Godz. 18.25**

Evans popijał martini i patrzył na wbudowany w ścianę telewizor, który odbierał satelitarną transmisję z serwisu informacyjnego z Phoenix. Przy łukowato zakrzywionym stole siedziało troje prowadzących - dwóch mężczyzn i kobieta. Plansza za ich plecami głosiła: śmierć w kraju kanionów - najprawdopodobniej chodziło o zgony w okolicy Flagstaff, ale Evans spóźnił się na główne wiadomości.

- Z Parku Stanowego McKinley dochodzą nowe wieści. Ostrzeżenie przed gwałtowną powodzią ocaliło tam życie trzystu dzieci, które wraz z rodzinami uczestniczyły w pikniku. Mike Rodriguez z patrolu drogowego opowiedział wszystko naszej reporterce Shelly Stone.

I pokazano krótki wywiad z policjantem, który wiedział, co powiedzieć. Nie wspomniał ani o Kennerze, ani o jego ekipie. Następne ujęcie ukazało rozbity samochód terenowy u stóp urwiska. Rodriguez tłumaczył, że zrzadzeniem losu woda porwała puste auto.

Evans dopił martini.

Na ekran wróciła trójka prowadzących.

- Ostrzeżenie przed powodzią wciąż obowiązuje - powiedział jeden z mężczyzn. - Mimo że o tej porze powodzie zdarzają się niezwykle rzadko.

- Wygląda na to, że klimat się nam zmienia - zauważyła spikerka.

- Racja, Marlo, nie ma co do tego wątpliwości. Więcej na ten temat powie nam Johnny Rivera.

Cięcie - i na ekranie pojawił się młody człowiek, prezenter prognoz pogody.

- Dziękuję, Terry. Witam wszystkich. Jeżeli od dłuższego czasu mieszkacie państwo w Stanie Wielkiego Kanionu, zauważyliście już pewnie, że klimat się zmienia. Naukowcy są zgodni co do tego, że za jego ewolucję odpowiada nasz stary znajomy: globalne ocieplenie. Dzisiejsza gwałtowna powódź to tylko pierwsza oznaka kłopotów, jakie czekają nas w przyszłości: klimat staje się coraz ostrzejszy, powodzi, tornad i susz będzie przybywać. A wszystko to na skutek globalnego ocieplenia.

Sanjong szturchnął Evansa i podał mu wydrukowany z komputera komunikat prasowy NERF-u. Wskazał podkreślony fragment tekstu: „...naukowcy są zgodni co do tego, że... w przyszłości czekają nas kłopoty: klimat staje się coraz ostrzejszy, powodzi, tornad i susz będzie przybywać. A wszystko to na skutek globalnego ocieplenia”.

Evans nie wierzył własnym oczom.

- Ten facet po prostu czyta ich komunikat?

- Tak to się dziś załatwia - stwierdził Kenner. - Nie wysilają się, nie próbują nawet niczego zmienić. Czytają słowo w słowo. A to, oczywiście, bzdury.

- Dlaczego w takim razie na całym świecie klimat zmienia się na gorsze?

- Nieprawda.

- Badano to?

- Wielokrotnie. Badania nie potwierdzają wzrostu liczby kataklizmów ani przez ostatnie sto lat, ani przez ostatnie piętnaście. Poza tym nie ma rzetelnych prognoz, które zapowiadałyby zaostrenie się klimatu. Przeciwnie: teoria globalnego ocieplenia przewiduje, że klimat będzie łagodniał.

- Czyli facet pieprzy od rzeczy?

- Zgadza się. Tak jak NERF w swoim komunikacie.

Prezenter mówił dalej:

- ...jest fatalna. Z najnowszych informacji wynika, że: uwaga, lodowce na Grenlandii topnieją i wkrótce znikną zupełnie. A trzeba wiedzieć, że te lodowce mają po pięć kilometrów grubości. To naprawdę masa lodu. Z ostatnich szacunków wynika, że kiedy stopnieją, poziom mórz podniesie się co najmniej o pięć metrów. Tak że radzę szybko sprzedawać domki na plażach.

- I co wy na to? - spytał Evans. - Wczoraj to samo mówili w wiadomościach LA.

- A to dopiero nowina. W Reading naukowcy przeprowadzili symulację, z której wynika, że Grenlandia być może straci pokrywę lodową. Tylko że jej topnienie potrwa około tysiąca lat.

- Tysiąca lat?!

- I tylko „być może”. Evans pokazał na telewizor.

- Ale o tym żadnej wzmianki.

- No popatrz... Może to przeoczenie?

- Mówisz, że to nic nowego...

- Powiedz mi, Peter, często się martwisz tym, co się wydarzy za tysiąc lat?

- Nie.

- A inni ludzie?

- Też nie.

- No właśnie.

Po drinku Evansa ogarnęła senność. Wszystko go bolało, nie mógł się wygodnie ułożyć w fotelu: a to dokuczały mu plecy, a to nogi, a to kość biodrowa. Był posiniaczony i wyczerpany. I trochę szumiało mu w głowie.

Zamknął oczy, myśląc o serwisie informacyjnym podającym wiadomości o wydarzeniach, do których może dojść za tysiąc lat, w taki sposób, jakby to była najważniejsza informacja dnia.

Za tysiąc lat.

Powieki mu ciążyły, głowa opadła na pierś. Ocknął się, słysząc trzaski interkomu.

- Proszę zapiąć pasy - powiedział kapitan. - Schodzimy do lądowania na lotnisku Van Nuysa.

## **Lotnisko Van Nuysa**

### **Poniedziałek, 11 października Godz. 19.30**

Zasypiał na stojąco, ale kiedy wylądowali, sprawdził pocztę głosową w komórce. Okazało się, że wielu ludzi się za nim stęskniło. Oględnie mówiąc.

- Panie Evans, tu Eleanor z biura Nicholasa Drake'a. Zostawił pan u nas telefon komórkowy. Chciałabym go panu oddać. A pan Drake chce z panem porozmawiać.

- Peter? Tu Jennifer Haynes. Dzwonię w imieniu Johna Baldera. Byłoby dobrze, gdybyś mógł przyjechać do nas do biura jutro najpóźniej o dziesiątej rano. To pilne. Daj znać, gdybyś nie mógł do. Na razie.

- Peter, zadzwoń do mnie. Mówi Margo. Wyszłam ze szpitala.

- Panie Evans, tu Ron Perry z policji Beverly Hills. Nie stawił się pan o czwartej w komisariacie, by złożyć zeznanie. Nie chciałbym wydawać nakazu aresztowania. Proszę do mnie zadzwonić. Zna pan numer.

- To ja. Herb Lowenstein. Gdzie ty się, do cholery, podziewasz? Nie po to opłacamy prawników, żeby po całych dniach byli nieuchwytni. Robota czeka. Wydzwaniamy do nas z biura Baldera; chcą, żebyś przyjechał do Culver City jutro o dziesiątej. Dobrze ci radzę: jedź. Albo zacznij sobie szukać nowej pracy.

- Ron Perry z policji. Panie Evans, proszę oddzwonić jak najszybciej.

- Peter, zadzwoń. Margo.

- Masz ochotę na wspólną nockę? To ja, Janis. Przedzwoń.

- Panie Evans, Drake czeka na pana w biurze NERF-u.

- Peter, tu Lisa od Lowensteina. Policja cię szuka. Pomyślałam, że dam ci znać.

- Peter, to ja, Margo. Kiedy dzwonię do swojego adwokata, oczekuję odpowiedzi. Nie bądź dupkiem, zadzwoń.

- Tu Ron Perry, policja Beverly Hills. Jeżeli się pan nie odezwie, wystąpię do sędziego z wnioskiem o nakaz aresztowania.

- Evans, tu Herb Lowenstein. Słuchaj, tępy gnojku, policja chce cię aresztować. Załatw to. Pracownicy naszej kancelarii nie idą do więzienia.

Evans westchnął i wyłączył telefon.

- Jakież kłopoty? - zainteresowała się Sarah.

- Nie. Ale wygląda na to, że chyba się nie wyśpię.

Zadzwoił do detektywa Perry'ego i dowiedział się, że jest już nieuchwytny, ale rano ma być w sądzie. Będzie miał wyłączoną komórkę. Evans zostawił mu swój numer.

Zadzwoił do Drake'a, ale już go nie zastał.

Zadzwoił do Lowensteina, ale Lowenstein wyszedł.

Zadzwoił do Margo, ale nie odebrała telefonu.

Zadzwoił do Jennifer Haynes i obiecał, że przyjedzie o dziesiątej.

- Ubierz się elegancko - uprzedziła go.

- Po co?

- Będziesz w telewizji.

## **Culver City**

### **Wtorek, 12 października Godz. 9.51**

Przed biurem zajmowanym przez zespół prawny Vanutu parkowały dwa białe wozy transmisyjne. Evans wszedł do środka, gdzie zastał techników przygotowujących oświetlenie i wymieniających wbudowane w sufit świetlówki. Cztery ekipy z kamerami szukały najlepszych ujęć. Na razie nikt nic nie kręcił.

Sama przestrzeń biurowa bardzo się zmieniła. Wykresy na ścianach były bardziej skomplikowane i specjalistyczne. Obok nich pojawiły się powiększenia zdjęć oceanicznego państwa Vanutu - zarówno lotniczych, jak i wykonanych z ziemi; niektóre ilustrowały erozję plaż i pochylone domki, które wyglądały tak, jakby w każdej chwili mogły runąć do wody; było też zdjęcie miejscowej szkoły i jej uczniów - ślicznych, uśmiechniętych dzieciaków o brązowych buziach. Na środku pomieszczenia znajdował się trójwymiarowy model największej wyspy Vanutu, podświetlony w taki sposób, żeby dobrze wyglądał w obiektywie.

Jennifer, w spódnicy, bluzce i butach na obcasie, wyglądała niezwykle pięknie. Evans zauważył, że wszyscy ubrali się bardziej elegancko niż kiedy był tu poprzednio - już nie w dżinsy i T-shirty, ale w marynarki i koszule; wszyscy panowie mieli krawaty. Miał też wrażenie, że naukowców wyraźnie przybyło.

- Co jest grane? - zapytał.

- Kręcimy tło - odparła Jennifer. - Stacje telewizyjne będą mogły pociąć materiał i wykorzystać jako podkład. Przy okazji nagramy też materiał dla mediów.

- Ale jeszcze nie złożyliście pozwu.

- Zrobimy to dziś. O pierwszej odbędzie się konferencja prasowa, tutaj, przed biurem. Mam nadzieję, że przyjdiesz?

- Nie planowałem...

- Balder chciałby, żebyś przyszedł jako przedstawiciel George'a Mortona.

Evans poczuł się nieswojo, a nuż przysporzy sobie kłopotów w kancelarii?

- Są inni prawnicy, starsi, którzy też pracowali dla George'a...

- Drake prosił o ciebie.

- Drake?

- Mówił coś o tym, że byłeś osobiście zaangażowany w podpisanie papierów, które zapewniły sfinansowanie pozwu.

Więc to tak, pomyślał Evans. Chcieli go pokazać w telewizji, by potem nie mógł zaprzeczać, że NERF dostanie darowiznę. Podczas uroczystości będzie stał gdzieś z boku, może wymieni go z nazwiska, a później Drake oświadczy, że fundusz spodziewa się dziesięciomilionowej dotacji. I jeżeli on od razu nie zaprotestuje, jego milczenie zostanie uznane za zgodę. W przeciwnym razie może tylko usłyszeć: Przecież byłeś przy tym, Peter. Czemu wtedy nic nie mówiłeś?

- Rozumiem - powiedział.

- Martwisz się czymś?

- Trochę.
- Niepotrzebnie. Naprawdę.
- Nawet nie wiesz...

- Posłuchaj mnie. - Jennifer spojrzała mu w oczy. - Niczym się nie przejmuj.
- No dobrze...

Jennifer miała jak najlepsze intencje, ale jej słowa nie podniosły go na duchu. Policja straszyla go nakazem aresztowania, kancelaria skarżyła się na powtarzające się nieobecności, a NERF próbował zamknąć mu usta, pokazując go w telewizji.

- Dlaczego chcieliście, żebym tak wcześnie przyjechał?
- Chcemy, żebyś znów usiadł na gorącym krześle. To część naszych testów dla przysięgłych.
- Przykro mi, ale nie mogę...
- Musisz. To będzie tylko powtórka. Napijesz się kawy?
- Chemie.
- Wyglądasz na zmęczonego. Chodź, zrobimy ci włosy i makijaż.

Pół godziny później znowu znalazł się w pokoju przesłuchań, u szczytu długiego stołu. I znów usiadł twarzą w twarz z ekipą młodych naukowców.

- Dzisiaj chcielibyśmy poruszyć kwestie globalnego ocieplenia i użytkowania gruntów - rozpoczęła Jennifer. - Zna się pan na tych sprawach?
- Niespecjalnie.

Jennifer skinęła głową na jednego ze specjalistów.

- Raimundo? Możesz wprowadzić pana Evansa w temat? Raimundo mówił z silnym obcym akcentem, ale można go było zrozumieć.

- Powszechnie wiadomo, że zmiany w użytkowaniu gruntów pociągają za sobą zmiany średniej temperatury, mierzonej przy ziemi. Miasta są cieplejsze od otaczających je obszarów nieurbanizowanych. Nazywamy to zjawisko „efektem MWC”, miejskiej wyspy cieplnej. Podobnie obszary uprawne są cieplejsze od lasów i tak dalej.

- Mhm. - Evans pokiwał głową. Nigdy wcześniej nie słyszał o wyspach cieplnych, ale brzmiało to sensownie.

- Znaczna część stacji meteorologicznych, które czterdzieści lat temu znajdowały się poza miastami, dziś jest otoczona przez wieżowce, tony betonu i kilometry asfaltu. Wskutek tego rejestrują wyższe temperatury niż dawniej.

- Rozumiem.

Evans spojrział w bok. Za szklaną ścianą kamerzyści krążyli po wnętrzu magazynu i kręcili pierwsze ujęcia. Miał nadzieję, że nie zajrzą do nich. Nie chciałby się wygłupić.

- Klimatologia uwzględnia te fakty - mówił dalej Raimundo. - Dlatego też naukowcy, pobierając dane ze stacji leżących w pobliżu miast, obniżają ich wartości, aby skompensować wpływy wyspy cieplnej.

- Jak wylicza się wartość tej obniżki?

- Różni specjaliści stosują różne metody, ale większość algorytmów uwzględnia liczebność populacji. Im więcej mieszkańców ma miasto, tym większa kompensacja.

Evans wzruszył ramionami.

- To brzmi sensownie.

- Niestety, to tylko pozory. Nie wiem, czy słyszał pan o sytuacji Wiednia... Bohm nie tak dawno prowadził tam badania. Od 1950 roku stolicy Austrii nie przybyło mieszkańców, ale zużycie energii wzrosło tam dwukrotnie. Powierzchnia życiowa wiedeńczyków również znacząco się zwiększyła. I efekt wyspy cieplnej się nasilił. Tymczasem wyliczona na podstawie wielkości populacji redukcja pomiarów nie uległa zmianie.

- Czyli nie doceniamy wpływu miast na wzrost temperatury?

- Gorzej - wtrąciła Jennifer. - Kiedyś zakładano, że efekt miejskiej wyspy cieplnej nie ma większego znaczenia, ponieważ jego udział w globalnym ociepleniu wynosi zaledwie ułamek procenta. W ciągu ostatnich trzydziestu lat temperatura na powierzchni Ziemi wzrosła o trzy dziesiąte stopnia Celsjusza. Przyjmuje się, że temperatura miast wzrosła w tym czasie o jedną dziesiątą stopnia.

- Co z tego wynika?

- Że założenia były błędne. Chińczycy twierdzą, że temperatura w Szanghaju wzrosła przez ostatnich dwadzieścia lat o cały stopień. To więcej niż globalne ocieplenie Ziemi w ciągu stu lat. Szanghaj nie jest zresztą wyjątkiem. Temperatura w Houston wzrosła o osiem dziesiątych stopnia w ostatnich dwunastu latach. Miasta w Korei Południowej również szybko się nagrzewają. W Anglii Manchester jest o osiem stopni cieplejszy od okalających go terenów niezabudowanych. Nawet miasteczka są wyraźnie cieplejsze od okolicy.

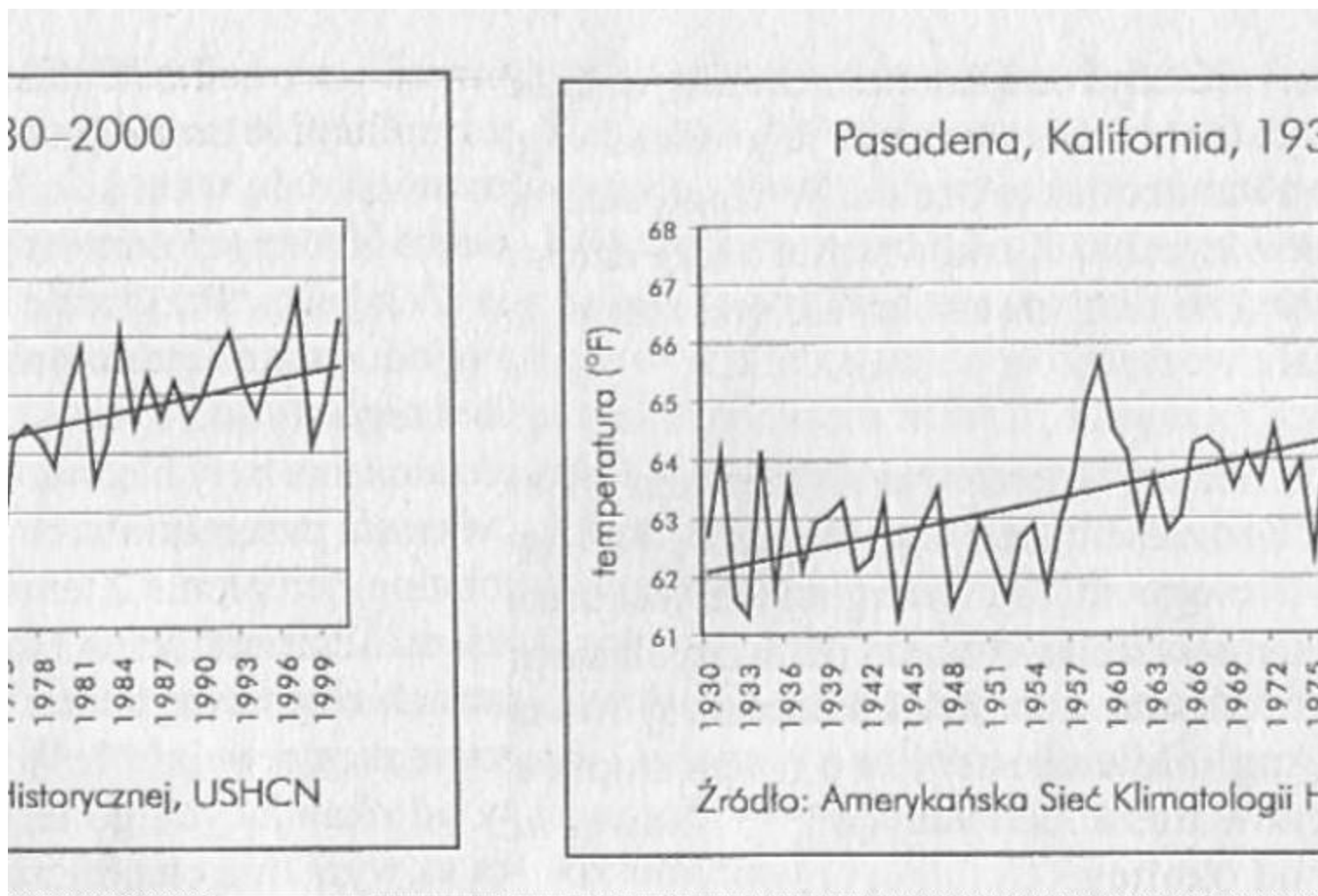
Jennifer sięgnęła po wykresy.



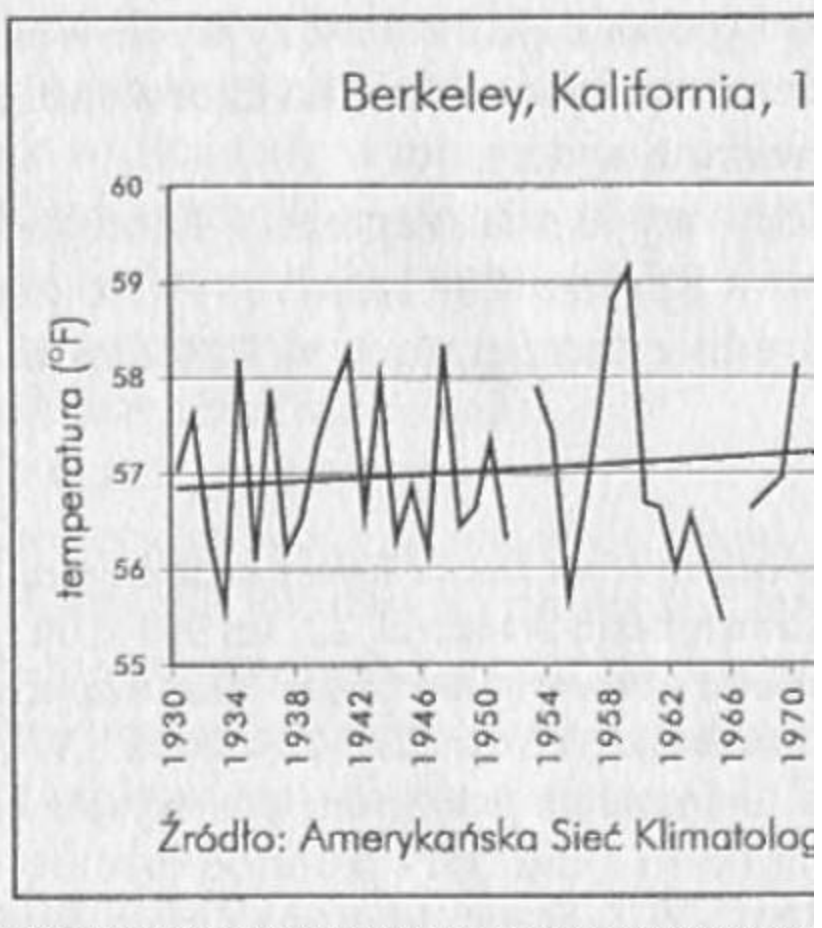
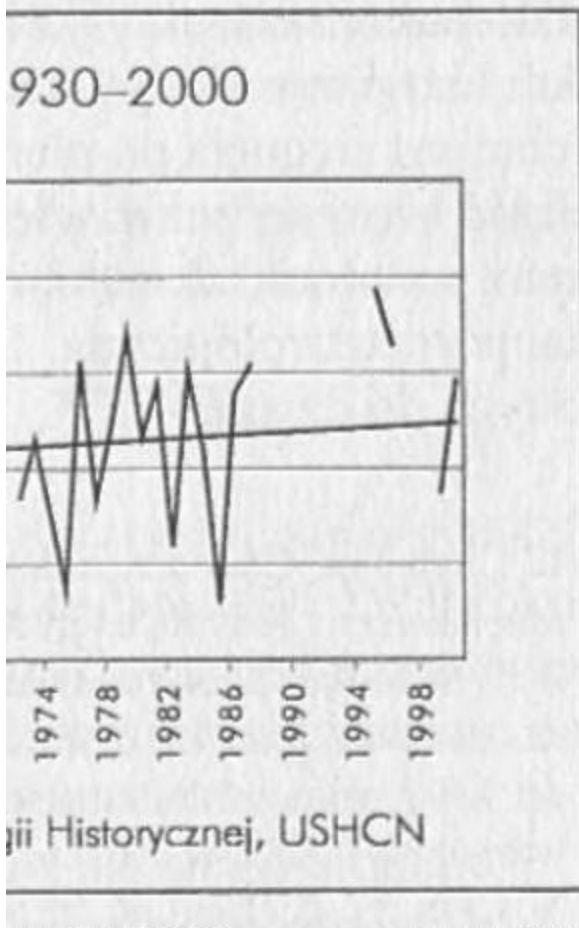
- Krótko mówiąc, wykresy nie przedstawiają nieprzetworzonych danych, lecz dane, w których próbowano zawrzeć kompensację efektu miejskiej wyspy cieplnej. Najprawdopodobniej bez powodzenia.

Drzwi do pokoju otworzyły się i jedna z ekip telewizyjnych wtargnęła do środka. Lampa na korpusie kamery świeciła się na czerwono. Jennifer natychmiast sięgnęła po pierwszy z wykresów.

- Podkład kręci się bez dźwięku - wyjaśniła szeptem. - Dlatego trzeba się ruszać i podpierać obrazkami. - Spojrzała w kamerę. - Oto przykładowa stacja meteorologiczna. Średnie temperatury w Pasadenie od lat trzydziestych do dzisiaj.



- Jak pan widzi, odnotowano znaczny wzrost temperatury. A to Berkeley, również od lat trzydziestych do dnia dzisiejszego.



- Pomiary są zdumiewająco niekompletne, ale ponieważ do sporządzenia wykresu użyliśmy surowych danych, łatwo się zorientować, których lat brakuje, i zauważyć tendencję wzrostową. Tendencję, która chyba nie podlega dyskusji. Zgodzi się pan ze mną?

- Jak najbardziej - odparł Evans, chociaż w duchu musiał przyznać, że tendencja jest raczej wątpliwa: siedemdziesiąt lat i niecały jeden stopień.

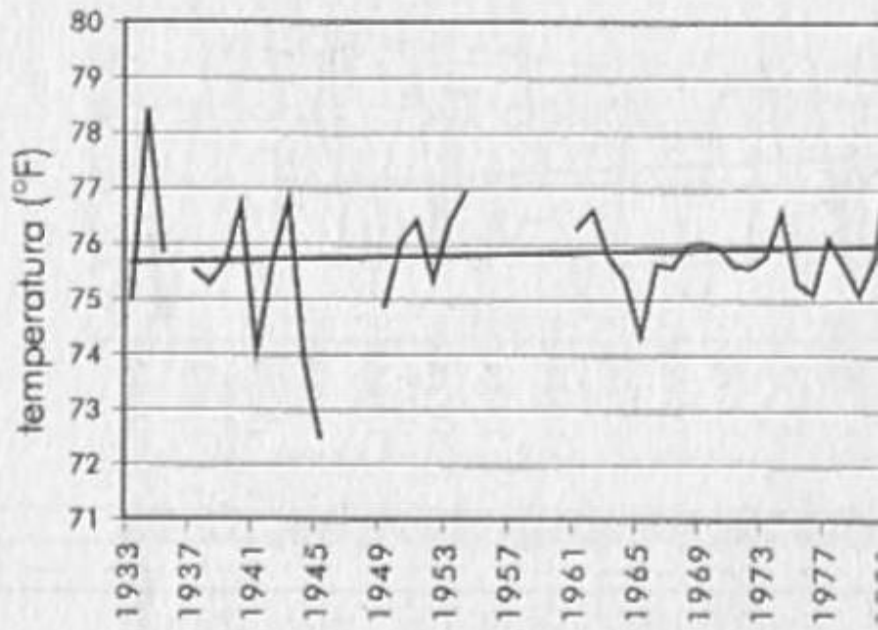
- A oto dane z Doliny Śmierci, jednego z najgorętszych i najsuchszych miejsc na Ziemi, bez urbanizacji. Znow dane niepełne.

33-2000



orycznej, USHCN

Dolina Śmierci, Kalifornia, 1933



Źródło: Amerykańska Sieć Klimatologii Histo

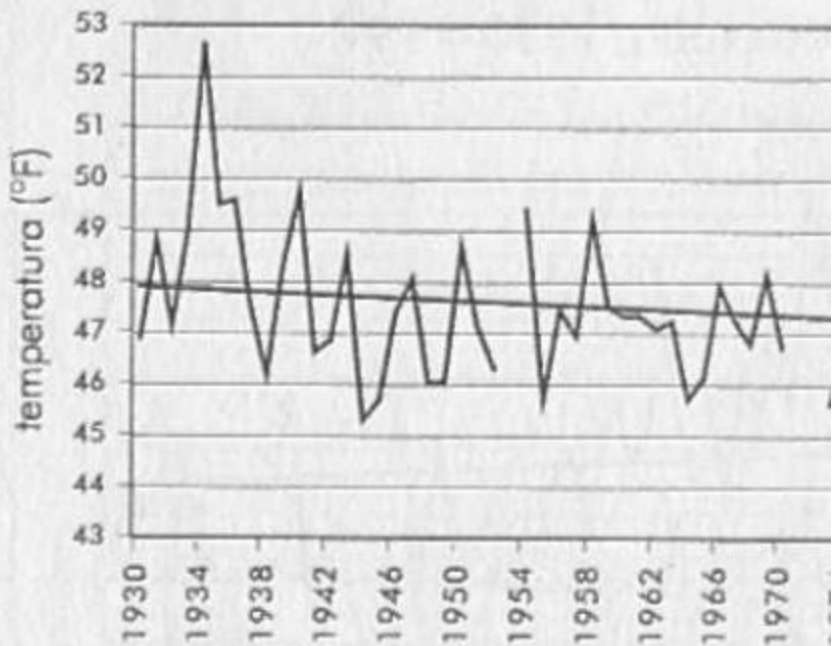
Evans milczał. To musi być jakaś anomalia, pomyślał. Jennifer sięgnęła po kolejne wykresy.

1970-2000



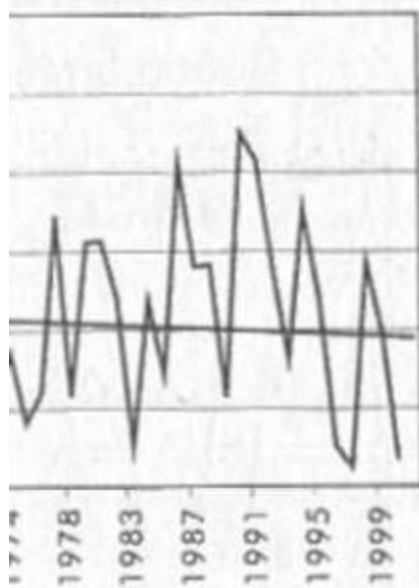
Historycznej, USHCN

McGill, Nevada, 1930



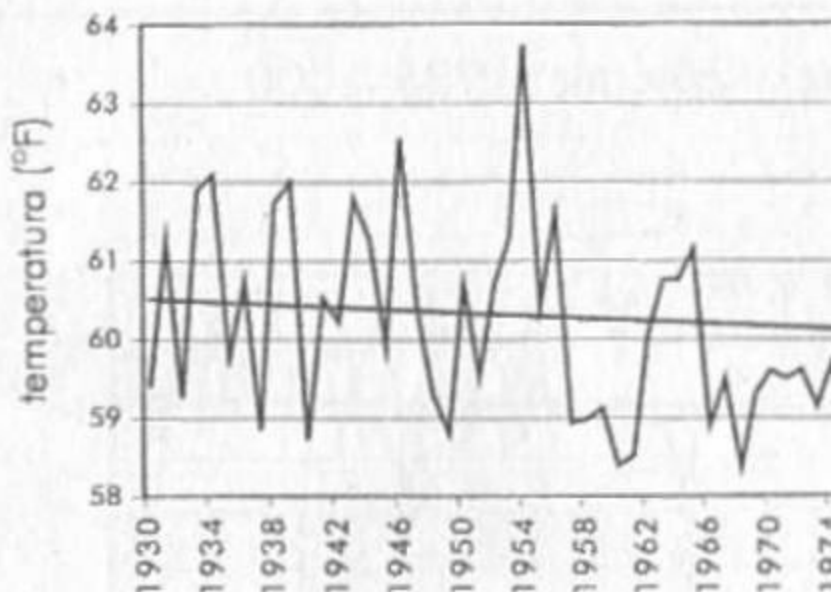
Źródło: Amerykańska Sieć Klimatologii

1970-2000



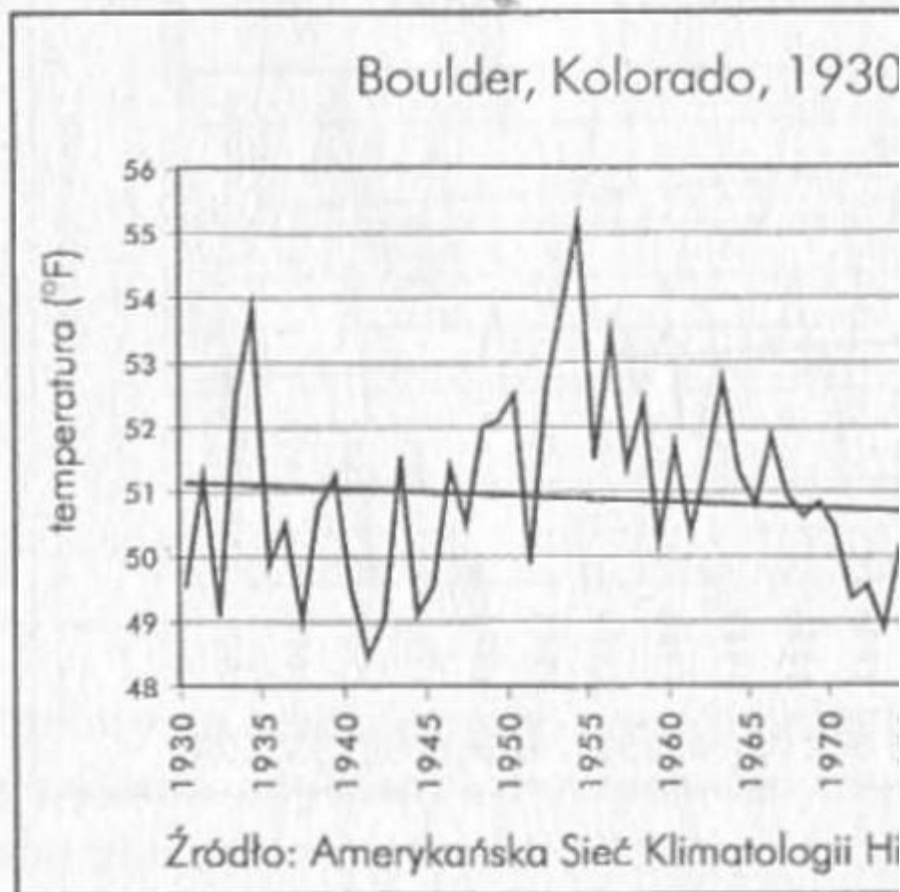
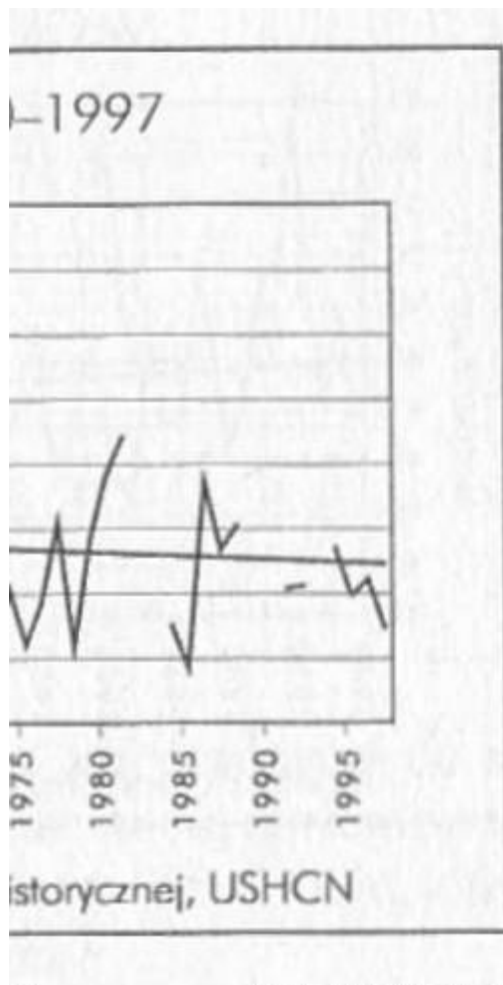
Historycznej, USHCN

Guthrie, Oklahoma, 1930



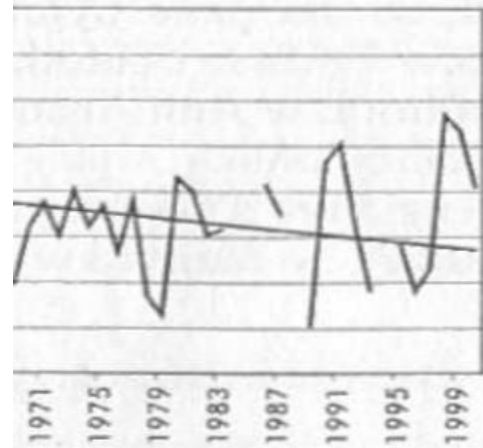
Źródło: Amerykańska Sieć Klimatologii

- Oto wyniki pomiarów ze stacji na pustyni w Nevadzie i na równinach Oklahomy. Temperatura albo się nie zmieniała, albo lekko spadała. I to nie tylko na terenach niezabudowanych. Tu mamy wyniki z Boulder w stanie Kolorado. Taka mała ciekawostka: w Boulder mieści się Krajowy Ośrodek Badań Atmosfery, NCAR, gdzie prowadzi się wiele prac związanych w badaniem globalnego ocieplenia.



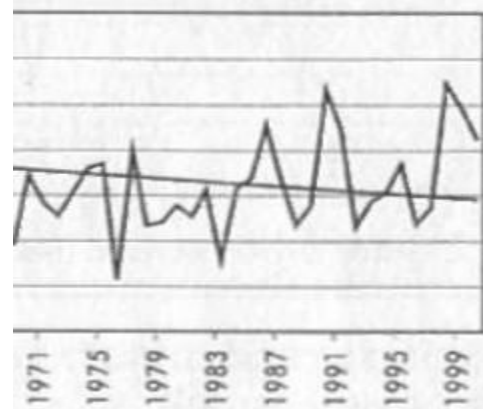
- Am dane z mniejszych miast: na początek Truman w stanie Missouri...

1931–2000



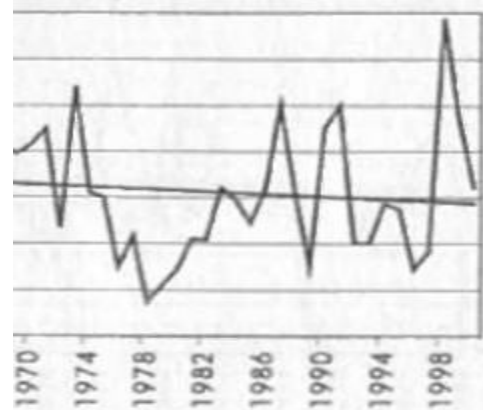
ologii Historycznej, USHCN

niowa, 1930–2000



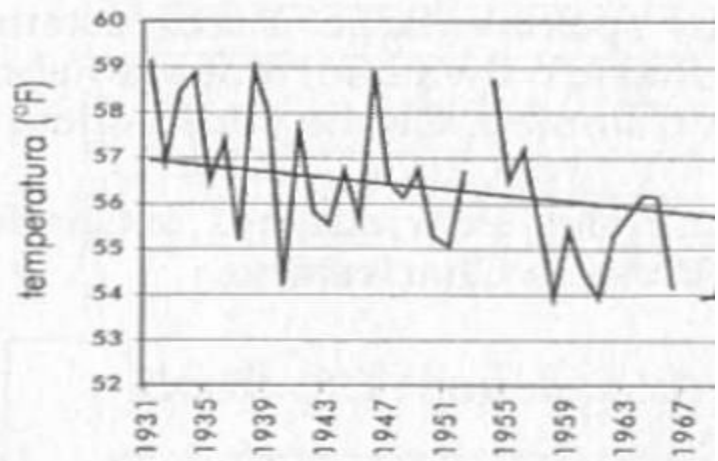
ologii Historycznej, USHCN

, 1930–2000



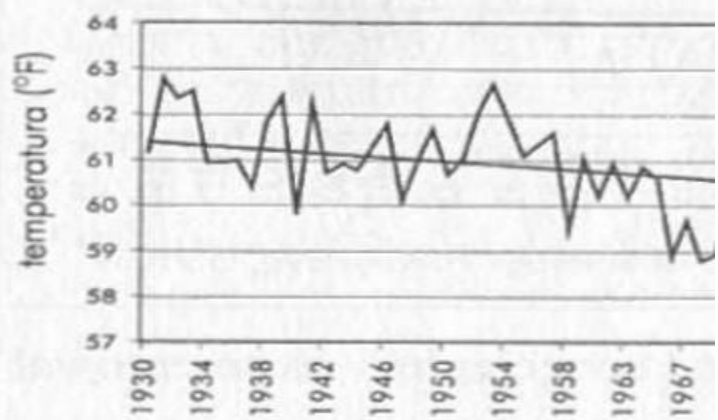
ologii Historycznej, USHCN

Truman, Missouri,



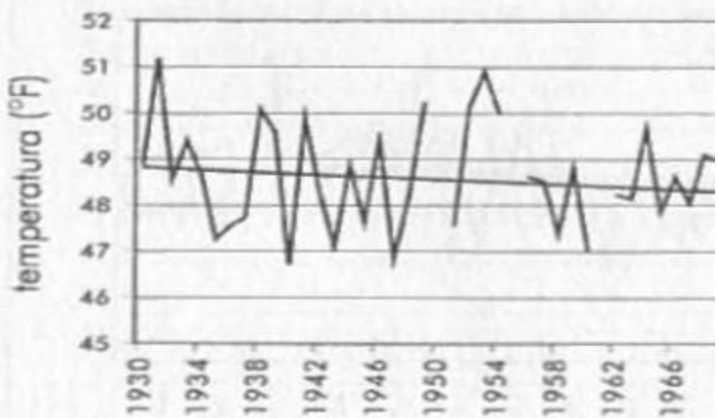
Źródło: Amerykańska Sieć Klimat

Greenville, Karolina Połud



Źródło: Amerykańska Sieć Klimat

Ann Arbor, Michigan



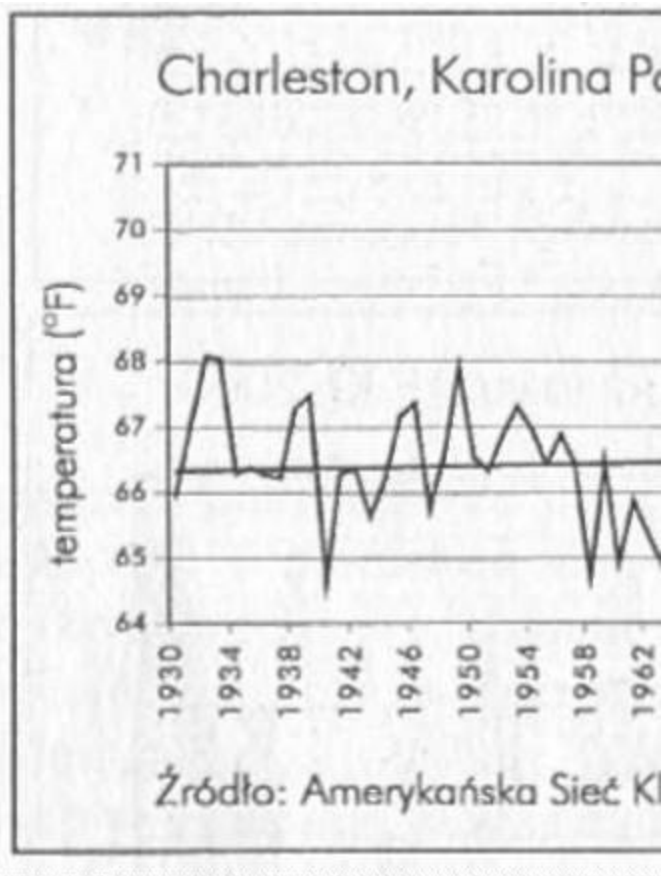
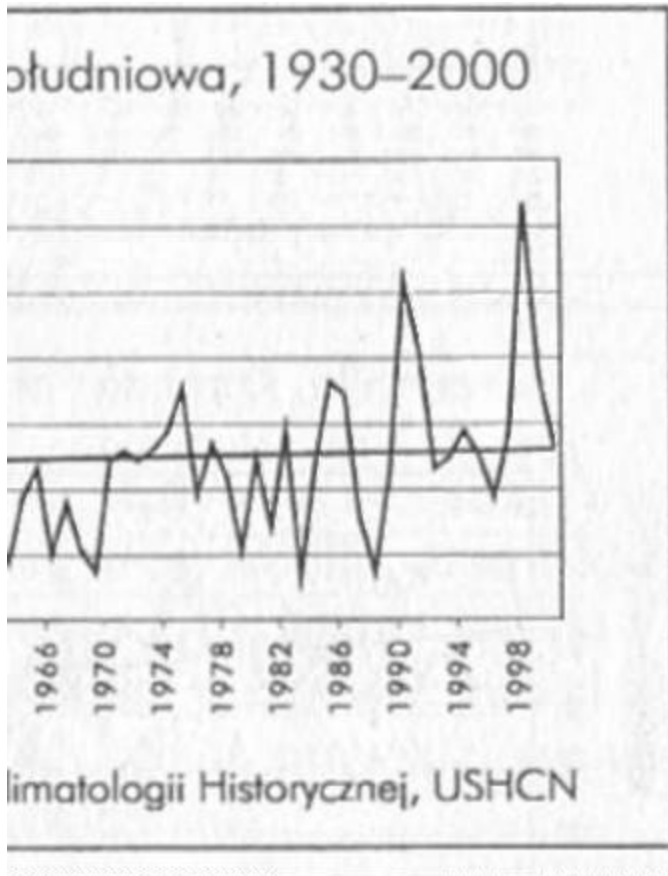
Źródło: Amerykańska Sieć Klimat

- Musi pani przyznać, że wykresy nie są przesadnie spektakularne - stwierdził Evans.

- Nie wiem, co dla pana byłoby spektakularne. Przez ostatnich siedemdziesiąt lat w Truman ochłodziło się o dwa i pół stopnia Fahrenheita, Greenville o półtora, w Ann Arbor o stopień. Chyba jakiś cudem uniknęły globalnego ocieplenia.

- Spójrzmy na dane z większych miast. Powiedzmy... z Charlestonu.

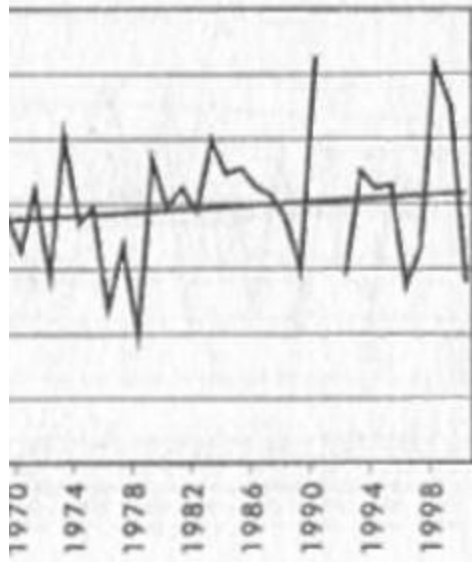
- Tak się składa, że mam tu wykres dla Charlestonu.



- No proszę: większe miasto i od razu cieplej - skomentował Evans. - A jak wypada Nowy Jork?

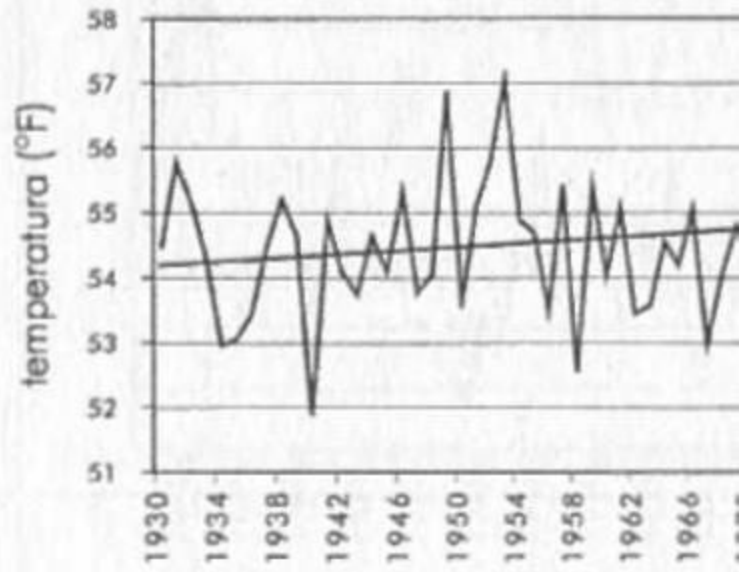
- Danych z Nowego Jorku mamy sporo, zarówno z miasta, jak i z całego stanu.

ork, 1930-2000



ologii Historycznej, USHCN

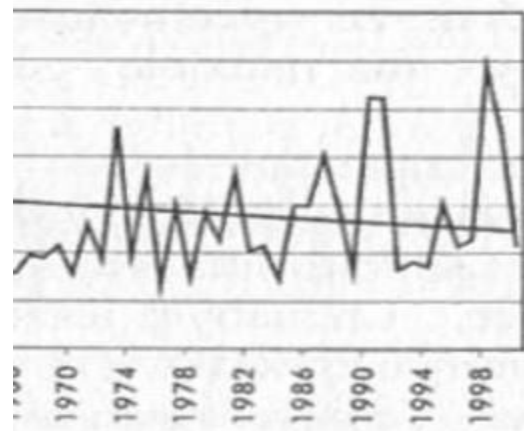
Nowy Jork, stan Nowy Jork



Źródło: Amerykańska Sieć Klimatyczna

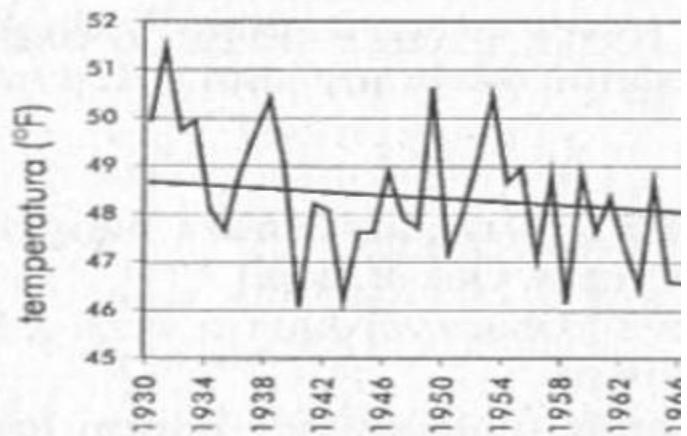


Jork, 1930–2000



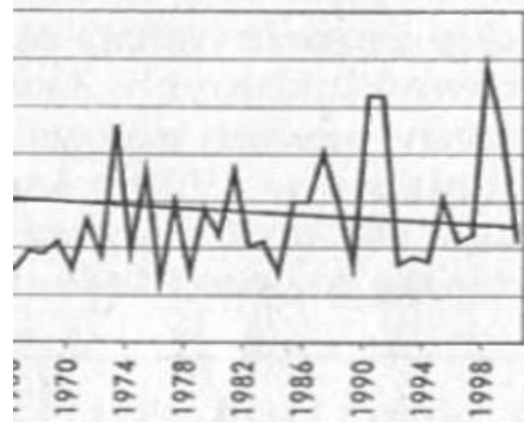
atologii Historycznej, USHCN

Syracuse, stan Nowy



Źródło: Amerykańska Sieć Klim

Jork, 1930–2000



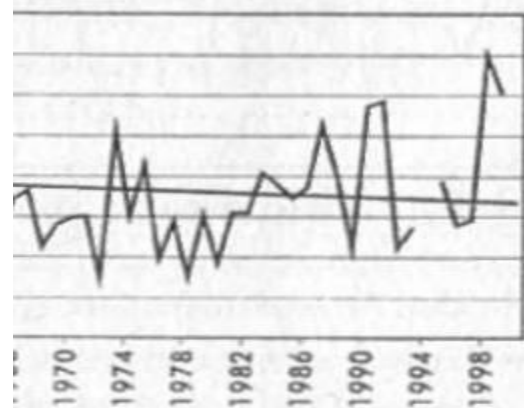
atologii Historycznej, USHCN

Albany, stan Nowy J



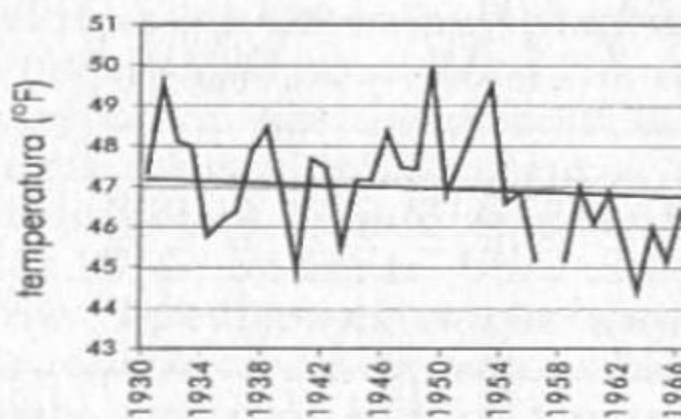
Źródło: Amerykańska Sieć Klim

Jork, 1930–2000



atologii Historycznej, USHCN

Oswego, stan Nowy



Źródło: Amerykańska Sieć Klim

- Jak pan widzi, w Nowym Jorku zrobiło się cieplej, ale w innych częściach stanu, od Oswego po Albany, ochłodziło się.

Evans, świadom, że wycelowana jest w niego kamera, skinął głową w sposób, który - miał nadzieję - zostanie odebrany jako pełen namysłu, i zapytał:

- Skąd pochodzą te dane?

- Z Sieci Klimatologii Historycznej. To rządowa baza danych, przechowywana w Laboratorium Krajowym w Oak Ridge.

- Interesujące... Chciałbym jeszcze zobaczyć dane z Azji i Europy. W końcu mówimy o zjawisku globalnym.

- Naturalnie. - Jennifer również grała dla kamer. - Zanim jednak do nich przejdziemy, chciałabym, żeby skomentował pan dotychczasowe informacje. Jak pan widział, w wielu miejscach w USA temperatura wcale nie wzrosła od lat trzydziestych.

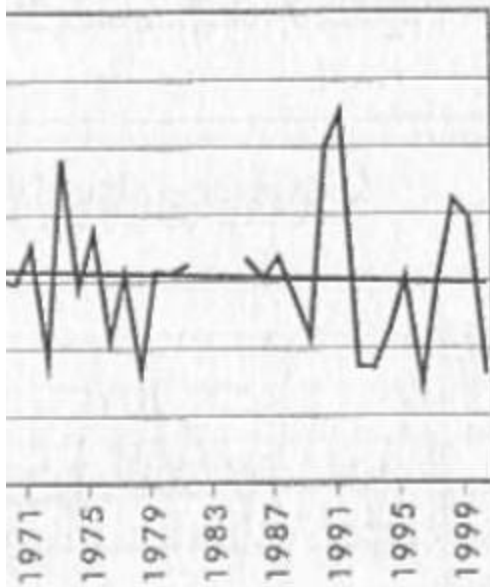
- Na pewno starannie wybrała pani dane.

- W pewnym stopniu tak. To samo zrobi obrona.

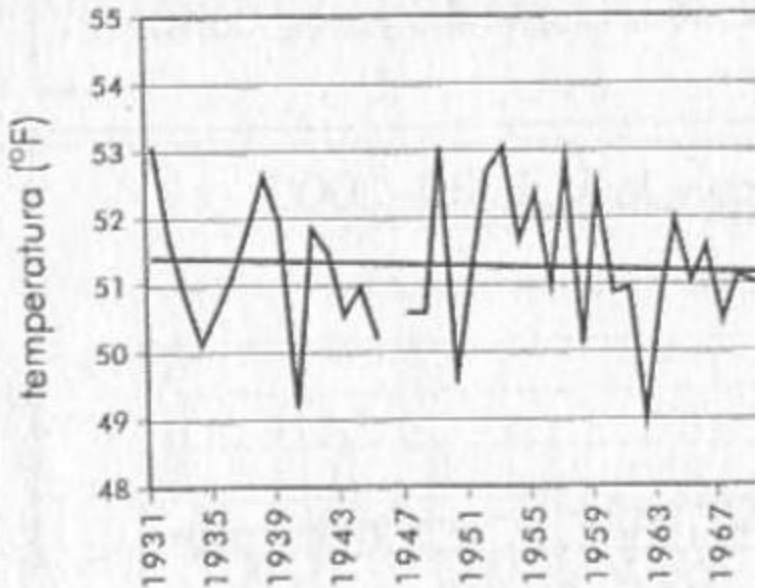
- Ale wyniki w gruncie rzeczy mnie nie zaskoczyły. Pogoda zależy od wielu uwarunkowań lokalnych. Zawsze tak było i zawsze będzie. - Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. - Dlaczego właściwie wszystkie te wykresy zaczynają się w 1930 roku? Przecież mamy starsze zapisy.

- Celna uwaga. - Jennifer pokiwała głową. - Wiele zależy od tego, jak daleko cofniemy się w przeszłość. Na przykład...

ork, 1931-2000

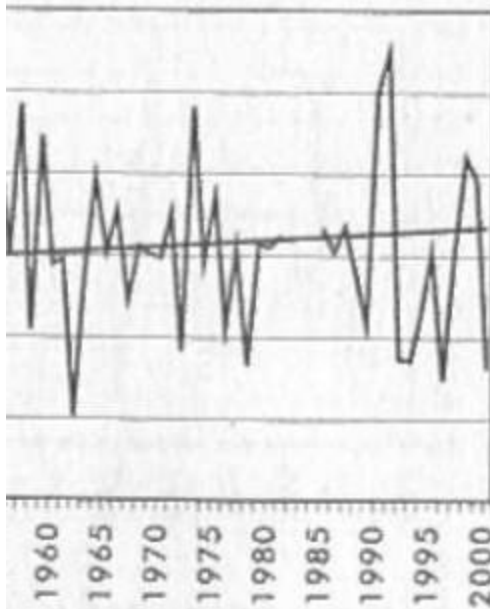


West Point, stan Nowy Jork

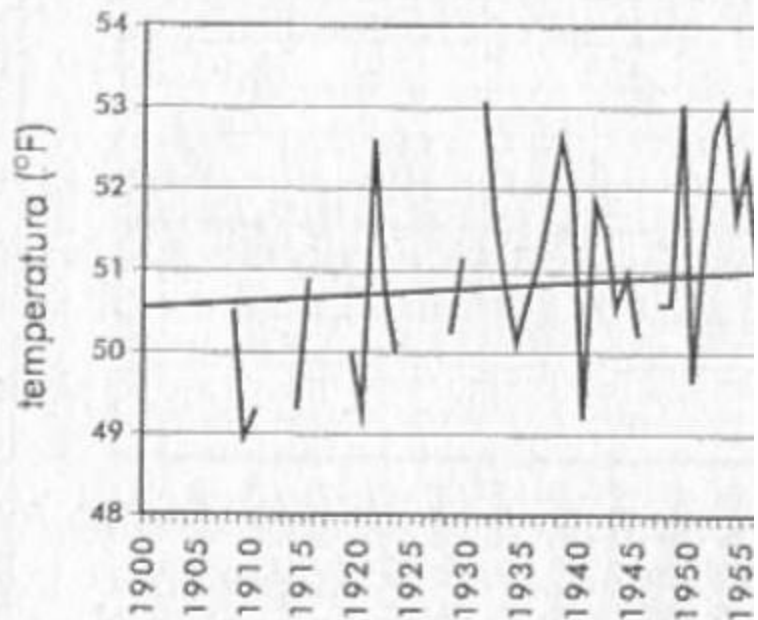


...wyniki z West Point od roku 1931 do 2000. Tendencja spadkowa. A teraz...

ork, 1900-2000



West Point, stan Nowy Jork



...to samo miejsce, ale w latach 1900-2000. Tym razem obserwujemy tendencję wzrostową.

- No proszę. Więc jednak manipulujecie danymi. Tak je dobieracie, żeby potwierdzały waszą tezę.

- Oczywiście. Ale dlaczego ten wykres tak wygląda? Dlatego że w latach trzydziestych na znacznym obszarze Stanów Zjednoczonych notowano wyższe temperatury niż obecnie.

- Ale to mimo wszystko manipulacja.

- Owszem. I obrona z pewnością zaprezentuje przysięgłym liczne przykłady takich manipulacji zaczerpnięte z ekologicznej literatury propagandowej: taki dobór danych, żeby przedstawiały sytuację w czarnych barwach.

Przytyk pod adresem ekologów nie uszedł uwagi Evansa.

- W takim razie odrzucmy manipulację. Całkowicie. Zobaczmy, jak wygląda pełny zapis pomiarów. Jak daleko możemy się cofnąć?

- W przypadku West Point do roku 1826.

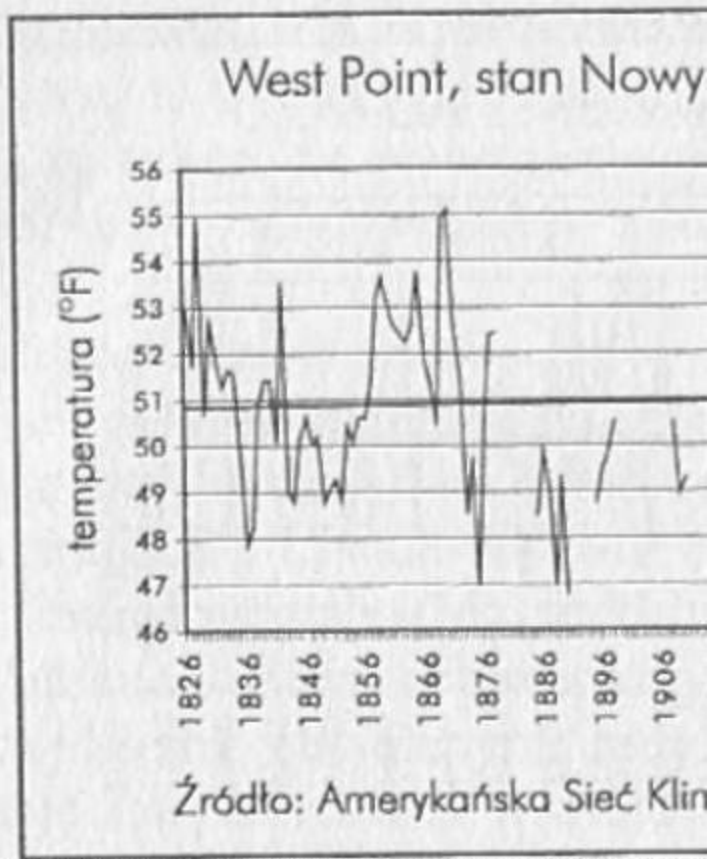
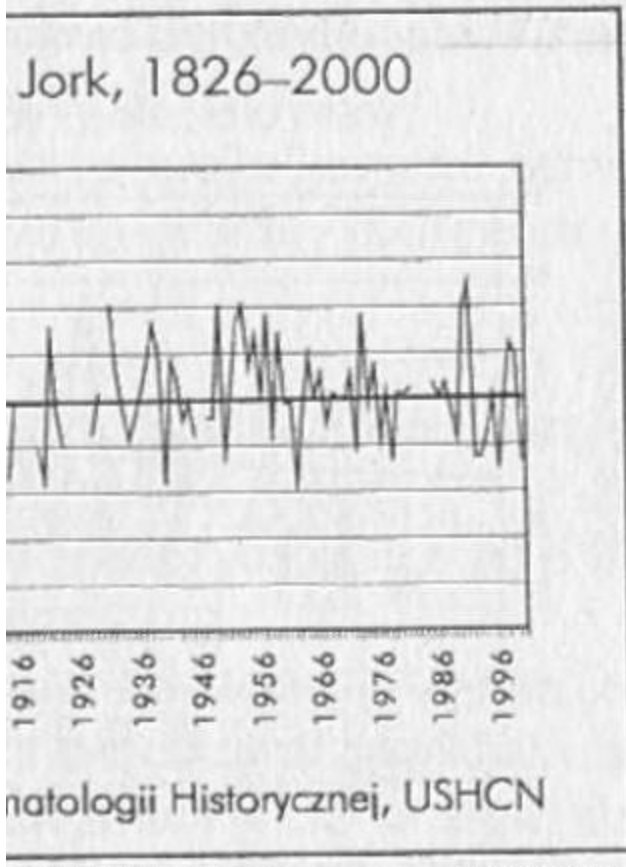
- Świetnie. Co wtedy zobaczymy?

Evans triumfował. Wiadomo przecież, że ocieplenie Ziemi zaczęło się około roku 1850 i od tamtej pory temperatury wszędzie wzrosły. Wykres z West Point z pewnością to zilustruje.

Jennifer również musiała zdać sobie z tego sprawę, ponieważ wyraźnie się zawahała, zmarszczyła brwi i zaczęła przeglądać plansze z wykresami.

- Nie ma pani tego wykresu?

- Gdzieś tu na pewno jest... Na pewno. O, mam.



Evansowi wystarczył jeden rzut oka. Już wiedział, że dał się podpuścić.

- W rzeczy samej, wykres niezwykle znaczący - ciągnęła tymczasem Jennifer. - W ciągu stu siedemdziesięciu czterech lat średnia temperatura w West Point nie uległa zmianie. W 1826 roku było pięćdziesiąt jeden stopni Fahrenheita, w 2000 nadal jest pięćdziesiąt jeden.

- To tylko przykład. - Evans szybko odzyskał pewność siebie. - Jeden z wielu. Z setek albo tysięcy.

- Chodzi panu o to, że zapisy z innych miejsc wykazują inne tendencje?

- Na pewno. Zwłaszcza te, które sięgają tak daleko wstecz.

- Ma pan całkowitą rację. Różne zapisy, różne tendencje.

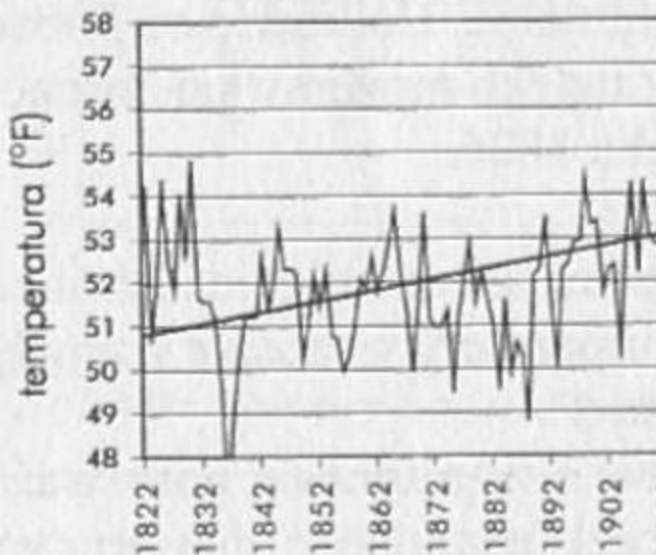
Evans rozsiadł się wygodnie, zadowolony z siebie, i skrzyżował ręce na piersi.

Nowy Jork, 1822–2000



Klimatologii Historycznej, USHCN

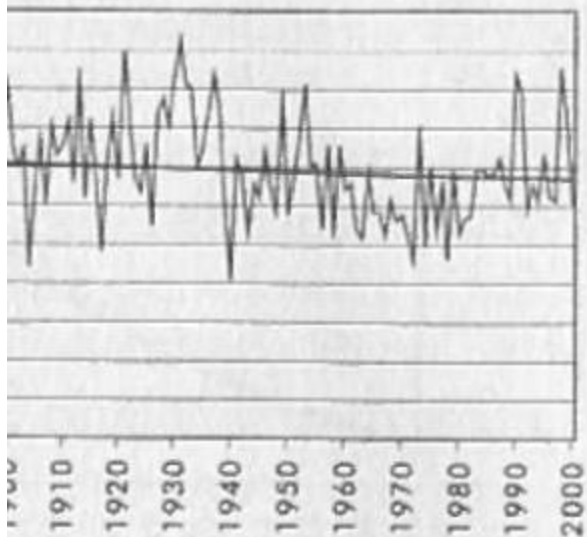
Nowy Jork, stan Nowy



Źródło: Amerykańska Sieć Klimatologiczna

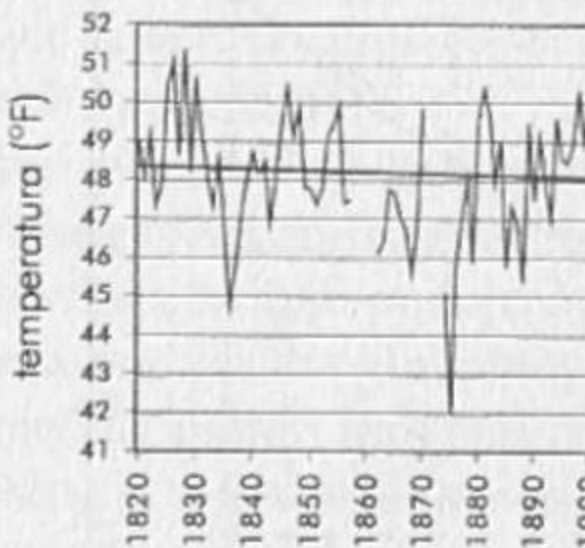
- Nowy Jork: sto siedemdziesiąt osiem lat, ocieplenie o pięć stopni.

Nowy Jork, 1820–2000



Klimatologii Historycznej, USHCN

Albany, stan Nowy



Źródło: Amerykańska Sieć Klimatologiczna

- Albany: sto osiemdziesiąt lat, ochłodzenie o pół stopnia. Evans wzruszył ramionami.

- Tak jak mówiłem, uwarunkowania lokalne.

- A ja się zastanawiam... Jak te uwarunkowania lokalne mają się do teorii globalnego ocieplenia? No bo przecież globalne ocieplenie jest spowodowane wzrostem stężenia tak zwanych gazów cieplarnianych, między innymi dwutlenku węgla, które zatrzymują ciepło w ziemskiej atmosferze. Zgodzi się pan ze mną?

- Tak - odparł Evans, zadowolony, że nie musi silić się na własną definicję.

- Zgodnie z teorią atmosfera staje się coraz cieplejsza jak powietrze w cieplarni.

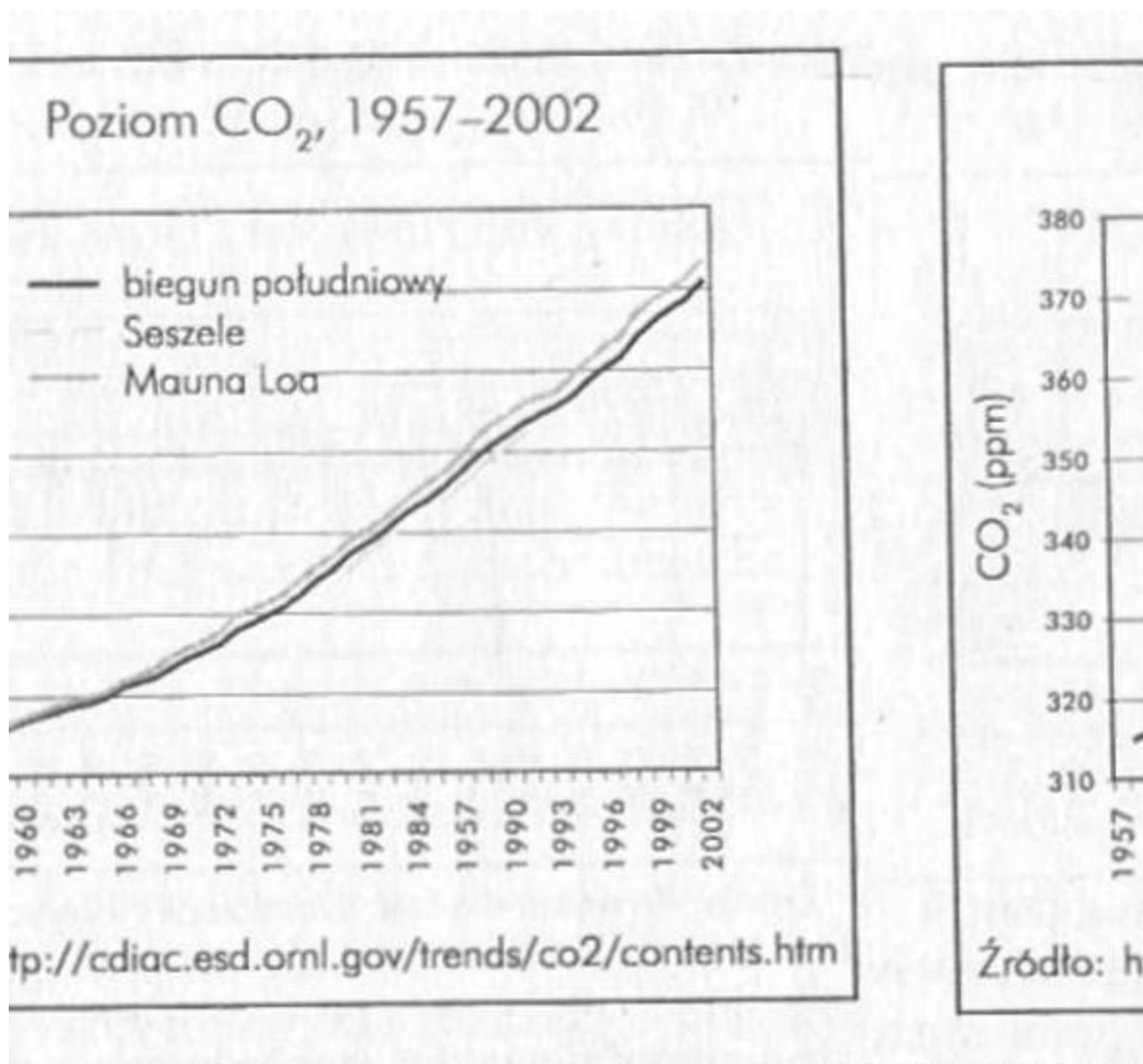
- Zgadza się.

- Wpływ gazów cieplarnianych obejmuje całą planetę.

- Tak jest.

- Ilość dwutlenku węgla, bo to on najbardziej nas niepokoi, wzrosła na całym świecie w podobnym stopniu.

Jennifer wyjęła następną planszę.



- Owszem...

- Więc jego wpływ na całym świecie powinien być podobny. Nie bez powodu nazywamy to zjawisko globalnym ociepleniem.

- Zgadza się.

- Ale przecież Nowy Jork i Albany dzieli dwieście dwadzieścia kilometrów. Trzy godziny jazdy samochodem. Poziom dwutlenku węgla jest w nich identyczny, a mimo to jedno miasto stało się wyraźnie cieplejsze, a drugie minimalnie się ochłodziło. Czy to na pewno potwierdza tezę o globalnym ociepleniu?

- Pogoda to zjawisko lokalne. Jedne miejsca są cieplejsze, inne zimniejsze. Tak już jest.

- Mówimy o klimacie, nie o pogodzie. Klimat to pogoda obserwowana w długiej perspektywie czasowej.

- Wiem o tym...

- Przyznałabym panu rację, gdyby oba miasta się ociepliły, ale w różnym stopniu. Tymczasem jedno jest cieplejsze, drugie zimniej sze, a w leżącym w pół drogi między nimi West Point nic się nie zmieniło.

- Teoria globalnego ocieplenia przewiduje chyba, że w niektórych punktach globu nastąpi ochłodzenie.

- Naprawdę? Dlaczego tak by miało być?

- Nie pamiętam... Gdzieś o tym czytałem.

- Cała atmosfera ziemską się nagrzewa i w efekcie w niektórych miejscach robi się zimniej?

- Tak mi się wydaje.

- Proszę się chwilę zastanowić, czy to stwierdzenie w ogóle ma sens.

- Może i nie, ale klimat to złożony układ.

- To znaczy?

- No wie pani... skomplikowany. Nie zawsze zmiany zachodzą zgodnie z przewidywaniami.

- Trudno się z panem nie zgodzić. Ale wróćmy jeszcze do Nowego Jorku i Albany. Skoro leżą tak blisko siebie i wykazują takie różnice, przysięgli mogą zacząć podejrzewać, że w istocie obserwujemy zjawisko, które wcale nie ma globalnego charakteru. Przez ostatnie sto osiemdziesiąt pięć lat Nowy Jork stał się ośmiomilionowym miastem, Albany zaś rozrosło się w znacznie mniejszym stopniu.



- To prawda.

- A jak nam wiadomo, efekt miejskiej wyspy cieplnej sprawia, że miasta są cieplejsze od obszarów niezurbanizowanych.

- Mhm.

- Efekt wyspy cieplnej jest zjawiskiem lokalnym, niezwiązanym z tendencjami globalnymi.

- Tak.

- Proszę mi w taki razie powiedzieć: skąd pewność, że wzrost temperatury w Nowym Jorku jest spowodowany globalnym ociepleniem, a nie po prostu nadmierną koncentracją betonu?

- Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Ale na pewno ktoś już badał tę sprawę.

- Przecież jeśli takie miasta jak Nowy Jork będą się rozrastać i nagrzewać, podniesie się średnia temperatura na całej Ziemi, prawda?

- Powinna.

- A zatem postępująca urbanizacja naszego globu sama w sobie może być przyczyną globalnego ocieplenia. I nagrzewanie się atmosfery nie będzie tu miało nic do rzeczy.

- Naukowcy z pewnością już to przewidzieli. I znają odpowiedź.

- Owszem, znają. Modyfikują wyniki pomiarów w taki sposób, aby uwzględnić efekt miejskiej wyspy cieplnej.

- No właśnie.

- Jak to: no właśnie? Panie Evans, jest pan prawnikiem. Na pewno zdaje pan sobie sprawę, ile wysiłku wkładają strony procesu w zapewnienie przysięgłym rzetelnych informacji.

- Oczywiście, ale...

- I nie chciałby pan, żeby ktoś nimi manipulował.

- Naturalnie...

- W tym wypadku informacją są nieprzetworzone pomiary temperatury. Ci sami naukowcy, którzy twierdzą, że globalne ocieplenie grozi ogólnoswiatowym kryzysem, manipulują tymi danymi.

- Nie manipulują nimi, tylko je korygują. I to w dół.

- Obrona nie omieszka zapytać, czy korekta nie jest przypadkiem za mała.

- No nie wiem... Zagłębiamy się w szczegóły techniczne.

- Bynajmniej. To kwestia absolutnie podstawowa. Urbanizacja kontra gazy cieplarniane: co naprawdę jest przyczyną ocieplania się Ziemi? Obrona będzie miała mocny argument. Niedawne badania sugerują, że korekta uwzględniająca efekt wyspy cieplnej jest zbyt mała. Przynajmniej jedna praca stwierdza, że za zmianę temperatury co najmniej w połowie odpowiada gospodarka gruntami. Jeśli tak jest, to przez ostatnie sto lat globalne ocieplenie nie przekroczyło trzech dziesiątych stopnia. Trudno to chyba nazwać kryzysem.

Evans nie odpowiedział. Ze względu na kamerę, starał się wyglądać inteligentnie.

- Można, rzecz jasna, podać wyniki tych badań w wątpliwość - ciągnęła Jennifer. - Ale problem pozostaje: gdy tylko wprowadzamy korektę, narażamy się na zarzut, że to błąd i manipulacja. Obrona na tym zyskuje, a jej koronnym argumentem jest fakt, że manipulacji danymi dopuścili się ci sami ludzie, którzy mogą na niej najwięcej skorzystać.

- Twierdzi pani, że klimatolodzy postępują nieetycznie?

- Twierdzę, że to zła polityka, kiedy da się lisowi pilnować kurnika. W medycynie takie praktyki są nie do pomyślenia. Wszystkie doświadczenia wymagają podwójnie ślepych prób.

- Czyli jednak klimatolodzy są nieetyczni.

- Nie. Chodzi mi tylko o to, że mechanizm podwójnie ślepych prób ma sens. Każdy naukowiec wiąże ze swoimi doświadczeniami pewne oczekiwania; w przeciwnym razie w ogóle by nie eksperymentował. Ale nie, eksperymentuje i czegoś się spodziewa. Kłopot w tym, że oczekiwania mogą wpływać na wyniki eksperymentów. Działa tu podświadomość. Słyszał pan o naukowym badaniu uprzedzeń?

- Nie. - Evans pokręcił głową.

- Dam panu prosty przykład. Dwie grupy szczurów, absolutnie identycznych pod względem genetycznym, wysłała się do badań do dwóch laboratoriów. Obsłudze jednego z nich mówi się, że są to szczury wybitnie inteligentne, należy się więc spodziewać, że będą pokonywały labirynt szybciej od innych. Drugie laboratorium dowiadyuje się, że szczury są wyjątkowo tępe i powinny dłużej błądzić. Spływają wyniki: w jednym laboratorium szczury są szybsze od przeciętnych, w drugim wolniejsze. Chociaż w istocie są dokładnie takie same.

- No dobrze, naukowcy wpłynęli na przebieg eksperymentu.

- Twierdzą, że nie. Ale to tylko jeden z przykładów. Podam panu następny. Zbieramy grupę ankietarów. Uprzedzamy ich, że osoba ankietera ma czasem wpływ na wynik sondażu i że chcemy tego uniknąć. Dlatego kiedy zapukają do drzwi i ktoś im otworzy, mają odczytać tekst z przygotowanej przez nas kartki: „Dzień dobry. Przeprowadzam ankietę. Czytam z kartki, aby w żaden sposób nie wpływać na państwa wypowiedzi...” I tak dalej. Nie mówią nic więcej. Dzielimy grupę na pół: jednej połowce zapowiadamy, że spodziewamy się siedemdziesięciu procent odpowiedzi

pozytywnych, drugiej - że tylko trzydziestu. Kwestionariusze są identyczne. A wyniki? Siedemdziesiąt do trzydziestu.

- Jak to możliwe?

- Możliwe czy niemożliwe. Liczy się fakt, że w setkach eksperymentów potwierdzono, iż oczekiwania eksperymentatora mają wpływ na wynik doświadczenia, które prowadzi. Ludzie znajdują to, co chcą znaleźć. Po to właśnie są próby podwójnie ślepe. Biorący udział w procesie doświadczalnym nie znają się nawzajem: ci, którzy przygotowują eksperyment, nie znają tych, którzy go prowadzą, a w dodatku jedni i drudzy nie znają tych, którzy analizują wyniki. Grupy w żaden sposób się nie porozumiewają, małżonkowie i dzieci eksperymentatorów nie mają ze sobą kontaktu, eksperymentatorzy pracują na różnych uczelniach, a często także pochodzą z różnych krajów. W ten właśnie sposób testuje się nowe leki. Bo tylko tak można zagwarantować pełny obiektywizm.

- No dobrze...

- Wróćmy do naszych temperatur. Podczas pomiarów trzeba uwzględnić wiele czynników ubocznych, nie tylko efekt wyspy cieplnej. Stacje meteorologiczne przenosi się w nowe miejsca; modernizuje się wyposażenie, a wyniki z nowego mogą się różnić od wskazań starego; czasem sprzęt się psuje i należy się zastanowić, czy nie odrzucić części danych. Zestawienie kompletnej serii wymaga podjęcia wielu decyzji. A decyzje mogą być subiektywne.

- Mogą, ale nie muszą?

- Nigdy nic nie wiadomo, ale dopóki jeden zespół odpowiada za całość eksperymentu, trzeba się z tym liczyć. Jeżeli ci sami ludzie konstruują model teoretyczny, testują go, a potem opracowują wyniki, te wyniki są podejrzane. Nic tego nie zmienia.

- Czyli zestawienia temperatur do niczego się nie nadają?

- Zestawienia temperatur są podejrzane. Przyzwoity adwokat nie zostawi na nich suchej nitki. I dlatego aby ich bronić, chcemy...

Ekipa z kamerą bez słowa wstała i wyszła z pokoju. Jennifer uspokajającym gestem położyła Evansowi dłoń na ramieniu.

- Nie przejmuj się, kręcili bez dźwięku. Ja tylko chciałam wywołać wrażenie ożywionej dyskusji.

- Czuję się jak idiota.

- Świetnie wypadłeś. A w telewizji tylko to się liczy.

- Nie o to mi chodzi. - Evans pochylił się w jej stronę. - Kiedy z tobą rozmawiałem, nie mówiłem tego, co naprawdę myślę. Zaczynam zadawać sobie... Mam poważne wątpliwości.

- Naprawdę?

- Tak. - Zniżył głos. - Na przykład te wykresy. Przecież na ich widok każdy zwątpiłby w globalne ocieplenie.

Jennifer pokiwała z namysłem głową.

- Ty też tak masz? Cały czas mu potakiwała.

Poszli na lunch do tej samej meksykańskiej restauracji, która, tak jak poprzednio, była prawie pusta. Co sami montażyści z Sony chichotali przy stoliku w kącie. Musieli tam przychodzić codziennie.

Ale zarazem wszystko było inne, i to wcale nie dlatego, że Evans zasypiał na stojąco i bolały go wszystkie kości. Czuł, że się zmienił. I że zmieniło się to, co łączyło go z Jennifer.

Jadła w milczeniu. Miał wrażenie, że czeka, aż on coś powie.

- To by było szaleństwo podejrzewać, że globalne ocieplenie nie istnieje - odezwał się w końcu.

- Szaleństwo - przytaknęła.

- Przecież cały świat w nie wierzy.

- Cały świat. Ale tam, w naszej sali narad wojennych, myślimy tylko o przysięgłych. A obrona będzie miała z nimi używanie.

- Chodzi ci o te przykłady, które cytowałeś?

- One jeszcze nie są najgorsze. Spodziewamy się mniej więcej takiej linii obrony: panie i panowie, nieraz słyszeliście, że zjawisko zwane globalnym ociepleniem jest spowodowane narastającym stężeniem dwutlenku węgla i innych gazów cieplarnianych w atmosferze. Nie powiedziano państwu jednak, że stężenie tych gazów wzrosło minimalnie. Widzieliście pewnie wykresy, na których krzywa narastania stężenia dwutlenku węgla wygląda jak ściana Everestu, ale fakty są inne. Zawartość dwutlenku węgla w powietrzu wzrosła z 316 ppm, czyli cząsteczek na milion, do 376 ppm. Sześćdziesiąt cząsteczek na milion: oto ów wzrost. Tak niewielką zmianę trudno sobie w ogóle wyobrazić wobec ogromu atmosfery. - Jennifer usiadła wygodniej i wykonała zamaszty gest. - Potem wyciągnęła rysunek boiska futbolowego i powiedzą tak: proszę sobie wyobrazić, że cała atmosfera ziemską to właśnie to futbolowe boisko. Atmosfera składa się w większości z azotu: jest go aż siedemdziesiąt osiem metrów. To, co pozostaje, to przeważnie tlen, który sięga aż do dziewięćdziesiątego dziewiątego metra. Zostaje tylko metr, a w nim jest zwłaszcza szlachetny argon. Kiedy się go uwzględni, zostaje osiem i pół centymetra. Linie na boisku są niewiele grubsze, proszę państwa. A ile z tych ośmiu i pół centymetra zajmuje dwutlenek węgla? Dwa i pół. Tyle właśnie dwutlenku węgla mamy w atmosferze. Dwa i pół centymetra na stumetrowym boisku. - Jennifer zrobiła teatralną pauzę. - A teraz, panie i panowie przysięgli, dowiadujecie się, że w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat dwutlenku węgla przybyło. Czy wiecie, jak ten wzrost ilości przełoży się

na nasze boisko? Przybędzie go osiem milimetrów. Osiem milimetrów to nieco więcej niż grubość ołówka. Owszem, procentowo zmiana jest spora, ale w skali atmosfery niezauważalna. I każe się państwu wierzyć, że ta odrobina pchnęła całą planetę w objęcia niebezpiecznego ocieplenia.

- Ten argument można łatwo zbić...

- Zaczekaj, to nie koniec. Najpierw należy zasiać wątpliwości, a potem przedstawić alternatywne wytłumaczenie. Obrona sięga po wykres temperatur dla Nowego Jorku, ten, który już widziałeś: pięć stopni od 1815 roku. I mówi: w 1815 w Nowym Jorku mieszkało sto dwadzieścia tysięcy ludzi. Dziś mieszka osiem milionów. Miasto urosło o sześć tysięcy procent: wieżowce, klimatyzacja, beton. Zastanówmy się, jaki sens ma twierdzenie, że miasto, które jest o sześć tysięcy procent większe niż sto dziewięćdziesiąt lat temu, zrobiło się cieplejsze z powodu mikroskopijnej nadwyżki starego, dobrego dwutlenku węgla? A może nagrzało się po prostu dlatego, że jest o wiele, wiele większe niż dawniej?

Jennifer odchyliła się na oparcie.

- Kontrargument sam się narzuca - zauważył Evans. - Przykłady, w których drobna przyczyna prowadzi do spektakularnych skutków, można

mnożyć w nieskończoność. Cyngiel jest mały w porównaniu z całym karabinem, ale wystarcza, żeby strzelić. Poza tym przewaga dowodów...

- Peter, gdybyś znalazł się na ławie przysięgłych i zadano by ci pytanie o Nowy Jork, co byś sobie pomyślał? Globalne ocieplenie czy nadmiar betonu? A co właściwie teraz myślisz, nie jako przysięgły, tylko jako ty sam?

Moim zdaniem w Nowym Jorku jest cieplej, bo się rozrósł.

- No widzisz.

- Pozostaje wam jeszcze podnoszenie się poziomowi mózgu.

- Niestety, na Vanutu efekt ten jest praktycznie niezauważalny. W zależności od bazy danych, do której się sięgnie, albo nie ma żadnych zmian, albo zanotowano przyrost o czternaście milimetrów. W ciągu trzydziestu lat. To jest nic.

- Czyli nie macie szans wygrać.

- Nie. Ale przyznam, że argument z cynglem robi wrażenie.

- Skoro nie macie szans wygrać, to po co ta szopka z konferencją prasową?

- Dziękuję wszystkim za przybycie - zaczął John Balder, stanąwszy przed rzędem mikrofonów na zewnątrz biurowca. Błysnęły flesze. - Nazywam się John Balder, a obok mnie stoi Nicholas Drake, prezes Krajowego Funduszu Zasobów Naturalnych. Jest z nami również Jennifer Haynes,

szefowa naszego zespołu doradców, oraz Peter Evans z kancelarii Hassie and Black. Chcemy wspólnie ogłosić, że w imieniu leżącego na Pacyfiku państwa Vanutu złożymy pozew przeciwko Agencji Ochrony Środowiska Stanów Zjednoczonych.

Stojący z tyłu Evans już miał odruchowo przygryźć wargę, ale powstrzymał się siłą woli. Nie należało robić min, z których ktoś mógłby wywnioskować, że się denerwuje.

- Ubogich mieszkańców Vanutu czeka jeszcze większa nędza, której przyczyną jest największe zagrożenie ekologiczne naszych czasów: globalne ocieplenie i związane z nim niebezpieczeństwo gwałtownych zmian klimatycznych.

Evans przypomniał sobie, że zaledwie przed paroma dniami Drake mówił o gwałtownych zmianach klimatycznych jak o mało prawdopodobnej możliwości. Wystarczył mu niecały tydzień, żeby tę wątplą obawę przekuć w pewność.

Balder w żywych barwach odmalował nieszczęście mieszkańców Vanutu, których podnoszący się ocean wypiera z ziemi przodków. Podkreślił tragedię dzieci, których dziedzictwo tonie we wściekłych falach wywołanych przez nieczułego na ludzką krzywdę przemysłowego olbrzyma na dalekiej północy.

Mieszkańcom Vanutu należy się sprawiedliwość. Gwałtowne zmiany klimatyczne stanowią zagrożenie dla przyszłości całego świata. Dlatego nasza dzisiejsza zapowiedź procesu ma szczególną wymowę. I Balder poprosił o pytania.

- Kiedy dokładnie chcecie złożyć pozew?

- Sprawa ociera się o poważne problemy naukowe. W naszym laboratorium pracuje w tej chwili czterdziestu specjalistów. Czekamy tylko na zakończenie ich prac.

- Przed którym sądem?

- Okręgowy Sąd Federalny w Los Angeles.

- O jakie odszkodowanie chcecie wystąpić?

- Co na to rząd?

- Czy sąd zechce rozpatrzyć tę sprawę?

Pytania sypały się coraz szybciej. Balder był w swoim żywiole. Evans zerknął na Jennifer, stojącą po drugiej stronie podwyższenia. Popukała w tarczę zegarka. Evans skinął głową, spojrzął na swój zegarek, skrzywił się i zszedł z podium. Jennifer szła tuż za nim.

Weszli do magazynu. Minęli strażników.

Evans osłupiał ze zdziwienia.

## Culver City

**Wtorek, 12 października Godz. 13.20**

Światła były przygaszone. Większość pracowników, których Evans wcześniej tu widział, zniknęła. Z pokoi wynoszono sprzęt, dokumenty pakowano do kartonów, meble poprzesuwno, ludzie z firmy przeprowadzkowej wywozili na wózkach stopy pudeł.

- Co tu się dzieje?

- Skończył się nam okres wynajmu.

- I co, przenosicie się?

- Nie. Odchodzimy.

- Jak to?

- Normalnie. Szukamy sobie nowych zajęć. Nikt już nie będzie się zajmował tym procesem.

Z głośnika dobiegał głos Baldera:

- Według naszych szacunków proces rozpocznie się najdalej za trzy miesiące. Wierzę niezłomnie w czterdzieścioro dzielnych kobiet i mężczyzn, którzy wspierają nas w tej przełomowej sprawie.

Evans usunął się z drogi mężczyznom niosącym stół - ten sam, przy którym trzy godziny wcześniej rozmawiali z Jennifer. Za nimi jechała na wózku skrzynia ze sprzętem wideo.

- Jak on to sobie wyobraża? - Cały czas słyszał przemawiającego Baldera. - Ludzie się dowiedzą...

- To przecież logiczne. Złożymy wniosek o tymczasowy nakaz sądowy. Trochę to potrwa, zanim dotrze do sądu okręgowego, który go odrzuci. Wtedy pójdziemy z nim do dziewiątego okręgu w San Francisco, a na koniec do Sądu Najwyższego. Proces nie może się zacząć, dopóki wniosek nie zostanie rozpatrzony, a to może potrwać całe lata. Dlatego zwalniamy całą naszą ekipę naukową, zamykamy kosztowne biuro i czekamy, utrzymując szczątkowy personel prawny w stałej gotowości.

- Macie taki szczątkowy personel?

- Nie. Ale pytałeś, jak Balder to sobie wyobraża. Evans patrzył na wynoszone tylnym wyjściem pudła.

- Od początku nie zależało wam na doprowadzeniu do procesu, prawda?

- Powiem tak: Balder może się pochwalić świetną statystyką wygranych spraw. Taki wynik osiąga się tylko w jeden sposób: pozbywając się przegranych, zanim sprawa trafi do sądu.

- I tej też zamierza się pozbyć?

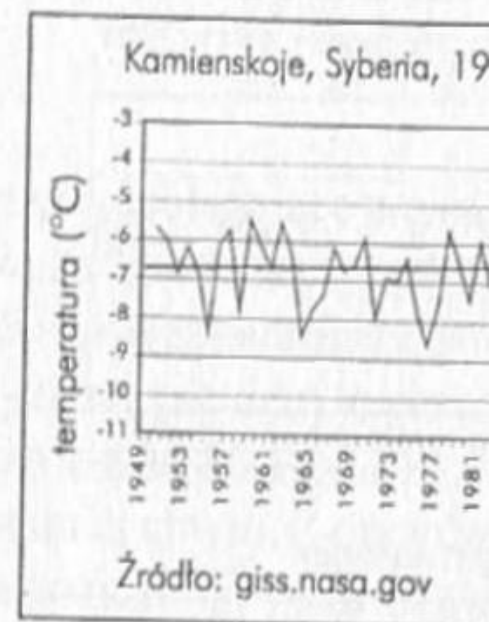
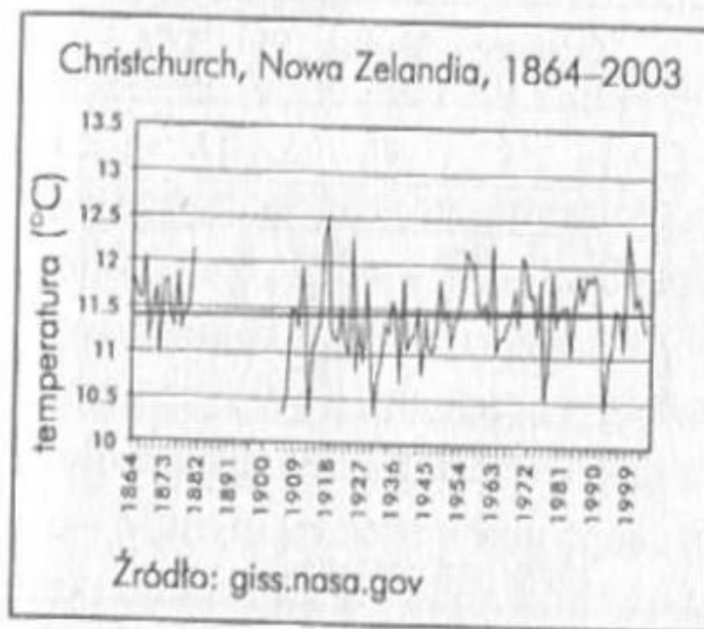
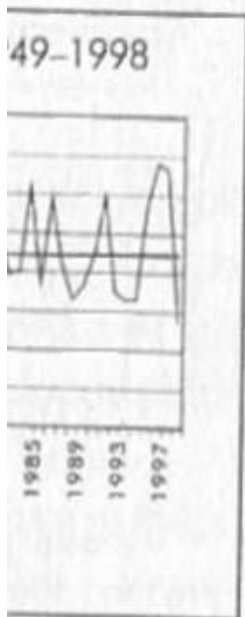
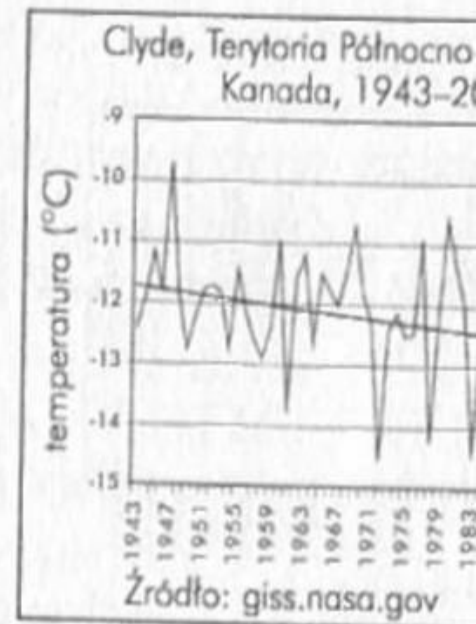
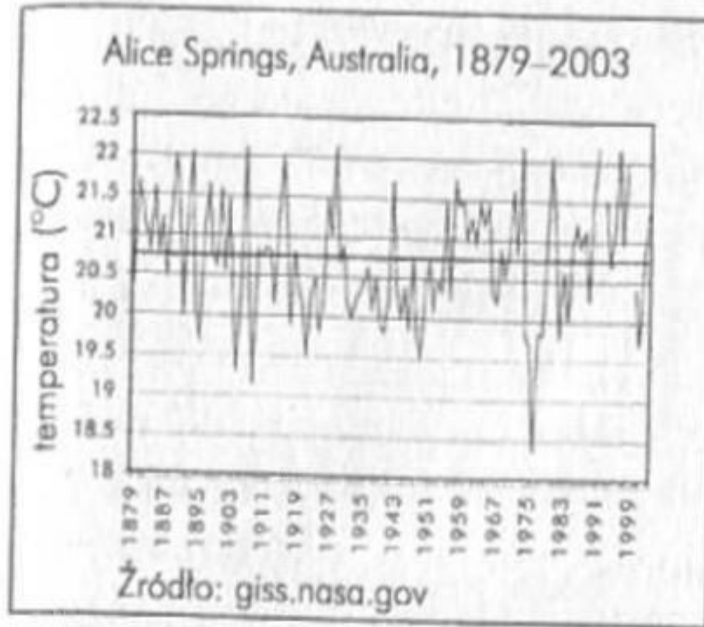
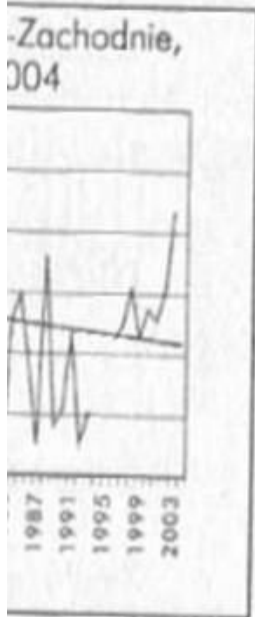
- Oczywiście. Mogę cię zapewnić, że żaden sąd nie przyzna odszkodowania za nadmierną emisję dwutlenku węgla przez amerykański przemysł. - Jennifer wskazała na głośnik. - Drake kazał mu podkreślić kwestię gwałtownych zmian klimatycznych, co ładnie współgra z tą jego jutrzejszą konferencją.

- Tak, ale...

- Oboje wiemy, że celem tego zamieszania było przyciągnięcie mediów. Mają swoją konferencję prasową? Mają. Po co dłużej się w tym babrać?

Przerwali im ludzie z firmy przeprowadzkowej; wypytywali Jennifer, gdzie co położyć. Kręcąc się bez celu, Evans wrócił do sali przesłuchań, gdzie jego uwagę przykuły stojące w kącie styropianowe plansze z wykresami. Chciał zobaczyć te, których Jennifer mu nie pokazała. Wyjął pierwsze z brzegu - przedstawiały wyniki pomiarów z różnych części świata.

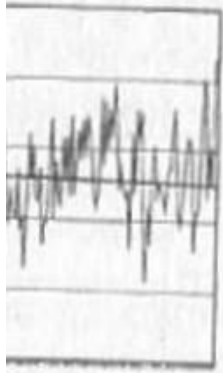




Zdawał sobie sprawę, że wykresy dobrano w ten sposób, aby potwierdzały słowa adwersarzy. Nie dziwił się więc, że wynikające z nich ocieplenie jest minimalne - albo nie ma go w ogóle. Nie podobało mu się jednak, że na całym świecie odnotowuje się podobną tendencję.

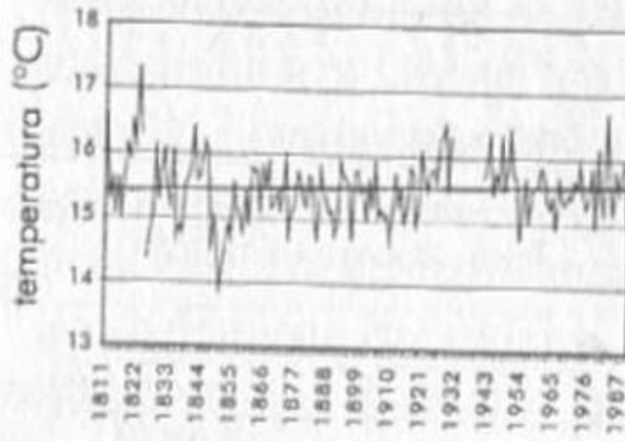
Przejrzał plansze zebrane w puli opisanej Europa.

1757-1995



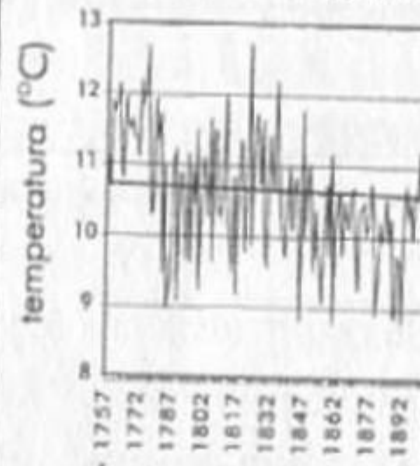
1907  
1922  
1937  
1952  
1967  
1982

Rzym, 1811-1989



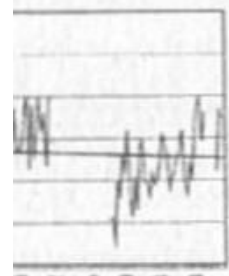
Źródło: giss.nasa.gov

Paryż, Le Bourget, 1757-1995



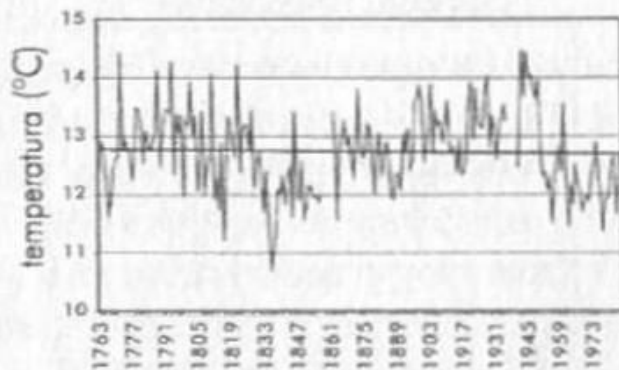
Źródło: giss.nasa.gov

1918-1999



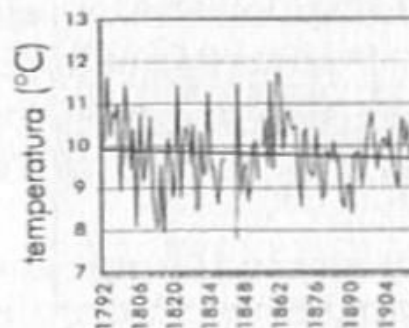
1918 1932 1946 1960 1974 1988

Mediolan, Linate, 1763-1986



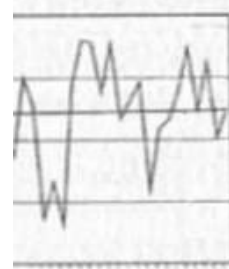
Źródło: giss.nasa.gov

Stuttgart, Niemcy 1792-1904



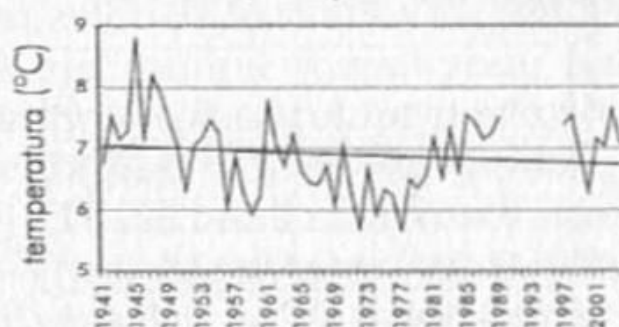
Źródło: giss.nasa.gov

1951-2004



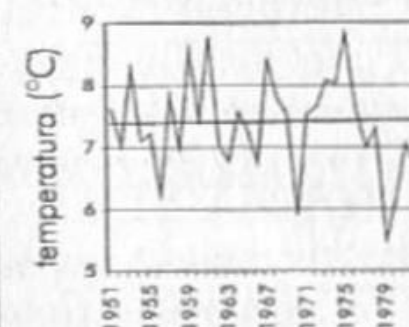
1983 1987 1991 1995 1999 2003

Navacerrada, Hiszpania, 1941-2004



Źródło: giss.nasa.gov

Göteborg, Szwecja 1951-1979

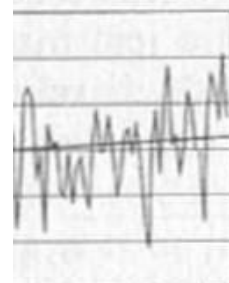


Źródło: giss.nasa.gov

oglądać.

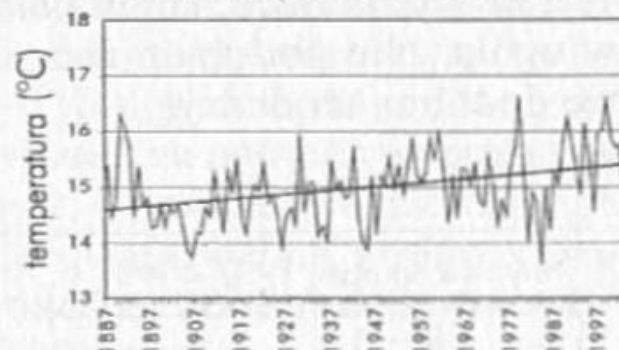
Następny stosik nosił podpis Azja. Evans zaczął go prze

1876-2003



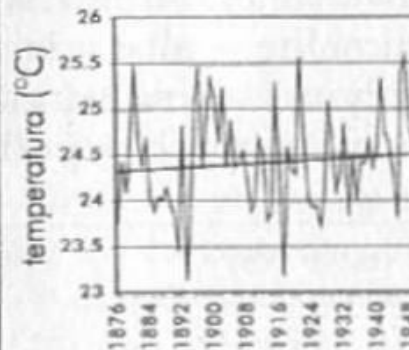
1956 1964 1972 1980 1988 1996

Choshi, Japonia, 1887-2004



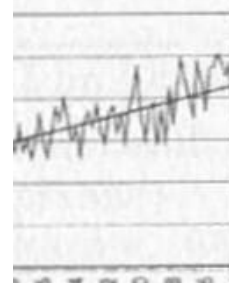
Źródło: giss.nasa.gov

Lahore, Pakistan, 1876-1948



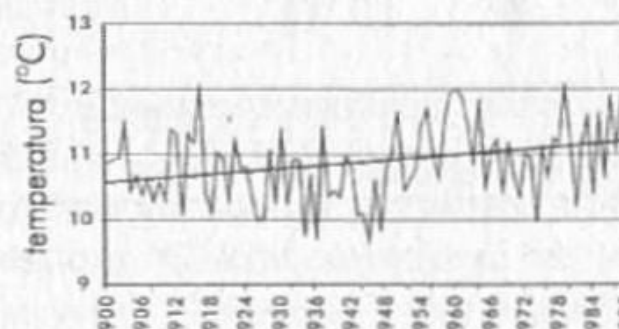
Źródło: giss.nasa.gov

1876-2004



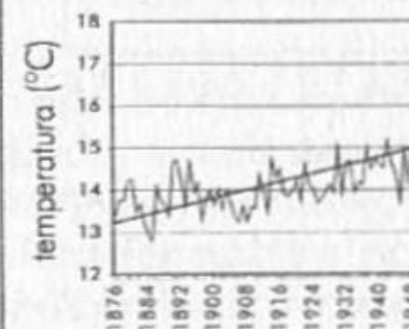
1956 1964 1972 1980 1988 1996 2004

Takayama, Japonia, 1900-1990



Źródło: giss.nasa.gov

Tokio, Japonia, 1876-1948



Źródło: giss.nasa.gov

- Peter? - zawołała go Jennifer.

W jej pokoju wszystko już było spakowane; rzeczy zmieściły się w paru kartonach. Pomógł jej przenieść je do samochodu.

- Co teraz planujesz? Wrócisz do Waszyngtonu, do chłopaka?

- Raczej nie.

- A co?

- Pomyślałam, że przyłączę się do ciebie.

- Do mnie?

- Pracujesz dla Johna Kennera, prawda?

- Skąd wiesz?

Jennifer tylko się uśmiechnęła.

Wychodząc tylnym wyjściem, słyszeli dobiegające z głośnika odgłosy konferencji. Mówił Drake. Dziękował dziennikarzom za przybycie, zapraszał na konferencję prasową NERF-u i tłumaczył, że prawdziwe niebezpieczeństwo związane z globalnym ociepleniem to prawdopodobieństwo wystąpienia gwałtownych zmian klimatycznych.

- Mam tu jeszcze wiadomość z ostatniej chwili. Z prawdziwą przykrością muszą państwa zawiadomić, że znaleziono właśnie zwłoki mojego drogiego przyjaciela George'a Mortona.

## **Culver City**

**Wtorek, 12 października Godz. 14.15**

Wiadomość trafiła do popołudniowych dzienników. Morze wyrzuciło zwłoki milionera George'a Mortona na brzeg niedaleko Pismo Beach. Identyfikacji ciała dokonano na podstawie ubrania i charakterystycznego zegarka, ponieważ, jak powiedział prezydent, rekiny ogryzły je w stopniu uniemożliwiającym rozpoznanie w inny sposób.

Zawiadomiono już rodzinę filantropa, ale data pogrzebu na razie nie została ustalona. Nicholas Drake, szef Krajowego Funduszu Zasobów Naturalnych, wygłosił przy tej okazji oświadczenie. Przypomniał, że Morton poświęcił życie działaniom na rzecz ekologii i takich organizacji jak właśnie NERF, który ostatnio przyznał mu tytuł Ekoobywatela Roku.

- George Morton naprawdę przejmował się zmianami zachodzącymi na całym świecie - mówił Drake. - Odkąd doszła nas wieść o jego zaginięciu, wbrew zdrowemu rozsądkowi wierzyliśmy, że

jednak się odnajdzie, w dobrym zdrowiu i nastroju. Z tym większą przykrością dowiadujemy się, że tak się nie stało. Śmierć drogiego, oddanego przyjaciela nappełnia moje serce smutkiem. Świat bez George'a będzie uboższy. Evans jechał samochodem, kiedy zadzwonił telefon.

- Co robisz? - zapytał Lowenstein.

- Wracam z konferencji prasowej, na którą kazałeś mi pojechać.

- Polecisz do San Francisco.

- Po co?

- Znaleźli zwłoki Mortona. Ktoś je musi zidentyfikować.

- Jego córka nie może?

- Jest na odwyku.

- A jego eks? Co z...

- Evans, to oficjalne polecenie służbowe. Załatw tę sprawę. Patolog spiesz się z sekcją, więc chcieliby przeprowadzić identyfikację przed wieczorem.

- Ale...

- Rusz dupę i szoruj do San Francisco. Czego ty tak ciągle jęczysz? Przecież możesz wziąć samolot Mortona; słyszałem, że i tak chemie z niego korzystasz. Chociaż teraz, po jego śmierci, chyba powinieneś bardziej z tym uważać. Aha, jeszcze jedno: nie jesteś członkiem rodziny, więc do identyfikacji będą potrzebne dwie osoby.

- Mogę poprosić Sarah, jego sekretarkę...

- Nie. Drake chce, żebyś wziął Teda Bradleya.

- Dlaczego?

- A skąd ja mam wiedzieć, do cholery? Bradley chce lecieć, a Drake chce mu zrobić przyjemność. Bradley spodziewa się pewnie dziennikarzy, a jest przecież aktorem. No i przyjaźnił się z George'em.

- W pewnym sensie.

- Siedzieliście razem na bankiecie.

- Sarah byłaby...

- Powiedz mi, Evans, której części mojej wypowiedzi nie zrozumiałeś? Lecisz do San Francisco

i zabierasz ze sobą Teda Bradleya. Koniec, kropka.

Evans westchnął.

- Gdzie on jest?

- W Sequoia. Musisz go stamtąd zabrać.

- Gdzie?

- To Park Narodowy. Po drodze.

- Ale...

- Bradley już wie. Moja sekretarka poda ci telefon do kostnicy w San Francisco. Na razie, Evans. Nie spieprz tego.

Pstryk.

- Kłopoty? - zainteresowała się Jennifer.

- Nie. Ale muszę lecieć do San Francisco.

- Chętnie polecę z tobą. Kto to jest Sarah?

- Stara sekretarka i asystentka Mortona.

- Widziałam ją na zdjęciach. Nie wygląda staro.

- Widziałaś ją na zdjęciach?

- W gazecie był reportaż z turnieju tenisowego. Ona chyba całkiem nieźle gra w tenisa, co?

- Być może.

- Myślałam, że skoro spędzałeś tyle czasu w towarzystwie Mortona, to powinieneś ją dobrze znać.

- Nieszczęśliwie. - Evans wzruszył ramionami. - Chociaż przez ostatnie dni spędziliśmy trochę czasu razem.

- Aha... - Jennifer spojrzała na niego rozbawiona. - Peter, nic mi do tego. Ładna jest. Nie musisz się tłumaczyć.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. - Evans sięgnął po telefon i, chcąc za wszelką cenę uciąć tę rozmowę, wybrał numer komisariatu w Beverly Hills. Poprosił o przełączenie do detektywa Perry'ego, ale okazało się, że jeszcze nie wrócił z sądu. Evans zostawił mu wiadomość. Popatrzył na Jennifer. - Jak wygląda procedura, kiedy prokurator wydaje nakaz aresztowania?

- Przykro mi, ale prawo kryminalne to nie moja działka.

- Moja też nie.

- A ktoś cię chce aresztować?

- Mam nadzieję, że nie.

Zadzwonił telefon. Odezwała się Lisa, gadatliwa sekretarka Lowensteina.

- Cześć, Peter. Mam dla ciebie numery telefonów do pana Bradleya i do kostnicy w San Francisco. O ósmej zamykają. Zdążysz? Herb się dopytuje. Jest bardzo przygnębiony.

- Czym?

- Dawno nie widziałam, żeby chodził tak struty. W każdym razie nie w ostatnich tygodniach.

- Co się stało?

- Chyba chodzi o George'a. Taki wstrząs... No i ten Drake doprowadza go do szału: dzwonił dziś chyba z pięć razy. Wydaje mi się, że rozmawiali o tobie.

- O mnie?

- Tak. - Lisa zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. - Herb zamknął drzwi, ale udało mi się to i owo usłyszeć.

- Na przykład?

- Nikomu nie powiesz?

- Nikomu.

- Wiesz, ja wcale nie... Pomyślałam tylko, że chciałbyś wiedzieć...

- Chciałbym.

Lisa mówiła jeszcze ciszej niż przed chwilą.

- Dużo się tu mówi o twoim ewentualnym odejściu.

- Z kancelarii?

- O tym, że cię... no... zwolnią. Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć.

- Chcę. Dzięki. Kto tak mówi?

- Herb. Poza tym Don Blandings i paru starszych wspólników. Bob i Louise. Nie wiem dlaczego, ale Nick Drake jest na ciebie wściekły. I na jakiegoś gościa, z którym ostatnio się spiknąłeś. Kanner? Connor?

- Rozumiem.

- Pan Connor bardzo niepokoi Drake'a.

- Czemu?

- Drake twierdzi, że to szpieg przemysłowców. Trucieleci.

- Ach tak...

- W każdym razie mówi się, że pan Drake to poważny klient, a ty go wpieniasz. Gdyby Morton żył, nie odważyliby się ciebie wylać, ale teraz... W dodatku ciągle cię nie ma. No i szuka cię policja, a to na pewno nie wróży nic dobrego. Wszyscy się denerwują. No i jeszcze... Co wy kombinujecie z tym Connorem?

- To długa historia.

- Peter - powiedziała urażona Lisa. - Ja ci powiedziałam. Musiał dać jej coś w zamian.

- No dobrze - odparł z udawaną niechęcią w głosie. - Wykonuję zlecenie, które Morton dał mi przed śmiercią.

- Naprawdę?! Jakie?

- To tajemnica. Na razie nie mogę ci powiedzieć.

- Więc George Morton kazał ci coś zrobić?

- Tak, mam to na piśmie.

To ją powinno ostudzić, pomyślał.

- Super. Nie wywalą cię, dopóki działasz w interesie firmy.

- Muszę kończyć, Liso.

- A gdyby cię jednak wylali, mógłbyś ich nieźle ściągnąć.

- Liso...

- Dobrze, dobrze, wiem, że nie możesz rozmawiać. Trzymaj się. Powodzenia!

Odłożył telefon.



- Ładnie to załatwiłeś - przyznała z uśmiechem Jennifer.

- Dzięki - odparł, ale bez uśmiechu.

Świat zaciskał się wokół niego jak pętla na szyi. Nie było to miłe uczucie. A on był taki zmęczony...

Zadzwoił do Sarah, żeby załatwić sobie samolot, ale połączył się tylko z jej pocztą głosową. Zatelefonował więc bezpośrednio do pilota - i dowiedział się, że ten jest w powietrzu.

- To znaczy?

- Pilotuję samolot.

- Dokąd?

- Nie mogę panu powiedzieć. Chce mu pan zostawić wiadomość?

- Nie. Muszę wynająć samolot.

- Kiedy?

- Za pół godziny. Lot do San Francisco z między lądowaniem w pobliżu Sequoia. I powrót dziś w nocy.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Zmęczenie nagle stało się nie do zniesienia. Evans zjechał na pobocze i wysiadł z samochodu.

- Co się dzieje? - zaniepokoiła się Jennifer.

- Trafisz na lotnisko?

- No pewnie.

- To prowadź.

Usiadł na fotelu pasażera i zapiął pas. Patrzył jeszcze przez chwilę, jak Jennifer włącza się do ruchu, a potem zamknął oczy i zasnął.

## **Sequoia**

**Wtorek, 12 października Godz. 16.30**

W lesie panował półmrok i przyjemny chłód. Olbrzymie drzewa filtrowały światło, które

długimi smugami sięgało poszycia. Powietrze pachniało żywicą. Ziemia była miękka i sprężysta.

Miejsce było prześliczne, słoneczne cętki tańczyły na trawie, ale kamerzyści i tak musieli włączyć lampy, żeby sfilmować trzecioklasistów, którzy

koncentrycznymi kręgami otaczali słynnego aktora i ekologa Teda Bradleya. Bradley miał na sobie czarną koszulkę, która podkreślała jego makijaż i śniadą cerę.

- Te wspaniałe drzewa są waszym dziedzictwem - mówił, zataczając ręką wokół. - Stoją tu od wieków. Wyrosły na długo przed tym, jak się urodziliście, przed tym, jak urodzili się wasi rodzice, dziadkowie i pradziadkowie. Niektóre z nich pamiętają przybycie Kolumba do Ameryki; niektóre pamiętają nawet czasy pierwszych Indian! Rosły tu, kiedy nie było ludzi. To najstarsze żywe organizmy na naszym globie, jej strażnicy. Mądrzy strażnicy. I mają nam coś do powiedzenia: zostawcie Ziemię w spokoju. Nie ruszajcie jej. Nie ruszajcie nas. A my musimy ich słuchać.

Dzieci wpatrywały się w niego jak zaczarowane, z szeroko otwartymi buziami. Wszystkie kamery były w niego wycelowane.

- Ale teraz te cudowne drzewa, które przetrwały pożary i erozję gleby, nie dały się ściąć drwalom ani pokonać kwaśnym deszczom, stają w obliczu największego zagrożenia w historii: globalnego ocieplenia. Wiecie, co to jest, prawda?

Podniosły się rączki.

- Ja wiem! Ja wiem!

- Cieszę się. - Bradley dał dzieciom znak, że mogą opuścić ręce. Tego dnia tylko on mówił. - Ale pewnie nie wiecie, że globalne ocieplenie powoduje gwałtowne zmiany w klimacie. Może za kilka miesięcy, a może za parę lat nagle zrobi się o wiele cieplej. Albo znacznie zimniej. Pojawią się nowe owady i choroby, które powalą te przepiękne drzewa.

- Jakie owady? - zaciekawiło się któreś z dzieci.

- Złe. Takie, które zjadają drzewa. Wgryzają się pod korę i wyżerają drzewo od środka. Poruszył palcami, pokazując, jak wije się pędrak.

- Jeden owad musiałby strasznie długo zjadać takie drzewo - powiedziała jakaś dziewczynka.

- Jeden tak, ale globalne ocieplenie sprawi, że insektów będzie cała chmara. I zjedzą cały las! Jennifer przysunęła się do Evansa.

- Wierzysz w te głupoty? - spytała go szeptem.

Evans ziewnął. Zdrzemnął się w samolocie, a potem, drugi raz, podczas jazdy do parku, i teraz, patrząc na Bradleya, był rozespany i półprzytomny. I znudzony.

Dzieci też zaczynały się nudzić. Bradley odwrócił się w stronę kamer. Przemawiał ze swadą i pewnością siebie, których nabył, grając przez lata prezydenta w serialu:

- Niespodziewane zmiany klimatyczne stanowią realną groźbę dla nas, ludzi, i w ogóle dla życia na Ziemi. Nic więc dziwnego, że na całym świecie organizuje się sympozja naukowe poświęcone temu zjawisku. Jutro w Los Angeles zaczyna się konferencja, na której naukowcy będą dyskutować o tym, jak powstrzymać to przerażające zagrożenie. Jeśli pozostaniemy bierni, czeka nas katastrofa, a te potężne drzewa przejdą do historii. Staną się pocztówką z przeszłości, świadectwem nieludzkiego traktowania natury przez człowieka. To my odpowiadamy za katastrofę klimatyczną. I tylko my możemy ją powstrzymać.

Na zakończenie posłał telewidzom przeszywające spojrzenie błękitnych oczu i odwrócił się do kamer swoim lepszym profilem.

- Ja chcę siusiu - odezwała się jakaś dziewczynka.

Samolot poderwał się z pasa startowego i wzniósł nad lasem.

- Nie chciałem cię poganiać, ale musimy zdążyć do kostnicy przed szóstą - powiedział Evans.

- Nie szkodzi, naprawdę nic nie szkodzi. - Bradley uśmiechnął się pobłaźliwie. Po zakończeniu pogadanki przez kilka minut rozdawał dzieciom autografy, czego kamery nie omieszkały uwiecznić. Teraz spojrzał na Jennifer i posłał jej swój filmowy uśmiech. - Czym się pani zajmuje, panno Hadley?

- Jestem w zespole prawnym przygotowującym pozew Vanutu.

- Świetnie! A więc jest pani jedną z nas. Jak przygotowania do procesu?

Jennifer zerknęła na Evansa.

- Nieźle.

- Mam wrażenie, że jest pani równie inteligentna jak piękna.

- Prawdę mówiąc, nie - odparła Jennifer. Evans widział, że Bradley działa jej na nerwy.

- Cóż za skromność! Urocze.

- Nie skromność, tylko szczerść. Nie lubię pochlebstw.

- W pani przypadku to nie pochlebstwo.

- A w pana przypadku nie ma mowy o szczerści.

- Proszę mi wierzyć: szczerze podziwiam waszą pracę. Nie mogę się doczekać, kiedy dacie łupnia EPA. Musimy ją cały czas naciskać. To dlatego zgodziłem się na spotkanie z dziećmi. To pewniaki wśród publiczności skłonnej słuchać o zmianach klimatycznych. Uważam zresztą, że

wypadło to doskonale. A wy?

- Nieźle, biorąc pod uwagę...

- Co?

- To, że był to jeden wielki bełkot.

Bradley nie przestał się uśmiechać, ale zmrużył oczy.

- Nie bardzo wiem, co ma pani na myśli.

- Wszystko, Ted. Całe twoje wystąpienie. Sekwoje jako strażnicy Ziemi, którzy chcą nam coś powiedzieć?

- No bo chcą...

To tylko drzewa, Ted. Owszem, duże, ale tylko drzewa. Mają nam do powiedzenia mniej więcej tyle samo co bakłazan.

- Wydaje mi się, że nie rozumiesz...

- Przetrwały pożary lasu? Przecież są od nich uzależnione! Gdyby nie pożary, sekwoje by się nie rozmnażały: ich nasiona są tak twarde, że pękają dopiero pod wpływem wysokiej temperatury. Ogień jest nieodzowny dla istnienia lasów sekwojowych.

- Wydaje mi się, że nie zrozumiałaś mojej wypowiedzi - stwierdził z rezerwą Bradley.

- Naprawdę? Co mi umknęło?

- Próbowałem przekazać, być może w nieco poetycki sposób, ponadczasowość tego pierwotnego lasu...

- Ponadczasowość? Pierwotny las?! Czy ty w ogóle wiesz coś o tych lasach?

- Owszem. - Bradley był wyraźnie zły. - Całkiem sporo.

- Wyjrzyj przez okno. - Jennifer wskazała las, nad którym lecieli. - Jak ci się wydaje: od dawna tak to tu wygląda?

- To chyba oczywiste: od setek tysięcy lat...

- Bynajmniej, Ted. Ludzie przybyli do Ameryki tysiące lat przed pojawieniem się tych drzew. Wiedziałaś o tym?

Bradley zacisnął szczęki. Nie odpowiedział.

- Opowiem ci o nich.

Dwadzieścia tysięcy lat temu lodowce cofnęły się z Kalifornii, zostawiając po sobie dolinę Yosemite i inne piękne zakątki. Została po nich mokra i grząska równina z mnóstwem jezior, zasilanych wodą z topniejących lodowców, kompletnie naga, pozbawiona wszelkiej roślinności. Taka wielka piaszczysta łacha. Lodowce cofały się coraz dalej na północ, minęło parę tysięcy lat i w końcu równina trochę się osuszyła. Na piasku wyrosła tundra. W trawie pożywienie i schronienie znalazły małe zwierzęta: myszy i wiewiórki. W tym samym okresie przybyli ludzie, którzy polowali na gryzonie i palili ogniska. Nadażasz? - zapytała Jennifer. - Na razie nie ma żadnych pierwotnych lasów.

- Słucham, słucham - burknął Ted. Z trudem trzymał nerwy na wodzy.

- Arktyczne trawy i krzewy to jedyne rośliny, które mogą rosnąć na jałowej, polodowcowej ziemi. Ale rosły, usychały i gniły i w ten sposób po tysiącach lat wytworzyła się warstwa żyznej gleby. Dalej rozwój roślinności przebiegał podobnym torem na większości obszaru Ameryki Północnej. Najpierw, czternaście tysięcy lat temu, pojawiła się sosna wydmowa. Później świerk, choina i olcha; to mocne drzewa, ale nie dość odporne, żeby mogły rosnąć pierwsze. To one tworzyły prawdziwy pierwotny las, który przetrwał na tych terenach następne cztery tysiące lat. A potem zmienił się klimat: przyszło ocieplenie i kalifornijskie lodowce się roztopiły. Wszystkie, co do jednego. Nastął okres ciepły i suchy, szalały pożary i pierwotny las spłonął. W jego miejscu wyrosły typowe dla wielkich równin dęby, trawy preriowe i nieliczne daglezie - nieliczne, bo klimat był dla jodeł za suchy. Sześć tysięcy lat temu przyszła kolejna zmiana. Zrobiło się bardziej wilgotno. Daglezja, choina i cedr rozpleniły się w całej Kalifornii, tworząc lasy o wysokim, gęstym sklepieniu, takie jak znamy dzisiaj. Można by jednak uznać jodły za szkodniki, przerośnięte chwasty, które wyparły roślinność rodzimą dla tych terenów. Bo w ciemnych lasach inne rośliny zaczęły wymierać. A dzięki częstym pożarom mroczone lasy rozrosły się na potęgę. Nie są wcale odwieczne, Ted. Są po prostu ostatnie w szeregu. Bradley prychnął lekceważąco.

- Było nie było, i tak mają po sześć tysięcy lat.

- Wcale nie. - Jennifer była bezlitosna. - Badania wykazały, że struktura lasu systematycznie się zmieniała. Każde następne tysiąclecie było inne od poprzedniego. Zmiany trwały cały czas, Ted, a potem, naturalnie, przyszli Indianie.

- A co Indianie mają tu do rzeczy?

- Byli mistrzami w obserwacji środowiska naturalnego, więc szybko się zorientowali, że stare lasy są nieprzydatne. Wyglądają imponująco, ale zwierzyny w nich nie uświadczysz. Więc Indianie zaczęli je systematycznie wypalać. Czuwali nad tym, żeby wśród łąk i równin ocalały tylko wyspy starych drzew. To dlatego las, który zobaczyli pierwsi Europejczycy, nie był lasem pierwotnym, lecz uprawianym, Ted. Nie można się więc dziwić, że sto pięćdziesiąt lat temu stary las zajmował mniejszą powierzchnię niż obecnie. Indianie byli realistami. Ale my wolimy romantyczną mitologię.

Jennifer usiadła wygodniej w fotelu.

- Piękne przemówienie - przyznał Bradley. - Ale to grzebanie się w szczegółach nikogo nie interesuje. I bardzo dobrze, bo twierdzisz, że ten las wcale nie jest stary, więc nie zasługuje na ochronę. Ja zaś uważam, że sekwoje są i pamiątką piękna i siły pierwotnej przyrody i należy je chronić za wszelką cenę. Zwłaszcza przed zagrożeniem ze strony globalnego ocieplenia. Jennifer pokręciła głową.

- Muszę strzelić sobie drinka.

- Chętnie się przyłączę.

Dla Evansa, który podczas tej dyskusji bezskutecznie usiłował się dodzwonić do Perry'ego, najbardziej niepokojąco brzmiała perspektywa ciągłych zmian. Nigdy nie myślał o tym, że Indianie żyli w Ameryce w okresie zlodowacenia. To znaczy, wiedział, że tak było; zdawał sobie sprawę, że to dawni Indianie wytępilli mamuty i inne duże ssaki. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogliby wypalać lasy i dostosowywać środowisko naturalne do swoich potrzeb.

A oni po prostu to robili.

Nie podobała mu się również wizja następujących po sobie kolejno różnych lasów. Nie zastanawiał się nigdy, co rosło przed sekwojami, bo sam również uważał je za pierwotną florę Kalifornii.

Tak jak nie myślał o krajobrazie po cofnięciu się lodowców. A okolica musiała wyglądać podobnie jak współczesna Islandia: zimna, mokra, kamienista i jałowa. Twierdzenie, że całe pokolenia roślin musiały wyrosnąć i obumrzeć, aby wytworzyć glebę, brzmiało nad wyraz rozsądnie. On jednak zawsze podświadomie wyobrażał sobie przeszłość jako coś w rodzaju filmu animowanego, w którym lodowce topnieją, a wzdłuż ich cofających się czoł natychmiast wyrastają lasy. Lód zniknął, pojawiały się sekwoje.

Dotarło do niego, że była to raczej głupawa wizja.

Zwrócił również uwagę, że Jennifer często wspominała o zmianach klimatycznych: najpierw było mokro i zimno, potem ciepło i sucho (to wtedy lodowce się stopiły), później znów zrobiło się wilgotno (lodowce wróciły)... Zmiany trwały i trwają.

Zawsze.

-.

Bradley przeprosił ich oboje i przeszedł na przód kabiny, żeby zadzwonić do swojego agenta. Evans spojrzał na Jennifer.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Bradley sam wskazał powód. Chodzi o „zagrożenie globalnym ociepleniem”. Cały zespół zajmował się u nas badaniem takich „zagrożeń”. Chcieliśmy, żeby nasza argumentacja była jak najbardziej przekonująca.

- Ico?

Jennifer pokręciła głową. 324

- Groźba globalnego ocieplenia praktycznie nie istnieje. Nawet gdyby takie zjawisko naprawdę się dokonywało, światu prawdopodobnie wyszłoby to na dobre.

Pilot włączył interkom i poprosił pasażerów o zajęcie miejsc w fotelach. Podchodzili do lądowania w San Francisco.

## **San Francisco**

**Wtorek, 12 października Godz. 18.31**

Szara i zimna poczekalnia cuchnęła środkiem odkażającym. Siedzący za biurkiem mężczyzna w laboratoryjnym kitlu pisał na komputerze.

- Morton... Morton... A tak, George Morton. Zgadza się. Państwo jesteście...

- Peter Evans. Adwokat pana Mortona.

- Ted Bradley. - Bradley wyciągnął rękę na powitanie, ale zaraz szybko ją cofnął.

- No właśnie, tak myślałem, że skądś pana znam. Jest pan sekretarzem stanu.

- Prezydentem.

- Tak, tak, oczywiście, prezydentem. Od razu wydał mi się pan znajomy. Pańska żona jest alkoholiczką.

- Niezupełnie. To żona sekretarza stanu jest alkoholiczką.

- Aha... Rzadko oglądam ten serial.

- W tej chwili nie jest emitowany.

- No właśnie.

- Ale został sprzedany do wielu krajów.

- Czy moglibyśmy zidentyfikować... - przerwał im Evans.

- Naturalnie. Proszę tu podpisać. Wydam panom identyfikatory dla gości.

Jennifer została w poczekalni, Evans i Bradley weszli do środka.

- Kim ona właściwie jest? - spytał Bradley.
- Prawniczką. Pracuje w zespole badającym globalne ocieplenie.
- Na mój gust to wtyczka przemysłowców. Ekstremistka.
- Podlega bezpośrednio Balderowi, Ted.

- To akurat rozumiem - zarechotał Bradley. - Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby i mnie trochę popodlegała. Ale słyszałeś, co ona wygaduje?

„Stare lasy są nieprzydatne”. Tak mówią przemysłowcy. - Nachylił się do Evansa. - Powinieneś się jej pozbyć.

- Pozbyć?
- Coś knuje. Po co właściwie przyleciała?
- Nie wiem. Miała ochotę. A ty dlaczego z nami przyleciałeś?
- Mam coś do zrobienia.

Okrywające ciało prześcieradło miało szare plamki. Pracownik kostnicy zsunął je w dół.

- Rany boskie... - stęknął Bradley i odwrócił się.

Evans zmusił się do obejrzenia zwłok. Morton już za życia był potężnej postury, ale po śmierci zrobił się jeszcze większy. Obrzmiałe ciało miało sinofioletową barwę. Odór rozkładu zwał z nóg. Dwucentymetrowej szerokości pasek wrzynał się w opuchnięty nadgarstek.

- To po zegarku?
- Tak. Zdjęliśmy go, ledwie przeszedł przez dłoń. Chce go pan zobaczyć?
- Owszem.

Evans wstrzymał oddech i pochylił się nad zwłokami. Chciał przyjrzeć się dłoniom i paznokciom. W dzieciństwie Morton skaleczył się w serdeczny palec prawej ręki i od tamtej pory miał zdeformowany paznokieć. Ale zwłoki jednej dłoni nie miały w ogóle, a druga była okropnie zmasakrowana. Evans wyprostował się.

- Skończyłeś? - zapytał zza jego pleców Bradley.
- Jeszcze nie.
- Chryste Panie, facet...



- To jak? - zainteresował się pracownik kostnicy. - Kiedy serial wraca na antenę?
- Nie wraca. Już się go nie kręci.
- Dlaczego? Fajny był.
- Producenci powinni byli zasięgnąć pańskiej opinii.

Evans wpatrywał się w pierś trupa, próbując sobie przypomnieć, jak wyglądało owłosienie na klatce piersiowej Mortona; często widywał go w kąpielówkach. Ale naciągnięta na obrzmiałym korpusie skóra to uniemożliwiała. Pokręcił głową. Nie miał pewności, czy to George.

- Już? - niecierpliwiał się Bradley.
- Tak.

Pracownik kostnicy okrył zwłoki prześcieradłem. Kiedy wyszli, powiedział:

- Ratownicy w Pismo znaleźli ciało i zawiadomili policję. Policja rozpoznała trupa po ubraniu.
- Był ubrany?

- Mniej więcej: została mu jedna nogawka spodni i większość marynarki. Szyte na miarę. Zadzwonili do krawca z Nowego Jorku, który potwierdził, że szył taki garnitur dla George'a Mortona. Zabierzecie panowie jego rzeczy?

- No nie wiem... - zawahał się Evans.
- Jest pan jego adwokatem.
- Ma pan rację. Zabiorę.
- Będzie pan musiał pokwitować odbiór.

Wrócili do poczekalni. Jennifer rozmawiała przez telefon komórkowy:

- Rozumiem... Tak. Można tak zrobić. - Widząc Bradleya i Evansa, rozłączyła się. - Już?
- Mhm.
- I kto to był?
- George - odparł Bradley. - Niestety.

Evans milczał. Pokwitował odbiór rzeczy osobistych denata i otrzymał torbę pełną drobiazgów. Wyłowił z niej strzępy smokingu z wpiętą w wewnętrzną kieszeń ozdobną szpilką NERF-u. Wyjął też zegarek, należącego do Mortona roleksa submarinera. Obejrzał go: na dolnej pokrywie widniał wygrawerowany napis Gm 12-31-89. Pokiwał głową i schował zegarek do torby.

Rzeczy należały do George'a. Evans posmutniał.

- To chyba wszystko - powiedział. - Wracamy. Wyszli i wsiedli do samochodu czekającego pod kostnicą.

- Musimy się jeszcze zatrzymać po drodze - uprzedziła ich Jennifer.

- Gdzie?

- W Oakland, na policyjnym parkingu.

- Po co?

- Czekają na nas.

## **Oakland**

**Wtorek, 12 października Godz. 19.22**

Na obrzeżach Oakland znajdowały się olbrzymi warsztat i rozległy parking, tonące w powodzi ostrego, halogenowego światła. Za ogrodzeniem z siatki stały głównie tanie wraki, ale znalazłoby się też parę cadillaców i bentleyów. Zatrzymali się przy krawężniku.

- Po co tu przyjechaliśmy? - dziwił się Bradley. - Nic nie rozumiem. Policjant wyszedł im na spotkanie.

- Pan Evans? Peter Evans?

- Tak, to ja.

- Proszę za mną.

Wszyscy troje zaczęli wysiadać z limuzyny, ale policjant powstrzymał ich gestem.

- Tylko pan Evans.

- Ale jesteśmy... - zaczął Bradley.

- Przykro mi, tylko pan Evans. Państwo musicie poczekać tutaj.

- Dotrzymam ci towarzystwa - Jennifer uśmiechnęła się do Bradleya.

- Super.

Evans wysiadł i ruszył za policjantem. Przez metalowe drzwi weszli do warsztatu podzielonego na długie boksy, w których naprawiano samochody, w większości radiowozy. W powietrzu unosiła się ostra woń płomieni palników acetylenowych. Evans musiał patrzeć pod nogi, żeby omijać plamy oleju i grudy smaru na podłodze.

- O co chodzi? - zapytał.

- Czekają na pana.

Idąc w głąb warsztatu, minęli kilka zniszczonych wraków: miały fotele przesiąknięte krwią i rozbite, umazane czerwienią szyby. Do niektórych przywiązano kawałki sznurka, ponaciągane w różne strony. Dwóch techników w niebieskich kitlach dokonywało precyzyjnych pomiarów jednego z wozów; jakiś mężczyzna z aparatem na statywie obfotografowywał inny wrak.

- To policjant? - spytał Evans.

- Nie, adwokat. Nie możemy zabronić im wstępu.

- Czyli zajmujecie się tu rozbitymi samochodami?

- Kiedy trzeba, to tak.

Doszli do końca warsztatu. Evans zobaczył Kennera i dwóch techników w niebieskich laboratoryjnych kitlach, a obok nich trzech ubranych po cywilnemu policjantów. Stali nad skąpanym w blasku reflektorów wrakiem ferrari spydera, który leżał na hydraulicznym podnośniku.

- Cześć, Peter - odezwał się Kenner. - Zidentyfikowaliście ciało George'a?

- Tak.

- To dobrze.

Evans podszedł bliżej i zajrzał pod samochód. Różne elementy podwozia opatrzone kawałkami żółtego materiału.

- O co chodzi?

Policjanci w cywilu spojrzeli po sobie i jeden z nich odparł:

- Oglądamy sobie to ferrari, panie Evans.

- Zauważyłem.

- Czy to ten sam samochód, który pan Morton kupił niedawno w Monterey?

- Tak sądzę.

- Kiedy dokonał zakupu?

- Nie pamiętam dokładnie. - Evans próbował sobie przypomnieć. - Ale niedawno. W zeszłym miesiącu? Dowiedziałem się o tym od Sarah, jego asystentki.

- Kto dokładnie go kupił?

- Ona.

- Jaka była pańska rola?

- Żadna. Sarah poinformowała mnie o zakupie samochodu. To wszystko.

- Nie sporządzał pan umowy kupna, ubezpieczenia, czegoś takiego?

- Nie. Mieli się tym zająć księgowi George'a.

- Nie widział pan żadnych dokumentów wozu?

- Nie.

- A kiedy zobaczył pan sam samochód?

- Tego wieczoru, kiedy George odjechał nim spod hotelu Mark Hopkins. I później się zabił.

- Czy widział pan ten samochód wcześniej?

- Nie.

- Czy wynajmował pan kogoś, kto by przy nim pracował?

- Nie.

- Ferrari zostało przewiezione z Monterey do prywatnego warsztatu w Sonomie, tam stało dwa tygodnie, a następnie trafiło do San Francisco. Czy to pan załatwiał wynajęcie warsztatu?

- Nie.

- Umowa jest na pańskie nazwisko.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Evans pokręcił głową. - Ale Morton często tak robił. Załatwiał najem na nazwiska księgowych i adwokatów, żeby nie było wiadomo, że to on za tym stoi.

- Ale gdyby tak zrobił, poinformowałby pana o tym?

- Niekoniecznie.

- Czyli nie wiedział pan o tym, że użył pańskiego nazwiska?

- Nie.

- Kto zajął się samochodem w San Jose?

- Nie mam pojęcia.

- Trzeba panu wiedzieć, panie Evans, że ktoś włożył sporo pracy w przygotowanie tego ferrari, zanim pan Morton usiadł za kierownicą. Te żółte znaczki wskazują miejsca, w których osłabiono ramę nośną wozu.

Odłączono ABS, oczywiście dość prymitywny, bo to stare auto, i poluzowano hamulce przy lewym przednim i prawym tylnym kole. Rozumie pan, do czego zmierzam? Evans zmarszczył brwi.

- Ten samochód to była jeżdżąca pułapka, panie Evans. Ktoś użył go, by zabić pańskiego klienta. Modyfikacje wprowadzono w warsztacie w Sonomie, a warsztat był wynajęty na pańskie nazwisko.

Ted Bradley zdręczał tymczasem Jennifer Haynes. Może i była ładna, ale wszystko poza tym było z nią nie tak: maniery, twardzielski sposób bycia, przekonania. Twierdziła, że pracuje nad pozwem Vanutu i jest opłacana przez NERF, ale Ted jej nie wierzył. Przecież wiedząc o jego bliskich związkach z NERF-em - a przecież wszyscy o nich wiedzieli - powinna była szanować jego zdanie.

A ona nazwała jego pogadankę „bełkotem”. Przecież nie musiał spotykać się z tymi dziećmi. Zaproponował to sam, ze szczerego serca, na dowód wierności sprawie ekologii. Jak mogła nazwać ją „bełkotem”? To mu się nie mieściło w głowie! Nie dość, że ta cała Haynes odważyła mu się sprzeciwić, to jeszcze była zwyczajnie bezczelna. Poza tym on wierzył w to, co mówił. Jak zwykle dostał z NERF-u pisemne wskazówki, o czym ma mówić i na które aspekty sprawy zwrócić szczególną uwagę. A przecież NERF nie kazałby mu kłamać. Tymczasem we wskazówkach nie było słowa o jakiejś zaszrannej epoce lodowcowej. Haynes gadała od rzeczy i tyle.

Sekwoje naprawdę są wspaniałe. I naprawdę są strażnikami środowiska, tak jak to wynika ze wskazówek NERF-u, które dla pewności wyjął teraz z kieszeni.

- Chciałabym je zobaczyć - powiedziała Jennifer.

- Nie wątpię.

- O co ci chodzi?

No właśnie, pomyślał. Te maniery. Ta agresja.

- Jesteś jednym z tych telewizyjnych gwiazdorków, którym się wydaje, że wszyscy chcą im obciągnąć - mówiła dalej. - Wiesz, co ci powiem? Ja nie mam na to ochoty. Jesteś zwykłym aktorką.

- A ty wtyczką. Szpiegiem przemysłowców.

- No to chyba kiepski ze mnie szpieg, skoro zdemaskowałeś.

- Za dużo mielesz ozorem.

- Nie od dziś.

Podczas całej tej rozmowy czuł dziwne, narastające napięcie w piersi. Kobiety nie kłóciły się z Tedem Bradleyem. Zdarzało się, że z początku traktowały go wrogo, ale tylko dlatego że były onieśmiałe jego prezencją i gwiazdorską aurą, jaką roztaczał. Chciały się z nim przespać - na co często się zgadzała. Ale nigdy się z nim nie sprzeczały. A ta? Pyskowała jak najęta, co jednocześnie złościło go i podniecało. Z trudem to znosił. Siedziała sobie obok niego, tak spokojnie, zwyczajnie, patrzyła mu prosto w oczy... Jej obojętność na jego sławę doprowadzała go do szału. Poza tym była cholernie ładna.

Ujął ją obiema dłońmi za brodę i mocno pocałował w usta.

Widział, że jej się spodobało. Dla potwierdzenia swojej władzy nad nią wsunął jej język do ust.

Ból eksplodował mu oślepiającym światłem w głowie i szyi. Chyba na chwilę stracił przytomność, bo ocknął się na podłodze limuzyny, dysząc ciężko i patrząc, jak krew kapie mu na koszulę. Nie bardzo wiedział, jak się tam znalazł, dlaczego krwawi i czemu tak go łupie we łbie. Nagle poczuł, że język ocieka mu krwią. Podniósł wzrok.

Jennifer spokojnie założyła nogę na nogę. Przez ułamek sekundy mógł jej zajrzeć pod spódnicę, ale teraz o tym nie myślał. Był wściekły.

- Ugryzłaś mnie w język!

- Sam się ugryzłeś, durniu.

- Zaatakowałaś mnie! Uniosła brwi.

- Tak! Rzuciłaś się na mnie! - Spuścił wzrok. - Jezu, nowa koszula, od Maxfielda.

Jennifer obserwowała go bez słowa.

- Rzuciłaś się na mnie!

- Pozwij mnie.

- Tak zrobię!

- Tylko zadzwoń najpierw do adwokata.

- Po co?

Ruchem głowy wskazała przód samochodu.

- Zapomniałeś o kierowcy.

- Co ma do rzeczy kierowca?

- Wszystko widział.

- I co z tego? Podpuściłaś mnie - wysyczał Bradley. - Próbowiałaś mnie uwieść. Mężczyzna umie odczytać takie sygnały.

- Ty chyba nie umiałaś.

- Taka z ciebie suka?

Odwrócił się i zdjął ze stojaka butelkę wódki. Musiał przepłukać usta. Nalał sobie szklaneczkę i spojrzał krzywo na Jennifer.

Właśnie czytała wskazówki, które dostał z NERF-u. Trzymała je w jednej ręce. Rzucił się, żeby jej wyrwać.

- To nie twoje!

Była szybsza, cofnęła rękę z notatkami, a drugą uniosła w ostrzegawczym geście. Jak tasak.

- Nie kuś losu, Ted.

- Pierdol się.

Pociągnął solidny łyk wódki. Język zapłonął mu żywym ogniem. Co za suka, pomyślał. Parchata suka! Od jutra będzie musiała zacząć szukać nowej pracy, już on o to zadba. Zadarła, zdzira, z Tedem Bradleyem? To popamięta.

Stojący pod rozbitym ferrari Evans cierpliwie zniósł następne dziesięć minut przepytowania. Jego zdaniem cała ta historia nie trzymała się kupy.

- George był dobrym kierowcą - powiedział. - Nie powinien zauważyć, że ktoś manipulował przy samochodzie?

- Może i powinien. Ale wtedy sporo wypił.

- To fakt. Pił jak smok.

- A kto podawał mu drinki, panie Evans?

- Nikt. Sam się domagał.

- Kelner z bankietu twierdzi, że wmuszał pan wódkę w Mortona.

- To nieprawda. Próbowałem go powstrzymać od picia. Policjanci nagle zmienili temat:

- Kto majstrował przy tym ferrari, panie Evans?

- Nie mam pojęcia.

- Wiemy, że wynajął pan prywatny warsztat przy drodze numer 54, pod Sonomą. Na uboczu. Mechanicy mogli tam przyjeżdżać, kiedy chcieli. Nikt nie zwróciłby na nich uwagi. Po co wybrał pan taki warsztat?

- Nie wybrałem go.

- W umowie najmu jest pańskie nazwisko.

- Jak załatwiono wynajem?

- Telefonicznie.

- A jak zapłacono?

- Gotówką.

- Kto?

- Kurier przekazał pieniądze.

- Macie panowie gdzieś mój podpis? Albo odciski palców?

- Nie. Tylko nazwisko. Evans wzruszył ramionami.

- W takim razie bardzo mi przykro, ale nic nie wiem o tej sprawie. Nie jest tajemnicą, że byłem adwokatem pana Mortona. Każdy mógł się posłużyć moim nazwiskiem. Jeżeli ktoś majstrował przy samochodzie, robił to bez mojej wiedzy.

Przyszło mu do głowy, że powinni zadać te pytania Sarah. Ale jeśli byli naprawdę dobrzy w swoim fachu, to już ją przesłuchali.

W tej właśnie chwili weszła do boksu. Rozmawiała przez komórkę. Skinęła głową Kennerowi.

Kenner wszedł między policjantów.

- Wystarczy, panowie. Jeżeli nie macie więcej pytań, przejmuję pana Evansa. Będzie pod moją opieką. Ręczę za niego; wątpię, żeby chciał uciekać.

Policjantom się to nie spodobało, ale koniec końców przystali na propozycję Kennera. On rozdał im swoje wizytówki i, trzymając Evansa pod ramię, ruszył do wejścia. Sarah szła w pewnej odległości za nimi, policjanci zostali przy wraku.



- Przepraszam za to wszystko - odezwał się Kenner, kiedy byli już przy drzwiach. - Nie powiedzieli ci wszystkiego. Obfotografowali ferrari ze wszystkich stron i wprowadzili zdjęcia do komputera, który modeluje wypadki samochodowe. Wynik symulacji nie zgadza się z rzeczywistymi okolicznościami wypadku.

- Nie wiedziałem, że takie sztuczki są możliwe.

- Owszem. Dziś już wszyscy stosują tę technikę; w każdej nowoczesnej firmie modelowanie komputerowe jest de rigueur. Mając wyniki symulacji, policjanci wrócili do wraku i doszli do wniosku, że ktoś majstrował przy samochodzie. Wcześniej nie przyszło im to do głowy. Oto ewidentny przykład tego, jak symulacja komputerowa zmienia rzeczywistość. Uwierzyli komputerowi, a nie informacjom zebranych na miejscu wypadku.

- Mhm.

- Ich symulacja jest optymalna dla samochodów najczęściej spotykanych na amerykańskich drogach. Komputer nie ma pojęcia, jak potraktować czterdziestoletni włoski wóz sportowy, w dodatku produkowany w krótkiej serii. Mimo to zrobili tę symulację.

- O co chodzi z tym warsztatem w Sonomie? Kenner wzruszył ramionami.

- Ty tego nie wiesz, Sarah nie wie... Nie sposób potwierdzić, że ferrari w ogóle tam było. Podejrzewam, że George osobiście wynajął ten warsztat. Ale tego się już nigdy nie dowiemy.

Evans wsiadł do limuzyny i zdziwił się, widząc zakrwawionego Teda Bradleya.

- Co się stało?

- Pośliznął się - wyjaśniła Jennifer. - I uderzył.

## **W drodze do Los Angeles**

**Wtorek, 12 października Godz. 22.31**

W drodze powrotnej Sarah Jones targały mieszane uczucia. Przede wszystkim wstrząsnęła nią wiadomość o znalezieniu zwłok George'a Mortona. W głębi ducha wciąż wierzyła, że George jednak się odnajdzie, cały i zdrowy. Drugim źródłem niepokoju był Peter Evans. Już zaczynała go lubić, doceniła, że poza skamlącym mięczakiem jest w nim także prawdziwy mężczyzna, twardy i na swój sposób zahartowany - prawdę mówiąc, zaczynała go nawet darzyć żywszym uczuciem jako człowieka, który uratował jej życie... A tu nagle ta nowa, Jennifer Cośtam, kompletnie zawróciła mu w głowie.

No i Ted Bradley. Nie miała co do niego złudzeń; widywała go w akcji na niezliczonych spotkaniach NERF-u, a raz nawet postanowiła ulec jego urokowi - przepadała za aktorami - ale w

ostami ej chwili uznała, że za bardzo przypomina jej byłego. Co takiego ci aktorzy mają w sobie? Są tacy pociągający, tacy wyjątkowi, tacy zaangażowani... Trudno zrozumieć, że w gruncie rzeczy są zadufani w sobie i zrobią wszystko, żeby ich polubić.

W każdym razie taki właśnie był Ted.

I co on sobie zrobił? Przygryzł język? Sarah nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Jennifer ma z tym coś wspólnego. Ted pewnie się do niej przystawiał. A dziewczyna jest ładna, chociaż w raczej pospolity sposób: ciemne włosy, wyraziste rysy, wysportowane ciało, muskularne, ale szczupłe. Typowa mieszkanka Nowego Jorku, wiecznie jak nakręcona. Jej chodzące przeciwieństwo.

A Peter Evans się do niej przymilał.

Przymilał się.

Jego zachowanie było w pewnym sensie niesmaczne, ale musiała te” przyznać, że sprawił jej przykrość. Właśnie teraz, kiedy zaczynała go lubić. Westchnęła ciężko.

Bradley rozmawiał z Kennerem na tematy ekologiczne, popisując się swoją rozległą wiedzą. Kenner patrzył na niego jak pyton na szczura.

- Czyli globalne ocieplenie stanowi zagrożenie dla świata, tak? - spytał Kenner.

- Bez dwóch zdań. Dla całego świata.

- Co nas czeka?

- Zmniejszenie plonów, pustynnienie, nowe choroby, wymieranie gatunków, topnienie lodowców, na przykład na Kilimandżaro, wzrost poziomu mórz, zaostrzenie klimatu, tornada, huragany, zjawiska powiązane z El Nino...

- Brzmi to przerażająco.

- Takie są fakty.

- Jesteś pewien tych faktów?

- Oczywiście.

- Umiałbyś je poprzeć jakąś literaturą naukową?

- No... Ja osobiście nie, ale naukowcy są zgodni.

- Przeciwnie. Weźmy choćby zmniejszenie plonów. Zwiększone stężenie dwutlenku węgla stymuluje wzrost roślin; sana to dowody. A nowe zdjęcia satelitarne dowodzą, że od 1980 roku Sahara się skurczyła. Nowe choroby? Bzdura. Tempo pojawiania się nowych zarazków nie zmieniło się od 1960 roku.

- Ale stare choroby, takie jak malaria, znów zagrożą Stanom i Europie.

- Specjaliści twierdzą co innego.

Bradley parsknął lekceważąco i skrzyżował ramiona na piersi.

- Nie potwierdzono również wymierania zwierząt - ciągnął Kenner. - W latach siedemdziesiątych Norman Myers przewidywał, że do roku 2000 wyginie milion gatunków. Paul Ehrlich szacował, że w tym samym okresie wymrze piętnaście procent zwierząt. Były to jednak tylko opinie. A wiesz, co to jest opinia niepoparta dowodami? Uprzedzenie. Wiesz, ile gatunków zwierząt zamieszkuje Ziemię?

- Nie.

- Nikt nie wie. Szacunki wahają się od trzech milionów do stu milionów. Wązki rozrzut, nie sądzisz? Nie mamy pojęcia, ile naprawdę ich jest.

- Do czego zmierzasz?

„Afrykańskie pustynie w odwrocie. (...) Analiza zdjęć satelitarnych (...) dowodzi, że w całym Sahelu wydmy się cofają (...). Roślinność pleni się na piasku w pasie o szerokości (...) 6000 kilometrów (...) Analitycy twierdzą, że pustynia zazielenia się od połowy lat osiemdziesiątych, chociaż do niedawna uchodziło to naszej uwagi”, „New Scientist” 175, 21 września 2002, str. 4-5.

„Rozpowszechnione prognozy często są chybione i nie mają oparcia w faktach”, „Lancet”, 4, nr 1, czerwiec 2004.

„our Biological Resources, „Biolodzy rozumieją już, jak mało wiemy o organizmach, z którymi żyjemy na Ziemi. Szczególnie bezowocne okazały się próby określenia łącznej liczby gatunków zwierząt na naszej planecie”. National Academies Press.

- Trudno powiedzieć, jak szybko zwierzęta wymierają, skoro nie wiemy, ile ich właściwie jest. Jak mógłbyś twierdzić, że cię okradziono, gdybyś nie wiedział, ile miałeś pieniędzy w portfelu? Co roku opisuje się piętnaście tysięcy nowo odkrytych gatunków. Skoro już o tym mowa: wiesz, w jakim tempie wymierają zwierzęta na Ziemi?

- Nie.

- Nikt nie potrafi tego określić. A wiesz, w jaki sposób prowadzi się takie badania? Jakiś frajer wydziela sobie hektar ziemi i próbuje zliczyć wszystkie znalezione na nim zwierzęta, rośliny i owady. Potem wraca po dziesięciu latach w to samo miejsce i liczy od nowa. Ale robaczki mogły się przecież wyprowadzić na sąsiedni hektar? A poza tym jak sobie wyobrażasz policzenie wszystkich insektów na takim obszarze?

- Byłoby to trudne.

- Oględnie mówiąc. Na pewno rachunek byłby nieprecyzyjny, a o to mi właśnie chodzi. Ale idźmy dalej: topnienie lodowców. Kolejna bzdura. Jedne lodowce topnieją, inne nie.

- Większość topnieje.

Kenner uśmiechnął się pobłaźliwie.

- O jakiej liczbie mówimy?

- O dziesiątkach.

- Jak ci się wydaje, Ted, ile jest lodowców na świecie?

- Nie wiem.

- Strzelaj.

- Czyja wiem... Ze dwieście?

- W samej Kalifornii jest ich więcej. Na całym świecie jest sto sześćdziesiąt tysięcy lodowców. W przybliżeniu sześćdziesiąt siedem tysięcy opisano, ale tylko nieliczne próbuje się rzetelnie badać. Tylko dla siedemdziesięciu dziewięciu z nich dysponujemy pomiarami balansu masy, które sięgają więcej niż pięć lat wstecz. Jak możesz twierdzić, że wszystkie topnieją? Przecież tego nikt nie wie.

- Ten na Kilimandżaro na pewno topnieje.

- A dlaczego?

- Z powodu globalnego ocieplenia.

- Nieprawda. Czapa lodowa topnieje tam w szybkim tempie od początku XIX wieku. Od ponad stu lat problem Kilimandżaro spędza naukowcom sen z powiek. Zawsze była to zagadka, bo przecież, jak wiesz, Kilimandżaro znajduje się w strefie okołorównikowej, czyli gorącej. Pomiary satelitarne wykazują, że na wysokości lodowca nie ma mowy o żadnym ociepleniu. A mimo to lód topnieje. Dlaczego?

- Może ty mi powiesz? - burknął Bradley.

- Z powodu wylesiania. Tubylcy wycięli las u stóp góry, przez co wiatry wiejące z dołu niosą mniej wilgoci. Eksperci sądzą, że gdyby na nowo zalesić podnóże Kilimandżaro, lodowiec powinien się odrodzić.

- Akurat!

- Odeślę cię do literatury. Co tam jeszcze było... Podnoszenie się poziomemu mórz, tak? Nie o tym mówiłeś?

- O tym.

- Otóż poziom wód na świecie faktycznie się podnosi.

- No proszę!

- Podnosi się nieprzerwanie od sześciu tysięcy lat, czyli od początku holocenu, w tempie od dziesięciu do dwudziestu centymetrów na sto lat.

- Teraz podnosi się szybciej.

- Wcale nie.

- Pomiary satelitarne wskazują, że tak.

- Bynajmniej.

- Modele komputerowe dowodzą, że tak.

- Modele komputerowe nie mogą niczego dowodzić, Ted. Prognoza nie jest dowodem, bo opisuje coś, co jeszcze się nie dokonało. Poza tym modele komputerowe nie przewidziały prawidłowo zmian, które zaszły w ostatnich dziesięciu czy piętnastu latach. Ale jeśli mimo wszystko w nie wierzysz, niech ci będzie. Z wiarą się nie dyskutuje. Co tam jeszcze było na tej twojej liście? Zaostrzenie klimatu. To też bujda. Są liczne badania, z których wynika, że nic się nie dzieje.

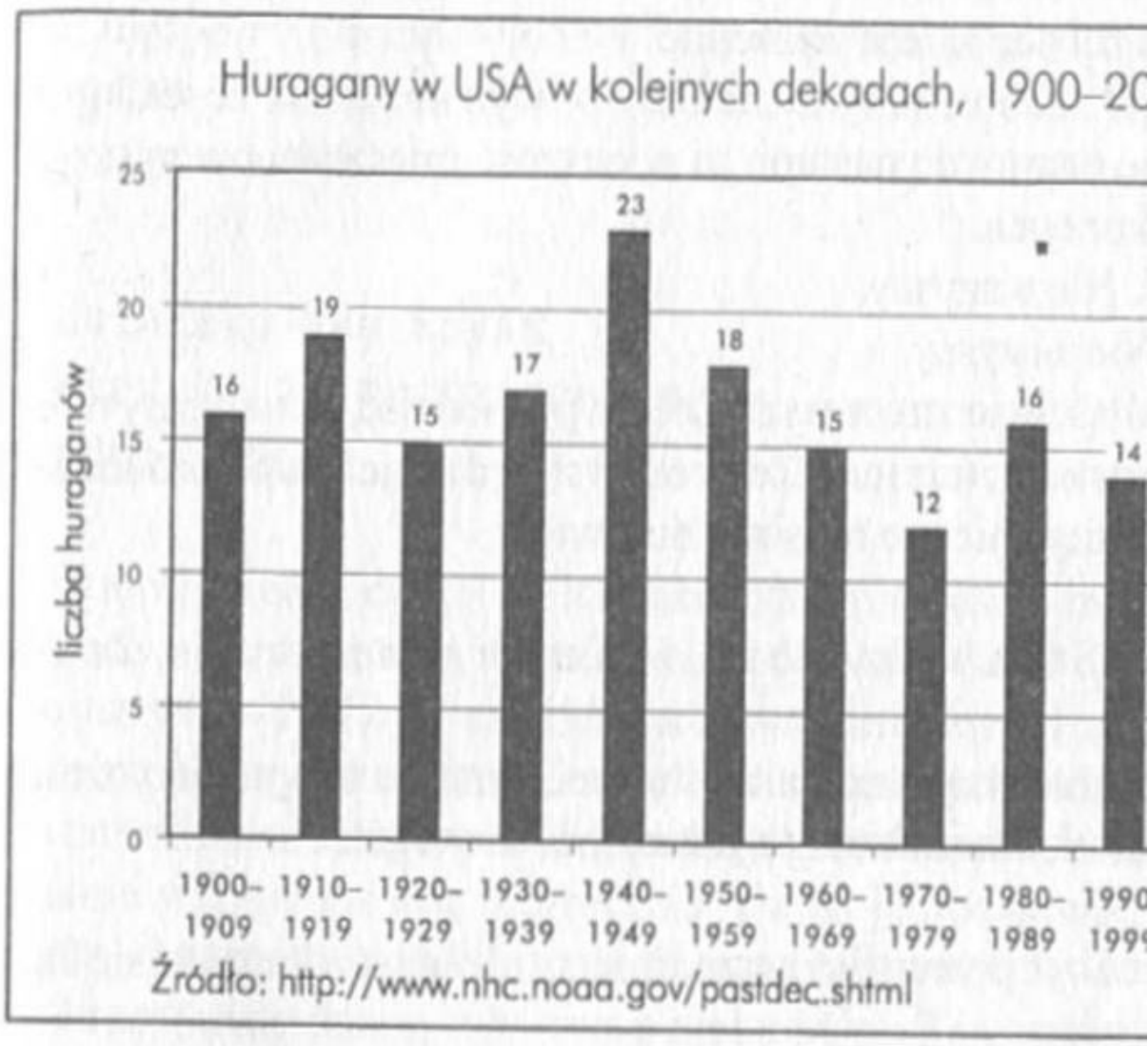
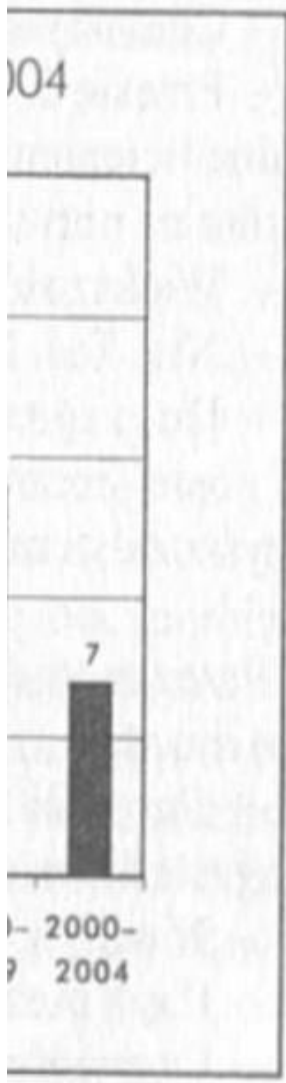
- Słuchaj, może bawi cię to, że mi dokopujesz, ale większość ludzi myśli, że kataklizmy będą zdarzały się coraz częściej: huragany, tornada, cyklony i tak dalej.

- Zgadzam się, większość ludzi w to wierzy. Ale ich wiara nie ma potwierdzenia w badaniach naukowych. Po to właśnie jest nauka, Ted: szukamy potwierdzenia naszych przypuszczeń w rzeczywistości. Jeśli go nie znajdujemy, przypuszczenia pozostają fantazjami.

- Huragany to nie fantazje. Kenner westchnął i wyłączył laptop.

- Co robisz?

- Zaczekaj, chcę ci coś pokazać.



- Oto fakty, Ted. W ciągu ostatnich stu lat z całą pewnością nie przybyło nam w Ameryce huraganów. Podobnie wygląda to na świecie. Dane z obserwacji przeczą twoim słowom. Mówiłeś jeszcze o El Nino...

- Mówiłem.

- Jak wiesz, El Nino to pewien trend klimatyczny, który obserwuje się, kiedy temperatury wód wzdłuż zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej przez kilka miesięcy z rzędu utrzymują się na wyższym niż zwykle poziomie. Trwa około półtora roku i wpływa na pogodę na całym świecie. El Nino występuje mniej więcej co cztery lata: w XX wieku powtórzył się dwadzieścia trzy razy. I ta sytuacja trwa od tysięcy lat, czyli od czasów, kiedy nikt jeszcze nie myślał o globalnym ociepleniu. Powiedz mi, Ted, dlaczego El Nino jest taki groźny dla Stanów Zjednoczonych? Weźmy na przykład rok 1998.

- Powoduje powodzie, niszczy uprawy i tak dalej.

- Rzeczywiście, były powodzie, były i zniszczone pola. Ale zysk netto z ostami ego El Nino, spowodowany wydłużeniem okresu wegetacyjnego i oszczędnością oleju opałowego, wyniósł piętnaście miliardów dolarów netto, czyli po odjęciu ocenianych na półtora miliarda strat spowodowanych powodzią i ulewnymi deszczami w Kalifornii. Piętnaście miliardów na czysto.

- Chciałbym zobaczyć te wyliczenia.

- Prześlę ci je. Zrobię to tym chętniej, że wynika z nich, że jeśli globalne ocieplenie naprawdę nastąpi, to większość mieszkańców naszego globu na nim skorzysta.

- Większość. Nie wszyscy.

- Nie, Ted. Nie wszyscy.

- Do czego właściwie zmierzasz? Chcesz powiedzieć, że możemy mieć w nosie środowisko naturalne? Że przemysł będzie je spokojnie zanieczyszczał, a my się o nic nie musimy martwić?

Przez moment Sarah wydawało się, że Kenner się zdenerwuje, ale tak się nie stało.

- Czy jeśli sprzeciwiasz się karze śmierci, oznacza to automatycznie, że jesteś zwolennikiem niekarania przestępców w ogóle?

- Nie.

- Czyli można być przeciwko karze śmierci, a mimo to domagać się kar.

- Oczywiście.

- Czy zatem twierdząc, że globalne ocieplenie nie jest żadnym zagrożeniem, nie mam prawa być zwolennikiem nadzoru nad środowiskiem naturalnym?

- Bo chyba nim nie jesteś. Kenner westchnął.

Sarah miała wrażenie, że Bradley go nie słucha.

- No co? - zdziwił się, jakby czytał jej w myślach. - Czy nie powiedziałaś przed chwilą, że środowisko nie wymaga naszej ochrony? Tak czy nie?

- Nie - odparł Kenner, dając do zrozumienia, że dyskusję uważa za zakończoną.

Ależ dureń z tego Teda, pomyślała Sarah. Nie ma pojęcia o sprawach, o których mówi. Jest aktorem, który wymaga scenariusza; jeżeli przebieg rozmowy odbiega od zaplanowanych dialogów, staje się bezradny.

Spojrzała na przód kabiny: Peter i Jennifer, pochyleni ku sobie, rozmawiali, prawie stykając się głowami. Ich zachowanie nieomylnie zdradzało charakterystyczną, łatwą do rozpoznania bliskość.

Z ulgą przyjęła zapowiedź pilota, że podchodzą do lądowania w Los Angeles.

**Lotnisko Van Nuysa**

**Wtorek, 12 października Godz. 23.22**

Sanjong Thapa czekał na lotnisku. Miał niewesołą minę. Natychmiast wsiadł z Kennerem do samochodu i odjechali. Sarah wróciła do siebie. Zirytowany Bradley wsiadł do terenowej limuzyny i pomachał wszystkim na pożegnanie. Zanim ruszył, już rozmawiał z kimś przez telefon. Evans odwiózł Jennifer do Culver City, gdzie zostawiła samochód. Pożegnanie wypadło trochę niezręcznie: chciał ją pocałować, ale wyczuwał opór - i zrezygnował. Obiecała, że rano zadzwoni.

Wracając do domu, cały czas o niej myślał. Zapomniał o Sarah.

Dochodziła północ, kiedy wszedł do mieszkania. Był wykończony. Zaczął się rozbierać i wtedy zadzwonił telefon. Janis.

- Gdzieś ty się włóczył, pączuszk?

- Trochę podróżowałem.

- Dzwoniłam codziennie. A czasem częściej. Czasem nawet co godzina.

- Ojej... Co się stało?

- Mój chłopak mnie rzucił.

- Przykro mi to słyszeć. Bardzo się...

- Mogę przyjechać?

- Posłuchaj, Janis - westchnął. - Ledwie stoję na nogach...

- Muszę z tobą porozmawiać. Obiecuję, że nie zostanę na noc, jeśli nie będziesz chciał. Jestem w pobliżu. Będę za pięć minut, dobrze?

Znowu westchnął, tym razem głośniejsze.

- Janis, to nie jest...

- Do zobaczenia za pięć minetek. Pstryk.

Zdjął koszulę i rzucił ją do kosza z praniem. Problem z Janis polegał na tym, że nigdy go nie słuchała. Postanowił, że kiedy do niego przyjedzie, każe jej się wynosić. I tyle. Właśnie tak.

A może jednak nie...

Janis była nieskomplikowana, a on miał ochotę na nieskomplikowaną wizytę. Zdjął buty i zostawił je na podłodze. Z drugiej strony wolałby, żeby nie było jej u niego rano, kiedy zadzwoni



Jennifer. Tylko czy ona w ogóle zadzwoni? Powiedziała, że tak. A zna jego numer? Nie był pewien. Może nie znać.

Postanowił wziąć prysznic, a że nie usłyszałby z łazienki pukania Janis, otworzył drzwi. Poszedł do łazienki. W ciemnym przedpokoju mignął mu jakiś cień, a ułamek sekundy później poczuł uderzenie w głowę. Bardzo mocne. Krzyknął. Ból zapierał mu dech w piersiach. Osunął się na kolana. Jęknął. Ktoś uderzył go drugi raz, tym razem w ucho. Runął bokiem na podłogę.

Półprzytomny wpatrywał się w parę stóp w brudnych skarpetkach. Przeciągnęli go do pokoju i rzucili na podłogę. Było ich trzech. Na twarzach mieli maski albo kominiarki. Jeden z nich przydepnął mu ramiona i unieruchomił go, na wznak, na podłodze. Drugi usiadł mu na nogach.

- Nic nie mów - ostrzegł. Miał niski, groźny głos. - I się nie ruszaj. Evans i tak nie mógł się poruszyć. Wciąż oszołomiony, rozejrzał się - gdzie jest ten trzeci? Usłyszał chłopot, kątem oka dostrzegł foliową torebkę.

- Trzymajcie go mocno - szepnął trzeci. Przykucnął obok Evansa i złapał go za ramię. Spod czarnej kominiarki dobiegł jego szept. - Wiesz, co to jest?

Pokazał Evansowi wypełnioną wodą torebkę. Woda była mętna, ale Evans zobaczył w środku jakąś miękką kulkę. Mój Boże, obcięli komuś jaja! - pomyślał, ale w tej samej chwili zobaczył, że kulka rozpręża się i porusza. Była wielkości piłki do golfa, brązowa w białe plamki.

- Wiesz? Pokręcił głową.

- To się dowiesz.

Napastnik otworzył torebkę i przycisnął jej wylot do wewnętrznej strony ramienia Evansa, powyżej łokcia. Peter poczuł wilgotny dotyk, a mężczyzna zaczął poruszać torebką, by ścisnąć ruchomą kulkę. Evans próbował wykręcić szyję, zobaczyć, co się dzieje, ale nie bardzo mu to wychodziło.

Kulka się poruszyła i wypuściła coś, co wyglądało jak skrzydła... Nie, nie skrzydła. Macki! To była mała ośmiornica, brunatna w białe cętki. Mogła ważyć najwyżej kilkanaście dekagramów.

Mężczyzna ścisnął torebkę. Ośmiorniczka zbliżyła się do ręki Evansa.

A on nagle zrozumiał.

Jęknął i zaczął się szarpać, chciał się wyrwać, uciec od napastników, ale trzymali go mocno. Poczuł muśnięcie ośmiorniczki, lepki dotyk, jakby celofan przywarł mu do skóry. Z przerażeniem patrzył, jak mężczyzna pstryka w torebkę, usiłując nastraszyć ośmiorniczkę, by mocniej przywarła do skóry. W mgnieniu oka cętki zmieniły kolor z białego na niebieski.

Niebieski krąg śmierci.

- Wkurzyła się - stwierdził człowiek trzymający torebkę. - Nic nie poczujesz.

Ale poczuł - dźgnięcie maleńkiego dziobka przypominało ukłucie igły. Szarpnął się. Napastnik odsunął torebkę i szczelnie ją zamknął.

- Trzymajcie go - szepnął. Na chwilę zniknął Evansowi z oczu, poszedł do kuchni i wrócił ze szmatą. Wytarł mu rękę i zebrał wodę z podłogi. - Przez kilka minut nic nie będziesz czuł - tłumaczył, podchodząc do telefonu. - I żebyś nie próbował nigdzie dzwonić.

Zerwał aparat ze ściany i roztrzaskał go o podłogę. Pozostali dwaj puścili go i cała trójka wybiegła z mieszkania.

Zakaszłał i stanął na czworakach. Obejrzał sobie rękę: po ukąszeniu został maleńki, różowy dołeczek, tam, gdzie pod pachą wyrastały mu pierwsze włosy. Nikt go nie zauważył.

Czuł tylko tępe mrowienie w miejscu, gdzie ukąsiła go ośmiorniczka. W ustach mu zaschło, ale chyba głównie ze strachu. Głowa okropnie go bolała. Obmacał się, poczuł krew pod palcami. Musieli mu zerwać szwy.

Jezus Maria... Próbował wstać, ale ręka się pod nim ugięła i znów runął na dywan. Jeszcze sienie otrząsnął po uderzeniu w głowę. Leżał na wznak i patrzył w sufit, który kojarzył mu się z białym twarozkiem. Nie cierpiał takich sufitów. Chciał go jakoś zmienić, ale przeróbka byłaby zbyt kosztowna. Poza tym zawsze wydawało mu się, że wkrótce się przeprowadzi.

Zdezorientowany oparł się na łokciach. Gardło wyschło mu na wiór - teraz już był pewny, że to efekt działania trucizny.

Żabka, pomyślał. Nie, nie żabka. To była...

Nie mógł sobie przypomnieć.

Ośmiornica.

Tak. Ośmiorniczka wielkości paznokcia. Słodkie maleństwo.

Indianie nad Amazonką zatruli ośmiorniczkami groty strzał. Nie, poprawił się w myślach, Indianie używali żabek. W Amazonce nie ma ośmiornic. A może są?

Miał mętlik w głowie i ten mętlik z każdą chwilą narastał. Zimny pot wystąpił mu na czoło. To też od trucizny? Musi zadzwonić, bo przecież może w każdej chwili stracić przytomność.

Podczołgał się do najbliższego mebla... fotel... Kupił go jeszcze na studiach. Był w kiepskim stanie i Evans chciał się go pozbyć przy okazji przeprowadzki na Roxbury, ale jakoś nie mógł się zebrać... W salonie fotel był przecież potrzebny... Na drugim roku studiów zafundował mu nowe obicie... pobrudziło się od tamtej pory... a kto dziś ma czas na zakupy?

Udało mu się podnieść na tyle, by oprzeć brodę na siedzeniu. Dyszał ciężko, jakby właśnie wspiął się na wysoką górę. Co ja tu robię? - zdziwił się. Dlaczego trzymam brodę na fotelu?

Przypomniawszy sobie, że chciał na nim usiąść.

Usiąść na fotelu.

Łokciem silniejszej ręki oparł się na siedzeniu i zaczął się podciągać. Udało mu się wciągnąć na fotel najpierw pierś, a potem całe ciało. Tracił czucie w nogach i rękach, które z każdą chwilą stawały się coraz zimniejsze i coraz bardziej mu ciążyły. Zdołał usiąść prawie prosto. Na stole leżała słuchawka telefonu, ale nie miał siły po nią sięgnąć, próbował... i nie mógł się zmusić. Tylko palce lekko mu drgnęły. Całe ciało miał zimne i ciężkie.

Zaczął tracić równowagę-najpierw powoli, potem coraz szybciej. Przechylał się na bok, przechylał, aż w końcu oparł brodę o podłokietnik i zwiesił głowę w dół. I tak znieruchomiał. Nie mógł podnieść głowy, poruszyć rękami, nawet zamrużyć. Wpatrywał się w obicie fotela i dywan i myślał: Oto co na koniec zobaczyłem przed śmiercią.

## **BŁĘKIT**

### **Beverly Hills**

**Środa, 13 października Godz. 1.02**

Evans nie miał pojęcia, jak długo wpatrywał się w dywan. Wrzynający mu się w podbródek podłokietnik przyduszał go, ale i bez niego miał coraz większe problemy z oddychaniem. Przed oczami przelatywały mu sceny z całego życia: piwnica, w której pierwszy raz grał na komputerze; niebieski rower, który ukradziono mu tego samego dnia, kiedy go dostał; wiazanka dla dziewczyny, z którą poszedł na bal maturalny; egzamin u profesora Whitsona - wtedy nogi się pod nim trzęsły, a stary Whitson...

- Peter? Jesteś tam? Hej, Peter!

...go dręczył (Whitson wszystkich dręczył); kolacja, ostami etap rozmowy wstępnej przed przyjęciem go do pracy w LA, kiedy to oblał się zupą, a starsi współpracownicy udawali, że nic nie widzą...

- Peter? Peter! Co z tobą? Peter, wstań. No wstań!

Poczuł czyjeś dłonie na ramionach. Ich dotyk palił. Usłyszał stęknienie. Ktoś dźwignął go do pozycji siedzącej.

- No, tak lepiej. - Janis spojrzała mu w oczy z odległości kilkunastu centymetrów. - Co się z tobą dzieje? Co brałeś? Odezwij się!

Nie mógł mówić. I w ogóle się poruszać. Janis miała na sobie cętkowany top, dzinsy i sandały.

Kiedy przesunęła się w bok, zniknęła mu z pola widzenia.

- Peter? - Zdziwiony głos. - Nie podobasz mi się. Brałeś ecstasy? Miałeś zawał? Niby jesteś młody, ale to się zdarza. Zwłaszcza kiedy ktoś odżywia się tak jak ty. Przecież ci mówiłam: najwyżej sześćdziesiąt pięć gramów tłuszczu dziennie. Gdybyś był wegetarianinem, nie dostałbyś zawału. Czemu nic nie mówisz?

Musnęła go palcami po brodzie i spojrzała na niego pytająco. Kręciło mu się w głowie. Nie miał już siły oddychać; wydawało mu się, że ma na piersi dwudziestotonowy odważnik, którego nie może się pozbyć. Nawet siedząc.

Zadzwoń do szpitala! - pomyślał.

- Nie wiem, co robić, Peter. Przyszłam pogadać, a zastaję cię w takim stanie... Chyba wybrałam zły moment. No i się boję. Szczerze. Powiedz coś. Nie możesz mówić?

Dzwoń po karetkę!

- Pewnie nie będziesz zachwycony, ale nie wiem, co wzięłeś, więc zadzwonię po karetkę. Nie chcę, żebyś miał jakieś kłopoty, ale boję się jak jasna cholera, Peter.

Zniknęła mu z oczu, słyszał jednak, jak bierze do ręki leżącą na stole słuchawkę. Dobrze, pomyślał. Pospiesz się.

- Coś jest nie tak z telefonem - usłyszał. Jezu Chryste...

Znów ją zobaczył.

- Telefon nie działa. Wiesz o tym? Zadzwoń z komórki.

- Nie masz komórki? Zostawiłam swoją w samochodzie. Idź po nią.

- Może inny aparat będzie działał. Powinieneś zadzwonić do teleoperatora. To niebezpieczne żyć tak bez telefonu... A to co? Ktoś wyrwał aparat ze ściany? Wkurzyliśmy się, Peter?

Pukanie do drzwi. Chyba do frontowych.

- Halo? Jest tam kto? Peter?

Kobięcy głos. Evans nie widział, kto przyszedł. Usłyszał za to głos Janis:

- Kim pani jest?

- A pani?

- Janis. Przyjaciółka Petera.

- Sarah. Koleżanka z pracy.

- Ale pani jest wysoka.

- Gdzie Peter?

- Tutaj. Coś mu się stało.

Evans nie widział, jak rozmawiają, bo nie mógł się poruszyć. Przed oczami zaczynały mu latać szare plamki - zapowiedź utraty przytomności. Całą energię zużywał na poruszenie klatki piersiowej i wciągnięcie do płuc odrobiny powietrza.

- Peter? - usłyszał głos Sarah.

Stanąła przed nim.

- Jesteś sparaliżowany? Tak! Dzwon po karetkę!

- Poci się - zauważyła. - To zimne poty.

- Kiedy przyszłam, już tak wyglądał. - Janis spojrzała na Sarah. - Co pani tu właściwie robi? Dobrze się znacie?

- Zadzwoiła pani po karetkę?

- Nie. Zostawiłam komórkę w samochodzie, a...

- Ja zadzwonię.

Sarah otworzyła komórkę. Evans nic więcej nie zapamiętał.

## **Brentwood**

### **Środa, 13 października Godz. 1.22**

Było późno. Nicholas siedział przy biurku w swoim domu w Brentwood, niedaleko Santa Monica, dokładnie cztery kilometry i sześćset metrów od plaży (ostatnio zmierzył tę odległość, jadąc samochodem), i czuł się bezpiecznie. NERF kupił mu ten dom zaledwie przed rokiem. Nie obeszło się zresztą bez dyskusji, bo kupili mu również dom w Georgetown, ale zwrócił im uwagę, że musi mieć rezydencję na Zachodnim Wybrzeżu, w której mógłby przyjmować sławnych gości i ważnych darczyńców.

Poza tym Kalifornia była przecież najbardziej wyedukowanym w kwestiach środowiska naturalnego stanem w całym kraju. Pierwsza przegłosowała prawo antynikotynowe, prawie dziesięć lat wcześniej niż Nowy Jork i wschodnie stany. I nawet kiedy w 1998 roku Sąd Federalny uchylił

wydany przez EPA przepis chroniący biernych palaczy - twierdząc, że EPA wydała zakaz używania substancji, której szkodliwości nie potrafiła dowieść (sędzia oczywiście był z jakiegoś tytoniowego stanu) - nawet wtedy Kalifornia pozostała nieugięta. Utrzymała obostrzenia wobec palaczy. W Santa Monica planowano wydanie zakazu palenia wszędzie na dworze, także na plaży! To się nazywa postęp!

W Kalifornii żyło się łatwo.

Ale jeśli chodzi o zdobywanie poważnych funduszy... No, to zupełnie co innego. Drake mógł liczyć na zamożnych przedstawicieli show-biznesu, ale prawdziwe pieniądze były gdzie indziej: w bankowości inwestycyjnej, w zarządzaniu portfelami, nieruchomościach, funduszach powierniczych. Ludzie, którzy dysponowali majątkiem od pięciuset milionów wzwyż, czyli naprawdę poważnymi kwotami, ci ludzie mieszkali w innej Kalifornii. Grywali w klubach golfowych, do których nie wpuszczano aktorów. Największe fortuny znajdowały się w rękach potomków pionierów i prezesów firm technologicznych, a ci byli sprytni i twardzi. Znali się na swojej robocie. I wielu z nich miało ścisłe wykształcenie.

Dlatego też byli trudnymi partnerami w interesach dla Drake'a, który chciał wyciągnąć od nich trochę dodatkowego grosza. Wpatrywał się w monitor, rozmyślając o następnej szkockiej, kiedy na ekran wyskoczyło nowe okienko. Zamrugał kursor.

SCORPION: Możesz rozmawiać?

O wilku mowa, pomyślał Drake. Półgłówek.

Mogę.

Poprawił lampę nad biurkiem, żeby lepiej oświetlała jego twarz, i spojrzał w kamerę umieszczoną nad monitorem.

Otworzyło się następne okienko, w którym pojawiła się twarz Teda Bradleya. Ted siedział u siebie w domu, w dolinie San Fernando.

- Jak poszło?

- Miałeś rację - przyznał Bradley. - Evans przeszedł na ciemną stronę.

- No i?

- Był z dziewczyną, Jennifer. Pracuje w zespole prawnym...

- Jennifer Haynes?

- Właśnie. Taka przemądrzała suka.

Drake nie od razu odpowiedział. Poznał po tonie głosu Bradleya, że ten ostro popija.

- Rozmawialiśmy już o tym, Ted. Nie każdy lubi twoje zaloty.

- Eee tam... Większość lubi.

- Nie takie chcemy robić na ludziach wrażenie.

- Obraziła mnie.

- No dobrze. Więc była tam Jennifer Haynes...

- Szpieguje dla nacierzy i górników. Głowę daję.

- Ktojeszczebył z wami?

- Sarah Jones.

- Aha... Poleciała obejrzyć ciało?

- Nie wiem, skąd się wzięła. Ale był z nią taki dupek, Kenner. Wyjątkowy mądrała.

- Jak wyglądał?

- Po czterdziestce, śniady, mięśniak. Wyglądał mi na żołnierza.

- W porządku. Ktoś jeszcze?

- Nie.

- Nie było nikogo z zagranicy? W ogóle nikogo więcej?

- Nie, tylko ci, co powiedziałem.

- Czy twoim zdaniem Evans zna Kennera?

- O tak, i to całkiem nieźle.

- Współpracują?

- Chyba tak. Nawet na pewno.

- Świetnie, Ted, masz nosa - powiedział Drake i patrzył, jak Bradley pręży się do kamery. - Wpadłeś na ciekawy trop. Evans może nam jeszcze nabruździć.

- Też tak uważam.

- Jeden z naszych najbardziej zaufanych prawników. Kurczę, nie dalej jak przedwczoraj był u mnie, prosiłem, żeby coś dla mnie zrobił. Jeśli jest przeciwko nam, to stanowi poważne zagrożenie.

- Zastrany zdrajca.
- Chciałbym, żebyś przez najbliższy tydzień miał na niego oko.
- Z przyjemnością.
- Bywaj tam, gdzie on, nie odstępuj go na krok, bądź jego najlepszym kumplem, rozumiesz...
- Spokojna głowa, Nick. Dam sobie radę.
- Na pewno przyjdzie dziś na otwarcie konferencji - dodał Drake. Chociaż niekoniecznie, pomyślał. Może nie dać rady.

## Westwood

**Środa, 13 października Godz. 3.40**

- Muszę przyznać, że to był doskonały wybór - powiedział Kenner. - Hapalochlaenafasciata, najbardziej zabójczy z trzech gatunków ośmiornic błękitnych, nazywanych tak, ponieważ, zagrożone, zmieniają kolor. Na ich skórze pojawiają się wtedy błękitne planiki. Powszechnie spotykana w wodach przybrzeżnych Australii. Ośmiorniczka jest bardzo mała, ślad po ugryzieniu prawie niezauważalny, a ukąszenie często bywa śmiertelne. Nie ma antidotum. Poza tym w szpitalu w Los Angeles lekarze nie od razu rozpoznają objawy. Naprawdę mistrzowski wybór.

Evans, który z maską tlenową na twarzy leżał na oddziale intensywnej opieki medycznej szpitala UCLA, tylko wytrzeszczał oczy. Nadal nie mógł mówić, ale przynajmniej już się tak nie bał. Janis w smętnym nastroju zwinęła się do domu, tłumacząc się porannymi zajęciami. Sarah siedziała przy łóżku i głaskała go po rękę. Wyglądała ślicznie.

- Skąd ją wzięli? - spytała.

- Pewnie mają więcej niż jedną. Takie ośmiornice są delikatne i w ogóle krótko żyją. Ale odławia sieje masowo, bo Australijczycy pracują nad antidotum. Jak wam zapewne wiadomo, Australia wiezie na świecie prym, jeśli chodzi o najbardziej zabójcze zwierzęta jadowite: mają tam najbardziej jadowitego węża, najbardziej jadowitego mięczaka, najbardziej jadowitą rybę...

Fantastycznie, pomyślał Evans.

- Ale teraz, kiedy lekarze w UCLA mają już trzeci przypadek, zajmą się tym.

- Już się zajęliśmy - stwierdził stażysta, który właśnie wszedł do pokoju. Sprawdził kroplówkę i respirator Evansa. - Mamy wstępne wyniki badania krwi. Tetrodoksyna, tak samo jak u pozostałej dwójki. Za jakieś trzy godziny powinien pan wstać z łóżka. Szczęściarzem z pana. - Uśmiechnął się do Sarah i wyszedł.



- Cieszę się, że nic ci się nie stało - powiedział Kenner. - Byłoby źle, gdybyśmy cię stracili.

O czym on mówi? - zdziwił się Evans. A że częściowo odzyskał władzę w mięśniach poruszających gałkami ocznymi, spojrział na Sarah. Ona jednak nie odezwała się, tylko się uśmiechnęła.

- Jesteś mi potrzebny żywy, Peter - dodał Kenner. - Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

Sanjong, który siedział w kącie sali i głównie rozmawiał przez telefon, rzucił nagle:

- No, coś się zaczyna dziać.

- Tam, gdzie myśleliśmy?

- Tak.

- Co się stało?

- Mamy kopię faktury. W zeszłym miesiącu wypożyczyli samolot transportowy C-57.

- No, no...

- Co to oznacza? - zainteresowała się Sarah.

- To duża maszyna. Pewnie chcą robić oprysk.

- Jaki oprysk?

- Jesteśmy praktycznie pewni, że chcą rozpylić w powietrzu znaczną ilość AOB. A przy okazji pewnie też jakieś hydrofilne nanocząstki.

352

- Poco?

- Żeby kierować ruchem burzy - wyjaśnił Kenner. - Są dowody na to, że rozpylenie AOB na dużej wysokości może wpłynąć na trajektorię huraganu albo cyklonu. Hydrofilne nanocząstki spotęgują ten efekt, przynajmniej teoretycznie. Nie wiem, czy próbowano tego kiedyś w naturze, na taką skalę.

- Chcą sterować huraganem?!

- Przynajmniej spróbują.

- Albo i nie - wtrącił Sanjong. - Mam wiadomość z Tokio: z analizy ruchu w Internecie i sieciach komórkowych wynika, że projekt został zawieszony.

- Nie ma odpowiednich warunków początkowych?

- Na to wygląda. Evans zakaszał.

- Świetnie! - ucieszył się Kenner. - Dochodzisz do siebie. - Poklepał go po ręce. - Odpoczywaj, Peter. Spróbuj się zdrzemnąć. Dziś wielki dzień. Chyba nie zapomniałeś?

- Wielki dzień? - spytała Sarah.

- Za pięć i pół godziny zaczyna się konferencja. - Kenner wstał, podszedł do drzwi, ale zawrócił i jeszcze raz spojrzął na Evansa. - Sanjong zostanie z tobą do rana. Tu wprawdzie nic ci nie grozi, ale skoro raz chcieli cię zabić, mogą spróbować ponownie.

Sanjong uśmiechnął się i przeniósł krzesło bliżej łóżka. Na drugim krześle położył stertę ilustrowanych tygodników. Wziął najnowszy numer „Time’a”. Tytuł na okładce brzmiał ZMIANY KLIMATU. DZIEŃ ZAGŁADY JEST BLISKI. Nagłówek w „Newsweeku” głosił: GWAŁTOWNE ZMIANY KLIMATYCZNE - NOWY SKANDAL W RZĄDZIE?, w „The Economist” ZMIANA KLIMATU PODNOSI SWÓJ WSTRĘTNY ŁEB, a w „Paris Matchu” CLIMAT LE NOUVEAU PERIL AMERICAIN.

- Odpoczywaj - Sanjong uśmiechnął się do niego ciepło. Evans zamknął oczy.

## **Santa Monica**

### **Środa, 13 października Godz. 9.00**

Była dziewiąta rano. Zaproszeni na konferencję goście kręcili się po sali. Nikt nie siadał. Evans stał przy wejściu i popijał kawę. Był potwornie zmęczony, ale poza tym czuł się całkiem nieźle. Ustąpiło nawet drżenie nóg.

Delegaci wyglądali jak rasowi naukowcy; wielu z nich ubrało się swobodnie, jakby chciało podkreślić, że prowadzą aktywny tryb życia: spodnie koloru khaki, koszule L.L. Beana, turystyczne buty, puchowe kamizelki.

- Wygląda to jak zjazd drwali, nie uważasz? - zagadnęła go Jennifer. - Trudno uwierzyć, że ci goście pół życia spędzają przy komputerze.

- Serio?

- Większość na pewno.

- A te buty turystyczne? Jennifer wzruszyła ramionami.

- Taka traperska moda.

Nicholas Drake wszedł na mównicę i postukał w mikrofon.

- Dzień dobry, witam wszystkich. Za dziesięć minut zaczynamy. Stanął z boku i zaczął się

naradzać z Henleyem.

- Czekają na telewizję - wyjaśniła Jennifer. - Rano mieli jakieś kłopoty z elektryką. Ekipy jeszcze się nie rozstawiły.

- Ze wszystkim czeka się dziś na telewizję.

Przy wejściu do sali konferencyjnej powstało zamieszanie, rozległy się krzyki. Jakiś starszy mężczyzna w tweedowej marynarce szarpał się z ochroną.

- Zostałem zaproszony! - krzyczał. - Mam prawo tu być!

- Przykro nam - powtarzali ochroniarze. - Ale nie ma pana na liście.

- Mówię panom, że zostałem zaproszony!

- O rany... - westchnęła Jennifer.

- Kto to jest?

- Profesor Norman Hoffman. Nie słyszałeś o nim?

- Nie, a co?

- Zajmuje się ekologią myśli. To słynny socjolog, chociaż cieszy się raczej nie najlepszą sławą. Bezlitosny krytyk przekonań ekologicznych. Wściekły pies. Zaprosiliśmy go do naszego pokoju przesłuchań, żeby poznać jego poglądy. To był błąd. Facetowi gęba sienie zamyka, gada jak nakręcony, co chwila wtrąca dygresje i za cholerę nie można mu przerwać. Masz wrażenie, że telewizor co kilka sekund sam z siebie zmienia kanał, a ty zgubiłeś pilota.

- Nic dziwnego, że go tu nie chcą.

- Narobiłby zamieszania. Już robi. Hoffman nie ustępował.

- Puśćcie mnie! To bezczelność! Zaproszono mnie! Zaprosił mnie osobiście George Morton. Jesteśmy przyjaciółmi. George Morton mnie zaprosił!

Wzmianka o George'u podziałała na Evansa. Ruszył w kierunku profesora.

- Pożałujesz... - uprzedziła go Jennifer. Skwitował jej ostrzeżenie wzruszeniem ramion.

- Przepraszam bardzo - zaczął, podchodząc do ochroniarzy. - Jestem adwokatem pana Mortona. O co chodzi?

- Profesor Norman Hoffman - odparł Hoffman, wijąc się w uścisku ochroniarzy. - George Morton zaprosił mnie na konferencję.

Z bliska Evans widział już, że Hoffman jest niedogolony i rozczochrany.

- Jak się panu wydaje, po co miałbym uczestniczyć w tej szopce? Jest tylko jeden powód: George mnie o to poprosił. Chciał poznać moją opinię o konferencji. Oczywiście już dawno mogłem mu powiedzieć, co o niej myślę. Nie będzie żadnych niespodzianek. Impreza potoczy się z dostojną pompą taniego pogrzebu.

Evans doszedł do wniosku, że Jennifer słusznie go przed nim ostrzegła.

- Ma pan bilet? - zapytał uprzejmie.

- Nie, nie mam. Nie potrzebuję bilem! Czego pan nie zrozumiał, młody człowieku? Nazywam się Norman Hoffman, jestem profesorem i osobistym przyjacielem George'a Mortona. A poza tym ci dwaj zabrali mi bilet.

- Kto?

- Ochroniarze.

- Zabraliście mu panowie bilet? - zdziwił się Evans.

- Nie miał bilem.

- Ma pan odcinek kontrolny? - spytał Hoffmana.

- Nie, do cholery, nie mam żadnego odcinka kontrolnego! Na co mi on?

- Przykro mi, profesorze, ale...

- Udało mi się zachować tylko to!

Hoffman podał Evansowi oderwany rożek bilem. Prawdziwego.

- Gdzie reszta?

- Zabrali mi, przecież mówię.

Jeden z ochroniarzy kiwnął na Evansa i razem odeszli na bok. Strażnik rozwarł dłoń: trzymał w niej resztę bilem.

- Przykro mi, ale pan Drake osobiście zakazał nam wpuszczać tego pana.

- Ale przecież on miał bilet!

- Może porozmawiałby pan o tym z panem Drakiem...

Przy wejściu pojawiła się zwabiona zamieszaniem ekipa telewizyjna. Hoffman natychmiast zaczął się szarpać, jakby nagle przybyło mu energii.

- Niech pan nie zawraca sobie głowy Drakiem! - zawołał do Evansa. - Jemu nie chodzi o prawdę. - Spojrzał w kamerę. - Nicholas Drake to wyzbyty wszelkich zasad moralnych oszust, a ta konferencja jest parodią i policzkiem wymierzonym ubogim mieszkańcom naszego globu. Głodne dzieci w Azji i Afryce umierają przez takie konferencje! Siejcie strach!

Jesteście niemoralni!

Miotał się jak w klatce, toczył wkoło dzikim wzrokiem, zaczynał się ślinić. Kamerzyści uznali go za wariata, wyłączyli sprzęt i, wyraźnie zakłopotani, zaczęli się wycofywać. Hoffman natychmiast złagodniał.

- Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. I tak nikogo to nie interesuje. Jak zwykle. - Odwrócił się do ochroniarzy. - Możecie mnie puścić. Mam dość tej szopki. Nie wytrzymam dłużej. Puszczajcie!

- Puście go - powiedział Evans.

Ochroniarze puścili Hoffmana, a ten natychmiast popędził na środek sali, gdzie Ted Bradley właśnie udzielał wywiadu.

- To alfons! - zawołał. - Ekoalfons skorumpowanych elit, które żyją z tego, że upowszechniają szkodliwe lęki! Nie rozumiecie?! Fałszywe zagrożenia to nowoczesna zaraza!

Ochroniarze go dopadli i tym razem siłą wywlekli z sali. Nie stawiał oporu. Kiedy ciągnęli go do wyjścia, zwiślał bezwładnie, a buty szurały mu po podłodze.

- Uważajcie, mam chory kręgosłup - ostrzegł tylko. - Jeśli coś mi się stanie, oskarżę was o napaść.

Wyprowadzili go na chodnik, otrzepali i puścili.

- Miłego dnia.

- Postaram się, żeby był miły. Niewiele mi już ich zostało. Evans zatrzymał się przy Jennifer i razem obserwowali Hoffmana.

- Mam ochotę powiedzieć: a nie mówiłam?

- Kim on właściwie jest?

- Emerytowanym profesorem USC. Był pionierem rzetelnych, statystycznych badań wpływu mediów na społeczeństwo. Potrafi być interesujący, ale, jak zauważyłeś, ma dość... eee... zdecydowane poglądy.

- Myślisz, że Morton naprawdę wysłał mu zaproszenie?

- Peter? Potrzebuję twojej pomocy.

Evans odwrócił się i zobaczył idącego w ich stronę Drake'a.

- O co chodzi?

- O tego świra. - Drake ruchem głowy wskazał Hoffmana. - Podejrzewam, że za chwilę pójdzie na policję poskarżyć się, że został pobity. Dziś nie chcemy tu takich atrakcji. Idź, porozmawiaj z nim. Może uda ci się go uspokoić.

- Nie wiem, czy coś zdziałam... - zaczął ostrożnie Evans.

- Wystarczy, żebyś posłuchał jego zwariowanych teorii. Może o nich mówić godzinami.

- Ale wtedy przegapię konfe...

- Nie jesteś nam potrzebny na konferencji. Zrób, o co proszę. Zajmij się tym czubkiem.

Pod centrum konferencyjnym zebrało się sporo ludzi. Ci, którzy nie weszli do środka, śledzili rozwój wydarzeń na zawieszonym na zewnątrz ekranie. U dołu, poniżej podium, wyświetlały się napisy. Evans przepchnął się przez tłum.

- Pan mnie śledzi - stwierdził Hoffman. - Wiem, po co pan to robi, ale nic panu z tego nie przyjdzie.

- Profesorze...

- Nick Drake przysłał pana, żeby odwiódł mnie pan od mojego zamiaru.

- Wcale nie, profesorze.

- Właśnie że tak. Niech pan mnie nie okłamuje. Nie lubię tego.

- W porządku, przyznaję: to Drake mnie przysłał.

Hoffman stanął jak wryty, jakby zaskoczyła go szczerść Evansa.

- Wiedziałem. A co kazał panu zrobić?

- Powstrzymać pana przed pójściem na policję.

- Udało się panu. Proszę mu przekazać, że nie wybieram się na policję.

- Mam wrażenie, że nie mówi pan prawdy.

- Ach tak, ma pan wrażenie? Jest pan jednym z tych, dla których pozory są najważniejsze?

- Nie, profesorze, ale...

- Mnie pozory nie obchodzą. Liczą się fakty. Zna pan fakty?

- Chyba nie nadążam...

- Czym się pan zajmuje?

- Jestem prawnikiem.

- Powinienem być się domyślić. Dzisiaj wszyscy są prawnikami. Ekstrapolując dotychczasowy wzrost liczby prawników, można by dojść do wniosku, że w 2035 roku w Stanach Zjednoczonych będą sami prawnicy, włącznie z niemowlętami. Będą się rodzić prawnikami. Jak pan sądzi, jak będzie wyglądało życie w takim społeczeństwie?

- Profesorze, przy drzwiach wygłosił pan pewne interesujące stwierdzenie...

- Interesujące, powiada pan? Ja ich oskarżam o brak moralności, a pan nazywa to interesującym stwierdzeniem?!

- Przepraszam... - Evans rozpaczliwie próbował skierować rozmowę na zapatrywania Hoffmana. - Ale nie wyłożył pan swoich poglądów...

- Tu nie chodzi o moje poglądy, młody człowieku, tylko o wiedzę. Taki właśnie jest cel moich badań: chcę wiedzieć, a nie domniemywać.

Nie zamierzam teoretyzować ani stawiać hipotez. Prowadzę badania w terenie, żeby wiedzieć. W dzisiejszych czasach ta sztuka odchodzi w zapomnienie, młody człowieku... No, nie jest pan znowu aż taki młody. Jak się pan właściwie nazywa?

- Peter Evans.

- I pracuje pan dla Drake'a, panie Evans?

- Pracowałem dla George'a Mortona.

- To czemu nic pan nie mówi?! George Morton był wspaniałym człowiekiem. Wspaniałym! Zapraszam na kawę, panie Evans. Pogadamy. Wie pan, czym się zajmuję?

- Chyba nie bardzo, profesorze.

- Studiuję ekologię myśli. Badam to, jak doprowadziła do powstania stanu strachu.

**Santa Monica**

**Środa, 13 października Godz. 9.33**

Usiedli na ławce po drugiej stronie ulicy, naprzeciw kompleksu konferencyjnego; mieli świetny

widok na kłębiący się przed nim tłum, Hoffman jednak nie zwracał uwagi na otoczenie, lecz cały czas mówił, gestykulując z takim ożywieniem, że zdarzało mu się uderzyć Evansa w pierś - i nawet tego nie zauważyć.

- Dziesięć lat temu zająłem się modą i slangiem, który, naturalnie, jest swoistym rodzajem mody językowej. Chciałem się dowiedzieć, co określa zmiany w modzie i mowie, i wkrótce stwierdziłem, że nie da się wyróżnić takich czynników. Moda się zmienia, ale zmiany nie podlegają żadnym racjonalnym regułom. Owszem, można zaobserwować w nich pewną regularność, cykle i korelacje, ale są to terminy deskryptywne, które niczego nie wyjaśniają. Jasno się wyrażam?

- Na razie tak.

- Doszedłem do wniosku, że okresowość i korelacje same w sobie są systemami lub, jeśli pan woli, ekosystemami. Przetestowałem tę hipotezę i uznałem, że ma wartość heurystyczną. Podobnie jak istnieje ekologia świata natury, czyli lasów, gór i oceanów, istnieje również ekologia stworzonego przez człowieka świata abstrakcji, idei i myśli. Zająłem się jej badaniem.

- Rozumiem...

- W nowoczesnej kulturze obserwujemy stałe falowanie idei: jedne się pojawiają, inne znikają; przez jakiś czas wszyscy ludzie w coś wierzą, a potem stopniowo tracą tę wiarę. W końcu nikt już nie pamięta tej dawnej idei, takjak nikt nie pamięta dawnego slangu. Idea również jest w pewnym sensie modą.

- Dobrze, profesorze, to rozumiem, ale dlaczego...

- Zastanawia się pan, co sprawia, że idee tracą popularność? - Hoffman mówił już właściwie do siebie. - Odpowiedź jest prosta: taką mają naturę. W modzie, tak jak w ekologii natury, zdarzają się zawirowania, nagłe zmiany ustalonego porządku. Wywołany piorunem pożar pochłania las, a na pogorzeliisku pojawiają się nowe gatunki. Zmiana jest przypadkowa, niespodziewana, nieprzewidywalna. Gwałtowna. Cały świat jest taki.

- Profesorze...

- Ale takjak idee mogą się nieoczekiwanie zmienić, tak samo mogą przetrwać nieoczekiwanie długo. Opinia publiczna hołubi je długo po tym, jak naukowcy je odrzucają. Doskonałym przykładem jest koncepcja podziału ról lewej i prawej półkuli mózgowej. W latach siedemdziesiątych zyskała ogromną popularność dzięki pracom Sperry'ego z Caltechu, który badał specjalnie wyselekcjonowaną grupę pacjentów po operacjach mózgu. Jego odkrycia nie miały jednak znaczenia naukowego poza obrębem tej grupy; on sam wielokrotnie to podkreślał. W 1980 roku było już oczywiste, że ścisły podział jest absurdalny: w mózgu zdrowego człowieka półkule nie działają niezależnie. Tymczasem w kulturze popularnej tamten koncept przetrwał następnych dwadzieścia lat. Ludzie o nim mówią, wierzą w niego, piszą o nim książki, chociaż specjaliści rozstali się z nim dwa dziesięciolecia temu.

- To bardzo interesujące...



- Podobnie rzecz się miała z powszechną w latach sześćdziesiątych koncepcją „równowagi w naturze”: gdyby zostawić przyrodę w spokoju, osiągnęłaby trwały stan homeostazy. Piękna idea, w dodatku o szlachetnym rodowodzie: Grecy wierzyli w nią już trzy tysiące lat temu, nie mając ku temu żadnych podstaw. Po prostu podobała im się i już. Tymczasem nastąpiły lata dziewięćdziesiąte XX wieku i ekolodzy odrzucili pomysł równowagi w naturze. Uznali, że jest błędny. Nieprawdziwy. Dziś mówią o dynamicznej nierównowadze lub o wielości stanów homeostatycznych, ale rozumieją już, że równowaga w naturze to mrzonka. Nigdy jej nie było i nigdy być nie może. Przeciwnie, natura jest permanentnie wytrącona z równowagi, a to oznacza...

- Chciałbym pana zapytać, profesorze...

- ...to oznacza, że człowiek, którego w przeszłości nazywano największym burzycielem naturalnego ładu, wcale nim nie jest. Środowisko i tak przez cały czas jest narażone na wstrząsy.

- Ale George Morton...

- Wiem, zastanawia się pan, o czym rozmawialiśmy z George’em Mortonem. Właśnie do tego dochodzimy. Wcale nie odbiegłem od tematu. Morton interesował się ekologią, a w szczególności ideą kryzysu ekologicznego.

- I co mu pan powiedział?

- Gdyby badał pan media, takjak badamy je ja i moi doktoranci w poszukiwaniu zmian konceptualizacji normatywnej, odkryłby pan niezwykle interesujące zjawisko. Zapoznaliśmy się z archiwalnymi zapisami serwisów informacyjnych największych sieci telewizyjnych: NBC, ABC i CBS. Przejrzeliśmy stare wydania gazet wydawanych w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Miami, Los Angeles i Seattle. Policzyliśmy, z jaką częstotliwością media poruszają pewne tematy, używając przy tym określonej terminologii. I uzyskaliśmy zdumiewające wyniki.

Hoffman przerwał.

Evans udał, że temat go pochłonął:

- To znaczy?

- Na jesieni 1989 roku nastąpiła wyraźna zmiana. Przedtem w mediach nie nadużywano takich słów jak „kryzys”, „katastrofa”, „kataklizm”, „tragedia”, „klęska żywiołowa” czy „plaga”. Na przykład w latach osiemdziesiątych „kryzys” pojawiał się w wiadomościach równie często jak „budżet”. Ponadto przed 1989 rokiem takie przymiotniki jak „straszliwy”, „bezprecedensowy”, „przerażający” praktycznie nie występowały w nagłówkach gazet i dziennikach. A potem nagle się to zmieniło.

- W jaki sposób?

- Zaczęto coraz częściej używać takich określeń. W 1995 roku słowo „katastrofa” występowało w mediach pięciokrotnie częściej niż dziesięć lat wcześniej. A do roku 2000 częstotliwość jego

użycia wzrosła jeszcze dwukrotnie. Środki masowego przekazu podkreślają w swoich relacjach poczucie lęku, zagrożenia, niepewności, paniki.

- Ale dlaczego zmiana nastąpiła akurat w 1989 roku?

- No właśnie, dobre pytanie. Nawet bardzo dobre. Pod wieloma względami rok 1989 niczym nie różnił się od innych. W Norwegii tragedia radzieckiego okrętu podwodnego; plac Tiananmen w Chinach; katastrofa tankowca „Exxon Valdez”; wyrok śmierci na Salmana Rushdiego; rozwody Jane Fondy, Mike’a Tysona i Bruce’a Springsteena; wyświęcenie kobiety na biskupa w Kościele episkopalnym; strajki związkowców w Polsce; lot „Voyagera” na Neptuna; trzęsienie ziemi w San Francisco, zniszczone autostrady; próby z bronią jądrową w Rosji, USA, Francji i Wielkiej Brytanii. Rok, jakich wiele. Niemniej jednak wzrost częstotliwości użycia słowa „kryzys” można z dużą dokładnością datować na jesień tego roku. Co ciekawe, fakt ten zbiegł się w czasie ze zburzeniem muru berlińskiego, do którego doszło dziewiątego listopada.

Hoffman umilkł i spojrzał znacząco na Evansa. Był bardzo zadowolony z siebie.

- Niestety, profesorze - przyznał Evans. - Nie rozumiem.

- My też nie rozumieliśmy. Z początku wydawało nam się, że to zbieg okoliczności, ale myliliśmy się. Obalenie muru berlińskiego zwiastowało upadek imperium sowieckiego i koniec trwającej od pięćdziesięciu lat zimnej wojny.

Znów chwila przerwy. I ta sama zadowolona mina.

- Cóż... Miałem wtedy trzynaście lat. Nadal nie mam pojęcia, do czego pan zmierza.

- Chodzi o kontrolę nad społeczeństwem, Peter. O konieczny w każdym suwerennym państwie nadzór nad obywatelami, który pozwala utrzymać porządek. To dzięki niemu ludzie jeżdżą prawą stroną jezdni - albo lewą, bo i tak się zdarza. Dzięki niemu płacą podatki. A jak wiadomo, najlepszym narzędziem społecznej kontroli jest strach.

- Strach - powtórzył Evans.

- Właśnie: strach. Przez pięćdziesiąt lat państwa zachodnie utrzymywały swoich obywateli w stanie permanentnego lęku. Straszyły ich drugą stroną, wojną atomową, komunistyczną zarazą, żelazną kurtyną, imperium zła. W krajach komunistycznych wyglądało to identycznie, tylko tam ludzie bali się nas. Aż nagle przyszła jesień 1989 roku, mur runął i wszystko się skończyło. Jak nożem uciął. Powstała próżnia, a natura próżni nie toleruje. Coś musiało ją zapełnić.

Evans zmarszczył brwi.

- Chce pan powiedzieć, że zagrożenia ekologiczne zajęły miejsce zimnej wojny?

- Takie są fakty. Teraz, po jedenastym września, mamy oczywiście radykalny fundamentalizm religijny i terroryzm, których możemy i powinniśmy się bać, ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że zawsze jest jakiś powód do obaw. I o ile przyczyna się zmienia, o tyle strach pozostaje. Przed

terrorystami baliśmy się toksycznego środowiska, a jeszcze wcześniej komunistów. Przyczyny lęku się zmieniają, lecz on sam nas nie opuszcza. Przenika całe społeczeństwo, wszystkie dziedziny naszego życia. I to bez przerwy. - Hoffman przesunął się na ławce i odwrócił plecami do tłumu. - Zastanawiał się pan kiedyś nad tym, jak zdumiewającą kulturę stworzyły zachodnie społeczeństwa? Kraje uprzemysłowione zapewniają

swoim obywatelom bezprecedensowe bezpieczeństwo, wysoki poziom opieki zdrowotnej, wszelkie możliwe wygody. Przez ostatnie sto lat średnia długość życia wzrosła o połowę. Tymczasem współcześni ludzie żyją w wiecznym strachu. Boją się obcych, chorób, przestępczości, środowiska; boją się domów, w których mieszkają, żywności, którą jedzą, techniki, która ich otacza. Największym lękiem napawa ich to, czego nawet nie widzą: zarazki, chemikalia, konserwanty. Są niepewni, nerwowi, przygnębieni i, co jest absolutnie zdumiewające, święcie przekonani o tym, że środowisku naturalnemu grozi zagłada. Coś niesamowitego! Podobnie jak wiara w czarownice, to również jest niesłychane złudzenie, ogólnoswiatowa iluzja jakby żywcem wzięta ze średniowiecza. Świat się stacza do piekła, a my musimy w nim żyć, kuląc się ze strachu. Niebawem! Jakim cudem udało się tę wizję zaszczepić wszystkim mieszkańcom naszego globu? Ano takim, że choć wydaje nam się, że mieszkamy w różnych krajach, we Francji, w Niemczech, Japonii i USA, w gruncie rzeczy zamieszkujemy jeden wielki stan: stan strachu. A jak do tego doszło? Evans nie odpowiedział. Nie musiał.

- Powiem panu - ciągnął Hoffman. - Dawno temu, jeszcze przed pańskimi narodzinami, cały Zachód wierzył, że państwami rządzi twór określany mianem kompleksu militarno-przemysłowego. W latach sześćdziesiątych Eisenhower ostrzegał przed nim Amerykanów, a Europejczycy, którzy mieli za sobą dwie wojny światowe, dobrze wiedzieli, o czym mowa. Ale kompleks militarno-przemysłowy stracił swoją dawną pozycję. Od piętnastu lat rządzi nami zupełnie nowa siła, znacznie potężniejsza i wszechobecna. Ja ją nazwałem kompleksem PPM, polityczno-prawno-medialnym. Kompleks PPM udaje, że chce nam zapewnić bezpieczeństwo, ale w rzeczywistości szerzy lęk.

- Bezpieczeństwa nie można lekceważyć.

- Kraje zachodnie są niezwykle bezpieczne, ale ludzie tego nie czują, bo PPM do tego nie dopuszcza. PPM jest mocny i stabilny, ponieważ jednoczy tyle różnych instytucji. Politycy poprzez strach manipulują społeczeństwem; prawnicy zarabiają na zagrożeniach; media potrzebują przerażających historii, żeby przyciągnąć widzów i czytelników. Razem są tak potężne, że mogą narzucić nam nawet najbardziej bezpodstawne lęki. Lęki kompletnie pozbawione racjonalnych podstaw. Weźmy na przykład silikonowe implanty. Sztuczne biusty.

Evans westchnął i pokręcił głową.

- Sztuczne biusty?

- Tak. Z pewnością przypomina pan sobie, że oskarżano implanty o powodowanie raka i chorób autoimmunologicznych. Mimo że statystyki temu przeczyły, o sprawie pisały gazety, adwokaci wytaczali głośne procesy, a telewizje relacjonowały mowy polityków najwyższych szczebli. Producent implantów, Dow Corning, zbankrutował, bo wydał na odszkodowania trzy miliardy

dwieście milionów dolarów. Sądy przyznawały poszkodowanym niezwykle wysokie rekompensaty. Cztery lata później przeprowadzono rzetelne badania epidemiologiczne, z których jasno wynika, że implanty nie powodują chorób. Ale kryzys odegrał już swoją rolę, a PPM zaczął żerować na innych naszych lękach. Tak właśnie funkcjonują współczesne społeczeństwa: tworząc coraz to nowe zagrożenia. I nie ma siły, która byłaby zdolna się temu oprzeć. Nie ma żadnego systemu kontroli, żadnych ograniczeń...

- Bo przecież mamy swobodę wypowiedzi i wolną prasę.

- Tak właśnie brzmi klasyczna wymówka PPM. Dzięki niej PPM trzyma się mocno. Ale niech się pan zastanowi: skoro nie należy wołać: „Pali się!” w zatłoczonym kinie, dlaczego wolno krzyknąć: „Uwaga, rak!” na pierwszej stronie „The New Yorkera”, chociaż to nieprawda? Rozprawienie się z plotką, że linie energetyczne powodują raka, kosztowało nas łącznie dwadzieścia pięć miliardów dolarów. Co z tego? - zapyta pan. Tak, tak, widzę to po pańskiej minie. Myśli pan sobie: mamy pieniądze, stać nas na to. Co to jest dwadzieścia pięć miliardów? Otóż jest to suma większa niż łączny dochód narodowy pięćdziesięciu najuboższych krajów na świecie. Połowa mieszkańców naszej planety ma na życie mniej niż dwa dolary dziennie. Za dwadzieścia pięć miliardów można by przez rok utrzymać trzydzieści cztery miliony ludzi. Albo pomóc wszystkim umierającym na AIDS w Afryce. Ale nie: my wolimy to przepuścić na jakąś gazetową bzdurę, którą czytelnicy potraktowali poważnie. W którą uwierzyli. To było wręcz niewiarygodne marnotrawstwo pieniędzy; w innym świecie można by je uznać za przestępstwo. Nietrudno wyobrazić sobie nowy proces norymberski: podsądnym byłby Zachód oskarżony o karygodną niegospodarność, a w tle oglądalibyśmy zdjęcia dzieci umierających w Azji i Afryce. - Hoffman skracał do minimum nawet przerwy konieczne do nabrania oddechu. - Nawet pomijając kwestię czysto finansową, mamy do czynienia z niegodziwością natury moralnej. Można by się spodziewać, że nasi przywódcy religijni i organizacje humanitarne zaprotestują przeciw tej rozrzutności i bezsensownej śmierci, której stała się przyczyną. I co, słyszał pan, żeby jakiś przywódca religijny zabrał głos w tej sprawie? Chyba tylko po to, żeby przyłączyć się do chóru. Prowadzą kampanię Czym jeździłby Jezus? - jakby zapomnieli, że Jezus zamiast gdzieś jeździć, wpadł do świątyni i przegnał z niej fałszywych proroków. - Profesor mówił z coraz większym zapamiętaniem. - Mówimy tu o sytuacji wysoce niemoralnej, nagannej, wręcz obrzydliwej. PPM ignoruje los najbiedniejszych, aby spasieni politycy mogli zachować stanowiska, bogaci spikerzy nie schodzili z anteny, a ślepi prawnicy rozbijali się mercedesami. No tak, są jeszcze profesorowie uniwersyteccy, ale oni wołają volvo.

- A co profesorowie mają z tym wspólnego?

- To temat na osobną dyskusję.

- Można by ją jakoś streścić?

- Nie bardzo. Nagłówek i cały artykuł to jednak dwie różne rzeczy. Ale postaram się mówić zwięźle. W skrócie: przez ostatnich pięćdziesiąt lat świat się bardzo zmienił. Żyjemy w społeczeństwie informacyjnym, społeczeństwie wiedzy czy jak tam je nazwać. Pięćdziesiąt lat temu, jeśli ktoś chciał prowadzić „życie rozumne”, czyli być intelektualistą i żyć z pracy umysłowej, musiał pracować na uczelni. Poza nią w społeczeństwie nie było dla niego miejsca. Nielicznym reporterom i dziennikarzom udawało się utrzymać z pracy umysłowej, ale to były wyjątki. Uniwersytety

przyciągały ludzi, którzy z własnej woli odrzucali pokusy świata doczesnego, aby poświęcić się klasztornemu życiu uczonych i wyklądać ponadczasowe wartości nowym pokoleniom. Uczelnie miały wyłączność na pracę intelektualną. A dziś? Dziś ogromne sektory społeczeństwa żyją z tego, co wymyślą. Cała współczesna ekonomia opiera się na pracy umysłowej. Wśród pracowników najemnych trzydzieści sześć procent pracuje głową - to więcej niż jest ludzi zatrudnionych bezpośrednio przy produkcji towarów. W pewnym momencie profesorowie doszli do wniosku, że mają dość nauczania, i zostawili to zadanie swoim doktorantom, którzy mieli mniejszą wiedzę i często słabo mówili po angielsku. I uniwersytety znalazły się w kryzysie. Stały się niepotrzebne. Straciły wyłączność na „życie rozumne”. Przestały edukować młodzież. Liczba artykułów na temat semiotyki twórczości Foucaulta, jakie można w ciągu roku opublikować, jest ograniczona. Jaka przyszłość czeka nasze uniwersytety? Jakie jest ich miejsce w nowej epoce? - Hoffman wstał, jakby to pytanie go zmobilizowało, ale zaraz znowu usiadł. - Skończyło się to tak, że w latach osiemdziesiątych dokonała się przemiana. Uniwersytety, dawne oazy wolności intelektualnej w konformistycznym świecie, dawne ośrodki swobód seksualnych, zmieniły się w najbardziej konserwatywne ze wszystkich współczesnych społeczności. Miały bowiem do odegrania nową rolę: stały się fabryką lęków dla PPM.

Tak, dzisiejsze uczelnie to wylęgarnie strachu. Wymyślają coraz bardziej restrykcyjne kodeksy, nowe niepokoje społeczne, słowa, których nie sposób wymówić, myśli, których nikt nie chce dopuścić do głosu. Płynię z nich równy strumień nowych zagrożeń, lęków i trwóg, z którego politycy, prawnicy i dziennikarze czerpią pełnymi garściami. Szkodliwe jedzenie. Gorszące zachowanie. Nie pal, nie przeklinaj, nie pieprz, nie myśl. Za życia jednego pokolenia instytucje edukacyjne udało się postawić na głowie. To naprawdę zdumiewające. Stan strachu nie mógłby istnieć bez uniwersytetów. Upadłby bez specyficznego, neostalinowskiego sposobu myślenia. W dodatku może trwać tylko w restrykcyjnym otoczeniu, za zamkniętymi drzwiami, bez procesu. A w naszym społeczeństwie takie środowisko udało się stworzyć tylko na uczelniach. Przynajmniej na razie. Twierdzenie, że uniwersytety są liberalne, to okrutny żart. W rzeczywistości są przesiąknięte faszyzmem. - Hoffman wskazał na tłum. - Kim jest ten facet, który się do nas przepycha? Wygląda znajomo.

- To Ted Bradley - odparł Evans. - Aktor.

- Gdzie ja go mogłem widzieć?

- Gra prezydenta w serialu.

- No tak. To on.

Zdyszany Ted zatrzymał się przy ławce.

- Peter! Wszędzie cię szukam. Masz wyłączoną komórkę?

- Tak. Przecież...

- Sarah nie może się do ciebie dodzwonić. Mówi, że to coś ważnego, ponoć mamy gdzieś jechać. Weź paszport.

- My? A co to ma wspólnego z tobą?

- Jadę z wami.

Evans wstał, ale nie zdążył odejść, kiedy Hoffman złapał go za rękaw. Przyszła mu do głowy nowa myśl.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o inwolucji.

- Profesorze...

- To następny etap rozwoju państw narodowych. Już go możemy obserwować. Trudno nie docenić ironii losu. Wydaliśmy dwadzieścia pięć miliardów, minęło dziesięć lat i te same zamożne elity, które bały się dostać raka od linii wysokiego napięcia, kupują magnesy i przypinają je sobie do kostek albo wypychają nimi materace. Najlepsze i najdroższe są magnesy japońskie, z importu. A wszystko po to, aby cieszyć się dobroczynnym oddziaływaniem pola magnetycznego. Samo pole się nie zmieniło, ale teraz nie mogą się go nachwalić!

- Naprawdę muszę już iść, profesorze.

- Nie mogliby się po prostu położyć przed telewizorem? Przytulić do mikrofalówki? Tak się ich bali...

Evans usiłował się uwolnić.

- Wrócimy do tej rozmowy.

- Już nawet dołączają magnesy do magazynów o zdrowiu. Pole magnetyczne i zdrowy styl życia! Przecież to absurd! Ludzie zapomnieli, co się działo dziesięć lat temu. Orwell by tego lepiej nie wymyślił. Taka amnezja!

- Co to za jeden? - zainteresował się Bradley, kiedy odeszli od Hoffmana. - Straszny nerwus.

**Santa Monica**

**Środa, 13 października Godz. 10.33**

- W rdzeniu lodowym zapisał się ślad katastrofy - mówił prelegent. Był Rosjaninem, miał wyraźny obcy akcent. - Badania rdzeni lodowców grenlandzkich wskazują, że w okresie ostatnich stu tysięcy lat cztery razy doszło do gwałtownych zmian klimatu. Niektóre z nich nastąpiły błyskawicznie, dosłownie w ciągu kilku lat. Nie znamy wprawdzie mechanizmów, które je spowodowały, ale same fakty ilustrują twierdzenie, że nawet drobne zmiany, także te wywołane działalnością człowieka, mogą pełnić rolę zapalnika, który doprowadzi do katastrofy. Mieliśmy niedawno przedsmak takich wydarzeń: od Antarktydy odłamała się największa w historii góra

lodowa, a gwałtowne powodzie w południowo-zachodnich stanach USA pochłonięły dziesiątki ludzkich istnień. Nietrudno przewidzieć, że coraz częściej będziemy świadkami takich zdarzeń...

Rosjanin przerwał, widząc, że Drake podchodzi do mównicy: szepnął coś prelegentowi do ucha, zerknął na zegarek i wrócił na swoje miejsce.

- Proszę mi wybaczyć, ale przez niedopatrzenie zacytowałem państwu starą wersję swoich notatek. Ach, te edytory tekstu! To był fragment mojego wystąpienia z 2001 roku. Chodziło mi o to, że góra lodowa, która odłamała się od Antarktydy w 2001 roku - większa od niejednego amerykańskiego stanu - jak również niezwykle jak na tę porę roku pogoda na świecie, w tym także na słonecznym południowym zachodzie USA, są zwiastunami narastającej niestabilności klimatu. A to dopiero początek.

Sarah Jones stała w głębi sali; rozmawiała z Ann Garner, żoną znanego hollywoodzkiego prawnika i jednego z głównych sponsorów NERF-u. Ann jak zwykle mówiła dużo i z emfazą.

- Powtarzam ci tylko to, co słyszałam. Podobno szykuje się sponsorowana przez przemysł kampania propagandowa, która ma zdyskredytować organizacje pozarządowe. Przemysłowcy, z obawy, że ruch ekologiczny rośnie w siłę, za wszelką cenę będą chcieli powstrzymać jego rozwój. W ostatnich latach udało nam się odnieść parę skromnych sukcesów, ale nawet one doprowadziły ich do szału...

- Przepraszam cię na chwilę, Ann.

Sarah spojrzała na Rosjanina. Co on powiedział?

Podeszła do stołu prasowego, przy którym siedzieli dziennikarze z laptopami. Na ekranach wyświetlał się tekst przemówienia, na bieżąco. Zajrzała przez ramię reporterowi „Los Angeles Timesa”, Benowi Lopezowi. Ben nie miał nic przeciwko temu; od miesięcy się nią interesował.

- Cześć, malutka.

- Cześć, Ben. Mogę zerknąć?

Przewinęła obraz do wcześniejszego fragmentu.

- Ależ proszę. Ładny zapach. Co to za perfumy? Sarah zaczęła czytać:

...NAWET DROBNE ZMIANY, TAKŻE TE WYWOŁANE DZIAŁALNOŚCIĄ CZŁOWIEKA, MOGĄ PEŁNIĆ ROLĘ ZAPALNIKA, KTÓRY DOPROWADZI DO KATASTROFY. MIELIŚMY NIEDAWNO PRZEDSMIAK TAKICH WYDARZEŃ: OD AN TARKTYDY ODŁAMAŁA 3IĘ NAJWIĘK3ZA W HISTORII GÓRA LODOWA, A GWAŁTOWNE POWODZIE W POŁUDNIOWO ZACHODNICH STANACH USA PO CHŁONEŁY DZIESIĄTKI LUDZKICH ISTNIEŃ. NIETRUDNO PRZEWIDZIEĆ, ŻE CORAZ CZĘŚCIEJ DĘDZIEMY ŚWIADKAMI TAKICH ZDARZEŃ...

Na jej oczach tekst się zmienił. Wykreślony fragment zniknął, a jego miejsce zajął nowy cytat:

...NAWET DROBNE ZMIANY, TAKŻE TE WYWOŁANE DZIAŁALNOŚCIĄ CZŁOWIEKA, MOGĄ PEŁNIĆ ROLĘ ZAPALNIKA, KTÓRY DOPROWADZI DO KATASTROFY. MIELIŚMY NIEDAWNO PRZEDSMIAK TAKICH WYDARZEŃ: OD ANTARKTYDY W 2001 ROKU ODŁAMAŁA SIĘ GÓRA LODOWA WIĘKSZA OD NIEJEDNEGO AMERYKAŃSKIEGO STANU. NIEZWYKŁA JAK NA TĘ PORĘ ROKU POGODA NA ŚWIECIE, W TYM TAKŻE NA SŁONECZNYM POŁUDNIOWYM ZACHODZIE USA, JEST ZWIASTUNEM NARASTAJĄCEJ NIESTABILNOŚCI KLIMATU.

- Jasny gwint!

- Coś nie tak? - zaniepokoił się Ben.

- Widziałeś, co powiedział?

Tak. Biedaczysko. Pewne jeszcze nie doszedł do siebie po podróży. Poza tym ledwie mówi po angielsku...

Pierwotna wersja referatu zniknęła; ktoś wprowadził poprawkę, ale sprawa była jasna: Rosjanin wiedział o górze lodowej i powodzi. Miał o nich wspomnieć w swoim wystąpieniu. Tylko że ktoś mu zapomniał powiedzieć, że nie ma żadnej góry lodowej ani powodzi.

On wiedział.

Tylko że już poprawiono zapis. Sarah obejrzała się przez ramię: kamera rejestrowała przebieg konferencji. Na pewno wytnie się ten fragment także z zapisu wideo.

Ten skurwiol wiedział.

- Co cię tak ruszyło? - zdziwił się Ben. - Powiesz mi?

- Później. Obiecuję.

Poklepała go po ramieniu i wróciła do Ann.

- Więc jak już mówiłam, przemysł wyłożył sporą kasę na świetnie zorganizowaną, szeroko zakrojoną ultrapravicową kampanię propagandową, która ma zniszczyć ruch ekologiczny.

Po tym, co zobaczyła, Sarah nie miała ochoty słuchać takiego bełkotu.

- Posłuchaj, Ann, nie myślisz czasem o tym, że możesz mieć paranoję?

- Nie. Zresztą paranoicy też mają wrogów.

- Ilu prezesów koncernów przemysłowych zasiada w tej chwili w radzie nadzorczej NERF-u?

- Niewielu.



Sarah dobrze wiedziała, że spośród trzydziestu członków rady dwunastu reprezentuje przemysł. Tak samo było we wszystkich nowoczesnych organizacjach ekologicznych: w ciągu ostatnich dwudziestu lat przemysłowców bardzo w nich przybyło.

- Pytałaś ich o tę tajną kampanię?

- Nie. - Ann spojrzała na nią dziwnie.

- A nie przyszło ci do głowy, że to organizacje pozarządowe, takie jak NERF, mogą być zaangażowane w tajną kampanię propagandową?

- Co ty wygadujesz? - Ann zeszywniała. - Sarah, my jesteśmy ci dobrzy.

- Na pewno?

- Oczywiście. Co się z tobą dzieje?

Sanjong Thapa siedział w samochodzie na parkingu przed centrum konferencyjnym, z laptopem na kolanach. Bez problemu włamał się do bezprzewodowej sieci zainstalowanej na użytek dziennikarzy i teraz śledził transmisję z konferencji. Na bieżąco zapisywał na dysku wystąpienia prelegentów - bał się, że w każdej chwili może zostać wykryty i zablokowany, ale na razie miał kompletny zapis dyskusji, włącznie z naniesionymi później poprawkami. Kenner będzie zachwycony, pomyślał.

Na drugim monitorze przeglądał zdjęcia satelitarne zachodniego Atlantyku, nieopodal wybrzeży Florydy. Olbrzymia wyżowa masa powietrza zaczynała powoli wirować, tworząc załazek huraganu. Nie ulegało wątpliwości, że ELF chciał go wykorzystać, ale z niewiadomych przyczyn porzucił ten zamiar.

Sprawdzał też inne tropy, które pojawiły się w śledztwie. Kenner kazał mu zwrócić szczególną uwagę na mały batyskaf badawczy DOEV/2 i jego statek-bazę „AV Scorpion”. Obie te jednostki zostały wypożyczone przez CanuCo, firmę z Calgary specjalizującą się w wydobywaniu gazu ziemnego, by przeprowadzić poszukiwania podwodnych złóż gazu na południowym Pacyfiku. „AV Scorpion” przed dwoma miesiącami wpłynął do Port Moresby w Nowej Gwinei, później zaś, po wyjściu z portu, widziano go na Wyspach Salomona, niedaleko Bougahwille.

Właściwie nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że CanuCo nie figurowała w kanadyjskim rejestrze firm i nie miała żadnych aktywów poza adresem WWW i witryną w Internecie. Jej właścicielem była CanuCo Leasing Corp., kolejna fikcyjna spółka. Opłata za wypożyczenie - w euro - wpłynęła przelewem z Kajmanów. Konto na Kajmanach należało do Seismic Services z siedzibą w Calgary pod tym samym adresem co CanuCo.

To była jedna firma. Seismic Services dawno już próbowała wynająć batyskaf i najprawdopodobniej spowodowała śmierć Nata Damona w Vancouverze.

Pewne agencje z siedzibą w Waszyngtonie przeglądały właśnie mapy satelitarne w poszukiwaniu „AV Scorpion”, który krążył wokół Wysp Salomona. Niestety nad archipelagiem

zawisły chmury i satelity nie mogły wypatrzeć statku-bazy.

Już sam ten fakt był niepokojący: sugerował, że „AV Scorpio” gdzieś się schował - być może wszedł do krytego doku.

Gdzieś na południowym Pacyfiku.

A Pacyfik to duży ocean.

Niepokojące było również to, że statek-baza najpierw popłynął do Vancouveru, gdzie zabrał na pokład trzydzieści ton „wyposażenia przemysłowego” w pięciotonowych skrzyniach. Kanadyjski rząd podejrzewał, że CanuCo szmugluje w nich samochody, i kazał jedną ze skrzyń otworzyć. Zamiast samochodów celnicy znaleźli specjalistyczny sprzęt, który opisali jako „generator dieslowski”.

Generator!

Sanjong wprawdzie nie wiedział, co było w skrzyniach, ale na pewno nie generatory. Nie trzeba by było płynąć po nie aż do Vancouveru. Dlatego się niepokoił...

- Hej! Ty!

Podniósł wzrok znad monitora. Przez parking szło w jego stronę dwóch ochroniarzy. Wykryli go. Musiał zniknąć.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i odjechał, machając strażnikom na pożegnanie.

- Sarah? Co się stało? W co się tak wpatrujesz?

- W nic, Ann. - Sarah pokręciła głową. - Zamyśliłam się.

- Nad czym? I co miałaś na myśli, mówiąc, że mam paranoję? - Ann wzięła ją pod rękę. - Martwię się o ciebie.

A ja o ciebie, pomyślała Sarah.

Prawdę powiedziawszy, sama czuła paranoiczny dreszcz na plecach. Rozejrzała się... i jej wzrok padł na Drake'a, który obserwował ją z drugiego końca sali. Od dawna tak patrzy? Widział, jak podeszła do Bena? Domyślił się, co to oznacza? Wie, że ona wie?

- Sarah? - Ann pociągnęła ją za ramię.

- Przepraszam cię, Ann, ale muszę lecieć.

- Sarah... Martwię się o ciebie.

- Nic mi nie będzie. - Ruszyła w stronę wyjścia. Ann ją dogoniła.

- Pójdę z tobą.

- Wolalabym nie.

- Nie chcę, żeby coś ci się stało.

- Wolalabym zostać sama.

- Tak się traktuje przyjaciół? Nalegam. Widzę, że przyda ci się odrobina matczynej troski. Jestem do twojej dyspozycji.

Sarah westchnęła.

Nicholas Drake odprowadził ją wzrokiem. Ann zrobiła to, o co ją prosił: nie odstępowała Sarah na krok. Potrafiła być stanowcza. Sarah nie miała szans się jej pozbyć - chyba żeby po prostu zaczęła uciekać. Ale gdyby to zrobiła... Cóż, wtedy trzeba by zastosować inne środki. Ciężkie czasy wymagają wyjątkowych działań. Jak na wojnie.

Nie spodziewał się jednak, żeby do tego doszło. Owszem, Kenner pokrzyżował mu plany w przypadku dwóch pierwszych kataklizmów, ale tylko dlatego że ludzie ELF-u okazali się bandą amatorów. Ich spontaniczność i zaradność na miarę dzieci nie sprostały wymogom nowoczesnej walki. Drake powtarzał to Henleyowi do znudzenia, ale on nie słuchał - martwił się tylko tym, żeby podejrzenie nie padło na NERF. Cóż, mogli się wyprzeć tych błaznów z ELF-u bez żadnej szkody dla siebie. Frajerzy!

Ale ta ostatnia operacja to co innego. Została zaplanowana znacznie staranniej, a jej przeprowadzenie powierzono fachowcom. Kenner im nie przeszkodzi. Nawet nie zdąży na czas. Ann i Ted będą informować Drake'a o postępach ekipy Kennera. Zresztą to jeszcze nie koniec niespodzianek, jakie dla niego szykował.

Wyjął komórkę i zadzwonił do Henleya.

- Mamy ich pod kontrolą.

- To dobrze.

- Gdzie jesteście?

- Zaraz spotkam się z V. Właśnie podjeżdżam pod jego dom.

Kenner patrzył przez lornetkę, jak srebrne porsche kabriolet zajechało pod dom przy plaży. Wysiadł z niego wysoki, śniady mężczyzna w niebieskiej koszuli i brązowych spodniach, bejsbolówce i okularach przeciwsłonecznych; ale Kenner bez trudu rozpoznał w nim Henleya, szefa public relations w NERF-ie.

Kółko się zamyka, pomyślał. Odłożył lornetkę na parkan i zamyślił się.

- Zna go pan? - zapytał stojący obok młody agent FBI. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat.

- Tak - odparł Kenner. - Znam.

Stali na nadmorskim urwisku w Santa Monica. Klif opadał stromo na plażę, która miała w tym miejscu kilkaset metrów szerokości: od wody do ścieżki rowerowej. Dalej ciągnął się rząd domów, wciśniętych między plażę i autostradę - sześć pasów ryczących samochodów.

Mimo że przylegały do drogi, rezydencje osiągały zawrotne ceny, ponoć od dwudziestu do trzydziestu milionów dolarów, a niektóre nawet więcej. Mieszkali w nich najzamożniejsi obywatele Kalifornii.

Henley naciągnął na porsche płócienny dach; jego ruchy były precyzyjne, niemal pedantyczne. Dopiero później nacisnął guzik dzwonka przy furtce. Dom, do którego przyjechał, był ultranowoczesną budowlą złożoną głównie z zakrzywionych szklanych tafli. W porannym słońcu lśnił jak diament.

Henley wszedł i furtka się za nim zamknęła.

- Nie interesują pana ludzie, którzy wchodzą do domu, prawda? - upewnił się agent FBI.

- Nie. Ani trochę.

- Nie chce pan mieć spisu...

- Nie.

- Mógłbym zlecić...

- Nie trzeba. Dzieciak starał się być pomocny, ale tylko działał mu na nerwy. - To mnie nie interesuje. Chcę tylko wiedzieć, kiedy wyjadą. Wszyscy.

- Wybierają się na wakacje?

- Coś w tym guście.

- A jeśli zostawią pokojówkę?

- Nie zostawią.

- Moim zdaniem zostawią. Tacy ludzie zawsze każą się komuś opiekować domem.

- Nie tym razem. Z tego domu wszyscy wyjadą.

- A do kogo on należy? - Dzieciak zmarszczył brwi.

- Do niejakiego V. Allena Willy'ego - odparł Kenner. Ta informacja nie mogła nikomu zaszkodzić. - To filantrop.

- Rozumiem. Zadaje się z mafią czy coś takiego?

- Można tak powiedzieć. Płaci haracz.

- Jasna sprawa. Człowiek nie dorabia się takiej kasy ot tak, bez niczego. Rozumie pan, co mam na myśli?

Kenner przytaknął. Historia V. Allena Willy'ego była typowo amerykańska - jak dzieje Horatio Alger'a.

Zaczynał od sieci tanich sklepów odzieżowych; kupował ubrania w manufakturach w Trzecim Świecie i sprzedawał je w Stanach z trzydziestokrotnym przebicciem. Po dziesięciu latach sprzedał firmę za czterysta milionów dolarów, a wkrótce potem stał się (wedle jego własnego określenia) radykalnym socjalistą, walczącym ekologiem i bojownikiem o sprawiedliwość.

Fortunę, której dorobił się na wyzysku, wykorzystywał do walki z nim. Był człowiekiem prawym, zapalczywym, a po dodaniu V do nazwiska - także łatwo zapamiętywanym. Niestety, jego ataki często powodowały wycofywanie się firm z fabryk w krajach Trzeciego Świata. Zakłady natychmiast przejmowali Chińczycy, którzy płacili miejscowym robotnikom jeszcze mniej niż Amerykanie. Summa summarum wychodziło na to, że V. Allen Willy wykorzystywał robotników podwójnie: najpierw dzięki nim dorobił się majątku, a teraz ich kosztem zagłuszał wyrzuty sumienia. Był niezwykle przystojny i wcale niegłupi, ale - niestety - samolubny i naiwny w swoich szlachetnych porywach. Ostatnio pracował podobno nad książką o zasadzie ostrożności.

Założył również fundację V. Allena Willy'ego, która wspierała wiele organizacji ekologicznych, w tym NERF. Musiał się cieszyć dużym szacunkiem, skoro odwiedzał go Henley we własnej osobie.

- Jest bogatym ekologiem, tak? - zapytał chłopak z FBI.

- Właśnie.

- No dobrze. - Agent pokiwał głową. - Ale wciąż czegoś nie rozumiem: dlaczego taki bogaty gość miałby zostawić dom bez opieki?

- Nie mogę ci tego powiedzieć, ale wiem, że tak właśnie robi. I chcę o tym natychmiast wiedzieć. - Kenner podał chłopakowi wizytówkę. - Dzwońcie na ten numer.

Dzieciak spojrział na wizytówkę.

- To wszystko?

- Tak.

- Kiedy to się może stać?

- Wkrótce.

Zahuczał telefon. Kenner otworzył klapkę i spojrzał na ekran. Sanjong przysłał mu SMS-a:

ZNALEŻLI „AV SCORPIO”.

- Muszę iść - powiedział.

## **Droga numer 405**

**Środa, 13 października Godz. 12.22**

- Bzdura! - mruknął Bradley. Siedział w fotelu pasażera, Evans prowadził. Jechali na lotnisko Van Nuysa. - Nie może być tak, że tylko ty się dobrze bawisz, Piętro. Przez cały tydzień gdzieś balowałeś, więc teraz chcę jechać z tobą.

- Nie możesz, Ted. Nie zgodzą się. Bradley wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zostaw to mnie, dobrze?

Co się dzieje? - dziwił się Evans. Bradley uczepił się go jak rzep psiego ogona. Nie dawał mu spokoju. Zadzwoił telefon. Sarah.

- Gdzie jesteś? - zapytała.

- Dojeżdżam na lotnisko. Jest ze mną Ted.

- Mhm - mruknęła. Zorientował się, że nie może swobodnie rozmawiać. - My właśnie dojechaliśmy. I jest problem.

- Jaki?

- Prawny.

- To znaczy?

Ledwie zapytał i sam zobaczył, co się dzieje. Herb Lowenstein w asyście ośmiu ochroniarzy opieczętowywał drzwi samolotu Mortona. Evans skręcił w stronę bramy prowadzącej na pas startowy, wjechał przez nią i wysiadł z auta.

- Co wy tu robicie, Herb?
- Opieczętuujemy samolot. Zgodnie z prawem.
- Zgodnie z jakim prawem?

- Może zapomniałeś, ale majątek George'a Mortona musi poczekać na zatwierdzenie testamentu. Całość majątku, w tym wszystkie konta bankowe i nieruchomości, zostaje zablokowana do czasu, aż służby federalne wycenia go i określą wysokość podatku spadkowego. Samolot będzie tu stał do czasu zakończenia wyceny, czyli przez najbliższych sześć do dziewięciu miesięcy.

W tej chwili na płycę lotniska wjechał Kenner w wynajętym samochodzie. Przedstawił się i przywitał z Lowensteinem.

- Czekamy na zatwierdzenie testamentu?
- Tak.
- Dziwne, że właśnie pan to mówi.
- Co w tym dziwnego? George Morton nie żyje.
- Tak? Nie wiedziałem.
- Wczoraj znaleziono ciało. Evans i Bradley je zidentyfikowali.
- Patolog potwierdził tożsamość? Lowenstein zawahał się przez ułamek sekundy.
- Tak przypuszczam.
- Przypuszcza pan? Z pewnością otrzymał pan stosowną dokumentację. W nocy zrobiono sekcję zwłok.
- Przypuszczam, że... mamy ten dokument.
- Mogę go zobaczyć?
- Jest w kancelarii.
- Mogę go zobaczyć? - powtórzył Kenner.
- To by tylko niepotrzebnie opóźniło moją pracę. - Lowenstein spojrzał na Evansa. - Zidentyfikowałeś zwłoki Mortona czy nie?
- Tak.
- A ty, Ted?

- Pewnie. To był on, biedny George.

- Mimo to chciałbym zobaczyć oświadczenie patologa - nalegał Kenner.

- Nie ma pan prawa tego żądać - parsknął Lowenstein. - Odmawiam. Jestem wykonawcą testamentu. Jak już powiedziałem, dokument znajduje się w kancelarii.

- Słyszałem, ale jeśli mnie pamięć nie myli, fałszowanie zatwierdzenia testamentu jest przestępstwem, które mogłoby mieć przykre konsekwencje dla człowieka na pańskim stanowisku.

- Posłuchaj pan, nie wiem, w co pan pogrywasz...

- Chcę tylko zobaczyć oświadczenie patologa. - Kenner zachowywał olimpijski spokój. - W biurze lotniska jest faks. - Wskazał pobliski budynek. - Niech kancelaria prześle panu dokument. Zajmie to tylko chwilę i będzie po sprawie. A może woli pan zadzwonić do kostnicy w San Francisco i upewnić się, że potwierdzili tożsamość denata?

- Mamy tu dwóch naocznych świadków, którzy...

- Żyjemy w epoce testów DNA. - Kenner spojrzął na zegarek. - Niech pan dzwoni. - I zwrócił się do ochroniarzy: - Możecie panowie otworzyć samolot.

Ochroniarze nie wiedzieli, jak się zachować.

- Panie Lowenstein?

- Chwileczkę, jedną chwileczkę, do diabła!

Lowenstein wyjął z kieszeni telefon i ruszył w stronę biura. Kenner mignął ochroniarzom odznaką.

- Proszę otworzyć maszynę.

- Już się robi.

Podjechał następny samochód; wysiadły z niego Sarah i Ann Garner.

- Co się dzieje? - spytała Ann.

- Mieliśmy małe nieporozumienie - odparł Kenner i przedstawił się.

- Ja pana znam - zauważyła Ann z ledwie skrywaną wrogością. Kenner się uśmiechnął.

- Spodziewałem się tego.

- To tacy ludzie jak pan, cwani, pozbawieni skrupułów i sumienia, zniszczyli nasze środowisko naturalne. Powiedzmy to sobie otwarcie, panie Kenner: nie lubię pana, tego, co pan robi, i tego, co



pan sobą reprezentuje.

- To ciekawe. Może pewnego dnia porozmawiamy o tym, co dokładnie nie podoba się pani w środowisku naturalnym i kto właściwie odpowiada za jego zniszczenie.

Ann zadrżała się ze złości.

- Jestem do dyspozycji.

- Świetnie. Ma pani jakieś przygotowanie prawnicze?

- Nie.

- Naukowe?

- Nie.

- Czym się pani zajmuje?

- Byłam producentką filmów dokumentalnych. Potem urodziłam dzieci i zajęłam się domem.

- Aha.

- Ale zawsze byłam całym sercem oddana sprawie ekologii. Dużo czytam. Co wtorek czytam całą część naukową „New York Timesa”. Calusieńką. Poza tym oczywiście „The New Yorkera” i „New York Review”. Jestem świetnie zorientowana w tej tematyce.

- Doskonale. Już nie mogę się doczekać naszej dyskusji. Piloci zajechali samochodem pod bramę i czekali, aż się otworzy.

- Zaraz polecimy - stwierdził Kenner. Spojrzał na Evansa. - Zobacz może, czy u pana Lowensteina wszystko w porządku.

- Dobrze.

Evans poszedł do biura.

- Chciałam jeszcze panu powiedzieć, że lecimy z panem - dodała Ann. - Ted i ja.

- Będę zaszczycony.

Evans znalazł Lowensteina w pokoju na tyłach kantorka, zarezerwowanym dla pilotów. Rozmawiał przez telefon.

- Tłumaczę ci, że on nie słucha. Żąda papierów. - Lowenstein przerwał. - Posłuchaj, Nick, nie chcę przez niego stracić licencji. Facet jest po Harvardzie.

Evans zapukał.

- Możemy lecieć?

- Zaczekaj - powiedział Lowenstein do słuchawki i zasłonił dłonią mikrofon. - Teraz chcecie lecieć?

- No tak. Chyba że masz ten dokument...

- Wygląda na to, że status prawny majątku Mortona nie został do końca wyjaśniony.

- W takim razie lecimy, Herb.

- Dobrze, dobrze. - Lowenstein zdjął rękę z mikrofonu. - Lecą, Nick. Jeśli chcesz ich zatrzymać, zrób to sam.

Zajmowali miejsca w kabinie, kiedy Kenner przeszedł wśród nich i rozdał im kartki.

- Co to jest? - spytał Bradley i zerknął na Ann.

- Zwolnienie z odpowiedzialności. Ann czytała na głos:

- ...nie odpowiada za śmierć, poważne obrażenia ciała, inwalidztwo, rozczłonkowanie...  
Rozczłonkowanie?!

- Mhm. Musicie zrozumieć, że wybieramy się w bardzo niebezpieczny rejon. Radziłbym wam obojgu nie lecieć, ale jeśli będziecie upierać się przy swoim, musicie to podpisać.

- Dokąd lecimy? - spytał Bradley.

- To powiem dopiero po starcie.

- Dlaczego to niebezpieczne?

- Podpisujesz czy nie?

- Co mi tam... Podpiszę.

- Ann?

Ann przygryzła wargę i też podpisała.

Pilot zamknął drzwi. Silniki wizgnęły i samolot zaczął kołować na start. Stewardesa zapytała, czego się napiją.

- Puligny-montrachet - poprosił Evans.

- Dokąd lecimy? - spytała Ann.

- Na wyspę niedaleko Nowej Gwinei.

- Po co?

- Mamy tam sprawę do załatwienia.

- Może pan powiedzieć coś więcej?

- Nie teraz.

Samolot wzniósł się w powietrze, przebił warstwę chmur nad Los Angeles i skręcił na zachód, nad Ocean Spokojny.

## **W drodze**

**Środa, 13 października Godz. 16.10**

Sarah z ulgą patrzyła, jak Jennifer Haynes przechodzi na przód kabiny, układa się do snu i natychmiast zasypia. Czuli się nieswojo w towarzystwie Teda i Ann. Rozmowa się nie kleiła. Kenner był małowówny, Ted ostro popijał.

- Powiem ci, że pan Kenner nie wierzy w rzeczy, które dla normalnych ludzi są oczywiste - powiedział do Ann. - Na przykład w globalne ocieplenie. Ani w Kioto.

- To zrozumiałe. Jest najemnikiem przemysłowców. Reprezentuje nafcjarzy i górników.

Kenner bez słowa podał Ann swoją wizytówkę.

- Instytut Analizy Ryzyka odczytała na głos. - To coś nowego. Dopiszę go sobie to listy fałszywych firm-przykrywek.

Kenner milczał.

- Jak go zwał, tak go zwał, i tak chodzi o dezinformację. Badania, oświadczenia dla prasy, ulotki, strony internetowe, kampanie propagandowe... Za tym wszystkim stoją ogromne pieniądze. Powiem panu, że nasi przemysłowcy byli zachwyceni, kiedy się dowiedzieli, że USA nie podpiszą protokołu z Kioto.

Kenner podrapał się po brodzie.

- Jesteśmy największym trucicielem na świecie, a nasz rząd ma to w nosie.

Kenner uśmiechnął się lekko.

- I tak oto Stany Zjednoczone stały się pariasem na scenie międzynarodowej. Inne kraje się od nas izolują i słusznie nami gardzą. Nie podpisaliśmy protokołu, który miał zaradzić światowemu problemowi.

Ann jeszcze przez jakiś czas prowokowała Kennera, który chyba w końcu miał tego dość.

- Niech mi pani powie coś więcej na temat Kioto, Ann. Dlaczego niby powinniśmy go podpisać?

- Dlaczego? Dlatego że naszym moralnym obowiązkiem jest dołączenie do innych państw, które starają się obniżyć emisję dwutlenku węgla do poziomu sprzed roku 1990.

- Jakie byłyby skutki podpisania protokołu?

- To wie cały świat. Dzięki niemu temperatura na świecie w 2100 będzie niższa.

- O ile?

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Naprawdę? Jeżeli protokół z Kioto zostanie wprowadzony w życie, średnia temperatura na Ziemi w roku 2100 będzie niższa o cztery setne stopnia Celsjusza, niż gdyby protokół nie obowiązywał. Cztery setne stopnia. Zakwestionuje pani ten wynik?

- Oczywiście. Jak pan powiedział, cztery setne stopnia? To niedorzeczne.

- Czyli nie wierzy pani, że taki właśnie będzie efekt zastosowania protokołu z Kioto?

- Może, skoro Stany Zjednoczone nie chcą go podpisać...

- Nie. Taki byłby efekt, gdybyśmy go podpisali. Cztery setne stopnia.

- Nie wierzę. - Ann pokręciła głową. - Po prostu w to nie wierzę.

- Czasopisma naukowe wielokrotnie publikowały tę liczbę. Mogę pani podać bibliografię.

Bradley podniósł szklankę jak do toastu.

- Na bibliografii to on się zna - uprzedził Ann.

- W przeciwieństwie do retoryki - oświadczył Kenner. Bradley beknął.

- Cztery setne stopnia przez sto lat? Pieprzenie.

- Można i tak powiedzieć.

- Właśnie tak powiedziałem.

- Kioto to tylko pierwszy krok - odezwała się Ann. - Najważniejszy. Jeżeli człowiek wierzy w zasadę ostrożności tak jak ja...
- Nie sądziłem, że protokół z Kioto ma być jakimś pierwszym krokiem - przerwał jej Kenner. - Wydawało mi się, że ma zmniejszyć skutki globalnego ocieplenia.
- Bo ma.
- Dlaczego w takim razie podpisano traktat, który wcale do tego nie prowadzi? Który w gruncie rzeczy nie ma żadnego praktycznego znaczenia?
- To tylko pierwszy krok.
- Niech mi pani powie: czy pani zdaniem obniżenie poziomu produkcji dwutlenku węgla jest w ogóle możliwe?
- Ależ oczywiście. Wystarczy sięgnąć po energię z innych, alternatywnych źródeł: wiatrową, słoneczną, geotermiczną, z odpadów...
- Specjalistyczny zespół złożony z siedemnastu naukowców z całego świata pod kierownictwem Toma Wigleya dokładnie przeanalizował to zagadnienie i doszedł do wniosku, że to niemożliwe. Ich sprawozdanie ukazało się w „Science”. Twierdzą w nim, że żadna ze znanych technologii nie pozwala nie tylko zmniejszyć emisji dwutlenku węgla, ale nawet utrzymać jej na poziomie znacznie wyższym niż dzisiejszy. Wiatr, słońce, a nawet energia jądrowa nie wystarczą, by rozwiązać problem. Potrzebne jest nam zupełnie nowe, na razie nieznane źródło energii.
- Co za idiotyzm! Amory Lovins wyłożył to jasno dwadzieścia lat temu: wiatr, słońce, oszczędne gospodarowanie energią, to by załatwiło sprawę.
- Chyba nie do końca. Lovins prognozował, że w roku 2000 trzydzieści pięć procent produkowanej w USA energii elektrycznej będzie pochodziło ze źródeł alternatywnych. Rzeczywisty wynik to sześć procent.
- Za małe dotacje.
- Nie ma na świecie państwa, które uzyskiwałoby trzydzieści pięć procent energii ze źródeł odnawialnych.
- Ale są kraje, które radzą sobie z tym znacznie lepiej niż my. Na przykład Japonia.
- Japonia: pięć procent ze źródeł odnawialnych. Niemcy: pięć procent. Wielka Brytania: dwa procent.
- Dania.
- Osiem procent.

- To tylko świadczy o tym, jak dużo pracy nas czeka.

- Bez wątplenia. Wiatraki siekają ptaki na kawałki, więc nie są chyba najlepszym pomysłem, ale baterie słoneczne... Czemu nie? Ciche, wydajne...

- Energia słoneczna jest super.

- Zgadza się. Wystarczy nam raptem dwadzieścia siedem tysięcy kilometrów kwadratowych baterii słonecznych. Pokryjmy nimi całe Massachusetts i problemy energetyczne mamy z głowy. Chociaż, biorąc pod uwagę, że do 2050 zużycie energii potroi się, lepiej chyba obłożyć nimi Nowy Jork.

- Albo Teksas. Nikt z moich znajomych nie przejąłby się Teksasem.

- Świetny pomysł. Wystarczy pokryć jedną dziesiątą Teksasu. Podejrzewam tylko, że Teksasczycy woleliby najpierw obłożyć bateriami Los Angeles.

- Pan żartuje.

- Wcale nie. Zgódźmy się na Nevadę. Tam i tak są same pustynie. Ale ciekawi mnie co innego: pani osobiste doświadczenia z alternatywnymi źródłami energii. Jak to z panią jest, Ann? Korzysta pani z energii odnawialnej?

- Oczywiście. Ogrzewanie basenu jest zasilane z baterii słonecznych. A pokojówka jeździ hybrydą.

- A pani?

- No, wie pan, ja potrzebuję czegoś większego. Mam dzieci...

- O ile większego?

- Jeżdżę terenówką. Czasami.

- A w domu? Instalacja elektryczna też jest na słońce?

- No... Sprowadziłam konsultantów, ale Jeny, mój mąż, powiedział, że to za droga impreza. Jeszcze nad nim pracuję.

- A sprzęt AGD...

- Same energystary. Najoszczędniejsze.

- Pięknie. Jak liczną ma pani rodzinę?

- Mamy dwóch synów. Starszy ma dziewięć lat, młodszy siedem.

- Fantastycznie. Duży macie dom?

- Nie wiem dokładnie.

- Ile metrów? Ann się zawahała.

- No powiedz mu, Ann! - wtrącił się Bradley. - Ma zajebiście dużą chatę. Z tysiąc metrów kwadratowych. Mówię ci, śliczny dom. A jaka działka! Z pół hektara najmarniej. Do tego pięknie rozplanowana. Spryskiwacze pracują dzień i noc. Co masz urządzić tam bale dobroczynne. Świetne imprezy.

Kenner spojrzał pytająco na Ann.

- Tysiąc sto metrów - odparła. - Kwadratowych.

- Dla czterech osób?

- No... Czasem pomieszkuję z nami moja teściowa. No i pokojówka, w służbówce.

- Macie państwo drugi dom?

- Drugi i trzeci - Bradley znów się wtrącił. - Mają kapitalną chałupę w Aspen i całkiem przyjemny domek w Maine.

- Dostaliśmy go w spadku. Mój mąż...

- A to mieszkanie w Londynie? Jest wasze czy na firmę męża?

- Na firmę.

- Jak państwo podróżujecie? Prywatnymi odrzutowcami?

- Nie mamy własnego samolotu, ale jeśli gdzieś można się zabrać... Ktoś i tak tam leci, prawda? Dołączamy się. To akurat jest bardzo dobre.

- Jasne. Ale muszę przyznać, że pani filozofia jest dla mnie trochę niejasna...

- Zaraz! W naszym środowisku trzeba trzymać pewien standard, chociażby ze względu na pozycję męża. A pan gdzie mieszka?

- Mam mieszkanie w Cambridge.

- Jak duże?

- Osiemdziesiąt cztery metry. Nie mam własnego samolotu. Latam drugą klasą.

- Nie wierzę - stwierdziła Ann.

- Lepiej uwierz - poradził jej Bradley. - Facet wie, co...

- Zamknij się, Ted. Jesteś pijany.

- Wcale nie - odparł urażony Bradley. - Jeszcze nie.

- Nie próbuję pani osądzać - zapewnił pospiesznie Kenner. - Wiem, że oddała pani serce ekologii. Staram się tylko zrozumieć, jakie jest pani prawdziwe stanowisko w tej kwestii.

- Moje stanowisko jest takie, że ludzie ogrzewają tę planetę i ją zatrują, i naszym moralnym obowiązkiem wobec całej biosfery, wszystkich roślin i zwierząt, które niszczymy, i naszych przyszłych pokoleń, jest zapobieżenie katastroficznym zmianom. - Usiadła wygodniej i z przekonaniem pokiwała głową.

- Czyli mamy moralny obowiązek wobec innych, tak? Roślin, zwierząt, ludzi...

- Właśnie tak.

- To mamy robić to, co leży w ich interesie?

- W interesie nas wszystkich.

- Ich interes może być sprzeczny z naszym. Konflikt interesów to bardzo powszechny problem.

- Każda istota ma prawo do życia.

- Nie mówi pani poważnie.

- Mówię. Nie jestem rasistką. Każda istota ma prawo żyć.

- Nawet zarodzić malarii?

- No cóż, jest przecież częścią natury.

- Czyli nie podobało się pani wyeliminowanie wirusów polio i ospy? Też były przecież częściami natury...

- Powiem tak: człowiek ma arogancką naturę, która każe mu podporządkowywać świat swojemu widzimisię. To taki testosteronowy pęd, obcy kobietom...

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Czy była pani przeciwna wyćpieniu wirusów polio i ospy?

- Łapie mnie pan za słówka.

- Wcale nie. Czy zmienianie świata w taki sposób, aby spełniał nasze oczekiwania, jest



sprzeczne z naturą?

- Oczywiście! Narusza jej ład.

- Widziała pani kiedyś kopiec termitów? Albo tamę zbudowaną przez bobry? Te zwierzęta też w dramatyczny sposób zmieniają świat wokół siebie, przez co wpływają na życie innych żywych istot. Czy i one działają wbrew naturze?

- Kopce termitów nie stanowią zagrożenia dla całej planety.

- Myli się pani. Łączny ciężar termitów przewyższa łączny ciężar ludzi na Ziemi, i to aż dziesięciokrotnie. Ma pani pojęcie, ile metanu produkują termity? A cieplarniane działanie metanu jest o wiele silniejsze niż dwutlenku węgla.

- Ta rozmowa nie ma sensu. Pan się lubi kłócić, ja nie. Chcę tylko, żeby świat był lepszy. Idę poczytać.

Przeszła do przedniej części kabiny i usiadła plecami do Kennera.

- Ma dobre intencje - stwierdziła Sarah.

- Oraz braki w wykształceniu. I tragedia gotowa.

Ted Bradley czuł przyjemne podniecenie. Śledził wymianę zdań między Kennerem i Ann. Ann mu się podobała. Był prawie pewien, że się z nią przespał; czasem, kiedy pił, nie pamiętał szczegółów, ale z osobą Ann wiązał miłe, choć mętne wspomnienia - pewnie właśnie z bzykania.

- Jesteś niesprawiedliwy - stwierdził swoim prezydenckim głosem. - Dlaczego powiedziałeś o Ann „tragedia gotowa”? Ona się tymi sprawami bardzo przejmuje. Naprawdę się angażuje.

- Co z tego? Nieważne, czy komuś zależy i czy ma dobre chęci; liczą się wiedza i wyniki. A jej brakuje wiedzy i, co gorsza, ona nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Ludzie nie postępują tak, jakby Ann sobie życzyła.

- Na przykład?

- Na przykład nie umiemy chronić przyrody. Po prostu nie wiemy, jak to się robi.

- Teraz to już gadasz od rzeczy. - Bradley zamachał gwałtownie rękami. - Oczywiście, że umiemy chronić przyrodę.

- Tak? A znasz historię Yellowstone, naszego pierwszego parku narodowego?

- Byłem tam kiedyś.

- Nie o to pytam.

- Nie mógłbyś walić wprost? Chyba trochę za późno na zabawę w teleturniej, profesorku. Jasno się wyraziłem?

- W porządku. W takim razie posłuchaj. Był to pierwszy na świecie obszar przyrody chronionej. Malownicze okolice rzeki Yellowstone w Wyomingu od dawna otaczał nimb podziwu. Zachwycali się nimi Lewis i Clark, malowali je Bierstadt i Moran. A nowa linia kolejowa Northern Pacific potrzebowała na zachodzie jakiejś atrakcji turystycznej, która przyciągałaby ludzi. I tak oto w 1872 roku, częściowo pod presją kolei, prezydent Ulysses Grant wydzielił osiemset tysięcy hektarów i utworzył na nich Park Narodowy Yellowstone.

Powstał tylko jeden problem, ale ani wtedy, ani później głośno o nim nie wspomniano. Nikt nie miał zielonego pojęcia o ochronie takiego parku. Nigdy wcześniej nie było takiej potrzeby, ale zakładano, że nie może to być trudne. Nic bardziej błędnego.

Kiedy Theodore Roosevelt w 1903 roku przyjechał do Yellowstone, park obfitował w zwierzę; mieszkwały w nim tysiące łosi, bizonów, niedźwiedzi brunatnych, jeleni, pum, grizzlie, kojotów, wilków i muflonów. Weszły już wtedy w życie przepisy porządkowe, a wkrótce potem utworzono Służbę Parkową, czyli biurokratyczną instytucję, której jedynym zadaniem było zachowanie parku w stanie pierwotnym.

Tymczasem wystarczyło dziesięć lat, żeby stada, które widział Roosevelt, zniknęły bez śladu. I to tylko dlatego, że ludzie odpowiedzialni za ochronę parku podjęli różne kroki, które - ich zdaniem - miały się przysłużyć Yellowstone i jego mieszkańcom. Mylili się.

- Z czasem na pewno czegoś się nauczyliśmy... - wtrącił Bradley.

- Wcale nie, i o to mi właśnie chodzi - odparł Kenner. - Łatwo mówić, że dziś wiemy więcej, ale to twierdzenie nie znajduje oparcia w faktach.

A oto co się stało. Strażnicy parku doszli do wniosku, że łosie w Yellowstone znalazły się na krawędzi zagłady. Usiłowali więc zwiększyć liczebność ich stad, eliminując drapieżniki. Wystrzelali i wytruli wszystkie wilki oraz zakazali Indianom polowań w parku, chociaż Yellowstone był ich tradycyjnym terenem łowieckim. Chronione w ten sposób łosie rozmnożyły się na potęgę i pożarły tak ogromne ilości niektórych traw i drzew, że zakłóciły ekologię parku. Zjadły na przykład drzewa, z których bobry budowały tamy i żeremia, i bobry się wyprowadziły. Strażnicy odkryli tymczasem, że bobry regulują gospodarkę wodną. Bez nich łąki zaczęły wysychać, ze strumieni zniknęły pstrągi i wydry, nasiliła się erozja gleby. Park zmieniał się coraz bardziej.

W latach dwudziestych stało się oczywiste, że łosi jest za dużo. Strażnicy odstrzelali je tysiącami, ale zmian w szacie roślinnej nie udało się już cofnąć. Flory Yellowstone nie można już było odtworzyć. Nie ulegało też wątpliwości, że Indianie polujący w parku mieli zbawienny wpływ na jego środowisko; to dzięki nim liczba łosi, jeleni i bizonów utrzymywała się na stałym poziomie. W ten sposób z opóźnieniem uświadomiono sobie, jak bardzo rdzenni Amerykanie ingerowali w nietkniętą dziczyń Nowego Świata, kiedy pojawił się tam biały człowiek. Otóż nie było żadnej „nietkniętej dziczy”. Mieszkańcy Ameryki Północnej od tysięcy lat kształtowali środowisko naturalne

zgodnie ze swoimi potrzebami: wypalali prerie, określali skład lasów, jedne gatunki zwierząt przetrzebili, inne wręcz wybili. Z perspektywy czasu zakaz polowań ocenia się jako błąd - ale to tylko jedna z wielu pomyłek, jakie systematycznie popełniała Straż Parkowa. Grizzlie najpierw znalazły się pod ścisłą ochroną, później jednak zostały wytępione; wilki wystrzelano, tylko po to, żeby sprowadzić je na nowo; program badań terenowych i oznakowywania zwierząt - nadajniki w obrozach w pewnym momencie wstrzymano całkowicie, po czym wznowiono go na wiadomość o tym, że niektóre gatunki są zagrożone. Wprowadzono przepisy przeciwpożarowe, nie zdając sobie sprawy z regeneracyjnego znaczenia pożarów, a kiedy je uchylono, tysiące hektarów poszły z dymem, a żar osiągnął taką temperaturę, że ziemia wyjałowiała i trzeba ją było sztucznie zalesiać. Pstrąg tęczy, introdukowany w latach siedemdziesiątych, bardzo szybko rozprawił się z miejscowymi gatunkami ryb.

I tak to trwało.

Przez całe lata.

To jest właśnie prawdziwa historia ignorancji, niekompetencji i niszczycielskich interwencji człowieka. Próbowano potem na oślep naprawiać tego skutki, równie szkodliwe jak wyciek ropy z tankowca lub toksycznych chemikaliów ze składowiska odpadów. Tyle że w tym przypadku nie było niszczycielskiej korporacji ani koncernu naftowego, na który można by zrzucić winę. Tę katastrofę wywołali ekolodzy, strażnicy przyrody, którzy popełniali błąd po błędzie, na każdym kroku dowodząc, jak mało wiedzą o środowisku, które mieli chronić.

- To niedorzeczne. Jeżeli chce się chronić przyrodę, wystarczy zostawić ją w spokoju. Niech po prostu zapanuje naturalna równowaga.

- Właśnie że nie. Ochrona pasywna, czyli pozostawienie natury samej sobie, nie gwarantuje zachowania status quo. Ani w dziczy, ani na podwórku za domem. Świat żyje, Ted. Wszystko się zmienia. Jedne gatunki wygrywają, inne przegrywają, jedne zajmują nowe obszary, inne zostają wyparte ze swojego terytorium. Możesz zostawić przyrodę samej sobie, ale jej nie zamrozsiz; równie dobrze mógłbyś zamknąć swoje dzieci w pokoju i chcieć w ten sposób powstrzymać ich dorastanie. Świat zmienia się nieustannie, więc jeśli chcesz zachować jakiś jego fragment w konkretnym stanie, musisz najpierw ten stan wyraźnie określić, a potem aktywnie, a nawet agresywnie walczyć o jego utrzymanie.

- Przecież powiedziałeś, że to nas przerasta.

- Bo przerasta. Każde nasze działanie wywołuje zmiany w środowisku, Ted. A każda zmiana odbywa się kosztem jakiejś rośliny albo zwierzęcia. Tego się nie da uniknąć. Możemy chronić stary las, żeby puszczyk miał gdzie mieszkać, ale w ten sposób pozbawisz domu gajówkę i inne ptaki, które żyją w młodych lasach. Nic za darmo.

- Ale...

- Żadnych ale, Ted. Podaj mi przykład działania, które miałyby wyłącznie pozytywne skutki.

- Proszę bardzo. Zakaz produkcji CFC, szkodliwych dla warstwy ozonowej.

- Zaskodził mieszkańcom Trzeciego Świata, którzy stracili dostęp do tanich substancji chłodzących. Przez to w ich klimacie żywność szybciej się psuje i więcej ludzi umiera wskutek zatruc pokarmowych.

- Ale warstwa ozonowa jest ważniejsza...

- Dla ciebie może tak, ale oni mogliby się z tobą nie zgodzić. Wróćmy do tematu: wynalazek, który nie ma negatywnych skutków.

- Dobrze. Bateria słoneczna. Zamknięty system obiegu wody.

- Pozwoliła nam budować domy na odludziu, gdzie dawniej nie mogliśmy mieszkać z braku prądu i wody. Ale w ten sposób wkraczamy na tereny zajmowane przez zwierzęta, które do tej pory mogły żyć spokojnie.

- Zakaz stosowania DDT.

- Największa tragedia XX wieku. DDT okazał się najskuteczniejszym środkiem przeciw komarom. Mimo kontrowersji, jakie budził, żaden inny nie był równie skuteczny ani równie bezpieczny. Od czasu wprowadzenia zakazu co roku dwa miliony ludzi umierają bezsensownie na malarię. Głównie dzieci. Łącznie zmarło już pięćdziesiąt milionów. Zakaz stosowania DDT spowodował więcej ofiar niż rządy Hitlera, Ted. Ale ekolodzy byli nieugięci.

- DDT był rakotwórczy.

- Nie był. I wszyscy o tym wiedzieli, kiedy wprowadzano ten zakaz.

- DDT był niebezpieczny.

- Bynajmniej. Można go było jeść łyżkami. Przeprowadzono nawet taki eksperyment: ludzie przez dwa lata jedli DDT. Ale DDT wyklęto i zastosowano zamiast niego parathion, który faktycznie jest szkodliwy. W pierwszych miesiącach po wprowadzeniu zakazu zmarło ponad stu robotników rolnych, którzy nie umieli się obchodzić z naprawdę toksycznymi pestycydami.

- Nie zgadzam się z tobą.

- Wyłącznie dlatego, że albo brakuje ci stosownej wiedzy, albo nie chcesz przyjąć do wiadomości skutków działań organizacji, które popierasz. Zakaz stosowania DDT będzie w przyszłości oceniany jako tragiczna pomyłka.

- Właściwie nikt nie zakazał stosowania DDT.

- Tak, masz rację. Zapowiedziano po prostu, że kraje, które nadal będą go używały, nie otrzymają pomocy zagranicznej. - Kenner pokręcił głową. - Ale jeden fakt nie podlega dyskusji:

według statystyk ONZ, w okresie przed wprowadzeniem zakazu malaria była chorobą o marginalnym znaczeniu. Rocznie umierało na nią pięćdziesiąt tysięcy ludzi. A po kilku latach znów stała się globalną plagą: od wprowadzenia zakazu zabiła pięćdziesiąt milionów. Nie ma nieszkodliwych działań.

Milczenie, które zapadło po tych słowach, nieprzyjemnie się przeciągało. Ted poruszył się niespokojnie, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zamknął je i odezwał się w końcu, przybierając tę swoją wyniosłą, prezydencką pozę:

- No dobrze. Przekonałeś mnie. Co z tego wynika?

- To, że za każdym razem trzeba sobie zadać pytanie: Czy korzyści przeważają nad szkodami? Bo szkody są nieuniknione.

- W porządku. Co dalej?

- Zdarzyło ci się kiedyś słyszeć, żeby ekolodzy wypowiadali się w takim tonie? Nie. To absolutyści. Stają przed sądem i upierają się, żeby wprowadzić takie czy inne przepisy bez względu na koszty. Dopiero po serii wyjątkowo bezczelnych przekrętów wprowadzono wymóg przedstawiania rachunku zysków i strat. Ekolodzy podnieśli krzyk, jakby ich ze skóry obdzierano; zresztą dalej się awanturują. Nie chcą, żeby ludzie wiedzieli, ile kosztują ich postulaty. Najgorszy jest przykład przepisów o produkcji benzenu, które wprowadzono pod koniec lat osiemdziesiątych. Ich koszty są tak wysokie, że płacimy po dwadzieścia miliardów dolarów za każdy rok życia. Popierasz je, Ted?

- No, jeśli tak stawiasz sprawę, to nie.

- A jak inaczej można ją postawić? Dwadzieścia miliardów dolarów za jeden rok. Takie są rzeczywiste koszty tych przepisów. Czy należy popierać organizacje, które domagają się tak drogich uregulowań?

- Nie.

- Największym antybenzenowym lobbystą w Kongresie był NERF. Czy w związku z tym zrezygnujesz z zasiadania w jego radzie nadzorczej?

- Oczywiście, że nie. Kenner pokiwał głową.

- No właśnie.

Sanjong pokazał mu coś na ekranie komputera. Kenner usiadł obok. Zdjęcie przedstawiało wyspę z łom ptaka - tropikalną, gęsto zalesioną, z szeroką, błękitną zatoką. Fotografię zrobiono z niskiego pułapu. Na plaży stały cztery zdezelowane drewniane szopy.

- Nówki - powiedział Sanjong. - Wczoraj ich tu nie było.

- Wyglądają na stare.

- Wyglądają, ale nie są. Dokładniejsza analiza sugeruje, że to zmyłka, prawdopodobnie zrobiono je z plastiku. Największa chałupa to dom mieszkalny, w trzech pozostałych trzymają sprzęt.

- Jaki sprzęt?

- Na zdjęciach nic nie widać. Transport musieli rozładować w nocy, ale od celników w Hongkongu udało mi się wyciągnąć całkiem przyzwoity opis ładunku: trzy naddźwiękowe generatory kawitacyjne, zamontowane w ramach z włókna węglowego, odpornych na wstrząsy.

- Kawitatory można tak po prostu kupić?

- Oni kupili.

Kenner i Sanjong pochyli się nad laptopem i rozmawiali ściszymi głosami. Evans stanął nad nimi.

- Co to jest naddźwiękowy generator czegoś tam? - spytał szeptem.

- Generator kawitacyjny - wyjaśnił Kenner. - Wysokoenergetyczne urządzenie akustyczne wielkości małej ciężarówki, wytwarzające sferycznie symetryczne pole kawitacyjne.

Evans nic z tego nie zrozumiał.

- Kawitacja to powstawanie baniek powietrza w jakiejś substancji - dodał Sanjong. - Kiedy gotujesz wodę, dochodzi do kawitacji. Wodę można zagotować także ultradźwiękami. Generatory, o których mówimy, generują pole kawitacyjne w ciele stałym.

- Jakim ciele stałym?

- W ziemi - odparł Kenner.

- Nie rozumiem. Chcą robić bańki w ziemi, tak jakby gotowali wodę?

- Mniej więcej.

- Ale po co?

Podeszła do nich Ann Garner.

- To męska narada? Czy można się przyłączyć?

- Ależ prosimy. - Sanjong postukał w klawiaturę i na ekranie wyświetlił się gęszcz wykresów. - Przeglądamy właśnie dane na temat zawartości dwutlenku węgla w rdzeniu lodowca, na podstawie próbek pobranych w Vostoku i North GRIP na Grenlandii.

- Nie możecie mnie tak bez końca trzymać w niepewności. Wcześniej czy później musimy wylądować, a wtedy dowiem się, co kombinujecie.

- To prawda - zgodził się Kenner.

- To może od razu mi pan powie?

Kenner pokręcił przecząco głową, ale w tej samej chwili pilot powiedział przez interkom:

- Proszę zapiąć pasy. Schodzimy do lądowania w Honolulu.

- Honolulu?!

- A myślała pani, że gdzie wylądujemy?

- Myślałam, że... Ann nie dokończyła.

Wie, dokąd lecimy, pomyślała Sarah.

Kiedy samolot tankował, na pokład wszedł celnik i poprosił o paszporty. Obecność Teda Bradleya, do którego zwracał się „panie prezydencie”, chyba go ucieszyła, a Bradleyowi było miło, że rozpoznał go człowiek w mundurze.

Sprawdziwszy paszporty, celnik zauważył:

- Lecicie państwo na Wyspy Salomona, na Garedę, prawda? A wiecie o najnowszych zaleceniach dla turystów wybierających się w te okolice? Z powodu ostatnich wydarzeń większość państw odradza swoim obywatelom podróż na Garedę.

- Jakich wydarzeń? - zainteresowała się Ann.

- Wyspę opanowali buntownicy. Było już kilka morderstw. Przed rokiem na Garedę wkroczyło australijskie wojsko i wyłapało większość rebeliantów, ale nie wszystkich. W ostatnim tygodniu zamordowano trzy osoby, w tym dwóch cudzoziemców. Jedno z ciał zostało... hm... okaleczone. Odcięto mu głowę.

- Jak to?

- Ofierze odcięto głowę. Ale już po śmierci.

- Na pewno chcemy tam lecieć? - Ann spojrzała na Kennera. - Właśnie na Garedę?

Kenner pokiwał głową.

- Ale dlaczego ktoś miałby odcinać trupowi głowę? Czy to są... łowcy głów?

Kenner drugi raz skinął potakująco.

- Ja wysiadam - stwierdziła Ann. Wzięła torebkę i zeszła po schodkach na płytę lotniska.

- Co ją ugryzło? - zdziwiła się Jennifer, która właśnie się obudziła.

- Nie lubi długich pożegnań - wyjaśnił Sanjong.

Ted Bradley drapał się po brodzie; wyobrażał sobie, że świadczy to o głębokim namyśle.

- To cudzoziemcowi obcięli głowę? - zapytał.

- To nie wszystko - odparł celnik.

- Jezu Chryste... Może być jeszcze gorzej? - zaśmiał się Bradley.

- Nie wiadomo dokładnie, jak wygląda sytuacja na wyspie. Otrzymujemy sprzeczne informacje.

- Bez żartów. - Bradley spoważniał. - Chcę wiedzieć, co się tam dzieje. Co może być gorsze od obcięcia głowy?

- Tubylcy go zjedli - odparł Sanjong po chwili milczenia.

- Zjedli go?! Celnik pokiwał głową.

- Częściowo. Przynajmniej tak słyszałem.

- Cholera jasna! Co mu zjedli? Nie, nie chcę wiedzieć. Chryste Panie, zjedli człowieka!

- Nie musisz z nami lecieć, Ted - zauważył Kenner. - Też możesz wsiąść. Jak Ann.

- Nie powiem, przyszło mi to do głowy - odparł Bradley tym swoim prezydenckim tonem. - To by było kiepskie zakończenie kariery. Pomyśl o wielkich gwiazdach, wyobraź sobie, że którąś z nich zjadają ludożercy. Zjedzony Elvis. Zjedzony John Lennon. Nie tak chcemy być zapamiętani. - Zamyślił się, spuścił głowę, a potem powoli uniósł ją i powiódł wzrokiem dookoła. W telewizji robił to setki razy. - Podejmę ryzyko. Jeżeli wy tam lecicie, lecę z wami.

- My lecimy na pewno.

## **W drodze na Garede**

**Środa, 13 października Godz. 21.30**

Lot z Honolulu na lotnisko Kontag na Garedzie trwał dziewięć godzin. Światła w kabinie gulfstreama przygaszono, większość pasażerów ułożyła się do snu. Kenner, jak zwykle, nie spał, tylko naradzał się półgłosem z Sanjongiem.



Evans obudził się mniej więcej po czterech godzinach. Palce u nóg piekły go jeszcze po odmrożeniach na Antarktydzie, a plecy miał obolałe po tym, jak wytrzęsło go w niesionym wodą samochodzie. Ból w palcach przypominał mu, że powinien codziennie je oglądać, by zauważyć ewentualne oznaki infekcji. Wstał więc i przeszedł na tył kabiny. Usiadł obok Kennera, zdjął skarpetki i zaczął oglądać palce.

- Powąchaj je - poradził mu Kenner.
- Słucham?
- Powąchaj je. Gangrenę najłatwiej poznać po zapachu. Bola?
- Pieką. Zwłaszcza w nocy.
- Wydobreją. Nie będzie trzeba ciąć.

Evans opadł na oparcie fotela. Dziwnie się czuł, rozważając możliwość utraty palców. Od razu plecy go bardziej rozbolały. Poszedł do łazienki i zaczął grzebać po szufladach w poszukiwaniu proszków przeciwbólowych. Znalazł tylko advil, łyknął go i wrócił do kabiny.

- Fajna była ta bajeczka, którą nas uraczyliście w Honolulu - powiedział. - Szkoda, że Ted nie dał się nabrać.

Kenner spojrzał na niego, nic nie mówiąc, ale Sanjong odparł:

- To nie bajeczka. Wczoraj na Garedzie zabito trzech ludzi.
- Aha... I ktoś został zjedzony?
- Podobno tak.
- Rozumiem...

Wrócił do przedniej, zaciemnionej części samolotu. Sarah obudziła się, usiadła i spytała szeptem:

- Nie możesz spać?
- Wszystko mnie boli. A ty jak się czujesz?
- Palce pieką. Od odmrożenia.
- Mnie też.
- Jest tam coś do jedzenia? - Skinieniem głowy wskazała mikroskopijną kuchnię.
- Chyba tak.

Sarah wyszła z kabiny. Evans powlókł się za nią.

- Czubki uszu też mnie bolą.

- Mnie nie.

Znalazła zimny makaron i podała Evansowi talerz. Pokręcił przecząco głową. Zaczęła jeść sama.

- Dobrze znasz tę Jennifer? - zapytała.

- Właściwie wcale. Pierwszy raz spotkałem ją parę dni temu, w pracy.

- Dlaczego leci z nami?

- Wydaje mi się, że znają się z Kennerem.

- Znamy się, znamy - potwierdził Kenner, nie wstając z fotela.

- Skąd?

- Jest moją siostrzenicą.

- Serio? - zdziwiła się Sarah. - Od kie... Nieważne. Przepraszam, późno jest.

- Jest córką mojej siostry. Jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej, kiedy miała jedenaście lat.

- To okropne...

- Wychowywała się prawie sama.

- Aha.

Evans spojrział na Sarah i nie pierwszy raz doszedł do wniosku, że to musi być jakaś sztuczka: ledwie się obudziła, a już wyglądała prześlicznie. Idealnie. W dodatku pachniała tymi perfumami, które tak na niego działały, odkąd tylko poczuł ich woń.

- Miła dziewczyna - stwierdziła.

- My nie... eee... Nic nas...

- Spokojnie, Peter. Przede mną nie musisz udawać.

- Nie udaję. - Przynął się do niej i zaciągnął zapachem perfum.

- Owszem, udajesz. - Usiadła naprzeciwko Kennera. - Co nas czeka na Garedzie?

Najprzykrzejsze było w niej to, myślał Evans, że potrafiła zmienić się w mgnieniu oka i jakby go nie zauważać. Na przykład teraz: w ogóle na niego nie patrzyła. Całkowicie skupiła się na Kennerze; rozmawiali tak, jakby świat wokół nich przestał istnieć.

Czy to miała być z jej strony prowokacja? Próbowwała go w ten sposób zwabić, skusić, zachęcić do pogoni? Jeśli tak, to jej się nie udało. Za to wkurzyła go maksymalnie. Miał ochotę uderzyć w stolik, narobić hałasu, wrzasnąć: „Halo! Tu Ziemia! Ziemia do Sarah!” Albo coś w tym guście.

Czuł jednak, że w ten sposób tylko by pogorszył sytuację. Już widział to jej poirytowane spojrzenie. Ależ z ciebie dzieciuch. Na myśl o nim zatęsknił za nieskomplikowanymi kobietami, takimi jak Janis: kapitalne ciało i głos, którego można nie słuchać. Tego mu właśnie było trzeba.

Westchnął ciężko.

Sarah zerknęła na niego i poklepała sąsiedni fotel.

- Siadaj, Peter. Porozmawiamy.

I pięknie się do niego uśmiechnęła. Nic z tego nie rozumiem, pomyślał.

- To jest zatoka Resolution - powiedział Sanjong, odwracając laptop w ich stronę. Na ekranie przez chwilę było widać zatokę, później obraz zmniejszył się i jej miejsce zajęła cała Gareda. - Znajduje się na północnym wschodzie wyspy. Lotnisko jest na zachodnim wybrzeżu, czterdzieści kilometrów stamtąd.

Gareda wyglądem przypominała unoszące się na wodzie olbrzymie awokado o ząbkowanej skórce.

- Przez środek bieżą góry - ciągnął Sanjong. - W niektórych miejscach majątysiąc metrów wysokości. Dżungla w głębi wyspy jest bardzo gęsta, praktycznie nie do przejścia, chyba że pójdziesz drogą albo trafi na jakąś ścieżkę. Ale my nie możemy się tak przebijać.

- Dlatego zostaje nam droga - domyśliła się Sarah.

- Może. Wiadomo jednak, że buntownicy są mniej więcej w tym rejonie. - Sanjong zakreślił palcem kółko w centrum wyspy. - I że podzielili się na dwie, a może nawet trzy grupy. Nie wiemy dokładnie, gdzie ich szukać. Na pewno zajęli tę wioskę, Pavutu, na północnym wybrzeżu; tam chyba mają centrum dowodzenia. Musimy założyć, że ustawili blokady na drogach i patrolują dżunglę.

- No to jak chcecie się dostać do zatoki?

- Mamy nadzieję, że śmigłowcem - odparł Kenner. - Próbowaliśmy to załatwić, ale w takiej dziczy nigdy nic nie wiadomo. Jeśli nie będzie helikoptera, pojedziemy samochodem; zobaczymy, dokąd uda się nam dotrzeć. Krótko mówiąc: na razie nie wiem, jak się tam dostaniemy.

- Ale zakładamy, że nam się uda - powiedział Evans. - Co dalej?

- Na plaży są cztery nowe budynki. Musimy je zburzyć i zlikwidować znajdujący się w nich sprzęt; możemy go rozmontować, uszkodzić... Trzeba też znaleźć statek-bazę i unieruchomić batyskaf.

- Jaki batyskaf? - zdziwiła się Sarah.

- Wypożyczyli dwuosobowy batyskaf badawczy. Od dwóch tygodni kręci się po okolicy.

- Poco?

- To już chyba wiemy. Wyspy Salomona, a jest ich w całym archipelagu ponad dziewięćset, znajdują się w strefie dużej aktywności sejsmicznej. W tym rejonie płyty tektoniczne napierają na siebie i ścierają się pod wodą: Płyta Pacyficzna zderza się z Plateau Jawajskim. To dlatego jest tu dużo wulkanów i często zdarzają się trzęsienia ziemi. Wynikiem procesów tektonicznych jest także Rów Salomoński, oceaniczna głębina granicząca z archipelagiem od północy. Ma około dwóch kilometrów głębokości. I przebiega niedaleko zatoki Resolution.

- Czyli jest to region aktywny sejsmicznie, graniczący z rowem oceanicznym - stwierdził Evans.

- Ale ja nadal nie wiem, co z tego wynika.

- Dużo podwodnych wulkanów, dużo luźnego materiału skalnego, duże prawdopodobieństwo osuwisk.

- Osuwisk... - Evans potarł oczy. Było bardzo późno.

- Podwodnych osuwisk - uściślił Kenner.

- Chcą spowodować osunięcie się dna morskiego? - spytała Sarah.

- Tak przypuszczamy. I chcą to zrobić na skraju Rowu Salomońskiego, na głębokości od stu pięćdziesięciu do trzystu metrów.

- Czym to grozi? - zapytał Evans. - Poza powstaniem podwodnego osuwiska...

- Pokaż im dużą mapę - polecił Kenner Sanjongowi. Na ekranie laptopa wyświetliła się mapa Oceanu Spokojnego, od Syberii po Chile i od Australii po Alaskę.

- Świetnie. Wyobraźcie sobie linię prostą z zatoki Resolution, nad Rowem Salomońskim. Dokąd prowadzi?

- Do Kalifornii!

- Właśnie. Wystarczy jedenaście godzin.

- Podwodne osuwisko... - Evans zmarszczył brwi.

- Spowoduje gwałtowne przemieszczenie olbrzymich mas wody. W taki sposób powstają

tsunami. Fala rozejdzie się po Pacyfiku z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę.

- Rany boskie... Jak duża będzie?

- Dokładniej będzie to cały ciąg fal. Podwodne trzęsienie ziemi niedaleko Alaski w 1952 roku wywołało falę o wysokości czternastu metrów. Teraz jednak trudno powiedzieć coś pewnego, bo wysokość fali zależy od kształtu wybrzeża, w które uderzy. W niektórych rejonach Kalifornii może osiągnąć osiemnaście metrów wysokości, to taki pięciopiętrowy budynek.

- Nieźle... - mruknęła Sarah.

- Ile czasu nam zostało, zanim zrealizują ten plan?

- Konferencja potrwa jeszcze dwa dni. Fala w jeden dzień przebędzie ocean. Zostaje...

- Jeden dzień.

- Najwyżej. Mamy jeden dzień na to, żeby dotrzeć na Garede, dostać się na wschodnie wybrzeże i ich powstrzymać.

- Kogo powstrzymać? - zainteresował się Ted Bradley. Przeciągnął się i ziewnął głośno. - Jezu, ale mnie głowa boli! Chyba bym sobie klinika walnął... - Spojrzał na towarzyszy podróży. - Hej, co wam się stało? Ktoś umarł?

## **W drodze na Garede**

**Czwartek, 14 października Godz. 5.30**

Trzy godziny później weszło słońce i samolot zaczął schodzić do lądowania. Lecieli nisko, nad zielonymi, porośniętymi dżunglą wysepkami, obwiedzionymi otoczkami w kolorze nieziemskiego, bladego błękitu. Niewiele widzieli dróg, a jeszcze mniej ludzkich osiedli, a jeśli już, to tylko maleńkie wioski.

Ted Bradley wyjrzał przez okno.

- Czy to nie piękne? Prawdziwy nieskażony raj. Coraz mniej mamy na świecie takich zakątków.

Siedzący naprzeciw niego Kenner milczał. Też patrzył przez okno.

- Nie sądzisz, że nasz główny problem polega na tym, że straciliśmy kontakt z naturą? - zagadnął go Bradley.

- Nie. Nasz główny problem polega na tym, że mają tu za mało dróg.

- Może dlatego, że to biali, a nie tubylcy, chcą ujarzmić naturę? Podporządkować ją sobie?

- Moim zdaniem nie.

- A moim tak. Ludzie, którzy żyją bliżej ziemi, w wioskach, w naturalnym środowisku, mają naturalny zmysł ekologiczny. Instynktownie wyczuwają, co jest dobre dla natury.

- Dużo czasu spędziłeś w takich wioskach, Ted?

- A żebyś wiedział. Jeden film kręciłem w Zimbabwie, drugi w Botswanie... Wiem, co mówię.

- Na pewno. Przez cały czas mieszkałeś w wiosce?

- No nie, mieszkałem w hotelach. Nie miałem wyboru, takie były warunki ubezpieczenia. Ale naprawdę dużo wiem o tych wioskach. Takie życie jest najlepsze i najbardziej ekologiczne. Moim zdaniem wszyscy powinniśmy tak żyć. A już z całą pewnością nie powinniśmy zachęcać ludów pierwotnych do industrializacji. Bo to dopiero jest prawdziwy problem.

- Rozumiem. Sam będziesz mieszkał w hotelu, ale chciałbyś, żeby wszyscy inni siedzieli w lepiankach.

- Nie słuchałeś...

- Gdzie ty właściwie mieszkasz, Ted?

- W Sherman Oaks.

- To wieś?

- Nie... No, może w pewnym sensie. Można by chyba tak powiedzieć. Ale wiesz, ja nie mam wyjścia. Pracuję w LA.

- Czy zdarzyło ci się spędzić choćby jedną noc w prawdziwej wiosce w Trzecim Świecie?

Bradley poruszył się niespokojnie.

- Mówię ci, spędzałem w nich mnóstwo czasu, kiedy kręciliśmy filmy. Znam się na rzeczy.

- Jeżeli życie w wioskach jest takie fantastyczne, to dlaczego ludzie z nich uciekają?

- Nie powinni. Do tego właśnie zmierzam.

- Wiesz lepiej od nich, co powinni robić, a czego nie? Bradley umilkł na chwilę, a potem burknął:

- Powiem ci, że tak. Mam lepsze wykształcenie i większe doświadczenie życiowe. Poza tym na własnej skórze poznałem zagrożenia, jakie niesie industrializacja, i widziałem, jak cały świat przez nią choruje. Dlatego myślę, że lepiej od tych ludzi wiem, co jest dla nich dobre, a co nie. A już na

pewno wiem, co jest dobre dla całej planety.

- Nie lubię ludzi, którzy mówią mi, co jest w moim interesie, a co nie. Zwłaszcza kiedy mieszkają zupełnie gdzie indziej, nie znają lokalnych uwarunkowań ani problemów, z którymi na co dzień się stykam. Często nawet pochodzą z innego kraju, ale mimo to są przekonani, kiedy tak sobie siedzą gdzieś daleko, za biurkiem w szklanym biurowcu w Brukseli, Berlinie albo Nowym Jorku, są przekonani, że umieliby rozwiązać wszystkie moje problemy i doradzić mi, jak żyć. Bardzo tego nie lubię.

- O co ci chodzi? Chyba nie chcesz powiedzieć, że każdy powinien móc robić to, na co ma ochotę? Ci ludzie potrzebują naszej pomocy. Naszego przewodnictwa.

- Ty im je zapewnisz, tak? „Tym ludziom”?

- Wiem, nie powinienem tak mówić. To wbrew politycznej poprawności. Ale czy naprawdę życzyś im takiego okropnego, marnotrawnego życia, jakie prowadzimy w Stanach i, w mniejszym stopniu, w Europie?

- Jakoś nie widzę, żebyś nagle chciał coś w tym marnotrawnym życiu zmienić.

- Oczywiście, że nie, ale staram się żyć ekologicznie. Pamiętam o przeróbce surowców wtórnych. Nie używam dezodorantów z CFC. Kłopot w tym, że gdyby wszystkie społeczeństwa naraz zaczęły się uprzemysławiać, Ziemia nie zniosłaby takiego zanieczyszczenia. Nie możemy do tego dopuścić.

- My mamy prawo do industrializacji, ale „ci ludzie” już nie?

- Takie są realia.

- Dla ciebie. Nie dla nich. Sanjong kiwnął na Kennera.

- Przepraszam. - Kenner wstał z fotela.

- Idź sobie, jeśli chcesz - mruknął Bradley. - Ale dobrze wiesz, że to ja mam rację! - Gestem przywołał stewardesę. - Jeszcze jedną szklaneczkę, kotku. Strzemiennego.

- Śmigłowca jeszcze nie ma - zauważył Sanjong.

- Co się mogło stać?

- Miał przylecieć z innej wyspy, ale przestrzeń powietrzna jest zamknięta. Boją się, że rebelianci mają pociski ziemia-powietrze.

- Kiedy lądujemy?

- Za dziesięć minut.

- Trzymaj kciuki.

Pozostawiony sam sobie Ted Bradley przesiadł się na drugą stronę kabiny, do Petera Evansa.

- Czy to nie wspaniały widok? - zagadnął. - Spójrz na tę wodę. Jak kryształ. I ten błękit, co za głębia... I piękne wioseczki na łonie natury.

Evans też wyglądał przez okno, ale widział tylko wszechobecną biedę. Wioski były skupiskami szop z blachy falistej, drogi przypominały błotne rynny, biednie ubrani ludzie poruszali się ospale. Ten widok go przygnębiał, przywodził na myśl choroby, epidemie, umierające dzieci...

- Cudowne! - piał z zachwytu Bradley. - Dziewicze! Nie mogę się doczekać, kiedy wylądujemy. Zapowiada się fantastyczny urlop. Czy ktoś z was wiedział, że Wyspy Salomona są takie piękne?

- I przez wieki zamieszkane przez łowców głów - zauważyła siedząca z przodu Jennifer.

- Było, minęło. O ile w ogóle ci łowcy naprawdę istnieli. No bo weźmy na przykład całe to gadanie o kanibalizmie. Wszyscy wiedzą, że to nieprawda. Czytałem nawet o tym książkę, napisaną przez jakiegoś profesora: nigdy i nigdzie na świecie nie było kanibali. Kanibalizm to mit, kolejny przykład tego, jak biały człowiek demonizuje kolorowych. Kiedy Kolumb przyплыł do Indii Zachodnich, myślał, że tubylcy ostrzegają go przed kanibalami, ale się pomylił. Nie pamiętam teraz szczegółów, ale kanibale nie istnieją. Są legendą. Czemu się tak na mnie gapisz?

Evans odwrócił się. Bradley mówił do Sanjonga, który faktycznie gapił się na niego.

- No, co ma znaczyć to spojrzenie? Nie zgadzasz się ze mną?

- Ty naprawdę jesteś idiotą. - Sanjong nie krył zdziwienia. - Byłeś kiedyś na Sumatrze?

- Nie będę kłamał: nie.

- A w Nowej Gwinei?

- Nie. Chociaż od dawna mam ochotę się tam wybrać, kupić jakieś wyroby plemiennego rękodzieła. Świetna sprawa.

- Może na Borneo?

- Nie, ale tam też się wybieram. Ten sułtan, nie pamiętam, jak się nazywa, ale pięknie przebudował Dorchester w Londynie...

- Kiedy pojedziesz na Borneo, zobaczysz długie domy Dajaków, w których wieszają czaszki pokonanych wrogów.

- To taki pic dla turystów.



- W Nowej Gwinei znają taką chorobę, kuru. Można się nią zarazić, zjadając mózg drugiego człowieka.

- Bzdura.

- Gajdusek dostał za to Nagrodę Nobla. Papuasi zjadali mózgi swoich wrogów.

- Dawno temu.

- W latach sześćdziesiątych. I siedemdziesiątych.

- Ach, jak wy lubicie straszyć ludzi. Szkoda, że kosztem tubylców. Kurczę, czy to tak trudno pojąć? Ludzie nie są kanibalami.

Sanjong westchnął i spojrział na Kennera. Kenner wzruszył ramionami.

- Piękne miejsce. - Bradleya znowu pochłonęły widoki z okna. - Zaraz będziemy lądować.

## **ROZSTRZYGNIECIE**

### **Gareda**

**Czwartek, 14 października Godz. 6.40**

Lotnisko kleiło się od wilgotnego upału. Podeszli do wiaty z namalowanym odręcznie napisem KASTOM. Z boku zaczynał się drewniany płot, a w nim była furтка. Ktoś wymalował na niej czerwony odcisk dłoni z podpisem NOGOTROT.

- Nogot rot - przeczytał Bradley. - Pewnie jakaś miejscowa choroba.

- Niezupełnie - odparł Sanjong. - Czerwona ręka oznacza kapu, czyli zakaz. A napis na tabliczce to No got right, co w pidżyn oznacza: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

- Aha.

Skwar dokuczał nieznośnie. Evans był zmęczony po długim locie i podenerwowany perspektywą tego, co ich czeka. Jennifer natomiast tryskała energią.

- Nie jesteś zmęczona?

- Spałam w samolocie.

Spojrział na Sarah, która również dziarsko szła przed siebie.

- Ja jestem wykończony - przyznał.

- Zdrzemiesz się w samochodzie - rzuciła lekko Jennifer. Zaczynała go irytować.

Wysoka wilgotność powietrza przy tej temperaturze działała otępiająco. Zanim stanęli przed wiatą celników, Evans spłynął potem. Miał kompletnie przemoczoną koszulę, pot ściekał mu po nosie i brodzie na wypełniane dokumenty, tak że atrament się rozpląwał. Evans spojrzał na celnika - śniadego, muskularnego mężczyznę o kręconych włosach, ubranego w zaprasowane w kant białe spodnie i białą koszulę. Skórę miał zupełnie

suchą, wyglądał, jakby było mu nawet chłodno. Napotkał wzrok Evansa i uśmiechnął się do niego.

- Oh, waitman, dis no taim bilong san. You tumas hotpela. Evans pokiwał głową.

- Jak najbardziej - powiedział. Nie zrozumiał ani słowa.

- To jeszcze nie jest najgorętsza pora - przełożył Sanjong. - A tobie już jest za gorąco. Tumas hot. Prawda?

- Nie da się ukryć. Skąd znasz pidżyn?

- Z Nowej Gwinei. Pracowałem tam rok.

- Jako kto?

Ale Sanjong dołączył już do Kennera, który wyszedł na spotkanie młodemu człowiekowi w land-roverze. Kierowca miał ciemną skórę, na rękach mocno wytatuowaną. Był w brązowych szortach i koszulce. Uśmiechał się od ucha do ucha, wyskakując z samochodu.

- Hej, Jon Kanner! - Jego wesołość była zaraźliwa. - Hamamas klokl Uderzył się pięścią w pierś i objął Kennera.

- Jego serce jest szczęśliwe - przetłumaczył Sanjong. - Znają się z Kennerem.

Kenner przedstawił chłopaka: Henry. Bez nazwiska.

- Hanri! - powtarzał tubylec z uśmiechem, podając im rękę.

- Słyszałem, że mamy problem z helikopterem - powiedział Kenner po prezentacji.

- Co? Nie ma problemu! Me got Mostu long. - Henry parsknął śmiechem i dodał po angielsku, z doskonałym brytyjskim akcentem: - Maszyna już czeka, przyjacielu.

- Świetnie. Martwiliśmy się.

- A teraz poważnie, Jon. Pospieszmy się. Miyet harim planti yangpelas, krosim, pasim birua, gotplenti masket, noken stap gut, ya?

Evans nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Henry przeszedł na pidżyn, żeby nie mogli go zrozumieć. Kenner pokiwał głową.

- Słyszałem. Dużo rebeliantów. Młodzi, gniewni, dobrze uzbrojeni? Tak myślałem.

- Martwię się z powodu helikoptera, przyjacielu.

- Czemu? Wiesz coś o pilocie?

- Owszem.

- A co? Kto jest pilotem?

Henry zachichotał i klepnął Kennera w plecy.

- Ja!

- No to jedźmy.

Zaczęli się oddalać od lotniska. Po obu stronach drogi rosła nieprzebyta dżungla. Powietrze drżało od krzyków cykad. Evans oglądał się tęsknie za bielusieńkim gulfstreamem, odcinającym się od błękitnego nieba. Piloci ubrani w białe koszule i czarne spodnie sprawdzali koła maszyny. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy.

- Słyszeliśmy, Henry, że jacyś ludzie zginęli - mówił tymczasem Kenner.

- Nie tylko zginęli, Jon. Olpela. Ya?

- Tak nam powiedziano.

- Ya. Distru.

A więc była to prawda.

- To sprawka rebeliantów? Henry pokiwał głową.

- Aha! Ten nowy chif, Sambuca, lubi wypić. Nie pytaj, czemu takie imię. On wariat, Jon. Longlong man tru. Dla niego wszystko comać do olupela. Stare jest lepsze. Allatime allatime.

- No, stare naprawdę jest lepsze - wtrącił Bradley drepczący z tyłu. - W każdym razie ja tak uważam.

Henry odwrócił się do niego.. - Macie komórki, komputery, antybiotyki, lekarstwa, szpitale. I mówicie, że kiedyś było lepiej?

- Bo było. Kiedyś życie było bardziej ludzkie. Możesz mi wierzyć, że gdybyś miał okazję na własnej skórze doświadczyć tych cudów cywilizacji, wiedziałbyś, że wcale nie są takie wspaniałe...

- Ukończyłem uniwersytet w Melbourne. Trochę o tych cudach wiem.

- Chyba że tak... - odparł Bradley i mruknął pod nosem: - Mógł mnie uprzedzić. Fiut jeden.

- Mam dla ciebie dobrą radę - dodał Henry. - Nie rób tego więcej. Nie mamroc pod nosem.

- Czemu?

- Niektórzy pelas mogą sobie pomyśleć, że opętał cię demon. Wystraszą się i cię zabiją.

- Rozumiem. A to pięknie!

- W tym kraju, jeśli masz coś do powiedzenia, mów głośno.

- Zapamiętam to sobie.

Sarah szła obok Bradleya, ale nie przysłuchiwała się rozmowie. Henry tkwił w przestrzeni między dwoma światami, w jednej chwili mówił jak Anglik, a zaraz potem przechodził na pidżyn. Nie przeszkadzało jej to. Podziwiała dżunglę. Powietrze na drodze było gorące i nieruchome, uwięzione w prześwicie między drzewami mierzącymi po piętnaście metrów

wysokości i oplecionymi gąszczem pnączy. Na ziemi, w półmroku, paprocie rosły tak gęsto, że tworzyły nieprzebytą zaporę po obu stronach drogi. Można by się zagłębić dwa metry w las i zabłądzić, pomyślała. Na amen.

Drogę znaczyły wraki porzuconych samochodów - rozbite, bez szyb, żółtobrunatne od rdzy. Miały pociętą tapicerkę i dziury w deskach rozdzielczych po wyrwanych zegarach.

Skręcili w boczną drogę i zobaczyli czekający śmigłowiec. Sarah aż wstrzymała oddech. Helikopter wyglądał wspaniale - ciemnozielony, z kontrastującym białym paskiem i metalicznie połyskującym wirnikiem. Wszyscy to zauważyli.

- Z zewnątrz prezentuje się świetnie - przyznał Henry. - Ale obawiam się, że w środku, w silniku, może być gorzej. - Poruszył na boki rozcapierzoną dłoń. - Tak sobie.

- No to pięknie - powiedział Bradley. - Wolałbym chyba, żeby było odwrotnie.

Otworzyli drzwi. Z tyłu kabiny piętrzyły się drewniane skrzynki, ze szpar w nich wystawały trociny. Pachniało olejem.

- Mam wszystko, o co prosiłeś.

- Amunicję też? - upewnił się Kenner.

- Oczywiście. Wszystko jest.

- No to lecimy.

Sarah usiadła z tyłu, zapięła pas i włożyła słuchawki. Silnik ożył, wirnik drgnął i zaczął przyspieszać. Śmigłowiec zadygotał.

- Zbyt duże obciążenie - stwierdził Henry. - Ale miejmy nadzieję, że nic się nie stanie. Trzymajcie kciuki!

Zaśmiał się jak obłąkany i poderwał maszynę w powietrze.

## **W drodze do zatoki Resolution**

**Czwartek, 14 października Godz. 9.02**

Dżungla prześlizgiwała się pod brzuchem śmigłowca; gęste leśne sklepienie ciągnęło się kilometrami. Gdziekolwiek, zwłaszcza na większej wysokości, drzew czepiały się pasemka mgły. Sarah ze zdumieniem zauważyła, że wyspa jest niezwykle górzysta i zupełnie dzika; nie widzieli żadnych dróg, z rzadka przelatywali nad jakąś wioską polanie w środku dżungli, a poza tym nie było nic, tylko drzewa, drzewa, drzewa. Henry leciał prosto na północ. Zamierzał wylądować na wybrzeżu parę kilometrów na zachód od zatoki.

- Urocze wioseczki - zachwycił się Bradley, widząc jedną z osad. - Co ludzie tu hodują?

- Nic. Ziemia nie jest zbyt żyzna. Pracują w kopalniach miedzi.

- To niedobrze.

- Dla kogoś, kto tu mieszka, to raj. Takich pieniędzy, jak te, które tam zarobią, ci ludzie w życiu nie widzieli. Zabijają się o tę pracę. To nie przenośnia: co roku dochodzi do nowych morderstw.

- To straszne. - Bradley kręcił głową. - Po prostu straszne. Spójrzcie tutaj: dachy kryte palmowymi liśćmi. Czyżby ktoś jednak kultywował tradycję?

- Nie, to wioska rebeliantów. I to jest ich nowy styl. Duży haus, dach z liści palmowych... Dom wodza.

Henry wyjaśnił, że Sambuca kazał wszędzie wznosić takie duże, dwupiętrowe budowle, obłożone i kryte liśćmi i zaopatrzone w drabiny prowadzące na najwyższy poziom. Dzięki temu buntownicy mogli obserwować dżunglę z góry i w porę wypatrzeć zbliżające się australijskie wojska. Dawniej na Garedzie nie słyszano o takich budowlach. Architektura była niska i ażurowa, dawała schronienie przed deszczem i umożliwiała odprowadzanie dymu. Wysokie budynki były niepraktyczne, bo i tak pierwszy lepszy cyklon zmiotłby je z powierzchni ziemi.

- Ale Sambuca chce ich mieć jak najwięcej. No i każe yangpelas, młodym ludziom, je budować. Na Garedzie na terytorium rebeliantów jest już od sześciu do ośmiu takich domów.

- Lecimy nad terytorium rebeliantów? - zaniepokoił się Bradley.

- Na razie mamy szczęście. - Henry znów zachichotał. - Za cztery, pięć minut zobaczymy brzeg wyspy i... Cholera jasna!

Lecieli tuż nad koronami drzew.

- Co się stało?

- Zrobiłem duży błąd.

- Jaki? - spytał Bradley.

- Tumas longwe es.

- Lecimy za bardzo na wschód? - upewnił się Kenner.

- Cholera! Cholera, cholera jasna! Trzymajcie się!

Henry skręcił ostro, ale i tak wszyscy zdążyli zobaczyć ogromną polanę z czterema dużymi, palmowymi domami i mnóstwem mniejszych chat, bardziej zwyczajnych, z drewna i blachy falistej. Na błotnistym gruncie stało sześć ciężarówek; niektóre miały zamontowane z tyłu karabiny maszynowe.

- Co to? - spytał Bradley, spoglądając w dół. - Jakieś większe...

- Pavutu! Główna siedziba rebeliantów!

Ale polana już zniknęła im z oczu. Henry dyszał ciężko; słyszeli jego chrapliwy oddech w słuchawkach. Kenner obserwował go bacznie, ale nic nie mówił.

- Chyba nic złego się nie stało - zauważył Bradley. - Nie widzieli nas.

- Pobożne życzenia - odparł Henry.

- Dlaczego? A zresztą nawet jeśli nas zobaczyli, to co nam mogą zrobić?

- Mają radio. Ci yangpelas nie są głupi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcą dostać ten śmigłowiec.

- Po co? Przecież nie umieliby nim latać.

- Orait orait! Chcą mnie razem z nim!

Henry wyjaśnił, że od kilku miesięcy obowiązuje zakaz lotów nad wyspą. Śmigłowiec, którym lecieli, sprowadzono na wyraźne życzenie Kennera, a on musiał pociągnąć za bardzo ważne sznurki. Zapowiedziano jednak wyraźnie, że za żadne skarby świata nie może wpaść w ręce buntowników.

- Pomyślą, że lecimy na południe.

- Oni wiedzą swoje. Na pewno.

- Co niby wiedzą?

- ELF musiał się wkupić w ich łaski, żeby zainstalować na wyspie swój sprzęt - odezwał się Kenner. - Dzięki temu wiedzą, że w zatoce Resolution coś się dzieje. Domyśla się, dokąd lecimy.

- Nie są głupi - powtórzył Henry.

- Nie mówiłem, że są - zaprotestował Bradley.

- Nie, ale tak myślisz. Ja cię znam, waitman. Myślisz tak i masz to na końcu języka.

- Naprawdę tak nie myślę. Słowo daję. Po prostu mnie nie rozumiesz.

- Ya.

Sarah siedziała w środku tylnego rzędu foteli, wciśnięta między Teda i Jennifer. Peter i Sanjong zajęli miejsca na małym siedzeniu za nimi, wśród skrzynek. Nie mogła wyglądać przez okno, więc miała kłopot z nadążeniem za rozmową. Nie wiedziała, czego właściwie dotyczy dyskusja.

Zapytała więc Jennifer:

- Wiesz, o co chodzi? Jennifer skinęła głową.

- Rebelianci na widok śmigłowca od razu domyślili się, że lecimy do Resolution. Cokolwiek zrobimy, będą się nas tam spodziewać. Mają łączność radiową, są rozproszeni po okolicy, mogą mieć na nas oko. Kiedy wylądujemy, już tam będą.

- Przykro mi - mówił właśnie Henry. - Tak bardzo mi przykro.

- Nic się nie stało - odparł Kenner spokojnie.

- Co robimy?

- Leć zgodnie z planem na północ i wysadź nas na wybrzeżu. Tym razem w jego głosie słyhać było ponaglenie.

Ściśnięty na fotelu z Sanjongiem i wdychający opary oleju, którym nasmarowano broń w

skrzynekach, Evans zastanawiał się, skąd u Kennera ten pośpiech. Spojrzał na zegarek: była dziewiąta rano, co oznaczało, że z początkowych dwudziestu czterech godzin zostało im jeszcze dwadzieścia. Wyspa była mała, więc powinni mieć mnóstwo czasu... Coś mu przyszło do głowy.

- Zaraz... Która godzina jest teraz w Los Angeles?

- Los Angeles leży po drugiej stronie linii zmiany daty - odparł Sanjong. - Dwadzieścia siedem godzin za nami.

- Nie, nie, pytałem, jaka jest rzeczywista różnica czasu?

- Sześć godzin.

- A jaki miał być czas propagacji?

- Trzydzieści godzin.

- Chyba się pomyliliśmy.

Evans przygryzł wargę. Nie wiedział, co może powiedzieć przy Henrym, a o czym nie powinien wspominać. Sanjong już kręcił głową: nie teraz.

Ale rzeczywiście się pomylili. Bez dwóch zdań. Zakładając, że Drake zaplanował uderzenie tsunami na ostami dzień konferencji, na pewno wybrałby rano tego dnia. Wtedy katastrofa byłaby najbardziej widowiskowa, a poza tym do wieczora można by o niej dyskutować w telewizji. Obecny na konferencji ekipom wszystkich amerykańskich stacji telewizyjnych trafiłaby się nie lada gratka - mogłyby robić wywiady z całą rzeszą będących tam akurat naukowców. Byłoby to niezapomniane wydarzenie medialne.

Dlatego należało założyć, że fala dotrze do Los Angeles najpóźniej następnego dnia w południe. Minus trzydzieści godzin na przebycie oceanu... a więc falę należy wygenerować najpóźniej dziś o jedenastej wieczorem. Na Garedzie będzie wtedy... piąta po południu.

Piąta po południu.

Dzisiaj.

Nie mieli całego dnia. Zostało im tylko osiem godzin.

To dlatego Kennerowi tak się spieszyło. To dlatego nalegał na realizację pierwotnego planu mimo pojawiających się trudności. Dobrze wiedział, że nie ma innego wyjścia. Musieli wylądować niedaleko zatoki; nie mieli czasu na podchody. Być może lecieli prosto w pułapkę..

Wreszcie zostawili dżunglę za sobą. Śmigłowiec znalazł się nad błękitną wodą i skręcił na wschód. Plaża była w tych okolicach wąska, poprzecinana skalnymi występami i zaroślami mangrowymi. Helikopter zniżył lot.



- Daleko jeszcze do Resolution? - zainteresował się Kenner.

- Pięć, może sześć kilometrów.

- Ile to od Pavutu?

- Z dziesięć. Po błocie.

- W porządku. Znajdź miejsce do lądowania.

- Znam takie jedno, kilometr stąd.

- Dobrze. Lećmy tam.

Pięć kilometrów piechotą po plaży, rozmyślał Evans, to najwyżej półtorej godziny. Zdążą do zatoki przed południem i zostanie im...

- To tutaj - oznajmił Henry.

Z lądu wybiegał w ocean jezior zastygłej lawy, wypolerowany przez fale na tyle, aby nadawać się na lądowisko.

- Ląduj.

Zatoczyli koło i zaczęli zniżać lot. Evans patrzył na litą ścianę dżungli na końcu plaży. Dostrzegł ślady opon i przerwę w gąszczu, która mogła być wylotem drogi. I następne ślady kół...

- Słuchajcie - odezwał się. - Wydaje mi się...

Sanjong wyrznął go łokciem pod żebro. Mocno. Evans stęknął.

- Co mówiłeś, Peter? - spytał Kenner.

- Nieważnego.

- Siadamy - zapowiedział Henry i łagodnie posadził maszynę na płacie lawy.

Fale rozbijały się o skraj tego niby-lądowiska. Panował spokój. Kenner się rozejrzał.

- W porządku? - zapytał Henry. Sprawiał wrażenie podenerwowanego. - Może być? Nie chciałbym tu za długo siedzieć, Jon. Mogą przyjechać...

- Jasne, rozumiem.

Kenner uchylił drzwi, ale nie wysiadł.

- Wszystko gra, Jon?

- Tak, Henry. Bardzo ładne miejsce. Możesz nam otworzyć tylne drzwi?

- Możesz je sam sobie...

- Wsiadaj! - Kenner błyskawicznym ruchem przystawił Henry'emu pistolet do skroni. Henry zakrzuszył się i sięgnął drżącą dłonią do klamki.

- Nie mogę, Jon. Nie wolno mi wysiąść...

- Byłeś niegrzeczny, Henry.

- Zastrzelisz mnie, Jon?

- Nie teraz - odparł Kenner.

Wypchnął Henry'ego z maszyny. Chłopak spadł na szorstką lawę i zawył z bólu; Kenner natychmiast zajął jego miejsca za sterami i zamknął drzwi. Henry z wybałuszonymi oczami dopadł do szklanej ściany i zaczął w nią bić pięściami. Był śmiertelnie przerażony.

- Jon! Jon! Proszę cię, Jon!

- Przykro mi, Henry.

Kenner chwycił drążek i poderwał śmigłowiec. Zanim zdążyli się wzbić na pięć metrów w powietrze, z dżungli wybiegło kilkunastu mężczyzn i zaczęło ostrzeliwać helikopter z karabinów. Kenner odskoczył nad ocean i ruszył na północ, żeby jak najszybciej oddalić się od wyspy. Henry stał sam na wulkanicznym lądowisku. Podniósł ręce, kiedy uzbrojeni ludzie puścili się biegiem w jego stronę.

- A to gnojek - mruknął Bradley. - Omal przez niego nie zginęliśmy.

- Nadal możemy - stwierdził Kenner.

Lecieli prosto na północ, nad otwartym oceanem.

- Co robimy? - spytała Sarah. - Chcesz lądować po drugiej stronie zatoki?

- Nie, bo tego się właśnie spodziewają.

- Czyli...

- Oczekamy chwilę i znów podejmiemy od zachodu. Tak jak przed chwilą.

- Myślisz, że na to nie wpadną?

- Mogą wpaść. Dlatego znajdziemy inne lądowisko.

- Dalej od zatoki?

- Bliżej.
- Ludzie z ELF-u nas usłyszą.
- To bez znaczenia. I tak już wiedzą, że tu jesteśmy.

Sanjong podważył wieko jednej ze skrzynek, zajrzał do środka i znieruchomiał.

- Złe wieści - oznajmił.
- Co się stało?
- Nie mamy broni. - Otworzył skrzynię szeroko - Amunicja jest, ale bez karabinów.
- A to drań! - syknął Bradley.
- To co robimy? - zaniepokoiła się Sarah.
- To, co zaplanowaliśmy.

Kenner zawrócił śmigłowiec i polecieł z powrotem na Garedeę.

## **Zatoka Resolution**

**Czwartek, 14 października Godz. 9.48**

Od zachodu zatokę Resolution ograniczało kamieniste, porośnięte dżunglą żebro, który wybiegało w morze i kończyło się kamienną iglicą. Zewnętrzna strona żebra wypłaszczała się łagodnie i przechodziła w skalisty płaskowyż, wyniesiony około piętnastu metrów ponad poziom plaży i zakrzywiający się łagodnie na zachód. Nad płaskowyżem zwieszały się pierwsze drzewa dżungli.

Tam właśnie stał śmigłowiec, okryty maskującą płachtą brezentową. Evans obejrzał się przez ramię w nadziei, że nie zobaczy maszyny stopionej z tłem, ale była boleśnie widoczna - zwłaszcza z góry. A teraz właśnie taki mieli widok, bo wspięli się dobre kilkanaście metrów na wznoszące się nad płaskowyżem, zarośnięte zbocze. Wspinaczka okazała się niezwykle uciążliwa. Szli gęsiego, w błocie, starając się stąpać jak najostrożniej. Bradley zdążył się już pośliznąć i zjechał ponad dziesięć metrów w dół; cały lewy bok miał czarny od błotnistej mazi. Evans zauważył, że do jego karku przysała się opasła pijawka, ale postanowił na razie o tym nie mówić.

Nikt się nie odzywał. Posuwali się w milczeniu, usiłując robić jak najmniej hałasu - ale nie bardzo im to wychodziło: trzaskały rozdeptywane gałązki, pękały z hukiem grubsze, na których próbowali się podciągnąć.

Kennera nie było widać; odszedł już daleko do przodu. Sanjong z karabinem na ramieniu zamykał pochód. Broń przywiózł ze sobą w neseserze i zmontował ją, jeszcze zanim wysiedli ze śmigłowca. Kenner miał pistolet, pozostali byli nieuzbrojeni.

Nieruchome powietrze przytłaczało gorącem i wilgocią. Dżungla rozbrzmiewała niemilknącym ani na chwilę buczeniem owadów. Byli w połowie wspinaczki, kiedy zaczęło padać: lekki początkowo deszczyk szybko przeszedł w tropikalną ulewę. Przemokli do suchej nitki, w dół zbocza popłynęły strugi wody. Zrobiło się jeszcze bardziej ślisko.

Znaleźli się już pięćdziesiąt metrów powyżej plaży i perspektywa zjazdu w błocie ich przerażała. Evans spojrział na wspinającą się przed nim Sarah: poruszała się ze zwykłym u niej wdziękiem, jakby tańczyła.

Bywały takie chwile, kiedy naprawdę jej nie znosił.

Idąca przed Sarah Jennifer wspiwała się równie zwinnie. Prawie nie musiała się łapać pni i gałęzi, w przeciwieństwie do Petera. Serce biło mu żywiej za każdym razem, gdy palce osuwały się po oślizłej korze. Obserwując Jennifer, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wspinaczka przychodzi jej podejrzanie łatwo. Wdrapywali się po zdradzieckiej, zalesionej stromiznie, a ona emanowała spokojem i pewnością siebie, jakby od początku wiedziała, czego się spodziewać. Tak się zachowują komandosi: twardzi, zahartowani, doświadczeni. U prawniczki było to co najmniej niezwykle, ale u siostrzenicy Kennera już mniej.

Przed nią wspiwał się Bradley z pijawką na karku. Przy każdym kroku pomrukiwał i burczał pod nosem, dopóki Jennifer go nie szturchnęła i nie przytknęła palca do ust: cicho bądź. Skinął głową. Nie miał ochoty jej słuchać, a jednak się zamknął.

Mniej więcej na wysokości stu metrów poczuli powiew wiatru, a wkrótce potem wyszli na grzbiet. Gęste zarośla dokładnie zasłaniały zatokę, ale wyraźnie słyszeli pokrzykiwania robotników i turkot maszynierii. Dobiegło ich też buczenie jakiegoś sprzętu elektronicznego, z początku ciche, lecz szybko narastające do punktu, w którym Evans miał wrażenie, że rozerwie mu bębny w uszach.

I wtedy dźwięk ucichł.

Evans spojrział pytająco na Kennera, który tylko kiwnął głową.

Sanjong zwinnie wspiął się na drzewo, skąd mógł widzieć całą dolinę prowadzącą do zatoki. Pokręcił głową - stok był tutaj zbyt stromy - i pokazał na migi, że powinni nadłożyć drogi do łagodniejszego zejścia.

Ruszyli więc po grzbiecie, równolegle do brzegu zatoki. Nie widzieli nic spoza ociekających wodą dwumetrowych paproci, ale po półgodzinie doszli do miejsca, w którym roślinność się przerzedzała i roztaczał się rozległy widok na zatokę Resolution.

Miała około półtora kilometra szerokości. Na plaży, w pewnych odstępach, stały budynki - największy z nich znajdował się najdalej w prawo, na wschodnim skraju zatoki. Trzy mniejsze

tworzyły mniej więcej trójkąt równoboczny na brzegu jej zachodniej części. Evansowi wydały się dziwne, jakby coś było nie w porządku z drewnem, z którego je zbudowano. Zmrużył oczy.

Sanjong szturchnął go i zrobił wężykowaty ruch dłonią. Rzeczywiście, pomyślał Evans. „Drewniane” zabudowania poruszały się na wietrze.

To były namioty. Namioty, które miały wyglądać jak chaty z drewna - i całkiem nieźle spełniały swoje zadanie. Nic dziwnego, że na zdjęciach lotniczych wyglądały przekonująco.

Z jednego wyszedł mężczyzna i zawołał coś do ludzi na plaży. Porozumiewali się po angielsku, ale z tej odległości trudno było zrozumieć słowa. Przeważał chyba techniczny żargon.

Sanjong znowu szturchnął Evansa, złożył trzy palce w coś na kształt piramidki i poruszył nimi.

Najwidoczniej w namiocie trwało dostrajanie generatorów.

Albo coś w tym rodzaju.

Reszta ekipy nie interesowała się takimi szczegółami. Zdyszani po wspinaczce, łapali w płuca ożywcze podmuchy wiatru i spoglądali na zatokę. I pewnie tak samo jak Evans myśleli o tym, że na dole jest bardzo dużo ludzi. Ośmiu, może nawet dziesięciu mężczyzn.

- Ale się ich namnożyło... - mruknął Bradley.

Jennifer dała mu kuksańca w zębra.

Poruszył bezgłośnie ustami: Przepraszam.

Pokręciła głową i odpowiedziała mu równie bezgłośnie: Przez ciebie zginiemy.

Skrzywił się. Na pewno uznał, że ona przesadza. I wtedy spomiędzy drzew dobiegło kasznięcie.

Zamarli.

Czekali w milczeniu. Teraz było słychać tylko jazgot cykad i od czasu do czasu odległy świergot ptaków.

I znów takie samo ciche kasznięcie. Jakby ktoś starał się nie zwracać na siebie uwagi.

Sanjong przykucnął i zamienił się w słuch. Kiedy kasznięcie rozległo się po raz trzeci, wydało się Evansowi dziwnie znajome. Przypomniał mu się dziadek, który chorował na serce. Tak właśnie kaszłał, w szpitalu. Cicho, ledwie słyszalnie.

Zapadła cisza. Ukryty w dżungli człowiek nigdzie się nie przemieszczał - jeśli to robił, to poruszał się naprawdę bezszelestnie - ale nie dawał już znaku życia.

Kenner spojrział na zegarek. Odczekał pięć minut i dał znak do wymarszu na wschód. Już mieli ruszać, kiedy intruz znów dał znać o sobie. Tym razem były to trzy kasznięcia, jedno po drugim: eh, eh, eh. I cisza.

Kenner machnął ręką. Ruszyli.

Po niecałych stu metrach wyszli na ścieżkę. Była wyraźnie widoczna, chociaż gałęzie drzew nisko się nad nią zwieszały. Evans stwierdził, że wydeptały ją zwierzęta, i zaczął się zastanawiać, jakie zwierzęta mogą na takiej wyspie żyć. Pewnie dzikie świnie. Świnie są wszędzie. Pałętały mu się po głowie opowieści o ludziach, którzy dali się świniom zaskoczyć albo zostali rozorani kłami dzika, który wypadł niespodziewanie z gęstego poszycia...

Usłyszał metaliczne: klik! Nie miał wątpliwości, co to za dźwięk: ktoś odwiódł kurek karabinu. Znieruchomieli takjak szli, gęsiego. I znowu: klik! I następny: klik!

Evans się rozejrzał, ale nikogo nie zobaczył. Wyglądało na to, że są w dżungli sami. Nagle usłyszał głos:

- Dai. Nogotsok, waitman. Indai. Stopimy. Nie miał pojęcia, co to może znaczyć, ale ton głosu nie pozostawiał wątpliwości. Nikt nie drgnął.

Z zarośli przy ścieżce wyszedł chłopiec w zielonych szortach, solidnych butach na bosych stopach, koszulce z trasy koncertowej Madonny i bejsbolówce z napisem Perth Glory. Z kącika ust zwiślał na wpół wypalony papieros. Przez jedno ramię miał przerzucony pasek od pistoletu maszynowego, przez drugie - pas z amunicją. Niewysoki - z metr pięćdziesiąt wzrostu - wyglądał najwyżej na jedenaście lat. Niedbale skinął lufą broni.

- Okay, waitman. Youprisner biulong me, sawe? Bookim danol Wyprostowanym kciukiem pokazał im, że mają iść naprzód.

- Gohetl.

Byli tak zaskoczeni, że nie od razu zareagowali. Wtedy z krzewów po obu stronach dróżki wyszło więcej dzieci.

- Co to ma być? - zdziwił się Bradley. - Władca much?

Jeden z chłopców z kamienną twarzą podszedł bliżej i wyrzucił go w brzuch kolbą karabinu. Bradley zgiął się wpół i padł na ziemię.

- Stopim waitman bilong toktok.

- Jezu Chryste... - Bradley przetoczył się na bok.

Chłopiec uderzył go ponownie, tym razem w głowę, i poprawił nogą.

- Antapl Antapl - wrzasnął, gestem dając Bradleyowi do zrozumienia, że ma wstać. Kiedy Ted

nie zareagował, dzieciak znów go kopnął.

- Antapl.

Sarah pomogła wstać kaszłacemu Bradleyowi. Miała dość rozumu, żeby nic przy tym nie mówić.

- Oh, nais mań - powiedział chłopiec i odepchnął ją od Bradleya. - Antapl.

Ruszyli. Inny z dzieciaków podszedł do Teda, pomacał go po ręce powyżej łokcia i parsknął śmiechem.

- Taiis Gut.

Kiedy Evans domyślił sensu jego słów, poczuł lodowaty dreszcz. Chłopcy mówili okaleczoną odmianą angielskiego, którą, skupiwszy się, był w stanie zrozumieć, chociaż wymagało to sporo wysiłku. Nais mań to po angielsku nice Mary, czyli „ładna Mary”. Może „Mary” było ogólnym określeniem kobiety. Antap znaczyło And up - „wstawaj”.

A taiis gut oznaczało tastes good. „Smaczny”.

Szli gęsiego przez dżunglę, eskortowani przez dzieci z karabinami: Kenner, za nim Ted z krwawiącą raną na czole, Sarah, Jennifer i Evans. Evans obejrzał się do tyłu. Sanjonga za nim nie było.

Zamiast niego zobaczył jeszcze jednego małego obdartusa z bronią.

- Antapl Antapl.

Dzieciak pogroził mu karabinem.

Evans przyspieszył. Przestał się oglądać za siebie.

Świadomość, że dzieci pędzą ich jak bydło, była przerażająca. Tylko że to wcale nie były dzieci - nie z tym lodowatym wyrazem oczu. Dużo w życiu przeszły i widziały. Żyły w innym świecie, który nie był jego światem.

Ale teraz trafił do ich rzeczywistości.

Na poboczu błotnistej drogi stały dwa samochody terenowe. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Zostało im siedem godzin.

Ale nagle wydało mu się to dziwnie mało istotne. Dzieci wepchnęły ich do dziupów i powiozły błotną drogą w głąb nieprzebytej dżungli.

## Pavutu

**Czwartek, 14 października Godz. 11.02**

Bywały takie momenty, gdy Sarah żałowała, że jest kobietą. Miała takie uczucie, kiedy wjechali do tonącej w błocie rebelianckiej twierdzy Pavutu. Wydawać by się mogło, że w wiosce mieszkają sami mężczyźni, którzy na odgłos silników samochodowych wylegli, wrzeszcząc, na polanę. Ale były tam i kobiety, także starsze, które podziwiała jej wzrost i włosy, a potem zaczęły ją poszturchiwać, jakby chciały się przekonać, że istnieje naprawdę.

Jennifer, niższa, bardziej opalona i ciemnowłosa, nie zwracała niczyjej uwagi. Wszystkich spędzono do jednego z wysokich domów o dachu z liści palmowych. Większość przestrzeni w środku zajmowało jedno duże, wysokie pomieszczenie, sięgające drugiego piętra. Drewniana drabina prowadziła na coraz wyższe podesty, aż pod dach, gdzie znajdowały się pomost i taras obserwacyjny. Na dole pośrodku płonęło ognisko, przy którym siedział otyły mężczyzna, jasnoskóry i czarnobrody. Miał okulary przeciwsłoneczne i nakrycie głowy przypominające beret w barwach jamajskiej flagi.

Musiał to być Sambuca we własnej osobie. Kiedy więźniowie stanęli przed nim, uśmiechnął się oblesnie, ale - Sarah miała nosa do takich spraw - nie interesowały go kobiety. Z największą uwagą przyglądał się Bradleyowi i Evansowi. Na Kennera tylko rzucił okiem.

- Killim.

Kill him. Zabić go. Wyprowadzili Kennera na dwór, poszturchując kolbami karabinów. Nie mogli się doczekać, kiedy będą go mogli rozstrzelać.

- No nau - warknął Sambuca. - Behain.

Chwilę potrwało, zanim Sarah przetłumaczyła sobie jego słowa na angielski. Not now, nie teraz. Behind. Z tyłu. Co musiało oznaczać „później”. Kenner na razie został więc oszczędzony.

Sambuca popatrzył na resztę.

- Meris. - Machnął ręką. - Goapim meñ behain.

Sądząc po uśmiechach na twarzach chłopców, wódz oddał im kobiety, żeby zrobili z nimi, co zechcą. Ją i Jennifer wyprowadzono do mniejszego pomieszczenia z tyłu budynku.

Sarah usiłowała się nie denerwować. Wiedziała, naturalnie, że znalazły się opałach, ale na razie wyrok został odroczone. Zauważyła, że Jennifer jest zupełnie spokojna: miała tak obojętny wyraz twarzy, jakby wybierała się na firmowe przyjęcie.

W pokoju, do którego je zabrano, znajdowały się dwa wkopane w ziemię słupy. Jeden z chłopców przykuł Jennifer kajdankami do jednego, wykręciwszy jej ręce do tyłu, a potem to samo zrobił z Sarah przy drugim słupie. Inny ścisnął ją za pierś, uśmiechnął się porozumiewawczo i obaj



wyszli.

- No to pięknie - mruknęła Jennifer. - Nic ci się nie stało?

- Na razie nie.

Na placu przed domami rozległo się bicie bębnów.

- To dobrze. Bo to jeszcze nie koniec.

- Sanjong... - Wiem.

- Ale przejechaliśmy spory kawał samochodami.

- Jakies trzy do pięciu kilometrów. Próbowałam coś odczytać z licznika, ale był zachlapany błotem. W każdym razie nawet jeśli Sanjong będzie biegł, trochę to potrwa.

- Ma karabin.

- Ma.

- Dasz radę się uwolnić?

- Nie. Za ciasno mnie skuł.

W otwartych drzwiach mignęli im Evans i Bradley, prowadzeni do innego pomieszczenia. Chwilę później zobaczyły również Kennera, który zdążył im posłać znaczące - tak wydało się Sarah - spojrzenie.

Chociaż mogła się mylić.

Jennifer usiadła na klepisku i oparła się plecami o słup.

- Chyba lepiej siedzieć. To będzie długi dzień. Sarah posłuchała.

Chwilę później chłopak zajrzał do pokoju, a zobaczywszy, że obie siedzą, podszedł obejrzeć ich kajdanki. Sprawdził je i wyszedł.

Bębny grały coraz głośniejsze. Na placu chyba zbierał się tłum, bo było słychać okrzyki i gwar rozmów.

- Szykuje się uroczystość - stwierdziła Jennifer. - Obawiam się, że wiem, jaka będzie główna atrakcja.

W sąsiednim pomieszczeniu Evans i Kenner również zostali przykuci do drewnianych słupów. Ponieważ były tylko dwa pale, Bradley z rękoma skutymi za plecami siedział po prostu na ziemi. Nie

krwawił już, ale nad lewym okiem miał potężnego siniaka. Było widać, że się boi. Powieki mu opadały, jakby chciało mu się spać.

- I co powiesz o wiejskim życiu, Ted? - spytał Kenner. - Nadal uważasz, że jest najlepsze?

- To nie jest wiejskie życie, tylko jakaś dzicz.

- Dzicz, która jest jego częścią.

- Wcale nie. Te dzieci, ten obleśny grubas... To jakiś obłąd. Wszystko się popieprzyło.

- Nic nie rozumiesz, prawda? Wydaje ci się, że cywilizacja to jakiś ohydny, cuchnący wynalazek, który oddziela człowieka od natury. Ale to nieprawda, Ted. Cywilizacja chroni nas przed naturą. To, co teraz widzisz wokół siebie, to właśnie jest natura.

- Nie. Nie, nie, nie... Człowiek jest dobry, chętny do pomocy...

- Gówno prawda.

- Odkryto przecież gen altruizmu.

- Pobożne życzenia.

- To słabość jest źródłem okrucieństwa.

- Nie, Ted, niektórzy ludzie po prostu lubią.

- Daj mu spokój - wtrącił Evans.

- Niby dlaczego? Ted? Co jeszcze powiesz?

- Odwal się. Może te młodociane potworki nas tu wszystkich pozabijają, ale chcę, żebyś wiedział jedno, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jak powiem w życiu. Jesteś gnojem, Kenner. Wstrętnym gnojem. Budzisz w ludziach najgorsze instynkty. Jesteś pesymistą, obstrukcjonistą, wrogiem postępu i wszystkiego, co dobre i szlachetne. Jesteś prawicową świnią w... w... Cholera cię wie, co to za przebranie. Nie znam się na ciuchach. Gdzie masz pistolet?

- Wyrzuciłem.

- Gdzie?

- W dżungli.

- Myślisz, że Sanjong go znajdzie?

- Mam nadzieję.

- Przyjdzie po nas? Kenner pokręcił głową.

- Musi wykonać zadanie, które nas tu sprowadziło.

- Pójdzie nad zatokę.

- Tak.

- Czyli nikt nas nie uratuje?

- Nie, Ted. Nikt.

- Mamy przesrane. Przesrane jak sto skurwysynów! No nie! Bradley się rozplakał.

Do pomieszczenia weszło dwóch chłopców z grubymi konopnymi sznurami. Przywiązali jedne ich końce do nadgarstków Bradleya, zacisnęli starannie węzły i wyszli.

Bębny zagrały jeszcze głośniejsze.

Zebrani na placu ludzie zaintonowali rytmiczną pieśń.

- Widzisz, co jest za drzwiami? - spytała Jennifer.

- Mniej więcej - odparła Sarah.

- Patrz, co się dzieje. Powiedz mi, gdyby ktoś szedł.

- Dobrze.

Sarah zerknęła na Jennifer, która wygięła ciało do tyłu, objęła pal dłońmi, przywarła do niego stopami i zaczęła się po nim wspinać zwinnie jak akrobatka. Wdrapała się na szczyt, przełożyła przez niego skute rękę i zeskoczyła.

- Ktoś idzie?

- Nie... Gdzie się tego nauczyłaś?

- Patrz, czy nikt nie idzie.

Jennifer usiadła pod słupem, jakby nadal była do niego przykuta.

- A teraz?

- Nikogo nie ma.

- Potrzebny nam będzie jeden z tych małych - oświadczyła Jennifer. - I to już wkrótce.

Sambuca przemawiał: wykrzykiwał krótkie zdania, na które słuchacze reagowali wiwatami. Przywódca rozgrzewał tłum, wprowadzał go w szal. Więźniowie bez trudu to wyczuwali.

Bradley leżał skulony na ziemi i popłakiwał.

Do pomieszczenia weszło dwóch dorosłych mężczyzn. Rozkuli go, postawili na nogi, złapali za końce sznurów i wyciągnęli na dwór. Przywitał ich ryk tłumu.

## **Pavutu**

**Czwartek, 14 października Godz. 12.02**

- Cześć, mały - powiedziała Jennifer, kiedy chłopiec wetknął głowę przez drzwi. Uśmiechnęła się prowokacyjnie. - Podobam ci się?

Poruszyła sugestywnie biodrami.

Dzieciak przez chwilę patrzył na nią podejrzliwie, ale w końcu wszedł do środka. Był starszy i większy od innych, mógł mieć czternaście, piętnaście lat. W ręce miał karabin, za paskiem nóż.

- Chcesz się zabawić? Rozkuj mnie. - Jennifer uśmiechnęła się kapryśnie. - Rozumiesz, co mówię? Ręce mnie bolą, kotku. Chodź, zabawimy się.

Zaśmiał się gardłowo, gulgoczaco, podszedł do niej, przykucnął i rozchylił jej nogi.

- Proszę, najpierw mnie uwolnij...

- No meri.

Znów się zaśmiał i pokręcił głową. Mógł ją mieć przykutą do słupa. Klęcząc przed nią, próbował ściągnąć szorty, a że karabin mu przeszkadzał, więc odłożył go na bok.

Później wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Jennifer odgięła się do tyłu, gwałtownie wyprostowała nogi i kopnęła chłopaka w podbródek.

Skuliła się, przesunęła ręce pod biodrami i przełożyła nad stopami. Kiedy chłopiec wstał, zataczając się, uderzyła go obiema rękami w bok głowy. Osunął się na kolana. Rzuciła się na niego, przewróciła go i wgniotła mu głowę w klepisko. Na koniec poderżnęła mu gardło jego własnym nożem.

Siedząc na nim, odczekała, aż ciało przestanie dygotać w spazmach; krew wsiąkała w ziemię. Trwało to całą wieczność, ale w końcu zwłoki znieruchomiały. Jennifer wstała i przeszukała trupa.

Sarah przyglądała się jej z otwartymi ustami.

- Niech to szlag - zaklęła Jennifer. - Niech to szlag!

- Co się stało?

- Nie ma klucza!

Stęknęła z wysiłku i obróciła zwłoki na brzuch. Krew z rozciętego gardła pociekła jej na rękę, ale nie zwracała na to uwagi.

- Gdzie są te cholerne klucze?

- Może ten drugi je ma.

- A który nas skuł?

- Nie pamiętam. Nie mogłam się skupić.

Sarah nie odrywała wzroku od martwego chłopca. I od krwi.

- Tylko się nad nim nie rozczulaj. Wiesz, co z nami robią? Pobijają, zgwałcą, a potem zabiją. Więc nie żałuj ich. Musimy zabić, ilu się da, i wiać. Ale najpierw potrzebny mi ten przeklęty klucz!

Sarah wstała.

- Masz rację - powiedziała Jennifer i kucnęła przed nią.

- Z czym?

- Wejź mi na plecy i przełóż ręce na szczycie słupa. Tylko szybko. Tłum na zewnątrz wciąż groźnie wył i ryczał.

Oślepiiony palącym słońcem Ted Bradley zmrużył oczy. Nie wiedział, co się dzieje; ból i strach mąciły mu zmysły, w dodatku ten widok: szpaler rozwrzeszczanych starych kobiet, zaczynający się przy wyjściu z domu. Musiał nim przejść. Dalej zobaczył morze twarzy - śniadych mężczyzn, młodych dziewcząt i dzieci, które ledwie sięgały mu do pasa. Dziesiątki ludzi. Wszyscy krzyczeli. Hałas był ogłuszający.

Wiwatowali na jego cześć!

Ted się uśmiechnął - trochę niewyraźnie, półgębkiem - był przecież zmęczony i obolały, ale z doświadczenia wiedział, że w ten sposób najlepiej okaże zadowolenie z tego powitania. Kiedy dwaj mężczyźni ciągnęli go na plac, nie przestawał kiwać głową i uśmiechać się promiennie. Coraz szerzej.

Na końcu szpaleru czekał Sambuca we własnej osobie. Trzymał ręce w górze, klaskał jak opętany i szerzył zęby w uśmiechu.

Ted nie rozumiał, co się dzieje, ale dotarło do niego, że błędnie ocenił sytuację. Albo tubylcy wreszcie go rozpoznali i zrezygnowali z pierwotnego planu. Podekscytowane kobiety tak głośno krzyczały na jego widok, tak się ekscytowały, że spróbował wyrwać się prowadzącym go

mężczyznom. Chciał iść o własnych siłach. I udało mu się!

Z bliska dostrzegł jednak, że kobiety trzymają przy biodrach grube drągi, kije bejsbolowe, metalowe rurki. Kiedy wszedł w szpaler, krzyczały w dalszym ciągu, ale zaczęły też go okładać - z całej siły, po głowie, twarzy, tułowiu. Ból był niesamowity. Ted osunął się na ziemię, wtedy jednak mężczyźni trzymający go na linach szarpnięciem postawili go na nogi. A kobiety cały czas biły i krzyczały, biły i krzyczały. Ból przenikał całe jego ciało. Nagle poczuł pustkę, obojętność, jakby oddzielił się od własnego ciała. Ciosy padały bez przerwy.

Półprzytomny dotarł do końca szpaleru i zobaczył dwa słupy wbite w ziemię. Mężczyźni przywiązali do nich jego ręce w taki sposób, żeby stał między nimi wyprostowany. Tłum umilkł. Ted opuścił głowę i patrzył, jak krew kapie na ziemię. Kiedy w jego polu widzenia pojawiły się dwie nagie stopy, kropelki krwi zaczęły rozbryzgiwać się na ich skórze. Ktoś złapał go za włosy i zadarł mu głowę.

Przed nim stał Sambuca, ale Bradley ledwie mógł skupić na nim wzrok. Świat poszarzał i zaszedł mgłą. Sambuca uśmiechał się od ucha do ucha, odsłaniając pożółkłe, spiczaste zęby. Pokazał Tedowi nóż, dwoma palcami ścisnął jego obwisły policzek i odciął pasek mięsa.

O dziwo, Ted nie czuł bólu. Zrobiło mu się tylko niedobrze, kiedy Sambuca podniósł krwawy strzęp do ust i odgryzł kawałek. Krew pociekła mu po brodzie. Nie przestawał się uśmiechać. Tedowi coraz bardziej kręciło się w głowie i zbierało na wymioty; czuł paralizujący lęk, obrzydzenie i przygniatający ból w piersi. Odwrócił wzrok i zobaczył, jak ośmio-, dziewięcioletni chłopiec scyzorykiem odcina mu kawałek ciała pod pachą. Jakaś kobieta rzuciła się do przodu, roztrzając innych, i zaczęła wykrawać mięso z jego przedramienia. A potem dopadł go cały tłum, noże pojawiły się dosłownie wszędzie; ludzie cięli i krzyczeli, cięli i krzyczeli. Zobaczył zbliżające się do oczu ostrze, poczuł, jak ktoś ściąga mu spodnie, i stracił przytomność.

## **Pavutu**

### **Czwartek, 14 października Godz. 12.22**

Evans nasłuchiwał wiwatów. Nie musiał nic widzieć, żeby wiedzieć, co się dzieje. Spojrzał na Kennera, ale ten tylko pokręcił głową.

Nie mogli nic zrobić. Nie mogli nawet liczyć na pomoc. Nie było dla nich ramnku.

Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia weszło dwóch chłopców. Grube sznury, które przynieśli, były nasiąknięte krwią. Przywiązali je Evansowi do rąk i wyszli. Serce zaczęło mu bić jak młotem.

Dziki ryk tłumu nie ustawał.

- Nie bój się, nie od razu cię wyciągną - pocieszył go Kenner. - Nie trać nadziei.

- Na co? - zapytał ze złością Evans. Kenner pokręcił głową.

- Po prostu... nadziei.

Jennifer czekała, aż do pokoju zajrzy następny dzieciak. W końcu przyszedł, spojrzał na zwłoki kolegi i chciał rzucić się do ucieczki, ale złapała go za szyję i wciągnęła do środka, zakrywając mu dłonią usta. Skręciła gwałtownie ręce, chłopak zwiotczał i osunął się na ziemię; nie zabiła go, ale przez jakiś czas im nie zagrażał.

Wyrzała na zewnątrz i zobaczyła wreszcie klucze: leżały na ławce po drugiej stronie korytarza prowadzącego do pomieszczeń.

Miały z Sarah dwa karabiny, ale nie było na razie sensu ich używać - ściągnęłyby sobie na głowę pół wioski. Jennifer bała się znów wyrzeć za drzwi - cały czas słyszała stłumiony pomruk głosów i nie miała pewności, czy dobiega z sąsiedniego pokoju, czy z głównej sali. A błąd mógł ją drogo kosztować.

Oparła się o ścianę przy drzwiach. Jęknęła, najpierw cicho, potem nieco głośniej, ale jazgot tłumu skutecznie ją zagłuszał. Pojękiwała tak przez dobrą chwilę.

Nikt nie przyszedł.

Czy powinna wyrzeć?

Wstrzymała oddech. Czekala.

Evans drżał na całym ciele. Zakrwawione sznury na przegubach dłoni były zimne w dotyku. Miał dość tego oczekiwania, czuł, że zaraz zemdleje. Tłum trochę się uciszył i uspokoił. Wiedział, co to oznacza. Niedługo przyjdzie czas na następną ofiarę.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk. Ktoś kaszlał. Cicho, ale uparcie.

Kenner pierwszy się zorientował.

- Tutaj - powiedział głośno.

Maczeta z głuchym szurnięciem rozcięła liście tworzące ścianę. Evans odwrócił się i patrzył, jak rozcięcie się poszerza. Jakaś silna, opalona dłoń rozchyliła liście i w otworze pojawiła się brodata twarz.

W pierwszej chwili Evans go nie rozpoznał, ale kiedy mężczyzna przytknął palec do ust, zrobił to dziwnie znajomym gestem...

- George!

To był George Morton. Żywy.

Wszedł do środka.

- Ciszej bądź! - syknął.

- Nie spieszyłeś się. - Kenner podsunął Mortonowi kajdanki. Morton dał mu pistolet i rozkuł Evansa. Ten zaczął się szarpać ze sznurami na nadgarstkach, ale były mocno zawiązane.

- Gdzie reszta? - szepnął Morton.

Kenner wskazał sąsiednie pomieszczenie i wziął maczetę.

- Zabierz Petera. Ja pójdę po dziewczyny. I z maczetą w ręce wyszedł na korytarz. Morton złapał Evansa za rękę, ale ten się szarpnął.

- Chodź.

- Ale...

- Szybko, chłopcze.

Wyszli przez dziurę w ścianie i zniknęli w dżungli.

Kenner szedł pustym korytarzem, w każdej chwili spodziewając się, że zostanie zauważony. Gdyby ktoś wszczął alarm, nie mieliby szans. Wziął klucze z ławki i podszedł do drzwi pomieszczenia kobiet. Ale przy palach nikogo nie było. W ogóle nikogo nie zobaczył.

Wrzucił klucze do środka.

- To ja - szepnął.

Jennifer wynurzyła się z kryjówki za drzwiami, wzięła klucze i kilka sekund później obie z Sarah były wolne. Wzięły broń chłopców i podkraśli się do wyjścia.

Za późno. Trzech młodych, dobrze zbudowanych mężczyzn szło w stronę Kennera. Mieli pistolety maszynowe, ale na razie, pogrążeni w rozmowie i rozbawieni, nie zauważyli go.

Wśliznął się do pomieszczenia, przylgnął plecami do ściany i dał znak kobietom, żeby wróciły pod słupy. Ledwie zdążyły to zrobić, kiedy trójka mężczyzn weszła do środka.

- Cześć, chłopaki - powiedziała Jennifer z uśmiechem.

W tej samej chwili tubylcy dostrzegli dwóch leżących chłopców i plamę krwi na podłodze, ale było już za późno. Kenner doskoczył do jednego, Jennifer z nożem do drugiego. Trzeci omal nie uciekł, ale Kenner zdążył uderzyć go w progu kolbą karabinu. Czaszka pękła z głośnym trzaskiem. Tubylec upadł.

Musieli uciekać.



Tłum na placu zaczynał się niecierpliwić. Sambuca zmrużył oczy. Pierwszy waitman zginął dawno temu, leżące u stóp Sambuki ciało zdążyło wystygnąć i zrobiło się nieapetyczne. Poza tym wielu ludzi w tłumie nie zaznało jeszcze chwili chwały i czekało na swoją kolej, na swoją szansę. Kobiety rozmawiały w grupkach, nie wypuszczając z rąk pałek. Czekały na dalszy ciąg zabawy.

Gdzie następny?

Sambuca warknął rozkazująco. Trzech ludzi pobiegło do palmowego domu.

Evans biegł za Mortonem, który świetnie znał okoliczną dżunglę. Zjechali ślizgiem na sam dół długiego, błotnistej zbocza i wylądowali w płytkim strumieniu, którego woda była brunatna od torfu. Morton dał znak i pobiegli łożyskiem strumienia. George był wyraźnie szczuplejszy niż przedtem, w lepszej formie, tylko twarz miał bardziej zaciętą i nieprzeniknioną.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz - powiedział Evans.

- Nic nie mów. Biegnij. Zaraz złączą nas szukać.

Już było słychać trzask łamanych zarośli. Evans popędził z biegiem strumienia, ślizgając się na mokrych kamieniach. Kiedy upadał, natychmiast się podnosił i biegł dalej.

Kenner pędził w dół zbocza, a Jennifer i Sarah biegingy tuż za nim. Ślizgały się, potykały na wystających korzeniach i szarpały w kolczastych zaroślach, ale była to najkrótsza droga ucieczki. Sądząc po śladach w błocie, Morton również ją wybrał. Kenner nie miał złudzeń: najdalej za minutę w wiosce zostanie ogłoszony alarm.

Przedarli się przez ostatnie zarośla i wpadli do strumienia. Z góry dobiegł odgłos strzałów: odkryto ich ucieczkę.

Zatoka była gdzieś na lewo. Kenner kazał im biec w jej kierunku.

- A ty? - zaniepokoił się Evans.

- Dogonię was.

Kobiety pobiegły przodem; poruszały się zdumiewająco szybko. Kenner cofnął się ostrożnie do wylotu błotnej ścieżki, wycelował pistolet maszynowy i czekał. Kilkanaście sekund później pierwsi rebelianci pojawili się na stoku. Kenner strzelił trzema krótkimi seriami. Ciała utknęły w gąszczu, tylko jedno stoczyło się do strumienia.

Kenner wciąż czekał.

Ci, którzy zostali na górze, spodziewali się, że zaczną uciekać. Dlatego nie ruszył się z miejsca. Nie minęły dwie minuty, jak zaczęli schodzić. Hałasowali. Przerażone dzieciaki.

Posłał jeszcze jedną serię i usłyszał krzyki, chociaż wątpił, żeby któregoś trafił. Po prostu ich

nastraszył.

Ale miał już pewność, że teraz znajdą sobie inną drogę. Dłuższą.

Odwrócił się i pobiegł korytem strumienia.

Sarah i Jennifer pędziły na złamanie karku, kiedy nagle kula świsnęła Sarah koło ucha.

- Ej! - zawołała. - To my!

- A niech to! - Morton usprawiedliwił się, kiedy go dogoniły.

- Którędy? - spytała Jennifer. Bez słowa wskazał kierunek. Pobiegli.

Evans odmchowo chciał spojrzeć na zegarek, lecz jeden z chłopców mu go zabrał. Ale Morton miał zegarek.

- Która godzina?

- Piętnaście po trzeciej. Zostały im niecałe dwie godziny.

- Jak daleko do zatoki?

- Będzie z godzina, ale musimy iść na przełaj, przez dżunglę. Zresztą i tak nie mamy wyboru. Ci chłopcy są genialnymi tropicielami. Wiele razy mało brakowało, żeby mnie dopadli. Wiedzą, że tu jestem, ale na razie jakoś im się wymykam.

- Od dawna?

- Od dziewięciu dni. Chociaż czasem mam wrażenie, że minęło dziewięć lat.

Biegli schyleni pod zwieszającymi się nad wodą gałęziami. Evansa zaczynały boleć uda i kolana, ale się tym nie przejął. Dopóki czuł ból, żył.

Nie przeszkadzał mu już upał, insekty ani pijawki, które oblażyły mu nogi. Cieszył się, że żyje.

- Skręcamy - zarządził Morton.

Wspięli się po gładkich przy brzegu i znaleźli wśród sięgających im do pasa paproci.

- Są tu węże? - spytała Sarah.

- Całe mnóstwo. Ale ja się ich nie boję.

- A czego się boisz?

- Plenti pukpuk.

- A co to jest?

- Krokodyle. Zniknęli w gąszczu.

- Fantastycznie - mmknął Evans.

Kenner zatrzymał się pośrodku koryta. Coś tu nie grało. Do niedawna wszędzie znajdował ślady pozostawione przez towarzyszy - bryzgi błota na kamieniach, mokre ślady rąk i butów, oderwane kawałki glonów, ale od paru minut: nic.

Wyszli na brzeg.

A on przegapił to miejsce.

Morton. On na pewno znał miejsce, w którym mogli niepostrzeżenie wyjść ze strumienia: duże kamienie przy brzegu, dużo paproci na podmokłym gruncie i sprężystej trawy, która łatwo się wyprostuje po zgnieceniu.

Gapa.

Zawrócił i zaczął powoli brnąć w górę strumienia. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie znajdzie ich śladów, zabłądzi. A jeżeli za długo będzie szedł korytem, dzieci w końcu go znajdą.

I zabiją.

## **Zatoka Resolution**

**Czwartek, 14 października Godz. 16.02**

Została im już tylko godzina. Morton przykucnął wśród kamieni i mangrowego gąszczu w środkowej części brzegu zatoki; pozostali skupili się wokół niego. Dwa metry od nich wody oceanu chlupotały na piasku.

- Powiem wam, co wiem - odezwał się półgłosem Morton. - Statek-baza jest ukryty pod brezentem na wschodnim skraju zatoki; stąd go nie widać. Od

tygodnia batyskaf codziennie schodzi pod wodę. Jest zasilany z akumulatorów, więc może pozostawać w zanurzeniu najwyżej godzinę. Wydaje się oczywiste, że rozmieszczają na dnie profilowane ładunki wybuchowe, które chcą zdetonować w precyzyjnie ustalonych odstępach czasu...

- Tak jak na Antarktydzie - wtrąciła Sarah.

- Właśnie, widzę, że wiecie, o czym mówię. Tutaj chcą wywołać podwodną lawinę. Sądząc po czasie zanurzenia batyskafu, ładunki znajdują się około dziewięćdziesięciu metrów pod wodą. Tak

się składa, że na takiej głębokości najłatwiej wywołać tsunami.

- Po co im namioty? - zainteresował się Evans.

- Wolą nie ryzykować. Może mają za mało ładunków, a może boją się, że same ładunki nie wystarczą. W każdym razie w namiotach trzymają tak zwane naddźwiękowe generatory kawitacyjne. To duże urządzenia, wielkości półciężarówki, zasilane silnikami dieslowskimi. Na razie je testują. Jest przy tym trochę hałasu. Kilka razy przesuwali namioty - o metr, o pół metra; wydaje mi się, że precyzyjne ustawienie kawitatorów jest bardzo ważne. Może chodzi o skupienie wiązki czy tego, co te urządzenia generują; nie do końca to rozumiem. Ale wygląda na to, że mają odegrać kluczową rolę w wywołaniu lawiny.

- Co możemy zrobić? - spytała Sarah.

- Nie przeszkodzimy im. Jest nas czworo, będzie pięcioro, jeśli Kenner nas znajdzie, na co się na razie nie zanosz. Ich jest trzynastu: siedmiu na statku i sześciu na łodzi. Wszyscy mają broń automatyczną.

- A my mamy Sanjonga - wtrącił Evans. - Nie zapominaj.

- Mówisz o tym Nepalczyku? Rebelianci na pewno już go złapali. Przed godziną słyszałem strzały na grzbiecie wzgórza, tam, gdzie was dopadli. Byłem zresztą niedaleko, kiedy was znaleźli. Próbowałem dać wam znać, kaszlałem, ale... - Morton wzruszył ramionami. - Zakładając, że trzy kawitatory muszą zostać zsynchronizowane, żeby wywołać jakiś tam efekt pod wodą, najlepiej byłoby uszkodzić jeden z nich. Albo dwa. W ten sposób pokrzyżowalibyśmy im plany, a na pewno osłabili efekt końcowy.

- Nie można im odciąć zasilania? - zapytała Jennifer.

- Mają wbudowane generatory.

- A zapłon? Z akumulatora?

- Nie. Z baterii słonecznych. To w pełni autonomiczne urządzenia.

- W takim razie trzeba będzie zdjąć obsługę.

- Zgadza się. A obsługa już o nas wie. Widzicie? Wystawili strażników przy namiotach, po jednym przy każdym. Mają też kogoś tam, na zboczu. - Morton wskazał wzgórze na zachód od zatoki.  
- Nie widzę go, ale ma pewnie na oku całą zatokę.

- Niech sobie patrzy - stwierdziła Jennifer. - Proponuję sprzątnąć tych przy namiotach i uszkodzić maszynię. Mamy dość broni i... - Przerwała i wyjęła magazynek z karabinu. Był pusty. - Sprawdźcie swoje spluwy.

Chwila zamieszania - i przeczące ruchy głów. Evans miał cztery naboje, Sarah dwa, Morton żadnego.

- Gówniarze byli prawie bez amunicji...

- Tak jak my teraz. - Jennifer odetchnęła głęboko. - Bez broni będzie trochę trudniej. - Spojrzała na plażę, mrużąc oczy przed słońcem. - Od lasu do namiotów jest dziesięć metrów. Otwarty teren. Nie dobiegniemy.

- Może by jakoś odwrócić ich uwagę?

- Nie bardzo wiem jak. Jeden strażnik stoi na zewnątrz, jeden gość jest w środku. Obaj mają broń?

Morton pokiwał głową.

- Automatyczną.

- Niedobrze - mruknęła Jennifer. - Bardzo niedobrze.

Kenner biegł strumieniem w bryzgach wody, rozglądając się na boki. Po jakichś stu metrach zauważył ledwie widoczny odcisk mokrej dłoni na kamieniu. Podszedł bliżej. Trawa na brzegu była zdeptana.

W tym miejscu wyszli na brzeg.

Ruszył w kierunku zatoki. Morton dobrze znał okolicę, bo ślady po chwili znów zeszyły do koryta strumienia, tym razem znacznie węższego, i, niestety, stromo opadającego w dół. To był zły znak.

Ale przynajmniej dało się tędy iść. Gdzieś z przodu dobiegło szczekanie, lecz pies, który by tak szczekał, musiałby być chory albo zachrypnięty.

Kenner schylił się i przyspieszył.

Musiał ich ostrzec.

Morton usłyszał szczekanie i zmarszczył brwi.

- Co się stało? - spytała Jennifer. - Rebelianci mają psy?

- To nie pies.

- Faktycznie, dziwnie brzmi.

- Bo to nie pies. W tej części świata nauczyły się takiej sztuczki: udają psa, a kiedy zwabiony szczekaniem pies przybiegnie, zjadają go.

- Kto?

- Krokodyle. To krokodyl. Jest gdzieś niedaleko.

Od strony plaży dobiegł warkot silników samochodowych. Trzy dżipy wjechały od wschodu nad zatokę i pędziły po piasku w kierunku namiotów.

- A to co znowu? - zdziwił się Evans.

- Ćwiczą to od tygodnia. Obserwujcie ich. Każdy zatrzyma się przy innym namiocie... Widzicie? Pierwszy... drugi... trzeci... Stanęli. Nie gaszą silników. Dżipy są skierowane na zachód.

- Co jest na zachodzie?

- Bita droga, która wspina się sto metrów na zbocze i kończy ślepo.

- Coś tu kiedyś było?

- Nie. Sami wycięli tę drogę w dżungli. Od tego w ogóle zaczęli pracę. - Morton spojrzał w stronę wschodniego łuku zatoki. - Zwykle o tej porze statek wychodził w morze. Ale na razie go nie widać.

- O rany... - mruknął Evans.

- Co się stało?

- Chyba o czymś zapomnieliśmy.

- O czym?

- Martwimy się, że tsunami pomknie do Kalifornii. Kiedy dno się obsunie, woda zostanie zassana w głąb, prawda? Ale potem znów wypłynie. Popatrzcie: wrzucę kamień do wody. - Evans cisnął kamyk do pobliskiej kałuży. - Wygeneruję w ten sposób falę. Symetryczną.

- Która rozejdzie się we wszystkich kierunkach.

- Och, nie... - jęknęła Sarah.

- Och tak. We wszystkich kierunkach, czyli także w stronę brzegu. Tsunami uderzy również w Garedę. I to bardzo szybko. Jak daleko od brzegu jest Rów Salomoński?

- Nie wiem. - Morton wzruszył ramionami. - Ze trzy kilometry? Naprawdę nie wiem, Peter.

- Jeżeli fala rozwija szybkość ośmiuset kilometrów na godzinę, to znaczy, że tutaj będzie po...

- Dwudziestu czterech sekundach - odpowiedziała Sarah.

- I tyle właśnie czasu będziemy mieli na ucieczkę po tym, jak ruszy podwodna lawina. Dwadzieścia cztery sekundy.

Pierwszy generator zawarczał i ożył z dudniącym łoskotem. Po chwili dołączył do niego drugi, potem trzeci. Morton spojrział na zegarek.

- Zaczęli.

Rozległo się miarowe buczenie, z początku ciche, lecz z czasem coraz wyraźniejsze i bardziej basowe.

- Włączyli kawitatory - wyjaśnił Morton. Jennifer zarzuciła karabin na ramię.

- Przygotujcie się.

Sanjong bezszelestnie zsunął się po gałęziach na pokład „Scorpiona”. Dwunastometrowy stateczek musiał mieć wyjątkowo małe zanurzenie, bo udało się mu podejść bardzo blisko wschodniego skraju zatoki, gdzie skrył się pod drzewami. Z plaży nie było go widać. Dopiero słysząc dobiegający z dżungli dźwięk prowadzonych przez radio rozmów, Sanjong zorientował się, gdzie go szukać.

Przykucnął na rufie, ukryty za żurawikiem batyskafu, i nasłuchiwał. Ze wszystkich stron słyszał głosy ludzi; na pokładzie musiało być ich sześciu, może siedmiu. Ale on przede wszystkim szukał detonatorów. Domyślał się, że powinny być w sterówce, ale nie miał pewności. A sterówkę od miejsca, w którym się znajdował, dzielił kawał odsłoniętego pokładu.

Spojrzął na zawieszony nad nim mały batyskaf: był jasnoniebieski, miał ponad dwa metry długości i szklaną kabinę w kształcie kopułki, w tej chwili otwartą. Opuszczało się go do wody - i podnosiło - za pomocą żurawika. A żurawik...

Sanjong rozejrzał się w poszukiwaniu pulpitu sterowniczego - musiał być w pobliżu, bo operator żurawika powinien widzieć batyskaf. W końcu go wypatrzył: zamknięta metalowa skrzynka stała przy burcie. Podkradł się do niej, otworzył pokrywę i przyjrzał się przyciskom. Było ich sześć, miały wymalowane strzałki wskazujące kierunek ruchu i razem przypominały małą klawiaturę.

Nacisnął guzik ze strzałką w dół.

Silnik żurawika zadudnił i batyskaf zaczął się obniżać.

Włączył się alarm.

Sanjong usłyszał tupot.

Ukrył się i czekał.

Sygnal alarmowy przebił się przez warkot diesli i buczenie kawitatorów. Evans rozejrzał się wokół.

- Skąd to słychać?

- Chyba gdzieś stamtąd, ze statku.

Ludzie na plaży też to usłyszeli: stali po dwóch przy wejściach do namiotów i pokazywali sobie statek palcami. Nie wiedzieli, co robić.

Nagle w dżungli za ich plecami zaterkotał pistolet maszynowy. Zaalarmowani wartownicy na plaży wpatrywali się w las, z bronią gotową do strzału.

- Pieprzę to! - Jennifer zabrała Evansowi karabin. - Lepszej okazji nie będzie.

Wybiegła na plażę i zaczęła strzelać.

Krokodyl zaatakował z przerażającą szybkością. Kenner ledwie zdążył zobaczyć rozwartą paszczę i miotające się w wodzie cielsko. Otworzył ogień. Szczęki zatrzasnęły się o centymetry od jego nogi; krokodyl zwinął się jak sprężyna i rzucił do kolejnego ataku. Tym razem zmiażdżył w pysku nisko zawieszoną gałąź.

Kule nic mu nie zrobiły.

Kenner rzucił się do ucieczki korytem strumienia. Krokodyl był tuż za nim.

Jennifer biegła w stronę najbliższego namiotu. Pozostało jej kilkanaście metrów, kiedy dwie kule jednocześnie trafiły ją w lewą nogę. Upadła na gorzcy piasek, nie przestając strzelać. Strażnik przy wejściu osunął się na ziemię; wiedziała, że nie żyje.

Evans doskoczył do niej, ale kiedy przykucnął, krzyknęła:

- Biegnij! Biegnij dalej!

Popędził w kierunku namiotu.

Ludzie na statku zatrzymali żurawik. Batyskaf znieruchomiał. Od strony plaży słychać było strzały, wszyscy przebiegli więc na prawą burtę i stanęli przy relingu, próbując zorientować się w sytuacji.

Sanjong przemknął po pokładzie przy lewej burcie. Nikogo tam nie było. Wśliznął się do sterówki, gdzie znajdowała się olbrzymia tablica elektroniczna. Stał przy niej mężczyzna w szortach i koszulce. Nad tablicą Sanjong zobaczył trzy rzędy opatrzonych numerami lampek.

To był sterownik detonatorów.

Sarah i Morton biegli w stronę drugiego namiotu skrajem plaży, jak najbliżej drzew. Strażnik od razu ich zauważył i zaczął strzelać, ale musiał być bardzo zdenerwowany, bo ani razu nie trafił. Kule cięły liście i gałęzie, nie dosięgając ludzi. A oni byli coraz bliżej. Kiedy znaleźli się w odległości dwudziestu metrów, Sarah zatrzymała się i oparła o pień drzewu - Wycelowała z pistoletu Mortona. Pierwszy strzał chybił, drugi trafił wartownika w prawe ramię. Mężczyzna upuścił broń. Wtedy



Morton poległ do namiotu. Strażnik próbował jeszcze wstać - i Sarah strzeliła po raz trzeci.

Morton zniknął w środku. Rozległy się dwa strzały i okrzyk bólu.

Zaczną biec.

W namiocie Evans stanął przed skomplikowaną machiną, opatrzoną mnóstwem sterczących rurek, przewodów i zaworów i zakończoną okrągłą płytą o średnicy dwu i pół metra, zawieszoną pół metra nad piaskiem.

Sam kawitator miał dobrze ponad dwa metry wysokości i rozgrzał się tak bardzo, że aż parzył. Hałas był ogłuszający.

Evans nikogo nie spostrzegł. Z karabinem w rękach - choć z pustym magazynkiem - zaczął obchodzić machinę dookoła. Skręcił raz, potem drugi...

I wtedy go zobaczył.

Bolden. Facet z Antarktydy. Stał przy pulpicie, manipulował pokrętłami, zerkając na ciekłokrystaliczny ekran i rząd wskaźników. Był tak zajęty, że nie zauważył Evansa.

A tego poniosły nerwy. Gdyby miał pełny magazynek, zastrzeliłby Boldena, który odłożył broń pod ścianę namiotu, bo musiał mieć obie ręce wolne.

Krzyknął. Bolden się odwrócił. Evans gestem dał mu znać, żeby podniósł ręce. Bolden rzucił się na niego.

Gdy tylko Morton wpadł do namiotu, pierwszy pocisk trafił go w ucho, chwilę później drugi utkwiał mu w barku. Krzyknął z bólu, osunął się na kolana, i tak ocalił życie, bo trzecia kula o milimetry chybiła jego głowy i przeszła płótno namiotu. Leżał na ziemi obok dudniącej maszyny, kiedy zobaczył strzelca z karabinem gotowym do strzału. Miał dwadzieścia kilka lat, brodę i ponury wyraz twarzy. Wymierzył w Mortona.

I wtedy zatoczył się do tyłu, na maszynę; krew bryzgnęła w powietrze i zasyczała w zetknięciu z rozpalonym metalem. Sarah stała w progu namiotu i strzelała: raz, drugi, trzeci, celując coraz niżej, w miarę jak brodacz osuwał się na ziemię.

- Zapomniałem, że dobrze strzelasz - powiedział Morton.

- Nic ci się nie stało? Pokręcił głową.

- Jak wyłączyć to cholerstwo?

Evans stęknął uderzony. Polecieli razem na ścianę namiotu, odbili się od niej i zatoczyli. Pchnął Boldena kolbą karabinu w plecy, lecz bez widocznego efektu. Próbował trafić go w głowę, ale mu się nie udało. Bolden tymczasem starał się go wypchnąć z namiotu.

Upadli na ziemię. Maszyna dudniła miarowo nad ich głowami. Nagle Evans przejrzał zamiary Boldena.

Chciał wepchnąć go pod płytę. Na razie obaj siłowali się przy jej krawędzi, ale Evans wyraźnie widział, jak powietrze pod nią drży. Musiało być niesamowicie rozgrzane.

Bolden uderzył go w głowę; okulary Evansa wpadły pod płytę kawitatora. Najpierw potrzaskały szkła, ułamek sekundy później pole kawitacyjne zmiażdżyło oprawkę - a po chwili z okularów nie został żaden ślad.

Oniemiały z przerażenia Evans patrzył, jak Bolden spycha go coraz bliżej i bliżej krawędzi płyty. Desperacja dodała mu sił. Kopnął z całej siły.

Bolden zatoczył się i uderzył twarzą o gorący metal. Zaskowyczał z bólu. Policzek mu poczerniał i zaczął dymić. Evans kopnął jeszcze raz, podniósł się błyskawicznie i stanąwszy nad Boldenem, kopnął go w żebra. Z całej siły. Chciał go zabić.

To za Antarktydę.

Przy następnym kopniaku Bolden złapał go za nogę i pociągnął. Evans upadł, ale zdążył kopnąć jeszcze raz - i trafił w głowę. Siła uderzenia odrzuciła Boldena.

I wpadł pod płytę.

Połowa jego ciała znalazła się w polu kawitacyjnym. Zaczął się trząść i drżeć spazmatycznie. Otworzył usta w krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Evans kopnął go ostami raz. Bolden zniknął pod płytą.

Zanim Evans zdążył przykucnąć i zajrzeć pod spód, z Boldena został obłok gryzącego dymu.

Wstał i wyszedł z namiotu.

Obejrawszy się przez ramię, Jennifer oddarła zębami kawałek bluzki i założyła sobie na nogę opaskę uciskową. Nie została wprawdzie trafiona w główną tętnicę, ale straciła sporo krwi i zaczynało jej się kręcić w głowie.

A musiała być przytomna, bo przecież pozostał jeszcze jeden namiot. Gdyby ktoś z niego wyszedł...

Na widok wynurzającej się z lasu sylwetki podniosła broń do strzału.

To był John Kenner. Opuściła rękę.

Biegł w jej stronę.

Sanjong strzelił w szybę osłaniającą sterownik - bezskutecznie; kuloodporne szkło nawet nie

popękało. Zaskoczony technik podniósł wzrok, ale Sanjong już był przy nim.

Zdażył jednak sięgnąć do przełączników na pulpicie. Sanjong strzelił dwa razy - raz w niego, raz w pulpit - ale się spóźnił.

Na pulpicie jedna po drugiej zapalały się czerwone lampki. Zaczęły się podwodne eksplozje. Zawyla ogłuszająca syrena alarmowa. Mężczyźni na statku krzyczeli coś, przerażeni. Mają powody się bać, pomyślał Sanjong. Tsunami właśnie zostało wywołane. Czas, nie ma czasu.

## **Zatoka Resolution**

**Czwartek, 14 października Godz. 16.43**

Ogłuszający dźwięk wibrował w powietrzu.

Evans wybiegł z namiotu i zobaczył, jak Kenner podnosi z ziemi Jennifer. Coś krzyczał, ale on go nie słyszał. Zorientował się tylko, że Jennifer jest cała we krwi. Podbiegł do dżipa i podjechał nim do obojga.

Kenner położył siostrzenicę z tyłu wozu. Oddychała płytko i szybko. Sarah pomagała Mortonowi wsiąść do drugiego dżipa. Kenner znów coś krzyknął, ale Evans dopiero po dłuższej chwili zrozumiał słowa:

- Sanjong! Gdzie jest Sanjong?! Evans pokręcił głową.

- Morton mówił, że nie żyje! Rebelianci!

- Na pewno?!

- Nie.

Kenner rozejrzał się po plaży.

- Jedź!

Sarah usiłowała jednocześnie prowadzić samochód i podtrzymywać Mortona, ale kiedy tylko go puszczała, żeby zmienić biegi, osuwał się na nią. Oddychał z wyraźnym trudem; mógł mieć przebite płuco. Próbowwała odliczać w pamięci: od eksplozji minęło już chyba z dziesięć sekund.

Czyli zostało im czternaście, piętnaście sekund, żeby wjechać na wzgórze.

Sanjong zeskoczył z pokładu na brzeg. Chwytając całymi garściami gałęzie i liście, zaczął rozpaczliwie gramolić się w górę zbocza. Ludzie na statku, widząc to, ratowali się w ten sam sposób.

Domyślał się, że pierwsza fala - najmniejsza, ale i tak pewnie już pięciometrowa - uderzy za

jakieś pół minuty. Poziom wody podskoczy na stoku o pięć metrów. Czyli przez najbliższe trzydzieści sekund on musi się wspiąć dziesięć metrów po błotnistym zboczu.

Wiedział, że nie zdąży.

Nie miał szans.

Ale nie rezygnował.

Sarah wjechała na drogę w dżungli; dżip niebezpiecznie przechylił się na pochyłości. Morton się nie odzywał, skóra coraz bardziej mu siniała. - Wytrzymaj, George! Wytrzymaj jeszcze chwilkę!

Samochodem zarzuciło. Sarah wrzasnęła ze strachu, zredukowała bieg i odzyskała panowanie nad kierownicą. We wstecznym lusterku widziała drugi samochód, prowadzony przez Evansa.

Cały czas odliczała w pamięci:

Osiemnaście.

Dziewiętnaście.

Dwadzieścia.

Dwaj mężczyźni z pistoletami maszynowymi wybiegli z trzeciego namiotu i wskoczyli do ostatniego dżipa. Ruszyli za Evansem, strzelając w biegu. Kenner próbował ich powstrzymać. Kule strzaskały szybę przed Evansem, więc odruchowo zwolnił.

- Jedź! - krzyknął Kenner. - Szybciej!

Evans nic nie widział: szyba albo była potrzaskana, albo zachlapana błotem. Wyciągał szyję, żeby coś zobaczyć.

- Gazu!

Kule świszczały w powietrzu.

Kenner próbował strzelać w opony jadącego za nimi wozu. W końcu trafił, dżip okręcił się w miejscu i przewrócił. Obaj pasażerowie wypadli i z trudem wstali. Kuleli.

Byli najwyżej pięć metrów nad plażą.

Za mało.

Kenner spojrzął na ocean. Fala zbliżała się do brzegu.

Już z daleka wydawała się olbrzymia. Spieniona, wypełniała całą szerokość horyzontu, pędząc

ku plaży. Im bliżej brzegu, tym wyższa. Dżip zatrzymał się gwałtownie.

- Co się stało?! - krzyknął Kenner.

- Ta cholerna droga się skończyła!

Fala miała blisko pięć metrów wysokości.

Z łoskotem runęła na plażę i pomknęła w głąb lądu. Prosto na nich.

Evans miał wrażenie, że wszystko toczy się w zwolnionym tempie: spieniona woda rozlała się po piasku, a fala posuwała się w głąb plaży, prawie nie zmieniając kształtu. Całkowicie przykryła najniższe zarośla; zieleń ustąpiła miejsca bieli.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Zdawała się nie tracić nic z impetu - po prostu napierała. Dwaj wyrzuceni z dżipa mężczyźni próbowali przed nią uciekać, ale woda przykryła ich i zniknęli Evansowi z oczu.

Fala sięgnęła jeszcze z półtora metra wyżej i nagle zaczęła się cofać. Zniknął dżip i ludzie w nim. Wiele drzew zostało ogołoconych z liści, niektóre prąd wyrwał z korzeniami.

Fala cofnęła się w głąb oceanu, odsłaniając szeroki pas piasku. W końcu rozmyła się w oddali i ocean znieruchomiał.

- To była pierwsza - stwierdził Kenner. - Najmniejsza.

Sarah podtrzymywała Mortona. Miał zimną skórę i sine usta, ale nie tracił przytomności. Nie odzywał się. Śledził ruch wody.

- Trzymaj się, George. Skinął głową i poruszył ustami.

- Co mówisz?

Uśmiechnął się słabo. Musiała czytać z ruchu jego warg. Nie darowałbym sobie, gdybym to przegapił. Choćby to miała być ostatnia rzecz w moim życiu.

Nadeszła następna fala.

Z daleka niczym nie różniła się od pierwszej, ale w miarę jak zbliżała się do wyspy, stało się oczywiste, że jest półtora raza większa. Runęła na plażę z łoskotem eksplozji. Woda dotarła po zboczu znacznie wyżej niż poprzednio: dojechali trzydzieści metrów nad plażę, fala sięgnęła prawie dwudziestu.

- Następna będzie jeszcze większa - ostrzegł Kenner.

Ocean uspokoił się na ładnych kilka minut. Evans odwrócił się do Jennifer.

- Posłuchaj, jeśli chcesz...

Nie zobaczył jej z tyłu. W pierwszej chwili przestraszył się, że wypadła z auta, dopiero później dostrzegł, że leży na podłodze i krzywi się z bólu. Twarz i bark miała we krwi.

- Jennifer?

Kenner złapał go za rękę i pokręcił głową.

- To robota tych dwóch z dzipa. Wcześniej było w porządku. Evans nie wiedział, co powiedzieć, tak był oszołomiony.

- Jennifer?

Miała zamknięte oczy. Ledwie oddychała.

- Zostaw. Albo przeżyje, albo nie. Do wyspy zbliżała się następna fala.

Nie mieli dokąd uciekać - dotarli do końca drogi i ze wszystkich stron otoczyła ich dżungla. Czekali więc i patrzyli, jak przerażająca, sycząca

ściana wody posuwa się w ich stronę. Fala już się złamała, ale po zboczu nadal sunął trzymetrowy, lity mur wody.

Sarah była przekonana, że tym razem ich zagarnie, ale fala wytraciła resztki energii dosłownie kilka metrów od nich. Zwolniła, rozmyślała się i cofnęła do oceanu.

Kenner spojrzał na zegarek.

- Mamy teraz parę minut - powiedział. - Zobaczymy, co się da zrobić.

- Z czym? - spytała Sarah.

- Musimy wspiąć się wyżej.

- Będzie jeszcze jedna?

- Co najmniej.

- Większa od tych?!

- Tak.

Minęło pięć minut - wykorzystali je, by przenieść się dwadzieścia metrów w górę zbocza. Kenner niósł krwawiącą i nieprzytomną Jennifer. Evans i Sarah pomagali iść Mortonowi, który ledwie trzymał się na nogach. W końcu Evans musiał go wziąć na plecy.

- Cieszę się, że trochę schudłeś - stwierdził. Morton tylko poklepał go po ramieniu. Evans na ugiętych nogach brnął pod górę. Nadeszła następna fala.

Zabrała dziopy. Miejsce, w którym je zostawili, było usłane połamanymi i powyrywany drzewami. Zatrzymali się, wycieńczeni, i posprzeczali się: to była czwarta fala czy piąta? Jakoś nikt nie mógł sobie tego przypomnieć. W końcu uznali, że jednak czwarta.

- Co robimy? - spytała Sarah.

- Idziemy dalej.

Osiem minut później na Garede runęła następna fala - tym razem mniejsza od poprzedniej. Zmęczony Evans mógł już tylko stać i patrzeć. Kenner próbował zatamować krwotok u Jennifer, ale jej ciało niebezpiecznie pobladło, a usta zrobiły się sine.

Wszelkie oznaki ludzkiej działalności zniknęły z plaży: nie było namiotów ani generatorów - zostały tylko sterty morskiego śmiecia, gałęzie, kawałki drewna, wodorosty i piana.

- Co to było? - spytała Sarah.

- Co?

- Ktoś wołał...

Spojrzeli na przeciwległy brzeg zatoki. Ktoś do nich machał.

- Sanjong - stwierdził z uśmiechem Kenner. - A to sukinsyn... Mam nadzieję, że dobrze się zastanowi, zanim się stamtąd ruszy. Przez ten śmietnik przedzierałby się ładnych parę godzin. Ciekawe, czy fala zabrała śmigłowiec. Jeśli nie... polecimy po Sanjonga.

## **Ocean Spokojny**

### **Piątek, 15 października Godz. 17.04**

Trzyście tysięcy kilometrów na wschód od Garedy, w Golden w stanie Kolorado, był środek nocy, kiedy komputery Krajowego Centrum Informacji o Trzęsieniach Ziemi, NEIC, zarejestrowały nietypowy wstrząs sejsmiczny o sile sześciu i trzech dziesiątych stopnia w skali Richtera, w basenie Pacyfiku, na północ od Wysp Salomona. Wstrząs był silny. Jego niezwykły charakter sprawił, że komputery zakwalifikowały go jako „anomalie” - była to jednak etykieta stosunkowo często stosowana do wydarzeń sejsmicznych w tym rejonie świata, gdzie trzy płyty tektoniczne nakładają się i oddziałują na siebie nieprzewidywalnie.

Komputery NEIC uznały również, że „anomalie” ma zbyt gwałtowny charakter i nie nosi znamion wydarzenia grożącego wywołaniem tsunami - chociaż na południu Pacyfiku ten termin ulegał ostatnio silnym przewartościowaniom, po tym jak w 1998 Nową Gwineę zniszczyło największe

tsunami śmiecia, wywołane wstrząsem, który również nie charakteryzował się typowym dla tsunami profilem. Dlatego też na wszelki wypadek komputery powiadomiły o zaistniałej sytuacji Śródoceaniczną Sieć Przekąźnikową w Hilo, na Hawajach.

Sześć godzin później rozmieszczone na oceanie boje zarejestrowały dwudziestocentymetrową falę, odpowiadającą charakterystyce tsunami. Ze względu na dużą głębokość oceanu, zmiany poziomu wód z dala od brzegu były minimalne. Znajdujące się w tych okolicach statki w ogóle nie odczuły przejścia fali. Ale boje zareagowały i wszczęły alarm.

Na Hawajach był środek nocy, kiedy komputery odebrały sygnał i podświetliły ekrany. Administrator sieci Joe Ohiri, który uciął sobie drzemkę, wstał, nalał kawy i zapoznał się z danymi. Zapowiadało się ewidentne tsunami, na szczęście szybko gasnące na przestrzeni oceanu, o tyle jednak nietypowe, że miało uderzyć w brzegi Hawajów od południa. Ohiri szybko obliczył siłę fal, a ponieważ wynik nie zrobił na nim wielkiego wrażenia, rozesłał rutynowe ostrzeżenie do obrony cywilnej na wszystkich zamieszkałych wyspach. Komunikat zaczynał się od słów: „Informacja...”, a kończył szablonowym tekstem o ostrzeżeniu wydanym na podstawie wstępnych szacunków. Ohiri zdawał sobie sprawę, że nikt się nim specjalnie nie przejmie. Zawiadomił również ośrodki sejsmograficzne na Alasce i zachodnim wybrzeżu USA, gdzie fala powinna dotrzeć przed południem.

Pięć godzin później boje zacumowane u wybrzeży Kalifornii i Alaski zarejestrowały słabnące tsunami. Komputery obliczyły prędkość i przewidywaną siłę fal i zaleciły niepodejmowanie żadnych specjalnych działań. To oznaczało, że do lokalnych stacji sejsmograficznych informacja o tsunami dotarła jako zwykły biuletyn, a nie wiadomość alarmowa:

**SILA I MIEJSCE WYSTĄPIENIA TRZĘSIENIA ZIEMI NIE WYSTARCZYŁY DO WYWOŁANIA TSUNAMI, KTÓRE MOGŁOBY ZAGROZIĆ STANOM: KALIFORNIA, OREGON, WASZYNGTON, ALASKA ORAZ KOLUMBII BRYTYJSKIEJ. W NIEKTÓRYCH REJONACH MOŻLIWE NIEWIELKIE ZMIANY POZIOMU MORZA.**

Kenner, który śledził te informacje na swoim komputerze, pokręcił z uśmiechem głową. - Nick Drake nie będzie zachwycony.

Zgodnie z jego hipotezą, generatory kawitacyjne były niezbędne do wzmocnienia i przedłużenia efektu eksplozji, co wywołałoby długotrwałą podwodną lawinę i naprawdę potężne tsunami. Na szczęście do tego nie doszło.

Półtorej godziny później słabiutkie fale dotarły do wybrzeży Kalifornii. Było ich sześć, miały średnią wysokość niecałych dwóch metrów i poza surferami, którzy mogli się nimi przez chwilę nacieszyć, nie zwróciły niczyjej uwagi.

Kenner zbyt późno dowiedział się, że FBI od dwunastu godzin usiłuje się z nim skontaktować. Okazało się, że V. Allen Willy o drugiej nad ranem czasu lokalnego wyjechał ze swojego domu przy plaży. Było to niespełna godzinę po wydarzeniach w zatoce Resolution i ponad dziesięć godzin przed zawiadomieniem o tsunami.

Czyżby więc Willy stchórzył i postanowił nie czekać? Ale w ten sposób popełnił błąd.



Kenner zadzwonił do agenta FBI, który obserwował dom, i rozpoczął starania o zdobycie rejestru rozmów telefonicznych Allena.

Przez następne trzy dni nie pozwolono im odlecieć z wyspy. Formalnościom i przesłuchaniom nie było końca. Przebite płuco Mortona i rany Jennifer wymagały natychmiastowej interwencji, a z tym był pewien problem. Morton zażyczył sobie operacji w Sydney, ale jako osoba, którą w USA uznano za zaginioną, nie mógł tak po prostu się pojawić. Mimo że psioczył na miejscowych lekarzy, w Gareda Town zajął się nim doskonały, wyszkolony w Melbourne chirurg. Jennifer nie mogła na niego czekać: operacja usunięcia groźnych kul trwała pięć godzin i wymagała trzech transfuzji krwi. Później, bliską śmierci, podłączono ją do respiratora, pod którym przeżyła następne czterdzieści osiem godzin. Po ich upływie otworzyła oczy, zdjęła maskę tlenową i powiedziała do siedzącego przy łóżku Evansa:

- Co za mina! Przecież żyję, na miłość boską. Głos miała jeszcze słaby, ale uśmiech szczery.

Tymczasem starcie z buntownikami przysporzyło im również innych problemów - przede wszystkim zniknął jeden z członków wyprawy, słynny aktor Ted Bradley. Opowiedzieli, co się z nim stało, ale nie mieli bezstronnych świadków, więc policja kazała im powtarzać tę historię w kółko.

A potem niespodziewanie pozwolono im odlecieć. Nikt nie umiał tego wyjaśnić, lecz dokumenty nagle okazały się w porządku, oddano im paszporty i... droga wolna.

Evans przespał niemal całą podróż do Honolulu. Kiedy samolot zatankował i znów wzbił się w powietrze, wstał i dołączył do innych. Morton opowiadał właśnie, co naprawdę wydarzyło się tej nocy, kiedy miał wypadek.

- Było oczywiste, że Nick w podejrzany sposób gospodaruje pieniędzmi. NERF nie działał nic dobrego, a Nick był wściekły. I niebezpieczny. Groził mi, a ja miałem powody do obaw. Ustaliłem, że NERF ma związki z ELF-em, i zacząłem być dla niego zagrożeniem. Baliśmy się z Kennerem, że spróbuje mnie zabić. I spróbował. Posłużył się tą dziewczyną w kawiarni w Beverly Hills.

- No tak - przypomniał sobie Evans. - Ale jak udało ci się wyjść cało z tego wypadku? Wyglądało to cholernie niebezpiecznie...

- Masz mnie za wariata? Nie było żadnego wypadku.

- Jak to?

- Pojechałem spokojnie dalej.

- Ale... - Evans pokręcił głową. - Nie rozumiem.

- Rozumiesz, rozumiesz - powiedziała Sarah. - Niestety za dużo ci powiedziałam, zanim George zadzwonił do mnie i kazał mi trzymać język za zębami.

Przypomniał sobie tamtą rozmowę, do której wtedy nie przywiązywał wagi. Sarah powiedziała:

„Kazał mi kupić nowe ferrari od gościa w Monterey i przewieźć je do San Francisco”.

Zdziwił się, że George kupuje następne ferrari. Usłyszał w odpowiedzi: „No właśnie. Ile można ich mieć? W dodatku ten egzemplarz nie trzyma standardów George’a. Sądząc ze zdjęć, które dostałam e-mailem, jest w fatalnym stanie”. - I dalej: - „To model z 1972 roku, daytona spyder 365 GTS. Już jedno takie ma. Zachowuje się tak, jakby o nim zapomniał”.

- Wcale nie zapomniałem. To były wyrzucone pieniądze! Wóz rzeczywiście był w fatalnym stanie. A potem zawiozłem do Sonomy dwóch speców od efektów specjalnych z Hollywood i kazałem im go dodatkowo zmasakrować. Tamtego wieczoru przewieźli go na lawecie w umówione miejsce, postawili na drodze, zapalili świece dymne...

- A ty spokojnie minąłeś stojący na jezdni wrak - dokończył Evans.

- No właśnie. Dojechałem za najbliższy zakręt, zjechałem z drogi, wdrapałem się na górę i patrzyłem, co robicie.

- Ty skurczybyku...

- Przykro mi, ale tylko wasze prawdziwe emocje mogły odwrócić uwagę policji.

- Od czego?

- Na przykład od tego, że blok silnika ferrari był zupełnie zimny - wtrącił Kenner. - Przecież od dawna nikt go nie uruchamiał. Któryś z gliniarzy zwrócił na to uwagę, kiedy ładowali wrak na ciężarówkę. Zaczął cię potem wypytywać o czas wypadku i tak dalej. Bałem się, że się zorientują.

- Ale się nie zorientowali - stwierdził Morton.

- Nie. Chociaż wiedzieli, że coś nie gra. Nie sądzę, żeby wpadli na pomysł z dwoma identycznymi ferrari.

- Nikt przy zdrowych zmysłach nie rozbiłby z własnej woli 365 GTS z 1972 roku. Nawet takiego w kiepskim stanie.

Morton uśmiechał się od ucha do ucha, ale Evans był wściekły.

- Mogliście mi powiedzieć...

- Nie - uciął Kenner. - Musiałeś wywrzeć nacisk na Drake’a. Dlatego dostałeś od nas komórkę.

- Tak?

- To była prymitywna pluskwa. Drake miał nabrać podejrzeń, że jesteś wtajemniczony w śledztwo George’a. Chcieliśmy wywrzeć na niego presję.

- I wywarliście. Prawie mnie otruli w mieszkaniu. Nieźle się zabawiliście moim kosztem.

- Wszystko dobrze się skończyło.

- Wypadek miał też zwiększyć presję na Drake'a?

- I dać mu wolną rękę - dodał Morton. - Musiałem lecieć na Wyspy Salomona... zobaczyć, co się tam dzieje. Wiedziałem, że Nick zachowa największą niespodziankę na koniec. Chociaż... gdyby udało im się wpłynąć na trajektorię huraganu... tak żeby trafił w Miami, a przecież taki mieli plan, byłoby na co popatrzeć.

- Chrzań się, George.

- Przykro mi, ale nie było innego wyjścia - powiedział Kenner.

- Obaj się chrzańcie.

Evans wstał i przesiadł się na przód kabiny, gdzie siedziała Sarah. Był tak wściekły, że przez pierwszą godzinę nie odezwał się do niej ani słowem, tylko wyglądał przez okno. Ona odezwała się pierwsza. Pół godziny później objęli się i przytulili.

Evans zapadł w niespokojną drzemkę. Dokuczało mu poobijane ciało, nie mógł się wygodnie ułożyć, co chwila budził się i otępiały potrzasał głową. Za którymś razem wydało mu się, że słyszy Kennera, który mówił coś do Sarah.

- Nie zapominajmy, gdzie żyjemy. Na trzeciej planecie krążącej wokół średniej wielkości Słońca, która ma pięć miliardów lat i od swoich narodzin nieustannie się zmienia. Obecnie ma już trzecią z kolei atmosferę.

Pierwsza składała się z helu i wodoru i szybko wyparowała, bo Ziemia była wtedy bardzo gorąca. Potem planeta zaczęła stygnąć i erupcje wulkaniczne doprowadziły do powstania drugiej atmosfery, złożonej z pary wodnej i dwutlenku węgla. Para skropliła się i utworzyła oceany, które pokryły większość powierzchni globu. Mniej więcej trzy miliardy lat temu pojawiły się bakterie, jedne pochłaniały dwutlenek węgla, wydzielając przy tym bardzo toksyczny gaz, tlen, inne produkowały azot i w ten sposób koncentracja tych dwóch gazów w atmosferze powoli się zwiększała. Organizmy, które nie umiały się przystosować, wyginęły.

Tymczasem masy lądowe na olbrzymich płytach tektonicznych przyjęły konfigurację, która blokowała ruch prądów oceanicznych. Pierwszy raz klimat zaczął się ochładzać. Pierwsza epoka lodowcowa rozpoczęła się około dwóch miliardów lat temu.

Od siedmiuset tysięcy lat Ziemia tkwi w geologicznej epoce lodowcowej, w której lodu na przemian przybywa i ubywa. Nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje, ale lód pokrywa całą Ziemię co sto tysięcy lat, a co dwadzieścia tysięcy dochodzi do mniejszych zlodowaceń. A że do ostatniego doszło dwadzieścia tysięcy lat temu, znajdujemy się na progu nowej epoki lodowcowej.

Co więcej, nawet dziś, pięć miliardów lat od jej powstania, Ziemia pozostaje zdumiewająco aktywna. Mamy pięćset czynnych wulkanów; średni odstęp między erupcjami wynosi dwa tygodnie.

Trzęsienia ziemi notuje się bez przerwy - rocznie jest ich półtora miliona; średnie, pięciostopniowe, zdarzają się co sześć godzin, a silne co dziesięć dni. Co trzy miesiące przez Pacyfik pędzi tsunami.

Nasza atmosfera jest równie nieokiełznana jak powierzchnia globu. W każdej chwili szaleje w niej tysiąc pięćset burz z wyładowaniami elektrycznymi; co sekundę w ziemię uderza jedenaście piorunów. Co cztery dni cyklon o średnicy setek kilometrów rozpędza się nad oceanem i zagraża stałemu lądowi.

A te paskudne małe małpiszony, zwane ludźmi, niech chowają się po kątach. One mogłyby ustabilizować atmosferę i kontrolować klimat? Cóż za arogancja!

Prawda jest taka, że małpiszony mogą tylko uciekać przed burzą.

- Co teraz z nami będzie?

- Już ci mówię - odparł Morton. - Nadal pracujecie dla mnie. Zakładam nową organizację ekologiczną, muszę tylko wymyślić dla niej nazwę. Wolałbym uniknąć takich pretensjonalnych słów jak „światowy”, „zasoby naturalne”, „ochrona”, „obrona”, „dzika przyroda”, „fundusz”, „fundacja” i tak dalej. Bo te wyrazy można dowolnie mieszać i łączyć. Światowy Fundusz Ochrony Dzikiej Przyrody. Fundusz Obrony Zasobów Świata Natury. Fundacja na rzecz Ochrony Światowych Zasobów Naturalnych. Zresztą wszystkie te nazwy już od dawna funkcjonują. Potrzebne będzie coś nowego i prostego. Coś uczciwego. Myślałem o Zbadaj Problem i go Rozwiąż, tylko skrót wychodzi kiepski. Chociaż może to i dobrze. Zatrudnimy naukowców, techników, ekonomistów, inżynierów i tylko jednego prawnika.

- Czym się chcesz zajmować?

- Jest tyle do zrobienia! Na przykład nikt nie ma pojęcia, jak naprawdę należy chronić przyrodę. Moglibyśmy wydzielić kilka rezerwatów i stosować w nich różne metody zarządzania. Zaprosilibyśmy niezależne zespoły, które oceniłyby nasze wysiłki i pomogły nam zmodyfikować strategię. A potem jeszcze raz, i jeszcze. Byłby to proces iteracyjny z niezależną krytyką. Nikt tego wcześniej nie próbował. Aż w końcu dowiedzielibyśmy się, jak opiekować się różnymi obszarami. Ale nie jak je konserwować. Nie można zakonserwować natury, która zawsze będzie się zmieniać. Jeśli ma się jednak odpowiednią wiedzę, można ją chronić. A na razie nikt jej nie posiada. To ogromna dziedzina: zarządzanie ekosystemami złożonymi.

- No dobrze...

- Potem zajęlibyśmy się problemami krajów rozwijających się. Najpoważniejszą przyczyną niszczenia natury jest bieda. Człowiek, który umiera z głodu, nie będzie sobie zawracał głowy tym, czy zanieczyszcza środowisko. On chce mieć co jeść. Na świecie głoduje pół miliarda ludzi, ponad pół miliarda nie ma dostępu do czystej wody. Musimy opracować sprawne systemy dystrybucji wody i żywności, przetestować je, poddać niezależnej weryfikacji, a potem wprowadzić w życie.

- To trudne.

- Trudne dla ideologów i agencji rządowych, ale jeśli ktoś po prostu zbada problem i spróbuje go rozwiązać, da sobie radę. A ja zamierzam się oprzeć na własności prywatnej: prywatne fundusze, prywatna ziemia, żadnej biurokracji, pięć procent personelu i zasobów idzie na administrację. Poza tym wszyscy pracują w terenie. Będziemy konkretni. Badania ekologiczne trzeba prowadzić jak biznes.

- Czemu nikt tego do tej pory nie zrobił?

- Żartujesz? To by był skrajny radykalizm! Spójrzmy prawdzie w oczy: wszystkie te organizacje ekologiczne mają po trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt lat; wielkie biurowce, setki ludzi i ogromne zobowiązania. Podpierają się swoimi młodzieńczymi marzeniami, ale stały się częścią establishmentu. A establishment dąży do zachowania status quo. Tak to już jest.

- W porządku. Co jeszcze planujesz?

- Badania przydatności nowych technologii. Kraje Trzeciego Świata mogą przeskoczyć pewne etapy rozwoju: na przykład pominąć tradycyjną telefonię i postawić od razu na komórkową. Ale nikt nie bada technologii pod kątem przydatności do takich skoków i ewentualnych skutków ubocznych. Energia wiatrowa jest świetna, ale nie dla ptaków - wiatraki są dla nich jak gilotyny. Być może mimo to powinniśmy je budować, ale ludzie po prostu nie wiedzą, co o tym myśleć. Przedstawiają postulaty, wygłaszają kazania, a nie prowadzi się żadnych badań. Żadnych prób. Ludzie boją się rozwiązywać problemy, bo rozwiązanie mogłoby się okazać sprzeczne z filozofią, którą wyznają. A dla większości wierność własnym przekonaniom jest ważniejsza niż sukces.

- Serio?

- Wiem, co mówię. Jak będziesz w moim wieku, też to zrozumiesz. Następna sprawa: wykorzystanie gruntów. Rekreacyjne i uniwersalne. To prawdziwy problem. Nikt nic nie wie, a sprawa jest tak drażliwa, że przyzwoici ludzie albo się poddają, albo toną w procesach. I nic z tego nie wynika. Rozwiązań jest zapewne wiele. Może się okazać, że trzeba

podzielić tereny ze względu na ich przyszłe przeznaczenie. Kłopot w tym, że żyjemy wszyscy na jednej planecie. Niektórzy lubią operę, inni Vegas. Tych, którzy wolą Vegas, jest znacznie więcej.

- Mów, mów.

- Potrzebny nam będzie nowy mechanizm finansowania badań. Obecnie sytuacja naukowców przypomina sytuację renesansowych malarzy, którzy wykonywali portrety na zlecenie zamożnych klientów. Ci bystrzejsi pamiętali o tym, żeby mecenas wypadał na portrecie korzystnie, chociaż bez przesady: korekty musiały być subtelne. Ale ten mechanizm jest fatalny dla badań prowadzonych w dziedzinach, które mogą mieć wpływ na politykę. Tym bardziej że nie promuje szukania rozwiązań, bo po rozwiązaniu problemu wysycha źródło finansowania. To się musi zmienić.

- Jak?

- Mam parę pomysłów. Uniezależnić naukowców od funduszy. Zapewnić niezależną weryfikację wyników. Badania, które będą miały wpływ na decyzje polityczne, mogłoby być prowadzone przez kilka zespołów jednocześnie. Jeśli to naprawdę ważne, to czemu nie? Spróbujemy wpłynąć na sposób publikowania raportów naukowych: artykuł i niezależna recenzja powinny się znaleźć w tym samym numerze. Atmosfera szybko się oczyści. Czasopisma naukowe zostaną wypłątane z polityki, redaktorzy będą mogli uczciwie zabrać głos na różne tematy.

- Coś jeszcze?

- Nowe etykiety. Kiedy czytasz: „Stąd wniosek, że antropogeniczne gazy cieplarniane i związki siarki mają mierzalny wpływ na ciśnienie atmosferyczne na poziomie morza”, wyobrażasz sobie, że autor pojeździł po świecie i dokonał pomiarów. A w rzeczywistości zrobił tylko symulację komputerową. Ludzie zaczynają traktować wyniki symulacji jak prawdziwe dane doświadczalne. Tak nie może być. Marzy mi się stempelek:

Uwaga: symulacja komputerowa - może być błędna i nie podlegać weryfikacji. Jak ostrzeżenia na paczkach papierosów. Tak samo trzeba by oznaczać artykuły w prasie fachowej i wiadomości w telewizji. Uwaga: domniemanie, grozi brakiem oparcia w faktach. Wyobrażasz sobie takie znaczki w gazetach?

- Coś jeszcze? - spytał Evans z uśmiechem.

- Jest jeszcze parę spraw, ale to są te najważniejsze. To bardzo trudne zadanie, będziemy mieli cały czas pod górkę. Grożą nam protesty, sabotaż, pomówienia. Będą nas wyzywać od najgorszych. Establishment dostanie szału, gazety będą z nas kpić... Ale w końcu doczekamy się pieniędzy, bo będziemy mieli wyniki. I wtedy wszystkim zamkniemy usta i będziemy sławni. To najtrudniejszy okres.

- A co będzie potem?

- Ja zdążę do tego czasu umrzeć. Ty i Sarah będziecie kierować organizacją przez dwadzieścia lat, a waszym ostatnim zadaniem będzie rozwiązać ją, zanim przerodzi się w jeszcze jedną zmęczoną maszynę ekologiczną, która rozsiewa przestarzałe informacje, marnuje pieniądze i robi więcej złego niż dobrego.

- No tak... Co dalej? Co się będzie działo po jej rozwiązaniu?

- Znajdziecie jakiegoś młodego, bystrego człowieka i spróbujecie przekonać go, żeby zrobił to, co będzie naprawdę niezbędne w nowym pokoleniu.

Evans spojrzał na Sarah. Wzruszyła ramionami.

- Ja nie mam lepszego pomysłu - powiedziała.

Pół godziny przed tym, jak znaleźli się nad Kalifornią, zobaczyli brunatną mgiełkę wiszącą nad oceanem. Stopniowo robiła się coraz gęstsza i ciemniejsza. Wkrótce ujrzeli światła miasta ciągnące się kilometrami, niewyraźne i migoczące w smogu.

- Piekło na ziemi, co? - mruknęła Sarah. - Aż trudno uwierzyć, że mamy tam wylądować.

- Czeka nas mnóstwo pracy - stwierdził Morton. Samolot zniżył lot, zmierzając w stronę Los Angeles.

## **Od autora**

Powieść taka jak Państwo strachu, w której wyrażone zostaje tak wiele poglądów na tak różne tematy, może budzić ciekawość czytelnika, jakie właściwie stanowisko zajmuje autor. Od trzech lat czytuję teksty ekologiczne, co samo w sobie jest ryzykownym zajęciem, ale miałem okazję zapoznać się z mnóstwem danych i rozważyć wiele punktów widzenia. Oto moje wnioski:

Zdumiewająco niewiele wiemy o wszystkich aspektach środowiska naturalnego, od jego przeszłości, przez stan dzisiejszy, aż po metody skutecznego nim zarządzania. We wszystkich dyskusjach zainteresowane strony przeceniają zarówno zakres, jak i rzetelność naszej obecnej wiedzy.

Ilość dwutlenku węgla w atmosferze wzrasta. Dzieje się tak najprawdopodobniej za sprawą działalności człowieka.

Trwa naturalny okres ocieplania się klimatu, rozpoczęty około roku 1850, po wyjściu Ziemi z czterystuletniej „małej epoki lodowcowej”.

Nikt nie wie, w jakim stopniu obserwowane obecnie ocieplenie jest wywołane przyczynami naturalnymi.

Nikt też nie wie, w jakim stopniu ocieplenie to jest wywołane działalnością człowieka.

Nikt nie wie, o ile Ziemia ociepli się w ciągu najbliższych stu lat. Modele komputerowe różnią się w przewidywaniach o czterysta procent, co najlepiej dowodzi, że nie mamy o tej sprawie pojęcia. Gdybym jednak miał zgadywać - czyli robić to, co robią wszyscy - oszacowałbym prawdopodobny wzrost temperatury na 0,812436 stopnia Celsjusza. Nie ma żadnych dowodów na to, że moje wyliczenie jest lepsze lub gorsze od innych. (Nie jesteśmy w stanie „oszacować” ani „przewidzieć” przyszłości. Oba te określenia to eufemizmy. Pozostaje nam zgadywanie).

Podejrzewam, że obserwowane dziś nagrzewanie się powierzchni Ziemi zostanie częściowo przypisane działalności człowieka. Przypuszczam również, że ocieplenie atmosfery będzie miało tu minimalne znaczenie, a decydujący będzie wpływ struktury użytkowania gruntów.

Zanim zacniemy podejmować kosztowne decyzje na podstawie komputerowych modeli klimatycznych, proponuję zastosować rozsądny, moim zdaniem, wymóg precyzyjnego przewidzenia

temperatury na najbliższych dziesięć lat. Albo - jeszcze lepiej - na najbliższe dwadzieścia.

Uważam, że człowiek, który nadal wierzy w rychłe wyczerpanie się zasobów naturalnych Ziemi, mimo że podobnie alarmistyczne prognozy powtarzają się od dwustu lat, zachowuje się co najmniej dziwacznie. Nie wiem, czy dzisiaj to przekonanie wynika z niezajomości historii, sklerotycznego dogmatyzmu, niezdrowego uwielbienia Malthusa, czy może ze zwyczajnego uporu, ale na pewno tkwi w nas głęboko.

Istnieje wiele względów przemawiających za rezygnacją z paliw kopalnych i w ciągu najbliższego stulecia z pewnością to zrobimy. Nie potrzeba nam do tego nowych przepisów, zachęt finansowych, programów oszczędności węgla i wiecznego krakania malkontentów. Jeżeli się nie mylę, na początku XX wieku nikt nie musiał zakazywać korzystania z transportu konnego.

Przypuszczam, że w roku 2100 ludzie będą od nas znacznie bogatsi i mniej liczni, będą zużywali więcej energii i cieszyli się większymi obszarami dzikiej przyrody. Naprawdę nie sędzę, żebyśmy musieli się o nich martwić.

Obecna granicząca z histerią dbałość o bezpieczeństwo jest w najlepszym przypadku marnotrawstwem zasobów i skazana ludzkim duchu, w najgorszym zaś - najkrótszą drogą do totalitaryzmu. Natychmiast potrzebujemy publicznej edukacji.

Dochodzę do wniosku, że większość ekologicznych „reguł” (takich jak idea ekorozwoju czy zasada ostrożności) prowadzi do podtrzymania ekonomicznej przewagi krajów zachodnich i stanowi podstawę nowoczesnego imperializmu. Jest to łagodny sposób powiedzenia: „Mamy to, co chcemy, ale wy tego mieć nie możecie, bo zatrujecie środowisko”.

Konsekwentnie stosowana zasada ostrożności przeczy sama sobie. Nie ma więc zbyt ostrych słów na jej określenie.

Wierzę w to, że ludzie mają dobre intencje. Ale czuję ogromny respekt wobec niszczącego wpływu uprzedzeń i zakłamania, potęgi racjonalizacji, maskowanego egoizmu i niezamierzonych konsekwencji.

Żywię większy szacunek dla ludzi, którzy pod wpływem nowych informacji zmieniają swoje zapatrywania, niż dla tych, którzy uporczywie trzymają się poglądów sprzed trzydziestu lat. Świat się zmienia, ideolodzy i zeloci nie.

Przez trzydzieści parę lat, jakie upłynęły od powstania mchu ekologicznego, w nauce dokonała się prawdziwa rewolucja. Wraz z nią przyszło nowe rozumienie dynamiki procesów nieliniowych, układów złożonych, teoria chaosu i katastrof. Nauka zmieniła nasze myślenie o ewolucji i ekologii. Tymczasem te dziś już wcale nienowe idee nadal nie docierają do aktywistów ekologicznych, którzy tkwią po uszy w koncepcjach i retoryce lat siedemdziesiątych.

Nie mamy absolutnie żadnego pojęcia, jak chronić to, co nazywamy dziką przyrodą. Najwyższy czas zacząć badać to zagadnienie. Nie zauważyłem faktów, które dowodziłyby, że prowadzimy takie badania z pokorą w sposób racjonalny i systematyczny. Dlatego też nie wróżę ochronie przyrody



wielkiej przyszłości w XXI wieku. Za jej zniszczenie organizacje ekologiczne odpowiadają w takim samym stopniu jak firmy budowlane i kopalnie odkrywkowe. Chciwość i niekompetencja mają jednakowe skutki.

Potrzebny nam jest nowy ruch ekologiczny, w którym nowe organizacje przystąpią do realizacji nowych zadań. Więcej ludzi powinno pracować w terenie, a mniej przy komputerach. Potrzebujemy więcej naukowców i znacznie mniej adwokatów.

Nie można liczyć na to, że uda nam się zarządzać tak złożonym systemem jak środowisko naturalne za pomocą procesów sądowych. Możemy tylko czasowo zmienić jego stan - najczęściej przez zakonserwowanie jakiegoś jego fragmentu - ale ostatecznych wyników nie potrafimy ani przewidzieć, ani kontrolować. Nie ma tematu bardziej politycznego niż nasz wspólny świat i nic nie szkodzi mu bardziej niż wierność jednej opcji politycznej. Właśnie dlatego, że środowisko naturalne jest wspólnym dobrem, nie może być zarządzane tylko przez jedną frakcję, zgodnie z obowiązującymi w niej preferencjami ekonomicznymi i estetycznymi. Wcześniej czy później opozycja dojdzie do władzy i spróbuje wywrócić poprzedniapolitykę do góry nogami. Stabilne zarządzanie środowiskiem wymaga uwzględnienia postulatów wszystkich grup: miłośników skuterów śnieżnych, wędkarzy, rowerzystów, piechurów, budowniczych nowego i konserwatorów starego. Ich wymagania są sprzeczne i jest to sprzeczność, której nie da się uniknąć. Ale wypracowywanie kompromisów jest najważniejszym zadaniem polityki. Pilnie potrzebny jest obiektywny, ślepy mechanizm finansowania badań naukowych, które będą stanowiły podstawę decyzji politycznych. Naukowcy doskonale wiedzą, dla kogo pracują. Potencjalni sponsorzy - firmy farmaceutyczne, agencje rządowe, organizacje ekologiczne - zawsze, kiedy zlecają badania, mają pewne oczekiwania co do ich wyników. System finansowania badań nie jest ani otwarty, ani przejrzysty. Naukowcy wiedzą że tylko spełnianie oczekiwań sponsora zapewni im ciągłość finansowania. Z tego właśnie powodu wyniki „badań” finansowanych przez ekologów są równie stronicze i podejrzone, jak wyniki „badań” zlecanych przez przemysł wydobywczy. To samo dotyczy prac na zlecenie rządu - ich wyniki zależą od tego, kto jest akurat u władzy. Żadna opcja polityczna nie powinna mieć tu przewagi.

Jestem przekonany, że na świecie jest za dużo pewności siebie. Przebywanie na łonie natury sprawia mi ogromną przyjemność. Najszcześliwsze dni w moim życiu to te, które spędzam sam na sam z przyrodą. Chciałbym, żeby środowisko naturalne przetrwało i żeby mogły się nim cieszyć następne pokolenia. Nie jestem pewien, czy będzie chronione odpowiednio szeroko ani z odpowiednią znajomością rzeczy. Do grona „niszczycieli środowiska” zaliczam pospołu organizacje ekologiczne, agencje rządowe i wielki biznes. Wszystkie mają fatalny bilans dotychczasowych dokonań. Każdy ma jakiś ukryty cel. Oprócz mnie.

## **Dodatek I**

### **Dlaczego nauka upolityczniona jest niebezpieczna**

Wyobraźmy sobie nową teorię naukową która ostrzega przed nieuniknionym kryzysem i wskazuje drogę wyjścia. Popierają ją czolowi naukowcy, politycy i inne światowe sławy; instytucje

charytatywne sponsoruj $\acute$  badania prowadzone na najlepszych uczelniach. Media na bież $\acute$ co donoszą o kryzysie i postępowaniu na drodze do jego unikni $\acute$ cia. Teorię zaczyna się wykl $\acute$ dać w szkołach średnich i na uniwersytetach.

Nie mówię o globalnym ociepleniu. Mam na myśli zupełnie inną teorię, która przed stu laty zyskała ogromny poklask.

Wśród jej zwolenników znaleźli się Theodore Roosevelt, Woodrow Wilson i Winston Churchill. Poparli ją sędziowie amerykańskiego Sądu Najwyższego OHver Wendell Holmes i Louis Brandeis, którzy orzekali na jej korzyść. Do jej najslawniejszych wyznawców zaliczali się Alexander Graham Bell (wynalazca telefonu); aktywistka polityczna Margaret Sanger; botanik Luther Burbank; Leland Stanford, założyciel Uniwersytetu Stanforda; powieściopisarz H.G. Wells; dramaturg George Bernard Shaw. Takich jak oni były setki. Poparli ją nobliści. Fundacje Carnegie i Rockefellera swoją renomą nobilitowały potwierdzające j $\acute$  badania naukowe, do których prowadzenia specjalnie zbudowano Cold Springs Harbor Institute; prace trwały zresztą również na innych uczelniach: w Harvardzie, Yale, Princeton, na uniwersytetach Stanforda i Johnsa Hopkinsa. Od Nowego Jorku po Kalifornię uchwalano przepisy, które miały pomóc w zwalczaniu kryzysu.

Z teorią sympatyzowała również Krajowa Akademia Nauk, Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne i Krajowa Rada Naukowa. Mówiło się, że gdyby Jezus żył, również udzieliłby jej poparcia.

Badania, prace legislacyjne i urabianie opinii publicznej trwały przez blisko pół wieku. Przeciwników teorii zakrzykiwano i wyzywano od reakcjonistów, ślepych na fakty lub po prostu niedouczonej. Z perspektywy czasu najdziwniejsze jest jednak to, że tak niewiele osób przeciw niej protestowało.

Dzisiaj wiemy już, że ta słynna, przyciągająca masy teoria była w istocie pseudonauką. Kryzys, przed którym ostrzegała, nie nastąpił. Działania, które w jej imię podejmowano, były karygodne pod względem moralnym, jeśli nie wręcz zbrodnicze. Koniec końców doprowadziły do śmierci milionów ludzi.

Teoria ta nosi nazwę eugeniki; jej dzieje są tak makabryczne - a dla osób w nią zaangażowanych tak krępujące - że rzadko się dziś o niej dyskutuje. Jest to jednak historią którą każdy człowiek powinien poznać, aby nie doszło do jej powtórzenia.

Eugenika zakładała, że kryzys w puli genów doprowadzi do zniszczenia rasy ludzkiej. Ludzie wartościowi rozmnażali się wolniej od tych gorszych - cudzoziemców, imigrantów, Żydów, degeneratów, nieprzystosowanych i upośledzonych umysłowo. Francis Galton, szacowny brytyjski naukowiec, był pierwszym, który snuł podobne rozważania, ale późniejsze losy tej idei przerosły jego najsmielsze oczekiwania. Przyswoili je sobie Amerykanie - zarówno ci z zacięciem naukowym, jak i ci, którzy o nauce nie mieli zielonego pojęcia, ale z różnych powodów niepokoiłi się napływem gorszych imigrantów na początku XX wieku. „Niebezpieczne ludzkie szkodniki” reprezentowały „narastającą falę imbecylności” i doprowadzały do skażenia tego, co w ludzkiej rasie najlepsze.

Eugeniczy i przeciwnicy imigracji postanowili r $\acute$ ka w r $\acute$ kę przeciwdziałać temu zjawisku.

Zamierzali wyłączać ze społeczeństwa osobników upośledzonych - zgadzali się co do tego, że Żydzi są w znakomitej większości upośledzeni, podobnie jak wielu cudzoziemców i czarnoskórych - i poprzez zamykanie w szpitalach psychiatrycznych oraz sterylizację uniemożliwiać im rozmnażanie się.

Margaret Sanger ujęła to w ten sposób: „Promowanie jednostek bezwartościowych kosztem zwykłych ludzi to niedopuszczalne okrucieństwo (...) nie ma większego przekleństwa dla potomności niż pozostawienie w spadku powiększającej się populacji imbecyli”. Wspomniała również o problemach, jakich przysparzała opieka nad tym „ludzkim śmieciem”.

Nie była odosobniona w swoich poglądach. H.G. Wells mówił o „niedouczonej gromadzie obywateli gorszej kategorii”; według Theodore’a Roosevelta „rozmnażanie się degeneratów nie leży w interesie społeczeństwa”; Luther Burbank nawoływał do „uniemożliwienia rozmnażania się kryminalistów i słabeuszy”; George Bernard Shaw twierdził, że tylko eugenika uratuje ludzkość.

W ruchu eugenicznym nie brakowało głosów czysto rasistowskich, takich jak *The Rising Tide of Color Against White World Supremacy* (...) amerykańskiego autora Lothrop’a Stoddarda. W tamtych czasach rasizm uważano jednak za mało znaczący aspekt szlachetnych wysiłków, zmierzających do osiągnięcia wspianego celu: przyszłej naprawy rodzaju ludzkiego. Ta awangardowa idea przyciągała do eugeniki najbardziej postępowe i liberalne umysły epoki. Kalifornia była tylko jednym z dwudziestu dziewięciu stanów, w których dopuszczono sterylizację - ale wykazała się największym zapałem we wprowadzaniu prawa w życie: nigdzie indziej nie przeprowadzono tylu zabiegów.

Badania sponsorowała najpierw Fundacja Carnegie, później zaś Fundacja Rockefellera, która podchodziła do sprawy z takim entuzjazmem, że nawet kiedy centrum myśli eugenicznej przeniosło się do Niemiec, a naukowcy zajęli się gazowaniem dawnych pacjentów zakładów zamkniętych, fundacja nadal finansowała ich prace. (Czyniła to dyskretnie, ale w 1939 roku, na kilka miesięcy przed wybuchem wojny, w dalszym ciągu udzielała wsparcia finansowego Niemcom).

Od lat dwudziestych Amerykanie zazdrościli Niemcom palmy pierwszeństwa w eugenicie, tym bardziej że ci czynili efektowne postępy. W zupełnie zwyczajnie wyglądających domach przeprowadzano pojedynczo wywiady z upośledzonymi, a później prowadzono ich do pomieszczenia na tyłach, które nie było niczym innym jak komorą gazową. Tam truto ich tlenkiem węgla, a ciała palono w zbudowanym na tej samej działce krematorium.

Później rozszerzono ten program na szeroką sieć obozów koncentracyjnych zakładanych przy torach kolejowych, co znacznie usprawniło transport i cały proces wymordowania dziesięciu milionów niepożądanych osobników.

Po II wojnie światowej nie było już na świecie eugeników; na dobrą sprawę wyglądało na to, że nie było ich również przed wojną. Biografowie wielkich i sławnych nie tylko nie rozwodzili się nad fascynacją swoich idoli tą dziedziną filozofii, ale czasem w ogóle o niej nie wspominali. Eugenika zniknęła ze szkół, ale do dziś nie brakuje twierdzeń, że przetrwała w innej postaci.

Kiedy spoglądamy wstecz, na wyróżnienie zasługują trzy kwestie. Po pierwsze, mimo

utworzenia laboratorium w Cold Springs Harbor oraz wysiłków uczonych i prawników eugenika nie miała żadnych podstaw naukowych. W tamtych czasach nie wiedzano nawet, czym jest gen. Eugenika kwitła, ponieważ opierała się na mętnej terminologii, której nigdy precyzyjnie nie zdefiniowano. „Upośledzenie umysłowe” mogło oznaczać cokolwiek - od ubóstwa i analfabetyzmu po epilepsję. Nie istniały również definicje „degeneracji” i „nieprzystosowania”.

Po drugie, ruch eugeniczny był w istocie programem społecznym, który tylko udawał zagadnienie naukowe. Napędzały go lęk przed imigracją rasizm oraz obawa przed obcymi, którzy pojawiali się w kraju lub w sąsiedztwie. Niejasna terminologia pozwoliła jednak ukryć prawdziwy charakter eugeniki.

Trzeci aspekt sprawy jest najbardziej niepokojący: środowisko naukowe w Stanach Zjednoczonych i w Niemczech nie zdobyło się na konsekwentny protest przeciw eugenicie. Przeciwnie: społeczność niemieckich uczonych szybko wdrożyła się do programu. Historycy sięgnęli niedawno po oryginalne nazistowskie dokumenty z lat trzydziestych, gdzie spodziewali się znaleźć dyrektywy, dyktujące naukowcom kierunek prowadzonych badań. Okazało się, że żadne dyrektywy nie były

potrzebne. Ute Deichman tak o tym pisze: „Naukowcy, nawet ci nienależący do partii nazistowskiej, zapewniali sobie finansowanie prac poprzez posłuszeństwo i współpracę z państwem”. Wspomina również o „aktywnej roli naukowców w kształtowaniu rasistowskiej polityki Rzeszy (...) badania miały na celu potwierdzenie rasistowskiej doktryny (...) nie znajdujemy żadnych dowodów, że wywierano na nich w tej sprawie jakieś naciski”. Niemcy podporządkowali naukę polityce - a ci nieliczni, którzy nie chcieli tego zrobić, zniknęli bez śladu.

Drugi przykład upolitycznienia nauki ma zupełnie inny charakter, ale ilustruje ryzyko związane z dopuszczeniem do przewagi ideologii nad nauką oraz z promocją fałszywych idei w bezkrytycznych środkach masowego przekazu. Trofim Denisowicz Łysenko był ambitnym chłopem, który, jak powiadano „rozwiązał problem nawożenia gleby bez użycia nawozów i minerałów”. W 1928 roku oznajmił, że opracował proces tak zwanej „wernalizacji”, czyli zwilżania i schładzania nasion, które w efekcie dawały wyższe plony.

Metod Łysenki nigdy rygorystycznie nie przetestowano. Jego twierdzenie, że nasiona poddane wernalizacji przekazują swoje cechy następnym pokoleniom, było przejawem cofnięcia się do idei Lamarcka w czasach, gdy cały świat przechodził na mendelowską genetykę. Dla Józefa Stalina lamarkizm był niezwykle atrakcyjny, ponieważ obiecywał przyszłość wolną od ograniczeń dziedziczności. Stalinowi również zależało na zwiększeniu plonów. Łysenko obiecał mu obie te rzeczy i stał się ulubieńcem radzieckich mediów - bardzo chętnie publikowały historie o wieśniakach, którzy rozwijali w sobie rewolucyjne instynkty.

Łysenkę przedstawiano jako geniusza, a on bez umiaru korzystał ze swoich pięciu minut sławy. Ze szczególną swadą krytykował swoich przeciwników. Podpierając się wynikami ankiet przeprowadzonych wśród chłopów, dowodził, że wernalizacja zwiększa plony, i w ten sposób unikał bezpośredniej weryfikacji swoich twierdzeń. Fala sponsorowanego przez państwo entuzjazmu wyniosła go wysoko: w 1937 roku został członkiem Rady Najwyższej.

Przez ten czas jego teorie zdominowały radziecką biologię i doprowadziły do klęski głodu, która pochłonęła życie milionów ofiar, oraz czystek, w których setki niepokornych uczonych trafiły do gułagów albo prosto przed pluton egzekucyjny. Łysenko agresywnie atakował genetykę, którą w 1948 roku oficjalnie wyklęto jako „burżuazyjną pseudonaukę”. Jego idee nie miały potwierdzenia w faktach, co nie przeszkodziło temu, że przez trzydzieści lat dzielił i rządził w radzieckiej nauce. Epoka Łysenki skończyła się w latach sześćdziesiątych, ale rosyjska biologia do dziś nie może się po tamtym wstrząsie pozbierać.

Ostatnio pojawiła się nowa wielka teoria, która - tak jak poprzednie - zyskuje poparcie polityków, naukowców i sław. Tak jak przedtem, promują ją słynne fundacje, a badania są prowadzone na najbardziej prestiżowych uniwersytetach; zmienia się prawo i konstruuje oparte na niej programy społeczne; nieliczni jej krytycy znów są bezlitośnie uciszani.

Ponownie wynikające z teorii zalecenia mają niewiele wspólnego z faktami i nauką. Ponownie za parawanem ruchu, który ma szlachetne ideały, kryją się grupy wątpliwej proveniencji. Ponownie dla uzasadnienia drastycznych posunięć wytacza się argument moralnej wyższości. Ponownie lekceważy się cierpienia jednostek, tłumacząc je wyższością abstrakcyjnej sprawy. Ponownie stosuje się mętne terminy, choćby „ekorozwój” i „sprawiedliwość pokoleniowa” - ani jeden, ani drugi nie ma ścisłej, ogólnie uznanej definicji - w służbie rzekomego kryzysu.

Nie twierdzę, że globalne ocieplenie i eugenika to jedno i to samo, ale podobieństwa na pewno nie są powierzchowne. Twierdzę natomiast stanowczo, że uniemożliwia się szczerą i otwartą dyskusję na ten temat. Redakcje czołowych czasopism naukowych stanowczo popierają teorię globalnego ocieplenia, chociaż, moim zdaniem, nie tym powinny się zajmować. W tych okolicznościach specjalista, który ma wątpliwości, zdaje sobie sprawę, że lepiej milczeć.

Jednym z dowodów na utrudnianie dyskusji niech będzie fakt, że większość krytyków idei globalnego ocieplenia to emerytowani profesorowie uniwersyteccy. Nie zależy im już na grantach, nie muszą stawiać czoła kolegom, którym ich krytyka mogłaby zaszkodzić.

W nauce starzy ludzie często nie mają racji. Ale w polityce najstarsi są mądrzy, zalecają ostrożność i w końcowym rozrachunku najczęściej mają rację.

Historia ludzkich przekonań niesie dla nas ostrzeżenie. Zabiliśmy tysiące ludzi, ponieważ wierzyliśmy, że podpisali pakt z diabłem; nadal ponad tysiąc osób rocznie ginie na skutek oskarżenia o czary. Wydaje mi się, że dla ludzkości, pogrążonej w mrocznych odmętach przeszłości, które Carl Sagan nazwał „światem nawiedzonym przez demony”, jest tylko jedna nadzieja: nauka.

Ale, jak ostrzega Alston Chase, „kiedy poszukiwanie prawdy miesza się komuś z kampanią polityczną pragnienie wiedzy zostaje sprowadzone do żądzy władzy”.

I takie właśnie niebezpieczeństwo nam teraz grozi. To dlatego łączenie nauki z polityką jest złym pomysłem i ma fatalne tradycje. Nie wolno nam zapominać o historii. Musimy się starać, aby przedstawiać światu wiedzę bezinteresownie i uczciwie.

## Dodatek II

### Źródła danych do wykresów

Informacje o temperaturach na świecie zostały zaczerpnięte z zasobów Instytutu Badań Kosmicznych imienia Goddarda przy Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku (GISS); z danych Jonesa i in. Wydziału Badań Klimatycznych Uniwersytetu Wschodniej Anglii w Norwich (CRU); oraz ze Światowej Sieci Klimatologii Historycznej (GHCN), utrzymywanej przez Krajowe Centrum Danych Klimatycznych (NCDC), a także Ośrodek Analizy i Informacji nt. Dwutlenku Węgla (CDIAC) Krajowego Laboratorium w Oak Ridge, Tennessee.

Stronę danych GISS trudno jest znaleźć, wychodząc z ich strony domowej. Oto jej adres: <http://www.giss.nasa.gov/data/update/gistemp/station> data/.

Odnosnik do danych zespołu Jonesa wygląda następująco: RD. Jones, D.E. Parker, T.J. Osborn i K.R. Briffa Global and Hemispheric Temperature Anomalies - Land and Marine Instrument Records, w: Trends: A Compendium of Data on Global Change. CDIAC, Krajowe Laboratorium w Oak Ridge, US Department of Energy, Oak Ridge, Tennessee, 1999.

Dane do Światowej Sieci Klimatologii Historycznej są gromadzone w NCDC i CDIAC. A oto adres internetowy GHCN: <http://cdiac.esd.ornl.gov/ghcn/> ghcn.html.

Wyniki pomiarów temperatury na terenie USA pochodzą z Amerykańskiej Sieci Klimatologii Historycznej (USHCN), utrzymywanej przez NCDC i CDIAC. Oto cytat ze wstępu: „Zaleca się korzystanie z USHCN przy wszelkich długoterminowych analizach klimatycznych...” Adres internetowy USHCN: <http://www.ncdc.noaa.gov/oa/climate/research/ushcn/ushcn.html>.

Bibliografia: D.R. Easterling, T.R. Karl, E.H. Mason, P.Y. Hughes, D.P. Bowman, R.C. Daniels i TA. Boden (red.) United States Historical Climatology

Network (USHCN) Monthly Temperature and Precipitation Data. ORNL/CDIAC-87, NDP-019/R3. Ośrodek Analizy i Informacji nt. Dwutlenku Węgla, Krajowe Laboratorium w Oak Ridge, Tennessee, 1996.

Wykresy zostały sporządzone w programie Microsoft Excel na podstawie danych zaczerpniętych ze stron internetowych.

Zdjęcia satelitarne pochodzą z zasobów NASA (<http://datasystem.earth-kam.ucsd.edu>). Rysunek kuli ziemskiej na stronie tytułowej i stronach otwierających kolejne części książki również został zapożyczony z NASA (<http://earthob-servatory.nasa.gov/Observatory/Datasets/tsurf.tovs.html>).

# Table of Contents

[giss.nosa.gov](http://giss.nosa.gov)